

ROK 1989

GEREMEK OPOWIADA
ŻAKOWSKI PYTA

REDAKTOR PROWADZĄCY

Dariusz Fedor

PRZYPISY I KALENDARIUM

Jan Cywiński

KOREKTA

Teresa Kruszona

PROJEKT OKŁADKI

Maciej Kalkus

OPRACOWANIE GRAFICZNE

Artur Hanc

ZDJĘCIA NA OKŁADCE

Jerzy Gumowski/AG, Krzysztof Miller/AG

FOTOEDYCJA

Katarzyna Stańczuk

PRODUCENT WYDAWNICZY

Robert Kijak, Małgorzata Skowrońska

KOORDYNACJA PROJEKTU

Katarzyna Kubicka

DRUK I OPRAWA

Drukarnia Perfekt

© COPYRIGHT BRONISŁAW GEREMEK

© COPYRIGHT JACEK ŻAKOWSKI

© COPYRIGHT AGORA SA 2008

ISBN 978-83-7552-363-8

WYDAWCY

AGORA SA

ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa

www.gazeta.pl/kolekcje

POLITYKA SPÓŁDZIELNIA PRACY

ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

tel. (+48 22) 451 60 11, faks (+48 22) 451 61 35

e-mail: polityka@polityka.pl

www.polityka.pl

WARSZAWA 2008

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

ROK 1989

GEREMEK OPOWIADA
ŻAKOWSKI PYTA

WYDANIE II, ROZSZERZONE

Przedmowa

Timothy Garton Ash

Wszyscy mają taki czas w życiu, który należy do nich. Nielicznym szczęście daje własny historyczny moment. Naprawdę rzadko przydarza się to historykom, ale to był właśnie przypadek Bronisława Geremka w roku 1989. Historyk kroczył wtedy ramię w ramię z historią – i historię tworzył.

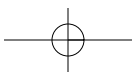
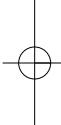
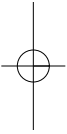
Rok ten był kulminacją burzliwej dekady „samoograniczającej się rewolucji” rozpoczętej w Sierpniu 1980 i na krótko powstrzymanej samoograniczającą się kontrrewolucją. Bohater tej książki – Bronisław Geremek – był najważniejszym chyba politycznym architektem wynegocjowanego końca komunizmu w Polsce – Polsce, która utorowała drogę reszcie komunistycznej Europy. Historia opowiedziana jest tu jego własnymi słowami, z mnóstwem ważnych szczegółów, anegdot i humoru. Jak wszystkie najwspanialsze historie łączy głębszy element struktur i procesów, które tak go fascynowały, z elementem tego, co przypadkowe, nieprzewidywalne, jednostkowe.

Łatwo krytykować kompromis Okrągłego Stołu z bezpiecznej perspektywy dwóch dekad odzyskanej wolności. Książka ta przypomina nam, że nikt czegoś takiego dotąd nie próbował i nikt nie wiedział, czy okaże się to możliwe. Kompromis był niezbędny do uniknięcia rozlewu krwi. Innym krajom poszło już łatwiej, bo Polska pokazała im drogę. Przez blisko 200 lat po roku 1789 idea rewolucji kojarzyła się w Europie jednoznacznie z przemocą. Rok 1989 przyniósł nowy model rewolucji, który zastąpił poprzedni, jakobińsko-bolszewicki lat 1789 i 1917. To model pokojowej, negocjacyjnej ewolucyjnej rewolucji. Rzecz naprawdę rzadka – autentycznie nowy wynalazek historii.

W opowieści Bronisława Geremka przewijają się migawki – niestety, ledwie migawki – z jego wcześniejszej biografii, która uczyniła go tak wyjątkową postacią europejskiej sceny. Okrutnym wyrokiem losu został nam odebrany. Ale z tych stron przemawia do nas znowu.

PRZEŁOŻYŁ SERGIUSZ KOWALSKI

Timothy Garton Ash
Oksford, 29 lipca 2008



KLIMATY



Panie Profesorze, rok 1989, o którym mamy rozmawiać, odwrócił bieg polskiej historii i sędzę, że zajmie w niej miejsce obok lat największych – takich jak rok 1918. W ciągu tego roku z sowieckiej półkolonii realizującej wraz z całym imperium absurdalną doktrynę komunizmu Polska awansowała do rzędu państw niepodległych i zaczęła odtwarzać zrujnowaną przez komunizm infrastrukturę gospodarczą, społeczną, państwową.

Był to jednak rok nie tylko ważny, ale także bardzo piękny. Tego roku Polacy zapracowali na szczere uznanie nie tylko w oczach świata, ale także w swoich własnych. Był to bowiem rok, w którym – jak niemal nigdy – robiliśmy wrażenie zjednoczonych w dążeniu do wspólnego celu i – co w naszej historii jeszcze rzadsze – cel ten osiągnęliśmy, a nawet posunęliśmy się znacznie dalej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Był to bowiem także rok przekraczania naszych własnych politycznych horyzontów.

Wreszcie był to niewątpliwie rok owocowania starego i kiełkowania nowego życia społecznego. W wymiarze politycznym komuniści zbierali ponure owoce swoich czterdziestoletnich rządów, a społeczeństwo – w każdym razie istotna jego część – czterdziestoletniego oporu. W wymiarze gospodarczym sytuacja była jednak mniej klarowna. Wszyscy musieliśmy ponosić konsekwencje szaleństwa państwowej gospodarki planowej, choć sytuacje najbardziej dramatyczne były jeszcze przed nami.

ROK 1989

Mało kto był jednak w stanie poważnie myśleć o tym, co nas czekało, bo szczerze mówiąc, nie nadążaliśmy chyba ani emocjonalnie, ani intelektualnie za tym, co działo się wokół nas. Tempo wydarzeń było tak wielkie, że nawet pilny obserwator nie zdołał za nim nadążyć. Wiele zresztą spraw rozgrywało się poza sceną publiczną. Z Magdaleny – gdzie decydowały się kwestie dla Polski kluczowe – docierały do Polaków zaledwie informacyjne okruchy. Niedrożność systemu społecznej komunikacji sprawiała zaś, że nawet te informacje, które mogły i powinny były wejść do publicznego obiegu, ginęły w ogólnym szumie informacyjnym.*

W rezultacie powstało dość powszechne poczucie obcości, zewnętrżności tego procesu, którego zasadniczą treścią było właśnie upodmiotowienie, demokratyzacja i otwarcie drogi ku społeczeństwu obywatelskiemu. Poczucie obcości i zewnętrżności, za którymi idzie brak wiary w autentyczność tego, co się dokonało, stwarza zaś pole do spekulacji, kampanii nieufności i insynuacji mogących rzucić cień na przyszłość polskiej demokracji.

W wydarzeniach tego roku odegrał Pan jedną z kluczowych ról. Sądzę, że teraz, gdy pod wieloma względami tamta gra – „gra z komuną o Polskę” – już się skończyła, przyszedł czas, żeby powiedzieć o niej wszystko. Pora usunąć wątpliwości co do politycznej genezy rodzącej się III Rzeczypospolitej.

Rozmawiać mamy o roku 1989, ale przecież tylko księgowi potrafią bilansować lata dokładnie wedle kalendarza. My od początku będziemy musieli zanurzać się w przeszłość i wybiegać w przyszłość. Rok 1989 nie zaczął się bowiem 1 stycznia. Ja skłonny bym był rachunek tego roku otworzyć 31 sierpnia 1988, czyli w dniu spotkania Lecha Wałęsy z generałem Kiszczakiem.

Przyzna Pan, że był to krok niezwykle i szokujący. Oto bowiem w chwili słabnięcia akcji strajkowej, po brutalnych pacyfikacjach przeprowadzonych przez ZOMO w strajkujących kopalniach Śląska przywódca opozycji spotkał się z szefem policji. Ryzyko wydawało się

*W rządowym ośrodku wczasowym w podwarszawskiej Magdalence przedstawiciele władz i „Solidarności” toczyli wstępne rozmowy przed Okrągłym Stołem, spotykali się tam też wielokrotnie w czasie jego obrad, które toczyły się od 6 lutego do 5 kwietnia 1989 roku.

KLIMATY

ogromne. Największą siłą polskiego społeczeństwa było przecież to, że posiadało ono niezależne od władzy elity, a największą siłą tych elit był ich moralny autorytet. Podjęcie rozmów już nie tyle z władzą, ile z policją, i to właśnie przez człowieka stanowiącego uosobienie oporu przeciw komunizmowi, dyktaturze, polityce stanu wojennego, groziło utratą dużej części tego autorytetu, który środowiska „Solidarności” zdobyły i utrzymały od 1980 roku. Zwłaszcza że po tym spotkaniu Wałęsa wrócił do strajkującej Stoczni Gdańskiej i zażądał przerwania strajku w zamian za dość mglistą nadzieję rozmów przy obiecanym przez Kiszczaka „okrągłym stole”. Muszę powiedzieć, że rodziło to najgorsze obawy.

Chciałbym więc zacząć naszą rozmowę od pytania, czy wtedy, w sierpniu 1988 roku, podejmując tę niezwykle ryzykowną, ale – jak miało się okazać – nieoczekiwanie owocną grę z Kiszczakiem, wiedzieliście dużo więcej niż inni? Czy środowisko kształtujące politykę „Solidarności” wiedziało coś, co stanowiło klucz do sytuacji, a czego inni wiedzieć nie mogli?

– Nie wiedzieliśmy nic nadzwyczajnego. Nie mieliśmy żadnych specjalnych przecieków. Natomiast wiedzieliśmy to, co mogli wiedzieć wszyscy obserwatorzy polskiej sceny – że dalej tak być nie może, że ten model się przeżył, że dużo musimy zmienić. I zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że władza też to wie – w każdym razie część władzy – że oni też szukają nowych pomysłów.

Żyliśmy przecież na tym samym świecie, przyglądaliśmy się im równie uważnie, jak oni nam. Tyle że my nie mieliśmy własnej policji, nie zakładaliśmy podsłuchów, nie braliśmy ich na przesłuchania. Ale słuchaliśmy, co mówią, czytaliśmy to, co pozwalali albo kazali drukować, obserwowaliśmy ich posunięcia.

W 1985 roku wydaliśmy wielki raport *Polska – 5 lat po sierpniu*. Tam zarysowaliśmy wizję sytuacji i jej dalszego rozwoju. Z tej wizji wynikało, że zmiany są nieuniknione – i to zmiany istotne, a nie tylko kolejne manewry gospodarcze czy personalne roszady, które oni tak uwielbiali.

Nasza prognoza znalazła potwierdzenie. Oni szukali, wymyślali różne „konsolidacje gospodarki”, otwarcia, manewry. Cały czas

ROK 1989

nie mogli jednak przełamać tej zasadniczej bariery, jaką stanowiło podjęcie politycznej, a nie tylko policyjnej czy propagandowej gry z opozycją. Wyrazem tych poszukiwań było stworzenie Rady Konsultacyjnej, ale ona nie miała szans, bo dla nas najważniejsza była „Solidarność”, a dla nich „Solidarność” wciąż była tabu*. Tu powstał pat.

*A jednak nie był on zupełny, skoro w lutym 1988 roku miesięcznik „Konfrontacje”** w swoim drugim numerze wydrukował wywiad z Panem.*

– Tak, to był psychologicznie moment bardzo ważny. Do tej pory w prasie cenzurowanej moje nazwisko mogło się ukazać jedynie w wyraźnie negatywnym kontekście. Nie było chyba takiej zbrodni, której by mi komunistyczna propaganda nie przypisała, łącznie ze świadomym działaniem na szkodę Polski motywowanym nienawiścią do własnego narodu, co mi imputowano w sfa-brykowanym przez MSW wywiadzie, jaki miała ze mną przeprowadzić Hanna Krall***. Rzecznik rządu Jerzy Urban zarzucał mi zaś szpiegostwo, co prasa gorliwie podchwyciła. Przez lata moje nazwisko bez epitetów pojawiała się właściwie tylko w pismach katolickich. Aż pewnego dnia zadzwonił telefon i redaktor „Konfrontacji” zadał mi pytanie, czy zgodzę się udzielić wywiadu. Powiedziałem, że tak, ale jeśli cenzura coś skreśli, to redakcja musi wycofać cały tekst. Zgodzili się.

*Rada Konsultacyjna przy Przewodniczącym Rady Państwa, Wojciechu Jaruzelskim – fasadowe ciało powołane w 1986 roku; władze usiłowały do niej wciągnąć m.in. ludzi z „Solidarności”.

**„Konfrontacje” – pismo wydawane od 1988 roku, początkowo przez Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego, PRON – podporządkowaną władzom organizację polityczną, powołaną w stanie wojennym w lipcu 1982 roku.

***Rzekoma rozmowa z Bronisławem Geremkiem, której fragmenty ukazały się w pierwszym tygodniu stanu wojennego w „Wiadomościach Szczecińskich” i „Żołnierzu Wolności” (prawdziwy wywiad, przeprowadzony latem 1981 roku, opublikowała „Polityka”). Fikcyjny Geremek tłumaczył w niej, że „Solidarność” odda Żydom przemysł, rzemiosło i handel, a Polacy będą musieli dla nich pracować. Mówił, że nienawidzi Polaków i że „S” zmierza „do takich zmian, żeby Żydom w Polsce było zawsze lepiej niż Polakom”. W połowie lat dziewięćdziesiątych fałszywka znów się pojawiła w obiegu publicznym, przedrukowana przez pisma „Dziennik Poznański” i „Polskie Sprawy”.

KLIMATY

W tym wywiadzie wymieniał Pan dwa podstawowe elementy polskiego dramatyizmu: rozpad gospodarki i „bezradność czy wręcz frustrację ogarniającą zarówno społeczeństwo, jak i władzę”. Aby im przeciwdziałać, postulował Pan zawarcie „paktu antykryzysowego”, który Pańskim zdaniem miał w roku 1988 większe szanse powodzenia niż w roku 1980 czy 1981. Źródłem Pańskiego optymizmu były doświadczenia, jakie wszyscy wynieśliśmy z dzielącej te lata epoki. „Doświadczeniem społeczeństwa – mówił Pan – jest to, że swe aspiracje i dążenia musi utrzymywać w rozsądnych granicach; doświadczeniem władzy – że bez autentycznych sił społecznych nie można dokonać przełomu, którego wszyscy pragną”. Czy to stwierdzenie o „rozsądnych ryzach” nie było przypadkiem wyrzeczeniem się „Solidarności”?

– Niech pan czyta dalej. „Aby społeczeństwo mogło przystąpić do paktu antykryzysowego, musiałaby nastąpić instytucjonalizacja pluralizmu – dotycząca wielkich mas społecznych [...] główne znaczenie przywiązuje do pluralizmu związkowego”. To było wszystko, co można było wówczas powiedzieć pod cenzurą, ale myślę, że nikt nie miał wątpliwości, o co mi chodziło. Nie występowałem przecież w imieniu OPZZ*.

Całą prawdę mogliśmy drukować tylko w prasie podziemnej. Tam posługiwaliśmy się mową otwartą. Decydując się na wystąpienie w prasie cenzurowanej, musiałem używać swojego szyfru, ale był to szyfr czytelny. A rzecz szła przecież o możliwość złożenia publicznej oferty, do której władza będzie musiała się ustosunkować. Dlatego się na ten wywiad zdecydowałem.

Ale jasnej odpowiedzi nie było.

– Tak i nie, bo jednak różne pośrednie odpowiedzi padały i wskazywały na to, że władza co prawda nie jest jeszcze gotowa do uznania nas za oficjalnych partnerów politycznych, ale jednak jej myślenie zaczyna posuwać się w prawidłowym kierunku.

***Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych** – centrala związkowa utworzona w 1984 roku; w jej skład weszły federacje związków utworzonych po delegalizacji „Solidarności” i innych związków w roku 1982. Przewodniczącym OPZZ był od początku Alfred Miodowicz.

Jakie odpowiedzi ma Pan na myśli?

– Przede wszystkim różne prasowe enuncjacje, które nie stanowiły bezpośredniej odpowiedzi, ale jednak były w jakiś sposób inspirowane przez władzę lub przynajmniej przez pewne jej kręgi. Wiosną zaczęły też docierać do nas sygnały, że władza szuka pretekstu do nawiązania z nami bezpośrednich kontaktów. Te sygnały się nasilały. Wreszcie mecenas Siła-Nowicki* przywiózł do Gdańska wiadomość, że minister Kiszczak chce się spotkać z Wałęsą i podobno ma jakieś interesujące propozycje, lecz nie chce wystąpić jako inicjator spotkania. Na prośbę ministra Siła-Nowicki namawiał Lecha, żeby wystosował do Kiszczaka list z propozycją podjęcia rozmów. Oferta była kusząca, ale zbyt ryzykowna, i Wałęsa się w końcu się nie zdecydował.

Kiedy ta propozycja się pojawiła?

– Chyba gdzieś na przełomie wiosny i lata.

A więc pod koniec majowej fali strajków.

– Tak, to one stanowiły impuls.

Zaczyna mi się rysować scenariusz, który doprowadził do pierwszego spotkania Wałęsy z Kiszczakiem. W lutym Pańska propozycja ogłoszona w „Konfrontacjach”, potem strajki majowe, próby nawiązania kontaktu i targi o to, kto ma być inicjatorem. W końcu Kiszczak się łamie i proponuje rozmowy, wysuwając koncepcję Okrągłego Stołu. Łamie się też Wałęsa i do spotkania dochodzi. Jak zapadała tego rodzaju decyzja? Jak ją podejmowaliście?

– Nie podejmowaliśmy jej wcale. Decyzję podjął Lech Wałęsa. Ludzie, którzy stanowili jego najbliższe otoczenie i tworzyli grono doradców, mogli co najwyżej doradzać lub odradzać przyjęcie takiej propozycji. W tym wypadku nie byliśmy jednomyślni. Sytuacja Polski wymagała okazania dobrej woli. Taka była opinia niemal wszystkich doradców, ale można to było zrobić na różne sposoby. Decyzja należała do Wałęsy. To przede wszystkim on podejmował ryzyko.

***Władysław Siła-Nowicki** – żołnierz AK, więzień stalinowski, w PRL obrońca w wielu procesach politycznych, w latach 1980-81 ekspert „Solidarności”. W 1987 roku wszedł do Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa; w Okrągłym Stole będzie uczestniczył na zaproszenie strony rządowej.

KLIMATY

Te pierwsze rozmowy miały efekt bardzo mizerny. Komunikat PAP po trzygodzinnym spotkaniu, w którym uczestniczyli także biskup Jerzy Dąbrowski i sekretarz KC Stanisław Ciosek, stwierdzał tylko tyle, że „omówiono przesłanki zorganizowania spotkania Okrągłego Stołu i tryb jego odbycia”. W reakcjach społecznych dominował więc niepokój, czy aby Wałęsa nie dał się wywieść w pole albo czy go – co gorsza – nie kupili. Niewielką pociechę stanowiło jego oświadczenie, że „zgodnie z upoważnieniem od strajkujących załóg sprawę legalizacji »Solidarności« wysuniętą w postulatach strajkowych” przejął do dalszych rozmów z władzami centralnymi. Ze społecznego punktu widzenia zapewne większe znaczenie miało oświadczenie Kościoła stwierdzające, że „stoi [on] zdecydowanie na stanowisku konieczności zapewnienia bezpieczeństwa osobistego i pracowniczego strajkującym”. Mimo tych mizernych efektów Wałęsie udało się doprowadzić do zakończenia trwających jeszcze miejscami akcji strajkowych. Jaka była wówczas Pańska wizja dalszych wydarzeń? Jakie stawialiście sobie cele?*

– Naczelnym imperatywem pozostawała legalizacja „Solidarności”.

Czy Kiszczak dawał na to jakieś nadzieje?

– Ja z Kiszczakiem nie rozmawiałem, a od Wałęsy trudno było dowiedzieć się, jaki był przebieg rozmów. Jego relacje z rozmów zazwyczaj były skąpe i mało precyzyjne. Więcej już można się było dowiedzieć o przebiegu rozmów, jakie z władzami prowadzili przedstawiciele Kościoła. Episkopat zaś niezmiennie domagał się legalizacji „Solidarności”. Stosunek kierownictwa Kościoła do „Solidarności” niewątpliwie się zmieniał, ale w rozmowach z władzami postulat legalizacji zawsze był podtrzymywany.

***Jerzy Dąbrowski** – wówczas biskup pomocniczy archidiecezji gnieźnieńskiej i zastępca sekretarza Konferencji Episkopatu Polski. **Stanisław Ciosek** – działacz partyjny i państwowy, m.in. od listopada 1980 do listopada 1985 roku członek Rady Ministrów odpowiedzialny za współpracę ze związkami zawodowymi; sekretarzem Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej był od lipca 1986 do czerwca 1988 roku.

ROK 1989

Choć nawet w kręgach związkowych zdawał się on słabnąć. Wtedy, w sierpniu, a tym bardziej we wrześniu 1988 nie było już chyba zbyt wielu powodów do nadziei na legalizację.

– Można było mieć takie wrażenie, ale jednak w postulatach strajków sierpniowych sprawa „Solidarności” zajęła istotne miejsce. To prawda, że tych strajków nie było wiele, społeczeństwo nie było jeszcze rozbudzone, dopiero się budziło. Jednak gdy 11 września 1988 odbyło się w Gdańsku posiedzenie Komitetu Obywatelskiego...

Jeszcze nie Komitetu, tylko „Sześćdziesiątki”...

– Tak, nazywało się to jeszcze „Sześćdziesiątką”, ale faktycznie była to już wtedy dziewięćdziesiątka*.

Działaliśmy w formule rozszerzonej, a w wąskim obiegu nazwa Komitet Obywatelski już funkcjonowała. Pierwszy raz zaproponowałem ją właśnie w czasie narady z Lechem Wałęsą poprzedzającej spotkanie gdańskie.

W każdym razie 11 września podczas spotkania w parafii św. Brygidy wszyscy uczestnicy jednogłośnie uznali, że legalizacja „Solidarności” jest imperatywem narodowym. A przecież było to już po wygaśnięciu strajków. Zrazu wydawało się, że sierpniowy strajk Stoczni może się stać detonatorem. Ale nim nie był. Kraj milczał. Stanowisko „Sześćdziesiątki” nie było więc efektem politycznej koniunktury czy też wysokiej fali społecznych nastrojów. Było wynikiem pracy programowej środowiska inteligenckiego skupionego wówczas wokół Lecha Wałęsy.

Zadecydowało jednoznaczne przemówienie Edmunda Osmańczyka** wygłoszone zaraz na początku obrad i zawierające propozycję uchwały, która w moim wcześniejszym przekonaniu miała być co najwyżej konkluzją tego spotkania. „Sześćdziesiątce” trzeba oddać sprawiedliwość. Nie był to przecież pierwszy przypadek, w którym stawiała ona cel sięgający może nawet dalej niż

*Intelektualiści i działacze związkowi zaproszeni do współpracy przez Wałęsę, od grudnia 1988 roku Komitet Obywatelski przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność” Lechu Wałęsie.

****Edmund Jan Osmańczyk** – dziennikarz, żołnierz AK, w czasach PRL poseł na Sejm i członek Rady Państwa (1979-80), w wyborach 4 czerwca 1989 roku zostanie wybrany na senatora z ramienia „S”.

KLIMATY

społeczna wyobraźnia i przekraczający granicę wyznaczoną przez temperaturę nastrojów publicznych. Bardziej sumieniem niż lustrem społeczeństwa stała się już rok wcześniej, gdy na pierwszym swoim spotkaniu w maju 1987, w przeddzień pielgrzymki papieskiej, podniosła sprawę niepodległości Polski. Pojęcie niepodległości umieszczone wśród zadań, które stawialiśmy przed sobą, budziło wówczas wielkie wątpliwości. Wielu osobom, nawet moim bliskim przyjaciółom, mówienie o niepodległości wydawało się wejściem na drogę irredenty. Jeden z nich powiedział wprost, że jest to zdrada Sierpnia 1980.

Odejdźcie od samoograniczenia!

– Ja uważałem, że samoograniczenie może następować wtedy, gdy powie się jasno, jakie są imperatywy, jakie są ostateczne cele. Można nie żądać wszystkiego natychmiast, ale trzeba określić katalog tych dóbr, do których ma się prawo i z których się dla jakichś względów rezygnuje, bądź których realizację odkłada się na później.

Jasne wysunięcie imperatywu legalizacji było krokiem w tym kierunku. Jesienią 1988, zaraz po strajku, nasza fala zdawała się właśnie opadać. Władza wycofywała się z dawanych wcześniej przyrzeczeń. Były rozmowy, były przyrzeczenia i potem nagle wycofywanie się z pertraktacji, z obietnic, ze wszystkiego. W negocjacjach prowadzonych przez profesora Stelmachowskiego* z sekretarzem KC PZPR Józefem Czyrkiem wszystko zmieniało się co trzy dni.

Ustalenia – zdawało się już precyzyjne i jasne – były podważane. Dlaczego? Dlatego, że władza ważyła siłę swojego partnera i dostrzegła, że partner jest słaby.

Bo był słaby.

– I tak, i nie. Naszą siłę mogliśmy przecież oprzeć na ośmiu latach ruchu oporu. Ten opór nie dotyczył dziesiątków czy setek

***Andrzej Stelmachowski** – żołnierz AK, prawnik, specjalista od rolnictwa, ekspert „S”, w latach 1987-90 prezes działającego legalnie, ale niezależnego od władz Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie. Za rok będzie marszałkiem Senatu, później ministrem edukacji.

ROK 1989

osób, to nie był fenomen dysydencki, jak w innych krajach naszego bloku. To był ruch oporu tysięcy ludzi: poligrafów, kolporterów, tych, co zbierali składki. Do tego mogliśmy się odwoływać i to pozwalało nam domagać się legalizacji „Solidarności”. W zamian za nią partia chciała jednak uzyskać legitymizację swojej władzy, a otrzymać ją mogła tylko od partnera silnego, mającego powszechne społeczne poparcie.

Tymczasem strajki letnie dowiodły, że poparcie nie jest powszechne. W każdym razie nie było ono dość silne, nie było czynne. Mimo to kontakty zostały jednak podtrzymane. O profesorze Stelmachowskim mówiło się, że to jest człowiek, do którego dzwoni Czyrek. Może więc siła „Solidarności” nie była warunkiem koniecznym?

– Tak, Czyrek dzwonił od czasu do czasu, ale proszę pamiętać, że impuls, który te kontakty uruchomił, wyszedł jednak z naszej strony. W trakcie strajku sierpniowego, dokładnie 19 sierpnia, spotkaliśmy się w siedzibie warszawskiego KIK-u i zastanawialiśmy się, czy mamy jakkolwiek ruch do wykonania. Profesor Stelmachowski nie chciał sam zdecydować o nawiązaniu kontaktu. Zadzwoił jednak do Czyrka, gdy w grupie ludzi, którzy się wówczas zgromadzili – Wielowieyski, Maria Radomska*, ja – uznaliśmy, że nie wolno pozwolić sobie na grzech zaniechania.

A czego po tym telefonie oczekiwaliście?

– Mieliliśmy poczucie, że jakiś dialog jest niezbędny. Obawialiśmy się, że jeśli go zabraknie, po naszej stronie może pojawić się tak silna determinacja, iż staniemy wobec groźby krwawej konfrontacji. Mieliliśmy takie sygnały i z Gdańska, i ze Szczecina.

A Czyrek? On przecież nie musiał podejmować tej gry. Czy on i jego partia również się tej konfrontacji obawiali? A może chodziło o coś innego?

***Andrzej Wielowieyski** – żołnierz AK, wieloletni sekretarz warszawskiego KIK, publicysta, członek redakcji „Więzi”; ekspert „S” – szef Ośrodka Prac Społeczno-Zawodowych przy jej Komisji Krajowej. Będzie wicemarszałkiem Senatu, posłem. W 2008 roku, po śmierci Bronisława Geremka, obejmie po nim mandat w Parlamencie Europejskim. **Maria Radomska** – genetyczka, profesor Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, w latach 1980-87 jej rektor; działaczka opozycji; w latach 1985-89 należała do Prymasowskiej Rady Społecznej.

KLIMATY

– W chwili gdy Stelmachowski po raz pierwszy dzwonił do Czyrka, nie było jeszcze wiadomo, jak akcja strajkowa się rozwinie. Nie sądzę jednak, żeby motywacje Czyrka wiązały się przede wszystkim z tymi strajkami. W sferze władzy funkcjonowało już wówczas przekonanie, że jakiś nowy układ ze społeczeństwem będzie konieczny. Szukano rozwiązania i niewątpliwie rozważano różne koncesje – także tę, która dla nas była najważniejsza – legalizację „Solidarności”. Władza zdawała sobie sprawę ze swojej pogarszającej się sytuacji, z konieczności zmian, i miała przed oczami wizję zbliżających się nieuchronnie wyborów parlamentarnych. Przeprowadzenie ich w starym stylu już nie wydawało się jej możliwe.

Mam wrażenie, że pod koniec lat osiemdziesiątych partyjna góra straciła wiarę we własne siły, w skuteczność tego systemu, w ideologiczną słuszność własnej polityki. Czy sądzi Pan, że także wtedy, gdy we wrześniu 1988 po strajkach sierpniowych na czele rządu stanął Rakowski, który zapowiadał daleko idące otwarcie we wszystkich sprawach poza legalizacją „Solidarności”, sytuacja komunistów była rzeczywiście tak trudna, iż nie byli już w stanie kontynuować swojej starej polityki? Czy oni nie poddali się po prostu nastrojom kapi-tulanckim?*

– Myślę, że słusznie oceniali sytuację kraju jako niezwykle trudną i trafnie przewidywali ten dramatyczny kryzys, który miał nastąpić. Jeszcze w pierwszych dniach września wydawało nam się, że legalizacja „Solidarności” mieści się w politycznym horyzoncie, ale potem coś pękło. Objęcie władzy przez Rakowskiego było już „zamiast legalizacji”.

Rakowski złożył partyjnemu kierownictwu obietnice i zaszczerpił nadzieję, że bez legalizowania „Solidarności” uzyska z Zachodu pomoc gospodarczą. Liczył na swoje stare kontakty z politykami europejskimi. Te nadzieje rozwiłało fiasko jego podróży do Austrii i Niemiec.

***Mieczysław F. Rakowski** – dziennikarz, wieloletni redaktor naczelny „Polityki”, działacz partyjny i państwowy, m.in. w latach 1981-85 wicepremier, od września 1988 roku premier; w lipcu 1989 roku zostanie ostatnim I sekretarzem KC PZPR.

ROK 1989

Oznaczało ono dalszy rozkład gospodarki. W Komitecie Centralnym prowadzono wówczas dramatyczne debaty i gry symulacyjne dotyczące perspektyw ekonomicznych. Obraz, jaki się z nich wyłaniał, był zastraszający. Oczekiwano recesji oznaczającej spadek produkcji o czterdzieści procent. Te prognozy zadecydowały. *O podniesieniu rąk do góry?*

– Nie, o podjęciu przez „kierownictwo” wielkiego strategicznego manewru. Nie byli w stanie nad niczym zapanować, nie byli w stanie otrzymać z zewnątrz żadnej istotnej pomocy, czuli, że Polska im się w rękach rozpada, więc postanowili jednak zrobić ten wielki skok w politykę, który już wcześniej zapowiadał list Kiszczaka do Wałęsy. Nie sądzę zresztą, żeby przecenili ruinę gospodarki i całego kraju. Jeżeli coś przecenili, to raczej swoje szanse na przetrwanie. Sądzieli, że dokonują wielkiego manewru typu NEP-u*.

W ich politycznym myśleniu ciągle funkcjonowało obsesyjne odwoływanie się do doświadczenia historycznego – jakby zapominali, co pisał Marks: że historia się nie powtarza, a jeżeli się powtarza, to jako farsa. Chcieli odtworzyć sytuację z 1945 roku. W rozmowach z Kościołem, w rozmowach ze Stelmachowskim i z Wielowieyskim wciąż mówili: „Zróbmy tak jak w 1945, powróćmy do tamtej sytuacji, bo błędy zaczęły się później. Polska znów jest w ruinie, a odbudowa ludzi łączy. Stwórzmy więc partię opozycyjną na wzór PSL-u. Niech tym razem ta partia nie popełni błędu polegającego na odwróceniu się do nas plecami, a my nie popełnimy tego błędu, którym było zniszczenie opozycji”.

Zakładali, że na takim manewrze niewiele stracą, a dużo zarobią, i nie chodziło tu tylko o zachodnie pieniądze. We wcześniejszym tajnym memoriale do Komitetu Centralnego Rakowski jasno wykladał tę doktrynę. Należało wciągnąć opozycję w orbitę władzy, żeby odebrać jej tę wysmienitą pozycję, dzięki której „nie musiała nic robić, a zbijała kapitał”, bo wszystko, co było złe, szło na negatywny rachunek rządu i pozytywny rachunek krytykantów.

*Nowąj Ekonomiceszkaja Politika prowadzona w radzieckiej Rosji według projektu Lenina w latach 1921-29; była powrotem do gospodarki rynkowej z zachowaniem monopolu własności państwowej w głównych dziedzinach przemysłu.

KLIMATY

Wałęsa w Gdańsku,
1 września 1988 roku



Zażądał przerwania strajku w zamian
za dość mglistą obietnicę rozmów

ROK 1989

Władza miała nas skorumpować, spowodować powstanie podziałów, skompromitować wszystkich biorących w niej udział. Po części było to rozumowanie racjonalne, choć zawierało jeden całkowicie nieracjonalny element – założenie, że partia komunistyczna to przeżyje.

Ale jednak było ryzyko, że przeżyje, że się wręcz umocni.

– Tak, i mieliśmy świadomość, że przystępując do rozmów, podejmujemy to wielkie ryzyko. Nie sądziliśmy przecież, że nastąpi tak błyskawiczne przejście władzy, chociaż uważaliśmy, że z czasem będzie ono nieuchronne. Za nieuchronny uważaliśmy bowiem rozpad komunizmu i partii komunistycznej. Uznawaliśmy też jednak, że ten proces nie może się dokonać bez współudziału samej partii. Jeżeli bowiem partia by w nim nie uczestniczyła, koszty społeczne byłyby nieprzewidywalne. Nie doceniliśmy natomiast tempa procesu, który uruchamialiśmy, przystępując do rozmów. Oczekiwaliśmy, że będziemy mieli czas na zorganizowanie życia politycznego, że przez jakiś okres będziemy mogli działać jako legalna opozycja, że w tym czasie uformujemy struktury, przygotujemy kadry.

Co więcej, nieśliśmy także ideę paktu antykryzysowego. Znaczyło to, że pozostając w opozycji, chcieliśmy zarazem zadeklarować gotowość współfirmowania polityki gospodarczej, pod warunkiem że będziemy mieli wpływ na jej kształtowanie. To wszystko okazało się nieaktualne wobec tempa, jakie wydarzeniom nadała wyborcza klęska komunistów. Nie przewidzieliśmy też tego niezwykle ważnego elementu polskiej sceny politycznej, jakim było uformowanie się antagonistycznych ugrupowań wewnątrz „Solidarności” i jej polityczna dekompozycja rozpoczęta już parę miesięcy po wyborach roku 1989. Pomyliliśmy się więc co do tempa rozpadu komunizmu i przeceniliśmy spoistość „Solidarności”. Nasze generalne założenia z końca 1988 roku znalazły jednak potwierdzenie.

Wracam do okresu stanowiącego niejako preludeum „polskiej drogi”. Powstanie rządu Rakowskiego w połowie października oznaczało radykalne zahamowanie procesu mającego doprowadzić do legalizacji „Solidarności”. Pierwszym jego poważnym posunięciem była decyzja o rozwiązaniu Stoczni Gdańskiej. Być może stanowiła ona,

KLIMATY

przynajmniej w jakimś stopniu, element nowej polityki gospodarczej – odwracania się Polski od przemysłu ciężkiego. Nie ulega jednak wątpliwości, że przede wszystkim była to decyzja polityczna: cios w kolebkę „Solidarności” i matecznik Lecha Wałęsy. Jak środowiska kształtujące politykę „Solidarności” odebrały ten zwrot? Co Pan o tym sądził? Czy nie wydawało się Panu, że jest to koniec pewnego etapu, pewnych nadziei, pewnego mirażu porozumienia z komuną? Było to w końcu oczywiste „nie” dla „Solidarności”, a zarazem równie jednoznaczne „nie” dla idei Okrągłego Stołu.

– Po objęciu rządu przez Rakowskiego rozmowy nie zostały zerwane, ale znalazły się na jałowym biegu. Po oświadczeniu Kiszczaka będącym efektem pierwszej pięciogodzinnej rozmowy profesora Stelmachowskiego z Czyrkiem, po spotkaniu Wałęsy z Kiszczakiem i po pierwszej Magdalence, która odbyła się 16 września, idea Okrągłego Stołu stała się sprawą publiczną. Pisała o niej prasa legalna i nielegalna, na jej temat wypowiadał się Urban. Wydawało się, że te rozmowy mają charakter konstruktywny i że władzy rzeczywiście zależy na kompromisie, a przynajmniej na podjęciu formalnych rozmów z opozycją. Stelmachowski bywał w KC często po parę razy w tygodniu. Często te rozmowy odbywały się podczas posiedzeń Biura Politycznego. Czyrek wychodził z sali obrad, rozmawiali, dokonywali ustaleń i wracał na posiedzenie, żeby uzyskać akceptację Biura. Sprawa się toczyła.

Rozmowy prowadził Stelmachowski z Czyrkiem?

– W zasadzie tak. Raz czy dwa naszą stronę reprezentował Wielowieyski. Czasem z Czyrkiem przychodził Stanisław Ciosek.

Na ile konkretna była już wówczas wizja Okrągłego Stołu?

– Dość konkretna. Omawiano sprawy techniczno-organizacyjne, choć pozostawały też pewne kwestie sporne. Nie mogliśmy na przykład zrezygnować z postulatu powołania zespołu prawa i sprawiedliwości. Negocjacje się jednak stale posuwały. Ostre opory tamtej strony pojawiły się właściwie dopiero przy sprawach personalnych.

Konflikt dotyczył dwóch najgłośniejszych nazwisk dysydenckich – Jacka Kuronia i Adama Michnika.

ROK 1989

Gdańsk, 1 września 1988 roku, wyjście ze Stoczni po zakończeniu strajku. Na czele ksiądz Henryk Jankowski



ERAZM CIOLEK

Wydawało się, że sierpniowy strajk
Stoczni może być strajkiem
detonatorem. Ale nim nie był

KLIMATY

– Nie tylko. Na początku lista była znacznie dłuższa. Także akceptacja Mazowieckiego i mnie była dla władzy problemem. Nasze kandydatury były kontrowersyjne nawet w niektórych środowiskach politycznie opozycyjnych, ale bez względu na okoliczności nastawionych na dialog z władzą. Jeszcze pod koniec lat osiemdziesiątych uczestnicy jednego z takich ważnych środowisk odrzucili w głosowaniu propozycję zaproszenia nas do udziału w swoim seminarium politycznym, w którym brali udział także ludzie będący niejako uchem władzy. Obawiano się, że nasz udział może drugą stronę zrazić, że stanowić może zagrożenie dla tej inicjatywy dającej szansę prowadzenia pośredniego dialogu.

Czy takich punktów przenikania sfer władzy i opozycji było wówczas wiele?

– Nie sądzę. Ja ich w każdym razie nie znałem. Jedynym łącznikiem z władzą pozostawał przez lata Sekretariat Episkopatu. Episkopat miał stałe robocze kontakty z najwyższymi funkcjonariuszami partii i niewątpliwie był zawsze bardzo dobrze poinformowany co do intencji władzy. To seminarium miało natomiast charakter bardziej intelektualny. Uchem władzy był w nim przede wszystkim Jan Szczepański. Z drugiej strony brali w nim udział ludzie, tacy jak: Ryszard Reiff, Stanisław Stomma, Edmund Osmańczyk, ale także Andrzej Wielowieyski, Jan Strzelecki, Bogdan Gotowski, Stefan Bratkowski. Pojawił się tam profesor Kołodziejcki*, były wojewoda gdański.

***Jan Szczepański** – znany socjolog, w latach 1977-82 członek Rady Państwa, 1982-84 – przewodniczący Rady Społeczno-Gospodarczej przy Sejmie PRL, do lipca 1989 roku członek Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa. **Ryszard Reiff** – żołnierz AK, wieloletni działacz koncesjonowanego katolickiego Stowarzyszenia PAX, jego przewodniczący od 1979 roku. Od 1981 roku członek Rady Państwa – nocą z 12 na 13 grudnia tego roku jako jedyny głosował przeciw wprowadzeniu stanu wojennego, utracił wszystkie funkcje. **Stanisław Stomma** – publicysta i wieloletni członek redakcji „Tygodnika Powszechnego” i „Znak”, wybitny działacz KIK. Poseł na Sejm PRL, w lutym 1976 roku jako jedyny nie poparł narzuconych przez władze zmian w konstytucji. **Jan Strzelecki** – socjolog, filozof, eseista. W wydarzeniach prowadzących bezpośrednio do Okrągłego Stołu już nie mógł uczestniczyć – zmarł 11 lipca 1988 roku, śmiertelnie pobity przez bandytów. **Bogdan Gotowski** – dziennikarz, m.in. „Życia Warszawy”, a potem tygodnika „Literatura”, skąd odszedł w 1975 roku na znak protestu przeciw odwołaniu Gustawa Gottesmana z funkcji zastępcy redaktora naczelnego. **Stefan Bratkowski** – znany dziennikarz, prezes rozwiązanej przez władze w stanie wojennym Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. **Jerzy Kołodziejcki** – jako wojewoda gdański w sierpniu 1980 roku uczestniczył w rozmowach w Stoczni Gdańskiej, w których wyniku powstała „Solidarność”.

ROK 1989

Był to więc układ otwarty, choć jego wpływ na władzę wydaje mi się zdecydowanie pośredni. Jeżeli jednak grono to w końcu zaakceptowało kandydaturę Tadeusza Mazowieckiego, a później także moją, to dlatego, że zdało sobie sprawę, iż bez nas nie może reprezentować stanu świadomości społecznej.

Zgoda władz na wasz udział w obradach Okrągłego Stołu miała chyba jednak inne podłoże.

– Tak, tu z pewnością zadecydowało twarde stanowisko Wałęsy, który na kompromisy personalne się nie godził. Władza stopniowo wycofywała swoje zastrzeżenia, aż w końcu zatrzymała się przy dwóch nazwiskach – Kuronia i Michnika. Tu już był mur. Dla aparatu partyjnego, a także dla aparatu bezpieczeństwa Kuroń i Michnik byli wtedy nie do przelknięcia.

Wracam do pytania o Pańskie ówczesne oczekiwania.

– Ja byłem dość, powiedziałbym, agresywny. Uważałem, że do poważnych rozmów nie można przystępować ze słabych pozycji, a spodziewałem się, że nasze akcje będą raczej rosły. Dlatego nie byłem wówczas zwolennikiem kompromisów. Władza chciała rozmawiać z nami z pozycji siły. Musieliśmy przeczekać ten układ, którego trwałość oceniałem na kilka miesięcy, i wiele się nie pomyliłem, bo sytuacja zmieniła się już w grudniu.

Czy 24 listopada 1988, kiedy rozmontowano ustawiony już w Jabłonnie okrągły stół, nie zachwiały się Pańskie nadzieje? Nie miał Pan wątpliwości co do tego, czy dla obecności Kuronia i Michnika warto było poświęcić całe negocjacje?

– Po pierwsze, problem Kuronia i Michnika traktowaliśmy jako element tego politycznego manewru, który zapowiadał Rakowski. Po drugie, w sprawach personalnych niezwykle twardy był sam Wałęsa. To była jego decyzja osobista – decyzja mądra i mająca ogromne znaczenie dla późniejszych rozmów. Władze uważały od lat, że złymi duchami „Solidarności” i Wałęsa są intelektualiści, doradcy, zwłaszcza Mazowiecki i ja. Tym razem przekonały się, że absolutną determinację wykazuje sam Wałęsa, który wyklucał rozmowy bez Michnika i Kuronia. Ja sugerowałem wtedy

KLIMATY

szukanie kompromisu, on go odrzucał. Jeszcze ważniejsze było jednak to, o czym już mówiłem, żeby rozmowy Okrągłego Stołu nie rozpoczynały się w klimacie naszych ustępstw i naszej słabości. Cała siła była przecież po drugiej stronie. My musieliśmy pokazać, że jesteśmy siłą alternatywną. Nasza nieustępliwość w tej sprawie niewątpliwie stanowiła demonstrację – zwłaszcza gdy parę miesięcy później rozmowy się jednak zaczęły i brali w nich udział zarówno Michnik, jak i Kuroń.

Tymczasem okrągły stół był rozmontowany i nic nie zdawało się zapowiadać jego ponownego złożenia.

– Wewnątrz „Solidarności” impas rozmów przyspieszył radykalizację, którą uważałem nie tylko za nieuniknioną, ale także za niezbędną. Jesienią 1988 roku mówiłem w Pen Clubie o niepodległości Polski jako o zadaniu narodowym, zadaniu na dziś. Byłem przekonany i mówiłem, że komunizm zmierza do zwania, a szansa paktu anty kryzysowego, czyli porozumienia władzy i społeczeństwa, znika. Jesienią 1988 roku ten trend był wyraźnie dominujący.

Jak układały się wówczas stosunki między Panem, Mazowieckim i Wałęsą? Blisko współpracowaliście przecież od ośmiu lat – z pewnymi wprawdzie przerwami, choćby po stanie wojennym, kiedy wszyscy siedzieliście, a później Mazowiecki był przez dłuższy czas za granicą. W okresie, kiedy pojawiła się perspektywa Okrągłego Stołu, znów jednak stanowiliście chyba najściślejsze grono decyzyjne.

– Od początku rozmów na temat Okrągłego Stołu blisko współpracowałem z Andrzejem Stelmachowskim. Później pełnomocnictwa Wałęsy do prowadzenia przygotowań uzyskał Tadeusz Mazowiecki. Stosunki między nami uległy wówczas pewnemu pogorszeniu. Współpracowaliśmy, ale inaczej ocenialiśmy sytuację i mieliśmy inną wizję pertraktacji.

Na czym te różnice polegały?

– Każdy z nas inaczej odbiera ten spór. Spotkaliśmy się później bez żadnego problemu... Przy Okrągłym Stole rozkład zadań był już jasny – Mazowiecki odpowiadał za rejestrację „Solidarności”,

ROK 1989

czyli to, co mieliśmy uzyskać, a mnie przypadł nadzór nad tą częścią rozmów, w której należało zapłacić cenę polityczną.

Jaka była w tym procesie rola Kościoła? Wspomnił Pan, że Episkopat stanowił główne źródło Pańskiej wiedzy na temat poglądów i planów władzy. Czy biskupi zachęcali was do prowadzenia dialogu albo do – jak się mówiło – realizmu, czy też ugodowości, na przykład w sprawie Michnika i Kuronia? Czy sądzi Pan, że Episkopat próbował może popychać władzę w stronę porozumienia, czy też był tylko pośrednikiem?

– Ja nie miałem wrażenia, żeby Kościół był pośrednikiem. Kościół był po naszej stronie. Widziałem zapisy rozmów przedstawicieli Kościoła z władzami. Sformułowania równie radykalne jak te, których sam używałem, pojawiały się wówczas w ustach przedstawicieli Kościoła. Biskupi zawsze jednak i nas, i władzę przestrzegali przed zerwaniem kontaktu. Rzeczywiste zerwania następowały przecież nie wtedy, gdy na przykład rozmontowywano okrągły stół, ale w trakcie spotkań i pertraktacji. Ja w tych rozmowach przygotowawczych nie uczestniczyłem, ale uczestniczyłem w przygotowywaniu instrukcji, które miały bardzo jednoznaczny charakter.

Na przykład?

– Na przykład zobowiązanie się drugiej strony do zalegalizowania „Solidarności”. Od początku mówiliśmy jasno, że to jest warunek konieczny. Bez jego spełnienia rozmowy nie były możliwe. Mówiliśmy też, że nic ze spuścizny „Solidarności” nie może być odrzucone. Powstał problem: legalizacja czy relegalizacja. Tu ustępowaliśmy w słowach, ale uważaliśmy, że nie może być wątpliwości co do tego, iż legalizuje się ten sam związek, który powstał w wyniku Porozumień Sierpniowych, został zdelegalizowany w wyniku stanu wojennego i przetrwał siedem lat w konspiracji. Władza musiała to jasno powiedzieć przed rozpoczęciem Okrągłego Stołu.

Legalizacja nie mogła więc być przedmiotem negocjacji, choć gotowi byliśmy rozmawiać o tym, jak ma się ona dokonać. Kiedy wokół takiego problemu dochodziło do kontrowersji, rola przed-

KLIMATY

stawiciele Kościoła, w tym także ordynariusza gdańskiego biskupa Tadeusza Gocłowskiego, okazywała się kluczowa. Byłem świadkiem takiej sytuacji niemal w przeddzień ostatecznego rozpoczęcia rozmów, ale na całej drodze od sierpnia 1988 do lutego 1989 było ich więcej.

Spektakularny przełom nastąpił 30 listopada wraz z telewizyjną debatą między Lechem Wałęsą a przewodniczącym reżimowych związków Alfredem Miodowiczem. Poprzedziły ją trwające wiele dni negocjacje, w trakcie których Wałęsa utrzymał tylko jeden swój postulat – emisję na żywo, a więc bez montażu. Czy Pan się tego spotkania, tej publicznej debaty „jeden na jednego” nie obawiał? Było to przecież kolejne zagranie va banque, w którym wiele można było zyskać, ale można też było wszystko stracić.

– Obawiałem się, ale nie miałem wątpliwości, że to ryzyko trzeba podjąć. Jedynym człowiekiem z naszego kręgu, który nie obawiał się o rezultat tego programu, był Adam Michnik. Wszyscy inni się bali, nie wyłączając Lecha Wałęsy. Mieliśmy świadomość, że od tej debaty zależy niemal wszystko. To był problem opinii publicznej. W polemikach mogliśmy mówić, że wszystkie sondaże, które oni robili, były bez znaczenia, ale wiedzieliśmy, jak ogromny wpływ na społeczny obraz Wałęsy miały oszczerstwa, którymi obrzucano go przez lata. Zdawaliśmy sobie sprawę, jak powszechna była nieufność i niechęć wobec Wałęsy i „Solidarności”. Polskie społeczeństwo chciało zmian, ale się ich bało. Bało się destabilizacji i jej kosztów. Teraz społeczny obraz Wałęsy, jego otoczenia, obraz „Solidarności” – to wszystko zależało od tej debaty i od Wałęsy, który przed kamerą miał być zupełnie osamotniony.

Czego się obawialiście?

– Tego, że w tej debacie z jednej strony wystąpi Miodowicz przygotowany przez swój ogromny aparat, wciągający Wałęsę w dyskusję o stanie państwa i gospodarki, o tym, co z gospodarką trzeba robić, o polityce gospodarczej, a z drugiej Wałęsa, którego przygotowanie merytoryczne siłą rzeczy musiało być dużo słabsze.

ROK 1989

Wiedzieliśmy, że Wałęsa jest doskonały, kiedy ma przed sobą publiczność, kiedy występuje przed tłumem. W kameralnych rozmowach bywało gorzej. Tu miał mówić do Miodowicza, reflektorów, jednej czy dwóch kamer i zaledwie paru niezbyt życzliwych osób z obsługi studia. Co gorsza, tego dnia czuł się źle i od rana musieliśmy go kurować. Kiedy wysiadł z samochodu przed Sekretariatem Episkopatu, nie dysponował głosem i praktycznie nie mógł wydobyć z siebie słowa. Przez cały dzień pracowaliśmy więc nad nim, równocześnie próbując podeprzeć go merytorycznie i podreperować jego gardło. Andrzej Wajda opowiadał o nieubлагanej specyfice telewizji, o możliwych manipulacjach obrazem, o tym, jak je utrudniać. Mówił Wałęsie, jak ma siedzieć, gdzie patrzeć, gdy będzie mówił, i gdzie, gdy będzie słuchał, jakie zachowania czy gesty ludzi drażnią, a jakie pomagają zdobyć sympatię. Ekonomiści, socjologowie, politycy, prawnicy streszczali sytuację kraju i program możliwych do wykonania posunięć będący efektem naszych prac w Komitecie Obywatelskim. Najważniejsza była jednak z pewnością rola sióstr zakonnych parzących i donoszących ziółka, dzięki którym Lech Wałęsa odzyskał głos, a zarazem szansę odniesienia błyskotliwego sukcesu.

Kiedy po debacie wrócił do nas, oczekujących w siedzibie Sekretariatu Episkopatu, wiedzieliśmy już, że stało się coś bardzo ważnego. Ta postać zniesławiana, szkalowana, wyszydzana okazała się osobą spokojną, zrównoważoną, kompetentną.

A przy tym umiejącą przemówić do ludzkiej wyobraźni choćby przez ową słynną metaforę z rowerem i samochodem.

– Tak „Zachód jedzie samochodem, a my na rowerze” – to oddawało prawdę i odczucia społeczne, a przy tym jakże daleko odbiegało od partyjnej retoryki Miodowicza. Naprzeciw Wałęsy ludzie zobaczyli przedstawiciela aparatu władzy – sprawnego w słowie i gadatliwego, ale niemającego nic do powiedzenia – który przez cały program nie powiedział ani nie zrobił nic takiego, żeby można się było z nim utożsamić.

W kółko powtarzał: „jeden związek w jednym zakładzie” i straszyl anarchią.

KLIMATY

– Tak, wynik był oczywisty, nawet dla aparatu władzy. Wałęsa przyjechał jednak przekonany, że mu się nie udało. Razem z grupą dziennikarzy czekaliśmy na niego przed wejściem. Wsiadając z samochodu, powiedział: „Nie wyszło, ale to nic, wyjdzie następnym razem”. Zawahał się dopiero, kiedy krzyknąłem: „Ależ wspaniale, wyszło wspaniale, a będzie jeszcze lepiej”. Weszliśmy do środka i od razu zadzwoniliśmy do Gdańska, żeby dowiedzieć się, co myśli pani Danuta Wałęsowa. Była zadowolona. To Lecha uspokoiło, ale naprawdę przekonał się dopiero, kiedy obejrzeliśmy nagranie.

Ta debata miała dramatyczne znaczenie dla postawy opinii publicznej. Dopiero wtedy nastąpił prawdziwy przełom w stanowisku społeczeństwa wobec kwestii legalizacji „Solidarności”. Całe wieloletnie straszenie ekstremizmem i anarchią diabli wzięli. Bo czemuż nie zarejestrować związku, którego przywódca mówi tak przekonywająco, spokojnie, z takim poczuciem odpowiedzialności.

Niech mi Pan spróbuje wytłumaczyć, dlaczego władze na to poszły? Dlaczego zgodziły się, ba, dlaczego zaproponowały tę debatę? Mam sondaż opinii przeprowadzony przez CBOS na przełomie 1987 i 1988 roku. Później nic już się specjalnie nie zmieniło. W każdym razie nie zmieniło się na korzyść „Solidarności”, bo nieudane strajki majowe i sierpniowe raczej jeszcze bardziej nadszarpaneły jej pozycję. Otóż z tego sondażu wynika, że rozkład społecznego zaufania był następujący: Kościół – 78 procent, wojsko – 75, Sejm – 70, Rada Państwa – 64, MSW – 53, PZPR – 44, ZSL – 46, związki zawodowe – 47, SD – 40... opozycja – 16. Nawet zakładając, że oni te wyniki naciągali, musiały one jednak jakoś oddawać autentyczne tendencje. Jaki interes mógł więc mieć Miodowicz w tym, żeby podejmować ryzyko takiej – najbardziej jak to tylko możliwe – publicznej debaty i dawać Wałęsie tę niezwykle szansę?

– Wiedzieliśmy, że w kierownictwie partii ta sprawa do ostatniej chwili była przedmiotem kontrowersji. Na posiedzeniu Biura Politycznego opinie za i przeciw były rozłożone równomiernie. Przeważył głos Miodowicza, który powiedział: „Bądźcie poważni, ja

ROK 1989

z niego zrobię marmoladę”. Zmasowana propaganda działała także na tych, którzy się nią posługiwali. Przez lata mówili, że Wałęsa nie jest żadną szczególną osobowością, że robią go eksperci, że on sam jest tylko pustym symbolem, aż w końcu w to uwierzyli. A poza tym, wierzyli w presję osamotnienia i w drobne manipulacje kamerą. Dlatego kiedy powiedziano nam, że z Wałęsą może przyjechać tylko kierowca oraz sekretarz, my chcieliśmy, żeby kierowcą był Wajda, a sekretarzem ja. Na to oni nie poszli. Wiedzieli, że obecność Wajdy utrudni manipulację, a moja – rozbije poczucie osamotnienia, zmniejszy psychiczną presję telewizyjnej maszyny.

Przede wszystkim jednak chcieli w tej debacie obnażyć Wałęsę jako człowieka myślącego nieracjonalnie, niepoważnego. Zapłacili za swoją pychę i uleganie własnej propagandzie. Uważali przecież, że polską racją stanu jest w gruncie rzeczy zniszczenie legendy „Solidarności”. Miał ją zniszczyć jej przywódca, jej symbol – Lech Wałęsa.

Nie bez znaczenia były też z pewnością naciski Zachodu na dokonanie pewnej liberalizacji i podjęcie dialogu z opozycją. Deбата, w której Miodowicz miał zrobić z Wałęsy marmoladę, służyła również temu, żeby dać Zachodowi dowód otwartości polskiej ekipy i zarazem wykazać słabość opozycji, jej irracjonalność, bezradność wobec problemów gospodarczych. Cały czas w rozmowach z Zachodem powtarzano przecież tezę, że dopuszczenie opozycji byłoby szkodliwe dla gospodarki. Ratowanie gospodarki przedstawiano zaś jako najważniejszy cel władz, w którego osiągnięciu Zachód powinien pomóc. Na szczęście Zachód nie dał się na to nabrać, bo mielibyśmy pewnie dodatkowych kilka miliardów długu i parę lat czy kilkanaście miesięcy komunizmu. W każdym razie był to niewątpliwie punkt zwrotny. Począwszy od tej debaty sprawa zdecydowanie ruszyła do przodu.

Wkrótce po niej, 10 grudnia, doszło do pierwszej od lat zagranicznej podróży Wałęsy, której celem był Paryż. Wydaje mi się, że do tej pory nie udało mu się powtórzyć sukcesu, który wówczas odniósł, choć przecież także podróż amerykańska miała elementy niezwykle spektakularne. Pan towarzyszył Wałęsie w tej podróży, więc nie mógł Pan widzieć metamorfozy, która zaszła wówczas w sposobie odnoszenia

KLIMATY

się do niego oficjalnych mediów, a zwłaszcza telewizji. Z prywatnego obywatela stał się nagle Lechem Wałęsą, polskim mężem stanu podejmowanym przez innych mężów stanu. W polskich mediach to był właśnie zasadniczy punkt zwrotny. Także jednak w odbiorze Zachodu ze szlachetnego trybuna Wałęsa stawał się w tych dniach poważnym politykiem.

– Miałem wtedy poczucie dumy. Był to moment, w którym nie tylko „Solidarność”, ale również Polska odzyskiwała to, co jej się należy w Europie i w świecie. Myślałem, że nie żał mi niczego, co musiałem poświęcić, żeby doczekać widoku Lecha Wałęsy, którego francuska Gwardia Honorowa wita jak głowę państwa; który rozmawia ze wszystkimi najwybitniejszymi politykami Francji i z czołowymi przedstawicielami polityki światowej. Nie zapomnę zwłaszcza rozmowy z Sacharowem i owego bardzo szczególnego momentu, kiedy na kończącej tę podróż konferencji prasowej Lew Timofiejew mówił, że „nie byłoby Gorbaczowa i nie byłoby Sacharowa* w Paryżu, gdyby nie polska »Solidarność«”. A proszę pamiętać, że wtedy nic jeszcze nie było wiadomo! Nie wiedzieliśmy, co się naprawdę zdarzy w Polsce, a już tym bardziej, jak potoczą się sprawy we wschodniej Europie.

Dla mnie był to moment zupełnie przełomowy w tym sensie, że pierwszy raz tak dobitnie i jednoznacznie uświadomiłem sobie i pierwszy raz rzeczywiście uwierzyłem w tę naszą szczególną pozycję polegającą na otwarciu i wyznaczeniu drogi prowadzącej od komunizmu do europeizacji Europy Wschodniej. Pan zaczął naszą rozmowę od sierpnia 1988, ale dla mnie rok 1989 zaczął się właśnie wtedy, w Paryżu, w połowie grudnia 1988. „Nie byłoby pierestrojki, nie byłoby Gorbaczowa, gdyby nie polska »Solidarność«”. Następne miesiące miały dramatycznie rozszerzyć listę tych faktów, których by nie było.

***Lew Timofiejew** – dysydent rosyjski, pisarz, publicysta, wówczas na emigracji. **Michail Gorbaczow** – sekretarz generalny Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego od marca 1984 roku; zainicjował proces liberalizacji systemu, którego głównymi hasłami były pierestrojka (przebudowa) i głasność (jawność). **Andriej Sacharow** – fizyk rosyjski, dysydent, laureat Pokojowej Nagrody Nobla w 1975 roku. W 1980 roku zesłany do miasta Gorki, w 1986, już za rządów Gorbaczowa, wrócił do Moskwy.

ROK 1989

Mówi Pan: miesiące, a tymczasem zaczynał się okres, w którym historię odmierzają nie lata czy miesiące, ale dni. Wasz powrót do Warszawy następował przecież na 10 dni przed historyczną – jak mówił Rakowski – a w każdym razie przełomową pierwszą częścią X Plenum KC. Sekwencja polityczna od debaty z Miodowiczem była już niezwykle skondensowana.

– No właśnie, a propos tej skondensowanej sekwencji. W czasie pobytu w Paryżu telewizja francuska przeprowadzała ze mną rozmowę na żywo. W trakcie tej rozmowy przeczytano mi fragment wywiadu z Mieczysławem Rakowskim, mającego ukazać się w najbliższym numerze tygodnika „Der Spiegel”. „Jak to jest – zapytał mnie dziennikarz – że pan mówi nam o nieuchronności powrotu »Solidarności« na scenę publiczną, a tu polski premier stwierdza, że »Solidarność« jako związek zawodowy nigdy nie będzie zalegalizowana, że należy ona do przeszłości, natomiast dopuszcza natychmiastową rejestrację »Solidarności« jako partii politycznej?”. Odpowiedziałem wówczas, że oczekuję, iż ten przywódca zmieni zdanie.

*Jak słynne „fryzury Mieczysława Rakowskiego”**.

– Tak, też przyszły mi wówczas do głowy „fryzury”, ale sprawa niewątpliwie miała poważny wymiar. Kiedy mówiłem, że oczekuję zmiany stanowiska Rakowskiego, wiedziałem, że od tej mojej odpowiedzi w dużym stopniu zależy stosunek Zachodu do „Solidarności” i w ogóle do tego, co działo się w Polsce. Jednocześnie uświadomiłem sobie jednak bardzo mocno to, z czego od dawna w jakimś stopniu zdawaliśmy sobie sprawę – że nie może być układu między „Solidarnością” a rządem Rakowskiego, że z nim się nie porozumiemy.

Jego stanowisko zmieniło się jednak dużo szybciej, niż można było przypuszczać, bo jeszcze w czasie naszej paryskiej podróży.

*Nawiązanie do pamfletu Leopolda Tyrmanda pod tym tytułem, opublikowanego w paryskiej „Kulturze” w 1967 roku. W ujęciu Tyrmanda kolejne fryzury Rakowskiego były zgodne z kolejnymi etapami utwierdzania systemu – ich historia to „historia zwycięskiego i rządzącego komunizmu w Polsce”.

KLIMATY

Dlaczego?

– Sądę, że był to efekt nowej oceny sytuacji w kraju dokonanej po debacie z Miodowiczem, a także ujawnienia międzynarodowej pozycji Wałęsy, wzmocnionej podczas wizyty paryskiej. Wykazała ona, jak poważnie Zachód traktuje „Solidarność” i jej przewodniczącego. Rozwiały się nadzieje władzy, że zaplanowana przez Rakowskiego liberalizacja będzie mogła zastąpić wysuwany przez Zachód postulat legalizacji „Solidarność” jako warunek podjęcia poważnych rozmów o pomocy gospodarczej.

Który z tych czynników odegrał większą rolę?

– Bez wątpienia jednak debata i jej wewnątrzpolityczne skutki. Po debacie nie mogło już być żadnych wątpliwości co do tego, że kluczem do sytuacji jest porozumienie z Wałęsą. Skoro zaś miał być najpoważniejszym interlokutorem, wobec katastrofy, w jakiej znajdowała się Polska, trzeba było wykorzystać dla kraju jego międzynarodowy kapitał i robić przy tym dobrą minę.

Sądzi Pan, że po tamtej stronie wszystko było już wtedy zdecydowane?

– Wtedy się naprawdę decydowało.

A później chodziło już tylko o znalezienie realizacyjnej formuły dla tych decyzji?

– W zasadzie tak, choć to też nie było łatwe i mieliśmy jeszcze przed sobą wiele kryzysów, które mogły wszystko pogrzebać. Role były już jednak rozdane.

Czy wasze decyzje z 18 grudnia – rozszerzenie „Sześćdziesiątki” o kolejne 60 osób i powołanie Komitetu Obywatelskiego przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność” – były efektem tego rozpisania ról?

– Rozszerzenie „Sześćdziesiątki” wynikało z potrzeb związanych z przygotowaniem do Okrągłego Stołu i powołaniem komisji, które miały przygotować nasze stanowisko negocjacyjne. W „Sześćdziesiątce” byli głównie przedstawiciele środowisk twórczych. Żeby utworzyć merytoryczne komisje, musieliśmy dokooptować znawców różnych dziedzin życia. Muszę powiedzieć, że prawie nikt nie odmówił udziału w naszych pracach, a przecież ci, którzy się zgadzali, nie przychodzili do Komitetu po przywileje,

ROK 1989

lecz podejmowali ryzyko. Może było ono już mniejsze niż wówczas, gdy „Sześćdziesiątka” się formowała, ale jednak nadal istniało.

Po grudniowej pierwszej części X Plenum, której efektem było odejście szczególnie zasłużonych twardogłowych w rodzaju generała Baryły oraz awans liberalów w rodzaju Janusza Reykowskiego, 16 stycznia odbyła się druga część. Przyniosła ona nareszcie jasne deklaracje partii akceptujące wejście na drogę politycznego i związkowego pluralizmu. Powiedział Pan, że po debacie z Miodowiczem sprawy się decydowały; czy teraz właśnie zdecydowały się ostatecznie?*

– W każdym razie po stronie władzy był to przełom ostateczny – przynajmniej z punktu widzenia ekipy, która stała wtedy na czele partii. Od czterech miesięcy szliśmy już w stronę Okrągłego Stołu, ale zbliżaliśmy się do niego i potem odchodziliśmy, bo partia wciąż nie była w stanie do końca strawić naszego podstawowego postulatu. Teraz sprawa wyglądała już na załatwioną i pozostała kwestia ceny, którą przyjdzie nam zapłacić.

Czy władza posiadała już wtedy wizję tej reformy państwa, która miała się przy Okrągłym Stole wyłonić, czy raczej przyciśnięta przez okoliczności zdobyła się po prostu na dramatyczne ustępstwo wobec opozycji – podobnie jak to miało miejsce w roku 1980?

– Dla PZPR była to przede wszystkim decyzja w kluczowej kwestii, będącej przedmiotem kontrowersji wewnątrz partii, ustępstwo w sprawie legalizacji otwierało drogę przemian, którymi partia chciała sterować i które miały ją wzmocnić. Ten proces zapowiadał w swoim memoriale Rakowski i był on opisany w projekcie uchwały odrzuconej przez X Plenum. Dla nas, zgodnie z programem, który przyjęliśmy 11 września na posiedzeniu „Sześćdziesiątki” w Gdańsku, obok legalizacji „Solidarności”, zmiany w mechanizmie funkcjonowania państwa były drugim narodowym imperatywem. Drugim, bo legalne istnienie „Solidarności”

***General Józef Baryła** był w latach osiemdziesiątych m.in. wiceministrem obrony narodowej i sekretarzem KC; w grudniu 1988 roku został ambasadorem w Syrii i Jordanii. **Janusz Reykowski** – psycholog, profesor UW, od grudnia 1988 roku członek Biura Politycznego Komitetu Centralnego, do którego wszedł w trakcie X Plenum KC.

KLIMATY

uważaliśmy za konieczny sprawdzian i gwarancję autentyczności wszelkich przemian. Za niezbędne uznaliśmy też jednak stworzenie autentycznego samorządu terytorialnego, którego istnienie zdemokratyzowałoby państwo. Uważaliśmy, że skoro musimy pogodzić się z dominacją komunistów w rządzie, władze lokalne powinny być domeną demokratycznie wybranego samorządu. Trzecim elementem naszego programu była zmiana mechanizmów funkcjonowania gospodarki. Uważaliśmy, że ruina, w jaką popadł kraj, wymaga posunięć radykalnych, usensowniających cały system gospodarczy. Stąd wzięły się później trzy zespoły, w których toczyły się obrady Okrągłego Stołu: związkowy, polityczny i gospodarczy.

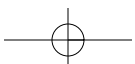
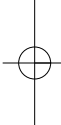
Uważaliście, że możliwe będzie utrzymanie tego systemu opartego na dominacji komunistów w państwie przy jednoczesnym montowaniu elementów demokracji (choćby lokalnej) i pluralizmu (choćby tylko związkowego)? Przecież w 1981 roku pojawienie się tego wolnego politycznie elektronu, jakim była „Solidarność” w sztywnym systemie totalitarnego komunizmu, doprowadziło do generalnej deregulacji i w rezultacie do stanu wojennego.

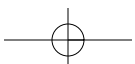
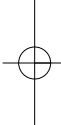
– Zakładaliśmy, że obie strony czegoś się nauczyły i że istnieje pole porozumienia obejmujące między innymi walkę z rozpadem gospodarczym. Uznawaliśmy, że dramatyczna sytuacja kraju stanowi element stymulujący obie strony do pewnych wyrzeczeń i kompromisów. Oznaczało to próbę skonstruowania jakiegoś możliwie funkcjonalnego układu w ramach istniejących możliwości politycznych. Uważaliśmy, że zwłaszcza zespół związkowy powinien podjąć debatę nie tyle nad środkami usuwania konfliktów, ile nad konstrukcją mechanizmów ich wczesnego wykrywania i rozstrzygnięcia. Zakładaliśmy, że wobec istnienia dwóch lub więcej związków zawodowych w zakładach pracy konflikty będą nie do uniknięcia, i chcieliśmy szukać jeżeli nie porozumienia, to przynajmniej kompromisu co do sposobów ich rozwiązywania. Chcieliśmy wypracować taki kompromis, który by się mieścił w granicach możliwości władzy i zarazem mógł satysfakcjonować społeczeństwo.

ROK 1989

Wierzył Pan, że „Solidarność”, która nie była wówczas zbyt wielką potęgą, czego dowiodły choćby strajki 1988 roku, zdoła przekonać społeczeństwo do tego kompromisu? Uważał Pan, że wystarczy jej siła, autorytetu i wiarygodności?

– Tak i nie. „Solidarność” nie była może potęgą organizacyjną, ale miała jednak ogromny kapitał moralny, a legalizacja pozwalała go zinstytucjonalizować. Mieliliśmy świadomość, że za ten kompromis będziemy musieli zapłacić, ale też uważaliśmy, że mamy z czego. Nie wierzyliśmy natomiast, że ma z czego płacić władza. Nie rozmawialiśmy z partnerem wiarygodnym. Powstawało więc pytanie, kto może zagwarantować, że tym razem oni swoich przyrzeczeń dotrzymają. Odpowiedź brzmiała: „nikt”. Podobnie zresztą i my nie byliśmy w stanie zagwarantować, że zawsze będziemy dążyli do rozwiązywania konfliktów, a nie do ich tworzenia. Musieliśmy sobie wierzyć na słowo. Ale też dla obu stron było to jedyne wyjście otwierające szansę wybrnięcia z patowej sytuacji, która nas wszystkich drogo kosztowała. Upadek gospodarczy był już przecież widoczny gołym okiem. Nie mieliśmy wyjścia innego niż podjęcie tego ryzyka.





MAGDALENKA



ANDRZEJ MACHINOWSKI

Sześć dni po ostatecznym zakończeniu X Plenum Krajowa Komisja Wykonawcza „Solidarności” uznała decyzję partii za „zasadniczy krok” w stronę porozumienia. Pięć dni później, 27 stycznia, doszło do pierwszego z Pańskim udziałem spotkania w Magdalence pod Warszawą. Ze strony „Solidarności” poza Wałęsą wzięli w nim udział: Zbigniew Bujak, Władysław Frasyniuk, Mieczysław Gil, Lech Kaczyński, Tadeusz Mazowiecki, Andrzej Stelmachowski, no i Pan. Władę, obok ministra Kiszczaka, reprezentowali: Stanisław Ciosek, Andrzej Gdula, Jan Janowski, Bogdan Królewski, Janusz Reykowski. Kościół wysłał dwóch obserwatorów w osobach biskupa Tadeusza Gocłowskiego i księdza Alojzego Orszulika*. To właśnie na tym spotkaniu zapadła decyzja, że obrady Okrągłego Stołu mają się rozpocząć 6 lutego i że po oficjalnym otwarciu toczyć się będą w trzech zespołach – związkowym, gospodarczym i politycznym. Machina ruszyła. Było jednak wtedy wiele głosów mówiących, że pośpiech nie jest wskazany, że zamiast szukać kompromisu z władzą, należy jeszcze trochę poczekać, aż osłabnie ona na tyle, żeby nie trzeba było płacić

***Zbigniew Bujak** – przywódca „Solidarności” Regionu Mazowsze. **Władysław Frasyniuk** – Regionu Dolny Śląsk. **Mieczysław Gil** – działacz „S” w Nowej Hucie. **Lech Kaczyński** – działacz i doradca „S” w Gdańsku, dziś prezydent RP. **Andrzej Gdula** – kierownik wydziału społeczno-prawnego KC PZPR, wcześniej podsekretarz stanu w MSW. **Jan Janowski** – profesor AGH, członek władz satelickiego wobec PZPR Stronnictwa Demokratycznego, SD. **Bogdan Królewski** – członek władz satelickiego Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, ZSL. **Ksiądz Alojzy Orszulik** – wówczas kierownik Biura Prasowego Episkopatu, późniejszy biskup łowicki.

politycznej ceny za legalizację „Solidarności”. Wiele środowisk wyrażało opinię, że podjęcie przez „Solidarność” rozmów z władzą tylko przedłuży agonię systemu, odsuwając lub osłabiając zbliżający się społeczny czy narodowy wybuch. Czy nie miał Pan poczucia, że jest w tych rozmowach coś niedobrego?

– Mieliśmy wizję narodowego dramatu. Widzieliśmy, że dekompozycja gospodarki postępuje błyskawicznie, więc jeśli nie zdołamy szybko zawrzeć jakiegoś układu, paktu, porozumienia, możemy obudzić się na gruzach Polski. Gdybyśmy traktowali Polskę jak folwark, oczywiście lepiej by było poczekać, aż zarządca ostatecznie wykaże swoją nieudolność, doprowadzi do totalnej ruiny, i wtedy przejąć od razu całą władzę. Nie chodziło jednak o folwark, tylko o nasz kraj. We mnie nie było wahania co do tego, czy rozmawiać, chociaż zdawałem sobie sprawę z ryzyka.

Po raz pierwszy od wprowadzenia stanu wojennego brał Pan udział w rozmowach z władzami, z ludźmi, którzy podejmowali decyzje o uwięzieniu i oskarżaniu Pana i Pańskich przyjaciół, którzy sprowadzili na Polskę kolejne pasmo nieszczęść otwarte 13 grudnia 1981 roku. Czy nie odczuwał Pan moralnego dyskomfortu?

– Tak, oczywiście, miałem takie poczucie, bo rzeczywiście po raz pierwszy od ośmiu lat spotykałem się z ludźmi władzy w sytuacji innej niż przesłuchanie, areszt, obóz internowania. To poczucie blokowało mnie, ale z czasem można się było do nowej sytuacji przyzwyczaić. Element psychologicznie sprzyjający stanowiła nagle objawiona słabość naszych partnerów. Na to spotkanie nie przyjechał bowiem Alfred Miodowicz, który został zaproszony i nawet jego nazwisko wymieniono w komunikacie zapowiadającym rozmowy. Nieobecność Miodowicza potwierdziła nasze informacje o rozgrywkach toczących się w aparacie partyjnym i uświadomiła nam, że nasi rozmówcy nie są ludźmi trzymającymi wszystkie nici władzy. To w pewnym sensie ułatwiało naszą sytuację.

A w pewnym ją utrudniało.

– Też, bo mogło się okazać, że ryzyko polityczne, które podejmowaliśmy, i dyskomfort moralny, jaki musieliśmy ponieść, są bezcelowe, gdyż nie rozmawiamy z ludźmi władnymi podejmować

MAGDALENKA

decyzje. Zarazem jednak potwierdzało to nasze przekonanie, że cała gra toczy się w sytuacji niezwykle dramatycznej.

Ale wobec tego nie mogliście też zanadto dociskać waszych rozmówców, bo układ sił w obozie władzy ograniczał ich pole manewru.

– Podobnie jak sytuacja społeczna oraz rozkład opinii w opozycji i w „Solidarności” ograniczały nasze pole. Zanim pojechaliśmy do Magdaleny, odbyliśmy wiele długich narad i przygotowawczych spotkań, w czasie których wyraźnie określiliśmy barierę dla nas nieprzekraczalną.

Jak te przygotowania wyglądały?

– Pracowało sto kilkadziesiąt osób. Wkrótce po strajku sierpniowym 1988 roku, zanim jeszcze powstał Komitet Obywatelski, zaczęliśmy tworzyć komisje, które przygotowywały dokumenty mające służyć na nasz obraz koniecznych i możliwych zmian oraz uformować nasze stanowisko negocjacyjne. Ponieważ sytuacja polityczna nie była jasna i Służba Bezpieczeństwa w dalszym ciągu intensywnie się nami zajmowała, spotkania zespołów odbywały się w prywatnych mieszkaniach z zachowaniem zasad konspiracji.

Początkowo w tych spotkaniach uczestniczyli przede wszystkim ludzie, którzy wydawali się kandydatami do zespołów negocjacyjnych. Z czasem jednak rozszerzało się grono naszych ekspertów i współpracowników. Wielokrotnie więc zbierało się po kilkadziesiąt osób reprezentujących bardzo różne stanowiska.

Nieco później, 18 grudnia, grupę, która spotykała się „na zaproszenie Lecha Wałęsy” – ową „Sześćdziesiątkę”, a potem dziewięćdziesiątkę – przekształciliśmy w Komitet Obywatelski przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność”. Wtedy już oficjalnie, choć przecież nieformalnie, utworzyliśmy w Komitecie 15 komisji merytorycznych odpowiadających problemom, które – jak nam się wydawało – powinny być przedmiotem obrad przy Okrągłym Stole. Zaprosiliśmy też do Komitetu następnych czterdzieści kilka osób reprezentujących nie tylko różne dziedziny życia, ale także różnorodne postawy polityczne mieszczące się w etosie „Solidarności”.

Pamiętam spotkanie zespołu reform politycznych z udziałem dużej grupy ekspertów, na którym wiele osób mówiło, że nasze

ROK 1989

wysiłki są absolutnie próżne. Stefan Kisielewski z wielkim naciskiem pytał wówczas, czy można im uwierzyć, że po dobroci dadzą czterdzieści procent miejsc w Sejmie? Odpowiadał: „Nigdy nie dadzą! Będą tylko mówili, że dadzą”.

Kursowało takie powiedzenie pochodzące chyba z lat siedemdziesiątych czy może jeszcze starsze: „Jak partia mówi, że nie da, to nie da, a jak mówi, że da, to mówi”. Takie było historyczne doświadczenie politycznych rozmów z komunistami. I było jeszcze drugie podobne: „Co nasze, to nasze, a co wasze, to możemy pertraktować”. Komuniści nigdy niczego nie oddawali, a już zwłaszcza nie oddawali po dobroci, i z reguły nie dotrzymywali słowa. Ich tradycja była taka, żeby rozmowy, pertraktacje prowadziły nie tyle do znalezienia kompromisu, ile do wyprowadzenia przeciwnika albo partnera w pole.

– Zamierzonej nieuczciwości oczywiście nie mogliśmy odrzucić, ale też nie mieliśmy wyjścia lepszego niż podjęcie tych rozmów. Po prostu z oczywistej nieufności nie wynikała żadna dyrektywa bardziej praktyczna od tej, że musimy bardzo dobrze wiedzieć, co w tych rozmowach chcemy uzyskać i na co zgodzić się nie możemy. Na naszych spotkaniach określaliśmy więc nieprzekraczalne granice ustępstw w każdej ze spraw. Musiały one mieć charakter konspiracyjny także dlatego, że wyznaczaliśmy na nich taktykę negocjacyjną, którą musieliśmy utrzymać w tajemnicy.

I wszystkie te ustalenia zapadały w tak licznym gremium?

– Nie wszystkie. Decyzje doraźne dotyczące taktyki konkretnych spotkań zapadały na ogół w nieznacznie poszerzonym gronie naszych negocjatorów.

Poszerzonym o kogo?

– Przede wszystkim o Jacka Kuronia, Andrzeja Wielowieyskiego, Adama Michnika. Te spotkania odbywały się w siedzibie Sekretariatu Episkopatu. Po zakończeniu rozmów, w tym samym miejscu i gronie, przeprowadzaliśmy ich analizę.

Jaka była rola Wałęsy w tych pracach?

– Dostawał przygotowane dokumenty formułujące nasze stanowisko, wysłuchiwał opinii doradców i niezbyt często z nimi polemizował. Natomiast nie było wątpliwości co do tego, że w czasie

MAGDALENKA

Posiedzenie Komitetu Obywatelskiego przy Przewodniczącym
NSZZ „Solidarność”; kościół Miłosierdzia Bożego, Warszawa



Zaprosiliśmy do tego Komitetu następane
czterdzieści kilka osób reprezentujących
nie tylko różne dziedziny życia, ale także
różnorodne postawy polityczne
mieszczące się w etosie „Solidarności”

ROK 1989

rozmów z władzami to on jest osobą, która z naszej strony prowadzi negocjacje. Tak było nie tylko na oficjalnym posiedzeniu Okrągłego Stołu, kiedy na przemówienie generała Czesława Kiszczaaka odpowiadał Lech Wałęsa. Było tak również na wszystkich spotkaniach przygotowawczych w Magdalence, gdzie na zagajenie Kiszczaaka Wałęsa odpowiadał własnym przemówieniem, które przecież nie było wcześniej przygotowywane przez literatów czy ekspertów, bo oczywiście nie wiedzieliśmy zawczasu, co Kiszczaak powie. W czasie rozmów Wałęsa albo odpowiadał sam, albo wzywał do zabrania głosu kogoś z delegacji. Kiedy natomiast występowały jakieś trudne konfliktowe sprawy, prosiliśmy o przerwę i naradzaliśmy się.

Kto wtedy podejmował decyzje?

– Poddjmowaliśmy je wspólnie, chociaż ostatnie słowo należało oczywiście do Wałęsy.

General Kiszczaak wspomina, że tak było na przykład 16 września 1988 roku podczas pierwszej Magdaleny, w której Pan nie brał jeszcze udziału, a która otworzyła nieudaną fazę przygotowań do Okrągłego Stołu.

Spotkanie to, w którym Wałęsie towarzyszyli Andrzej Stelmachowski, Władysław Frasyniuk, Lech Kaczyński, Władysław Liwak, Tadeusz Mazowiecki, Jacek Merkel, Alojzy Pietrzyk, Edward Radziewicz i Henryk Sienkiewicz, wyraźnie zmierzało w stronę fiaska. Dopiero w bezpośredniej rozmowie z Lechem Wałęsą i Tadeuszem Mazowieckim udało się Kiszczaakowi uzyskać to, czego nie uzyskał przy stole w obecności obu delegacji – odstąpienie od postulatu złożenia przez władzę jednoznacznej deklaracji w sprawie szybkiego przywrócenia pluralizmu związkowego.*

***Władysław Liwak** – działacz „Solidarności”, w kwietniu, lipcu i sierpniu 1988 roku sekretarz komitetu strajkowego w Hucie Stalowa Wola; **Jacek Merkel** – działacz „S” w Gdańsku, w sierpniu 1980 roku uczestnik strajku w Stoczni, po I Krajowym Zjeździe „S” w 1981 roku został członkiem prezydium Komisji Krajowej; **Alojzy Pietrzyk** – działacz „S” w Jastrzębiu, w sierpniu 1980 roku jeden z inicjatorów strajku w kopalni Manifest Lipcowy, w sierpniu 1988 roku przywódca strajku; **Edward Radziewicz** – działacz „S” w Szczecinie, w sierpniu 1988 roku przywódca strajków w tym mieście; **Henryk Sienkiewicz** – działacz „S”, w 1981 roku szef Krajowej Komisji Koordynacyjnej Górnictwa, od lutego 1988 roku kierował niejawną Regionalną Komisją Wykonawczą Regionu Śląsko-Dąbrowskiego „S”.

MAGDALENKA

– Tak, w tych rozmowach nie brałem udziału, ale uczestniczyłem w przygotowaniach do nich, które odbywały się jak zwykle w siedzibie Sekretariatu Episkopatu. Po pierwszym spotkaniu, 15 września, w którym poza Kiszczakiem i Wałęsą wzięli udział tylko ksiądz Orszulik i Stanisław Ciosek, próbowaliśmy ustalić minimum tego, co powinno się znaleźć w komunikacie z mających się odbyć nazajutrz rozmów w szerszym gronie. Doszło wówczas do bardzo ostrych dyskusji. Uważałem, że nie można podpisać komunikatu ogólnikowego, mówiącego tylko tyle, że spotkanie się odbyło, bo dawałby on jednostronne korzyści stronie rządowej. Byłem przekonany, że jeżeli nie uda się uzyskać we wspólnym tekście zapewnienia o legalizacji „Solidarności”, to nie należy go podpisywać i trzeba poinformować opinię publiczną, że nie ma zgody w tej sprawie. Po bardzo burzliwej dyskusji takie właśnie ustalenie przyjęliśmy jako dyrektywę do rozmów mających odbyć się nazajutrz. Za zupełne minimum uznaliśmy umieszczenie w komunikacie stwierdzenia, że z generałem Kiszczakiem spotkała się delegacja „Solidarności”.

16 września okazało się jednak, że strona rządowa bardzo twardego występuje przeciwko legalizacji. Delegacja OPZZ zajęła nieustępliwe stanowisko, mówiąc, że w zakładzie pracy może być tylko jeden związek zawodowy. Poparli ją wszyscy przedstawiciele tamtej strony z wyjątkiem reprezentującego Stronnictwo Demokratyczne profesora Jana Janowskiego, który jednoznacznie powiedział, że nie wyobraża sobie normalizacji w kraju bez zalegalizowania „Solidarności”. W rezultacie doszło do opublikowania tekstu podtrzymującego ideę Okrągłego Stołu i zapowiadającego, że jednym z tematów ma być kwestia pluralizmu związkowego. Mnie ten kompromis wydawał się zbyt daleko idący, ale być może Kiszczak mówił prawdę, przekonując, że zakończenie rozmów bez wspólnego komunikatu może oznaczać załamanie „linii reform”.

Do tego załamania musiało jednak dojść, bo legalizacja „Solidarności” była dla władz nie do przeknięcia.

ROK 1989

– Tak, nieco później, 21 października 1988 roku, generał Jaruzelski mówił o tym wprost na spotkaniu z robotnikami fabryki w Ursusie. Był to niewątpliwy krok wstecz. Władza nie była jeszcze wówczas gotowa do zaakceptowania naszych warunków i nie chodziło tu tylko o rejestrację „Solidarności”. Otwarta pozostała też sprawa cofnięcia zwolnień i represji zastosowanych wobec przywódców, a nawet części uczestników wiosennych i letnich strajków. Generał Kiszczak apelował wprawdzie do różnych władz, ale zwłaszcza przywracanie do pracy szło bardzo opornie. Mogło się wydawać, że partia, rozczarowana wynikami dotychczasowych rozmów, ostatecznie porzuciła zamysł porozumienia z „Solidarnością”.

Propozycja rozmów wróciła jednak 3 listopada. Kiszczak zaproponował ponowne spotkanie z Wałęsą. Nie złożył żadnych obiecujących deklaracji, ale w każdym razie chciał kontynuować „rozmowy o rozmowach”. Oświadczenie Wałęsy będące odpowiedzią na publiczne zaproszenie Kiszczaka było utrzymane w tonie dość radykalnym. Domagał się cofnięcia postrajkowych represji, unieważnienia decyzji o likwidacji Stoczni i wycofania zastrzeżeń dotyczących udziału w rozmowach Jacka Kuronia i Adama Michnika.

– Tak, bo zmiana polityki władz, która nastąpiła po objęciu rządu przez Rakowskiego, była dla nas wyraźna i oczywista. Kontynuowanie rozmów stało się niemożliwe. Uważaliśmy, że dla ich wznowienia konieczne jest, aby władze wywiązały się z wcześniejszych zobowiązań wobec represjonowanych i przywróciły przynajmniej polityczne status quo z września. Okazało się jednak, że władza i na to nie może się zdobyć. Zapewne żywe były jeszcze wówczas iluzje, które w jej kręgu wiązano z osobą i rządem Rakowskiego. Ponowne przyjęcie zaproszenia generała Kiszczaka nie wchodziło w grę. W tej sytuacji kapitalną rolę odegrał Kościół, który otworzył możliwość przełamania pata.

Zapraszając obie strony do spotkania na swoim terenie.

– Tak, w tym okresie ogromny wkład wnieśli przedstawiciele Sekretariatu Episkopatu. Gospodarzem wilanowskiego spotkania 18 listopada 1988 roku był przecież sekretarz Episkopatu arcybi-

MAGDALENKA

skup Bronisław Dąbrowski, a odbyło się ono w pomieszczeniach parafialnych.

Wyobrażam sobie, że dla generała Kiszczaka, ministra policji, musiało to być wielkie przeżycie. Na terenie Kościoła, którego zwalczaniem zajmował się specjalny departament jego ministerstwa, negocjować miał z przedstawicielami opozycji, której zniszczenie było bodaj jego najważniejszym zadaniem.

– Dla nas też był to poważny problem. Od przeszło dwóch miesięcy prowadziliśmy przecież na oczach społeczeństwa rozmowy z władzami i nie uzyskaliśmy niczego. Może wręcz nasza sytuacja stała się jeszcze trudniejsza – choćby na skutek decyzji rządu o likwidacji Stoczni. Mediacji Kościoła nie wolno nam było odrzucić – zwłaszcza że zaangażowali się w nią trzej bardzo wybitni ludzie Kościoła – sekretarz Episkopatu arcybiskup Bronisław Dąbrowski, ordynariusz gdański biskup Tadeusz Gocłowski i sekretarz pomocniczy Episkopatu ksiądz (a dziś już biskup) Alojzy Orszulik. Uważałem jednak, że skoro do tego spotkania ma dojść, skoro mamy podjąć związane z nim ryzyko polityczne, musimy zachować jak najdalej idącą ostrożność. Przygotowałem więc cały pakiet projektów komunikatu, które Wałęsa i Mazowiecki, reprezentujący naszą stronę, mogli zaproponować.

Generalnie ustaliliśmy, że musimy uzyskać zapowiedź legalizacji „Solidarności” albo ogłosić dwa oddzielne komunikaty – jeden przeznaczony dla Polskiej Agencji Prasowej i drugi stanowiący własne oświadczenie Lecha Wałęsy. Po powrocie do Sekretariatu Episkopatu Mazowiecki i Wałęsa opowiadali, że kiedy generał Kiszczak usłyszał, jakie jest nasze stanowisko, oświadczył, iż oznacza ono zakończenie całego procesu, a w każdym razie zerwanie rozmów, do których on już nie będzie mógł powrócić. Doszło wówczas do niezwykle zdecydowanej, bezpośredniej interwencji biskupa Gocłowskiego, który na obu stronach wymusił zaakceptowanie komunikatu stwierdzającego, że spotkanie się odbyło, a rozmowy będą kontynuowane.

Czy to znaczy, że w trakcie innych spotkań przedstawiciele Kościoła zajmowali tylko pozycję obserwatorów?

– Nie, zawsze byli kimś więcej niż obserwatorami. Uczestniczyli w tych rozmowach aktywnie, choć nie brali udziału w sporze. Starali się przede wszystkim tworzyć nastrój współodpowiedzialności obu stron – to znaczy władzy i opozycji – za Polskę. Negocjacje prowadziły ze sobą dwie strony, natomiast dziełem ludzi Kościoła było określenie klimatu tych rozmów. Ingerowali, i to ingerowali skutecznie, tylko wtedy, kiedy dochodziło do groźnych kryzysów. Chyba jednak nigdy te ingerencje nie były tak wyraźne jak właśnie 18 i 19 listopada w Wilanowie, gdzie stanowisko biskupa Gocłowskiego okazało się decydujące dla procesu Okrągłego Stołu. Może zresztą przyszło to tym łatwiej, że Kościół był przecież gospodarzem tego spotkania. To właśnie Episkopat przywrócił należąca już do przeszłości wizję porozumienia czy paktu między społeczeństwem a komunistami.

Komunikat z tego spotkania zaczynał się od słów: „Na zaproszenie Sekretarza Episkopatu...”. Czy rzeczywiście była to inicjatywa arcybiskupa Dąbrowskiego, czy też tylko zgodził się on świadczyć dobre usługi na rzecz stron konfliktu, które inaczej nie były już w stanie się spotkać?

– Kościół nigdy nie występował jako pośrednik w imieniu władz. Natomiast Sekretariat Episkopatu systematycznie konsultował się z nami przed spotkaniami z przedstawicielami Biura Politycznego, a potem przekazywał nam sprawozdania z przebiegu rozmów.

Rozumiem, że procedura przygotowania takiego spotkania mogła wyglądać mniej więcej tak, że któryś z członków Biura Politycznego zapytał biskupów, czy nie byłiby skłonni wystosować zaproszenia...

– Nie wydaje mi się. Poszukiwano rozwiązania patowej sytuacji. Oczywiście było, że nie da się go znaleźć bez kolejnej rozmowy. Episkopat zdawał sobie sprawę, że od podtrzymania kontaktu zależy los kraju. Postanowił więc stworzyć jeszcze jedną szansę.

Kluczowe znaczenie miało w tym komunikacie sformułowanie, że „rozmowy będą kontynuowane”. Czy – abstrahując od mediacyjnej postawy Kościoła – po obu stronach rzeczywiście była wola kontynuowania dialogu i poszukiwania kompromisu?

MAGDALENKA

– Z tego, co mi opowiadano, wiem, że na spotkaniu w Wilanowie były chwile rozluźnienia, ale przede wszystkim panowało jednak ogromne napięcie. Podobno po stronie rządowej było ono bardzo dobrze odczuwalne. Generał Kiszczak i sekretarz Ciosek byli przecież wówczas głównymi rzecznikami decyzji o podjęciu negocjacji. Z ich wynikiem związali także swoją osobistą przyszłość. Zdaje się, że po tamtej stronie sprawy stały wówczas na ostrzu noża. Mówię to jednak poniekąd na odpowiedzialność tych, którzy byli w Wilanowie i później relacjonowali mi przebieg rozmów.

Wróćmy zatem do 27 stycznia i drugiego spotkania w Magdalence, a pierwszego, w którym Pan uczestniczył.

– Po listopadowym spotkaniu w Wilanowie – wbrew zapowiedzi zawartej w komunikacie – bezpośrednie rozmowy jednak nie były kontynuowane. Kontakty z władzami utrzymywał właściwie tylko Episkopat, a my byliśmy o nich informowani. Kiedy zapadły decyzje X Plenum i pojawiła się szansa konstruktywnego dialogu, z inicjatywy Episkopatu zostałem włączony do grupy negocjacyjnej.

Z inicjatywy Episkopatu?

– Tak, wcześniej brałem udział we wszystkich przygotowaniach, ale nie chciałem uczestniczyć w rozmowach z władzami.

Dlaczego?

– Ze względów psychologicznych. A poza tym uważałem, że ponieważ w stosunku do mnie władze miały szczególne uprzedzenia, nie powinienem swoją obecnością utrudniać negocjacji. *Sądzi Pan, że ich niechęć do Pana była większa niż do Bujaka, Frasyniuka, Mazowieckiego?*

– Trudno powiedzieć dlaczego, ale wydaje mi się, że tak.

Jak wyglądało formowanie składu waszej delegacji na te rozmowy? Kto o nim decydował?

– Dość spore grono. Spotkaliśmy się w Warszawie z Wałęsą, Frasyniukiem, Bujakiem, Mazowieckim i wspólnie zastanawialiśmy się, kogo na tych rozmowach nie może zabraknąć. Kandydatur mieliśmy oczywiście wiele, a delegacja nie mogła być zbyt licz-

na, więc podstawowym kryterium była właśnie niezbędność przy stole negocjacyjnym.

Czy znaliście skład strony przeciwnej?

– Tak, podano nam go z pewnym wyprzedzeniem, ale jak już mówiłem, nie był to skład ostateczny, bo przedstawiciele OPZZ nie przybyli na to spotkanie. Strona rządowa także była tym zaskoczona i to do tego stopnia, że jeszcze w tekście wystąpienia generała Kiszczaka, który nam rozdano, umieszczone były nazwiska nieobecnych. Wykreślono je dopiero w trakcie obrad.

Jest 27 stycznia, niebawem ma się zacząć spotkanie w Magdalenke. Zapewne zebraliście się jak zwykle w siedzibie Sekretariatu Episkopatu...

– Tak, stawili się wszyscy zaproszeni. Poza Lechem Wałęsą: Zbigniew Bujak, Władysław Frasyniuk, Mieczysław Gil, Lech Kaczyński, Tadeusz Mazowiecki, Andrzej Stelmachowski i ja. Przed budynkiem czekał tłum dziennikarzy – przede wszystkim zagranicznych korespondentów – którzy jak zwykle skądś się dowiedzieli, co się kroi. O piątej po południu przyjechał po nas rządowy mikrobus. Jadąc, widzieliśmy, że policja obstawiła wszystkie drogi, tak żeby dziennikarze nie mogli pojechać za nami.

Miejsca rozmów wcześniej nie znaliście?

– My nie, ale Episkopat zapewne znał.

Co to właściwie jest ta Magdalenka?

– Rządowy ośrodek wczasowy położony w podwarszawskim lesie, wśród drzew, miły, ale nic nadzwyczajnego. Gdzieś przy drodze stał żołnierz. Skręciliśmy w bramę i wjechaliśmy w las. Znów jechaliśmy chwilę, aż znaleźliśmy się przed budynkiem przypominającym mały dom wczasowy. Pokoje, stołówka, sala konferencyjna, obok sala bilardowa, w której podczas przerw prowadziliśmy później dyskretne rozmowy. Dawano nam również do dyspozycji mały pokój konferencyjny, ale czasem dla „zmylenia przeciwnika” wybieraliśmy właśnie salę bilardową.

A reżyseria tych rozmów. Jak ona była przygotowana?

– W sali konferencyjnej przy długim stole Wałęsa i Kiszczak usadzeni byli naprzeciwko siebie. U szczytu stołu były miejsca

MAGDALENKA

dla sekretarzy – jednego z MSW, jednego z PRON i dla naszego sekretarza Jacka Ambroziaka*. Po przeciwnej stronie obok ministra Kiszczaka siedzieli członkowie władz partyjnych: Stanisław Ciosek i Janusz Reykowski, obok Bogdan Królewski z ZSL, Jan Janowski z SD, Andrzej Gdula.

To pierwsze spotkanie z przedstawicielami władzy musiało być przeżyciem dość szczególnym.

– Tak, generał Kiszczak czekał na nas przy schodach. Pierwszy raz zobaczyłem go z bliska. Poznał mnie i powiedział, że cieszy go okazja tego spotkania.

Czy był wówczas taki jowialny, jak to zdarzało się później przy Okrągłym Stole, kiedy chyba dla wszystkich zaskoczeniem była jego prostolinijna bezpośredniość?

– Nie sądzę, żebym ja lub ktokolwiek z naszej grupy dawał mu wówczas okazję do okazywania jowialności. Atmosfera była raczej dość oficjalna, czego miarą jest to, że Kiszczak swoje przemówienie miał napisane i nawet powielone.

Jak brzmiała jego oferta?

– To była tylko oferta rozmów. Rozmawiajmy, stwórzmy zespoły merytoryczne. Mamy dla tych rozmów dobre podstawy w postaci uchwał X Plenum i odpowiedzi zawartej w oświadczeniu Krajowej Komisji Wykonawczej „Solidarność”. Uznał, że możliwy jest Okrągły Stół, który powinien otworzyć historyczny eksperyment. Proponował, żebyśmy na tym spotkaniu ustalili tematykę obrad Okrągłego Stołu. Objąć miała sprawy wyborów do Sejmu i zmian w systemie politycznym państwa oraz dróg stwarzających możliwości wytworzenia pluralizmu związkowego, w tym legalizacji „Solidarność”.

Znamienna była kolejność tych tematów, a także pominięcie problemów gospodarczych. Odebrałem to jako nieznacznie tylko zawoalowane stwierdzenie, że otrzymamy „Solidarność”, jeżeli zapłacimy cenę polityczną. To był punkt, z którego startowaliśmy.

***Jack Ambroziak** – prawnik, w 1981 roku radca prawny „Tygodnika Solidarność”, później Sekretariatu Episkopatu. W czerwcu 1989 roku zostanie posłem, we wrześniu, w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, szefem Urzędu Rady Ministrów.

ROK 1989

A gdzie postulat przyzwolenia na materialne wyrzeczenia, których wymagał stan gospodarki?

– To był najbardziej zaskakujący element drugiego etapu przygotowań do Okrągłego Stołu. Aż do styczniowego spotkania w Magdalence byłem przekonany, że głównym problemem władz jest stworzenie takiej sytuacji, w której będziemy wspólnie płacić cenę nowej polityki gospodarczej. Teraz okazało się jednak, że sprawy gospodarcze zostały z programu rozmów wyparte, a w każdym razie, że mają odgrywać drugorzędną rolę. Sprawą pierwszorzędną stało się natomiast iunctim między rejestracją „Solidarności” a polityczną akceptacją wyborów.

Czy to znaczy, że tym razem partia nie była w stanie zrobić tak jak poprzednio – przeprowadzić wyborów po swojemu, nie pytając nikogo o zdanie?

– Doszli do wniosku, że nie są w stanie. Myślę, że przede wszystkim ze względu na kontekst międzynarodowy, rozwój pierestrojki. *To był czynnik decydujący?*

– Jeden z dwóch. Drugim było to, że klasyczne stalinowskie wybory można przeprowadzić w społeczeństwie pasywnym, gdy ludzie wychodzą z kościoła, idą do urn i wrzucają kartki, nie patrząc nawet, co na nich napisano. Po doświadczeniach poprzednich wyborów, a zwłaszcza w kontekście społecznej aktywizacji robotników w 1988 roku, liczenie na taką sytuację było już nadmiarem optymizmu. Skoro zaś stare numery nie miały szans, musieli uzyskać przyzwolenie społeczeństwa, to znaczy zgodę tych sił, które były społecznie wiarygodne.

A jak to przyzwolenie miało wyglądać? Czy oni to wiedzieli?

– Tak, wiedzieli i mówili o tym już wcześniej podczas rozmów z przedstawicielami Kościoła, a także chyba w rozmowach wstępnych ze Stelmachowskim czy Mazowieckim. Tym razem w Magdalence nie wracano do propozycji kontraktu 60:40, to znaczy 60 procent miejsc w Sejmie dla nich i 40 procent dla opozycji. Nie usłyszałem więc tej propozycji od przedstawicieli władzy. Znałem ją tylko z relacji. W każdym razie obok rejestracji

MAGDALENKA

„Solidarności” był to jeden z elementów przedwstępnej oferty, później zresztą zmienianej.

W czasie jednego z następnych spotkań w Magdalence generał Kiszczak, pomijając wcześniejsze propozycje, zaoferował układ polegający na pozostawieniu 70 procent miejsc dla rządowej koalicji i oddaniu opozycji 20. Pozostałe 10 procent – jak się wyraził – „my damy swoim bezpartyjnym, a wy swoim”. Uznaliśmy to za niedopuszczalne naruszenie i osłabienie wstępnej oferty, więc zagroziliśmy zerwaniem rozmów. Propozycję wycofano. Pozostał spór o 5 procent, które strona rządowa zapomniała zarezerwować dla „swoich katolików”. Postanowiono wprowadzić ich do Sejmu, ale kosztem naszej, nie rządowej, puli. Opieraliśmy się oczywiście, zanim w końcu ustąpiliśmy po długich negocjacjach.

W trakcie tego spotkania padła jeszcze jedna istotna propozycja, którą wysunął Kiszczak lub Ciosek – dokładnie już nie pamiętam. Chodziło o utworzenie urzędu prezydenta.

To był pierwszy raz?

– Tak, i wówczas bez chwili wahania tę propozycję odrzuciliśmy. Oświadczyłem, że my do stworzenia urzędu prezydenta palca nie przyłożymy.

Dlaczego?

– Bo byłaby to kolejna koncesja z naszej strony. Powiedziałem to wtedy wyraźnie. „Zgodziliśmy się dać władzy 60 procent mandatów, to teraz mówicie, że mamy dać jeszcze urząd prezydencki”. Było przecież zupełnie oczywiste, że prezydent ma być ich. Taki kontrakt w grę nie wchodził.

O powszechnych wyborach prezydenckich nie wspominali?

Tego nawet nie mogli sobie wyobrazić.

Skoro jednak o układzie 60:40 czy też 65:35 nie było podczas styczniowej Magdaleny mowy, a propozycję prezydencką odrzuciliście praktycznie bez dyskusji, to o czym rozmawialiście, czego dotyczyły negocjacje?

– Po wystąpieniach przewodniczących zaczęła się rozmowa o tym, kiedy i jak rozpoczną się obrady Okrągłego Stołu. Mówiliśmy o składzie personalnym, nie omawiając już konfliktów, i o

ROK 1989

tym, jak wyobrażamy sobie przebieg pierwszego posiedzenia, kto ma przewodniczyć, w jakiej kolejności będzie udzielany głos, jak będą się formowały zespoły. Obie strony wyznaczyły też pełnomocników mających dopracować szczegóły tych przygotowań. Nas reprezentować miał Tadeusz Mazowiecki, a stronę rządową Stanisław Ciosek. Nie doszło już do zasadniczych starć ani polemik. Nastrój był wyraźnie konstruktywny, bo obu stronom zależało, żeby od „rozmów o rozmowach” przejść wreszcie do rozmowy o Polsce. Mielśmy poczucie, że odwlekanie reform Polsce szkodzi. Minister Kiszczak zaproponował, żeby rozpoczęcie obrad Okrągłego Stołu nastąpiło 6 lutego, czyli za niespełna dwa tygodnie. To był niezwykle krótki termin, ale też nie mieliśmy powodu przewlekać przygotowań.

Czego Pan wówczas po tych rozmowach oczekiwał? Do czego one miały doprowadzić? Jaki był wasz rzeczywisty horyzont polityczny?

– Oczekiwaniem podstawowym była oczywiście rejestracja „Solidarności”, ale nie kryję, że gdy weszliśmy już w rozważania na temat zaproponowanej arytmetyki politycznej, zaczęliśmy liczyć na erozję rządowej koalicji. Zniknięcie bezwzględnej partyjnej większości sprawiało, że koalicyjni posłowie stawali się jęczyzkiem u sejmowej wagi. Uważaliśmy, że gdy ZSL i SD poczują, iż cokolwiek od nich zależy, zaczną prowadzić własną grę. Wcześniej czy później musiało to doprowadzić do przesunięcia większości na naszą stronę. Oczywiście nie przewidywaliśmy, że to wszystko stanie się tak błyskawicznie.

Wyobrażaliśmy sobie, że będzie to raczej proces przesuwania się poszczególnych posłów w stronę opozycji. Na razie zachowanie przedstawicieli stronnictw niczego takiego nie wróżyło. Wręcz przeciwnie. Bogdan Królewski, sekretarz Naczelnego Komitetu ZSL, był w Magdalence bardziej agresywny niż przedstawiciele PZPR. Znacznie bardziej zdecydowanie bronił dotychczasowych rozwiązań systemowych i każde jego wystąpienie powodowało kryzys w rozmowach. Inaczej natomiast wyglądała rola profesora Janowskiego z SD, który mówił mało, dużo pisał, a gdy się odzywał, z zasady zajmował stanowisko odmienne niż PZPR, a w kwe-

MAGDALENKA

stiach zasadniczych, takich jak legalizacja „Solidarności”, występował po naszej stronie.

A sprawa udziału Kuronia i Michnika już tym razem nie wracała?

– Nie, Wałęsa odmówił jakichkolwiek ustępstw w sprawach personalnych, a władza się z tym pogodziła.

Czy całe pertraktacje miały charakter plenarny, czy też – tak jak poprzednio – decyzje strategiczne zapadały podczas rozmów w cztery oczy między Kiszczakiem a Wałęsą?

– Były też rozmowy w węższym gronie, ale wydaje mi się, że poza dwoma przewodniczącymi zawsze uczestniczył w nich albo Tadeusz Mazowiecki, albo któryś z przedstawicieli Episkopatu. Dla logiki tego rodzaju negocjacji rozmowy w cztery oczy mają znaczenie kapitalne. Wróćmy do wrześnieowej Magdaleny. Obie strony wygłaszały tam ważne przemówienia. Najistotniejszy był jednak ten moment, w którym generał Kiszczak, rozmawiając z Wałęsą w cztery oczy, powiedział mu, że decyzji o legalizacji „Solidarności” teraz jeszcze podjąć nie może, ale że przyjdzie taki moment, kiedy to nastąpi. W szerszym gronie powiedzieć tego nie mógł. Nawet w gronie tych kilkunastu osób, które już traktował jako grono publiczne. Mógł powiedzieć to tylko, rozmawiając z Wałęsą sam na sam, bo wówczas zawsze miał możliwość zdementowania takiej informacji, gdyby wydostała się na zewnątrz. Zresztą, kiedy jeden z uczestników rozmów przywołał publicznie wypowiedź Kiszczaka, władze natychmiast ją zdementowały. Niemniej bezpośrednie kontakty wytwarzały pewien osobisty stosunek między liderami obu stron i pozwalały także odblokować negocjacje.

Jak Pan sądzi, w co Kiszczak wtedy naprawdę grał?

– Sądzę, że to właśnie on był motorem całej tej wielkiej politycznej operacji, którą w przekonaniu władzy miał być proces Okrągłego Stołu. Aparat bezpieczeństwa, na czele którego stał, znał realną sytuację kraju dużo lepiej niż jakikolwiek inny aparat władzy. Kiszczak może najlepiej – obok Jaruzelskiego – wiedział, co się w Polsce dzieje, i dzięki temu najlepiej zdawał sobie sprawę z konieczności reform. Miał jednak także poczucie własnej siły, którego nie miał aparat partyjny obarczony bolesnym doświadcze-

niem całkowitej nieprzydatności w okresie stanu wojennego. Kiszczak wierzył, że on może pozwolić sobie na podjęcie ryzyka reform, które uważał za konieczne. Kiedy w przemówieniu otwierającym obrady Okrągłego Stołu mówił: „Rozpoczynamy polski eksperyment”, rozumiał, że eksperyment oznacza ryzyko i wiedział, że go na nie stać. Także dlatego, że – jak sądzę – miał instrukcje i rzeczywiste pełnomocnictwa generała Jaruzelskiego. W czasie tych rozmów generał Kiszczak był jedynym człowiekiem, który podejmował decyzje, także decyzje ryzykowne. Niekiedy przerywał jednak posiedzenie i szedł do telefonu.

Bez żenady?

– Mówił, że prosi o przerwę. Dziesięciminutowa przerwa przedłużała się niekiedy do trzech kwadransów i wtedy było oczywiście, że trwają telefoniczne ustalenia.

Czy w czasie tej styczniowej Magdalenki były przerwy i telefony?

– Zdaje mi się, że był tylko problem OPZZ, który wywołał długą przerwę, gdy padło pytanie, czy możliwy jest Okrągły Stół bez Miodowicza. Kiszczak powiedział wtedy, że nie. „Musicie zrozumieć – mówił – że my bez nich nie możemy tego zrobić. Musimy ich mieć przy tym stole”. Potem porozumiewał się, rozmawiał, wiemy, że dzwonił także do Miodowicza, i zgaduję, że jakoś się dogadali, bo po tej przerwie pertraktacje potoczyły się dalej. Oczywiście szczegółów tych rozmów nam nie przekazywał, co najwyżej czasem w trakcie posiedzenia mówił ogólnie, że uzyskał na coś akceptację albo że jej nie otrzymał.

Czy zatem wówczas, 27 stycznia, sprawa Okrągłego Stołu nie była jeszcze zdecydowana?

– Wydaje mi się, że była zdecydowana. Mógł co najwyżej grozić bunt w kierownictwie partii – bunt wywołany przez ludzi OPZZ.

Mimo uchwały KC?

– Tak, bo przecież ona wywołała ogromne opory i protesty w partyjnej bazie.

W samym KC poparcie dla niej też mogło chyba być nietrwale. Została przecież wymuszona szantażem dymisji trzech generałów: Ja-

MAGDALENKA

ruzelskiego, Kiszczaka i Floriana Siwickiego, a więc poza I sekretarzem także ministra obrony i ministra spraw wewnętrznych. Podobno dołączył też do nich premier Rakowski.

– Zgadzam się, że ta presja mogła odegrać większą rolę niż argumenty merytoryczne.

Czy uważa Pan, że to właśnie ci ludzie zdecydowali o rozpoczęciu prawdziwych reform?

– Myślę, że poza nimi do grupy reformatorów należeli też Barcikowski*, Ciosek, może Czyrek i Reykowski.

Jeszcze raz wracam do styczniowej Magdaleny. Co oprócz udziału OPZZ było przedmiotem negocjacji?

– Długo dyskutowano sprawę przewodniczenia plenarnemu posiedzeniu Okrągłego Stołu. Z wielkim trudem uzyskaliśmy to, że było dwóch współprzewodniczących: obok profesora Gieysztora także profesor Findeisen**.

I żadne inne decyzje tam nie zapadły?

– Nie.

Nie powstał żaden zarys kontraktu politycznego?

– Padło pytanie, co ma być rezultatem Okrągłego Stołu. Odpowiedź Kiszczaka brzmiała tak, że powinien nim być dokument określający, co jest Polakom wspólne, co nas łączy. Uważali to za niezwykle ważne i bardzo uparcie do tego wracali.

Ale nie zdołali tego osiągnąć. Efektem Okrągłego Stołu były raczej protokoły rozbieżności.

– Bo tak te rozmowy przebiegały – podobnie zresztą jak w Magdalence. Różnica polegała właściwie tylko na stopniu szczerości naszych partnerów.

***Kazimierz Barcikowski** – działacz PZPR, wówczas członek Biura Politycznego KC PZPR.

****Aleksander Gieysztor** – historyk, profesor UW, wówczas dyrektor Zamku Królewskiego w Warszawie. **Władysław Findeisen** – automatyk, profesor Politechniki Warszawskiej, w latach 1981-85 rektor PW.

ROK 1989

Tym większa szkoda, że wbrew swoim zwyczajom nie nagrywali tych rozmów. Mielibyśmy teraz wspaniały dokument niezwyklej wagi. Czy jako historyk nie miał Pan wtedy poczucia obowiązku rejestrowania tego wszystkiego, co się na Pańskich oczach i z Pańskim udziałem rozgrywało?

– Oczywiście, że miałem takie poczucie, ale dużo ważniejsze wydawało mi się – i zresztą nadal mi się wydaje – tworzenie historii niż jej rejestrowanie. Niemniej, podobnie jak kilku innych uczestników tych rozmów starałem się cały czas robić notatki i część z nich udało mi się zachować.

Także z tego właśnie, styczniowego, spotkania w Magdalence?

– Tak, ale są to tylko moje prywatne, osobiste zapiski.

Myszę, że warto je jednak przytoczyć, choćby dlatego, żeby nawet z dość dużym przybliżeniem utrwalić dramaturgię tych rozmów.

– Cóż, spróbujmy. Wystąpienie Kiszczaka już panu referowałem. Odpowiadał mu Wałęsa. Mówił, że skoro jest już zgoda, że trzeba reformować kraj, i generalne porozumienie co do zasad tej reformy, poza pytaniem o szczegóły stoi przed nami kwestia, kto ma to robić. Potem Mazowiecki omawiał sprawy związane z legalizacją. Podkreślał, że musi się ona odbyć na mocy jednorazowego aktu. Kaczyński przedstawiał propozycje rozwiązań stosunków międzyzwiązkowych. Proponował tworzenie ponadzwiązkowych komisji do spraw negocjacji zbiorowych. Na ten temat było więcej głosów, ale żadne kwestie nie wydawały mi się warte notowania. Potem zabrał głos Gdula: „Uchwała X Plenum – powiedział – stwierdza wyraźnie, że sprawa »Solidarności« zależy od porozumienia narodowego. Baza oskarża teraz kierownictwo partii o wyprzedzanie interesów. Trzeba więc działać ewolucyjnie. Najpierw muszą być wybory”. Odpowiedziałem mu, że my też jesteśmy zainteresowani w stopniowości tego procesu. Chcemy, żeby to był proces ewolucyjny, ale zacząć trzeba od rejestracji „Solidarności”. Na to Ciosek: „No tak, ale wtedy zwiększa się niebezpieczeństwo rewindykacji, będzie postępująca radykalizacja. Niezbędna jest umowa społeczna. Potrzebujemy waszej deklaracji intencji. Legalizacja musi być poprzedzona przez kompromis socjalny”. Rey-

MAGDALENKA

kowski postawił dwa pytania: „Jak zabezpieczyć kraj przed destabilizacją? Jak ustalić kolejność ruchów i jaką my stworzymy gwarancję dotrzymania porozumień?”. To otworzyło dyskusję o aktualnej sytuacji, niezbyt jednak istotną. Potem powstał problem sposobu nowelizowania ustawy związkowej, ale też więcej było pytań niż odpowiedzi. Wreszcie Gdula poruszył problem wyborów, jeszcze niezbyt konkretnie. Kontynuował Kiszcak: „»Solidarność« będzie, jeżeli przyjmiemy formułę umowy społecznej i niekonfrontacyjnych wyborów”. Wtedy po raz pierwszy padło sformułowanie „wybory niekonfrontacyjne”. Do głosu wrócił Gdula: „Wszystkie siły społeczne muszą być w parlamencie. Dlatego trzeba przyspieszyć wybory. Im szybciej będą wybory, tym lepiej dla Polski. Na przykład niechby się odbyły 21 maja. Mamy już przygotowany projekt nowej ordynacji wyborczej. Problemem jest znalezienie drogi niekonfrontacyjnej. Trzeba powiedzieć, jaki ma być nowy model polityczny państwa, jak konstruktywną opozycję wkomponować w system. Może się to odbyć bez tworzenia partii politycznych. Teraz PZPR ma 53 procent mandatów, ale gotowa jest zrezygnować z większości. Zastanówcie się nad tym wszystkim. Jesteśmy otwarci. Wiemy, że postęp musi być wyraźny. My jednak występujemy także z inicjatywą utworzenia urzędu prezydenta jako gwarancji ustrojowej. Ponadto powinna istnieć komisja porozumiewawcza, może także izba samorządowa – wszystko to trzeba rozważyć łącznie”. Reykowski chciał osłabić jasność tej oferty: „No, nie wiem, czy partia przyjmie te 40 procent. Musicie zrozumieć, że są poważne opory wobec reform. Bardzo trudno nam będzie dojść do porozumienia z bazą”. Wtrącił się ksiądz Orszulik: „Układ wstępny o podziale procentowym nie powinien zostać naruszony”. Potem ja odpowiadałem w sprawie prezydenta. Po mnie Wałęsa: „Zrozumcie, że system oparty na monopolu musi zostać obalony”. Na to Ciosek: „No dobrze, a co z socjalizmem? Chcemy ustalić jakiś system wspólnych wartości”. Odpowiedziałem, że nie ma takiej możliwości, „musimy dostrzegać, że jesteśmy przeciwnikami. Ważne jest, że będąc przeciwnikami, znajdujemy rozwiązania polityczne”. Gdula: „Tak, jesteśmy na siebie

ROK 1989

skazani, zatem musimy współpracować, ale przecież nie możemy odbudowywać »Solidarności« z 1981 roku, bo znowu dojdzie do tego samego”. Znow Orszulik: „Spotkania przygotowawcze już coś przygotowały. Nie naruszajmy tego, co zostało ustalone. Ustalmy, o czym mamy mówić”. Potem zaczęło się ustalanie składu liczbowego Okrągłego Stołu. Wiadomo było, że w grę wchodzi 56 miejsc. Padła propozycja, żeby „Solidarność” nie występowała jako jedna grupa, bo wtedy OPZZ będzie domagał się dla siebie identycznej puli. Ustaliliśmy ostatecznie, że nasza grupa będzie składała się z reprezentacji „Solidarności” oraz z przedstawicieli środowisk twórczych i intelektualnych. Wszystkie te osoby miały otrzymać zaproszenia od Lecha Wałęsy. Umówiliśmy się też, jakie zespoły mają być powołane. Kiszczak obiecał, że dołoży wszelkich starań, żeby pozalać sprawy osób zwolnionych z pracy w stanie wojennym i później za działalność związkową, ale jednocześnie wrócił do kwestii niekonfrontacyjnych wyborów: „Jeżeli wybory mają być niekonfrontacyjne, to musi być wspólna deklaracja wyborcza, szybki termin, podział mandatów, którym zajmie się komisja porozumiewawcza, lista krajowa, na której znajdą się przedstawiciele obu stron, wspólne karty wyborcze, żeby nie doszło do partyjnego rozdzielenia stron”. Odpowiedziałem na to, że nie wchodzi w grę ani zamazywanie podziałów, ani wspólna deklaracja. Tu są wyraźnie odmienne strony i nie ma sensu tego zamazywać. To wywołało dość ostrą dyskusję, aż jeden z przedstawicieli strony rządowej stwierdził wprost: „Autentyczne wybory są dla nas nie do przyjęcia. Nie jesteśmy przygotowani do wolnych wyborów. Musimy z wolna przyzwyczaić się do obecności opozycji”. Królewski dodał, że „szansa, żeby zmienić wiele, jest niepowtarzalna, ale zmienić można tylko wtedy, gdy weźmie się odpowiedzialność za władzę. Dlaczego uchylacie się od tego?”. Kiszczak: „Wiedźcie o tym, że jesteśmy w stanie bez was wygrać wybory. Chcemy tylko wesprzeć się wami. My chcemy iść do normalności. Jeżeli nam w tym nie pomożecie, może nam się nie udać”. Na to Reykowski: „Lech Wałęsa powiedział: my nie chcemy wygrać wyborów. A więc kto ma je wygrać? Kto ma wziąć odpowiedzialność

MAGDALENKA

za państwo? Tu debata musi być bardzo szczegółowa, bo od tego zależy przyszłość Polski”. Znów Kiszczak: „Powracam do naszej formuły. Wybory mają być niekonfrontacyjne i nad tym przede wszystkim trzeba się zastanowić. Jesteśmy też gotowi dyskutować o organizacji parlamentu. Gotowi jesteśmy rozpatrywać koncepcję drugiej izby, która zdaje się istnieć w naszym środowisku. Chcę też jednak powrócić do urzędu prezydenta. To jest sprawa, którą wnoszę pod dyskusję. Musimy zawrzeć umowę społeczną, musi być spokój – bez strajków, bez rewindykacji. Inaczej boimy się wkroczyć w te reformy”.

Potem zaczął się wątek OPZZ – pierwszy, w którym się niemal zgadzaliśmy. Ciosek mówił, że „OPZZ stał się »antysolidarnością«. Ludzie wchodzili do tych związków wbrew bojkotowi i teraz rzucają to na całą sytuację”.

Dyskusję podsumował Kiszczak, proponując organizację wyborów na zasadzie jedno- i wielomandatowych okręgów, ale przy zastosowaniu jednej kartki wyborczej, oraz składając zobowiązanie uchwalenia do marca nowelizacji ustawy o związkach zawodowych z rejestracją ogólnopolską i z komisjami międzyzakładowymi, czyli regionami, ale powiedział: „Pamiętajcie, że my musimy jeszcze przekonać o tym OPZZ i sekretarzy komitetów wojewódzkich, a to naprawdę nie będzie łatwe”. Reykowski przypomniał, że uchwała X Plenum mówi o kalendarzu i członkowie KC mogą uznać, że jego wewnętrzne elementy także podlegają dyskusji na Plenum. Dodał, że „lista centralna powinna obejmować 10 procent miejsc i powinny być na niej reprezentowane wszystkie grupy”. Odpowiedziałem, że to jest niemożliwe. Poparł mnie Mazowiecki: „Czy naprawdę uważacie, że musimy iść razem? To będzie działało wbrew naszym i waszym interesom”. Potem już tylko Kiszczak zakończył posiedzenie. Merytorycznie było to wszystko, choć oczywiście tego, co wydawało mi się nieistotne, po prostu nie notowałem.

Brzmi to niezwykle obiecująco jak na tamte czasy. Nie miał Pan takiego wrażenia, że oni szukają w was oparcia przeciwko własnej bazie?

ROK 1989

- Tak, po tej dyskusji powiedziałem biskupowi Gocłowskiemu, że – paradoksalnie – naszym sprzymierzeńcem jest partyjny beton, bo oni się go tak boją, że muszą szukać oparcia w nas.

Mieli wówczas poczucie, że ich los jest tak mocno sprzężony z linią reformatorską, iż będą skończeni, jeżeli reformy się nie powiedą.

Okazało się, że reformy powiodły się wspaniale, a im to nie pomogło.

- Tak bywa.

Czy przed rozpoczęciem oficjalnych obrad mieliście się jeszcze spotkać?

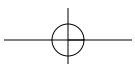
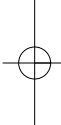
- Nie. Przewidziane były już tylko robocze kontakty Mazowieckiego z Cioskiem.

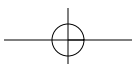
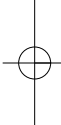
Czy miał Pan wówczas świadomość znaczenia tego, co się stało? Czy w całym tym zapętleniu, napięciu, niepewności, w nawale detali, dostrzegał Pan przełomowość tych dni? Pierwszy raz od stanu wojennego opozycja uzyskała legalny status, co było widać choćby po tym, że Henryk Wujec zaczął używać pieczętki z zawierającą kabaretowy kompromis formułą „sekretarz Komitetu Organizacyjnego przy Lechu Wałęsie do spraw Okrągłego Stołu”.

- Chodziło o to, żeby uniknąć słowa „Solidarność”, bo jej legalizacja miała być dopiero wynikiem kontraktu. To miał być handel wymienny. Nic nie chcieli dać, dopóki nie uzyskali nic w zamian.

A zatem formalnie rzecz biorąc, 6 lutego rozmowy podjąć mieli przedstawiciele władzy z przedstawicielami Lecha Wałęsy. Nie było symetrycznego układu partia - „Solidarność”.

- W rozmowach ani przez chwilę nie było wątpliwości, że reprezentujemy „Solidarność”. Mówiliśmy o sobie my – „Solidarność” – i oni na ogół też tak się do nas zwracali, choć czasami próbowali stosować inne formuły. Ciosek zwykł na przykład mówić „wy – opozycja”, ale my zawsze mówiliśmy o sobie „Solidarność” i oni to przyjmowali.





JĄŁOWY BIEG



KRZYSZTOF MILLER/AG

Obrady Okrągłego Stołu zaczęły się 6 lutego po południu w warszawskim Pałacu Namiestnikowskim przy Krakowskim Przedmieściu. Zaczęły się z półgodzinnym opóźnieniem spowodowanym kontrowersjami dotyczącymi obsługi prasowej. W ostatniej chwili okazało się, że strona rządowa przygotowała kilkadziesiąt miejsc dla „swoich” dziennikarzy i zagranicznych korespondentów. Nielegalnej prasie opozycyjnej przyznano zaledwie symboliczną pulę. Po parogodzinnych negocjacjach udało się wydobyć kilka dodatkowych zaproszeń dla dziennikarzy niezależnych. Rozmowy ruszyły. Pamiętam napięcie, z jakim oczekiwano na wyniki negocjacji prowadzonych osobiście przez Tadeusza Mazowieckiego. Byli wówczas i tacy, którzy przepowiadali, że cały proces może się rozbić o tę pierwszą rafę.

– Ale się nie rozbił i nie wydaje mi się, żeby rzeczywiście były wówczas takie obawy. Zbyt wiele obie strony zainwestowały w doprowadzenie do rozmów, żeby zgodzić się na utratę nadziei, które one niosły. Po obu stronach stołu mieliśmy przecież poczucie ogromnej wagi tego procesu, choć oczywiście nasze oczekiwania były odmienne.

Oczekiwania władzy określił w swoim przemówieniu generał Kiszczak. Mówił o zgodzie na pluralizm związkowy, o nowym modelu życia publicznego, który miał jednak gwarantować nienaruszalność socjalistycznych podstaw ustrojowych, oraz o współodpowiedzialności za reformy gospodarcze. Odpowiedź Wałęsy zaczęło oświadczenie, że przyjmuje wszystkie propozycje Kiszczaka, ale po

ROK 1989

nim następowało to, czego społeczeństwo oczekiwało. Szczerze powiedział, co wszyscy czuli: że Polska jest na skraju katastrofy i że musimy doprowadzić do przeistoczenia państwa partii w państwo narodu. Upomniął się nie tylko o legalizację „Solidarności”, ale też o „Solidarność” rolniczą, Niezależne Zrzeszenie Studentów i związki twórcze. Mówił o potrzebie demokracji, o rządach prawa, suwerenności narodu, miejscu Polski w Europie. Jasno stwierdził, że tak jak do tej pory, dalej być nie może. Przekazano mi później, że zdaniem strony rządowej było to niezwykle ostre przemówienie. Rakowski i Jaruzelski odebrali je podobno jako niepojednawcze i nieprowadzące do porozumienia.

Czy słysząc dysonans między tymi wystąpieniami, wierzył Pan, że obrady mogą się zakończyć porozumieniem?

– Ten dysonans nic nie zmieniał, choć ukazywał przestrzeń, którą trzeba było pokonać, żeby porozumienie osiągnąć. Ale też istnienie tej dzielącej dwie strony stołu przestrzeni było zupełnie oczywiste, zanim jeszcze obrady się zaczęły. Gdybym nie wierzył, że będziemy w stanie ją pokonać, tobym przy tym stole nie siedział.

A propos „siedział”. Skład grupy „solidarnościowej” wzbudził istotne kontrowersje. Na przykład nieobecność reprezentacji NZS.

– O ile pamiętam, NZS miał kłopoty z wytypowaniem jednego przedstawiciela, bo w konspiracji doszło do dublowania struktur. My zaś w ostatniej chwili musieliśmy skreślić część osób zapraszanych przez Lecha Wałęsę. Skreśliliśmy na przykład Janusza Onyszkiewicza*.

Dlaczego?

– Z przyczyn bardzo prozaicznych. Po dokonaniu przymiarek okazało się, że wokół stołu zmieści się mniej osób, niż poprzednio sądzono.

Kto decydował o tym, kogo do stołu zaprosić, a kogo skreślić?

***Janusz Onyszkiewicz** – od września 1980 roku jeden z czołowych działaczy „S” w Regionie Mazowsze, od 1981 roku członek prezydium jej Komisji Krajowej, rzecznik Związku. Później poseł, minister obrony, dziś europoseł.

JAŁOWY BIEG

– Propozycję składu zespołów układaliśmy razem ze Stelmachowskim, Wielowieyskim i Mazowieckim. Natomiast skład delegacji „Solidarności” na obrady plenarne został ustalony przez KKW. Sugerowaliśmy, żeby znalazło się w niej jak najwięcej działaczy związkowych. Musiało być jasne, że to Związek prowadzi negocjacje z władzami. Delegacja związkowa została poszerzona o grupę ekspertów, których również zapraszał Lech Wałęsa.

Wałęsa nie był tego dnia jedynym mówcą naszej strony. Poza nim głos zabrali też Józef Ślisz, szef „Solidarności” rolniczej, i Jerzy Turowicz, redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego”. Dlaczego właśnie oni?*

– To zdecydowało się jeszcze w Magdalence. Propozycja wyszła od Wałęsy. Było oczywiste, że skoro z tamtej strony wystąpi przedstawiciel ZSL, to Ślisza też zabraknąć nie może. Turowicz mówił zaś jako doradca, ekspert, przedstawiciel świata intelektualnego. W ten sposób prezentowaliśmy trzy nurty „Solidarności” – robotniczy, chłopski i inteligencki. Współdziałanie tych trzech nurtów było kwestią o znaczeniu zasadniczym. Dzięki niemu Okrągły Stół mógł się odbyć. Działając osobno, nie mieliśmy szans w starciu z komuną.

*Przy Okrągłym Stole te szanse miały zostać nazwane, skatalogowane i wstępnie skodyfikowane. W jakim stopniu proces, który miał się rozpocząć dwa dni po uroczystej inauguracji Okrągłego Stołu, był rzeczywistym procesem negocjacyjnym, a w jakim teatrem czy spektaklem mającym „uspołecznić” podjęte wcześniej decyzje, jak to sugeruje Krzysztof Wyszkowski**?*

– Ależ gdy rozpoczynaliśmy obrady, nic nie było jeszcze ustalone. Proszę porównać dwa przemówienia reprezentującego ZSL profesora Kozakiewicza*** wygłoszone na obu plenarnych posiedzeniach.

Na posiedzeniu ostatnim wygłosił tekst zawierający wielką perspektywę, mówił o konieczności demokratyzacji, zwracał się przeciwko dotychczasowemu monopolowi PZPR. Aż trudno uwierzyć,

***Józef Ślisz** – od 1980 roku organizator i działacz Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Rolników Indywidualnych „S”, od 1987 szef Tymczasowej Krajowej Rady Rolników „S”.
 **W wywiadzie, jaki z tym działaczem opozycji z Gdańska przeprowadził Krzysztof Czabański („Spod stołu”, paryska „Kultura”, lipiec-sierpień 1989). W III RP Wyszkowski od lat zwalcza Lecha Wałęsę jako domniemanego TW „Bolka”.

*****Mikołaj Kozakiewicz** – profesor socjologii, członek prezydium Naczelnego Komitetu ZSL.

ROK 1989

że dwa miesiące wcześniej ten sam człowiek straszył sowiecką interwencją, którą „Solidarność” ściąga na Polskę. To jest miara zmian, które nastąpiły w czasie trwania rozmów Okrągłego Stołu.

Pan przewodniczyć miał stronie „solidarnościowej” zespołu do spraw reform politycznych. Czy przystępując do negocjacji, miał Pan ukształtowaną wizję tych reform, które powinny się dokonać?

– Tak, i przedstawiłem ją zaraz na początku prac naszego zespołu, na jego pierwszym posiedzeniu, które odbyło się 10 lutego, w cztery dni po uroczystej inauguracji. Celem tych zmian było przeobrażenie państwa jednej partii w państwo narodu. Uważaliśmy, że szansę po temu dają zarówno sytuacja społeczna, deklarowany stan świadomości władz, jak i kryzys systemowy powodujący rozpad gułagowego modelu rządów. Punktem wyjścia tych zmian miała być legalizacja „Solidarności”, którą uważaliśmy zarówno za dowód dobrej woli władzy, jak też za gwarancję trwałości całego procesu. Nasze myślenie o reformie uporządkowane było w dwóch horyzontach czasowych. Horyzont natychmiastowy obejmował to, co uważaliśmy za konieczne do rozpoczęcia procesu i możliwe w ówczesnej sytuacji, a więc przede wszystkim przywrócenie niezawisłości sądom, wolność stowarzyszeń, likwidację partyjno-państwowego monopolu w prasie i telewizji oraz stworzenie autentycznego samorządu terytorialnego. Na dalszym, docelowym horyzoncie znajdowała się Polska wolna i demokratyczna.

Brzmi to pięknie, ale nie dość konkretnie.

– Przygotowaliśmy sporo konkretów, zwłaszcza w dziedzinach takich jak sądownictwo, gdzie dysponowaliśmy katalogiem koniecznych zmian ustawowych, ale wiele kwestii musiało się kształtować dopiero w toku negocjacji. Była to specyfika tego zespołu, po obu stronach obsadzonego bardzo mocno. Z ich strony był to może jedyny zespół, w którym uczestniczyli ludzie mający poważny wpływ na proces decyzyjny. Z naszej strony mieliśmy natomiast grono wyśmienionych ekspertów i wybitnych polityków. Tworzyli je: Piotr Baumgart, Ryszard Bender, Zbigniew Bujak, Aleksander Hall, Jarosław Kaczyński, Krzysztof Kozłowski, Marcin Król, Jacek Kuroń, Bogdan Lis, Tadeusz Mazowiecki, Adam

JAŁOWY BIEG

Michnik, Edmund Osmańczyk, Ryszard Reiff, Antoni Stawikowski, Stanisław Stomma, Adam Strzembosz, Janina Zakrzewska...
...i Pan.

– ...i jeszcze znakomity ekspert Jerzy Ciemniowski oraz nasz sekretarz Piotr Pacewicz*, którego rola była znacznie większa, niż to wynikało z jego formalnie technicznej funkcji.

W tym gronie można było podejmować najtrudniejsze debaty i negocjacje, zwłaszcza że nasi negocjacyjni partnerzy posiadali nie tylko możliwości decyzyjne, ale również pewne kompetencje intelektualne. Zdawaliśmy sobie sprawę, jak trudno będzie wypracować kompromis i jak poważna czeka nas debata, ale rozumieliśmy, że będzie to zadanie tyle polityczne, co intelektualne. Odwoływaliśmy się przecież do trudnej filozofii okresu przejściowego, filozofii zakładającej pewną stałą dynamikę, której mają być poddane rozwiązania przez nas dyskutowane. Odwołując się do tej filozofii, zyskiwaliśmy jednak po drugiej stronie sojusznika w postaci reprezentacji Stronnictwa Demokratycznego, które też o okresie przejściowym przyjęło na swoim zjeździe. Dzięki temu SD zaczęło się przesiadać bliżej naszej strony. Nie stawialiśmy natomiast sprawy kontraktu wyborczego. Co więcej, we wstępnym

***Piotr Baumgart** – działacz NSZZ RI „S” ze Szczecina, od 1987 roku wiceszef Tymczasowej Krajowej Rady Rolników „S”. **Ryszard Bender** – historyk, profesor KUL, poseł na Sejm IX kadencji (1985-89); dziś senator PiS. **Aleksander Hall** – historyk, publicysta, działacz opozycji demokratycznej, współzałożyciel Ruchu Młodej Polski, w latach 1982-84 członek podziemnej Regionalnej Komisji Koordynacyjnej „S” w Gdańsku. W rządzie Tadeusza Mazowieckiego będzie ministrem ds. współpracy z partiami politycznymi i stowarzyszeniami. **Jarosław Kaczyński** – współpracownik KOR, od 1983 roku – podziemnej Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej „S”, jej władz krajowych; jeden z sekretarzy Krajowej Komisji Wykonawczej „S”; dziś prezes PiS. **Krzysztof Kozłowski** – dziennikarz, publicysta, wówczas zastępca redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego”. **Marcin Król** – historyk idei, publicysta, redaktor naczelny miesięcznika „Res Publica”. **Bogdan Lis** – uczestnik strajku w Stoczni Gdańskiej i wiceprzewodniczący Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w sierpniu 1980 roku, w stanie wojennym członek TKK „S”; członek KKW „S”. Dziś poseł PD. **Antoni Stawikowski** – astrofizyk, docent w Centrum Astronomicznym im. Mikołaja Kopernika w Toruniu; w 1981 roku szef Zarządu Regionu Toruń „S”; członek KKW „S”. **Adam Strzembosz** – prawnik, sędzia, profesor KUL; w 1981 roku członek Zarządu Regionu Mazowsze „S”. Będzie prezesem Sądu Najwyższego. **Janina Zakrzewska** – profesor prawa konstytucyjnego, od 1980 roku w grupie prawników „S”, przygotowującej raporty i ekspertyzy dla Związku. **Jerzy Ciemniowski** – prawnik, adiunkt w Instytucie Państwa i Prawa PAN, współpracownik „S”. **Piotr Pacewicz** – psycholog, dziennikarz podziemnego „Tygodnika Mazowsze”; dziś zastępca redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej”.

ROK 1989

zarysie naszego programu mówiliśmy, że model polityczny, jaki chcemy sformułować, jest podporządkowany zasadom równości obywateli, pluralizmu orientacji politycznych, regułom przedstawicielskim, wolnym wyborom i niezależności sądów. Słowa nie było o zgodzie na kontrakt wyborczy, który w zamiarze władz miał się stać przedmiotem naszych rozmów.

Dlaczego oni mieliby to wszystko dać?

– A dlaczego my nie mieliśmy tego żądać?

Mieliśmy świadomość, że przyszła chwila, w której możemy zwrócić się do opinii publicznej jej własnym językiem, który jest także naszym językiem naturalnym. Wiedzieliśmy, że władza oczekuje, iż w wyniku tych rozmów zapłacimy polityczną cenę za „Solidarność”. Ale to nie od nas miała wyjść propozycja płacenia. To im musiała przejść przez gardło zasada kontraktu dzielącego miejsca w Sejmie bez pytania społeczeństwa o zdanie. A komuniści bardzo nie lubili niczego, co naruszało estetykę polityczną. Ogromnie cenili przestrzeganie swoich konstytucyjnych przepisów, bardzo często się do konstytucji odwoływali. Profesor Bafia* zapewniał nas nawet, że jakiejś decyzji nie można podjąć, bo ona należy do kompetencji Sejmu. Kiedy odmawiałem poważnego traktowania takich oświadczeń, bo wszyscy wiedzieliśmy przecież, że ich posłowie byli tylko posłusznymi wykonawcami decyzji zapadających gdzie indziej, mówili mi, że obrażam Sejm, i grozili, że to jest karalne. Z wolna musiało dojść do poważnych rozmów o kontrakcie, ale postanowiliśmy, że sami nie założymy sobie obroży.

W czasie pierwszego spotkania stolika politycznego mimo wielogodzinnej debaty nie doszło do sformułowania propozycji faktycznej treści kontraktu politycznego. Kiedy teraz przypominam sobie przebieg tamtych rozmów, odnoszę wrażenie, że nikomu nie spieszyło się do jasnego określenia, o co naprawdę chodzi.

– Dla nas to było założenie strategiczne. Codziennie odbywaliśmy spotkanie, na którym ustalaliśmy, jakie są postępy w poszczególnych zespołach. Postanowiliśmy, że żadne rozstrzygnięcie przy

*Jerzy Bafia - prawnik, członek PZPR, w latach 1976-81 minister sprawiedliwości.

JĄLOWY BIEG

Tadeusz Mazowiecki, Lech Wałęsa, Bronisław Geremek
i Mieczysław Gil na konferencji prasowej



Nie przemawialiśmy już tylko
do czytelników powielanych
podziemnych gazetek. Zwracaliśmy się
do polskich rodzin, do całego narodu

żadnym stoliku, podstoliku ani w żadnym zespole negocjacyjnym nie zapadnie, dopóki nie uzyskamy decyzji o legalizacji „Solidarności”. Rozszerzaliśmy więc front, rozwijaliśmy negocjacje i czekaliśmy, co się będzie działo w zespole pluralizmu związkowego. Tymczasem druga strona szukała konfliktu i dochodziło do ostrych starć. Był to dyskurs – powiedziałbym – nie pragmatyczny, ale polityczny. Sprawy praktyczne załatwić miały zespoły robocze do spraw ordynacji wyborczej, do spraw samorządu, stowarzyszeń, środków przekazu.

Przyjęliście więc taktykę uników i przerzucenia na władzę całego ciężaru tych rozmów. Ku mojemu zdziwieniu władza ten układ przyjęła. Przyjmując go, stawiała się w niezwykle trudnej sytuacji. W rezultacie, dążąc do uzyskania legitymizacji swojego panowania, zaakceptowała rozwiązania, które ją tego panowania pozbawiły. Wymyśliła kontrakt 60:40, który faktycznie odbierał komunistom większość w Sejmie, zdając ich na niepewną łaskę koalicyjnych sojuszników; zaproponowała Senat, który w każdym układzie odbierał jej szansę panowania absolutnego – sama zakładała sobie pętlę na szyję. Role się odwróciły. To oni płacili, nie wy – i sami proponowali cenę.

– W tych negocjacjach nie narzucaliśmy sobie żadnych samoo graniczeń. O sprawie Senatu rozmawialiśmy w naszym zespole reform politycznych Komitetu Obywatelskiego przed rozpoczęciem obrad Okrągłego Stołu. Rozważaliśmy też różne inne scenariusze. Była na przykład propozycja, żeby nowe wybory załatwić plebiscytem. Obie strony zgłosiłyby swoje listy zgodnie z ustalonymi w kontrakcie proporcjami i społeczeństwo akceptowałoby je *en bloc*. Na szczęście niemal wszyscy byli przeciwko takiemu rozwiązaniu. Doszło wtedy do bardzo ostrego konfliktu między Jackiem Kuroniem i Adamem Michnikiem a braćmi Kaczyńskimi. Adam i Jacek uważali, że trzeba upierać się przy wyborach konkurencyjnych, bo one wprowadzają mechanizm demokratyczny, który sam w sobie jest zaraźliwy. Bracia Kaczyńscy optowali za formułą plebiscytu. Mieliśmy więc przemyślane bardzo różne scenariusze. Wiedzieliśmy, czego oni nie chcą, i od

JAŁOWY BIEG

początku te nasze przewidywania się sprawdzały. Na utworzenie zespołu środków przekazu, który miał zająć się sprawą naszego dostępu do mass mediów, nie chcieli się zgodzić do końca. Udało nam się tylko powołać grupę roboczą w ramach zespołu politycznego. Nie godzili się na jakiegokolwiek rozmowy, których zakres wykraczałby poza sprawę prasy związkowej. Właściwie tematem rozmów miała być tylko kwestia wznowienia „Tygodnika Solidarność”.

Metodą faktów dokonanych wprowadziliśmy jednak sprawy cenzury, telewizji i stworzenia niezależnej gazety.

Jak na to reagowali?

– Zrazu się opierali, a potem zaczęli się cofać. I nie cofali się na z góry upatrzone pozycje. Wycofywali się w popłochu. Wszystko rozgrywało się na oczach opinii publicznej, a przed nią bardzo trudno im było wytłumaczyć, dlaczego nie chcą zaakceptować naszych, brzmiących rozsądnie i umiarkowanie propozycji. Nie żądaliśmy przecież zniesienia cenzury, a tylko jej ograniczenia. Nie chcieliśmy odebrać im telewizji, a tylko prosiliśmy o niewielkie okienka dla siebie. W sytuacjach publicznych, a rozmowy Okrągłego Stołu miały jednak publiczny charakter, oni stawali się więźniami własnych słów. Mówili przecież, że Polska jest krajem demokratycznym. Mieliśmy nie tylko demokrację, ale nawet demokrację ludową. Nie mogli teraz nagle powiedzieć publicznie, że nie pozwolą ludowi mówić, co myśli, ani decydować, kto ma być w parlamencie. Nie mogli powiedzieć, że nie dadzą zgody na wydawanie naszych gazet, bo prasa ma być ich. To się powiedzieć nie dawało. Mogli co najwyżej postawić nam pytanie: „Czy wy właściwie chcecie socjalizmu, czy chcecie go obalić?”.

Któryś z waszych rozmówców powiedział w czasie tych rozmów: „Umówmy się, że jesteśmy za socjalizmem, a potem się zastanowimy, co to znaczy”.

– To było już wtedy, kiedy pojawiła się szansa porozumienia. Oni też przecież rozumieli, że skoro zaangażowali się w te rozmowy, powinni zakończyć je sukcesem.

ROK 1989

Sądzi Pan, że mieli wówczas świadomość swojej dekadencjonalnej sytuacji, świadomość schyłku epoki „socjalizmu realnego”?

– Tego nie wiem, ale pamiętam, jak w czasie którejś z rozmów magdalenkowych jeden z nich powiedział mi: „Przecież naprawdę chodzi o to, że trzeba rozbroić tę partię. Póki ona jest taka, jaka jest, nic się w Polsce nie zmieni. A rozbroić ją można tylko pod parasolem jednego człowieka – generała Jaruzelskiego”.

Czy to wydawało się Panu wiarygodne?

– Nie, nie mogliśmy temu uwierzyć. My w ogóle nie wierzyliśmy tamtej stronie. Za każdym razem przyjmowaliśmy robocze założenie, że oni dotrzymają słowa, ale żadnej pewności oczywiście nie było. Podejmując rozmowy, musieliśmy jednak przyjąć takie założenie techniczne, a nic lepszego niż rozmowy nie mogliśmy wymyślić. Wierzyliśmy tylko w jedno – w ich przekonanie, że rządzić tak jak do tej pory już się dalej nie da. Wiedzieli, że Polska musi się zmienić. Liczyli się z tym, że na końcu drogi, na którą wkraczają, Polska będzie normalnym krajem.

A co z nimi?

– Oni mieli się stać normalną partią polityczną.

Wierzyli w to szczerze?

– Niektórzy tak, a inni nie. Znamienne jest to, że nie potrafiły sobie tego wyobrazić nie tylko zakute głowy z aparatu partyjnego, ale także wielu ludzi z partii zewnętrznej – nawet poważne postaci z partyjnego środowiska uniwersyteckiego mówiły: „Z tego nic nie wyjdzie, to jest zdrada”.

Reykowski?

– Nie, Baszkiewicz*.

To była kwestia wyobraźni w całej tej niemal nieprzewidywalnej sytuacji. I nie da się teraz udowodnić, że tak musiało być. Oni mogą się zastanawiać, czy nie popełnili błędu. Ja też nie mam poczucia, że to wszystko było nieuchronne w tym czasie i w tym miejscu. Może tak, a może nie. A gdyby oni inaczej tę sytuację zrozumieli? Gdyby próbowali ją rozwiązywać w inny sposób? Być może

*Jan Baszkiewicz – historyk, profesor UW.

JAŁOWY BIEG

nie bylibyśmy dziś tu, w gmachu Sejmu, i nie prowadzilibyśmy tej rozmowy w taki sposób. Co więcej, mogła być zupełnie inna sytuacja w Europie. Może do dziś, a może jeszcze bardzo długo stałby berliński mur*. Nie wierzę w determinizm historyczny zakładający, że to wszystko musiało się stać. Nie, to wszystko nie musiało się stać w tym momencie i w tym miejscu.

A mogło być jeszcze lepiej?

– Ja wierzę, że poszło najlepiej, jak mogło. Najlepiej, jak mogło, szło przez cały ten czas aż do końca 1989 roku. Dopiero potem zaczęliśmy tracić naszą szansę.

Wracam do rozmów Okrągłego Stołu. Powiedział Pan, że nie było waszym zadaniem ułatwianie drugiej stronie sytuacji. Dla mnie zaskakujące było jedno zdanie Jacka Kuronia, który na pierwszym posiedzeniu zespołu do spraw reform politycznych oświadczył wprost, że trzeba zagwarantować przejściową i pewną przewagę partyjnej koalicji. Czy taki był rzeczywistość stan waszej świadomości? Czy też może Kuroń stosował negocjacyjną technikę polegającą na uspokajaniu przeciwnika?

– Kuroń zwykle mówi prawdę. Skoro tak mówił, znaczy, że tak uważał. „Nie ma innej rady, ci, którzy rządzą, muszą mieć poczucie bezpieczeństwa”. Było w tym wiele racji. Dysponowali przecież wszystkimi środkami przymusu. Gdyby nie mieli poczucia bezpieczeństwa, odwołaliby się do siły. Kuroń uważał to za realną podstawę całego kontraktu politycznego.

Niekiedy negocjatorom Porozumienia Gdańskiego z 1980 roku zarzuca się, że fatalnym błędem było uznanie kierowniczej roli PZPR. A przecież zawarta w tym dokumencie formuła kierowniczej roli partii w państwie oznaczała ograniczenie jej dotychczasowej roli do samego tylko państwa i jego aparatu. Ówczesny stan faktyczny był zaś taki, że partia sprawowała kierowniczą rolę nie tylko w państwie, ale w całym społeczeństwie, w każdym przejawie życia społecznego miała głos decydujący. Powstanie niezależnego związku zawodowego tę kierowniczą rolę naruszało.

*Mur dzielący Berlin na część wschodnią i zachodnią. Runął 9 listopada 1989 roku.

ROK 1989

To samo było dziewięć lat później przy Okrągłym Stole. Czy my zgodziliśmy się na 65 procent dla komunistów? Czy my im te 65 procent dawaliśmy? Nie, bo oni mieli już 100 procent. My zaś zgodziliśmy się na to, żeby ze swoich 100 procent oddali narodowi 35. Naszym punktem wyjścia nie były przecież wolne wybory i demokratyczny ustroj. Wychodziliśmy od systemu, w którym społeczeństwo nie miało do powiedzenia nic. Nikt nie pytał narodu, kto ma siedzieć w Sejmie. Przez 40 lat decydowała o tym partia.

Wierzył Pan, że Polska wytrzyma jeszcze ileś następnych lat rządów komuny?

– Rządów komuny już nie było. Rządy komuny to są rządy monopolu. W monopolu leży ich właściwa istota. Oni ten monopol zaprzeczali przez sam fakt zawarcia kontraktu, a nawet w pewnym sensie przez podjęcie rozmów. Sami sobie kopali grób. Wynikało to z nadmiernej wiary w możliwości adaptacyjne systemu, a także z irracjonalnego przekonania, że potrafią dostosować się do nowych wyzwań – również do wyzwania demokracji. Wiedzieliśmy więc, że nie będzie już mowy o rządach komuny, choć nigdy nie sądziłem, że tak szybko uzyskamy tak wiele. Gdybyśmy jednak uzyskali nawet znacznie mniej, i tak wprawialiśmy w ruch maszynę demokratyczną. Tu nie było mowy o samoodradzaniu się komuny. To było jej samounicestwienie.

Czy to właśnie jest istota różnicy między liberalizacją proponowaną przez Rakowskiego a demokratyzacją, która była waszym celem?

– Tak, uważałem, że liberalizacja, którą już wielokrotnie podejmowano, prowadziła donikąd. Jej istota polegała na przywróceniu systemowi homeostazy. Ten system potrzebował liberalnych otwarć, które czyniły go znośniejszym i z których w każdej chwili można się było wycofać, zaostrzając cenzurę albo wprowadzając bardziej represyjny wymiar sprawiedliwości. Demokratyzacja musiała zaś prowadzić do samounicestwienia całego systemu.

Pierwsze spotkanie zespołu do spraw reform politycznych zakończyło się bezkonkluzyjnie. Jego puentą był Pański postulat i obietnica Reykowskiego przygotowania katalogu propozycji na posiedzenie następne.

JAŁOWY BIEG

– Wiedziałem, jakie to będą propozycje, ale chciałem ich zmusić do tego, żeby je z siebie oficjalnie wykrztusili, żeby je sami publicznie wypowiedzieli.

Niezupełnie rozumiem, skąd Pan wiedział, jakie będą te propozycje. Nie wynikało to przecież jasno z przebiegu spotkania w Magdalence. Czy znał je Pan z jakichś innych źródeł?

– Z wcześniejszych rozmów. Zanim doszło do spotkania w Magdalence, mieliśmy już za sobą dylemat, czy za legalizację „Solidarności” godzimy się zapłacić kontraktem politycznym dotyczącym wyborów do Sejmu. Zdecydowaliśmy się.

Na kontrakt wyborczy – tak, na kontrakt prezydencki – nie.

– Tak to wyglądało w Magdalence, ale nie tylko my prowadziliśmy grę. Do sprawy prezydenta oni wrócili już 18 lutego, na drugim posiedzeniu naszego zespołu. Wystąpił z nią Piotr Winczorek* reprezentujący SD, które od paru lat wносиło propozycję powrotu do prezydentury. Znów odrzuciłem ją wówczas bardzo zdecydowanie i w ogóle nie podjęliśmy na ten temat dyskusji ani nie utworzyliśmy prezydenckiego zespołu roboczego, jak proponowała strona rządowa. Prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że władze odstąpią od idei prezydenta.

*Tego dnia zasadnicza debata dotyczyła ordynacji wyborczej. Jak Pan sądzi, dlaczego propozycję dotyczącą ordynacji referował właśnie Kazimierz Cypryński** – zdecydowanie twardogłowy, a przy tym niższy rangą od stojącego na czele delegacji Reykowskiego?*

– Przypuszczam, że chodziło o zaangażowanie Cypryńskiego w samą tę formułę, która była dla nich niezwykle ryzykowna. Wtedy po raz pierwszy, właśnie ustami Cypryńskiego, władza złożyła publicznie propozycję takiego ukształtowania przyszłego Sejmu, w którym partia nie miałaby zagwarantowanej bezwzględnej większości. Cypryński mówił więc nie tyle do nas, ile do swoich nieobecnych, ale dobrze informowanych kolegów z Biura

*Piotr Winczorek – prawnik, konstytucjonalista, później profesor UW.

**Kazimierz Cypryński – inżynier rolnik, członek Biura Politycznego KC.

ROK 1989

Politycznego, Komitetu Centralnego i partyjnego aparatu, a my zdawaliśmy sobie z tego sprawę.

Propozycję prezydencką odrzucił Pan, ale wciąż leżała ona na stole. Drugą stronę odrzuciła zaś tego dnia wasza, zgłoszoną przez Janninę Zakrzewską, koncepcję ordynacji wyborczej. Dla władz nie do przyjęcia było, aby swoją 65-procentową pulę miejsc partia i jej sojusznicy obsadzili, posługując się odpowiednio obszerną listą krajową, gdy o pozostałe mandaty miała się toczyć normalna demokratyczna walka wyborcza w jednomandatowych okręgach, przy czym każdy ważny głos byłby zarazem głosem na listę krajową. Z kolei wy stanowczo odrzucaliście propozycję jednej kartki wyborczej dla wszystkich kandydatów. Taki konflikt był dość oczywisty i łatwy do przewidzenia. Obok tych dwóch władze wprowadziły jednak i trzeci temat. Było nim powołanie Rady Porozumienia Narodowego, ciała nawiązującego wyraźnie do tradycji Frontu Narodowego czy też Frontu Jedności Narodu, a więc zastępujących pluralizm komunistycznych przybudówek. Ta propozycja otwierała perspektywę niezwykle groźną.

– Na ten temat bardzo dużo debatowaliśmy przed rozpoczęciem rozmów i mieliśmy w tej sprawie jasne stanowisko. Uznaliśmy jednak, że będziemy odkładali sprawę tak długo, jak tylko będzie to możliwe. Tak robiliśmy.

A jakie było wasze merytoryczne stanowisko?

– Nie odrzucaliśmy tej propozycji, uważaliśmy, że taka instytucja może być pożyteczna, ale musi posiadać własne instrumenty władzy. Wyobrażaliśmy sobie, że Rada mogłaby nadzorować wykonywanie porozumień Okrągłego Stołu. Podjęłaby także sprawy sądownictwa i środków masowego przekazu. Ryszard Reiff proponował uzupełnienie tej listy o politykę kadrową.

Uważaliśmy jednak, że zasadniczym celem Rady będzie kontrola polityki gospodarczej. Byłoby to także ciało dające szansę spotkania przedstawicielom władzy realnej. Wyobrażaliśmy sobie, że na takim forum Lech Wałęsa będzie się spotykał z ludźmi faktycznie rządzącymi krajem. Nasze opory wynikały jednak z tego, że u podstaw takiej formuły leżało przekonanie o nieważności parlamen-

JAŁOWY BIEG

tu i intencja pozostawienia go poza politycznym centrum decyzyjnym. Oznaczało to de facto pewną kontynuację stanu dotychczasowego. Gdyby bowiem parlament miał rzeczywiście funkcjonować jako parlament, Rada nie byłaby potrzebna.

Do propozycji powołania tej Rady oni wracali jednak wielokrotnie, nawet już po wyborach. Uważali, że może to być rodzaj zespołu wczesnego ostrzegania przed rodzącymi się konfliktami i nieporozumieniami. Były w tym rozumowaniu pewne elementy racjonalne, ale były też poważne zagrożenia, które ostatecznie przeważały.

Okrągły Stół rozpoczął obrady 6 lutego. Pański zespół zebrał się po raz pierwszy 10, po raz drugi 18 lutego, a trzeci raz dopiero 1 marca. Po blisko miesiącu obrad byliście na dobrą sprawę w punkcie wyjścia. Tymczasem w kraju narastało zniecierpliwienie. Przypomnę strajk w Belchatowie, który towarzyszył rozpoczęciu obrad, i burzliwe demonstracje studenckie w Krakowie oraz Warszawie. Było także wiele drobnych, mniej głośnych strajków i konfliktów płacowych, które wybuchały niemal w całej Polsce. Opadła wprawdzie wysoka fala niezadowolonia, która w styczniu doprowadziła do 173 konfliktów płacowych i 39 strajków, ale przecież ceny, które w ciągu pierwszego miesiąca tego roku wzrosły o 10 procent, rosły nadal, co groziło dalszymi wybuchami. Wydawało się, że najpoważniejsze zagrożenie dla rozmów stanowić mogą nie twarogłowi z KC, lecz robotnicy, którzy w końcu wyjdą na ulice, żeby upomnieć się o swoje pieniądze. W tym kontekście trudno zrozumieć spokój, z jakim prowadziliście negocjacje.

– Nie sądzę, żeby można było mówić o spokoju. Powiedziałem już, że zakładaliśmy powstrzymanie się od wszelkich ustaleń w sferze polityki czy gospodarki, póki sprawa dla nas podstawowa, czyli legalizacja „Solidarności”, nie będzie jasna. Tymczasem pojawiały się jakieś dziwne hamulce. Niby wszystko zostało zdecydowane, podstawowe trudności zdawały się przełamane z chwilą, gdy zapadła decyzja o jednorazowej legalizacji całego Związku, ale powstawały nowe problemy, których się nie spodziewaliśmy. Chodziło przede wszystkim o represjonowanych. Sprawa satysfakcji dla nich była w gruncie rzeczy kwestią oceny

13 grudnia. Tak to rozumiała strona rządowa. Gdy my mówiliśmy o zadośćuczynieniu krzywdom ludzkim, oni rozumieli, że chodzi o poddanie pod osąd publiczny decyzji wprowadzenia stanu wojennego. Powodowało to zatrzymywanie biegu negocjacji.

W zespole reform politycznych od początku wiedzieliśmy, co chcemy uzyskać, i wiedzieliśmy, że oni chcą, byśmy zapłacili cenę. Nasza strategia była bardzo prosta – usiłowaliśmy zamienić cenę na zysk społeczny. Zamiast legitymizować system, chcieliśmy uruchomić proces demokratyzacji. Mieliliśmy poczucie, że posuwamy się do przodu, chociaż posuwaliśmy się może nie dość szybko. Dlaczego nie szliśmy szybciej? Bo ludzie władzy znów nie mogli się zdecydować, co stanowi dla nich wystarczającą gwarancję, że w najbliższym czasie nie zejną z politycznej areny jako pokonani.

A nie obawiał się Pan, że proces narastania społecznej frustracji, który postępował niezwykle szybko, może unieważnić całą waszą negocjacyjną grę?

– Uważałem i uważam, że bez tego procesu narastania presji społecznej i społecznego zniecierpliwienia nie osiągnęlibyśmy przy Okrągłym Stole niczego. Proces Okrągłego Stołu odbywał się na huśtawce wiodącej nas od arogancji władzy do jej poczucia słabości czy bezsilności i z powrotem. Gdy fale arogancji wracały, nie można było dojść do żadnego porozumienia. Wtedy zaś, gdy pojawiały się oznaki społecznego zniecierpliwienia, posuwaliśmy się do przodu – nawet jeżeli werbalna reakcja władz była wobec nas agresywna, w negocjacjach ustępowano nam pola. W gruncie rzeczy oni nigdy nie ustępowali przecież przed nami, lecz właśnie przed zniecierpliwionymi robotnikami, przed groźbą społecznego wybuchu.

Wspomniał Pan, że postanowiliście nie zakładać sobie obroży, a jednak „Solidarność” ustami profesor Zakrzewskiej zgłosiła własny projekt ordynacji wyborczej. Była więc i wasza koncepcja płacenia.

– Nie, to nie była koncepcja płacenia i właśnie dlatego została przez drugą stronę z takim oburzeniem odrzucona. W gruncie rzeczy była to koncepcja zmierzająca w stronę wolnych wyborów. Oburzenie wynikało stąd, że władza była przekonana, iż przyjęliśmy już propozycję zgłaszaną przed rozpoczęciem obrad Okrągłego

JAŁOWY BIEG

go Stołu, zakładając kontrakt polityczny z podziałem miejsc, a nie jakieś wolne wybory. W naszym projekcie nie było kontraktu politycznego.

Ale było 160 miejsc zastrzeżonych dla listy krajowej, czyli dla władzy.

– Lista krajowa to była instytucja przedwojenna. Problem polegał na tym, jak zostałaby ona potraktowana. W projekcie Zakrzewskiej uzyskiwaliśmy jednak 300 poselskich mandatów poddanych wolnemu wyborowi. Ich wersja ograniczała zaś nasze szanse do 35 procent. Szliśmy więc dużo dalej, niż władza oczekiwała, i dalej, niż skłonna była nam pozwolić. Uznano, że łamiemy kontrakt.

Tego dnia zarysował się kryzys, którego rozwiązanie, o ile wiem, przynieść miały dopiero dwa kolejne spotkania w Magdalence. Nie dotyczył on tylko ordynacji wyborczej. Brak było bowiem także postępów w grupach roboczych, których sprawozdania zajęły 1 marca pół dnia. Szczególnie symptomatyczny był brak uzgodnień w kierowanym przez Krzysztofa Kozłowskiego zespole do spraw środków społecznego komunikowania. Opór władzy dotyczył nie tylko dostępu opozycji do telewizji, ale również spraw tak podstawowych i pozornie prostych jak przywrócenie przepisów o cenzurze uchwalonych przez Sejm w 1981 roku i utworzenie niezależnego dziennika, co wydawało się zupełnie oczywiste, skoro była już zgoda na pluralizm polityczny. Czy Pańskim zdaniem władza nie była jeszcze wówczas przygotowana na koncesje w tych sprawach, czy też opór, jaki stawiała, wynikał z prowadzonej przez nią negocjacyjnej gry? Może czekali z tymi decyzjami, aż wy odpuścicie sprawę wyborów?

– Sądzę, że nie byli na te koncesje przygotowani. Dopiero nasza presja skłoniła ich do rozważenia takich problemów. Naszym pierwszym sukcesem w tej dziedzinie było narzucenie planu negocjacji. Nawet gdy udało nam się te sprawy wprowadzić, uważali, że rozmowy mogą ostatecznie się odbyć, ale i tak niczego nie dadzą. Skoro jednak debata już się zaczęła, wysuwaliśmy postulaty i oni musieli na nie odpowiadać, a przecież – czego oni nie wzięli chyba pod uwagę – mieliśmy wówczas ograniczony, lecz jednak istotny dostęp do środków przekazu. Codziennie ktoś z nas występował w telewizji i mówił, czego się domagamy. Dla władzy był to czynnik nie-

ROK 1989

przewidziany czy też może niewkalkulowany w rachunek Okrągłego Stołu. Polska opozycja nigdy przecież nie miała dostępu do telewizji ani do krajowej prasy. Korzystaliśmy tylko z zewnętrznych środków przekazu, takich jak Wolna Europa, i z wydawnictw niezależnych, których zasięg był ograniczony do środowisk społecznie aktywnych, a więc poniekąd i tak przekonanych o naszych racjach. Teraz, zgodnie ze wstępnym porozumieniem, mogliśmy co wieczór mówić, że chcemy, aby cenzura przestała powodować spustoszenia w kulturze polskiej, albo że domagamy się dostępu do radia i telewizji, by społeczeństwo mogło usłyszeć, co myślimy. Tych naszych wypowiedzi nie wolno było cenzurować. Władza mogła z nimi co najwyżej polemizować. Ale jak tu z takimi postulatami przekonująco polemizować? Podobnie oczywiste postulaty wysuwaliśmy we wszystkich dziedzinach objętych rozmowami. Jak oni mogli polemizować z postulatem niezawisłości sądów? Jak z postulatem powoływania na kierownicze stanowiska najlepszych, a więc likwidacji nomenklatury? Myślę, że władzy – a w jakimś stopniu także nam – zabrakło wyobraźni, aby ocenić, jak ogromny będzie wpływ Okrągłego Stołu na opinię publiczną. Nie myśleliśmy wcześniej – ani my, ani oni – że gra Okrągłego Stołu w takim stopniu będzie toczyła się poza Pałacem Namiestnikowskim, w całym społeczeństwie. *Codziennie telewizyjne relacje z obrad były w pierwszych tygodniach oglądane powszechnie, ale z czasem jednak coraz mniej osób włączyło telewizory. Mam wrażenie, że w miarę przedłużania się obrad zainteresowanie nimi i wiara w ich powodzenie słabły.*

– Nie wydaje mi się, choć niewątpliwie rosło zmęczenie i niecierpliwość. Sprawy związków zawodowych, gdzie kontrowersje dotyczyły szczegółów, sprawy gospodarcze, w których toczył się pozornie jałowy spór, niektóre kwestie prawne mogły być nużące. Gdy jednak stawały problemy rzeczywiście polityczne, zainteresowanie było nieustanne, a zrozumienie opinii publicznej pełne. Dotyczyło to nawet niezawisłości sądów czy reformy kodeksu karnego.

Mimo że te sprawy interesowały bezpośrednio tak niewielki krąg osób?

– Takie miałem wrażenie. Niezwykle interesujące było dla ludzi także pojawienie się twarzy, których nigdy albo od dawna nie

JĄŁOWY BIEG

Po zakończeniu uroczystej inauguracji
Okrągłego Stołu Czesław Kiszczak i Lech Wałęsa
wznoszą toast za powodzenie obrad



Po obu stronach stołu mieliśmy poczucie
ogromnej wagi tego procesu,
choć oczywiście nasze oczekiwania
były odmienne

ROK 1989

mieli okazji oglądać. Teraz mogli zobaczyć w telewizji postaci znane tylko z agresywnej partyjnej propagandy.

W telewizji łatwo jest manipulować. Telewizja jest niebezpiecznym medium. Przekonał się o tym, oglądając program, w którym wystąpił Jacek Kuroń. Wypadł bardzo źle i został zdecydowanie źle odebrany. Tę samą wypowiedź nagrała nasza ekipa rejestrująca atmosferę Pałacu Namiestnikowskiego. W telewizji Jacek Kuroń wydawał się odpychający, agresywny, niesympatyczny. W naszym zapisie był taki jak w swoich późniejszych wtorkowych audycjach. Mieliśmy więc świadomość oraz dowody, że jesteśmy przedmiotem manipulacji, i dlatego zaostrzaliśmy kontrolę nad sposobem relacjonowania Okrągłego Stołu. Nad pracą kamer nie byliśmy jednak w stanie zapanować. One były w ich rękach. Mogliśmy tylko domagać się dotrzymania zobowiązań, że w nasze wypowiedzi nie będzie ingerowała cenzura i że będziemy mieli na antenie tyle samo czasu co druga strona.

Można by rzec, że to, co robiliśmy, było amatorskie. Nie mieliśmy przecież własnego fachowego aparatu, podczas gdy oni dysponowali całą sprawną, profesjonalną machiną telewizyjną. Mimo to telewizja dała nam niezwykle dużo, bo umożliwiła bezpośredni kontakt z masową widownią. Nie przemawialiśmy już tylko do czytelników powielanych podziemnych gazetek, ale zwracaliśmy się do polskich rodzin, do całego narodu.

Nazajutrz po impasie posiedzenia 1 marca odbyło się kolejne spotkanie w Magdalence. Czy jego celem było znalezienie – jak później wyraził się mecenas Siła-Nowicki – rozwiązań ponad głowami uczestników Okrągłego Stołu?

– Wszystkie te podejrzenia wobec Magdalenki nie mają żadnego uzasadnienia. Jestem może stroną w tej sprawie, bo od pewnego czasu bywałem w Magdalence, ale proszę mi wierzyć, że w trakcie tych spotkań nigdy nie zapadały decyzje, które można było podjąć przy Okrągłym Stole czy w zespołach roboczych. Do Magdalenki odwoływano się wówczas, gdy następowało zapętlenie i żadna ze stron nie wiedziała, jak z niego wybrnąć. W kamealnych warunkach Magdalenki te impasy udawało się przelamać.

JAŁOWY BIEG

Co się zaś tyczy stanowiska mecenasa Siły-Nowickiego – jedni krytykowali Okrągły Stół dlatego, że w nim nie uczestniczyli, drudzy krytykowali Magdalenkę dlatego, że nie byli tam zapraszani. W jednym i w drugim przypadku proces podejmowania decyzji był jednak w równym stopniu niekonstytucyjny, a nawet niedemokratyczny. Od początku odrzucaliśmy śmieszną hipotezę, iż PRL jest państwem, w którym rządzi prawo. Uznaliśmy, że monopol władzy należy do koalicji tworzonej przez armię i policję. Rozmawialiśmy więc z tymi siłami. W składzie zespołów Okrągłego Stołu niewielu było jednak ludzi mogących podejmować decyzje. Jakąż na przykład decyzję w sprawach środków masowego przekazu mógł podjąć Bogdan Jachacz*, partyjny współprzewodniczący podzespołu? Żadną. Dla tamtej strony telewizja była wszak przede wszystkim jednym z wielkich aparatów władzy. Wszelkie decyzje w tej sprawie podejmowało najwyższe kierownictwo polityczne.

Jaki był zatem sens powołania takiego zespołu, skoro i tak nie mogły w nim zapaść żadne decyzje?

– Ale można było w takiej grupie doprowadzić do postawienia pytań wymagających odpowiedzi najwyższych czynników. Decyzje zaś musiały być przyniesione z zewnątrz. Tylko w Magdalence rozmawialiśmy z autentycznymi decydentami. Nie było tam wprawdzie Jaruzelskiego i Rakowskiego, ale był Kiszczak, który wiedział, jakie decyzje może podjąć. Byli też Sekuła i Kwaśniewski**, upelnomocnieni przedstawiciele Rakowskiego. W Magdalence sprawy mogły się rozstrzygnąć i to była istota tamtych rozmów. *A czy nie niepokoiło Pana to, że dwaj najważniejsi aktorzy po stronie władzy – Jaruzelski i Rakowski, przewodniczący Rady Państwa, a przede wszystkim I sekretarz, oraz premier – byli w Magdalence nieobecni?*

***Bogdan Jachacz** – wówczas prezes Polskiej Agencji Prasowej.

****Ireneusz Sekuła** – wówczas wicepremier i przewodniczący Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów, **Aleksander Kwaśniewski** – minister-członek Rady Ministrów, członek prezydium rządu, przewodniczący Komitetu Społeczno-Politycznego Rady Ministrów; prezydent w latach 1995-2005.

ROK 1989

– Muszę wprost powiedzieć, że byłoby nam bardzo trudno rozmawiać z generałem Jaruzelskim czy z premierem Rakowskim. Nie przypadkiem w czasie późniejszego kryzysu prezydenckiego Wałęsa skłaniał się raczej ku kandydaturze generała Kiszczaka. Dla nas Jaruzelski był człowiekiem decyzji z 13 grudnia. Rakowski zaś to był ten polityk, który flekował Lecha Wałęsę w Sali BHP* i który zaczął swoje rządy od rozwiązania Stoczni Gdańskiej.

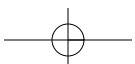
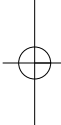
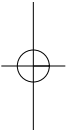
A Kiszczak był szefem policji realizującej stan wojenny.

– Ale od lat był także interlokutorem władz kościelnych, które miały do niego pewne minimum zaufania. To działało również na nas. Natomiast nieobecność Jaruzelskiego i Rakowskiego rozumieliśmy jako wyraz świadomych politycznych decyzji. Uważaliśmy, że Jaruzelski woli nie brać na siebie czy to związanej z udziałem w Okrągłym Stole kompromitacji wobec własnej bazy, czy też ewentualnej klęski. Rakowski zaś – jak sądziliśmy – nie był przychylny całemu temu procesowi. Sukces Okrągłego Stołu, w który Rakowski nie wierzył i którym był wedle naszej wiedzy zdziwiony, przekreślał perspektywę jego polityki.

Czy ta absencja podważała wiarygodność rozmów i porozumienia?

– Ich wiarygodność osłabiał sam system, w którym żyliśmy, my nie znaczyliśmy w nim nic, oni mieli wszystko. Założyliśmy jednak, że komuniści będą musieli dotrzymać słowa. Była to hipoteza ryzykowna, ale się sprawdziła.

*W 1983 roku Rakowski, wówczas wicepremier i m.in. przewodniczący Komitetu Rady Ministrów ds. Współpracy ze Związkami Zawodowymi, spotkał się w Sali BHP Stoczni (tej samej, w której podpisano w 1980 roku Porozumienia Gdańskie) z jej pracownikami, w tym z Wałęsą. Podczas dyskusji atakował go i wyśmiewał; został wygwizdany przez część stoczniowców.



OTWARCIE



ANNA PIETUSZKO

Na zakończenie posiedzenia zespołu reform politycznych 1 marca powiedział Pan, że nie otrzymaliście od władz odpowiedzi na zasadnicze pytanie: jak przy zachowaniu reguł uczciwej gry zrealizować zasady kontraktu, które stanowiły podstawę rozmów Okrągłego Stołu? Chodziło oczywiście o parytet 60:40 czy też 65:35, a więc w gruncie rzeczy o to, jak w demokratycznych wyborach zapewnić zwycięstwo zdecydowanie niepopularnego ugrupowania? Nie sądzę, żeby na to pytanie można było znaleźć konstruktywną odpowiedź. Niemniej w Magdalence musieliście ją sformułować. Konstanty Gebert pisze, że Magdalenka zamieniła się wówczas w mini-Okrągły Stół, wyznaczono bowiem grupy robocze, które obradować miały niemal bezustannie. Czy to znaczy, że nie obradowaliście już plenarnie?*

– Obradowaliśmy wyłącznie plenarnie, ale w poszczególnych grupach tematycznych wyznaczono wówczas pełnomocników stron, którzy w razie kolejnego zablokowania rozmów mieli rozwiązywać powstałe dylematy. Te pełnomocnictwa dotyczyły zwłaszcza sprawy przyszości Stoczni Gdańskiej i rozstrzygnięcia konfliktów społecznych.

Jak wyglądały te rozmowy?

– Tym razem strona rządowa nie przedstawiła jednolitej koncepcji. Proponowano nam różne rozwiązania i się z nich wycofywano. W cieniu Okrągłego Stołu i Magdalenki bez przerwy trwała

***Konstanty Gebert** (Dawid Warszawski) – publicysta prasy podziemnej, a dziś „Gazety Wyborczej”.

ROK 1989

walka polityczna powodująca, że nasi rozmówcy niekiedy wycofywali się z przyrzeczeń. To właśnie wtedy generał Kiszczak proponował naruszający wstępne porozumienie układ 70:20:10. Nagle nastąpiła taka wolta, której nie umieliśmy zinterpretować. Mówiłem panu, że tę propozycję odrzuciliśmy. Ale wróciła również sprawa prezydenta. Ją także odrzuciliśmy. Wówczas padła propozycja drugiej izby, którą generał Kiszczak chciał sformować z nominatów prezydenta według zgłoszeń dokonywanych przez PRON, „Solidarność” i różne inne organizacje. Powiedzieliśmy, że ta propozycja nie może być przedmiotem dyskusji, bo stanowi próbę wprowadzenia trzeciej – obok wyborów i prezydenta – cenny, jaką mielibyśmy zapłacić za „Solidarność”. Rozmowy znalazły się w kompletnym impasie. Wówczas, późną nocą, już po złożeniu przez tamtą stronę deklaracji, że wobec tego nie widzi możliwości porozumienia, Aleksander Kwaśniewski wysunął zupełnie nową propozycję. „Jaka – zapytał – byłaby wasza reakcja, gdyby w zamian za uznanie przez was instytucji prezydenta – nie było mowy o tym, kto ma prezydentem być! – posiadającego szerokie uprawnienia obejmujące rozwiązanie parlamentu, z naszej strony padła oferta stworzenia Senatu wyłanianego w całkowicie wolnych wyborach?”

Zapadło milczenie. Porozumiałem się z Wałęsą i odpowiedziałem, że to interesująca propozycja. Wtedy generał Kiszczak dorzucił, że jest to prywatna propozycja pana Kwaśniewskiego: „Proszę nie traktować jej poważnie, bo ta rozmowa ma tylko charakter sondażowy”. Na tym posiedzenie praktycznie się zakończyło. Gdy wstaliśmy już od stołu, wziął mnie jeszcze na bok Janusz Reykowski i powiedział, że propozycja Kwaśniewskiego jest nie do przyjęcia. „Nie możemy jej zaakceptować – mówił – bo dobrze wiemy, że w obecnej sytuacji, przy ogólnym niezadowoleniu, w wyborach tego rodzaju mamy nikłe szanse albo wręcz nie mamy żadnych szans”. Trafnie to przewidział. Pamiętam, że idąc do samochodu, mówiłem biskupowi Gocłowskiemu, iż gdyby udało się taki Senat uzyskać, mielibyśmy instytucję, w której realizowałby się majestat niepodległej Rzeczypospolitej. Nawet

OTWARCIE

gdyby ten Senat miał małe uprawnienia, zawsze on i tylko on byłby przedstawicielem Polski. Obaj sądziliśmy, że władze się z tej propozycji wycofają.

Ale się nie wycofały.

– Tak, ku naszemu zdziwieniu, na spotkaniu w węższym gronie, które odbyło się parę dni później, podtrzymali ofertę Kwaśniewskiego, a nawet przedstawili dość szczegółowy zarys tej koncepcji. *Co to znaczy „w węższym gronie”?*

– To znaczy przede wszystkim bez Wałęsy i Kiszczaka. W Magdalence ustalono, że w sprawie nowej propozycji pakietu politycznego najpierw spotka się grupa robocza, którą z naszej strony tworzyli Mazowiecki, Frasniniuk, Michnik, Trzeciakowski* i ja. Z ich strony, o ile pamiętam, byli Ciosek, Gdula, Kwaśniewski, Reykowski i Sekuła.

Tym razem spotkaliśmy się w Pałacu Namiestnikowskim. Muszę powiedzieć, że byłem szczerze zaskoczony, kiedy Gdula przedstawił projekt kontraktu: „Prezydent za demokratyczny Senat”. Także wtedy pierwszy raz wymienili nazwisko generała Jaruzelskiego jako kandydata do urzędu prezydenckiego. Odpowiadaliśmy, że kandydatura ta może podważyć społeczną wiarygodność całego kontraktu. Padła z naszej strony propozycja parosobowego dyrektoriatu, ale dla nich iunctim między Senatem, prezydenturą i osobą generała Jaruzelskiego było sprawą zasadniczą. Dyskusja na ten temat nie miała sensu, bo i tak w każdym przypadku mogli wybrać prezydenta, jakiego chcieli. Nie musieli pytać nas o pozwolenie. Uważaliśmy zresztą, że na razie ogromnym sukcesem są wolne wybory do Senatu. Nie mieliśmy przecież wątpliwości, że będą one stanowiły mechanizm bezwzględnie uruchamiający proces demokratyczny, a to wydawało się najważniejsze. Następna Magdalena, 7 marca, przyniosła powtórzenie tej oferty.

***Witold Trzeciakowski** – żołnierz AK, profesor w Instytucie Nauk Ekonomicznych PAN, od 1981 roku doradca „S”; 4 czerwca 1989 roku zostanie wybrany na senatora z Warszawy, 12 września tego roku zostanie ministrem-członkiem Rady Ministrów, przewodniczącym Rady Ekonomicznej.

Czy nie obawialiście się, że mimo całego niezadowolenia społecznego, mimo niechęci do komuny żywionej przez zdecydowaną większość Polaków, znów mogą zadziałać te mechanizmy, które przez lata dawały na pseudowyborach tak doskonałą frekwencję? Czy nie bał się Pan, że wybory do Senatu „Solidarność” może przegrać?

– Oczywiście, stale się obawialiśmy, że rozwiązania, na które stawiamy, obrócą się przeciwko nam. Druga strona miała w rękach cały aparat propagandy, całą maszynę organizacyjną, całą strukturę państwa, z której mogła zrobić użytek. Kiedy zaproponowano terminy wyborcze, okazało się, że na nic nie mamy czasu. A przecież brakowało nam i pieniędzy, i organizacji koniecznej do przeprowadzenia kampanii. Wiedzieliśmy, że dostęp do środków przekazu dostaniemy z łaski. Sądziliśmy jednak, że kiedy uzyskamy demokratyczne w 35 procentach wybory do Sejmu, w społeczeństwie powstanie już ogromne poruszenie. Kiedy do tych 35 procent teraz dodawaliśmy jedną izbę wybieraną zupełnie demokratycznie, uzyskiwaliśmy szansę rozbudzenia i zaktywizowania dużej części społeczeństwa. Uważaliśmy, że ten kontrakt przemówi do wyobraźni ogromnej części Polaków. I tak się stało.

Kontrakt wywołał społeczną mobilizację, która przyniosła sukces. Bo przecież nie zwyciężyliśmy tylko dlatego, że taka była wyjściowa sytuacja polityczna. „Solidarność” zdecydowanie wygrała kampanię wyborczą. Wygrała ją zaś dlatego, że w tę kampanię zaangażowało się tysiące, setki tysięcy ludzi. W krótkim czasie potrafiliśmy zorganizować wspaniałą strukturę, która od każdej wioski po szczebel krajowy funkcjonowała znakomicie i zdołała przeprowadzić wielką kampanię środkami ubogimi. Tego przy Okrągłym Stole nie mogliśmy przewidzieć. Rozumieliśmy, jaką szansę dają Polsce wolne wybory, ale nie przypuszczaliśmy, że społeczeństwo dźwigające balast czterdziestoletnich totalitarnych rządów będzie umiało tę szansę tak wspaniale wykorzystać.

A jednak 7 marca w Magdalence zdecydowaliście się zawrzeć zasadniczy kontrakt polityczny obejmujący prezydenturę, Sejm 65:35 i demokratyczny Senat.

OTWARCIE

– Tu on się tylko zarysował. Prawdziwe zawarcie kontraktu dokonano się dopiero ostatniego dnia obrad Okrągłego Stołu. Do końca istniała niepewność, czy zostanie on podpisany. Przy Okrągłym Stole mieliśmy jeszcze odbyć serię szczegółowych debat, w których wciąż pojawiały się nowe kontrowersje. Po impasie zdającym się przekreślać wcześniejsze nadzieje, szansa porozumienia wróciła w chwili, gdy pojawiło się skojarzenie urząd prezydenta – wolny Senat. Do zawarcia kontraktu oni niezbędnie potrzebowali gwarancji w postaci prezydentury, zakładali przecież, że przy takim układzie prezydent będzie ich. Przedmiotem sporu stało się wówczas prezydenckie prawo rozwiązywania parlamentu. Uzasadniając jego potrzebę, stosowali argumenty racjonalne i nie zawsze otwarcie cyniczne, w rodzaju: „mamy władzę i jej nie oddamy”. Niechybnie mieli rację, mówiąc, że „nikt nie wie, jak nowy parlament będzie funkcjonował, więc być może interes Polski będzie wymagał zlikwidowania go, jeśli zacznie destabilizować państwo”. Do tego rzeczywiście konieczny był prezydent.

Także do sformalizowania władzy partii.

– Tak, niewątpliwie. Komuniści nigdy nie traktowali parlamentu poważnie. W systemie, który stworzyli, Sejm był instytucją fasadową, pozorną, dekoracyjną. Nawet zakładając, że po tych wyborach musiał on zmienić swój charakter, wierzyli, iż będą w stanie nim manipulować. Chodziło im natomiast o stworzenie takiej instytucji, która stanie się prostą kontynuacją władzy partii.

Przy Okrągłym Stole partia zniknęła, a kontrakt zawieraliśmy przede wszystkim z wojskiem i z policją. Znamienne jest to, że po tamtej stronie ludzie wyrosli z partii – poza nielicznymi – stawiali opór ostrzejszy niż ludzie innych aparatów. Właśnie dlatego, że prezydent miał być zamiast partii. Instytucja prezydenta miała zastąpić w państwie kierowniczą rolę PZPR i w tym sensie stanowiła zwieńczenie trwającego całą dekadę procesu. Rok 1980, wytworząc instytucję niezależnych związków zawodowych, usunął kierowniczą rolę PZPR z życia społecznego. Przy Okrągłym Stole partia jako kierownicza siła w państwie ustępowała miejsca prezydentowi. Uznaliśmy, że demokratycznie wybrany Senat jest dla

ROK 1989

nas wystarczającym zadośćuczynieniem za to ustępstwo. Uzyskiwaliśmy przecież niezwykle potężny instrument demokratyzacji. *Jak zapadała decyzja o przyjęciu tej oferty? Jadąc 7 marca do Magdaleny, nie mieliście przecież pewności, że oferta prezydencka jest aktualna ani jaka dokładnie będzie jej treść.*

– Poprosiliśmy o przerwę i naradziliśmy się we własnym gronie pod przewodnictwem Wałęsy.

I nie było między wami rozbieżności?

– Nie było. W tej sprawie byliśmy zgodni. Różnice zdań pojawiały się między nami wtedy, gdy dyskutowaliśmy problem indeksacji*, gdy wracała sprawa komisji porozumiewawczej, gdy mieliśmy odpowiedzieć na propozycję wspólnej deklaracji. Usuwaliśmy je w toku dyskusji, nieraz długiej i gorącej, więc bywało, że przerwę zapowiedzianą na kwadrans przedłużaliśmy do półtorej godziny.

Czy te rozbieżności, które w roku 1990 miały się ujawnić wewnątrz obozu „Solidarności”, były już wówczas widoczne? Myślę na przykład o konflikcie między Panem a braćmi Kaczyńskimi.

– W bardzo małym stopniu. Przy Okrągłym Stole byliśmy niezwykle zdyscyplinowaną drużyną. Przed każdym spotkaniem ustalaliśmy scenariusz i umawialiśmy się, kto w jakiej sprawie będzie zabierał głos. Bardzo precyzyjnie i lojalnie realizowaliśmy te ustalenia. Nie sądzę, żeby wówczas można było mówić o istotnych rozbieżnościach wewnątrz naszej grupy negocjacyjnej.

I żaden z pojawiających się problemów nie wywołał kontrowersji?

– Żaden, choć oczywiście były różne pomysły. Jarosław Kaczyński wspólnie z docentem Winczorkiem reprezentującym SD wysuwał na przykład pewne modyfikacje zmierzające w kierunku bardziej demokratycznej czy też bardziej reprezentatywnej demograficznie formuły powoływania Senatu. Ja te propozycje popierałem, bo uważałem je za słuszne, ale się przy nich nie upierałem. Wydawały mi się jednak drugorzędne wobec możliwości wynegocjowania całkowicie wolnej i demokratycznej ordynacji senackiej, a spodziewałem się, że władza takiego rozwiązania nie przyjmie.

*Indeksacja – podnoszenie plac wraz ze wzrostem kosztów utrzymania lub cen.

OTWARCIE

Gdy zaakceptowaliśmy koncepcję wojewódzkich reprezentacji, powstała też kwestia naszej zgody na to, żeby wszystkie województwa otrzymały tę samą liczbę mandatów senatorskich. Niektórzy moi koledzy zwracali uwagę, że w takim układzie partia może uzyskać przewagę w wielu okręgach nieurbanizowanych. Poważnie braliśmy tę okoliczność pod uwagę. Niewątpliwie po stronie partyjno-rządowej właśnie ona decydowała o obstawaniu przy równej liczbie mandatów dla wszystkich województw. Z trudem zdołaliśmy wywalczyć po jednym dodatkowym mandacie dla Katowic i Warszawy. Niektórzy przedstawiciele tamtej strony mówili nam, że wedle ich sondaży w wyborach do Senatu my dostaniemy połowę mandatów, a drugą połowę oni. Proszę sobie teraz wyobrazić, jak dramatyczna była to sytuacja. Mówiłem: wyobraźmy sobie, że mają rację. Przecież wstyd pójdzie na całą Europę. Oto bowiem – może pierwszy raz w dziejach świata – komuniści ugruntowują swoją władzę w wolnych i demokratycznych wyborach. Byłaby to klęska nie tylko nasza! Zniweczyłaby ona wielkie europejskie nadzieje.

A nie było to takie nieprawdopodobne, wystarczy przywołać późniejsze doświadczenie bułgarskie.

– Tak, musieliśmy poważnie brać taką sytuację pod uwagę.

Jak w tym czasie układała się współpraca między Panem a Wałęsą i Mazowieckim?

– Mazowiecki koordynował, a także na bieżąco prowadził całość negocjacji. Codziennie mieliśmy przecież kontakty i rozmowy ze stroną rządową, którymi właśnie on się zajmował.

Myśli Pan o bieżących kontaktach z osobami niebiorącymi udziału w obradach?

– Tak, bo po tamtej stronie odpowiednikiem Mazowieckiego był Stanisław Ciosek, który nie uczestniczył w żadnym zespole Okrągłego Stołu.

Więc stał jeszcze ponad Kiszczakiem?

– Nie „ponad Kiszczakiem”. Ciosek i Kiszczak szli jednym frontem. Razem z Gdulą stanowili partyjny mózg całego Okrągłego Stołu.

W trakcie negocjacji zespół reform politycznych systematycznie zyskiwał na znaczeniu – ze względu na wrażliwość opinii publicznej i przede wszystkim chyba dlatego, że to, co miało być haraczem, stawało się nadzieją na uruchomienie mechanizmów demokratyzacji. Tadeusz Mazowiecki od początku był członkiem naszego zespołu, brał udział w jego posiedzeniach i wygłosił kilka ważnych przemówień, choć w drugim etapie negocjacji uczestniczył już tylko w pracach grupy zajmującej się środkami masowego przekazu. W procesie negocjacyjnym pełnił jednak rolę kluczową, prowadząc dalej zespół pluralizmu związkowego i koordynując całość rozmów.

A jaki był Pański i Pańskiego zespołu zakres samodzielności?

– Miałem pełną samodzielność i pełen mandat od Lecha Wałęsy, z którym byłem w kontakcie.

To znaczy, że podejmował Pan decyzje i referował je Wałęsie, czy też podejmowaliście je wspólnie, czy może przedstawiał Pan sytuację, a decyzje należały do Wałęsy?

– W stałym kontakcie był z nim Mazowiecki. Ja bezpośrednio informowałem Wałęsę o postępach prac naszego zespołu. Podczas rozmów w Magdalence Wałęsa powiedział, że do prowadzenia negocjacji wyznacza trzech swoich pełnomocników. W kwestiach związkowych – Mazowieckiego, w kwestii polityki gospodarczej i społecznej – Trzeciakowskiego, w kwestii reform politycznych – mnie. Nie był to zatem tylko podział organizacyjny na trzy zespoły robocze, ale także podział kompetencji i osobistej odpowiedzialności. Znalazło to później odbicie w składzie delegacji, która towarzyszyła Wałęsie, gdy po zakończeniu Okrągłego Stołu jechał złożyć wizytę Ojcu Świętemu. Wiele osób, w tym i ja, uważało wówczas, że powinna mu towarzyszyć delegacja Związku, który odzyskał prawo do legalnego istnienia. Wałęsa zdecydował jednak, że mają z nim jechać trzej jego najbliżsi współpracownicy przy Okrągłym Stole.

Czy z tego wynika, że Wałęsa ograniczał się w zasadzie do patronowania Okrągłemu Stole, resztę pozostawiając swoim współpracownikom?

OTWARCIE

– Kluczowe decyzje zawsze zapadały z udziałem Wałęsy, ale ich realizacja miała miejsce w zespołach roboczych i na spotkaniach w węższym gronie. Mieliśmy wszelkie pełnomocnictwa do ostatecznego dokonywania ustaleń i formułowania protokołów rozbieżności.

Które ostatecznie okazały się dłuższe od katalogu ustaleń.

– Nie mogło stać się inaczej. Naszym sukcesem było jednak to, że druga strona zgodziła się na stworzenie tych protokołów. Ich spisanie było naszą wielką wygraną. Stało się to wbrew interesom partii i wbrew jej zamiarom. Zdaniem władzy mieliśmy zmierzać do wspólnej deklaracji consensusu społecznego czy też porozumienia narodowego. Aż dziwne wydaje mi się, iż zdołaliśmy ich przekonać, że nie można za pomocą słów zacierać zasadniczych różnic i mówić tylko o tym, co Polaków łączy, kiedy znacznie więcej nas dzieli. Trzeba było powiedzieć – i do tego też ich przekonaliśmy – że przy Okrągłym Stole zasiedli przeciwnicy, i ci przeciwnicy, mimo różnic poglądów oraz postaw, zdołali dojść do pewnych wspólnych ustaleń. W ten sposób zamieniliśmy Okrągły Stół w „stół prostokątny”.

Mam wrażenie, że był to intelektualny owoc złych doświadczeń związanych z Porozumieniami Gdańskimi, w których różnice zostały zartate. W roku 1989 nikt już nie wspominał o rozmowie „jak Polak z Polakiem”.

– Cóż, w roku 1989 nie wchodziło w grę zaprzyjaźnianie się z drugą stroną. Oczywiście, kiedy się z kimś długo rozmawia, wytwarza się między rozmówcami osobista relacja. Ludziom władzy bardzo zależało na tym, żeby przełamać dzielącą nas barierę obcości. Pierwszy krok stanowić miało skłonienie nas do rezygnacji z języka związku zawodowego i ruchu społecznego. Chcieli, żebyśmy zaczęli występować jako siła polityczna, partia, opozycja. To pozwoliłoby postawić nas na jednej płaszczyźnie z PZPR. Oto rozmawiałyby ze sobą dwie polityczne grupy, z których jedna ma władzę, a druga nie. Maksimum naszej tolerancji stanowiło jednak określenie „strona solidarnościowo-opozycyjna”. Nigdy natomiast nie zaakceptowaliśmy ich generalnej koncepcji polegają-

ROK 1989

cej na wciągnięciu nas w orbitę władzy. Nie chcieli nam przecież ofiarować legalizacji „Solidarności” jako ruchu społecznego, związku zawodowego. Nie chodziło im też o uruchomienie ewolucyjnych procesów, które mogły całkowicie zmienić polskie życie publiczne. Chcieli nam na srebrnej tacy podać uczestnictwo we władzy i nieustannie do tego wracali. Mówili: „Powiedzcie, ile chcecie stanowisk w rządzie, powiedzcie, ile chcecie miejsc w Sejmie, podzielimy się”. „Zróbmy Radę Gospodarczą – proponowali – i niech profesor Trzeciakowski będzie jej przewodniczącym”. Chcieli rządzić wspólnie z nami. Chcieli się z nami podzielić Polską. My nie chcieliśmy się dzielić, i to nie dlatego, że woleliśmy mieć wszystko dla siebie. Uważaliśmy, że Polską się dzielić nie można, bo Polska musi być własnością wszystkich Polaków. To był nasz cel.

Ich prawdziwym celem było, zdaje się, oddzielenie od społeczeństwa tej niezależnej elity politycznej, której po pogromie stalinowskim Polska znów zdołała się dorobić.

– Zdawali sobie sprawę, że przyczyną słabnięcia partii jest jej alienacja, rozwój niezależnego życia społecznego. Rządzili, dysponowali jeszcze aparatem przymusu, ale znaleźli się już obok społeczeństwa. Świat władzy i świat narodu się rozeszły. Wiedzieli, że taki stan nie może trwać długo. Rozpaczliwie próbowali więc znaleźć środki, które pozwoliłyby im utrwalić swoje panowanie. Uznali, że jedyną prowadzącą do tego drogą jest podzielenie się władzą – nie zmiana systemu, lecz właśnie dokooptowanie środowisk niezależnych do sfery władzy. Dramat Okrągłego Stołu, z Magdalenkami i z niekończącymi się debatami toczonymi w Pałacu Namiestnikowskim, polegał właśnie na tym, że my ich koncepcję podziału władzy chcieliśmy zastąpić mechanizmem zmieniającym system, dzięki któremu oni zarządzili Polską. Za zawarcie kontraktu mogliśmy im zaś ofiarować jedynie czas, a więc ewolucyjny charakter całego procesu.

Ale staraliście się o tym nie mówić.

– Ja za rzecz istotną uważałem i uważam zasadę uczciwości politycznej, która zakłada, że nawet jeżeli czasem nie można powiedzieć prawdy, to w każdym razie nie wolno kłamać. Nigdy więc

OTWARCIE

Marzec 1989 roku, demonstracja
na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie



ANNA PIETUSZKO

Uważaliśmy, że Polską się dzielić nie
można, bo Polska musi być własnością
wszystkich Polaków

nie powiedziałem, że zgadzamy się współuczestniczyć we władzy, i nigdy nie mówiłem, że pomożemy komunistom w politycznym przetrwaniu. Oczywiście, nie mogłem też powiedzieć tego, co w trakcie rozmów stało się dla mnie jasne: że przedmiotem naszych pertraktacji jest droga, jaką partia komunistyczna ma zejść ze sceny politycznej. Wówczas nie udałooby się znaleźć partnerów gotowych do zawarcia kontraktu. Mówiłem jednak otwarcie, że ludzie władzy stoją przed pewną szansą i od nich zależy, czy zdołają ją wykorzystać.

A wierzył Pan, że mieli tę szansę?

– Teraz też wierzę, że ją mieli, choć nigdy nie wierzyłem, że zdołają z niej skorzystać.

Zatem mieliby ją, gdyby nie byli sobą.

– No właśnie, bo w naturze tamtej władzy i partii leżała niemożliwość dokonania zasadniczej transformacji, co nie znaczy, że nie istniała szansa jej przeprowadzenia. To oni twierdzili, że chcą się stać normalną partią socjaldemokratyczną, co wydawało mi się tak samo proste jak zrobienie z zupy rybnej akwarium.

Panu udało się kiedyś z tej zupy wyrwać.

– Tak, i oni się do tego faktu odwoływali. Kiedy przystępowaliśmy do Okrągłego Stołu, miałem jednak za sobą nie tylko doświadczenie przynależności do partii komunistycznej, ale także dwa długie dziesięciolecia, które minęły od chwili, gdy z niej wystąpiłem. Dla mnie był to nie tylko okres gruntownej politycznej kwarantanny, ale także czas wystarczający, bym tamto doświadczenie zrozumiał, mając już poczucie jego całkowitej obcości. Wstąpiłem przeciw do partii jako bardzo młody człowiek. Wstąpiłem nie dla kariery. Zajmowała mnie niepodzielnie historia średniowiecza, innych satysfakcji nie potrzebowałem, a najwyższą moją funkcją partyjną było członkostwo w komisji rewizyjnej w Polskiej Akademii Nauk. Wstąpiłem, bo uważałem, że istnieje zespół fundamentalnych wartości, które mnie z tą partią wiążą. Wystąpiłem, gdy straciłem wiarę, że jest jakakolwiek szansa, żeby ta partia realizowała ideały, które głosi. Mogę więc powiedzieć, że opuściłem partię z tych samych powodów, z których do niej wstąpiłem. Ich

OTWARCIE

przekonanie, że skoro byłem w partii, łatwiej znajdą u mnie zrozumienie, okazało się więc całkowicie zawodne. Jeżeli z moją osobą wiązało się jakieś doświadczenie ułatwiające wspólne poszukiwanie kompromisu, była nim raczej szkolna znajomość z Januszem Reykowskim. W rozmowach ze mną i w rozmowach o mnie ludzie tamtej strony mówili zresztą otwarcie, że uważają mnie za człowieka, który ich nienawidzi.

Casus renegata?

– Sadzę, że to mogło być powodem dużo ostrzejszego traktowania mnie w latach konspiracji. Przy Okrągłym Stole przeszkadzało im raczej to, że ani przez moment nie mogli znaleźć ze mną wspólnego języka – skarżyli się na to różnym rozmówcom. Nie jestem człowiekiem nienawiści, ze swojej natury i z przekonania szukam z innymi dialogu. Niezależnie od myślenia w kategoriach politycznych uważam jednak, że należy oceniać i dobro, i zło. Kiedy więc podczas dyskusji w Magdalence odmawiałem im racji moralnych, nie robiłem tego, żeby wzburzyć drugą stronę, ale dlatego, że za swoje prawo i obowiązek uważałem nazwanie rzeczywistości jej własnym imieniem.

Ale władza chciała rozmawiać o polityce, nie o moralności.

– Tak, tu istniała bariera mentalności, której nie sposób było przełamać. Jeszcze siedząc w obozie internowania, miałem wrażenie, że Mieczysław Rakowski kontynuuje nasz dialog rozpoczęty w 1981 roku. Tyle że ja już byłem uwięziony, a on stał na partyjnej trybunie, kiedy mówił, że racji moralnych nie można stosować w polityce. Powoływał się na autorytet Maxa Webera. Miałem wrażenie, że on wtedy także siebie samego przekonywał. Nawet Rakowski musiał mieć jakieś moralne niepokoje związane z 13 grudnia. Myślę zresztą, że upadek całego ruchu komunistycznego, zwłaszcza w Europie Wschodniej i Środkowej, gdzie komuniści doszli do władzy, wynikał właśnie z zajęcia przez nich stanowiska pragmatycznego. W świecie myślenia pragmatycznego nie mógł znaleźć dla siebie racji istnienia ruch, który w życiu publicznym i w organizowaniu gospodarki zaproponował ludziom jedynie nie-normalność i nieefektywność. Kiedy w 1982 roku Rakowski wo-

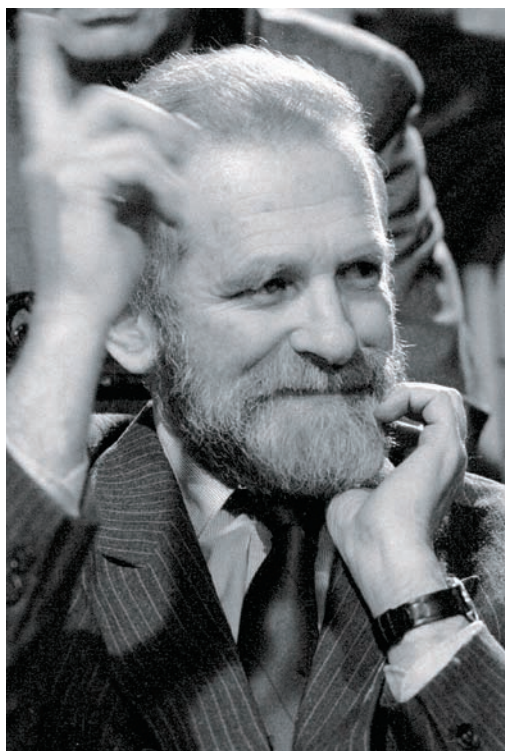
łał, że polityka nie ma nic wspólnego z racjami moralnymi, przekreślał sens trwania przy komunizmie i podtrzymywania partii przy życiu.

Wspomniał Pan o zespole wartości, które przywiodły i odsunęły Pana od partii. Co za wartości mogły intelektualistę takiego jak Pan łączyć z komunizmem?

– Proszę sobie wyobrazić: jest rok 1948, młody chłopak z formacją Sodalicji Mariańskiej przychodzi z prowincjonalnego miasta do metropolii, jaką wydaje mu się Warszawa. Wchłania świat innych książek – innych niż te, które czytywał w domu. W tych książkach znajduje sprzeciw wobec ludzkiej krzywdy. Dowiaduje się z nich o świecie, o Europie, poznaje ideę sprawiedliwości społecznej i krytykę zachodniej demokracji, czyta o nieuchronności pewnych kosztów koniecznych, gdy chce się na dużą skalę wprowadzać społeczną sprawiedliwość. Sądziłem wtedy, że komunizm jest młodością świata. W 1968 roku, w momencie inwazji na Czechosłowację, zamknąłem ten rozdział właśnie dlatego, że rozwiewała ona nadzieje rewizjonizmu na socjalizm z ludzką twarzą. To, co wydawało się ceną sprawiedliwości, okazało się istotą zła, które ze sprawiedliwości zrobiło sobie parawan. Moje odejście z partii nie było wówczas aktem politycznym, lecz wyborem moralnym. Uważałem, że wycofuję się z polityki na zawsze. Widziałem siłę i żywotność komunizmu, jego struktur, jego władzy. Sądziłem, że w tej sytuacji jedyną możliwość uczestnictwa w życiu politycznym daje członkostwo w partii. Zamknąłem się więc w świecie nauki. Przez lata myślałem tylko o pisaniu książek i o historii średniowiecza. Szczęśliwie moja wcześniejsza pasja polityczna była wyłącznie pasją obserwacji. To ułatwiało mi pogrążenie się w historii. Partia, którą opuściłem, była jednak nie tylko partią Marca '68, antysemityzmu, inwazji przeciw praskiej wiosnie*.

***Praska wiosna** – próba demokratyzacji systemu komunistycznego w Czechosłowacji rozpoczęta na początku 1968 roku, zakończona w sierpniu tego roku interwencją wojskową ZSRR i jego satelitów, w tym Polski.

OTWARCIE



TOMASZ WIERZEJSKI/AG

Fakty, epizody nigdy nie pasjonowały
mnie tak jak procesy. A w procesach
zdarzenia, anegdoty są mniej istotne
od struktury, która je organizuje, nadaje
im historyczny sens

ROK 1989

Była także partią systemu totalitarnego. Kiedy więc później wracałem do polityki, wracałem do niej z tego samego powodu, dla którego w 1950 roku wstąpiłem do partii, a w 1968 z niej wystąpiłem. Uważałem nawet, że ciąży na mnie szczególny obowiązek przeciwstawiania się totalitaryzmowi, komunizmowi, partii – właśnie dlatego, że wcześniej do niej należałem. Czułem się zobowiązany do spłacenia długu, który ciążył na mnie ze względu na fakt, że blisko 20 lat tę legitymację nosiłem.

Miał Pan poczucie winy?

– Miałem, ale nie myślałem o pokucie. Uważałem natomiast, że powinienem robić coś, co robić mogłem, żeby przeciwstawić się totalitarnej beznadziejności. Taki był motyw mojego zaangażowania w grupy seminaryjne powstające w latach siedemdziesiątych, w nielegalne Towarzystwo Kursów Naukowych, w różne niezależne działania przedsięwzięte. Uważałem to za naturalne i konieczne.

Nie obawiał się Pan, że przekreśli to Pańską karierę naukową?

– Nie przekreśliło jej wystąpienie z partii w 1968, więc i teraz nie miałem powodu do specjalnych obaw. Byłem zresztą na bocznym torze w Instytucie PAN, bez prawa nauczania i kontaktu z młodzieżą.

A w 1968 uszło Panu całkiem na sucho?

– Niemal. Chcieli mi zrobić proces jako oficerowi rezerwy, ale jakoś się to rozmyło. Skończyło się na kilkunastoletnim pozbawieniu paszportu, co w mojej pracy miało pewne znaczenie, ale przecież dawało się przeżyć. Paznokci mi nie zrywali.

Czy to wszystko znaczy, że aż do 1968 roku wierzył Pan, że partia komunistyczna odgrywa w Polsce pozytywną rolę?

– Wierzyłem, że jej istnienie i władza są nieuchronne, a także, iż może odegrać pozytywną rolę. Pamiętam opublikowany w „Tygodniku Powszechnym” artykuł Stanisława Stommy, który pisał, że partia komunistyczna jako partia rządząca w Polsce musi być rozliczana z tego, na ile potrafiła wykorzystać swoje atuty dla Polski, mówiąc inaczej – czy była ambasadorem sprawy polskiej wobec Moskwy, czy ambasadorem Moskwy w Polsce.

OTWARCIE

Ja aż tak prosto tego wówczas nie rozumiałem, ale niewątpliwie miałem poczucie nieuchronności rządów partii. Gdyby była ona w stanie się zreformować, już wtedy pozbyć się stalinizmu, byłoby możliwe przywrócenie realnego sensu pięknie brzmiącym słowom zawartym w jej programach. W taką możliwość wierzyłem właśnie do 1968 roku. To, co działo się w Czechosłowacji przed inwazją, potwierdzało zresztą moje nadzieje. Miałem tam wówczas wielu przyjaciół. Obserwowałem ich działania, czytałem artykuły i dzieliłem ich radość, że coś się tam udaje. Sukces Pragi stanowił przecież i dla nas perspektywę ludzkiego wymiaru realnego socjalizmu.

A Budapeszt 1956? Wtedy żadne wątpliwości w Panu się nie zrodziły?

– To nie był dla mnie aż taki wstrząs.

Dlatego, że zrobili to sami Rosjanie?

– Nie tylko. W 1956 roku byłem u mojej rodziny we Francji. I poznański Czerwiec, i Budapeszt oglądałem w Paryżu, a tam wydawało się to bardzo odległe. Dopiero po powrocie do Polski uczyłem się tego, czym był 1956 rok. Zresztą pierwsze lata Gomułki dawały nadzieję – 1956, 1957, nawet początek 1958 to były lata nadziei. Rozbicie „Po prostu” też nie wydawało mi się jeszcze symptomem nieuchronnego powrotu do stalinizmu. Polska w dużym stopniu uwolniła się od rosyjskiej supremacji, od rosyjskiego modelu komunizmu, od kolektywizmu, od trzymającej za gardło cenzury. Wciąż żyliśmy znacznie swobodniej niż na początku lat pięćdziesiątych. Budapesztu nie odbierałem jako kłęski nadziei, ale jako fragment złego scenariusza. Oprócz węgierskiego był przecież także scenariusz polski, który wydawał się pozytywny. W 1968 roku tego pozytywnego scenariusza zabrakło. Dzień i noc słuchałem więc czeskiego radia – póki jeszcze było niezależne. Słuchałem rzecznika praskiego parlamentu, mojego przyjaciela historyka Josefa Macka, gdy w ostatniej chwili zwracał się do opinii międzynarodowej. Nie słuchałem natomiast, bo nawet mi to do głowy nie przyszło, wystąpienia Imre Nagyego.

A to wszystko, co działo się jeszcze wcześniej – stalinizm, procesy, terror, socrealizm – czy przy Pańskiej sodalicyjnej formacji i inteligenckim

ROK 1989

wychowaniu było to dla Pana do zaakceptowania? Dawalo się to połknąć?

– Dawalo się. Człowiek jest oczywiście odpowiedzialny i za swoją głupotę, i za swoje szaleństwa. W mojej akceptacji stalinizmu było coś z jednego i drugiego. Było w tym także coś z gwałtownego przejścia od mojej wojennej biografii, biografii dziecka, które przeżyło wojnę w najstraszniejszych warunkach. Ten okres zamknął w moim życiu czas, który nigdy nie jest czasem wspomnienia. Nigdy nie wracałem do moich dziecięcych doświadczeń, choć to one mnie formowały. Świat palił się na moich oczach. Palił się też mały świat rodzinnych kontynuacji, w którym jest ciągłość oczywistych wartości, zasad, reguł. W mojej dziecięcej biografii świat ciągle się rozpadał. To też nadawalo kształt mojej późniejszej wrażliwości.

Schronieniem mojej egzystencji w okresie stalinizmu była historia. Kiedy szedłem na studia historyczne, sądziłem, że zajmę się historią XX wieku. Gdy jednak po pierwszym roku zapisałem się na seminarium dziejów najnowszych, natrafiłem na osobę reprezentującą najbardziej klasyczny stalinowski sposób historycznego myślenia. Po kilku posiedzeniach zrozumiałem, że się duszę. Uciekłem jak najdalej – tam, gdzie nie było prostych politycznych odniesień i obowiązujących instrukcji, gdzie można było w miarę swobodnie myśleć.

Byłem wówczas marksistą w tym sensie, że dostrzegałem w marksizmie inspiracje do badań historycznych. Nadal sądzę, że dla historii i myślenia historycznego ta inspiracja była ogromna. Trucizną dla nauki były narzucane sądy, ale szkoła myślenia o historii okazała się niezwykle płodna, a w odniesieniu do dziejów średniowiecza niezależność historyka pozostawała bardzo duża. To była moja sfera wolności.

Chciałbym wrócić do tej części Pańskiej biografii, o której powiedział Pan, że nie jest czasem wspomnień. Przez lata pracowałem w redakcji katolickiego pisma, w której większość stanowili Polacy mający żydowskie korzenie. Przez te lata obserwowałem, jak bardzo różną rolę grają one w ich życiu, w kształtowaniu ich postaw, ich stosunku do

OTWARCIE

świata. Dla niektórych była to kluczowa kategoria osobowości, dla innych sprawa peryferyjna, niemal ledwie uświadamiana. Jak Pan to czuje?

– Dla mnie, w mojej dorosłej biografii, nigdy nie był to problem – w tym sensie, że ta sprawa wiąże się z dzieciństwem, które zamknąłem w sobie. Powiadają, że im bardziej człowiek się starzeje, tym bardziej wraca do dzieciństwa, tym silniej odczuwa tę najwcześniejszą formację i pierwsze doświadczenia. Ja tego jeszcze nie odczuwam. Nie znaczy to jednak, że tej świadomości żydowskiej w sobie nie noszę. Noszę ją, ona pojawia się wtedy, gdy wyłania się kwestia antysemityzmu, gdy staję wobec szowinizmu czy wręcz rasizmu. Na co dzień jest to jednak książka zamknięta na klucz. Jeden z tych kajetów mojej biografii, których nigdy nie otwierałem. Nie chciałem ich otwierać... Wyciąga mnie pan na zwierzenia.

A Pan się broni.

– Bo jestem człowiekiem, który nie lubi się uzewnętrzniać. *Jest chyba coś jeszcze w Pańskim stylu komunikowania się. Ma Pan sposób mówienia bardzo trudny w odbiorze. Unika Pan szczegółów. Każdy detal próbuje Pan omówić. Mówi Pan „pewien człowiek” albo „kiedys”. To wnosi walor uniwersalizujący konkretne doświadczenie, ale je również odrealnia.*

– Jest to kwestia dyskrecji, której nie lubię naruszać i nie lubię, gdy inni ją naruszają. Może czasem w tej lojalności posuwam się za daleko, ale wolę to od ryzyka naruszenia jej. Pomagam sobie brażkami w pamięci. Nie wiem, czy tak bardzo źle czynię?

Dobrze i źle, bo oczywiście z każdego doświadczenia zostaje w człowieku jakaś zasadnicza idea, wrażenie, emocje. Szczegóły uchodzą. Żeby zawrzeć relacji, trzeba jednak usłyszeć fakty. Wiarygodność impresji jest z natury ograniczona. Konkluzje nie przekonują, jeśli nie są podparte faktami.

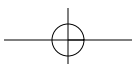
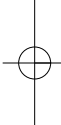
– Mnie to nie przekonuje. Całkiem niedawno zatrzymał mnie na placu Teatralnym pewien starszy pan, który chciał mi powiedzieć, że jak tak dalej pójdzie, to w następnych wyborach nie będzie głosował, bo zanika nadzieja, a widać już tylko konflikty. „Pan

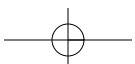
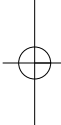
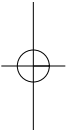
ROK 1989

pewnie tego nie pamięta – przypomniał – ale my kiedyś służyliśmy razem jako ministranci i uczył mnie pan łaciny. Powiedział pan wtedy, że łacina to jest taki jasny język. Ja myślę, że teraz w Polsce powinno być tak właśnie jak w łacinie. Wszystko powinno być jasne, zrozumiałe. A nie jest”. Pomyślałem, że człowiek odwołuje się do wydarzeń, które miały miejsce przeszło 40 lat temu, w roku 1946 we Wschowie. Miałem prywatnego nauczyciela, który sporo mnie nauczył z łaciny, francuskiego i matematyki. Najbardziej biegły byłem jednak w gramatyce łacińskiej, w której fascynowała mnie jasność, klarowność, formalna czystość. Musiałem mojemu koledze mówić o tym, ucząc go słówek i reguł. Słówka i reguły dawno zapomniał, ale zapamiętał jasność gramatyki i wartość tej jasności. Bardzo mnie to zafrapowało, zwłaszcza że sam mam małą wrażliwość na szczegóły.

Również w historii?

– Fakty, epizody nigdy nie pasjonowały mnie tak jak procesy. A w procesach zdarzenia, anegdota są mniej istotne od struktury, która je organizuje i nadaje im historyczny sens.





WERTEPY



ANNA PIETUSZKO

Dwie kolejne Magdalenki, 2 i 7 marca, o których mówiliśmy ostatnio, zdawały się otwierać prostą drogę do osiągnięcia bliskiego już porozumienia. Także na posiedzeniu zespołu reform politycznych, 9 marca, wszystko wyglądało jak najlepiej. Andrzej Gdula przedstawił partyjny projekt ordynacji wyborczej do Sejmu, który wydawał się rozsądny i tylko w szczegółach różnił się od tego, który później został przyjęty. Także jego uwagi na temat Senatu i instytucji prezydenta wydawały się do przyjęcia, a referowane przez współprzewodniczących zespołu kontrowersje wokół samorządu terytorialnego nie mogły wpłynąć na ostateczne losy rozmów. Strona rządowa okazywała zresztą niezwykle silną wolę znalezienia kompromisu, a minister Kwaśniewski obiecywał nawet poważne ustępstwa zarówno w sprawie stowarzyszeń i partii politycznych, jak i w kwestii harcerstwa, która stała się kością niezgody w zespole do spraw młodzieży. Cztery dni później prasa podała jednak, że Rada Państwa rozpatrzyła projekty ustaw o Senacie i o ordynacji wyborczej do Sejmu. Oba – choć nie zostały wcześniej ostatecznie zatwierdzone przez Okrągły Stół – 17 marca trafiły do Sejmu. W tej sytuacji Janusz Onyszkiewicz powiedział na konferencji prasowej, że możliwość zawarcia porozumienia stoi pod znakiem zapytania. Sprawa wydawała się bardzo poważna, bo projekty, które znalazły się w Sejmie, nie uwzględniały podstawowych postulatów „Solidarności” – pomijały kontrakt dotyczący podziału mandatów, nie zawierały klauzuli o jednorazowości formuły kontraktowej, nie przewidywały możliwości delegowania

ROK 1989

mężów zaufania do komisji wyborczych. Można było odnieść wrażenie, że ktoś postanowił załatwić sprawę bez czekania na wyniki przeciągających się rozmów.

Jeszcze 17 marca odbyło się w wąskim gronie kolejne, nieplanowane wcześniej, spotkanie, którego celem musiało chyba być wyjaśnienie sytuacji. Tym razem w rozmowach nie wzięli udziału Wałęsa ani Kiszczak. Kto więc prowadził negocjacje i jaki był ich przebieg?

– Z naszej strony byli wtedy Frasyniuk, Gil, Mazowiecki, Michnik, Trzeciakowski i ja. Natomiast stronę rządową reprezentowali Baka*, Ciosek, Gdula i ktoś jeszcze, kogo już sobie dokładnie nie przypominam.

Na początku oświadczone nam, że nie powinniśmy traktować poważnie zagrożeń wynikających z przekazania Sejmowi ordynacji wyborczej. Zrobiono to tylko dlatego, że procedura sejmowa wymaga czasu, a umożliwia wprowadzanie autopoprawek na każdym etapie rozpatrywania projektu. Przekazanie tekstu Sejmowi oznacza tylko umieszczenie sprawy na porządku dziennym i w żaden sposób nie ogranicza pola negocjacji.

Wasze wątpliwości zostały więc rozwiane.

– Pozornie, bo wkrótce nasi rozmówcy ujawnili swoje obawy dotyczące przebiegu kampanii wyborczej. Chodziło im o to, aby nie doszło do starcia dwóch konkurujących ze sobą stron, lecz by karty zostały przemieszane. Chcieli więc, żeby wszyscy kandydaci występowali na jednej liście wyborczej i żeby przy nazwiskach nie umieszczać żadnych oznaczeń identyfikujących ich z jakimś ugrupowaniem. Było dla nas jasne, że nadzieje na uniknięcie wyraźnej porażki wiążą z dezorientacją wyborców, którzy mieli po prostu nie wiedzieć, na kogo głosują. Mówili nam otwarcie, że część ich kolegów z partyjnych władz nie widzi żadnych powodów do tak daleko idących ustępstw. Obawiali się, że wobec zielonego światła dla opozycji i fatalnej sytuacji gospodarczej partia startuje do wyborów z pozycji przegranej.

***Władysław Baka** – profesor ekonomii, w latach 1985-88 prezes NBP, w czasie rozmów sekretarz KC, członek Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa.

WERTEPY

Rozumiem, że mimo wszystko nie mogliście tych propozycji przyjąć, bo przecież głównym Pańskim hasłem przy Okrągłym Stole było zachowanie własnej tożsamości obu stron.

– Tak, tym razem powtarzaliśmy to aż do znudzenia. W małym gronie mogliśmy jednak tłumaczyć im również, że w interesie samej partii leży zachowanie własnej tożsamości albo wręcz jej wytworzenie. W przeciwnym bowiem razie ludzie przeciwni porozumieniu, a wciąż należący do kierownictwa, musieliby wziąć górę. Brak jasnej politycznej tożsamości grupy reformatorskiej dominującej we władzach PZPR utrudniał jej konsolidację i osłabiał szansę w starciu z elementami zachowawczymi. Nie wiem, czy był to pogląd dostatecznie osadzony w ówczesnych realiach partyjnych, których przecież nie znałem dość dobrze, stanowił on jednak argument racjonalny.

Przy stole negocjacyjnym kwestią najwyższej wagi było znalezienie nawet niewielkiego, ale istotnego pola wspólnego odniesienia – takiego jak interes narodowy czy interes Polski. W toku negocjacji każda ze stron musiała jednak bronić swoich własnych interesów, tak jak je rzeczywiście rozumiała. Racjonalna argumentacja naszej strony zawsze musiała więc być zgodna z naszym poczuciem własnego interesu, który zresztą wydawał mi się tożsamy z szeroko rozumianym interesem społecznym.

Może pan znów zapytać, czy byłem uczciwy, przekonując, że obrona własnej tożsamości pomoże partii. Odpowiedziałbym, że my od tego sposobu rozumowania nie mogliśmy odejść. Tu nie mogło być kompromisu. Musieliśmy zatem do naszego myślenia przekonać drugą stronę. To ta druga strona miała przywilej podejmowania decyzji. To ona stanowiła w Polsce prawo i wcale nie musiała stanowić go tak, jak my sobie życzyliśmy. Musieliśmy więc nie tylko ukazać wyższość swoich racji i pozostać im wierni, ale także narzucić władzy nasz sposób myślenia.

Przekonać ich, że w tych zmianach mają swój interes.

– Tak, to także bywało konieczne.

W drugiej fazie negocjacji coraz częściej mówił Pan o zachowaniu tożsamości stron Okrągłego Stołu. Tożsamość strony, którą Pan repre-

ROK 1989

zentował, wydawała się oczywista – była to, ujmując rzecz najprościej, tożsamość demokratyczna, antytotalitarna. Natomiast tożsamość drugiej strony była dużo trudniejsza do zdefiniowania i nie wydaje mi się pewne, że ona jeszcze wówczas istniała. Komunistyczno-totalitarna tożsamość, którą partia uzyskała na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych, chwiała się przecież niemal bez przerwy od śmierci Stalina w 1953 roku. Edward Gierek twierdzi, że już wtedy zaczął się w Polsce demontaż komunizmu. Tyle tylko, że to, co można było zbudować w pięć lat, trzeba było demontować aż 35, zanim w roku 1989 ostatecznie się zawaliło.

– Wie pan, kiedy my mówiliśmy o naszych racjach ideowych, oni patrzyli na nas z pobłażaniem. General Kiszczak w żadnych negocjacjach nie odwołał się do żadnych argumentów ideologicznych. Nigdy nie przywoływał ideologii ruchu komunistycznego. Oni wszyscy używali niemal wyłącznie argumentów pragmatycznych. Pierwszym był argument władzy. Podstawowy element ich tożsamości stanowiło bowiem sprawowanie władzy. Drugim istotnym argumentem było miejsce Polski w systemie komunistycznym. Chodziło zarówno o relacje wewnątrz bloku realnego socjalizmu, jak też o zależność od Związku Radzieckiego, miejsce w radzieckim imperium. Wskazywali nam zagrożenia, jakie z tego wynikają. Na pewno był to element świadomie stosowanej presji negocjacyjnej czy nawet szantażu. Uważam jednak – i takie było nasze zdanie przy stole negocjacyjnym – że w tym, co nam mówili, było też bardzo wiele prawdy. Przekazywali nam na przykład relacje ze swoich rozmów z kierownictwem radzieckim, a trzeba pamiętać, że radzieckie kierownictwo to byli nie tylko ludzie Gorbaczowa. Przekazywali nam też różne informacje dotyczące postawy krajów sąsiednich. W tym kontekście mówili o międzynarodowym umocowaniu sił konserwatywnych polskiego kierownictwa. Musieli się z nimi liczyć również ze względu na ten właśnie międzynarodowy kontekst.

Problem ich tożsamości miał w niewielkim tylko stopniu charakter ideowy, a w znacznie większym realno-polityczny. Jeżeli w czasie posiedzeń zespołu politycznego Cypryńiak, Baszkiewicz

WERTEPY

czy Rychlewski* próbowali docisnąć nas ideologicznie, miało to wyłącznie cel doraźno-polityczny. Mieliśmy zresztą nad nimi tę ogromną przewagę, że po prostu wierzyliśmy w to, cośmy mówili. Wiedziałem, że wszystkie racje są tu po naszej stronie, ale wiedziałem też, że niektórzy z nich chcą od nas usłyszeć takie deklaracje, które pozwolą im uzasadnić rozbitcie Okrągłego Stołu, a do tego nie chcieliśmy dopuścić.

Pamiętam profesora Baszkiewicza wołającego: „Powiedzcie, że jesteście wrogami socjalizmu i że chcecie obalić ten ustrój”. W zasadzie miał prawo o to pytać i – co więcej – miał podstawy oczekiwać pozytywnej odpowiedzi. My jednak zdawaliśmy sobie sprawę, że ta odpowiedź nie będzie elementem sporu ideowego, ale częścią gry politycznej wewnątrzpartyjnego kierownictwa.

Dla przedstawicieli skrzydła zachowawczego bolesne były moje stwierdzenia, że socjalizm jest zbrukany właśnie przez nich, że blask socjalizmu przywrócić może dopiero pozbycie się totalitarnego balastu. Pamiętam też ich konsternację wywołaną słowami Mazowieckiego: „Mówicie o socjalizmie, ale powiedzcie dokładnie, o jaki socjalizm wam chodzi – o socjalizm szwedzki czy o socjalizm Pol Pota?”. Takie pytania blokowały całą tę polityczną grę, którą próbowali prowadzić pod pozorem debaty ideowej.

Wspomniał Pan o wpływie czynników zagranicznych na pole manewru waszych rozmówców. Jak Pan ocenia ich rzeczywistą rolę? Wydawać by się mogło, że ze strony radzieckiej Okrągły Stół otrzymał pełne błogosławieństwo. „Izwestia” już w lutym pisały przecież o uczestnikach obrad, że „są to zahartowani bojownicy polityczni, przedstawiciele sił społecznych, których na razie łączy niewiele – bodaj tylko pragnienie służenia dobru ojczyzny”. W marcu doszło zaś nawet do tego, że w NRD wycofano z kolportażu „Nowoje Wriemia” zawierające wywiad z Wałęsą.

***Profesor Jan Rychlewski** – matematyk, mechanik, zajmował się badaniem kosmosu, członek korespondent PAN; później prezes założonego w 1990 roku Towarzystwa Marksistów Polskich.

ROK 1989

– Od samego początku rozmowy Okrągłego Stołu były negatywnie oceniane zarówno w Pradze, jak i w Berlinie Wschodnim. W Moskwie sytuacja była bardziej złożona. Dla Moskwy najgroźniejsza była chyba ewentualność destabilizacji politycznej. Okrągły Stół oceniano tam jako przedsięwzięcie odsuwające tę groźbę. Proces Okrągłego Stołu, oznaczający poszukiwanie nowego modelu stosunków między społeczeństwem a władzą, wspierał reformatorskie poczynania Gorbaczowa. W toku obrad ujawniła się jednak siła „Solidarności” i siła polskiej opozycji. Dla radzieckich obserwatorów musiało to stanowić pewne zaskoczenie. Wcześniej sądzili, że w Polsce istnieje możliwość dokonania reform w taki sposób, w jaki sami chcieli je przeprowadzić u siebie – to znaczy przy zachowaniu pełnej kontroli ze strony czynników dotychczasowego systemu.

A więc przy niewielkim zainteresowaniu społecznym, tak jak się to odbywało na Węgrzech albo sto lat wcześniej w Prusach.

– Tak, liczyli na – jak mówili domorośli krytycy Okrągłego Stołu – umowę elit. Zaskoczenie zarówno radzieckiego, jak i polskiego kierownictwa oraz sukces Okrągłego Stołu wynikły właśnie z tego, że przemówiło społeczeństwo obywatelskie. Prowadząc te negocjacje, mieliśmy poczucie pełnego społecznego poparcia – nawet wtedy, gdy narzekano, że to tak wolno idzie, nawet wówczas, gdy narastało poczucie, że możemy coraz więcej uzyskać i że musimy jeszcze więcej załatwić.

Miał Pan poczucie tego pełnego społecznego poparcia, gdy kilkaset metrów od sali obrad na Krakowskim Przedmieściu NZS bił się z milicją?

– Tak, cały czas miałem to poczucie. Co więcej, nawet gdy rozwiewała się szansa pozytywnego zakończenia pertraktacji, a było takich momentów kilka, uważałem, że mamy pełne zrozumienie opinii publicznej. Poza sferą tego zrozumienia pozostawały zupełnie marginesy, nawet jeżeli były to marginesy krzykliwe.

NZS stanowił natomiast jeden z poważniejszych problemów, i to takich, w których druga strona uparcie trwała przy swoim stanowisku oraz postępowała nielojalnie. Zastanawiałem się, dlaczego

WERTEPY

go tak bardzo dbają o podtrzymanie tego konfliktu. Nie wykluczam, że w tę sprawę poważnie zaangażowany był Mieczysław Rakowski. Jeszcze w okresie pierwszej „Solidarności”, w 1981 roku, miał bardzo wrogie wystąpienia pod adresem NZS, który łączył z ekstremistami i anarchistami całego świata. Przy Okrągłym Stole władze ustąpiły w sprawach znacznie trudniejszych niż legalizacja NZS, a tu wyraźnie działały jakieś tajemnicze irracjonalne mechanizmy. W Magdalence udało nam się uzyskać przyrzeczenie generała Kiszczaka, że sprawa NZS zostanie załatwiona. Stało się to jednak dopiero po dramatycznej rozmowie, w której odebrał odpowiedź negatywną, zakomunikowaliśmy, że całe porozumienie stawia ona pod znakiem zapytania. Wtedy właśnie miała miejsce jedna z tych pełnych napięcia, przeciągających się przerw ogłoszonych na prośbę drugiej strony. Kiedy generał Kiszczak narazie wrócił ze swojego gabinetu, zaczął obrady od słów: „Niezależne Zrzeszenie Studentów zostanie zarejestrowane”. Uważaliśmy, że sprawa jest załatwiona.

Sugeruje Pan, że była to osobista decyzja Jaruzelskiego? Do kogo Kiszczak mógł dzwonić ze swojego gabinetu?

– Do Jaruzelskiego albo do Rakowskiego. Zdaje się, mówił nam jednak wprost, że rozmawiał z Jaruzelskim. W każdym razie była to jedna z najdłuższych przerw w dziejach Magdalenki.

Wracam do przekazania Sejmowi ustaw przed ostatecznym zakończeniem negocjacji. Wprowadziło to na scenę zupełnie nowy element: nieobliczalność posłów. Mówiąc ostrożnie, Sejm, urażony pewną arbitralnością postanowień Okrągłego Stołu, zdawał się już wówczas zbliżać do stanu, w którym mógłby się zdecydować na pewną samodzielność. Wydaje mi się zupełnie oczywiste, że nie byłaby to samodzielność nastawiona na wsparcie procesu reform. Czy to nie budziło Pańskiego niepokojów?

– Mówiąc uczciwie, przez cały ten czas do głowy mi nie przychodziło, że taki organ jak Sejm może cokolwiek zmienić. Moje życie upłynęło bez świadomości istnienia tej instytucji. Natomiast druga strona zaczęła wówczas mówić o kłopotach z Sejmem. Posłowie doskonale zdawali sobie sprawę, że jeżeli do porozumienia

ROK 1989

przy Okrągłym Stole dojdzie, w następnych wyborach nie będą już mieli szans na uzyskanie mandatu. Dawало im to oczywiście nieporównanie większe niż poprzednio poczucie niezależności. Mam jednak wrażenie, że nawet w tym okresie ani dla nas, ani nawet dla drugiej strony sytuacja w Sejmie nie stanowiła czynnika istotnego.

Po spotkaniu w Magdalence 7 marca Wałęsa i Kiszczak wydali apel o zakończeniu negocjacji do 20 marca. Okazało się to tak nie-realistyczne, że chyba nawet nie spowodowało specjalnego przyspieszenia rozmów. Prawdziwego tempa nabrały one dopiero po „małej” Magdalence, 17 marca. W ciągu przeszło miesiąca, jaki minął od rozpoczęcia negocjacji, zespół reform politycznych zebrał się dopiero cztery razy. Teraz jego posiedzenia miały się odbywać niemal dzień po dniu – 20, 22 i 23 marca. Skąd ten niezwykle pośpiech? Czy wynikał on z narastania zewnętrznych komplikacji – zwłaszcza opozycji wewnątrz partii i niepokojów społecznych – czy też były jakieś inne szczególne powody, dla których chcieliście jak najprędzej zakończyć rozmowy? Władza nawoływała do przyspieszenia w związku z propozycją odbycia wyborów już w czerwcu. Ale przecież równie dobrze można było wyznaczyć je na wrzesień.

– My to proponowaliśmy. Mówiliśmy, że nie ma potrzeby tak dramatycznie przyspieszać biegu historii. Odpowiedź strony rządowej brzmiała: „Jeśli nie w czerwcu, to w ogóle nie”. Ich wielką kartą było to, że nie wystarczy nam czasu na przygotowania. Proszę pamiętać, że „Solidarność” była wtedy w całkowitej rozsypce – tworzyło ją może kilkadziesiąt tysięcy ludzi, a składki płaciła niewielka garstka.

Była to jednak skadrowana armia mogąca w każdej chwili osiągnąć milionowe rozmiary.

– Tego druga strona nie doceniła, a my też woleliśmy tego nie przeceniać. Byliśmy jedynym krajem bloku sowieckiego, w którym istniała tak wyraźnie uformowana podziemna struktura kadrowa, ale przecież była to kadra przygotowana do czegoś zupełnie innego niż gra wyborcza.

WERTEPY

*Akcja zwracania pracownikom zarobków utraconych na skutek strajków 1988 roku ukazała jednak organizacyjną potęgę „Solidarności”**.

– Ale w wyborach potrzebna jest inna potęga. W wyborach decyduje nie kadrowa struktura, nawet bardzo ofiarna i dobrze zorganizowana, ale masowa świadomość społeczna. W Polsce wciąż tworzą ją wsie i małe miasta, a tam byliśmy słabi. „Solidarność” stanowiła potęgę w wielkich skupiskach, w wielkich miastach, wielkich zakładach. Małe miasta i małe zakłady były całkowicie terroryzowane. A przy tym i represje były nieporównanie łatwiejsze – choćby wyrzucenie z pracy, które oznaczało często, że nie znajdzie się jej praktycznie nigdzie. Teraz często się o tym zapomina, ale w tych latach Warszawa odgrywała w konspiracji rolę kluczową – organizacyjnie i ideotwórczo. To w Warszawie, mimo że była ona miastem komunistycznej władzy z jej ogromnymi urzędami i potężnym aparatem policyjnym, rozwinął się i przetrwał rozległy podziemny ruch wydawniczy, z którego korzystała cała Polska. Ogromną rolę odegrali tu zresztą warszawscy emeryci i emerytki, często mający jeszcze doświadczenie okupacji hitlerowskiej i dzięki temu działający bardzo bezpiecznie. Zatem do walki i konspiracji byliśmy przygotowani dobrze, ale do wyborów zupełnie nie. Druga strona mówiła nam wprost, że nie zrezygnuje z czynnika czasu, a jeśli go straci, wycofa się z całego układu.

Sądzi Pan, że był to jedyny powód, dla którego tak bardzo zależało im na czasie?

– Nie wyobrażam sobie innego poważnego powodu. Po prostu chcieli stworzyć sytuację pozwalającą uratować ze swojego stanu posiadania tyle, ile się tylko da. Czas wydawał im się czynnikiem najważniejszym. Ale przecież równie zajadłe bronili monopolu w środkach przekazu, nie mówiąc już o kompletnej blokadzie, jaka powstawała, gdy dochodziło do poruszenia kwestii nomenklatury. Wystarczyło zaproponować, żeby dyrektorzy szpitali czy

*Władze potraktowały udział w strajkach jako nieobecność nieusprawiedliwioną, co pozbawiało pracowników premii i wypłat z zysku. „Solidarność” prowadziła zbiórkę pieniędzy w kraju i za granicą, by zrekompensować im te straty.

ROK 1989

muzeów byli wybierani w drodze konkursu, a wyrastał między nami nieprzenikniony mur wrogości. Mowy nie było, żeby się na to godzili. Stanowiska w rządzie – bardzo proszę. Konkursy na dyrektorów – absolutnie nie. Wszystkie te nasze wnioski trafiały do protokołów rozbieżności, bo ich zdaniem podważały spójność państwa.

Bardziej subtelni byli w sprawach radia i telewizji. Domagaliśmy się przyznania nam jednego z czterech programów radiowych. Mówili: „Dobrze, ale ze względów organizacyjnych nie da się tego zrobić wcześniej niż za rok”. Chcieliśmy dostać trzeci program telewizji. Mieliliśmy w nim transmitować obrady Sejmu i Senatu, odbywać publiczne debaty, prezentować stanowisko opozycji, realizować ideę pluralizmu. Odpowiadali, że to kwestia czasu. O innych problemach nie mówili. To charakterystyczne, że o sprawach takich jak pieniądze czy możliwości prawne nie wspominali. O prawnym umocowaniu decyzji w ogóle nie rozmawiało się poważnie. Gdy oni podejmowali decyzje polityczne, odpowiednie ciała je wykonywały. Ministerstwa opracowywały, a Sejm uchwalał. Kiedy wystąpiliśmy z postulatem usunięcia przepisów wprowadzonych w okresie stanu wojennego, generał Kiszczak odpowiadał zupełnie otwarcie: „Mówią mi w moim resorcie, że musimy mieć jakieś instrumenty panowania nad sytuacją polityczną. Jeśli zrezygnujemy z tych przepisów, to je stracimy”.

Chodziło pewnie o słynny artykuł 282a?*

– Tak, w końcu udało się go usunąć, ale nie dlatego, że był bardzo niebezpieczny z punktu widzenia praworządności, i nie dlatego, że obrażał podstawowe zasady prawa karnego, tylko dlatego, że odwoaliśmy się do argumentu osobistego. Kiedy sprawa wydawała się już całkiem przegrana, powiedziałem podczas spotkania w Magdalence, że 282a to jest mój problem osobisty, bo z tego artykułu trzykrotnie mnie oskarżano. Przyłączyli się zaraz inni

*Par. 1. Kto podejmuje działanie w celu wywołania niepokoju publicznego lub rozruchów, podlega karze pozbawienia wolności od lat trzech.

Par. 2. Tej samej karze podlega, kto organizuje lub kieruje akcją protestacyjną przeprowadzoną wbrew przepisom prawa. (Przypis z I wydania książki, 1990)

WERTEPY

koledzy, którzy byli nie tylko oskarżani, ale nawet skazywani z tego artykułu. Wtedy na mój osobisty problem uzyskałem wreszcie osobistą odpowiedź generała Kiszczaka, że ze względów osobistych się na to zgodzi. Taki był klimat przetargu, który prowadziliśmy. A rzecz przecież wcale nie była błaha. Rozumieliśmy dobrze, że jeżeli tej zmiany nie uzyskamy, w rękach drugiej strony pozostawimy instrument pozwalający uwięzić nas w każdej chwili. Zostawiając zaś tę możliwość, stwarzaliśmy pokusę korzystania z niej, a więc osłabialiśmy szansę całego procesu.

To niewątpliwie był sukces ważny i niezwykle trudny do osiągnięcia, ale jeszcze trudniej było chyba przekonać komunistów do umieszczenia w ordynacji wyborczej zasad kontraktu politycznego, który w gruncie rzeczy oznaczał przecież przejściowe, ale jawne zastąpienie komunizmu apartheidem. Czy Pan nie wzdragał się przed nadaniem tym apartheidowym regułom rangi prawa faktycznie ustanowionego przy Okrągłym Stole?

– Wiedziałem przede wszystkim, że nie możemy zgodzić się na żadne tajne układy w tej sprawie. Zgoda na apartheidowe zasady była sprawą wstydliwą, kłopotliwą, ale z dwojga złego zdecydowanie lepiej było powiedzieć, że przystaliśmy na nie, ustępując przed siłą i uzyskując więcej, niż mieliśmy poprzednio. Inaczej musielibyśmy potem udawać, że nagle pokochaliśmy partię komunistyczną i ze szczerą woli postanowiliśmy ofiarować jej 65 procent miejsc w Sejmie. Od samego początku mówiliśmy więc, że w tej sprawie wszystko musi być powiedziane jasno i do końca. Napotykalismy jednak niezwykle opór prawników drugiej strony. Aż trudno sobie wyobrazić, jak ogromnie byli przywiązani do pozorów praworządności.

Ta władza, która łamała wszystkie reguły praworządności, praw człowieka, tradycji europejskiej, zarazem niemal obsesyjnie strzegła formalnej czystości prawa. Swoją totalitarną treść konstytucje krajów komunistycznych starannie ukrywały za demokratyczną retoryką. Tekst ordynacji, który z wielkim trudem udało nam się wywalczyć, był bodaj pierwszym w całym bloku komunistycznym aktem ustawowym jasno i jednoznacznie wykładającym swo-

ROK 1989

ją polityczną treść. Z absolutną otwartością zostało bowiem napisane i uchwalone jako prawo, że udało nam się uzyskać od władz 35 procent demokracji, 35 procent wolnych wyborów. Po raz pierwszy zmusiliśmy partię do powiedzenia światu, że wszystkie wcześniejsze powojenne wybory były niedemokratyczne i niewolne. Uważam to za bardzo istotne osiągnięcie naszej strony.

Mieliśmy jednak świadomość, że ten wynik, choć korzystny z historycznego i politycznego punktu widzenia, był zarazem pierwszym w dziejach Polski aktem formalnego przyzwolenia na ograniczoną demokrację. Tym bardziej strzeżliśmy więc zasady, że społeczeństwo musi znać wszystkie detale porozumienia, jakie zawieraliśmy z komunistyczną władzą. Nie mogło być żadnego tajnego dokumentu, tajnego paktu. Wszystko musiało być publicznie ogłoszone.

I nie było żadnego tajnego porozumienia?

– Nie, wszystkie ustalenia zostały opublikowane co do przecinka. *Kiedy 17 marca po północy kończyliście rozmowy, wszystko było już właściwie jasne. Kontrakt, który został wówczas dość szczegółowo zarysowany, z niewielkimi tylko zmianami wszedł w skład porozumień Okrągłego Stołu. Dlaczego zatem pertraktacje musiały trwać jeszcze blisko miesiąc?*

– Strategia naszych rozmówców była zmienna. Ta zmienność służyć miała wymuszeniu na nas decyzji optymalnych z ich punktu widzenia. Mieli zapewne nadzieję, że używając presji czasu i niepewności, zdołają nas zmiękczyć. Zdawaliśmy sobie sprawę z tej gry. Kiedy następowały zahamowania, staraliśmy się przyjmować je ze spokojem i powtarzaliśmy, że nam się nie spieszy, że „z naszego punktu widzenia wybory nie muszą się odbywać w czerwcu; równie dobrze można je przeprowadzić na jesieni”. Tego jednak oni bardzo się obawiali. Poza grą negocjacyjną z nami prowadzili bowiem walkę z przeciwnikami we własnym obozie.

Przez wszystkie tygodnie Okrągłego Stołu niemal bez ustanku obradowały różne partyjne władze, które podejmowały zmienne i czasem sprzeczne decyzje. Powodowało to kolejne kryzysy na-

WERTEPY

szych rozmów. Ciosek bez żenady oświadczał: „Tu mamy ścianę. Tego teraz nie przeskoczymy”. Proszę zresztą pamiętać, że nawet w ich ekipie Okrągłego Stołu byli ludzie reprezentujący formację zdecydowanie zachowawczą – tacy jak Kazimierz Cypryński. Znamienne jest jednak, że przedstawiciele tego kierunku nie było na żadnym spotkaniu w Magdalence.

Z wyjątkiem wicepremiera Sekuły.

– Ireneusz Sekuła w Magdalence nie reprezentował partii, ale Mieczysława Rakowskiego.

A to była jeszcze inna grupa?

– Tak, było to środowisko, które miało poczucie, że Okrągły Stół nie jest jego grą, ale reprezentowało pragmatyczną linię ówczesnego gabinetu. Minister Kwaśniewski był może nieco bardziej zbliżony do środowiska partyjnych reformatorów. Sekuła niewątpliwie występował jednak w imieniu pragmatycznych technokratów z nomenklatury. Nie było zatem w Magdalence nikogo ze środowiska partyjnego betonu, który chciał blokować ten proces. Także OPZZ wyrażający stanowisko tej właśnie „betonowej” grupy był cały czas słabo obecny w naszych rozmowach. Przywódca grupy „betonowej”, sekretarz warszawskiego komitetu partii Janusz Kubasiewicz, odrzucił propozycję udziału w obradach Okrągłego Stołu. To był istotny sygnał. Taka sytuacja po tamtej stronie prowadziła do powstawania zahamowań. Kolejne Magdalenki służyły przełamywaniu ich.

Jaka część tych zahamowań była Pańskim zdaniem efektem kontrowersji we władzach partii, a jaka stanowiła element gry negocjacyjnej? W negocjacjach zawsze najłatwiej jest powiedzieć: „Ja bym się na to zgodził, ale instrukcje mi nie pozwalają” albo: „ale moja baza i tak tego nie zaakceptuje”.

– Obie strony używały tego argumentu. I oni, i my mieliśmy świadomość, że do naszych ustaleń będziemy musieli przekonać strukturę, w imieniu których występujemy. Krajowa Komisja Wykonawcza „Solidarności” mogła decyzje Magdalenki zaakceptować albo odrzucić. My też musieliśmy się liczyć z naszą – mówiąc językiem partyjnym – „bazą”.

ROK 1989

Pamiętam rozmowę, jaką pewnego dnia, jedząc obiad w stołówce Okrągłego Stołu, prowadziłem z Kazimierzem Cypryniakiem, betonowym członkiem Biura Politycznego. Cypryniak, który się do mnie przysiadł, powiedział, że w gruncie rzeczy dla nich korzystne by było przekazanie nam władzy: „Sytuacja gospodarcza jest fatalna – mówił. – Przejmując władzę, ponieślibyście wszystkie polityczne koszty całego kryzysu. Na was by spadło całe odium. Mamy jednak poczucie odpowiedzialności za kraj – dodał – dlatego musimy władzę utrzymać”. Odpowiedziałem mu na to, że my takie rozumowanie prowadzimy sami i że mimo wszystko jesteśmy gotowi przejąć odpowiedzialność za Polskę, bo uważamy, że w ich rękach jej los jest zagrożony. Żaden z nas nie znał jednak odpowiedzi na zasadnicze w tym przypadku pytanie: „Co na to Moskwa?”. Ten sam Cypryniak na zakończenie naszych negocjacji przyznał, że oni nie są już w stanie rozpoznać intencji Rosjan. „Urwały nam się wszystkie dotychczasowe kontakty – mówił – są tam zupełnie nowi ludzie, do których nasze argumenty nie trafiają. Do tej pory rozmawialiśmy z gronem osób, które znaliśmy od lat. Oni rozumieli nasze interesy, my rozumieliśmy ich interesy. Teraz sytuacja się zmieniła. Oni są pragmatyczni, a my nie mamy do nich dojścia”. Była to sytuacja bardzo interesująca, którą świadomie eksploatowaliśmy od początku pertraktacji. Mówiliśmy im: „Wy się tu zastanawiacie nad każdym ruchem, a spójrzcie, co robi Gorbaczow”. Było to dla naszych rozmówców niezwykle groźne i bolesne. W odpowiedzi Ciosek apelował do Wałęsy, żeby zabronił Michnikowi czytania radzieckich gazet. Był to żart, ale żart bardzo znamienity.

Z Gorbaczowem pewną osobistą relację wytworzył generał Jaruzelski. Nie wiedzieliśmy, jak ona powstała, ale wiedzieliśmy o jej istnieniu. Natomiast na wszystkich innych szczeblach bliskie relacje przysnęły wraz z postęпами pierestrojki. Tę sytuację, jeszcze jako groźną perspektywę, opisał Mieczysław Rakowski w swoim memoriale z 1988 roku. Już wtedy Związek Radziecki przestawał być dla polskich komunistów oparciem. Wydaje mi się, że właśnie to zachwianie relacji z Moskwą sprawiło, iż w okresie Okrągłego

WERTEPY

Stołu komuniści nie prowadzili już jednolitej gry. Dla ich obozu czynnik cementujący stanowili przecież Rosjanie. W roku 1989 każda grupa wewnątrz obozu władzy mogła już głosić swoje poglądy, a zabrakło arbitra, który by powiedział, jakie stanowisko jest słuszne. Do tej pory mówiła to właśnie Moskwa.

A generał Jaruzelski nie był jeszcze wówczas takim arbitrem?

– Stawał się nim wobec milczenia Rosjan. I dzięki temu, że był arbitrem, decyzje jednak zapadły. Miejsce Rosjan na polskiej scenie politycznej zajmowało wojsko.

Siła?

– Tak, siła skumulowana w armii i w policji. Rozmawialiśmy z siłą, z dwoma aparatami władzy, na których opierało się ówczesne kierownictwo partyjne. Partia w rzeczywistości nie była stroną tej rozmowy i nad naszymi negocjacjami nieustannie wisiało pytanie: co partia zrobi? Bardzo znamienne były reakcje Stanisława Cioska, człowieka aparatu partyjnego, i późniejszy paroksyzm nienawiści tego aparatu właśnie wobec niego – tego, który zdradził. Ciosek mówił: „Partia zawyje”. Dlaczego miała wyc? Dlatego, że decyzje zapadły, a aparat partyjny był wyłączony z procesu ich podejmowania, choć nadal uczestniczył we władzy.

Cały ten konfliktowy spłot w obozie władzy sprawiał, że podjęcie każdej poważnej decyzji powodowało sytuację kryzysową. To z kolei stanowiło o konieczności Magdalenek. Doprowadziliśmy tam do dramatyzacji rozbieżności. Nasi rozmówcy musieli podejmować decyzje, bo inaczej wszystko by się rozsypało. Wtedy najczęściej odwoływali się do telefonu i albo zaraz dawali odpowiedź, albo ustalaliśmy termin, w którym ją otrzymamy. Bez takiego udraumatyzowania nie byli w stanie zdobyć się na rozstrzygnięcia.

Istniała jednak sprawa, która w drugim etapie Okrągłego Stołu wałkowała się i wracała, nie wykazując niemal żadnego postępu. Była to sprawa indeksacji. Wy upieraliście się przy niej, choć chyba nie mieliście do indeksacji specjalnego przekonania. Druga strona blokowała zaś tę decyzję z takim samym uporem, z jakim wy chcieliście do niej doprowadzić. Kiedy wreszcie rząd wycofał swoje generalne zastrzeżenia, pojawiła się kompletna obstrukcja ze

strony OPZZ. Tęgo pata nie zdołaliście przełamać do ostatnich dni. Dlaczego?

– Na temat indeksacji Krajowa Komisja Wykonawcza odbyła bardzo burzliwą debatę. Pamiętam trafny, przeciwny indeksacji wywód Lecha Kaczyńskiego. Uznaliśmy jednak, że indeksacja płac jest niezbędnym elementem całego kontraktu, bo zneutralizuje, a w każdym razie osłabi społeczne skutki inflacji – ochroni przed jej skutkami zarobki robotnicze. Kiedy dotycząca indeksacji uchwała KKW w końcu zapadła, byliśmy już nią związani.

Muszę przyznać, że nie bardzo rozumiałem antyindeksacyjne stanowisko władz. Wobec wiszącej już wówczas bomby inflacyjnej dość oczywiste wydawało się, że rzeczywista decyzja dotyczy wyboru między indeksacją systemową, legalną, a żywiołową, wymuszaną strajkami. Z punktu widzenia państwa, porządku publicznego i sprawiedliwości ten wybór wydawał się dość oczywisty. W sytuacji roku 1989 trudno było liczyć na to, że władze zdołają przeciwstawić się roszczeniom płacowym i utrzymać pieniądze w państwowej kasie.

– Głównym przedmiotem konfliktu była sprawa legalizacji „Solidarności”. Skoro w tej sprawie OPZZ, reprezentujący interesy „betonowej” grupy partyjnego kierownictwa, nie mógł blokować porozumienia, bo Komitet Centralny podjął już decyzję, przeciwnicy Okrągłego Stołu musieli szukać konfliktu w sferze politycznej albo w gospodarce. Spodziewaliśmy się, że wybiorą politykę. Okazało się jednak, że nie widząc szans dotarcia do opinii publicznej ze swoim zachowawczym stanowiskiem w sprawie reform politycznych, zdecydowali się na zwanie w sferze reform gospodarczych, dla opinii publicznej dużo trudniejszych do zrozumienia. Muszę przyznać, że dla nas było to zaskakujące, bo spodziewaliśmy się, że w sferze gospodarki najłatwiej odnajdziemy wspólny język.

Ze względu na wymierność?

– Także ze względu na wspólny interes. Koniunktura gospodarcza służy przecież jednakowo władzy i społeczeństwu. Tu jednak miała się odbyć batalia o powodzenie całego procesu Okrągłego Stołu. OPZZ chciał przebić nas swoimi postulatami, chciał „dać”

WERTEPY

więcej. My natomiast nie chcieliśmy niczego dawać. Chcieliśmy tylko wytworzyć mechanizmy zabezpieczające interesy społeczeństwa i amortyzujące konflikty społeczne.

A co przez ten miesiąc działo się w Pańskim zespole reform politycznych?

– Próbowaliśmy forsować kolejne elementy naszego programu demokracji. Uzyskaliśmy własny dziennik, ograniczenie cenzury, wolny rynek papieru mający ruszyć od roku 1990 i dający szansę rozwoju niezależnej prasy, autorskie programy telewizyjne. Nasze postulaty szły jednak znacznie dalej. Udawało nam się uzyskać zaledwie wyłomy w monopolu środków przekazu, a chcieliśmy ten monopol całkowicie zlikwidować. Tu otrzymywaliśmy bardzo zdecydowaną odpowiedź, że „telewizji partia nie odda nigdy”. Braliśmy to w cudzysłów, bo nasz optymizm nie opierał się na obietnicach władzy, ale na przekonaniu o sile społecznego procesu, który uruchamialiśmy. Do ostatniej chwili trwały też targi o szczegóły kontraktu: wybory – Sejm – prezydent – Senat. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że od rozwiązania tych szczegółów zależy może los całego procesu. Staraliśmy się uzyskać jak największe uprawnienia dla Senatu i jak najslabszą władzę prezydencką.

Pierwsza ich propozycja w sprawie uprawnień prezydenta była nie do zaakceptowania. Doradcy strony rządowej przepisali ją z konstytucji francuskiej, która nadaje prezydentowi niezwykle szerokie uprawnienia dotyczące zarówno weta ustawodawczego, jak i rozwiązywania parlamentu i określania polityki całej władzy wykonawczej. Nie godziliśmy się na to. Za nasz duży sukces uważam uzyskanie ograniczenia weta prezydenckiego i prawa rozwiązywania parlamentu.

Dla Senatu zdołaliśmy przede wszystkim wynegocjować prawo inicjatywy ustawodawczej. Bardzo długo trwały też przetargi o procenty, to znaczy o podział mandatów w Sejmie i – co się z tym wiązało – o większość konieczną do przełamania weta prezydenta lub Senatu. Pamiętam posiedzenie zespołu roboczego, na którym padały najróżniejsze ułamki i procenty – na przykład 27:40 albo 13:20 – jako większość potrzebna do prze-

ROK 1989

łamania weta Senatu. Byliśmy tak zaangażowani w polemikę, że koledzy powyciągali kalkulatory i zaczęli sprawdzać, ile to procent. Do wersji „2:3” wróciliśmy dopiero wtedy, kiedy powiedziałem, że cała Europa pęknie ze śmiechu, jeżeli w konstytucji zapiszemy ułamek typu 27:40. Uzyskanie decyzji w sprawie „2:3” kosztowało nas wiele godzin pertraktacji, ale był to właśnie jeden z tych szczegółów, dzięki którym udało się wytworzyć system pewnej równowagi między izbami parlamentu, między prezydentem a parlamentem i między reprezentowanym przez przyszlą parlamentarną większość interesem obozu władzy a interesem społecznym mogącym liczyć na zaledwie 35-procentową reprezentację. Zresztą, o ile dobrze pamiętam, kiedy trwała batalia o „2:3”, nie było jeszcze wiadomo, jaki ma być ostateczny układ w Sejmie. Tu też padały najróżniejsze propozycje – na przykład 37:63 albo 30:70. To wszystko wiele razy decydowało się i zmieniało, zanim kontrakt uzyskał swój ostateczny kształt.

Piątego kwietnia wraz z Januszem Reykowskim podpisał Pan porozumienie będące efektem dwumiesięcznych obrad zespołu reform politycznych. Czy podpisał je Pan z czystym sumieniem i zupełnym przekonaniem, że należy je zawrzeć? Czy nie było przypadkiem tak, że uwikłani w proces negocjacji, do których obie strony przystępowały z dość odmiennych pozycji, negocjatorzy znaleźli się w pewnym momencie na wspólnym wózku skazanym na katastrofę, w razie gdyby rozmowy do niczego nie doprowadziły?

– Miałem pełne przekonanie, że odnieśliśmy sukces. Choć nie przewidywałem wówczas tak błyskotliwego przebiegu ewolucji politycznej, wiedziałem jednak, że ewolucja została zapoczątkowana. Widziałem też jednak zagrożenia wynikające przede wszystkim z tego, że siła fizyczna pozostawała po drugiej stronie, a to, co podpisywałem, było tylko kartką papieru. W historii ostatnich czterech dziesięcioleci była to jednak bardzo szczególna kartka, bo zwracała ona polskiemu narodowi dużą część tego, co mu się należało, a czego został przez komunistów pozbawiony. Proszę też pamiętać, jak to porozumienie wyglądało, a jak miało wyglądać w począt-

WERTEPY

kowym zamierzeniu władz. W ich zamyśle miała to być cena za legalizację „Solidarności”. Tymczasem udało się nie tylko uzyskać „Solidarność”, ale także otrzymać istotną część demokracji, której dawniej nie mieliśmy. W toku negocjacji zdołaliśmy wytworzyć sytuację, w której to nie my, ale władza płaciła za legalizację „Solidarności”. Płaciła więc podwójnie.

*Ale potrójnie już płacić nie chciała i przy stoliku gospodarczym nie od-
dała bodaj ani paznokcia.*

– Tak, mówiłem, że było to dla nas pewne zaskoczenie, zaskoczenie bolesne, bo do reformy gospodarczej przywiązywaliśmy ogromne znaczenie. Nasz zespół ekonomiczny rozpoczął pracę już w 1987 roku, zanim jeszcze zaczęły się rozmowy o Okrągłym Stole. Zdawało nam się, że na tym polu stosunkowo najłatwiej uda się odnaleźć płaszczyznę interesu narodowego. Tymczasem właśnie w sferze gospodarczej rezultaty Okrągłego Stołu rozczarowały najbardziej. Na dobrą sprawę zdołaliśmy przeprowadzić tylko naszą koncepcję indeksacji płac. Mieliśmy zaś świadomość, że o ile w sferze politycznej możemy posuwać się spokojnie, małymi krokami, które będą nas prowadziły do kolejnych przybliżeń wolności i demokracji, o tyle w sferze gospodarczej potrzebna jest radykalna zmiana, zwrócenie się ku mechanizmom rynkowym i prywatnej przedsiębiorczości. Tu znacznie trudniej było wyobrazić sobie kolejne kompromisy i przybliżenia, kierunek bowiem musiał być z góry ustalony.

Układ Okrągłego Stołu miał jednak historyczne znaczenie dzięki temu, co zmieniał, i także dzięki temu, co w polskich dziejach kontynuował. Kontynuował zaś przede wszystkim ideę dialogu i porozumienia leżącą także u podstaw umowy gdańskiej z 1980 roku.

Ale zarazem zrywał z pozorem „rozmowy Polaka z Polakiem”. Kontrakt 1989 roku zawierało społeczeństwo z władzą.

– W wypadku Porozumienia Gdańskiego mówienie o „rozmowie Polaka z Polakiem” też stanowiło tylko retoryczny ozdobnik. W żadnym razie nie można traktować go jako zakończenia rodzinnej kłótni. Podczas gdańskich negocjacji stan wrogości stron

ROK 1989

był nawet większy i wyraźniej widoczny niż w roku 1989. Towarzyszyły im przecież ruchy floty, policji i wojska.

Jeszcze 31 sierpnia 1980 roku, kiedy na moją prośbę Bogdan Lis informował wicepremiera Jagielskiego*, że przedłuża się przepisanie tekstu porozumienia na maszynie, Jagielski odpowiedział mu, że „jeśli się przedłuża, to być może w ogóle nie będzie czego podpisywać, bo staną się rzeczy nieodwracalne”. Czy w takiej atmosferze można było myśleć, że chodzi o odzyskanie zgody w rodzinie? To była ostra sytuacja konfliktowa, w której dochodziło do zawieszenia broni. Zgadzam się, że w 1989 roku istniała potężna akumulacja nienawiści narosłej po 13 grudnia, ale była to konsekwencja nowych doświadczeń. Sama zasada porozumienia społecznego i same mechanizmy dialogu były zaś kontynuowane.

Formalnie kontynuowany był też peerelowski ustrój realnego socjalizmu łącznie z przewodnią rolą partii. Czy ona Pańskim zdaniem zachowywała swoją pozycję i tożsamość także po zawarciu porozumień Okrągłego Stołu?

– Tak, ta partia, która była przede wszystkim partią władzy, zachowała swoją tożsamość i swoją pozycję. W przyszłym parlamencie miała zagwarantowane te miejsca, które sobie – korzystając ze swojej władzy – zastrzegła. Utrzymywała też przywileje dotyczące wojska, policji, administracji, całej milionowej rzeszy nomenklatury. W gruncie rzeczy Polską rządziła nadal policja współpracująca z wojskiem i aparatem partyjnym. Tego nieformalnego układu nie byliśmy w stanie przełamać przy Okrągłym Stole. Faktycznie pozostał cały system nomenklatury, którego zażartą obronę łatwo zrozumieć, gdy porówna się niemal identyczne liczby członków partii i stanowisk objętych nomenklaturą. Ta zbieżność oznaczała, że bezpartyjni byli faktycznie pozbawieni dostępu do choćby najmniejszych okruchów władzy. Poza partią wciąż nie można było uzyskać pełni praw politycznych i obywatelskich. W tym sensie partia władzy swoją tożsamość

*Mieczysław Jagielski – w tamtym czasie główny negocjator rządowy w Stoczni Gdańskiej.

WERTEPY

zachowała. Zniknęła tylko filozofia pozoru – pozoru poparcia społecznego, pozoru rządów prawa, pozoru niezastąpioności partii w kontaktach ze Związkiem Radzieckim.

Uważał Pan, że to rzeczywiście już wtedy zniknęło?

– Tak. Posługiwaliśmy się argumentem, że dzięki polityce Gorbaczowa „Solidarność” może jawnie głosić swoje poglądy. Utrzymywaliśmy, że polskie kierownictwo nie nadaża za Gorbaczowem i jego reformami. Niezależnie od tego, jaka była prawda, to hasło okazało się niezwykle nośne – także w sferach partyjnych. Odbierało ono partii ten swoisty legitymizm, który polegał na założeniu, że służy ona interesowi narodowemu, reprezentując go wobec Moskwy. Powstało podejrzenie – którego ona nigdy nie chciała przyjąć, a zwłaszcza nie chciała go przyjąć w roku 1989 – że ta partia może być przedstawicielką interesów Związku Radzieckiego we własnym kraju, a nie odwrotnie.

Czy wy mieliście wówczas jakieś kontakty z kierownictwem radzieckim?

– Nie, żadnych takich kontaktów nie było.

Nie czuł Pan takiej potrzeby?

– Ani nie czułem potrzeby, ani nie miałem możliwości. Ani mnie, ani nikomu z nas nie przyszłoby przecież do głowy rozmawiać z ambasadą radziecką, którą uważaliśmy za niekompetentną i źle poinformowaną placówkę KGB. Bardzo uważnie śledziliśmy natomiast, co mówi Gorbaczow i jego najważniejsi współpracownicy. Z ich wypowiedzi wynikało zaś jasno, że jeżeli tylko będziemy w stanie poradzić sobie z polskimi komunistami, otworzy się przed nami wielka szansa.

Wśród dużej ilości spraw, które znalazły się w porozumieniu i protokołach rozbieżności Okrągłego Stołu, zabrakło jednak dwóch niezwykle ważnych kwestii. Jedną z nich są właśnie stosunki ze Związkiem Radzieckim, drugą konstytucyjna pozycja partii komunistycznej.

– Cóż, tematu systemowej roli partii nie poruszaliśmy ani my, ani oni, ale było zupełnie oczywiste, że staje ona na równi pochyłej. Przez cały czas był natomiast problem, jak partia to zniesie. Partia – że użyję formuły Cioska – „wyła” niemal bez przerwy. Kie-

rownictwo partyjne musiało dla swoich decyzji uzyskać akceptację niższych szczebli, a to było często zadanie kaskaderskie, bo trzeba było ten aparat namówić, żeby oddał część władzy, którą do tej pory dzierżył niepodzielnie.

Sądzi Pan, że kierownictwo było gotowe z tej władzy w imieniu partii zrezygnować?

– Ależ praktycznie ona należała już do przeszłości i ludzie stojący na czele PZPR doskonale zdawali sobie z tego sprawę. Proszę pamiętać, że między sierpniem 1980 a kwietniem 1989 był jeszcze grudzień 1981, kiedy partia została całkowicie wykluczona z procesu politycznego, a w każdym razie z procesu podejmowania decyzji. Restrykcje stanu wojennego dotyczyły przecież także posiedzeń instancji partyjnych. Nie uczestniczyły one w przygotowaniach do 13 grudnia i nie były nawet uprzedzone.

W odróżnieniu od Kościoła.

– Tak, Prymas został poinformowany o stanie wojennym wcześniej niż część członków Biura Politycznego, którzy usłyszeli o tym przez radio. Kierownicza rola partii była więc sprawą przebrzmiałą, anachroniczną i nie mogła się stać przedmiotem poważnych rozmów.

A Związek Radziecki?

– O tym rozmawialiśmy. Był to jeden ze stałych elementów gry. Kiedy jednak zaproponowaliśmy usunięcie całości zmian konstytucyjnych wprowadzonych w latach siedemdziesiątych – wśród których była i kierownicza rola partii, i przyjaźń ze Związkiem Radzieckim – usłyszeliśmy, że zostanie to uznane za gest antyradziecki. Odpowiadaliśmy wprawdzie, że naszym zdaniem w Moskwie byłoby to prawidłowo zrozumiane i nie trzeba zaraz zakładać reakcji emocjonalnych, ale też nie przywiązywaliśmy do tej sprawy dużego znaczenia.

Uważaliśmy, że ułożenie stosunków ze Związkiem Radzieckim jest kwestią przyszłości i nie wydawało nam się celowe robienie awantury wokół zapisu konstytucyjnego. W najlepszym razie mogła ona przynieść skreślenie przez Sejm paru zdań z konstytucji, która i tak nie miała żadnego realnego znaczenia politycznego.

WERTEPY

Państwo polskie nie znajdowało się przecież pod rządami konstytucji – choćby nawet tej groteskowej, którą komuniści sobie uchwalili – ale pod rządami aparatu. Oni nam zresztą o tej ponurej rzeczywistości sami przypominali, jakby obawiając się, że możemy ulec jakimś demokratycznym mirażom.

Profesor Reykowski powiedział kiedyś wprost: „Panowie, chcecie zmienić ustrój, a ustrojów nie zmienia się porozumieniami i podpisami. Ustroje zmienia się rewolucją, przewrotem i wojną domową. Nigdy nie udało się zmienić ustroju w toku negocjacji albo w wyniku wyborów. Historia nie zna takiego przypadku. Odpowiedzcie sobie sami – czy chcecie wojny?”. My wojny nie chcieliśmy, ale rzeczywiście chcieliśmy zmienić ustrój. I udało się. Jeśli wierzyć Reykowskiemu, to pierwszy raz w dziejach świata. Oczywiście, nie podpisaliśmy porozumienia o zmianie ustroju, ale jednak były w naszym porozumieniu elementy, które musiały ten ustrój zmienić. Wyrok zapadł więc przy Okrągłym Stole.

Ale nie zapadł on jednomyślnie, bo jeszcze w czasie ceremonii podpisania omal nie doszło do zerwania kontraktu.

– Tak, za pretekst posłużyć miały sprawy proceduralne. Uważaliśmy, że na tym posiedzeniu powinno być jak najmniej wystąpienia, żeby wszystko nie rozmyło się w pustosłowiu. Ustaliliśmy, że będą dwa głosy otwierające – Kiszczaka i Wałęsy, po nich przerwa i dyskusja, w której wezmą udział przedstawiciele stronnictw politycznych i ewentualnie także związków. Porozumienie na ten temat osiągnęliśmy w Magdalence, ale już w trakcie obrad doszło do dramatycznego spięcia z OPZZ. Miodowicz zapowiedział, że wyjdzie z sali, jeżeli nie otrzyma głosu jako pierwszy po przerwie. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami jako pierwszy zaplanowany był zaś głos przedstawiciela ZSL. OPZZ miał być drugi, po nim SD.

Chodziło więc o prestiż.

– Nie była to tylko sprawa prestiżu. Tu chodziło o bardzo ważną polityczną rozgrywkę, o zerwanie Okrągłego Stołu. Zapowiedziano nam, że razem z Miodowiczem wyjdzie z sali jeszcze kilka innych osób. Generał Kiszczak, który był w stałej łączności te-

ROK 1989

lefonicznej z generałem Jaruzelskim, uprzedził Wałęsę, że nie będzie mógł podpisać porozumienia, gdy salę opuści trzech członków Biura Politycznego. Uważał, że nazajutrz nie byłoby ani Biura, ani partii.

A kto poza Miodowiczem miał wyjść?

– Sobotka* i Cypryniak. Oznaczało to cofnięcie wszystkiego – może do stanu sprzed roku, a może jeszcze dalej. Tymczasem trwała gra nerwów. Zamiast pół godziny przerwa w obradach ciągnęła się godzinę, półtorej, dwie, w końcu niemal dwie i pół godziny.

To było widać w telewizji, która po bodaj godzinnym bezskutecznym oczekiwaniu na wznowienie obrad – i transmisji – po prostu zaczęła nadawać normalny program. Co się wtedy działo w Pałacu?

– Trwały dramatyczne konsultacje, które generał Kiszczak prowadził z generałem Jaruzelskim, z innymi członkami Biura Politycznego, z Miodowiczem. Lech Wałęsa nie chciał rozmawiać na ten temat i zlecił to mnie. „Niech pan podejmie decyzję” – powiedział. *I podjął Pan tę decyzję?*

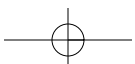
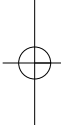
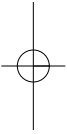
– Nie. Decyzję podjęła cała delegacja „Solidarności”. Miodowicz zaproponował wtedy, że w rewanżu za zmianę kolejności wystąpienia wykreśli ze swego przemówienia krytykę ustalonego systemu indeksacji, ale nie wydawało nam się, żeby był to poważny argument za zmianą naszego stanowiska. W końcu, o wpół do dziewiątej wieczorem, cały nasz zespół postanowił, że zaakceptujemy wystąpienie Miodowicza jako pierwszego po przerwie, pod warunkiem że będziemy mogli wcześniej publicznie przedstawić powody zmiany kolejności. Lech Wałęsa poprosił, żebym ja to powiedział, a Kiszczak się zgodził.

Profesor Gieysztor mógł więc wznowić obrady. Poprosiłem o umożliwienie mi złożenia krótkiego oświadczenia i bez owijania w bawełnę powiedziałem, dlaczego przerwa się tak dramatycznie przeciągnęła oraz dlaczego zdecydowaliśmy się ustąpić.

***Zbigniew Sobotka** – wówczas zastępca członka Biura Politycznego KC. W latach 1989-2005 będzie posłem lewicowy, w latach 1994-97 i 2001-03 – wiceministrem spraw wewnętrznych i administracji w rządach SLD. W styczniu 2005 roku skazany na karę więzienia w tzw. aferze starachowickiej; w grudniu tego roku, tuż przed końcem swej kadencji, ułaskawi go prezydent Kwaśniewski.

WERTEPY

Miodowicz wygłosił swoje przemówienie, w którym nie było niczego godnego uwagi. Nie zdobył się nawet na słowo komentarza do mojego oświadczenia, w którym mówiłem wprost, że zgadzamy się na tę zmianę tylko dlatego, żeby nie dać pretekstu do zerwania Okrągłego Stołu. Polska straciłaby na tym zbyt wiele.



WYBORY



Piątego kwietnia w warszawskim Pałacu Namiestnikowskim podpisano wreszcie porozumienie Okrągłego Stołu. Dwa dni później Sejm uchwalił wynegocjowane wcześniej poprawki konstytucyjne. Opowiedziało się za nimi aż 384 z 405 obecnych tego dnia posłów. Rozwiała to chyba wcześniejsze obawy związane z postawą posłów wobec ustaleń Okrągłego Stołu, którym Sejm nadać miał rangę prawa.

Nie obeszło się jednak bez dramatycznych akcentów, gdy Ryszard Bender zgłosił dwie naruszające porozumienie poprawki. Jedna, dotycząca zmniejszenia liczby podpisów koniecznych do zgłoszenia kandydata na posła, została przez Sejm odrzucona. Drugą, zmieniającą nazwę państwa na „Rzeczpospolita Polska”, Bender – ulegając perswazjom władz – sam zgodził się wycofać. Propozycja ta wydawała się jednak społecznie bardzo nośna. Czy nie rozważaliście jej wcześniej w trakcie rozmów Okrągłego Stołu?

– Od czasu do czasu padały takie propozycje, ale pomijaliśmy je milczeniem, władza zaś nie nalegała. Byliśmy absolutnie przeciwni kontynuowaniu polityki pozorów, a zmienianie nazwy państwa i nazywanie Rzeczpospolitą Polską tego dziwnego kontraktowego tworu politycznego, który wylaniał się z porozumień Okrągłego Stołu, uważaliśmy właśnie za grę pozorów. Zmiana nazwy państwa miała stanowić zwieńczenie procesu demokratycznych reform. Nie jest natomiast prawdą, że wszystkie decyzje Okrągłego Stołu Sejm bez zastrzeżeń uchwalił. Były próby dokonania istotnych zmian. Zwłaszcza klub PZPR zademonstrował – bodaj pier-

wszy raz w swojej historii – nieposłuszeństwo wobec władz partyjnych. Po paru dramatycznych zebraniach nasi partnerzy z Okrągłego Stołu zdołali opanować sytuację, ale jednak nie do końca i parę zmian w wynegocjowanych tekstach Sejm mimo wszystko wprowadził.

Najbardziej spektakularna była niewątpliwie zmiana samego tytułu ordynacji wyborczej mająca istotne znaczenie merytoryczne. Przez cały czas negocjacji mówiliśmy wyraźnie, że ma to być ordynacja jednorazowa. Co więcej, wokół tej kwestii toczyły się gorące spory. Wynegocjowany tytuł brzmiał: „Ordynacja wyborcza do Sejmu X kadencji”. Posłowie najpierw chcieli nadać jej charakter stały, proponując tytuł: „Ordynacja wyborcza do Sejmu PRL”, a po burzliwej dyskusji z naszymi okrągłostołowymi partnerami zgodzili się wreszcie na sformułowanie: „...do Sejmu X kadencji na lata 1989-93”. Znaczyło to, że kontrakt będzie obowiązywać we wszystkich wyborach mających się odbyć w ciągu całych czterech lat.

I musieliście to zaakceptować.

– Nie akceptowaliśmy żadnego naruszenia porozumień. Protestowaliśmy, ale nie byliśmy przekonani, że zmiana ta może uzasadnić zerwanie całego kontraktu. Nasze protesty pozostawały zaś bezskuteczne, bo druga strona jednak nie do końca panowała nad sytuacją w Sejmie, a termin wyborów był zbyt bliski, żeby wrócić do poważnych negocjacji.

W połowie kwietnia prasa, radio i telewizja nadały wielką rangę spotkaniu kardynała Glempa z generałem Jaruzelskim. Czy było to spotkanie kurtuazyjne, jedna z owych niemal już rutynowych rozmów Prymasa z Pierwszym Sekretarzem, czy też wobec pojawiających się konfliktów miało ono charakter doraźno-mediacyjny?

– Powiedziałbym, że był to tradycyjny element stosunków między Kościołem a państwem mających istotny wpływ na proces Okrągłego Stołu. Zaangażowanie Kościoła w ten proces było publicznie znane i oczywiste, choćby dzięki udziałowi przedstawicieli Episkopatu w obradach plenarnych. Dla nas ta oczywistość była tym większa, że zdawaliśmy sobie sprawę, jak bardzo ważna była

WYBORY

inicjatywa Sekretariatu Episkopatu w trakcie trwających blisko rok negocjacji. Pozostawały natomiast pewne wątpliwości co do stanowiska generała Jaruzelskiego. W czasie rozmów zakładaliśmy, że generał Kiszczak ma pełnomocnictwa Jaruzelskiego. Mieliśmy też poczucie, że minister Kwaśniewski lub wicepremier Sekuła mówią w imieniu premiera Rakowskiego. Ani w jednym, ani w drugim wypadku nie mieliśmy jednak pewności. Spotkanie generała Jaruzelskiego i prymasa Glempa nie miało więc wyłącznie rutynowego charakteru. Stanowiło dość jednoznaczny sygnał, że dwie największe siły polskiego życia publicznego – moralna potęga Kościoła i materialna, fizyczna siła władzy – udzielają poparcia porozumieniu Okrągłego Stołu. Powiedziałbym, że był to akt politycznej ratyfikacji porozumienia, które przecież kwestionowało wiele środowisk po obu stronach barykady. Chodziło więc także o przełamanie nieufności, co było wówczas bardzo ważne.

Zwłaszcza że stanowisko Księdza Prymasa też mogło być dla opinii publicznej niejasne. Wiadomo było, że Kościół jest zaangażowany w proces Okrągłego Stołu, ale to zaangażowanie kojarzono raczej z Sekretariatem Episkopatu i arcybiskupem Dąbrowskim oraz z księdzem Orszulikiem niż z prymasem Glempe.

– Przez cały czas Ksiądz Prymas był w pełni informowany o przebiegu rozmów i z pewnością akceptował działania podejmowane przez Sekretariat Episkopatu. Stanowisko Kościoła wobec rozmów Okrągłego Stołu zostało ustalone przez Episkopat Polski, zanim Sekretariat Episkopatu rozpoczął swoją misję. Arcybiskup Dąbrowski, biskup Gocłowski i ksiądz Orszulik, którzy wnieśli ogromny wkład w cały ten proces, działali więc na podstawie upoważnienia Episkopatu, na czele którego stoi przecież Ksiądz Prymas. Proszę także pamiętać, że to właśnie prymas Glemp delegował dwóch uczestników obrad plenarnych Okrągłego Stołu. O ile bowiem Episkopat zgodził się na zaangażowanie hierarchii kościelnej w proces przygotowawczy, o tyle ewentualność udziału biskupów w oficjalnych rozmowach Okrągłego Stołu nie została zaakceptowana. Ostatecznie więc w czasie obrad plenarnych Kościół reprezentowali dwaj księża – Alojzy Orszulik i Bronisław

ROK 1989

Dembowski – którzy formalnie byli obserwatorami upoważnionymi przez Prymasa Polski.

Mimo całej swojej spektakularności Okrągły Stół nie poruszył chyba publicznej wyobraźni w stopniu wystarczającym do uruchomienia nowych procesów społecznych. Bardzo wyraźnie było to widać 17 kwietnia, gdy w warszawskim sądzie wojewódzkim ponownie zarejestrowano NSZZ „Solidarność”. W roku 1980 rejestracja była wielkim świętem wolności, wielkim narodowym zwycięstwem. Rejestracja roku 1989 była tylko czynnością prawną, która nie przyciągnęła społecznej uwagi. Powiedziałbym, że z tego właśnie powodu była to nawet uroczystość dość ponura. Czy nie czuł się Pan zawiedziony?

– Proponowałem wówczas kierownictwu „Solidarności” pewną dramatyzację tego wydarzenia, nadanie mu pewnej oprawy. Uważałem, że okres, w którym schronieniem dla związku były kościoły i piwnice, powinien zakończyć się spektakularnym aktem w kościołach i piwnicach. Proponowałem uroczystości zorganizowane pod znakiem Te Deum – dziękczynienia za nasze zwycięstwo oraz manifestacje dające okazję wyjścia na powierzchnię życia publicznego tym, którzy do tej pory musieli działać w ukryciu i znosić represje.

A co stanęło na przeszkodzie?

– Przede wszystkim niepewność, ogromna niepewność co do szans realizacji porozumienia w sytuacji, gdy wszystkie atrybuty siły pozostały po stronie dotychczasowej władzy. Istniały uzasadnione obawy przed triumfalizmem, który na dodatkową próbę wystawiał możliwości polityczne naszych partnerów. Dlatego zdecydowano, że rejestracja „Solidarności” ma być wydarzeniem cichym.

Myślę jednak, że cisza towarzysząca ponownej rejestracji związku stanowiła też zapowiedź tej istotnej zmiany charakteru „Solidarności”, która objawiła się jej wielokrotnie mniejszą liczebnością. *A czy odrzucenie triumfalizmu, który zapewne mógł znaleźć swoje uzasadnienie w powrocie „Solidarności” na powierzchnię życia publicznego, nie stanowiło zasadniczego elementu waszego ówczesnego*

WYBORY

programu? Do dziś ludziom, którzy tworzyli wówczas elitę „Solidarności”, słowo „sukces” z trudem przeciska się przez usta. Co więcej, wydaje mi się, że ta wstrzemięźliwość jest zaraźliwa, że ona udzieliła się społeczeństwu.

– Tu dotykamy sprawy bardzo istotnej, zwłaszcza dla całego tego okresu, który dzielił rozmowy Okrągłego Stołu od naszego wyborczego zwycięstwa. Miałem wówczas poczucie, że triumfalizm oznaczałby oderwanie się od rzeczywistości. Byłem zwolennikiem triumfu – takiego, jaki starożytni organizowali dla włączenia całej społeczności w radość odniesionego zwycięstwa – ale sam nie miałem przekonania, że jest to koncepcja całkowicie słuszna. Nasz sukces był jednak niezwykle kruchy. Zdawałem sobie sprawę, że wielkość i kruchość naszego sukcesu idą w parze. W żadnym razie nie wolno nam było prowokować drugiej strony, która dysponując wszelkimi narzędziami przemocy, zgodziła się jednak oddać tak wiele.

Czy nie wydawało się Panu, że społeczna mobilizacja mogłaby się stać elementem umacniającym osiągnięty kompromis?

– Mówmy językiem faktów. Mobilizacja społeczna była bez wątpienia potrzebna, ale tu przecież nie chodziło o mobilizację, lecz o powstanie narodowe.

Sądzi Pan, że nie było trzeciego wariantu poza insurekcją i biernością?

– Protestuję. Nie wybieraliśmy między biernością a insurekcją. Ja byłem zdecydowanie przeciwko bierności. Uważałem, że bierność, apatię należy przełamać, bo one zaciążą na przyszłym rozwoju związku, ale nie uzyskałem aprobaty dla swojego stanowiska. Prezydium Krajowej Komisji Wykonawczej nie chciało robić z rejestracji święta.

Jest jednak różnica między tym wyborem, o którym pan teraz mówi, a naszym rzeczywistym dylematem związanym z wyborem drogi decydującej o przyszłości Polski. Mogliśmy iść drogą kontraktu, w którym obie strony zgadzają się na kompromis, albo postawić na próbę sił. Próby sił wygrać nie mogliśmy, bo nie dysponowaliśmy bronią. Dysponowaliśmy tylko społecznym poparciem.

ROK 1989

Nie miałem na myśli tego typu wyboru. Zresztą wydaje mi się, że przynajmniej od połowy lat osiemdziesiątych nastrojów insurekcyjnych w Polsce nie było. Myślałem o jakiejś formie społecznego skonsumowania sukcesu Okrągłego Stołu. Wydaje mi się, że tego zabrakło. Mam wrażenie, że ani podjęcie przez władze rozmów z reprezentacją opozycji, ani podpisanie porozumienia Okrągłego Stołu, ani rejestracja „Solidarności” nie zostały moralnie czy też psychologicznie skonsumowane zarówno przez społeczeństwo, jak i przez polityczną elitę. Wszystkie te fakty zapadały się gdzieś w mroku polskiej codzienności.

– Całkowicie się z panem zgadzam. Elity konspiracyjne były ogromnie nieufne i nie umiały się odnaleźć w nowej sytuacji. Wymagała ona zmiany ich sposobu życia, mentalności, stylu myślenia. Trzeba było przestawić się na filozofię normalizacji, na akceptację kompromisu; język walki trzeba było zastąpić językiem polityki.

Był to proces niezwykle trudny i musiał on trwać. Zwłaszcza że poza licznymi – choć liczonymi w dziesiątkach osób, a nie w setkach tysięcy – ekipami negocjacyjnymi nie zdołaliśmy wytworzyć zaplecza, które mogłoby społecznie upowszechnić nasze doświadczenie. Coś się załamało w przekładniach między społeczeństwem a grupami przedstawicielskimi, które rozmawiały z władzą. Cała nasza siła przy Okrągłym Stole polegała przecież właśnie na tym, że mówiliśmy językiem społeczeństwa i występowaliśmy jako jego przedstawiciele. Zachodnie środki przekazu, które w 1980 i 1981 roku odegrały przecież ogromną rolę, tym razem nie działały tak wyraźnie na naszą korzyść. Osiem lat wcześniej fascynował je masowy ruch społeczny, jakim była „Solidarność”. W okresie Okrągłego Stołu zachodni korespondenci fascynowali się natomiast grą gabinetową, o której – siłą rzeczy – wiedzieli mniej i która ze swej natury nie wzbudza wielkiego entuzjazmu. Byliśmy więc w dużym stopniu pozbawieni tej niezwykle ważnej przekładni między nami a polską opinią publiczną. Innych nie zdołaliśmy zaś wytworzyć. *Nie sądzi Pan, że istotną rolę odegrała także prowadzona przez Wałęsę „polityka przykrywkii”, mającej hamować ujście społecznych*

WYBORY

emocji? Pamiętam jedną z jego konferencji prasowych, która odbyła się podczas II Konferencji Partyjnej. Tego dnia i on, i Jaruzelski wygłosili dość gwałtowne filipiki skierowane przeciwko oponentom działającym w ich własnych obozach. Jaruzelski krytykował partyjny beton, Wałęsa uczestników demonstracji i walk z milicją. Obie strony starały się poobcinać własne skrzydła, zredukować emocje do minimum, zapanować nad nastrojami.*

– Przykrywkę można utrzymać na garnku tylko wtedy, gdy woda przestaje wrzeć. W przeciwnym razie musi dojść do eksplozji. Głównym problemem obu stron było więc zastąpienie etosu walki i wrogości etosem cywilizowanej gry politycznej. Pamiętam, jak jeszcze w czasie rozmów Okrągłego Stołu Zbigniew Bujak namówił mnie do udziału w spotkaniu organizowanym przez parafię w Ursusie. Zapowiadano mi wówczas, że będę miał bardzo ciężki wieczór, bo w robotniczym środowisku Ursusa było wiele nieufności. Spodziewałem się eksplozji niechęci, niezrozumienia, a może nawet całkowitego odrzucenia. Stało się inaczej. W ogromnym tłumie, który słuchał mojej relacji o Okrągłym Stole, było sporo niewiary w sukces, były wątpliwości, czy coś z tego wyjdzie, ale była także wyraźna sympatia i poparcie. Dla mnie najważniejsze stało się jednak wystąpienie młodej kobiety, która mówiła, że tak samo jak komunizmu nienawidzi telewizyjnej propagandy. Teraz jednak, gdy widzi na ekranie nas, ludzi „Solidarności”, i gdy słucha tego, co my mówimy, przeciwiała przestają działać. Nie była to jednak pochwała, ale wstęp do zasadniczego pytania o to, czy gdy tak siedzę z komunistami przy jednym stole, gdy spędzam z nimi dziesiątki albo setki godzin, moje przeciwiała nie przestają działać. Czy tam się nie dokonuje jakieś oswojenie, które będzie miało wpływ na ostateczny rezultat rozmów? Prosiłem, żeby zaufała moim przeciwiałom, ale w gruncie rzeczy zdawałem sobie sprawę, że ta kobieta dotknęła niezwykle ważnej kwestii przejścia od walki i nienawiści do

*Konferencja Partyjna – najważniejsze po odbywających się co kilka lat zjazdach partii zgromadzenie działaczy PZPR.

działania politycznego, w którym jedną ze stron są sprawcy narodowych krzywd. Był to nie tylko jej i mój problem moralny czy psychologiczny. Był to także bardzo realny problem ówczesnej polityki. Zapewne także dlatego nie doszło wówczas do nadania odpowiedniej społecznej rangi tej wielkiej transformacji i temu wielkiemu zwrotowi, którego dokonał Okrągły Stół, a którego symbolem była legalizacja „Solidarności”.

Może zresztą przyczyniło się do tego również przeciągnięcie się obrad, które zajęły przecież całe dwa miesiące, a im dłużej trwały, tym słabiej skupiały uwagę opinii publicznej. W końcu doszło do pewnej ambiwalencji postaw. Istniała dość powszechna świadomość wagi tego, co osiągnęliśmy, lecz powstawały też wątpliwości, czy to, co udało się na papierze, sprawdzi się w rzeczywistości. Któż bowiem mógł z całą odpowiedzialnością powiedzieć, że nie czeka nas nowy 13 grudnia i że wszystko nie zacznie się od początku – na dodatek w znacznie gorszej sytuacji. Daliśmy się przecież rozpoznać, w dużym stopniu ujawniliśmy swoje struktury i jednak podzieliliśmy się, bo nie wszyscy z nas chcieli zaakceptować te pertraktacje. *Czy w Panu te wątpliwości też były?*

– Tak, przez cały czas. Doskonale wiedziałem, że gra toczy się o skrawek papieru, który w gruncie rzeczy jest tak samo bezbronny jak my. Można go zmiąć i wrzucić do kosza. Walczyłem o to, co na tym skrawku papieru zostanie zapisane, ale nie traćcie poczucia realizmu. Nie byłby to przecież pierwszy w historii skrawek papieru, który by podarto, i nie pierwszy raz zrobiliby to komuniści. Rozumiałem postawę wielu osób i środowisk występujących przeciwko Okrągłemu Stołowi, choć miałem odmienny punkt widzenia. Proszę sobie przypomnieć, jak wiele pism podziemnych i jak wiele środowisk opowiadało się przeciw tym rozmowom. Przewdziwną ironią historii jest przecież to, że obecni zwolennicy najbardziej ekstremalnych programów politycznych, dzisiejsi apostołowie przyspieszenia i radykalizacji, w dużym stopniu wywodzą się ze środowisk, które były zdecydowanie przeciwne naszej drodze odzyskiwania polskiej niepodległości – drodze, która tę niepodległość pozwoliła osiągnąć bardzo szybko i bezkrwawo.

WYBORY

Widzę w tym pewną logikę mającą oparcie w przekonaniu o słuszności czy nawet wyższości działań gwałtownych.

– Ja bym to nazwał logiką bolszewicką, bo właśnie bolszewicy najbardziej nienawidzili tych, którzy podobne co oni cele chcieli osiągnąć na drodze pokojowej i demokratycznej.

Wracam do dość apatycznych reakcji społecznych na sukces Okrągłego Stołu i rejestrację „Solidarności”. Czy to przypadkiem nie był po prostu rezultat świadomej polityki liderów Związku? W 1980 i 1981 roku przywódcy związkowi mówili: „Wy strajkujcie, a my będziemy negocjować”. W roku 1989 mówiliście: „Negocjujemy, więc nie strajkujcie, nie przeszkadzajcie”. Społeczeństwo nabrało przekonania, że jest raczej przedmiotem niż podmiotem gry.

– Proszę pamiętać, że rozmowy Okrągłego Stołu odbywały się na beczce prochu. Cały czas mieliśmy świadomość chodzenia z związanymi oczyma i to po ostrej grani. Ani przez moment nie wiedzieliśmy, gdzie zaczyna się przepaść mogąca pochłonąć i nas, i Polskę. Nie byliśmy w stanie stwierdzić, gdzie jest granica sowieckiej tolerancji. Nie potrafiliśmy sprawdzić, jaka jest groźba buntu w policji i wojsku. Nie wiedzieliśmy, ilu jest Piotrowskich* w aparatach władzy ani czym się zajmują, co zrobią nazajutrz. Nawet zakładając zaufanie do naszych rozmówców, nie mogliśmy ocenić stopnia, w jakim panowali nad swoją własną bazą. Cały czas bardzo obawialiśmy się sprowokowania tych demonów. Dbaliśmy jednak o utrzymanie stałej łączności ze społeczeństwem. Dlatego tak wielką wagę przywiązywaliśmy do naszych telewizyjnych wystąpień. Każdego dnia opowiadaliśmy społeczeństwu, co udało się osiągnąć przy Okrągłym Stole, a czego nie. Bardzo starannie się przygotowywaliśmy do tych relacji.

Ale one chyba jednak nie wystarczały. Nie było euforii, nie było poczucia wielkiego sukcesu, jaki niewątpliwie stanowiła ponowna rejestracja „Solidarności” przez dziewięć lat trwającej w konspiracji i ściąganej przez tajną policję.

*Nawiązanie do Grzegorza Piotrowskiego, jednego z oficerów SB, którzy jesienią 1984 roku zamordowali księdza Jerzego Popiełuszkę, kapelana „Solidarności”; zostali aresztowani, postawieni przed sądem i w następnym roku skazani na więzienie.

ROK 1989

– Myślę, że istotnym czynnikiem było również przesunięcie się społecznych aspiracji w stronę polityki. Kiedy w roku 1980 czy 1981 negocjowaliśmy z władzami, polityka była dla nas sferą zamianowaną, i to nie tylko przez władzę, ale także przez społeczne obawy. Nieustannie nam wówczas powtarzano: „Tylko nie bawcie się w politykę, bo to się musi źle skończyć”. Dziewięć lat później tylko polityka ludzi interesowała. Powszechne było przekonanie, że bez rozstrzygnięć politycznych nic się w Polsce nie zmieni. Jeżeli nośna była także sprawa „Solidarności”, to dlatego, że przez poprzednie lata udało się wytworzyć przekonanie, iż bez „Solidarności” nie będzie wolności. „Solidarność” nie była więc wartością samoistną, lecz uosabiała rozbudzone aspiracje niepodległościowe. Tymczasem sąd rejestrował tylko związek zawodowy. Na tym polegała zasadnicza redukcja, która stanowiła źródło społecznego sceptycyzmu. Aspiracje społeczeństwa sięgały już bowiem bardzo daleko.

Nie wydaje się Panu paradoksalne, że regres na skali demokracji, jakim niewątpliwie był stan wojenny, spowodował tak radykalny wzrost społecznych aspiracji?

– To jest paradoks pozorny. Doświadczenie 13 grudnia uczyło po prostu, że bez niepodległości polskich problemów nie da się rozwiązać. W 1980 roku podczas strajku w Stoczni Gdańskiej mówili mi robotnicy, że nie ma sensu zmieniać istniejących związków zawodowych, lecz trzeba powołać nowy własny związek: „Na to władza musi się zgodzić – mówili. – Nie dają związku, to niech nas wysadzają w powietrze”. W roku 1989 to rozumowanie się powtarzało, ale miejsce nowego związku zajęła niepodległość. Tylko ona mogła wywołać spontaniczny wybuch entuzjazmu, który w roku 1981 został wywołany rejestracją „Solidarności”. Tymczasem jedyna droga do niepodległości prowadziła poprzez żmudny i mało efektowny proces negocjacyjny, a potem przez ewolucję, której tempa nie znaliśmy...

...i której wizja mimo wszystko budziła nieufność. Żywe były przecież obawy, że władzy powiedzie się manewr polegający na ograniczeniu całego procesu do wchłonięcia nowych, opozycyjnych elit politycz-

WYBORY

nych. Te obawy zdawały się sprawdzać już niespełna dwa tygodnie po zakończeniu obrad Okrągłego Stołu, gdy w gmachu Sejmu podczas inauguracyjnego posiedzenia Komisji Porozumiewawczej doszło do pierwszego od listopada 1981 spotkania Lecha Wałęsy z Wojciechem Jaruzelskim. W świetle nieporozumień wywołanych naruszeniem przez Sejm wynegocjowanych wcześniej ustaleń niepokojąco brzmiała przekazana w prasie i telewizji wymiana zdań między Jaruzelskim („Góra z górą...”) a Wałęsą („obyśmy się już nie rozeszli...”). Różnie też można było interpretować słowa Wałęsy, który po spotkaniu mówił, że dawniej „niezgoda rujnowała, a teraz zgoda będzie budowała”. Czy nie obawialiście się, że tego rodzaju manifestacja zwiększy społeczną nieufność wobec całego procesu?

– To ryzyko było naturalnym elementem tego procesu i jednym z powodów, dla których bardzo długo zastanawialiśmy się, czy mamy zaakceptować propozycję powołania komisji. Ostatecznie przeważało doświadczenie Episkopatu, który istniejącą od dawna Komisję Wspólną Przedstawicieli Państw i Kościoła uważał za instytucję pożyteczną. Nawet wówczas, gdy się na nią zgodziliśmy, nasz stosunek do Komisji Porozumiewawczej pełen był jednak ambiwalencji i ostatecznie zebrała się ona tylko raz – właśnie 18 kwietnia.

Jak to spotkanie wyglądało?

– Najsilniejszym akcentem było nasze oświadczenie w sprawie naruszania przez władzę porozumień Okrągłego Stołu. Wywołało ono konsternację drugiej strony, trudno mi powiedzieć, na ile szczerą. Przekazaliśmy też memoriał wyliczający wszystkie przypadki pogwałcenia porozumień, jakie nastąpiły w toku prac legislacyjnych. Odpowiedź generała Kiszczaka sprowadzała się w zasadzie do wyrażenia ubolewania i przekazania jego oraz generała Jaruzelskiego stanowiska, że układy powinny być przestrzegane. Władza była z kolei zaniepokojona różnymi społecznymi wydarzeniami, strajkami i manifestacjami, o które nas obwiniała.

Do tego się to spotkanie ograniczyło?

– W zasadzie tak. W części plenarnej zapadła jeszcze tylko decyzja o powołaniu dwóch zespołów mających pracować między

ROK 1989

posiedzeniami całej komisji. Jeden miał się zająć problemami gospodarki i polityki społecznej, drugi sprawami interwencyjnymi.

Nieco bardziej interesująca była druga, mniej oficjalna część, w której wzięli udział generał Jaruzelski i premier Rakowski. Z generałem Jaruzelskim spotkałem się wówczas pierwszy raz w życiu. Z premierem Rakowskim pierwszy raz od listopada 1981 roku.

Nie korciło Pana, żeby nawiązać do niemego dialogu na temat relacji między moralnością a polityką?

– Ja w ogóle nie bardzo miałem ochotę na tę rozmowę. Stanałem w kącie sali i rozmawiałem z kimś, dopóki nie poproszono mnie, żebym przysiadł się do stołu, przy którym siedzieli Jaruzelski i Wałęsa. Po chwili dosiedli się jeszcze generał Kiszczak i premier Rakowski. Była to sytuacja niezbyt przyjemna.

Ze względu na zaszłości?

– Tak. Wcześniej nie potrafiłem sobie wyobrazić, teraz nie potrafiłem zaś zaakceptować tego, że siedzę przy jednym stole z generałem Jaruzelskim i premierem Rakowskim. A jednak siedziałem. To była moja moralna cena za Okrągły Stół.

Czy te setki godzin, które od rozpoczęcia procesu Okrągłego Stołu spędził Pan przy różnych stołach z różnymi komunistami, nie przelały Pańskich oporów?

– Nie. Tamto były konieczności, które nie zmieniły moich osobistych alergii.

Do dziś?

– Z Rakowskim się później nie widywałem. Nie towarzyszyłem Wałęsie, gdy spotkał się z nim już po wyborach, jesienią 1989 roku. Nie dostrzegłem też w jego późniejszym postępowaniu niczego, co mogłoby zmienić moje zdanie na jego temat i moje wobec niego uczucia.

A wobec Jaruzelskiego?

– Z wolna, ze zdziwieniem, w miarę obserwowania jego postawy pod koniec 1989 i w 1990 roku, zacząłem rewidować swoją opinię na jego temat. Ja zresztą już parę lat wcześniej mówiłem, że obecność Jaruzelskiego na czele władzy nie musi wykluczać moż-

WYBORY



AUTOR NIEZNANY

Wokół nas garstka ciekawych,
a dookoła, na polach, tysiące innych,
którzy mogli przyjść albo odejść

ROK 1989

liwości uruchomienia procesu reform. Zdawałem sobie sprawę, że nie będzie chciał przejść do historii wyłącznie w roli autora stanu wojennego. Oczekiwałem, że będzie się starał jakoś zrównoważyć miejsce, jakie w jego życiorysie zajmował 13 grudnia. Właśnie dlatego przekonywałem moich kolegów, że z osoby Jaruzelskiego nie należy robić polskiego problemu politycznego numer jeden. Czym innym jest jednak tego rodzaju rozumowanie w kategoriach politycznych, a czym innym osobiste emocje, sentymenty i wrażliwości. Emocje, które kształtował rachunek krzywd stanu wojennego, musiałem jednak podporządkować politycznej konieczności. Usiadłem przy tym stoliku, bo siedział już przy nim Wałęsa, i uważałem, że wymaga tego szerszy interes.

Jak ta rozmowa przebiegała?

– Atmosfera była napięta, bo zaszłości kształtowały przeciw emocje obu stron. Starał się je przelamać generał Kiszczak, który widząc, że nie przejawiam inicjatywy podjęcia rozmowy, nawiązał do mojego wystąpienia na posiedzeniu komisji. Powtórzyłem więc raz jeszcze, że naszym zdaniem strona rządowa naruszyła porozumienie. Generał Jaruzelski mówił, że wszystko sprawdzi i podejmie możliwe działania. Odpowiedziałem, że w kontraktach politycznych zawsze najważniejszy jest początek, który tym razem został przez stronę rządową bardzo źle rozegrany. Wałęsa próbował łagodzić, ale atmosfery nie dało się już poprawić, nawet gdy generał Kiszczak zmienił temat na zupełnie niekonfliktowy.

I żadne decyzje wówczas nie zapadły?

– Nie, nie mogły zapaść. Decyzje polityczne zapadają albo w normalnej procedurze demokratycznej, o której tu nie mogło być mowy, albo w zupełnie kameralnych rozmowach, które też w takim gronie nie mogły się odbyć. Chodziło o pewien symbol, o polityczne zamknięcie tego procesu, który został otwarty 13 grudnia 1981 roku.

Po tym spotkaniu powiedział Pan dziennikarzom: „Jestem historykiem i pragnę nim pozostać, mam więc nadzieję, że nie będę stawał do wyborów, nie będę się ubiegał o mandat”. Czy wtedy rzeczywiście wierzył Pan, że przede wszystkim jest Pan historykiem?

WYBORY

– Tak, nadal uważam, że przede wszystkim jestem historykiem, a do czasu wyborów mogłem mówić też, że nie jestem politykiem. To nie jest tylko gra słów. Uczestnictwo w społeczeństwie obywatelskim uważam za pewien rodzaj służby, która obowiązuje każdego obywatela, a nie tylko politycznych profesjonalistów. Tak rozumiałem swoją rolę w „Solidarności” i przy Okrągłym Stole.

Czy rzeczywiście miał Pan zamiar nie kandydować, mimo że to właśnie Pan był głównym autorem całej tej konstrukcji politycznej; rzeczywiście chciał Pan teraz umyć ręce?

– „Miałem zamiar” to nie jest dokładne określenie. Ja byłem absolutnie pewny, że nie będę kandydował.

Skąd ta skłonność do wycofania się z pierwszej linii, na której trwał Pan od lat?

– Sądziłem, że jest to naturalna konsekwencja tego, co robiłem w przekonaniu, iż wypełniam swoją część misji polskiej inteligencji, która zawsze służyła przede wszystkim Polsce, a nie własnym ambicjom czy korzyściom. Chciałem uczynić to jasnym. Ponieważ byłem już postacią znaną, uważałem, że moja odmowa ubiegania się o godności stanie się pewnym świadectwem tej tradycji. Wyobrażałem sobie, że pozostanę doradcą „Solidarności” i Wałęsy. Chciałem być tam, gdzie rzeczywiście jestem potrzebny.

Kiedy jednak w Komitecie Obywatelskim pojawiły się głosy mówiące, że nie powinien on być organizatorem wyborów, gdyż składa się nie z polityków, lecz z artystów, intelektualistów, lekarzy, Pan się im zdecydowanie przeciwstawił.

– Moje stanowisko było wówczas całkowicie zbieżne ze stanowiskiem Wałęsy. Uważaliśmy, że sytuacja nie dojrzała jeszcze do tego, by naszą kampanię wyborczą mogły organizować same partie polityczne, tak jak dzieje się to w normalnym procesie demokratycznym. Alternatywę dla kampanii wyborczej „Solidarności” prowadzonej przez Komitet Obywatelski stanowiła przecież hipotetyczna kampania organizowana przez porozumienie partii politycznych. Tymczasem partie polityczne się jeszcze nie uformowały, a „Solidarność” była jedyną siłą posiadającą mandat do zorganizowania procesu jednoczenia się Polaków. Tylko ona mia-

ROK 1989

ła wystarczające zaufanie społeczne. „Solidarność” była jednak związkiem zawodowym, w dodatku związkiem dopiero się odradzającym. Co więcej, zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że przystępujemy do wyborów na mocy kruchego porozumienia, które nie gwarantowało nam niemal niczego poza prawem wystawienia kandydatów i absolutnym przekonaniem, iż druga strona dla zapewnienia sobie zwycięstwa użyje wszystkich tych bogatych środków, jakimi dysponowała. Dlatego uważałem, że ryzyko powinno wziąć na siebie właśnie grono Komitetu Obywatelskiego stanowiące raczej zespół autorytetów moralnych niż porozumienie przywódców politycznych. Jaśniej i prościej ujął to Wałęsa, gdy powiedział: „Proszę was, żebyście wzięli na siebie ciężar ryzyka. Jeżeli będzie sukces, to on nie będzie wasz, ale jeżeli będzie klęska, to będzie wasza klęska”. I Komitet się zgodził.

Nie byłoby prościej, gdyby całą kampanię zorganizowała „Solidarność”, bez pośrednictwa Komitetu, a później Komitetów Obywatelskich?

– W „Solidarności” była dość silna tendencja do zachowania pewnego dystansu wobec wyborów. Uważano, że Związek jest jeszcze słaby, i obawiano się, że w razie zaangażowania w wybory może stanąć wobec zarzutu politykierstwa. Istniało przekonanie, że „Solidarność” musi koncentrować się na tworzeniu struktur związkowych. Jeszcze na początku kwietnia dominowała opinia, że Związek powinien się całkowicie zdystansować wobec wyborów, a już zupełnie nie wyobrażano sobie, że działacze związkowi mogliby stać się kandydatami na posłów. Dopiero następne tygodnie przyniosły pewną zmianę tych nastrojów i w rezultacie na naszych listach znaleźli się tacy przywódcy jak Grażyna Staniszevska, Bogdan Lis czy Mieczysław Gil.

A co sprawiło, że „Solidarność” jednak włączyła się w kampanię wyborczą, choćby przyznając powstającym Komitetom Obywatelskim prawo do swojej nazwy?

– Sądzę, że elementem decydującym była wiara, iż przez wybory i zwycięstwo wyborcze prowadzi jedyna droga naprawy kraju. Dominowało jednak przekonanie, że mimo wyjątkowej sytu-

WYBORY

acji związek zawodowy nie powinien przyjmować roli partii politycznej – nawet jeżeli angażuje swój autorytet w działalność stricte polityczną. W „Solidarności” istniała też silna – i uzasadniona – obawa, że powierzenie organizowania kampanii niezależnym partiom politycznym mogłoby spowodować pogrzebanie efektów wieloletniej walki w partyjnych sporach i swarach, które zniechęciłyby społeczeństwo. Krajowa Komisja Wykonawcza postanowiła więc zwrócić się do Komitetu Obywatelskiego z apelem o przeprowadzenie kampanii wyborczej.

Na pierwszym po podpisaniu porozumień Okrągłego Stołu posiedzeniu Komitetu Obywatelskiego, które odbyło się już 8 kwietnia, podjęto decyzję o objęciu patronatu nad wyborami. Postanowiono także powołać komisję roboczą do spraw listy kandydatów, których później nazwano „drużyną Wałęsy”. Znalazł się Pan w składzie tej grupy mającej realizować uchwałę Komitetu. Głosiła ona, że „Komitet Obywatelski uformowany jako KO »Solidarność« na podstawie list regionalnych przedstawionych przez powołane zgodnie z uchwałą KKW regionalne lub wojewódzkie Komitety Obywatelskie »Solidarność« utworzy listę kandydatów opozycyjno-solidarnościowych w skali krajowej na wszystkie dostępne w wyborach mandaty”. Powołanie komisji, oskarżanej później o pełnienie roli superweryfikatora decyzji lokalnych, wywołało już wówczas pewne emocje i do dziś stanowi element kampanii nieufności wobec osób mających wówczas głos decydujący. Czy nie sądzi Pan, że lepiej było pozostawić dobór kandydatów wyłącznej decyzji Komitetów lokalnych i tym sposobem uniknąć może nielicznych, ale jednak nieuniknionych konfliktów?

– Szczerze mówiąc, nie przewidywaliśmy, że tak szybki i powszechny będzie proces powstawania struktur lokalnych. Spodziewaliśmy się, że wiele świeżo powstających Komitetów może napotkać trudności przy wyłanianiu kandydatów. Okazało się, że takich sytuacji było stosunkowo niewiele. Natomiast wokół działalności komisji rzeczywiście narosło wiele emocji i mitów. Uchwała z 8 kwietnia oparta na stanowisku Krajowej Komisji Wykonawczej „Solidarności” nadawała komisji bardzo duże

ROK 1989

uprawnienia. W praktyce zdecydowana większość decyzji zapadała jednak na szczeblu lokalnym. Decyzje centralne dotyczyły może 10-15 procent kandydatur i podejmowane były na ogół wówczas, gdy Komitety lokalne zwracały się do Warszawy o pomoc. Nawet jednak gdy kandydatury wysuwał zespół warszawski, były one jedynie propozycjami, które musiały uzyskać jeszcze akceptację Komitetów lokalnych.

Czy to znaczy, że były takie województwa, w których nie można było znaleźć osób zdolnych do kandydowania?

– Bywało, że lokalne środowiska nie mogły uzyskać konsensusu, zdarzało się też, że sprzeciw zgłaszały środowiska kościelne. Próbowaliśmy wówczas podejmować mediację albo przekonać instancje kościelne, że trzeba uszanować autonomiczne decyzje środowisk świeckich.

Czy brał Pan udział w takich mediacjach?

– Gdy zapadały decyzje, towarzyszyłem akurat Lechowi Wałęsie w jego podróży do Włoch. Kiedy wróciłem, lista była już niemal kompletna i do rozstrzygnięcia pozostało właściwie tylko kilka najbardziej zapalnych konfliktów.

O co w tych konfliktach chodziło?

– Przede wszystkim były to sytuacje, w których miejscowe środowiska kościelne uważały, że kandydat nie jest z nimi dostatecznie związany, albo traktowały go jako niewierzącego.

I stanowiło to istotną przeszkodę?

– W dwóch wypadkach wywołało to bardzo zdecydowane protesty i przełamanie ich wymagało dużego wysiłku.

Czy to znaczy, że w roku 1989 Komitety Obywatelskie nie mogły wysunąć kandydata, który nie uzyskał akceptacji Kościoła?

– Oczywiście mogły, i w wielu miejscach tak się stało, ale proszę pamiętać, że w licznych województwach środowiska lokalne nie były uformowane. Często mogliśmy odwołać się jedynie do instytucji diecezjalnych czy parafialnych albo do duszpasterstw robotniczych czy rolniczych. Było to szczególnie ważne, gdy kandydatem miał zostać człowiek mniej znany. Któż poza Kościołem mógł zagwarantować, że jest to osoba uczciwa, godna tego ogrom-

WYBORY

nego zaufania, którego dowodem było umieszczenie kandydatury na liście Komitetu Obywatelskiego? W wielu wypadkach to my zwracaliśmy się do Kościoła z prośbą o pomoc.

Pan sam, wbrew wcześniejszemu postanowieniu, jednak zdecydował się kandydować. Dlaczego?

– To właściwie nie była moja decyzja. W dniu naszego powrotu z Rzymu, 22 kwietnia, zostało zwołane na wieczór ostatnie posiedzenie komisji przygotowującej listę kandydatów, którą nazajutrz zatwierdzić miał Komitet Obywatelski. Wcześniej mieliśmy jeszcze wraz z Wałęsą udać się na spotkanie z obradującym w hotelu Forum Międzynarodowym Komitetem Helsińskim. W czasie tego spotkania Wałęsa powiedział mi, że zanim pojedziemy na posiedzenie komisji, musi jeszcze ze mną porozmawiać. W drodze z hotelu Forum do siedziby Komitetu Obywatelskiego mieszczącego się przy ulicy Fredry zakomunikował mi, że domaga się, abym kandydował, a jeżeli się nie zgodzę, nazajutrz ogłosi, że wycofuje swoje poparcie dla listy Komitetu Obywatelskiego i zajmuje w tych wyborach pozycję neutralną.

Skąd ta gwałtowność?

– Zapytałem Wałęsę, dlaczego taką wagę przykładam do mojego kandydowania. Odpowiedział, że w parlamencie musi mieć nie tylko przedstawicieli, ale także liderów, więc zarówno ja, jak i Tadeusz Mazowiecki powinniśmy kandydować.

I zgodził się Pan.

– Wiedziałem, że Wałęsa nie puszcza słów na wiatr, a jego zdystansowanie się może spowodować bardzo groźny kryzys. Zgoda na kandydowanie oznaczała zaś pewną moją porażkę. Od początku mówiłem bowiem kierownictwu „Solidarności”, że nie będę kandydował, choć w pełni zaangażuję się w kampanię wyborczą i gotów jestem podjąć wszelkie związane z nią prace. Do samej kampanii przywiązywałem ogromną wagę. Uważałem, i wielokrotnie wyrażałem ten pogląd w trakcie Okrągłego Stołu, że sama kampania wyborcza – nawet jeśli będzie ułomna, nawet jeżeli będzie to kampania do parlamentu wybranego tylko częściowo demokratycznie – stanowić może środek ogromnej aktywizacji

społeczeństwa. Gdyby już u swego początku proces ten został rozbity, stanęlibyśmy wobec całkiem realnej wizji katastrofy narodowej w postaci porażki „Solidarności” i faktycznej legitymizacji władzy komunistycznej. Wyboru praktycznie nie miałem. Jedynym wyrazem mojego protestu mogła być odmowa uczestnictwa w posiedzeniu komisji, która miała zatwierdzać listę. Moim kolegom pozostawiłem więc także decyzję dotyczącą tego, gdzie mam kandydować. To oni wybrali dla mnie województwo suwalskie.

A Pan tylko przyjął ten wybór do wiadomości?

– Owszem. Całkiem przypadkiem tak się złożyło, że przez pewien czas moja rodzina mieszkała na tym terenie, a mój ojczym był tam starostą jednego z powiatów, później zaś ja sam jedyną rozrywkową część mojego życia spędzałem, żeglując po Mazurach. Tego jednak komisja dowiedziała się *ex post*.

Czemu więc wysłano Pana akurat do Suwałk?

– Podobno było wówczas kilka nieobsadzonych miejsc i parę Komitetów zaproponowało komisji moją kandydaturę. Jeszcze nazajutrz w czasie posiedzenia Komitetu Obywatelskiego członkowie trzech innych lokalnych Komitetów proponowali mi ubieganie się o mandat na ich terenie, ale nie chciałem sam podejmować decyzji. Wiedziałem już, że mam kandydować w województwie suwalskim, ale wówczas nie wiedziałem nawet, czy mam być kandydatem do Senatu, czy do Sejmu. Gdyby mnie zapytano, z pewnością wybrałbym Sejm, nikt mnie jednak nie pytał. Ja natomiast zapytałem jeszcze raz Wałęsę, czy nie widzi możliwości zrewidowania swojego stanowiska. Odpowiedział, że absolutnie nie. Po tej rozmowie podpisałem akt kandydowania na posła i wręczyłem go przewodniczącemu Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” w Suwałkach.

Wróćmy do Pańskich związków z Suwalszczyzną. Czy stwierdzenie, że Pański ojczym był starostą jednego z powiatów, stanowi maksimum precyzji, jakie możemy uzyskać?

– Tu nie ma żadnych tajemnic. Przed wojną ojczym był zawodowym urzędnikiem państwowym, ostatnio starostą w powiecie piskim. Po wojnie został z ramienia PSL wicestarostą w powiecie

WYBORY

Lech Wałęsa podpisuje cegiełki
Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”



Ci, którzy kupowali nasze cegiełki,
mogli czuć się zaangażowani
w kampanię wyborczą

ROK 1989

wschowskim. Później przeszedł do SL i przeniesiono go na stanowisko starosty do Pizsa. Gdy w roku 1950 urzędy starostów zostały zniesione, przeprowadził się do Warszawy.

Wracam do sprawy kandydowania. Uległ Pan naciskowi Wałęsy, natomiast Tadeusz Mazowiecki odmówił kandydowania i nie wszedł do parlamentu. Dlaczego?

– Ja od Wałęsy wiedziałem, że Mazowiecki będzie kandydował. Że jest inaczej, dowiedziałem się dopiero w dniu posiedzenia Komitetu Obywatelskiego, kiedy ostatecznie zatwierdzono naszą listę. Mazowiecki nie przyszedł wówczas na uniwersytet. Poprosiłem więc Andrzeja Wielowieyskiego, żeby zadzwonił do niego i zapytał, co się stało. Mazowiecki odpowiedział, że źle się czuje, i nie pojawił się na zebraniu Komitetu Obywatelskiego.

Pytał go Pan później, dlaczego naprawdę nie przyszedł i nie zgodził się kandydować?

– Nie, rzecz się już dokonała, lista została zamknięta. Z tej listy dowiedziałem się, że Tadeusz nie kandyduje.

Nie miał Pan do niego pretensji o to, że porzucił Pana w takiej sytuacji? Przez lata, jakie upłynęły od Sierpnia, a zwłaszcza przez miesiące, które minęły od rozpoczęcia rozmów na temat Okrągłego Stołu, wspólnie tworzyliście przecież ten proces prowadzący do wyborów czerwcowych.

– O pretensji trudno mówić. Miałem żal. Mazowiecki bardzo osobiście odebrał odrzucenie przez Komitet Obywatelski popieranej przez niego wersji uchwały wyborczej*. Miał o to żal, choć wiedział, że optowałem za połączeniem obu projektów, a do odrzucenia jednego z nich doszło na skutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. Po prostu nie zdołaliśmy doprowadzić do spotkania obu zespołów redakcyjnych. Była to więc kwestia w dużej mierze pozornego sporu o sposób organizowania naszej kampanii wyborczej. Wycofał się, choć przecież to właśnie on był głównym architektem procesu negocjacyjnego.

***Tadeusz Mazowiecki** był za tym, by z ramienia opozycji w wyborach wystartowali, obok ludzi „Solidarności”, przedstawiciele różnych ugrupowań. Zwyciężyła koncepcja, by stanęła do nich „drużyna Lecha” – kandydaci Komitetów Obywatelskich „S”.

WYBORY

Istotnym elementem kampanii wyborczej były zdjęcia, które niemal wszyscy kandydaci zrobili sobie z Lechem Wałęsą. Sprawa tych zdjęć i plakatów wywoływała później mnóstwo emocji. Mówiono, a nawet pisano, że w czerwcu 1989 roku „na zdjęciu z Wałęsą każdy baran mógł wjechać do Sejmu czy Senatu”. Z drugiej strony stawiano zarzut, że te zdjęcia w niezdrowy sposób uzależniły od Wałęsy całą demokratycznie wybraną parlamentarną reprezentację społeczeństwa. Czy nie miał Pan takich obaw, gdy podejmowaliście decyzję o zrobieniu tych zdjęć?

– Nie, wtedy zupełnie takich obaw nie miałem, choć dziś sądzę, że ujemne skutki przeważają nad pozytywnymi. Wówczas wydawało mi się, że to nie Wałęsa wnosi kandydatów do parlamentu, lecz że dajemy wyraz naszej jedności w „Solidarności”. Musieliśmy zakładać, że różne ugrupowania rozłamowe wystąpią z konkurencyjnymi listami „Solidarności”, że ten znak będzie używany i nadużywany przeciwko nam. Potrzebowaliśmy jasnego wyznacznika, że oto jesteśmy właśnie my i idziemy razem.

Wydawało mi się także istotne, żeby Wałęsa – nie kandydując – był jednak obecny w tej kampanii. Uważałem go przecież za naszego naturalnego przywódcę. Nie było takiego zamysłu, że poprzez te zdjęcia część charyzmy Wałęsy przejdzie na każdego naszego kandydata. Myślałem raczej o wzmocnieniu charyzmy Wałęsy poprzez wsparcie jej autorytetem tych 260 wybranych przez lokalne społeczności osób.

Dziś z punktu widzenia wygranych wyborów, wygranej wówczas polskiej szansy, mogę mieć krytyczne stanowisko wobec tej decyzji. Wtedy takiej świadomości mieć nie mogłem, bo staliśmy przecież przed wielką wyborczą niewiadomą. Nie wiem, jak te wybory by się potoczyły, gdybyśmy zastosowali jakąkolwiek inną strategię, gdybyśmy byli słabsi. Proszę pamiętać, że odnieśliśmy drugoczące zwycięstwo, ale jednak nasi kandydaci nie zdobyli stu procent głosów. Na ogół udawało się uzyskać poparcie 60–70 procent głosujących. Nawet stosunkowo nieznaczne przesunięcie sympatii elektoratu mogło więc wiele zmienić.

A dlaczego sam Wałęsa nie zdecydował się kandydować? To właśnie z jego osobą kojarzył się w publicznej świadomości cały proces, któ-

ry do wyborów doprowadził. To on rozpoczął przecież rozmowy z Kiszczakiem i on wraz z Kiszczakiem podpisywał porozumienia Okrągłego Stołu, których wynikiem były czerwcowe wybory. Brak jego nazwiska na liście kandydatów oznaczał zatem pewną próbę publicznego zdystansowania się wobec nowej rzeczywistości, którą sam kreował. Czy rozmawiał Pan z nim na ten temat?

– Tak, rozmawiałem wielokrotnie. O ile jednak bardzo namawiał go na kandydowanie Adam Michnik, o tyle moje namowy były może mniej gorące. Znałem Wałęsę i wiedziałem, że nie chce kandydować. Domyślałem się też, dlaczego nie chce. Sam uważałem, że rola Wałęsy powinna być szczególna, że w wyjątkowej polskiej sytuacji nie należy redukować autorytetu Wałęsy do politycznej rutyny funkcjonowania demokratycznych instytucji. Wydawało mi się, że powinien być poza i – w pewnym sensie – ponad nimi. *A dlaczego on nie chciał?*

– Wałęsa nie był przekonany, że w czerwcowych wyborach odniesiemy sukces. Jest ze swojej natury nieufny, podejrzliwy, wyciekający. Obawiał się, że w razie porażki straty wynikające z jego kandydowania mogą przerosnąć korzyści związane z poddaniem się demokratycznej procedurze powszechnej elekcji. Ważne wydawało się też to, że w wypadku niepowodzenia operacji wyborczej Wałęsa, który nie kandydował, dawał jeszcze pewną możliwość działania – jakiegoś manewru poza układem parlamentarnym.

Z dzisiejszego punktu widzenia to nasze asekuracyjne myślenie wydaje się przesadne. W roku 1989 wiedzieliśmy jednak, że dla komunistów akt wyborczy nie znaczy wiele. Nie takie rzeczy zdarzało się komunistom przekreślać. W ich naturze leżała pogarda dla „demokracji formalnej”. Wciąż pamiętaliśmy, że rezultatem naszego sukcesu wyborczego musi być – wcześniej czy później – przewrót ustrojowy. A na groźbę przewrotu odpowiada się kontrprzewrotem. Cały czas mieliśmy poczucie, że żyjemy z dnia na dzień, że wszystko może się w każdej chwili rozlecieć jak domek z kart. Obowiązkiem naszym było więc przygotowanie się na różne scenariusze. W scenariuszu pesymistycznym, odpowiadają-

WYBORY

cym nieufności Wałęsy, jego nieobecność i na liście kandydatów mogła mieć znaczenie pozytywne.

Przy Okrągłym Stole władza bardzo nalegała, żeby ta kampania nie miała charakteru konfrontacyjnego, i wydaje się, że na konfrontację z władzą „Solidarność” nie mogła sobie wówczas pozwolić. Jak zatem budował Pan tę swoją kampanię? Jak ją Pan sobie wyobrażał?

– Oczywiście wbrew wszelkim zakłębom władzy musiała to być kampania konfrontacyjna, bo każda kampania wyborcza musi być w pewnym stopniu konfrontacyjna. Druga strona, mówiąc o niekonfrontacji, w gruncie rzeczy też do konfrontacji zmierzała – chciała przeprowadzić próbę sił w wyborach do Senatu i także w walce wyborczej o demokratycznie wybierane 35 procent. Z gier symulacyjnych, które prowadziła władza i których echa do nas docierały, wynikało, że w wyborach do Senatu jej ludzie zdobędą przynajmniej jedną trzecią mandatów. Liczyli na nasze nieprzygotowanie i słabość organizacyjną „Solidarności”. Głównym naszym problemem było przecież zaktywizowanie społeczeństwa, dotarcie z naszą informacją i propagandą wyborczą do tysięcy wsi i małych miasteczek, a to wymagało społecznego zaangażowania setek tysięcy zwolenników, którzy musieli tę kampanię przeprowadzić. Tak się złożyło, że moje zadanie było szczególnie utrudnione. W województwie suwalskim struktury „Solidarności” były słabe, a społeczeństwo zastraszone. Już w trakcie kampanii dostawałem sygnały, że mogę oczekiwać najgorszego. Łącznicy Komitetu Obywatelskiego przynosili mi listy od miejscowych działaczy, którzy pisali, że druga strona jest bardzo aktywna, a my nie potrafimy dotrzeć do społeczności wiejskiej stanowiącej większość elektoratu.

Już przystępując do tej kampanii, miałem więc świadomość, że będzie ona niezwykle trudna.

Mimo poparcia, jakiego „Solidarność” udzielił hierarchiczny Kościół katolicki?

– Tak, to poparcie było ważne i trudne do przecenienia – zwłaszcza gdy trzeba było uaktywnić społeczeństwo i w tysiącach miej-

scowości uformować nasze pierwsze struktury. Jednoznaczne stanowisko biskupów odegrało ogromną rolę.

Myśli Pan o uchwale Konferencji Plenarnej Episkopatu, która po posiedzeniu na Jasnej Górze wezwała 2 maja do powszechnego udziału w wyborach. Episkopat rzeczywiście wypowiedział się najjaśniej, jak mógł, stwierdzając, że „szansa, jaką dają wybory, winna być wykorzystana przez wiernych w poczuciu odpowiedzialności za wspólne dobro narodu”.

– Tak, to było wyraźne wezwanie do narodowego przebudzenia. Nie wydaje mi się natomiast, żeby województwo suwalskie można było podać jako przykład intensywnego zaangażowania Kościoła w kampanię wyborczą. Raczej było to zaangażowanie ograniczone. Znalazła się jednak grupa księży niezwykle oddanych, aktywnie działających, wspierających nas radą i czynem. Zawdzięczamy im ogromnie dużo.

A jak Panu udało się w tej nowej sytuacji i nowej roli odnaleźć?

– Z mojego punktu widzenia głównym problemem nie była organizacja kampanii, ale przełamanie barier psychicznych. Nie byłem człowiekiem trybun, przemówień, działania politycznego. Nigdy wcześniej nie robiłem niczego takiego. Teraz nagle stałem się podmiotem życia politycznego, które tylko w pewnej mierze znalazłem z obserwacji świata zachodniego, a nieco lepiej z literatury. Miałem zaś mówić nie do grona intelektualistów, z którymi umiałem się porozumiewać, do których potrafiłem trafiać argumentami. Miałem przemawiać na wiecach i byłem świadom swojego nieprzygotowania do tej roli. To stanowiło mój główny problem, gdy stanąłem na rynku w Suwałkach, by przemówić do tłumu ludzi, o których prawie nic nie wiedziałem, wśród których znałem ledwie kilka osób.

Moje polityczne myślenie o tym, że należy powoli, konsekwentnie rozpychać ramy systemu, zupełnie tym ludziom nie wystarczyło. Ciekawi byli, co też mam im do powiedzenia na temat ich własnego losu i powodów, dla których mieliby iść do wyborów. Musiałem się dostosować do poetyki wiecu i ku własnemu zdziwieniu przekonałem się, że mi się to udaje.

WYBORY

Jacek Kuroń w dniu wyborów



Niepodważalnym faktem jest niezwykle,
niewyobrażalne zwycięstwo
„Solidarności” w wyborach 1989 roku

Drugą barierę stanowiło to, że bardzo często musiałem występować przed środowiskami wiejskimi, których zupełnie nie znałem. Z robotnikami przynajmniej od 1980 roku miałem stałe i bliskie kontakty. Bywałem na strajkach, brałem udział w spotkaniach z załogami i w zjazdach „Solidarności”, wreszcie zaprzyjaźniłem się z wieloma robotniczymi przywódcami. Natomiast z wiejskimi środowiskami niezależnymi moje kontakty nigdy nie były bliskie. Choć część dzieciństwa spędziłem na wsi, czułem, że nie znam jej i nie rozumiem. Jadąc na wiejskie spotkania, byłem więc pełen obaw, czy uda mi się nawiązać kontakt z ludźmi. Znacznie prostsze wydawało mi się podjęcie rozmowy w miastach, nawet wówczas, gdy znajdowałem się wśród ludzi reprezentujących zupełnie inną filozofię polityczną.

Podczas mojego pierwszego przedwyborczego wiecu w Suwałkach dowiedziałem się, że nieopodal odbywa się demonstracja Federacji Młodzieży Walczącej przeciwnej kompromisowi Okrągłego Stołu. Wbrew radom miejscowych przyjaciół poszedłem na tę demonstrację. Wśród zgromadzonych tam młodych ludzi odbyłem publiczną rozmowę z ich przywódcą. W takiej polemice, która wymagała posługiwania się argumentami, czułem się znacznie lepiej niż na wiecach, gdzie trzeba było odwoływać się do emocji. *Czy poza tym, co zostało zapisane przy Okrągłym Stole i opublikowane przez prasę, miał Pan swój własny program wyborczy?*

– Od początku jasno mówiłem, iż gra idzie o Polskę niepodległą. Mówiłem też oczywiście o programie przebudowy gospodarczej, o tym, że będziemy stopniowo zmieniać życie publiczne, że chcemy realizować nie tylko to, co władza już zaakceptowała, ale także to, co trafiło do protokołów rozbieżności. W gruncie rzeczy mówiłem jednak przede wszystkim o niepodległości i o tym, że jej odzyskiwanie jest procesem, nad którym trzeba rozumnie panować. Wydawało mi się, że znajdowałem akceptację i odzew. Na tych spotkaniach byli wśród nas agenci Służby Bezpieczeństwa. Wiedziałem o tym ja i moi słuchacze także. Fakt, że publicznie, do mikrofonu mówiłem o niepodległości, zmieniał panującą wokół atmosferę. Ludzie przestawali się bać, bo skoro ja się nie bałem, oni też nie mieli do tego po-

WYBORY

wodów, a przynajmniej tak im się wydawało. Byłem przecież postacią Okrągłego Stołu, człowiekiem widywanym w telewizji. Osobą zupełnie nieznaną bywałem tylko w środowiskach wiejskich. Tam występowałem wyłącznie jako nosiciel tych prawd, które wypowiadałem. Wszystko mogło zależeć od tego, co powiedziałem owego jednego dnia, którego pojawiłem się w jakiejś wsi.

Pamiętam takie przedwyborcze spotkanie zorganizowane przy okazji wielkiego odpustu, na który z okolicznych wsi zjechało kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Kiedy po nabożeństwie tłum odpustowy zaczął wylewać się na pola, stanęliśmy na platformie samochodowej – my, solidarnościowi kandydaci na parlamentarzystów, i nasz gitarzysta. Poza gitarzystą, było nas czterech: Andrzej Wajda, Stanisław Bernatowicz, Jerzy Pietkiewicz i ja*. Wokół nas garstka ciekawych, a dokoła, na polach tysiące innych, którzy mogli do nas przyjść albo odejść. Stopniowo jednak podchodzili do naszej przyczepy i zostawali, bo słyszeli wolne słowo, prawdę.

A ludzie, którzy pomagali Panu tę kampanię organizować, skąd oni się brali?

– Przede wszystkim z „Solidarności”.

To znaczy, że suwalska „Solidarność” przetrwała?

– Słabo, a na dodatek podziemny Zarząd Regionu „Pojezierze” był niechętny Okrągłemu Stołowi i jego członkowie odeszli później do „Solidarności Walczącej”, więc w kampanii nie chcieli uczestniczyć. Była natomiast grupa ludzi działających w „Solidarności” jeszcze przed stanem wojennym. Po 13 grudnia – wyrzuceni z pracy – zaangażowali się w prywatną przedsiębiorczość. Pozostała w nich jednak żyłka publicznej aktywności i wielu z nich bardzo chciało, żeby powstała partia polityczna „Solidarność”. W całej Polsce była to duża i bardzo prężna grupa. W okresie kampanii pojechałem do jednego z miast województwa szczecińskiego, żeby dopomóc w rozwiązaniu lokalnych konfliktów. Spotkałem tam niezwykle interesującą grupę ludzi, którzy na początku lat

***Andrzej Wajda** kandydował z woj. suwalskiego z ramienia KO na senatora, tak samo Stanisław Bernatowicz; Jerzy Pietkiewicz i Bronisław Geremek – na posłów; wszyscy weszli do parlamentu.

ROK 1989

osiemdziesiątych przeszli przez „Solidarność”, ale na końcu dekad nie mogli już znaleźć miejsca w związku zawodowym, bo albo pracowali na własny rachunek, albo wręcz stali się pracodawcami. Bardzo jednak chcieli być ludźmi „Solidarności” i tworzyć ten ruch. Ich główne pytanie brzmiało więc: czy zachowamy Komitety Obywatelskie. Odpowiadałem im wtedy, że musimy je zachować, bo są one wspaniałym polskim zjawiskiem, naszym wielkim i nieoczekiwanym sukcesem. Nigdy wcześniej nie przypuszczaliśmy przecież, że w tak krótkim czasie uda się zmobilizować tyle tysięcy ludzi, że w każdej gminie, niemal w każdej wiosce znajdzie się grupę osób gotowych społecznie, nawet z narażeniem różnych własnych interesów, służyć krajowi. Uważałem i mówiłem im, że Komitety są nową strukturą działania tego samego ruchu, który w 1980 roku wyłonił „Solidarność”. Ta formuła dawała szansę aktywności nie tylko pracownikom wielkich zakładów, ale wszystkim – każdemu, kto chciał robić coś dobrego dla Polski.

Jak wielu było ich w Suwałkach?

– Niezbyt wielu, ale dość, żeby tę kampanię przeprowadzić i ją wygrać. Byli to ludzie niezwykle zaangażowani. Prowadzili własne gospodarstwa albo drobne interesy, ale nadal zajmowali się też niezależną działalnością publiczną – zwłaszcza związaną z wyjaśnieniem zbrodni sowieckich dokonanych na Suwalszczyźnie po wojnie. Byli też wśród nich działacze różnych wspólnot parafialnych, organizacji katolickich, inicjatyw obywatelskich. Dla tych ludzi kandydowanie Wajdy czy moje stanowiło również pewne wzmocnienie ich własnej pozycji w lokalnych społecznościach. Dla nas ogromną niespodzianką była zaś ogromna ofiarność, z jaką prowadzili tę kampanię. Zwłaszcza że bardzo często była to działalność zupełnie anonimowa – gdy na przykład trzeba było wziąć własny samochód i jeżdżąc nim od wsi do wsi rozlepić 1000 plakatów, które już dwa dni później były co do sztuki zerwane. Czasem musieli całą tę pracę powtórzyć parę razy. Patrzyłem na nich z podziwem tym większym, że moja własna aktywność była wówczas ograniczona przez fakt, iż kandydując na Suwalszczyźnie, miałem jednocześnie liczne obowiązki w Komitecie Obywa-

WYBORY

Tadeusz Mazowiecki w czasie rejestracji NSZZ „Solidarność”,
Warszawa, 17 kwietnia 1989 roku



Istniały uzasadnione obawy przed triumfalizmem, który na dodatkową próbę wystawiał możliwości naszych partnerów. To zdecydowało o podjęciu decyzji, że rejestracja „Solidarności” ma być wydarzeniem cichym

ROK 1989

telskim, gdzie zajmowałem się sprawami związanymi z koordynacją kampanii ogólnopolskiej. W obu wypadkach miałem jednak poczucie, że wszystko idzie nam wspaniale, o wiele lepiej, niż wolno było oczekiwać.

Mówi Pan o plakatach, ulotkach, podrózach. To wszystko, nawet przy ogromnym nakładzie pracy społecznej, musiało jednak kosztować duże pieniądze. Skąd je braliście?

– Ogromnym sukcesem była akcja cegiełkowa, która nie tylko pozwoliła nam zebrać poważne fundusze, ale także stworzyła nową formę organizowania się ludzi chcących wyrazić swoje poparcie dla „Solidarności”. Ci, co kupowali nasze cegiełki, mogli czuć się zaangażowani w kampanię wyborczą. Fundusze pochodzące ze sprzedaży cegiełek nie były jednak wystarczające.

Koszty druku plakatów i ulotek okazały się ogromne. Pomogła nam zbiórka zorganizowana przez Bolesława Wierzbiańskiego i redagowany przez niego nowojorski „Nowy Dziennik”. Dolar znaczył wówczas w Polsce znacznie więcej niż dziś i dzięki temu te przeszło sto tysięcy dolarów, które otrzymaliśmy z Nowego Jorku, odegrało bardzo istotną rolę.

A inne źródła zagraniczne? Wiele się w 1989 roku pisało o tym, że kampania wyborcza „Solidarności” organizowana jest za obce pieniądze. Skąd one jeszcze pochodziły?

– Nie przypominam sobie, żebyśmy mieli jakieś inne zagraniczne źródła naszych funduszy. Pomagały nam struktury „Solidarności”, które w dużej mierze organizowały kampanię wyborczą, ale „Solidarność” też nie miała wtedy takich pieniędzy, jakich wymagało przeprowadzenie kampanii dla naszych 260 kandydatów. Natomiast pewną nadwyżkę, która została po rozliczeniu funduszu wyborczego, przekazaliśmy „Solidarności” na jej potrzeby organizacyjne. Od pierwszego do ostatniego dnia kampanii borykaliśmy się jednak z ciągłymi problemami finansowymi. Tym większy był więc nasz powód do dumy, że w tak krótkim czasie potrafilśmy zrobić tak wiele.

My, to znaczy kto?

– My, społeczeństwo. Nie istniał przecież żaden sztab kreujący tę sytuację. Kiedy w kierownictwie „Solidarności” i w Komitecie

WYBORY

Obywatelskim podejmowaliśmy decyzję o zaangażowaniu się w wybory, zdawaliśmy sobie sprawę, że sukces całej operacji będzie zależał od tego, czy dokona się społeczne przebudzenie. Nie byliśmy nawet w stanie powielić i rozprowadzić w całym kraju naszego programu, bo nie mieliśmy ani dość pieniędzy, ani dostatecznego dostępu do państwowych drukarni. Zresztą działała jeszcze cenzura, więc nie wolno nam było wydrukować wszystkiego, co byśmy chcieli, a uznawaliśmy też inne względy, dla których nie wszystko należało drukować. Musieliśmy więc odwołać się do bardzo prostych społecznych refleksów – do „Solidarności” jako miejsca spotkania Polaków, którzy wiedzą, czego nie chcą, i są mniej więcej zgodni co do tego, czego chcą. Takie też było przesłanie rodzących się Komitetów Obywatelskich i sprawdziło się ono nadspodziewanie. Kiedy zobaczyłem, jak wysoka jest fala wywołanej tym przesłaniem społecznej aktywności, straciłem wszelkie rozterki co do tego, czy nie było dla nas lepszej drogi. Nabrałem pewności, że przyjęcie koncepcji partyjnej federacji oznaczałoby zmarnowanie wielkiej szansy.

Ale spór o miejsce partii politycznych i rolę „Solidarności” zdaje się żyć nadal, znajdując odbicie w konfliktach, które dziś rozłamują i „Solidarność”, i Ruch Obywatelski.

– Nie sędzę, żeby był on tak żywy. Ludzie, których ten spór wówczas poróżnił, spotkali się później we wspólnym działaniu. Bardzo niewielu z naszych ówczesnych oponentów znalazło się poza procesem politycznym.

Myśli Pan o powrocie Mazowieckiego i Halla, głównych przeciwników Pańskiej koncepcji i zwolenników porozumienia międzypartyjnego?

– Nie tylko. Wrócili niemal wszyscy, którzy przyłączyli się wówczas do odrzuconej przez Komitet Obywatelski propozycji Aleksandra Halla, aby w procesie wylaniania kandydatów rolę dominującą oddać niezależnym ugrupowaniom politycznym. Na ogół nie wzięli oni udziału w kampanii wyborczej, ale później, w następstwie zwycięstwa wyborczego, wrócili na scenę polityczną, czego najlepszym przykładem jest sam Aleksander

ROK 1989

Hall, minister w rządzie Tadeusza Mazowieckiego. Byli też zresztą tacy – jak Jerzy Regulski czy Jan Maria Rokita* – którzy od razu zaakceptowali decyzję Komitetu i nawet zdecydowali się na kandydowanie. Myślę zresztą, że już wówczas był to raczej spór personalny niż polityczny. Po wyborach praktycznie zatracił on swoją aktualność, a dziś należy już do przeszłości. Gdy na czele rządu stanął Tadeusz Mazowiecki, który był jedną z czołowych postaci drugiej strony sporu, wszyscy udzieliliśmy mu poparcia.

A czy nie wydaje się Panu, że dalszym ciągiem tamtego sporu jest konflikt między Mazowieckim a Wałęsą, w którym istotną rolę zdaje się odgrywać stanowisko Mazowieckiego wobec roli „Solidarności” oraz jej przewodniczącego na scenie politycznej?

– Być może, ale czy dowodem naszej racji nie jest to, że do dziś partie polityczne nie potrafią zakorzenić się na polskiej scenie politycznej? Czy o słabości koncepcji partyjnych nie świadczy fakt, że w połowie roku 1990 wszystkie partie razem wzięte nie potrafiły zdobyć nawet czwartej części mandatów w wyborach samorządowych, a ugrupowania partyjne liczą z reguły najwyżej po parę tysięcy członków? Przecież do dziś głównym elementem organizującym wyobraźnię polityczną społeczeństwa jest „Solidarność”. Właśnie dlatego tak duże społeczne niezadowolenie wzbudzają podziały w „Solidarności”. Można oczywiście mówić, że gdyby wybory 1989 roku zorganizowane były przez partie polityczne, dziś łatwiej by im było uzyskać społeczny rezonans. To jest teza, którą można przyjąć lub odrzucić na wiarę, bo sprawdzić się jej nie da. Ja jednak sytuację tamtych wyborów rozważam przede wszystkim w odniesieniu do panującego jeszcze wówczas systemu komunistycznego. Dopuszczenie ryzyka, że nasz sukces utopimy w partyjnych swarach, wydawało mi się krokiem nierozważnym.

*Jerzy Regulski został senatorem z woj. jeleniogórskiego, Jan Maria Rokita – posłem z Krakowa.

WYBORY

Można też oczywiście zastanawiać się – co zostawiam już filozofom i historykom tych czasów – czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy w roku 1989 przegrali. Cały proces by się wówczas przedłużył, ale zapewne wcześniej czy później doszłoby do jakiegoś wielkiego wybuchu, który by wszystko odwrócił. My zaś mielibyśmy czyste ręce, bo nie musielibyśmy już zawierać paktów z komuną. Ja takiego rozumowania nie akceptuję. Niezależnie bowiem od wszelkich zagrożeń, jakie pojawiają się na drodze do demokracji, niepodważalnym faktem jest niezwykle zwycięstwo „Solidarności” w wyborach 1989 roku i wszystkie jego wewnętrzne oraz międzynarodowe implikacje.

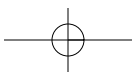
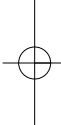
W całym ciągu zdarzeń, które tego roku miały miejsce w Europie i na świecie, wyniki polskich wyborów odegrały przełomową rolę. To przecież my pokazaliśmy, że komunizm kończy się nieodwołalnie, że król jest nagi, że z całej świetności został mu tylko goły miecz, że nie ma żadnego społecznego poparcia. Czerwcowe wybory udowodniły to, co było intelektualnie oczywiste, ale empirycznie niepotwierdzone – że komuniści nie mają politycznego zaplecza, a przy władzy trzymają ich historyczna inercja podparta iluzją przemocy. Wyniki wyborów zapisane za pomocą rzeczywistych liczb stanowiły punkt zwrotny w myśleniu o przyszłości Europy, bo od mniej lub bardziej udanych spekulacji pozwalały przejść do analizy faktów.

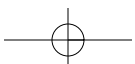
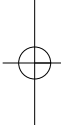
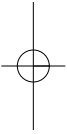
Dla oceny sytuacji w naszym bloku te wybory miały znaczenie podobne jak opublikowanie „Archipelagu Gułag”*. Przecież o łagrach świat wiedział już przed II wojną, byli na Zachodzie ludzie, którzy przez łagry przeszli, były ich świadectwa, ale do opinii publicznej nie przemawiały one dość mocno, żeby stać się integralnym elementem społecznego obrazu komunistycznej Rosji. Tę barierę przełamała dopiero publikacja „Archipelagu”, który wywołał na Zachodzie zbiorowy szok i odebrał resztkę złudzeń dotyczących tego, co się w Sowietach

*Książka „Archipelag Gułag” Aleksandra Solżenicyna została opublikowana na Zachodzie po raz pierwszy w 1973 roku.

ROK 1989

wyprawia. Podobnie oceniano sytuację w Polsce po wprowadzeniu stanu wojennego. Wiadomo było, że jest to wojna z narodem, ale zawsze można było powiedzieć albo pomyśleć, że przecież nie z całym, a skoro nie z całym, to może tylko z jakąś małą jego częścią. Po 4 czerwca mieliśmy już bardzo konkretne liczby, więc zabrakło miejsca na te spekulacje. Nie było żadnego parawanu, za którym mogła się ukryć przemoc dotychczasowej władzy.





W SZERSZYM PLANIE



ANNA PIETUSZKO

Dwa tygodnie po podpisaniu porozumień Okrągłego Stołu, w środę 19 kwietnia, wyruszał Pan wraz z Lechem Wałęsą w jego pierwszą od zakończenia rozmów zagraniczną podróż. Jej celem był Rzym, a głównym elementem stało się oczywiście spotkanie z Papieżem. Czy istniały jakieś inne poważne powody, dla których Wałęsa powinien był wówczas udać się do Włoch?

– Jechał przede wszystkim, by spotkać się z Papieżem i przekazać mu wyrazy naszej wdzięczności. Mieliśmy bowiem przekonanie, że bez papieskiego wsparcia proces Okrągłego Stołu nie miałby miejsca.

Ma Pan na myśli moralny wkład Papieża czy jakieś konkretne inicjatywy?

– Przede wszystkim myślę o wkładzie moralnym, ale był on uchwytany również w kategoriach praktyki politycznej. „Solidarność” – nękana i represjonowana – nie ostałaby się, gdyby nie miała horyzontu nadziei, który wskazywał Papież. W latach dzielących wprowadzenie stanu wojennego od rozpoczęcia rozmów Okrągłego Stołu w elitach politycznych, ale także w polskim Kościele górę brały opinie, że rozdział „Solidarności” należy zamknąć. Papież nie zamknął go nigdy. To stanowisko miało także wpływ na postawę przedstawicieli hierarchii kościelnej. Proszę sobie przypomnieć, że gdy w „L'Osservatore Romano” ksiądz Levi*, zastępca redaktora

*Ksiądz **Virgilio Levi** w „L'Osservatore Romano” z 25 czerwca 1983 roku po pielgrzymce Jana Pawła II do Polski, w artykule „Cześć poświęceniu” tłumaczył, dlaczego spotkanie Lecha Wałęsy z Papieżem miało charakter prywatny. Pisał, że przywódca „S” schodzi ze sceny: „Możemy powiedzieć, że przegrał swą batalię”.

ROK 1989

naczelnego, napisał, iż czas „Solidarności” minął, musiał za to zapłacić swoją dymisją. Był to ważny sygnał.

W roku 1989 naszym obradom i przygotowaniom do zawarcia kontraktu towarzyszyło niezwykle osobiste zainteresowanie Papieża. Dlatego zapewne Lechowi Wałęsie tak bardzo zależało na tym, aby do Rzymu polecieć z nim nie przywódca „Solidarności”, ale główni negocjatorzy naszej strony. Ważne było i to, żeby w czasie, gdy podnosiły się głosy podające w wątpliwość moralną zasadność tego kontraktu, przeciwstawić im autoryzację najwyższego i niepodważalnego autorytetu moralnego, jakim w Polsce jest Papież. Wreszcie i Wałęsa, i my wszyscy byliśmy bardzo ciekawi papieskich opinii na temat nowej sytuacji, w której znalazła się Polska.

Czego się dowiedzieliście?

– Po spotkaniu osobistym Wałęsy z Papieżem i krótkiej audiencji dla całej delegacji odbył się wspólny obiad. Właśnie przy obiedzie Papież udzielił nam bardzo interesującej lekcji optymizmu. My mówiliśmy głównie o trudnościach, jakie przed sobą widzimy, a Papież opowiadał o tym, jak wiele udało nam się osiągnąć. Przy stole obecny był również biskup Marian Jaworski z Lubaczowa, który opowiadał o swoich rozmowach z młodzieżą. Zdecydowanie protestował przeciwko stawianiu przez niektóre środowiska zarzutu, że w Polsce dokonano się porozumienie elit. „To śmieszne – mówił – dokonano się przecież porozumienie obejmujące całe społeczeństwo i budzące ogromne nadzieje”. Papież podjął ten wątek. Nawiązał wtedy do rozmów, które prowadziliśmy w listopadzie 1981 roku i do naszych wobec Stolicy Apostolskiej oczekiwań dotyczących sformułowania diagnozy politycznej tolerancji wschodniego sąsiada. Pytaniem zasadniczym było przecież, jak daleko Rosjanie pozwolą nam się posunąć. Papież mówił, że na to pytanie on też nie zna odpowiedzi, jesteśmy więc zdani na własną wiedzę i własne wyczucie. Niezwykłą wagę przykładał jednak do tego, że polskie aspiracje obejmują zarówno żądania socjalne, jak też niepodległościowe.

Sądzi Pan, że Papież wierzył w trwałość tego kontraktu? Słynna watykańska dyplomacja musiała przecież dysponować lepszymi niż wy źródłami informacji.

W SZERSZYM PLANIE

Watykan, kwiecień 1989 roku



Papież zdawał się myśleć i mówić
podobnie jak my, kiedy stwierdzał,
że woli narodu nie można już będzie
ignorować i że w jakimś sensie na drodze
do niepodległości
przekroczyliśmy Rubikon

– Rozmowę z kardynałem Casarolim* odbyliśmy później. Przy tym obiedzie watykańska dyplomacja była nieobecna. To była rozmowa między Polakami. Papież zdawał się jednak myśleć i mówić podobnie jak my, kiedy stwierdzał, że woli narodu nie można już będzie ignorować i że w jakimś sensie na drodze do niepodległości przekroczyliśmy Rubikon. Przestrzegał jednak, że musimy być mądrzy w działaniu i roztropni w słowie. Mądrości w działaniu staraliśmy się trzymać, natomiast mam poczucie, że roztropności w słowie podczas kampanii wyborczej, a zwłaszcza po wyborczym sukcesie, utrzymać jednak nie zdołaliśmy. Ta pewna nieroztropność słowa, której nie dało się uniknąć, spełniała jednak również rolę próbnego balonu pozwalającego nam na stwierdzenie, dokąd się możemy posunąć, a gdzie napotkamy teren zaminiowany. Nie mogliśmy stwierdzić tego inaczej, jak właśnie metodą takich delikatnych prób i błędów.

A jak wyglądała rozmowa z kardynałem Casarolim?

– Była to rozmowa polityczna dotycząca także sytuacji Polski. Od 1981 roku byliśmy przekonani, że brak naszych – to znaczy „Solidarności” – relacji z Moskwą jest w pewnym stopniu kompensowany stosunkami watykańsko-radzieckimi. Nieustannie poszukiwaliśmy takich quasi-kontaktów za pośrednictwem Watykanu. Mówiliśmy o tym w rozmowach z Papieżem. Papieska odpowiedź była jednak taka, że co prawda Watykan ma pewną dyplomację i politykę wschodnią, ale prowadzi ją, kierując się przede wszystkim interesem Kościoła i wiary. Problemy relacji między katolicyzmem a prawosławiem są dla Watykanu ważniejsze niż jakiegokolwiek inne sprawy. Ale... skoro ten kanał już istniał, mógł on wspomagać również pewne działania wykraczające poza podstawową misję Kościoła.

W rozmowie z kardynałem sekretarzem stanu chcieliśmy uzyskać pewne informacje na temat watykańskiej oceny szans naszej niezależności i ewentualnych reakcji Moskwy. Uzyskaliśmy

*Kardynał Agostino Casaroli był wówczas w Państwie Watykan sekretarzem stanu – ministrem spraw zagranicznych.

W SZERSZYM PLANIE

niezwykłą życzliwość, pełne zrozumienie i zainteresowanie rolą „Solidarności” w procesie zmian, lecz nie uzyskaliśmy odpowiedzi politycznej. Nie mieli jej również wysocy przedstawiciele Stolicy Apostolskiej. Kardynał Casaroli nie wiedział, jaka może być reakcja Moskwy, i sądził, że my – będąc bliżej teatru zdarzeń – jesteśmy też lepiej poinformowani. Mówił, że Gorbaczow wydaje się człowiekiem zasadniczych zmian, ale sam jest zagrożony, bo jego reformy wciąż nie dotknęły porządku imperialnego. W gruncie rzeczy potwierdził wyniki naszych własnych analiz. Również jednak kardynał Casaroli nie powstrzymywał nas. Nie padły te słowa, które dawało się wówczas słyszeć w Polsce, że powinniśmy zważać na zbiorowy interes Europy i unikać narażania Gorbaczowowskiej polityki reform. Język tej rozmowy był językiem analizującym rzeczywistość.

Czy to znaczy, że Pańskie wcześniejsze doświadczenia z Kościołem kazały Panu oczekiwać próby hamowania polskich apetytów?

– Nie, moje doświadczenie uczyło mnie, że takiej próby raczej nie będzie. Pamiętałem niezwykle ważną dla mnie rozmowę z listopada 1981 roku, kiedy przedstawiałem Papieżowi sytuację w Polsce. Było to niespełna półtora miesiąca przed wprowadzeniem stanu wojennego. Mówiłem wtedy o zagrożeniach, jakie się pojawiały, i o naszym prawie do trwania. Te zagrożenia nie wynikały z postawy grup ekstremistycznych, ale z tego, że w logice działania drugiej strony leżało zburzenie niezależnego ruchu „Solidarności”. Papież zaczął swoją ówczesną odpowiedź od tego, że tradycją miejsca, w którym byliśmy, jest, iż on powinien „wysłuchać i milczeć, ale – dodał – ja tak bardzo chcę powiedzieć, co myślę”. Wygłosił wtedy trwającą kwadrans analizę sytuacji opartą między innymi na rozmowie z Józefem Czyrkiem, którego przyjął na krótko przed naszym spotkaniem. Zdziwiło mnie wówczas, że w sprawach polskich Papież prezentuje sposób myślenia, który nie jest zewnętrzny wobec naszych problemów i nie jest także instruujący, ale zawiera precyzyjną, intelektualną analizę.

ROK 1989

Powiedziałbym, że mówił wówczas do mnie polski intelektualista rozważający problemy swojego kraju.

Czy ta analiza potwierdzała Pańskie obawy, które miały się wkrótce sprawdzić?

– Tak. Dominowała w niej obawa. Papież przypominał to, co mówił na pierwszym spotkaniu z „Solidarnością” w 1981 roku – że jej istnienie jest ogromnym polskim sukcesem. U schyłku 1981 roku horyzont był już jednak zupełnie ciemny i Papież tego nie ukrywał. Uwarunkowania międzynarodowe nie dawały nam wtedy wielkich szans. Natomiast w kwietniu 1989 roku Papież rysował przed nami pozytywny bilans naszego trwania przez lata prześladowań i represji. Mówił, że ten bilans otwiera nową drogę – przed nami i Europą. Zastanawiał się, w jaki sposób świat może pomóc Polsce, także w dziedzinie gospodarczej. Przytaczał swoje wcześniejsze rozmowy z prezydentem Reaganem, wymieniał nadzieje i postulaty, które mu przedstawił. Były one bardzo konkretne – dotyczyły spraw gospodarczych, pomocy, kredytów. Mówił, że coś już osiągnął i że będzie się dalej starał.

Nigdy bym nie przypuścił, że Papież może się zajmować sprawami tak konkretnymi i – chce się powiedzieć – przyziemnymi.

– Bo też nie całkiem tak jest. Żadna z tych rozmów nie przebiegała w języku polityki. O sprawach konkretnych Papież informował nas w krótkich zdaniach stanowiących element całej analizy i refleksji o polskiej sytuacji, która niezwykle go absorbowiała.

Cztery miesiące później, w sierpniu 1989 roku, miałem okazję odbycia z Papieżem serii rozmów w zupełnie innej sytuacji. Dane mi było spędzić aż trzy dni w Castel Gandolfo, gdzie odbywało się sympozjum, któremu Papież patronował i w którym przez cały czas brał udział. Dodatkowo otrzymałem zaproszenie na większość posiłków przy papieskim stole. Kolejno proszono do tego stołu wszystkie grupy narodowe – Niemców, Francuzów, Anglików i na końcu Polaków, bo byli tam także Leszek Kołakowski, Jacek Woźniakowski, Adam Michnik, Krzysztof

W SZERSZYM PLANIE

Michalski i Aleksander Gieysztor*. Byliśmy już wówczas po wyborach, a jeszcze przed uformowaniem naszego rządu, ale we wszystkich językach, przy wszystkich posiłkach Polska stanowiła główny temat. Przez cały czas Papież wypytywał, jaka dokładnie jest w Polsce sytuacja, niezwykle żywo reagował i z ogromnym upodobaniem słuchał relacji oraz anegdot serwowanych przez Adama Michnika. Zarazem jednak przedmiotem tych rozmów było zawsze uniwersalne przesłanie polskiego doświadczenia. Nasze dyskusje nigdy nie zamieniły się w rozmowę polityków o polityce. Pozostały rozważaniami intelektualistów.

Z polskim pontyfikatem zbiega się upadek komunizmu. Można założyć, że to jest tylko zbieg okoliczności, bo właśnie w tym okresie komunistyczna gospodarka osiągnęła dno, a polityka imperialna przyniosła gorzkie owoce, ale można też przyjąć, że znaczący był wkład polskiego Papieża jako sprawczego czynnika moralnego czy politycznego.

– Nie sądzę, żeby można było powiedzieć, że to Papież zburzył imperium komunizmu. Wewnątrz tego systemu od lat postępował rozpad wszystkich struktur – gospodarczych, politycznych, społecznych, ideologicznych. Te procesy były widoczne, jeszcze zanim przyszedł czas polskiego pontyfikatu.

Niewątpliwą zasługą Jana Pawła II jest jednak to, że przeciwstawił się jałtańskiemu podziałowi Europy, do którego świat już przywykł. Jeszcze w latach siedemdziesiątych na Zachodzie uważano, że Jałta stanowi pewien oczywisty fakt, o którym się nie rozmawia. Jan Paweł II od początku swojego pontyfikatu mówił, że jest papieżem z „tamtej” części Europy i jako pierwszy, głosząc prawo nasyżych narodów do życia w wolności, zupełnie otwarcie odrzucił dokonaną przez Rosję aneksję Wschodu. Można powiedzieć, że to były tylko słowa...

...bo ileż Papież ma dywizji...

***Leszek Kołakowski** – jeden z najwybitniejszych polskich filozofów XX wieku, wówczas już od dwudziestu lat na emigracji. **Jacek Woźniakowski** – historyk sztuki, profesor w KUL; wówczas redaktor naczelny wydawnictwa Znak. **Krzysztof Michalski** – filozof, twórca wiedeńskiego Instytutu Nauk o Człowieku, współorganizatora spotkań w Castel Gandolfo.

ROK 1989

– ...no właśnie, okazało się, że wbrew kpinom Stalina, ma ich bardzo dużo. Słowa Papieża były potęgą, zwłaszcza że trafiały do rozbudzonego już polskiego społeczeństwa. W końcu on sam z tego społeczeństwa wyrósł, zanim przeniósł do Watykanu rozbudzone polskie aspiracje. Jego głos nie był więc w zastygłej pojałtańskiej Europie głosem wołającego na puszczy. Polski rezonans podnosił zaś wagę papieskich słów. Jest zatem pewna logika w tym, że właśnie ten okres stał się czasem polskiego pontyfikatu, jak również jest logika w fakcie, że rozpad komunizmu nastąpił wówczas, gdy na czele Kościoła powszechnego znalazł się Polak, niosący doświadczenie naszej części Europy.

Umiejący docenić praktyczną wagę praw człowieka i tradycji europejskiej, które Jalta ograniczała do przestrzeni między Gibraltarem a Łabą.

– To prawda, ale mówiąc o tym, musimy także pamiętać o nowej filozofii politycznej Stanów Zjednoczonych, które wprowadziły prawa człowieka do sfery polityki międzynarodowej. W sporze między dwoma systemami oznaczało to zwrócenie się ku wartościom podstawowym. Siłą komunizmu były przecież nie tylko sowieckie dywizje, gułagi i tajne policje, ale także atrakcyjność ideologicznych iluzji. Stając się elementem polityki światowej, prawa człowieka pozwalały obnażyć nieludzką istotę sowieckiego imperium. Filozofia praw człowieka przywróciła Zachodowi wiarę w to, że wartości podstawowe mają kluczowe znaczenie dla życia publicznego.

Tak, to jest niewątpliwa zasługa prezydenta Cartera i jego doradcy Zbigniewa Brzezińskiego, którzy jako pierwsi mówili o podstawowym znaczeniu praw człowieka w stosunkach międzynarodowych. Prawdziwie centralną pozycję zdołał im jednak nadać dopiero prezydent Reagan, bo – jak myślę – dopiero on wykazał się wystarczająco silną wolą, żeby tę filozofię wcielić w życie. Obok prezydentury*

*Amerykański prezydent Jimmy Carter prowadził za swej kadencji (1977-81) kampanię na rzecz praw człowieka; Zbigniew Brzeziński był jego doradcą ds. bezpieczeństwa narodowego. Ronald Reagan był prezydentem w latach 1981-89.

W SZERSZYM PLANIE

Spotkanie ze Zbigniewem Brzezińskim



Dla polityków na Wschodzie
i na Zachodzie istotne było pytanie,
jaką cenę świat będzie musiał zapłacić
za nasz sukces

ROK 1989

Ronaldą Reagana i pontyfikatu Jana Pawła II wymienia się jeszcze trzeci czynnik zagraniczny mający istotny wpływ na rozwój wydarzeń w Polsce. Jest nim oczywiście nowa polityka sowiecka wprowadzona przez Michaiła Gorbaczowa. Jak by Pan uszeregował wpływ tych trzech czynników?

– Ja bym powiedział, że tylko Hegel daje klucz do odczytania tej sytuacji. Jedynym wyjaśnieniem jest *Zeitgeist*, „duch czasów”. Zmiany przychodziły ze wszystkich stron, przychodziły niemal jednocześnie i nakładały się na sprzyjające czynniki wewnętrzne. Ale przecież wszystkie te elementy, które w drugiej połowie lat osiemdziesiątych współdziałały i współkształtowały sytuację w Polsce, istniały już wcześniej – tyle że istniały w różnej skali. Doktryna praw człowieka jest przecież mocno zakorzeniona w nauczaniu Ojców Założycieli amerykańskiej demokracji, ma więc tradycję liczącą co najmniej 200 lat.

Ale w Jalcie jakby jej nie było.

– Gdzieś się zagubiła. Aż dziwne, że dopiero Carter musiał ją przypomnieć. Ale niech pan spojrzy na wartości chrześcijańskie i nauczanie Kościoła odnoszące się do zasad życia publicznego. Nic się tu nie zmieniło. A dążenia reformatorskie w Związku Radzieckim, przynajmniej od czasów Chruszczowa*, zawsze były jakoś obecne i właściwie cała historia porewolucyjna jest wybrukowana dobrymi reformatorskimi zamiarami. Także opór społeczny w Polsce nie zamarł nigdy w ciągu tych przeszło czterdziestu lat. Fenomen końca lat osiemdziesiątych polega na tym, że nagle wszystkie te elementy doznały ogromnego wzmocnienia i zaczęły na siebie wzajemnie oddziaływać stymulująco. Pan mówi, że w Jalcie nie było praw człowieka. Nie było także chrześcijańskiego ducha w wielu postępkach osobistości Kościoła. A w każdym razie ten duch nie zawsze dominował. Mogło się też wydawać, że klęska praskiej wiosny zamyka drogę reformy realnego socjalizmu. Przyszedł jednak moment, w którym wszystkie te elementy zaczęły się ożywiać, aż w końcu doprowadziły do odwrócenia

*Nikita Chruszczow – I sekretarz KC KPZR w latach 1953-64.

W SZERSZYM PLANIE

biegu dziejów. Rola żadnego z nich nie daje się jednak zmierzyć i nie podjąłbym się ustawienia ich w porządku hierarchicznym. Fascynująca jest natomiast zbieżność tych wszystkich czynników, ich równoległe pojawienie się i współgranie.

Nie wydaje się Panu, że może mamy tu do czynienia z kumulacją czterdziestoletniego doświadczenia współżycia z komunizmem?

– W jakimś stopniu tak, ale z samej kumulacji nic jeszcze nie wynika. Kiedy komunizm przyszedł do Polski, społeczeństwa sowieckie miały już za sobą doświadczenie trzydziestoletniej komunistycznej władzy i nie wносиło to wiele do europejskiej czy amerykańskiej świadomości politycznej. Wizja wyzwalającej się Polski jeszcze w 1989 roku u wielu zachodnich polityków budziła więcej obaw niż radości.

„Solidarność” i Komitet Obywatelski bardzo konsekwentnie zabiegały o to, aby te obawy zmniejszyć. Ogłoszone w końcu kwietnia stanowisko Komitetu Obywatelskiego wobec problemów międzynarodowych zawierało jednak sformułowania mogące budzić irytację władz. Wśród celów polityki zagranicznej na pierwszym miejscu postawiona bowiem została sprawa zapewnienia Polsce suwerenności państwowej, „wymagająca nowego, równoprawnego ułożenia stosunków z jej sojusznikami”. Czy mówienie tego w sposób tak otwarty nie było wówczas igraniem z ogniem?

– Nie wydaje mi się. Do tego dokumentu przywiązywaliśmy ogromną wagę, przygotowaliśmy go długo i – jak to się dzieje ze wszystkimi dokumentami przyjmowanymi na zasadzie kompromisu – w rezultacie musieliśmy dojść do zatarcia ostrości konturów tego, co miało być bardzo jasno powiedziane. Mieliśmy w tym oświadczeniu powiedzieć, że Polska chce być niepodległa i że jej niepodległość nie zagrozi nikomu, także Związkowi Radzieckiemu. Napisaaliśmy więc, że nie kwestionujemy generalnego układu sojuszy dających gwarancję bezpieczeństwa europejskiego.

Muszę powiedzieć, że to oświadczenie wzbudziło duże zainteresowanie i że zostało w światowych ośrodkach politycznych odebrane jako świadectwo racjonalnego myślenia dominującej siły

ROK 1989

politycznej, jaką po Okrągłym Stole stanowił w Polsce ruch „Solidarności”. Uznano nas za siłę racjonalną, odpowiedzialną i obliczalną.

Dla partii to oświadczenie było jednak dowodem, że myślicie o przejęciu władzy.

– Ja mówię o tym, co napisaliśmy, a nie o tym, czego uchwyciła się propaganda partyjna. Za nią nie mogę odpowiadać. To, że w Polsce staje sprawa władzy, było zupełnie oczywiste dla partii, dla nas i dla zagranicznych obserwatorów. To było wiadomo od 1980 roku. Kwestię stanowiły tylko dwa pytania: kiedy? i jak? Nie chodziło przecież o to, że jedni ludzie chcieli wziąć władzę od drugich ludzi, tak jak to jest w systemach demokratycznych. Chodziło o przywrócenie „zasady zasad”, o oddanie władzy wolnej woli obywateli.

W 1981 roku powiedziałem wicepremierowi Rakowskiemu, że oni muszą zastanowić się nad sprawą władzy. Trzy tygodnie po wprowadzeniu stanu wojennego usłyszałem jego odpowiedź, kiedy mówił publicznie, że przywódcy „Solidarności” wyrażali aroganckie dążenie do władzy i to stanowiło o konieczności wprowadzenia stanu wojennego.

Dla zagranicznych obserwatorów istotne było natomiast to, jaki stosunek do strategii globalnej zawiera nasz program dążenia do niepodległości, o której mówiliśmy już od dłuższego czasu. Dla polityków na Wschodzie i na Zachodzie istotne było pytanie, jaką cenę świat będzie musiał zapłacić za nasz sukces, albo jaką będzie miał z tego korzyść. Celem naszego dokumentu było udzielenie odpowiedzi na te pytania. Ta odpowiedź była dla świata uspokajająca, bo ona znaczyła, że nie ma w nas zaciętrzewienia czy oszołomienia, ale jest obliczalność i racjonalne polityczne myślenie.

Wracam do podróży włoskiej z kwietnia 1989. Spotkanie z Papieżem nie było jedynym elementem programu. Waszymi rozmówcami byli też prezydent Francesco Cossiga, premier Ciriaco de Mita, minister spraw zagranicznych Giulio Andreotti.

– Również szef socjalistów Craxi i przywódca komunistów Occhetto. Spotkanie z komunistami było dla nas bardzo interesującym i zupełnie nowym doświadczeniem.

 W SZERSZYM PLANIE

Mimo że od blisko roku głównym Pańskim zajęciem było właśnie rozmawianie z komunistami?

– Jednak było dla nas czymś nowym i niespodziewanym to, że przywódca partii komunistycznej opowiadał Lechowi Wałęsie o początkach swojej aktywności publicznej w organizacjach młodzieży chrześcijańskiej. Kiedy zauważył nasze zdziwienie, dodał, że przejście do partii komunistycznej nie stanowiło problemu, bo w odróżnieniu od innych ugrupowań, z socjalistami na czele, komuniści włoscy nigdy nie byli partią programowo ateistyczną. Można więc było być komunistą i katolikiem zarazem. Przyznał, że brzmi to interesująco i zaskakująco.

Jeszcze tak, choć polscy komuniści też zaczynają odkrywać swoje katolickie korzenie. Ostatnio Mieczysław Rakowski zwierzał się komuś, że decydując o swojej drodze życiowej, wybierał między szkołą wojskową a seminarium. Nie był zresztą w tych inklinacjach odosobniony, bo w końcu i Stalin miał za sobą seminaryjne doświadczenie.

– W kierownictwie komunistów francuskich również byli ludzie z solidną katolicką edukacją. Może więc rzeczywiście okazać się kiedyś, że istotnym elementem dziejów ruchu komunistycznego była obecność wielu przedstawicieli środowisk żydowskich i równie wielu ludzi aktywnie zaangażowanych w formację katolicką.

Wracam do włoskiej podróży. Czego dotyczyły rozmowy z politykami?

– Po spotkaniu z Papieżem mieliśmy już głównie rozmowy rutynowe. Przede wszystkim zależało nam na tym, żeby otworzyć nowe możliwości dla polityki gospodarczej.

Oczekiwania Polaków były wówczas ogromne. Czy one znajdowały jakieś potwierdzenie w przebiegu waszych rozmów?

– W deklaracjach tak, bo dysponowaliśmy w Europie ogromnym kapitałem sympatii politycznej i narodowej. Gdy jednak dochodziło do konkretów, na drodze naszych nadziei stawały systemowe problemy polskiej gospodarki. Nasi rozmówcy uważali je za przeszkodę nie do przekroczenia.

W Polsce wszyscy niemal żyli wówczas przekonaniem, że jeżeli tylko nam się uda, jeżeli wygramy te wybory, Zachód nam pomoże. Czy nie

ROK 1989

obawiał się Pan, że może nas czekać pierwsze wielkie rozczarowanie? Bez pomocy Zachodu dużo się przecież w polskiej gospodarce zrobić nie dało.

– Tak, mieliśmy tę świadomość i dlatego jeszcze będąc w konspiracji, opracowaliśmy „program minimum” pomocy Zachodu. Umieściliśmy w nim to, co – jak wierzyliśmy – mieściło się w granicach zachodnich możliwości. Pierwsze reakcje naszych zachodnich rozmówców były jednak – muszę przyznać – mocno sceptyczne. Mówiono nam wprost, że wymagamy zbyt wiele.

Choć mówiliście tylko o dziesięciu miliardach?

– Tak, te dziesięć miliardów uważano wówczas za kwotę absolutnie nieosiągalną, choć miała być uruchomiona w bardzo różnych formach, w ciągu kilku lat i obejmowała wkład całego rozwiniętego świata. Odpowiadaliśmy, że jest to absolutne minimum potrzebne do wyprowadzenia Polski z sytuacji, w której się znalazła, i że minimum wyobraźni powinno skłonić Zachód do zaakceptowania tej propozycji. Patrzono na nas sceptycznie, ale w 1989 roku otrzymaliśmy te dziesięć miliardów w formie różnych pożyczek, kredytów i umorzeń, które miały być realizowane w najbliższych latach.

Czy do przełamania tych lodów przyczyniły się nieco późniejsze, bo już majowe wizyty Wałęsy w Strasburgu i Brukseli?

– W pewnym stopniu, choć decydujące były z pewnością rozmowy podjęte już po sformowaniu rządu Tadeusza Mazowieckiego. Wizyty w dwóch stolicach jednoczącej się Europy stanowiły raczej podkreślenie naszego akcesu do procesu zjednoczeniowego, którego wizja nie była przecież odległa. Na razie był to jednak akces zupełnie symboliczny, moralny i odnoszący się raczej do narodowych aspiracji niż do relacji międzypaństwowych, bo przecież nie byliśmy jeszcze nawet w parlamencie.

Wróćmy do wyborów. Ich pierwsza tura odbyła się 4 czerwca. Czy rozmiary sukcesu przekroczyły Pańskie oczekiwania?

– Nieznacznie, ale jednak przekroczyły, bo spodziewałem się, że zdobędziemy jakieś 75 procent tego, co zdobyć było nam wolno. Liczyłem na 70-80 miejsc w Senacie i około 130 miejsc w Sejmie. Po-

W SZERSZYM PLANIE

dobne były zresztą przewidywania rządowych specjalistów od badania opinii publicznej. Zakładaliśmy więc, że władze liczą się z naszą wygraną. Kiedy jednak okazało się, że już w pierwszej turze uzyskaliśmy 92 ze 100 miejsc w Senacie i aż 160 ze 161 poddanych wolnym wyborom miejsc w Sejmie, zacząłem odczuwać pewien niepokój. Nie wiedzieliśmy przecież, jaka będzie reakcja władzy na te wyniki, nie mieliśmy pewności, czy nie zwycięży pokusa podważenia ich.

Sądzi Pan, że było to realne?

– Nie wiem, ale z pewnością także wśród polskich komunistów żywe były wówczas te poglądy, które w swoim liście do kierownictwa PZPR wyraziło wówczas rumuńskie Biuro Polityczne. Dla Ceausescu* zupełnie niezrozumiałe było to, że polska partia zajmuje pozycje kapitulankie i akceptuje niewygodne dla siebie wyniki wyborów. Bez specjalnego owijania w bawełnę pisał, że w takich sytuacjach należy bronić rzeczy najważniejszych, czyli własnej władzy i stanu posiadania „obozu socjalizmu”. Cóż z tego, że naród chce zmiany – cóż to za nowina, czy tego wcześniej nie było wiadomo? Cóż za siłę mają te papierki, które ludzie powrzucali do urn? Czy one mają zmienić ustrój? Przypomniała mi się wówczas wypowiedź profesora Janusza Reykowskiego, który przy Okrągłym Stole przekonywał nas, że ustrojów nie zmienia się ani układami, ani wyborami, tylko wojnami.

Przytoczył Pan retoryczne pytanie, „coż z tego, że naród chce inaczej”. Ono oddaje pewną manichejską skłonność, która determinuje dualistyczny podział społeczeństwa na naród i władzę. Tymczasem 4 czerwca okazało się, że władza jednak ma jakieś zakorzenienie w narodzie i może liczyć na dość poważną część elektoratu. Dokonując wyboru między komunistyczną totalitarną władzą mającą na sumieniu ruinę kraju i miliony ludzkich krzywd a „Solidarnością” niosącą tylko nadzieję i demokratyczne perspektywy, około 20 procent ludzi wybrało jednak władzę. Czy to nie wydawało się Panu niepokojące?

***Nicolae Ceausescu** – szef Rumuńskiej Partii Komunistycznej, prezydent; w grudniu 1989 zostanie obalony, skazany na śmierć przez sąd wojskowy w błyskawicznym procesie i natychmiast rozstrzelany wraz z żoną Elena.

ROK 1989

– Nie, bo było to zdecydowanie mniej, niż oczekiwałem. Proszę pamiętać o inercyjnej sile systemu komunistycznego, który panował w Polsce od przeszło 40 lat. W roku 1989 osłabiona już i starzejąca się partia komunistyczna miała jednak ponad dwa miliony członków. Jeśli do tej liczby dodamy rodziny oraz bezpartyjnych sojuszników władzy w rodzaju Jerzego Urbana czy Jana Dobraczyńskiego*, otrzymamy znacznie więcej niż owe 20 procent głosów. Znaczy to, że nawet część członków partii nie oddała na nią swych głosów, co już stanowi niezwykle paradoks socjopolityczny. A proszę jeszcze pamiętać, że o wielu głosach oddanych na partię zdecydował stary, inercyjny strach osób, które od 40 lat chodziły do wyborów i wrzucały kartki do urn, tak jak życzyła sobie władza. Obaj przecież pamiętamy tłumy ludzi, którzy w wyborcze niedziele prosto z kościoła szli do lokali wyborczych, gdzie swoim posłusznym głosem wspierali kłamstwo i bezprawie. W części społeczeństwa strach musiał pozostać. Do tego dochodziły efekty działania wciąż jeszcze sprawnych, choć z pewnością pozbawionych już wiary we własne racje aparatów władzy. Nawet ich własni kandydaci nie byli wówczas w stanie uzyskać autentycznego kontaktu ze swoimi ludźmi, bo sami nie wierzyli w to, co mieli mówić. Stąd rozmiary klęski, którą ponieśli. To, że nie zdobyliśmy 100 procent głosów, nie jest dla mnie powodem do zdziwienia. Dziwią mnie wyłącznie rozmiary ich klęski. W gruncie rzeczy uzyskaliśmy przecież wszystko.

W drugiej turze.

– W drugiej turze musieliśmy jeszcze walczyć o jedno miejsce w Sejmie i osiem miejsc w Senacie. Ostatecznie straciliśmy tylko jeden fotel senatorski. Ale to już jest rozmowa o technicznych problemach kampanii wyborczej, a nie o polityce. Kłopoty mieliśmy głównie tam, gdzie sami byliśmy podzieleni i gdzie nie zdążył się wytworzyć syndrom obywatelski. Przegraliśmy zaś w jednym jedynym wypadku, w którym nasz przeciwnik** użył nie tylko

*Jan Dobraczyński – pisarz, przewodniczący Rady Krajowej PRON.

**Henryk Stokłosa – wybrany na senatora w woj. pilskim.

W SZERSZYM PLANIE

Protest studencki przed ambasadą chińską
w Warszawie



Zdawałem sobie sprawę,
że nasze zwycięstwo 4 czerwca stawia
„Solidarność” w sytuacji zawierającej
istotne analogie do Tiananmen

bogaty, ale także nowoczesnych i pomysłowych technik kampanii. My nie tylko nie mieliśmy na to pieniędzy, ale także do głowy nam nie przychodziło, że argumentem w kampanii wyborczej mogą się stać rozdawane darmo kielbaski. Stały się i być może przewały.

Frekwencja także Pana nie zaskoczyła i nie zmartwiła? Nie wydawało się Panu groźne, że 40 procent Polaków w ogóle nie wzięło udziału w tych wyborach?

– Niską frekwencją rzeczywiście byłem poruszony, tego się nie spodziewałem. Można oczywiście mówić, że niska frekwencja jest częściowo problemem statystycznym, bo listy wyborcze obejmowały ten milion osób, które w latach osiemdziesiątych opuściły Polskę. Była też pewna grupa ludzi, którzy nigdy bez przymusu głosować nie pójdą. Nie działały tym razem techniki głosowania grupowego, od wielu lat stosowane nie tylko w wojsku, ale także na wsi. Faktem niezwyklej wagi pozostaje jednak to, że co najmniej 20 procent polskiego społeczeństwa świadomie odmówiło udziału w wyborach, w których szło o to, czy komunizm ma trwać.

Jak Pan tę świadomą absencję tłumaczy?

– Przede wszystkim niedostatecznym uspołecznieniem procesu Okrągłego Stołu. Powstała przepaść między społeczeństwem a jego elitami politycznymi. Było także zniechęcenie, brak wiary i brak nadziei młodszych pokoleń. Nieufność obejmowała zarówno dwudziestolatków, jak i część pokolenia „Solidarności”, która nie chciała raz jeszcze zawierzyć układom z komunistami. Obawiałem się, że może to mieć groźne konsekwencje, gdyż ci, którzy odrzucali język dialogu i odmawiali poparcia porozumieniu Okrągłego Stołu, uzyskać mogli masową polityczną klientelę. Ta obawa się nie sprawdziła. Sprawdziła się jednak inna, równie groźna – że rozszerzać się będzie proces, który pozwalał na utrzymanie wszystkich systemów typu sowieckiego – mianowicie społeczna bierność. Dziś wycofywanie się wielkich grup ludzi z życia społecznego wydaje mi się niebezpieczeństwem większym niż wszelkie populizmy. Połączenie tych dwóch czynników – apatii i populizmu – może jednak wytworzyć śmiertelne zagrożenie dla

W SZERSZYM PLANIE

W prywatnej pracowni



Powstrzymywaliśmy się
przed triumfalnym tonem. I dziś myślę
– szkoda, że się powstrzymywaliśmy

ROK 1989

procesu demokratycznego. Demokracje są bowiem słabe i z natury mało wyraziste. Mocne, pewne siebie są tyranie i dyktatury. Dyktaturę można ustanowić w ciągu jednej nocy. Demokrację buduje się przez lata, a nawet dziesiątki lat. Samuel Huntington twierdzi, że dopiero legalna zmiana dwóch kolejnych ekip rządzących dowodzi drożności mechanizmów demokratycznych. Znacznie dłużej trwać jednak musi stworzenie powszechnej demokratycznej mentalności. Jak długo to trwa, nikt oczywiście powiedzieć nie potrafi, ale przekonujące wydają mi się argumenty Ralfa Dahrendorfa*, który uważa, że potrzeba aż dwóch pokoleń. *A więc kilkudziesięciu lat.*

– Tak, wiem, że to brzmi deprymująco, ale sądzę, że doświadczenie Europy roku 1989 wskazuje na to, iż przychodzą chwile, gdy historia doznaje nadzwyczajnego przyspieszenia. Może więc i te procesy demokratyczne zakorzenia się w postkomunistycznej Europie szybciej, niż by to wynikało z doświadczeń wcześniejszych. Aby jednak tak się stało, proces rozpoczęty w roku 1989 nie może być przerywany konwulsjami przemocy czy agresji, choćby w ich czysto werbalnej formie. I słowa mogą bowiem naruszyć rodzącą się dopiero delikatną społeczną tkankę demokracji. Niezwykle istotna wydaje mi się świadomość, że nie wolno nam nawet słowami igrać z tą niezwykle szansą, którą w 1989 roku przyniósł Polsce duch dziejów.

*4 czerwca 1989 roku był jednak nie tylko datą polskich wyborów i niezwykłego sukcesu „Solidarności”, ale także dniem tragedii na pekińskim placu Niebiańskiego Spokoju**.* Czy tu również dostrzega Pan „ducha dziejów”?

– Bez wątplenia. W mojej kampanii wyborczej bardzo często nawiązywałem do doświadczenia Tiananmen. Mój ówczesny optymizm opierał się na przekonaniu, że żadna władza nie jest w stanie oprzeć się woli wolnych ludzi. Mówiłem, że na Tiananmen

***Ralf Dahrendorf** – wybitny niemiecki politolog i socjolog.

**Tego dnia władze chińskie stłumiły krwawo, z użyciem czołgów, trwające od wielu tygodni protesty studenckie.

 W SZERSZYM PLANIE

ludzie siedzą, a czołgi przed nimi stają. 4 czerwca te czołgi nie stanęły.

Zdawałem sobie sprawę, że nasze zwycięstwo 4 czerwca stawia „Solidarność” w sytuacji zawierającej istotne analogie do Tiananmen. To sprawiało, że w tym dniu, który powinien być dniem wielkiego triumfu i szczęścia, myślałem głównie o zagrożeniu. Zastanawiałem się, czy to wszystko nie zostanie zburzone.

Jaki to miało wpływ na decyzję w sprawie listy krajowej?*

– Oczywiście bardzo poważny, bo uważaliśmy, że ten spór może dać asumpt do zniszczenia wszystkiego. Nasze obawy zdawały się zresztą znajdować potwierdzenie w stanowisku Kościoła. Nie było ze strony Episkopatu żadnej presji, decyzja należała do nas, ale Kościół jako arbiter Okrągłego Stołu zapytywał z naciskiem, czy mamy zamiar przestrzegać zasady *pacta sunt servanda* [umów trzeba dotrzymywać]. Chodziło o to, żeby nie dawać drugiej stronie pretekstu do zerwania kontraktu. Niezwykle łatwo można przecież było ogłosić, że wybory są nieważne. Powodów było tysiąc – i to takich, które na Zachodzie zostałyby przyjęte za dobrą monetę. Zachód chciałby usprawiedliwić decyzję władz, żeby z czystym sumieniem podtrzymywać Gorbaczowa i jego reformy.

Sądzi Pan, że unieważnienie wyborów byłoby tam spokojnie odebrane?

– Sądzę, że byłoby odebrane ze zrozumieniem. Władza miała argumenty, które mogły do Zachodu przemówić, bo sięgały do praktyki zachodniej gry politycznej.

Jakie?

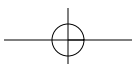
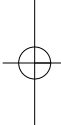
– Choćby to, że kampania wyborcza odbywała się na terenie kościołów, że Kościół w niej uczestniczył, że organizowana była przez związek zawodowy, że dostawaliśmy pieniądze z zagranicy. Każdy z tych zarzutów mógł stanowić pretekst.

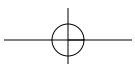
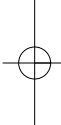
*Na liście krajowej do Sejmu znajdowało się trzydzieści pięć nazwisk kandydatów z PZPR i ugrupowań satelickich. Konieczną, by zostać posłem, barierę 50 procent głosów przekroczyło 4 czerwca tylko dwóch kandydatów z listy - Mikołaj Kozakiewicz z ZSL i Adam Zieliński, prezes Naczelnego Sądu Administracyjnego. Po I turze wyborów władze zmieniły ordynację wyborczą, wskutek czego 18 czerwca, w II turze, na kartkach do głosowania pojawiły się dodatkowe trzydzieści trzy pary kandydatów z PZPR, ZSL itd. Lepsi z par zostali posłami. Wynikająca z ustaleń Okrągłego Stołu proporcja mandatów strony rządowej i bezpartyjnych została utrzymana.

ROK 1989

Lista krajowa stałaby się uzupełnieniem tego katalogu, chociaż jej klęska była wyłącznie wynikiem ich własnej buty. My od samego początku uprzedzaliśmy, że wprowadzając ją, władza nic nie zyskuje, a tylko ściąga sobie na głowę niepotrzebny kłopot.

Obawy, które miały swoje uzasadnienie w polskiej sytuacji i także potwierdzenie w postaci doświadczenia Tiananmen, sprawiały, że powstrzymywaliśmy się od triumfalnego tonu. Dziś myślę – szkoda, że się powstrzymywaliśmy. Tak, cień placu Tiananmen ciążył na naszych decyzjach i jeszcze długo nie znikał.





WASZE



Zanim sprawa listy krajowej została ostatecznie rozstrzygnięta, 6 czerwca doszło do kolejnego spotkania. Partię reprezentowali tym razem Kiszczak, Ciosek i Gdula. W imieniu „Solidarności” wystąpił Pan i Tadeusz Mazowiecki. Było to zaledwie dwa dni po wyborach i jeszcze przed ogłoszeniem ich oficjalnych wyników. Jaki był cel tego spotkania? Czy władza już zdawała sobie sprawę z tego, co się stało?

– Odbyliśmy tę rozmowę na prośbę Lecha Wałęsy, któremu władze zasugerowały potrzebę pilnych konsultacji, a w trakcie samego spotkania byłem z Wałęsą w kontakcie telefonicznym i przekazywałem mu przebieg dyskusji i rozmów. Strona rządowa była tym razem kategoriyczna, ostra i agresywna. Zapytali nas wprost, czy chcemy przejąć władzę, czy po naszej stronie nastąpiła zmiana sposobu myślenia.

I co im Pan powiedział?

– Powiedziałem, że nic takiego się nie stało, że nie mamy intencji przejęcia władzy, ale niezmiennność naszego stanowiska oznacza również, że będziemy się domagali przestrzegania prawa. Naszym celem jest bowiem stworzenie demokratycznego państwa prawa. Wypełnimy zatem kontrakt polityczny, aby stała się demokracja. Zapytali wówczas, czy naszym zdaniem kontrakt nie obejmował listy krajowej.

A obejmował?

– Nie! Przypomnieliśmy im, że kontrakt wyborczy dotyczył układu 65:35. Lista krajowa była natomiast wyłącznie ich po-

ROK 1989

mysłem i ich błędem. Wówczas Kiszczak odwołał się do gwarancji, jakich układowi 65:35 udzieliła strona kościelna. Powtórzyliśmy więc, że nie chcemy naruszyć układu 65:35, gotowi jesteśmy go potwierdzić i zawiadamiamy o tym również Episkopat.

Nie było więc w tym gronie istotnych rozbieżności. Panowie w imieniu „Solidarności” prezentowali stanowisko niezwykle ugodowe, zgadzając się na podtrzymanie układu 65:35, który został unieważniony odrzuceniem przez społeczeństwo całej niemal listy krajowej. Więcej nie mogli chyba od was oczekiwać?

– A jednak emocje były ogromne. Cała rozmowa miała formę ostrej wymiany zdań i zakończyła się w atmosferze silnego napięcia. Źródłem emocji było uświadomienie sobie przez nich rozmiarów klęski, jaką ponieśli. Nie chodziło tu tylko o to, że zgarnęliśmy praktycznie wszystko, co zgarnąć było nam wolno. Nie chodziło o to, że przegrali wszędzie, gdzie naszym kandydatom przeciwstawili swoich ludzi. Chodziło o katastrofę ich strategicznego manewru, nad którym czuwał ówczesny sekretarz KC Czarzasty*. Jeszcze parę dni przed wyborami na posiedzeniu najwyższych władz Czarzasty mówił, że trzeba się poważnie zastanowić nad tym, w jaki sposób zapewnić „Solidarności” zdobycie odpowiedniej liczby mandatów. Obawiał się, że nasza klęska może podważyć międzynarodową wiarygodność tych wyborów. Taki był stan świadomości obozu władzy, a w każdym razie istotnej jego części. Zdaje się, że w KC nie wątpiono nawet w zwycięstwo Jerzego Urbana nad naszym kandydatem Andrzejem Łapickim**. 4 czerwca wylał się na nich kubel zimnej wody i w kierownictwie politycznym powstała poważna grupa opowiadająca się za unieważnieniem wyborów.

Wie Pan to czy się Pan domyśla?

***Zygmunt Czarzasty** był sekretarzem KC od grudnia 1988 do lipca 1989 roku.

****Jerzy Urban** wystartował jako kontrkandydat aktora Andrzeja Łapickiego w walce o mandat dla bezpartyjnych w okręgu Warszawa-Śródmieście.

WASZE

– Były takie głosy w prasie partyjnej, więc w trakcie jednego ze spotkań poprosiłem przedstawicieli drugiej strony, żeby się do nich ustosunkowali. Usłyszeliśmy wtedy, że nasi partnerzy są pod silnym naciskiem na unieważnienie wyborów i że zdaniem części partyjnego kierownictwa klęska listy krajowej narusza kontrakt polityczny, z czego należy wyciągnąć konsekwencje. Zdawaliśmy sobie sprawę, że ta tendencja jest w aparacie silna, że nie można jej lekceważyć, a zwłaszcza nie można jej wzmacniać naszym sztywnym stanowiskiem. Cały demokratyczny proces był jeszcze wówczas niezwykle kruchy i jeden podmuch mógł wszystko przewrócić.

Wyrazem tego przekonania było stanowisko wyrażone przez Wałęsę 8 czerwca na drugim posiedzeniu Komisji Porozumiewawczej, kiedy stwierdził, że „Solidarność” nie zgłasza sprzeciwu wobec dotyczących listy krajowej propozycji władz. Praktycznie oznaczało to désintéressement co do tego, jak władza poradzi sobie z tą sprawą.

– Oni domagali się jednak, żebyśmy zaakceptowali jakąś wspólną formułę rozwiązania tej sprawy, a na to my nie chcieliśmy się zgodzić. Byliśmy gotowi szanować kontrakt 65:35, ale uważaliśmy, że oznacza on pogwałcenie demokracji, i nie godziliśmy się przykładać ręki do jego realizacji. Musieli sobie z tym sami poradzić. My mogliśmy najwyżej milczeć.

Czy w gronie osób, które decydowały o stanowisku „Solidarności” nie było co do tego kontrowersji?

– Byliśmy całkowicie zgodni, chociaż zdawaliśmy sobie sprawę, że społeczeństwo tak łatwo nie zaakceptuje naszego milczenia. Pamiętam konferencję prasową, która odbywała się wkrótce po rozmowach na temat listy krajowej. Opinia sali była wówczas taka, że „jak przegrali, to przegrali, nie można zmieniać reguł w trakcie gry”. Nasze stanowisko było odmienne. Godziliśmy się na każde rozwiązanie poza powtórzeniem listy krajowej. Mieliśmy świadomość, iż opinia publiczna i tak bardzo niechętnie przyjmie fakt, że w drugiej turze mandaty z listy krajowej będą znowu przedmiotem wyborów. Uważaliśmy jednak, że jest to zło mniejsze od groźby zniszczenia wszystkiego. Społeczeństwo miało już zbyt

ROK 1989

wiele do stracenia. Nie mogliśmy ryzykować, że wszystko się rozpadnie, zanim jeszcze skończą się wybory.

W drugiej turze wyborów, 18 czerwca, „Solidarność” walczyła o jeden mandat poselski i osiem senatorskich, zaś rządząca koalicja musiała uzyskać rozstrzygnięcie losu 396 z 399 przysługujących jej mandatów poselskich. Zanim jednak do drugiej tury doszło, wybuchła jeszcze jedna afera, która na dzień przed głosowaniem wywołała ogromną konsternację w całej Polsce. Jej przyczyną była uchwała Krajowej Komisji Wykonawczej „Solidarność” faktycznie likwidująca ruch Komitetów Obywatelskich, który dopiero co odniósł wielki wyborczy sukces. Uchwała KKW stwierdzała, że zakończenie kampanii wyborczej oznacza także „zakończenie działalności Komitetów Obywatelskich »Solidarność« na szczeblu regionalnym”. Czy takie rozwiązanie było już wcześniej przewidywane, czy też i dla Pana stanowiło ono zaskoczenie?

– Było to dla mnie całkowite zaskoczenie, nie tylko dlatego, że wcześniej nie mówiło się o rozwiązywaniu Komitetów, ale także dlatego, że była to decyzja całkowicie sprzeczna z tradycją i etosem „Solidarność”. Nigdy przecież nie było w „Solidarność” ani strachu przed konkurencją, ani dążenia do uzyskania monopolu na opozycję.

Nie miałem wątpliwości, że jest to decyzja niezwykle krótkowzroczna, bo oznacza ona próbę zniszczenia struktury ruchu obywatelskiego, który stanowił istotną wartość odradzającego się życia publicznego. Wydawało mi się oczywiste, że przyjęcie przez ruch obywatelski – który tak wspaniale sprawdził się w kampanii wyborczej – znaku „Solidarność”, wzbogaca ją i wzmacnia jej antytotalitarny etos. Związek zawodowy był przecież nadal bardzo słaby. Zwolennicy likwidacji twierdzili, że aby związek zawodowy mógł odzyskać swoją siłę, trzeba zlikwidować konkurencyjne struktury Komitetów. Oczywiście było to bardzo złudne przekonanie, bo próba likwidacji Komitetów, zamiast przysporzyć „Solidarność” członków i działaczy, zniechęciła do niej ogromne rzesze ludzi, którzy uznali to za wyraz tendencji monopolistycznych. Ta tendencja pojawiła się wówczas po raz pierwszy i bardzo źle się

„Solidarności” jako związkowi zawodowemu przysłużyła zarówno wtedy, jak i później, gdy zaczęła dominować w jego polityce.

Też mam wrażenie, że ta decyzja otwierała w polityce „Solidarności” pewien nurt, który miał później bardzo istotne konsekwencje, doprowadzając w końcu do odebrania znaczka „Solidarności” „Gazecie Wyborczej”. Nie była to jednak decyzja przyjęta jednogłośnie. Ówczesny rozkład głosów wydaje się – z dzisiejszej perspektywy – dość zaskakujący. Za likwidacją Komitetów ręka w rękę z Wałęsą głosił na przykład Władysław Frasyniuk, którego trudno chyba podejrzewać o zakusy monopolistyczne. Poza Bujakiem i Gilem poparli tę decyzję niemal wszyscy czołowi przywódcy związku.

– Była to ostra reakcja aparatu „solidarnościowego”, a nie ruchu „Solidarności”. Aparat związkowy poczuł wówczas, że jego pozycja została zagrożona. Nie oskarżam nikogo osobiście. Wszyscy, którzy podejmowali tę decyzję, byli z pewnością przekonani, że robią to dla dobra ruchu i Polski. Zajęli jednak stanowisko wyrażające typową postawę aparatu. Każdy aparat lubi monopol, chce mieć pełne panowanie nad sytuacją i zwalcza odruchy niezależności, likwiduje więc sfery, nad którymi nie może zapanować. Tymczasem Komitety Obywatelskie stały się właśnie taką sferą niezależną wobec Związku. Aparat związkowy nie potrafił tego zaakceptować.

Pan stanął wówczas po stronie Komitetów.

– To był mój pierwszy poważny i ostry konflikt z Lechem Wałęsą. Natomiast z Władysławem Frasyniukiem różniły nas diagnozy, które stały się tematem naszych długich rozmów. Frasyniuk uważał, że jeżeli Komitety Obywatelskie przetrwają, najciekawsze środowiska zgrupują się właśnie w nich i tradycyjna w „Solidarności” więź między inteligencją a robotnikami zostanie zerwana. Miał wizję konfliktów między inteligentnymi Komitetami i robotniczym Związkiem.

Nie wydaje się Panu, że to się w dużej mierze sprawdziło?

– Były pewne procesy, które nieuchronnie musiały nastąpić. Tak mi się przynajmniej wydaje. Rzeczywistości nie da się batem naganiać do własnych wizji. A rzeczywistość była taka, że w Komii-

tetach znalazły dla siebie miejsce środowiska inteligentnie gotowe służyć etosowi „Solidarności”, czujące się jego częścią i bardzo mocno nastawione na współpracę ze związkiem. Tymczasem decyzja władz Związku oznaczała próbę wypchnięcia ich poza ten etos i spowodowała pęknięcie, którego nie udało się już załatać mimo późniejszej zmiany stanowiska „Solidarności”.

Sądzi Pan, że istotnie nieuchronny był ten proces rozchodzenia się dróg inteligencji i robotników?

– Myślę, że ten proces się jednak nie dokonał, czego dowodem jest to, że dziś po obu stronach politycznych sporów znajdują się zarówno inteligenci, jak i robotnicy. Na czele przeciwstawnych obozów stoją przecież z jednej strony Władysław Frasyniuk i Zbigniew Bujak, a z drugiej Lech Wałęsa. Wszyscy trzej są autentycznymi robotniczymi przywódcami „Solidarności”.

Wspomniał Pan, że sprawa Komitetów stała się przyczyną pierwszego poważnego konfliktu między Panem a Lechem Wałęsą. Czy próbował Pan z nim na ten temat rozmawiać?

– Gdy na posiedzeniu Krajowej Komisji Wykonawczej wystąpiłem przeciw tej decyzji, mówiąc, że jest ona błędem, reakcja Wałęsy była bardzo ostra. Potem poszedłem jeszcze do niego na rozmowę specjalnie w tej sprawie. Przywitał mnie jednym zdaniem: „Panie Bronku, nie, bo nie”. Mimo to próbowałem go przekonać. Przedstawiłem wszystkie możliwe argumenty, ale bezskutecznie.

Parę dni później odbyła się na ten temat debata w Komitecie Obywatelskim. Bardzo wielu jego członków po raz pierwszy przeciwstawiło się wówczas decyzji władz „Solidarności”. Myślę, że dla ogromnej rzeszy ludzi był to pod tym względem moment przełomowy. Pękł wyidealizowany obraz „Solidarności” wyniesiony z heroicznego okresu stanu wojennego. Argument, że likwidacja Komitetów wzmocni Związek, wydawał się jednak bardzo nośny. Czy słabość odrodzonej „Solidarności” jako związku była już wówczas tak dobrze widoczna?

– Ja nie miałem takiej świadomości, ale też nigdy nie traktowałem „Solidarności” tylko jako związku zawodowego. Miałem przekonanie, że istnienie politycznych struktur ruchu „solidarnościowego” wzmocni także Związek, bo powiąże go z niepodległościowymi

WASZE

aspiracjami społeczeństwa. Odbierając Komitetom prawo do znaczka „Solidarności”, Związek odcinał się od własnego sukcesu, na który pracował przez całe lata osiemdziesiąte. Uważam, że był to błąd.

Mimo że Komitety mniej lub bardziej otwarcie na ogół odmówiły rozwiązania się?

– Niewątpliwie był to duży cios dla prestiżu związku i jego władz. Jestem przekonany, że zahamowanie rozwoju „Solidarności” jako związku było także skutkiem owej czerwcowej decyzji. *Ten pierwszy zasadniczy spór między Panem a Lechem Wałęsą był również źródłem pierwszego poważnego konfliktu między nim a grupą jego warszawskich doradców i współpracowników. Poza Panem po stronie Komitetów wystąpili bowiem również ludzie, tacy jak Henryk Wujec, Zbigniew Bujak czy Adam Michnik. Czy nie wydaje się Panu, że na sprawę Komitetów nałożyła się tu kwestia stosunków między wami a Wałęsą, który niebawem zaczął rekonstruować grono swoich najbliższych współpracowników i doradców? Może więc chodziło tu nie tylko o Komitety?*

– To pytanie świadczy, że zupełnie nie rozumie pan stosunków między Wałęsą a grupą tak zwanych doradców czy ekspertów. Kryje się za nim przekonanie, że Wałęsa jest, czy był, narzędziem w rękach swoich doradców. Ja, ku mojemu najwyższemu zdziwieniu, odnajduję to przekonanie w wypowiedziach osób mających wiele szacunku, a nawet uwielbienia dla Wałęsy. Kiedy Wałęsa powie „A” – mówi się, że to doradcy mu podszeptali, kiedy powie „B” – mówi się, że zabrakło przy nim doradców. Tymczasem Wałęsa nie jest i nigdy nie był marionetką, nie pozwala sobą kierować. Co więcej, Wałęsa jest trudnym partnerem i przez te dziesięć lat, przez które blisko ze sobą współpracowaliśmy, zawsze był trudnym partnerem. Proponowane przez kogoś stanowisko akceptował tylko wówczas, gdy uznawał je za swoje. Musiał być przekonany. Do wielu spraw nie przywiązywał wagi, zlecał je innym, ale w sprawach, które uznawał za ważne, robił tylko to, do czego sam się przekonał. Dotyczyło to również sugestii Tadeusza Mazowieckiego i moich, choć przez bardzo długie lata niewątpliwie miał do

ROK 1989

nas zaufanie – to znaczy wierzył w naszą wolę oraz umiejętność znalezienia rozwiązań optymalnych. W naszych relacjach wzajemnych bywały okresy lepsze i gorsze, ale ani przez chwilę nie było kryzysu zaufania.

Aż do wyborów?

– Tak.

A skąd wzięło się to pęknięcie, które pierwszy raz objawiło się chyba właśnie przy sprawie Komitetów?

– Wydaje mi się, że Wałęsa nie przewidział wcześniej rozmiarów naszego sukcesu. Kiedy zdał sobie sprawę z tego, co się stało, zaczął mieć poczucie, że my możemy się usamodzielnic czy uniezależnić. Obawiałem się, że ten konflikt dotyczący Komitetów zamieni się w konflikt między osobami – między Wałęsą a mną. Dla Wałęsy mógł to być sprawdzian, czy się od niego uniezależniam. Pewnie dlatego nie udało się doprowadzić do rzeczywistej dyskusji i wymiany argumentów. Nie chodziło przecież o argumenty, ale o to, czy je zdanie będzie decyzją. Otóż decyzją stało się zdanie Wałęsy. Miałem to akceptować i uważałem tę sytuację za oczywistą. Wałęsa chciał jednak, żebym się jego decyzji podporządkował, żebym uznał ją za słuszną. Ja uważałem zaś, że jest ona niesłuszna, głęboko niesłuszna, i mówiłem to, uważałem, że mam obowiązek to mówić. Teraz, półtora roku później, z pewną satysfakcją myślę, że wobec tak ostrego konfliktu i tak zasadniczego sporu, jednak nic się wówczas między nami nie zmieniło i przez długi czas w pełni ze sobą współpracowaliśmy. Tak przynajmniej mnie się wydawało. Przez rok nie było między nami innego konfliktu... choć powstał kryzys w momencie mianowania premiera. To mogła być jakaś kontynuacja. Ale był to kryzys drugorzędny. Uważałem, że po sporze o Komitety nasze stosunki bardzo szybko wróciły do normy.

Zwłaszcza że niebawem, bo już 23 czerwca, właśnie Wałęsa wysunął Pańską kandydaturę na stanowisko przewodniczącego Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego.

– Było to zgodne z jego zapowiedziami. Obligując mnie do kandydowania, stwierdził otwarcie, że chce, abyśmy kandydowali obaj

WASZE

Jarosław Kaczyński



TOMASZ WIERZEJSKI/AG

Pierwsza propozycja Lecha była taka,
żeby marszałkiem Senatu został
Jarosław Kaczyński, a wicemarszałkiem
Andrzej Celiński

ROK 1989

z Mazowieckim i żeby każdy z nas wziął odpowiedzialność za pracę jednej z izb parlamentu.

Ta propozycja nie była więc dla Pana żadnym zaskoczeniem?

– Była oczywista.

A czy rozmawialiście przed jej zgłoszeniem?

– Rozmawialiśmy ustawicznie. Nie było tygodnia bez rozmowy. Był też taki moment, kiedy Wałęsa zaproponował, żeby na czele klubu stanął Jacek Kuroń. Ja miałem pozostać poza czy też – jak mówił Lech – ponad władzami klubu. Potem zmienił zdanie i Jacek zaproponował na wiceprzewodniczącego OKP. W tych sprawach Wałęsa miał głos decydujący.

Czy nie budziło Pańskiego niepokoju to, że skład władz klubu ustalał człowiek będący poza nim – nie senator, nie poseł, lecz przewodniczący związku zawodowego?

– Wydawało mi się to zupełnie naturalne. Wałęsa nie wszedł do parlamentu, ale przecież pozostał naszym niekwestionowanym politycznym przywódcą. Żeby pozostać przywódcą, nie musiał stawać do wyborów. Już posiadał tę swoją godność naturalną. Nie ja przygotowywałem to pierwsze zebranie naszych posłów i senatorów w Auditorium Maximum, ale jego przebieg wyobrażałem sobie dokładnie tak, jak je Wałęsa przeprowadził.

Wiele osób uważało jednak, że zasady demokracji zostały wówczas naruszone – dyktatura Wałęsy nie przez wszystkich była akceptowana.

– Tak, protestowali między innymi Aleksander Małachowski i Zofia Kuratowska*, ale wydaje mi się, że te protesty dotyczyły raczej formy niż treści. Wałęsa stanął po prostu na podium i odczytał wyciągniętą z kieszeni kartkę z listą całego kierownictwa – nie tylko klubu, ale także Senatu. Zrobiło to bardzo złe wrażenie. Wałęsa to zauważył i zrzucił winę na tych, którzy tę kartkę przygotowali.

Więc nie były to jego własne pomysły?

***Aleksander Małachowski**, dziennikarz i działacz „S”, został wybrany na posła w Ostrołęce. **Zofia Kuratowska**, lekarka i działaczka „S”, wybrana na senatora w woj. nowosądeckim.

WASZE

– Mogę powiedzieć, że pierwsze pomysły Wałęsy co do obsady kierownictwa Senatu były odmienne od tych, które odczytał w Auditorium Maximum. Ostateczny rezultat był taki, że na pierwszym posiedzeniu klubu dokonano tylko wyboru naszych przewodniczących w obu izbach. Frakcję senacką powierzono Andrzejowi Wielowieyskiemu, a sejmową mnie. Wybory pozostałych władz odbyły się kiedy indziej i przyniosły wyniki nieco różne od tego, co zaproponował Wałęsa.

Jakie były pierwotne pomysły Wałęsy co do obsady kierownictwa klubu i Senatu?

– Zmiany dotyczyły przede wszystkim kierownictwa Senatu. Pierwsza propozycja Wałęsy była taka, żeby marszałkiem Senatu został Jarosław Kaczyński, a wicemarszałkiem Andrzej Celiński. Wycofał się z tego po mojej uwadze, że Senat jest złożony z ludzi poważniejszego wieku i godności. Zaczęliśmy zastanawiać się nad innymi kandydaturami i osobą idealną wydał nam się Andrzej Stelmachowski. To była jedyna kandydatura ostatecznie ustalona i wysunięta przez Wałęsę. Wszystkie pozostałe urzędy senackie zostały obsadzone bez jego sugestii.

Czy zastanawialiście się wówczas nad tym, jak w przyszłości mają wyglądać stosunki między Wałęsą i „Solidarnością” a klubem parlamentarnym?

– Nie, bo wydawało się zupełnie oczywiste, że będą to bardzo bliskie stosunki. Uważałem, że „Solidarność”, Komitet Obywatelski, Komitety terenowe, klub parlamentarny są po prostu różnymi instytucjami jednego ruchu. Na początku zresztą rzeczywiście tak było. Lech Wałęsa uczestniczył nie tylko w zebraniach klubu, ale także w posiedzeniach Prezydium, a ja brałem udział we wszystkich debatach Krajowej Komisji Wykonawczej i jej prezydium. Potem stosunki zaczęły się rozluźniać, co uważałem za niekorzystne, bo byliśmy przecież posłami i senatorami „Solidarności”. Zawsze podkreślałem, że jesteśmy klubem „Solidarności”. Byłem zresztą przekonany, że Obywatelski Klub Parlamentarny jako część ruchu „Solidarności” będzie także wspierany przez nią finansowo – tak z reguły jest w krajach de-

ROK 1989

mokratycznych. Kiedy poruszyłem tę sprawę, napotkałem jednak opór Związku.

Od razu?

– Na początku był to opór łagodny, ale narastał bardzo szybko, a wkrótce okazało się, że frakcja parlamentarna „Solidarności” musi się utrzymywać ze składek posłów i senatorów.

Czy dlatego także w nazwie klubu nie znalazło się słowo „Solidarność”?

– Tego nie życzył sobie Lech Wałęsa i pozostali członkowie kierownictwa związku. Obawiali się nadmiernego utożsamiania związku zawodowego z frakcją parlamentarną. Stanowiło to niejako przedłużenie decyzji w sprawie Komitetów Obywatelskich. Tym razem postanowiliśmy nie podejmować debaty. Uznaliśmy, że skoro kierownictwo „Solidarności” chce się zdystansować wobec własnej parlamentarnej reprezentacji, trzeba tę wolę uszanować. Nie wywołało to zresztą jakichś utrudnień w naszej pracy, bo OKP bardzo szybko uzyskał publiczną osobowość. Ludzie od razu zrozumieli, że jest to ugrupowanie dawnej opozycji.

Jest 23 czerwca, Auditorium Maximum Uniwersytetu Warszawskiego, na wniosek Wałęsy wybrano Pana na przewodniczącego Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego. Spróbujmy odtworzyć tę sytuację. Teraz siedzi Pan za stołem prezydialnym. Ma Pan przed sobą te 260 twarzy. Co Pan wtedy myślał? Co Pan czuł?

– Czulem się tak jak na każdym zebraniu „Solidarności”. Brałem udział w wielu takich zebraniach, wielu takim zebraniom przewodniczyłem i to właśnie było jedno z nich – kolejne. Widziałem przed sobą grupę ludzi „Solidarności” wybranych do wykonania pewnej pracy. Zupełnie nie miałem świadomości, że to właśnie my stanemy się parlamentem. Zaraz zresztą wystąpiły różne problemy formalne, które są bardzo mocno osadzone w „solidarnościowej” tradycji – jak ma się ukonstytuować klub, jaki ma być regulamin.

Gdy zostałem przewodniczącym klubu, nie miałem żadnego wyobrażenia o tym, jakiego typu działalność mamy prowadzić i przed jakim zadaniem staję ja sam. Traktowałem to jako przedłużenie mojej działalności w „Solidarności”.

WASZE

Czy patrząc na tę salę, wyobrażał Pan sobie, że oto jest siła, która ma dokonać zmiany ustrojowej?

– Nie przywiązywałem żadnej wagi do naszej odrębnej klubowej osobowości. Dopiero później, w miarę jak stawaliśmy przed kolejnymi dylematami, zaczęliśmy się stawać autonomiczną siłą polityczną posiadającą pewną własną osobowość. Przełom nastąpił, kiedy okazało się, że zostaliśmy zdani sami na siebie. Nie przewidywałem, że właśnie zaczyna się kształtować nowa rzeczywistość, nowy polityczny byt. Nie wyobrażałem sobie tej ewolucji. Uważałem, że jestem na zwyczajnym zebraniu „Solidarności”.

Na swoje usprawiedliwienie mam to, że parlament znałem tylko ze studiów historycznych. Nowoczesnego parlamentu na oczy nie widziałem, a pod wpływem doświadczenia PRL-u Sejm miał dla mnie referencję raczej humorystyczną.

Gucwa – uchwyt do laski?*

– No właśnie – las podniesionych rąk i „czy widział kto cyrk kwadratowy”. Trudno było traktować taką instytucję poważnie – w odróżnieniu od „Solidarności”, która niewątpliwie była poważną instytucją.

*A jednak bardzo szybko stanęliście wobec decyzji wpisujących was w tę humorystyczną rzeczywistość. Pierwsze posiedzenia obu izb oglądałem w telewizji i pamiętam, że struchlałem, gdy usłyszałem propozycję składu Prezydium Sejmu. Sejm PRL to było coś śliskiego, miałkiego, brudnego. Kandydatura Olgi Krzyżanowskiej** na urząd wicemarszałka zrobiła mi przykrość. Pomyślałem sobie: „Boże drogi, córka generała Wilka, czysta jak kryształ i wchodzi w coś takiego – w to miejsce po Rakowskim, po Kliszce”. Nie miał Pan takich oporów?*

*Nawiązanie do żartu ze **Stanisława Gucwy**, działacza ZSL, marszałka Sejmu z czasów PRL; laska – marszałkowska. W tych samych czasach krążył dowcip: – Dłaczego Sejm (budynek) jest okrągły? – A czy widział ktoś kiedyś cyrk kwadratowy?

****Olga Krzyżanowska** – lekarka, działaczka „S” w Gdańsku; jej ojcem był Aleksander Krzyżanowski „Wilki”, dowódca Okręgu Wileńskiego AK, po wojnie internowany w ZSRR, po powrocie do kraju ponownie aresztowany, zmarł w więzieniu w 1951 roku.

– Takich nie. Obawiałem się rutyny urzędu parlamentarnego, ale byłem przekonany, że my wszyscy, wszystkie 260 osób, jesteśmy ludźmi czystych rąk, którzy przychodzą w brudne miejsce nie po to, żeby się uwaląć, ale żeby wyczyścić, żeby zmienić. Problem stanowiło dla mnie wtedy głosowanie na marszałka Kozakiewicza, bo to już był wybór polityczny, ale się przełamałem. Właśnie w imię tej zmiany, która wymagała pracy. Nie wszyscy chcieli się wtedy nagiąć, Jacek Kuroń głosował na przykład przeciwko Kozakiewiczowi, mimo że niby zawarliśmy międzyklubowe porozumienie. *Musimy znów cofnąć się do okresu dzielącego dwie tury wyborów. Na konferencji prasowej 11 czerwca Jerzy Urban powiedział, że przy Okrągłym Stole zapadło ustalenie co do powierzenia urzędu prezydenckiego generałowi Jaruzelskiemu. Janusz Onyszkiewicz próbował to wówczas dementować, ale telewizja, która nadała oświadczenie Urbana (wówczas już prezesa Radiokomitetu), odmówiła emisji sprostowania. Podała je bodaj tylko „Gazeta Wyborcza”, ale nawet gdyby dementi ukazało się w głównym wydaniu „Dziennika Telewizyjnego” i tak nie zdołałoby rozwiązać społecznych wątpliwości. „Czy on ukradł, czy jemu ukradli – grunt, że był zamieszany w kradzież roweru”.*

– Oświadczam panu, że Urban skłamał. Nigdy – ani przy Okrągłym Stole, ani nigdzie indziej – nie zapadły żadne ustalenia dotyczące tego, kto ma być prezydentem. Natomiast dla nas wszystkich uczestniczących w debatach i pertraktacjach było zupełnie oczywiste, po co drugiej stronie potrzebny jest ten urząd. Nie mieliśmy wątpliwości, że oni urząd prezydenta tworzą specjalnie dla generała Jaruzelskiego. Co więcej, w naszych rozmowach druga strona stawiała sprawę dość jasno: „Nie chcecie się zgodzić na urząd prezydenta – mówili – bo nie zdajecie sobie sprawy, że tylko generał Jaruzelski jako prezydent może stworzyć polityczny parasol, pod którym rozwiążemy PZPR”. Zgodziliśmy się w końcu na stworzenie urzędu prezydenta, ale nie na prezydenta Jaruzelskiego. Nie było zresztą powodu na ten temat dyskutować. Kontrakt 65:35 jasno mówił, gdzie będzie większość i do kogo będzie należała decyzja co do osoby prezydenta.

WASZE

Wyniki wyborów zmieniły jednak tę sytuację, bo druga strona wydawała się porażona własną klęską i jej szeregi zaczęły się kruszyć. Kiedy po wyborach czerwcowych powstała kwestia wybrania prezydenta, Pan mówił, że „Solidarność” ma własnego kandydata i jest nim Lech Wałęsa, ale sytuacja nie dojrzała jeszcze do wysunięcia jego kandydatury. Wiele osób twierdziło jednak, że mimo wszystko trzeba spróbować wysunąć kandydaturę Wałęsy. Dlaczego się na to nie zdecydowaliście?

– Rozmawialiśmy o tym z Lechem Wałęsą. Uważał, że byłoby to wystawienie go na pewną porażkę. A Wałęsa nie podejmuje spraw przegranych. Mówił: „Nie jestem człowiekiem klęsk, jestem po to, żeby zwyciężać”. Zastanawialiśmy się potem, czy wobec tego nie wystawić jakiegoś innego kandydata, którego porażka będzie oczywista, ale który zaświadczy naszą odrębność. Uznaliśmy jednak, że w ten sposób legitymizowalibyśmy układ 65:35. Rezygnując z wystawienia własnego kandydata po tak wspaniałym sukcesie wyborczym, mówiliśmy wyraźnie, że stoimy wobec układu sił opartego na narzuconym nam kontrakcie, który uważamy za przejściowy. Dopiero w trakcie posiedzenia Zgromadzenia Narodowego okazało się, że ich większość już się kruszy, i był to jeszcze jeden nieprzewidziany skutek naszego sukcesu wyborczego. Sojusznicy PZPR przekonali się, jak słaba jest partia i jak mocna jest „Solidarność”, więc zaczęli uciekać ze statku, którego zatonięcie wydawało im się pewne.

Zagrały też chyba wysiłki Komitetów Obywatelskich dbających o to, żeby w drugiej turze weszli do Sejmu „uczciwsi partyjni”, którzy niejednokrotnie mieli za sobą nawet współpracę z „Solidarnością” w latach jej nielegalnego funkcjonowania. Można by tu wymienić chociażby Marcina Świącickiego, syna byłego prezesa warszawskiego KIK, czy Andrzeja Bratkowskiego.*

***Marcin Świącicki** – ekonomista, sekretarz generalny Konsultacyjnej Rady Gospodarczej; współpracował z podziemną „Solidarnością”; w lipcu 1989 roku zostanie członkiem i sekretarzem KC PZPR; **Andrzej Bratkowski** – wówczas dyrektor biura projektowo-badawczego budownictwa przemysłowego BISTYP.

ROK 1989

– Na mandaty zeteselowskie weszło z kolei parę osób działających jednocześnie w ZSL i nielegalnej „Solidarności” rolniczej. W sumie mogło to jednak być najwyżej kilkanaście osób, co jeszcze nie zmieniało ogólnego układu sił. Zmieniło go natomiast poczucie klęski w szeregach drugiej strony.

Kiedy jednak okazało się, że „Solidarność” nie zgłosi własnego kandydata, w trakcie XIII Plenum, 30 czerwca, Jaruzelski oświadczył, że on też „nie zamierza kandydować”. Czy ta jego decyzja was zaskoczyła? Czy prowadziliście z władzą jakieś rozmowy na ten temat?

– Rozmowy prowadził wówczas Lech Wałęsa. Rozmawiał z generałem Kiszczakiem i z różnymi emisariuszami, a nam tylko przekazywał decyzje. Były to czasem decyzje zaskakujące.

Na przykład?

– Na przykład w sprawie kandydatury Kiszczaka. Pamiętałem, że jeszcze na którymś spotkaniu w Magdalence Wałęsa wystąpił z pytaniem, dlaczego władze zamierzają wysunąć kandydaturę Jaruzelskiego, skoro my nie będziemy mogli jej zaakceptować, i zwrócił się do Kiszczaka z pytaniem, czy on nie zechce kandydować. To pytanie zawisło w powietrzu, rozmowa toczyła się dalej, aż po dłuższej chwili wrócił do niego Kiszczak. „Chcę odpowiedzieć na pytanie pana przewodniczącego – zwrócił się do Wałęsy – dlaczego ja nie będę kandydował. Nie będę kandydował, bo jestem człowiekiem lojalnym”. Było to jeszcze przed wyborami, ale wydawało mi się, że one nic tu nie mogły zmienić i sprawa jest w zasadzie zamknięta. Kiedy stanęliśmy przed kwestią wyboru prezydenta, Wałęsa wrócił jednak do tej koncepcji. Na posiedzeniu Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego powiedział wtedy do nas: „Fotografowałem się z wami i mogę się fotografować, z kim tylko zechcę, więc teraz fotografuję się z generałem Kiszczakiem jako kandydatem na prezydenta”. Odpowiedziałem, że o ile ja rozumiem stanowisko naszego klubu, my nie będziemy głosowali na żadnego kandydata wysuniętego przez drugą stronę. Wałęsa obstawał jednak przy swoim. „Upominam się – powiedział – żebyście głosowali na generała Kiszczaka”. Powiedziałem mu później, że w najlepszym przypadku usłucha tego wezwania jedna trzecia na-

WASZE

Olga Krzyżanowska, wicemarszałek Sejmu



Miałem przekonanie, że my wszyscy,
260 osób, jesteśmy ludźmi czystych rąk,
którzy przychodzą w brudne miejsce
nie po to, żeby się uwalać,
ale żeby wyczyścić, żeby zmienić

ROK 1989

szego klubu, jedna trzecia wstrzyma się od głosu, a jedna trzecia będzie przeciw – i ja znajdę się w tej ostatniej grupie.

Był Pan zdecydowany głosować przeciwnie do zaleceń Wałęsy?

– Nie wyobrażałem sobie, żebym mógł głosować za któryś z generałów.

Szczęśliwie Kiszczak nie zdecydował się postawić swojej kandydatury.

– Ale sprawa ważyła się niemal do ostatniej chwili. Jeszcze na dwa dni przed wyborami prezydenckimi w posiedzeniu OKP jako kandydaci do urzędu wzięli udział obaj generałowie – Jaruzelski i Kiszczak – choć formalnie kandydował tylko Jaruzelski. Muszę przyznać, że byłem zdziwiony obecnością Kiszczaka, a zwłaszcza tym, że występował w takiej roli. Na tym spotkaniu generał Kiszczak znacznie lepiej prowadził swoją kampanię wyborczą. Jaruzelski zupełnie nie robił wrażenia człowieka, który stara się zjednać sobie przychyłność klubu – mówił rzeczy, które w sposób oczywisty nie mogły być akceptowane przez nikogo z nas.

W imieniu klubu zadał Pan wtedy Jaruzelskiemu parę pytań, z których, o ile wiadomo – bo posiedzenie zostało zamknięte dla prasy – dwa były ciekawe także z dzisiejszego punktu widzenia. Dotyczyły one oceny stanu wojennego i procesu odchodzenia od modelu stalinowskiego.

– Uważałem, że skoro jesteśmy skazani na komunistycznego prezydenta, powinniśmy starać się kształtować jego program już teraz, przed wyborami, gdy nasze oczekiwania są dla niego istotne. Spodziewałem się więc, że na pytanie o odchodzenie od stalinizmu otrzymamy odpowiedź gorbaczowowską. Tymczasem słowa, które usłyszeliśmy, były jakby spętane doświadczeniem czterdziestolecia. Jaruzelski mówił o potrzebie zmian, ale także o konieczności dokładnegoważenia racji. W żadnym razie nie można było tej wypowiedzi uznać za odcinającą się od stalinowskiej kontynuacji, choć znalazło się w niej zapewnienie o niemożności powrotu do metod z lat pięćdziesiątych. W gruncie rzeczy podobnie było z odpowiedzią na pytanie o cenę 13 grudnia i podstawy decyzji o wprowadzeniu stanu wojennego. Jaruzelski podtrzymał swoje

WASZE

stanowisko, że dalsza ewolucja sytuacji w kraju świadczy, iż ta decyzja przyniosła owoce, które w jego zamierzeniu miała dać. „Pan się mnie pyta, czy ja tego żałuję” – powtórzył i odpowiedział: „Nie, nie żałuję. Żałuję, że powstała sytuacja, która doprowadziła do stanu wojennego. Naciśnięcie na hamulec ratuje czasem przed katastrofą. [...] Gdyby nie 13 grudnia, tego grona nie byłoby dziś w Sejmie i w Senacie. Inna by była ewolucja. Jest taka wojskowa zasada: maszerować oddzielnie, uderzać razem”. Tu padło zdanie, które jak sądzę oddawało prawdziwy stan świadomości Jaruzelskiego: „Proszę pamiętać, że tylko generał de Gaulle mógł wyprowadzić Francję z Algierii”. To było wielkie zdanie, bo ono znaczyło, że tylko generał Jaruzelski może wyprowadzić PZPR z PRL-u.

Co Jaruzelski miał na myśli, kiedy mówił, że trzeba maszerować oddzielnie, a uderzać razem?

– To było odwołanie do interesu narodowego, który różne siły realizują w różny sposób. I jest to pytanie do historii, na które nawet nie będę próbował odpowiadać. Kiedy formułowałem ideę paktu antykryzysowego, mówiłem, że szansa powstanie tylko wówczas, gdy po obu stronach wewnętrznego konfliktu zaistnieje właśnie owo odwołanie do narodowego interesu. Sądzę, że ono się pojawiło. Wbrew moim oczekiwaniom spotkanie Jaruzelskiego z naszym klubem nie stworzyło jednak przesłanki pozwalającej mieć nadzieję, że ten człowiek – na przekór swojej biografii – będzie chciał odciąć się od tradycji ruchu, z którym był związany. Mimo to – muszę przyznać – jego odpowiedzi budziły pewien mój szacunek.

Widziałem generała Jaruzelskiego drugi raz w życiu i po raz drugi słyszałem go mówiącego to, co zdawał się myśleć – rezygnującego z szukania popularności, choć wiedział, jak ogromne znaczenie może mieć wynik tego spotkania. Była tu pewna różnica między nim a generałem Kiszczakiem, którego lojalność wobec Jaruzelskiego została wówczas poddana trudnej próbie. Ktoś z sali przypomniał mianowicie, że będąc na Monte Cassino, generał Jaruzelski nie złożył kwiatów na grobie generała Andersa. Padło pytanie, czy generał Kiszczak, będąc na miejscu Jaruzelskie-

go, postąpiłby inaczej. Siedzieli w prezydium ramię w ramię. Jaruzelski przekazał Kiszczakowi kartkę z pytaniem i Kiszczak z kamienną twarzą odpowiedział: „Tak, złożyłbym kwiaty”. To był jedyny znany mi przypadek, w którym jeden z nich strzelił do drugiego. Potwierdza to, że jeszcze wówczas mieliśmy do czynienia z dwoma kandydatami.

Sądzi Pan, że była między generałami rzeczywista konkurencja?

– Nie wiem, czy istotnie można było mówić o konkurencji, bo są to, zdaje się, ludzie związani przyjaźnią i lojalnością, choć wydają się od siebie bardzo różni. Generał Jaruzelski jest człowiekiem zamkniętym, słabo czującym atmosferę, nieumiejącym publicznie działać inaczej niż za pomocą decyzji i niepotrafiącym nawiązać z ludźmi autentycznego kontaktu. Generał Kiszczak to umie, więc doskonale rozumiał, czego sala od niego oczekuje. Dał taką odpowiedź, jaką chcieliśmy usłyszeć, jaka mogła mu zjednać przychyłność słuchaczy. Od generała Jaruzelskiego nie usłyszeliśmy ani jednego takiego zdania.

Nazajutrz po tym spotkaniu na kolejnym posiedzeniu OKP zapadła decyzja o rezygnacji z dyscypliny klubowej w trakcie wyborów prezydenckich.

– To był skutek apelu Wałęsy o poparcie kandydatury generała Kiszczaka. Skutkiem tego apelu było odrzucenie dyscypliny, a skutkiem odrzucenia dyscypliny był wynik głosowania.

Co Pan sam sądził o kandydaturze Jaruzelskiego?

– Uważałem, że jedynym możliwym rozwiązaniem jest zwycięstwo kandydata tamtej strony, a po tamtej stronie kandydatura Jaruzelskiego wydawała mi się najbardziej sensowna. Natomiast uważałem za zupełnie niemożliwe, aby nasz klub poparł w głosowaniu jakiegokolwiek ich kandydata. Gdyby Wałęsa ponowił swoje poparcie dla kogokolwiek z tamtej strony, znalazłbym się w bardzo trudnej sytuacji. Rozmawiałem o tym z Wałęsą i powiedziałem mu otwarcie, że nie wykluczam, iż w takiej sytuacji nie wezmę udziału w głosowaniu. Uważałem zresztą, że tego dnia, kiedy decydować miały się sprawy dla Polski zasadnicze, Wałęsa powinien być z nami w Warszawie. Jeszcze 19 lipca rano dzwoniłem

WASZE

do niego, prosząc o przyjazd. Nie wiedzieliśmy przecież, jaki będzie przebieg głosowania czy też głosowań. Na sali w czasie posiedzenia Zgromadzenia Narodowego wszystko mogło się wydarzyć. Mogły się otworzyć nowe możliwości – a równie dobrze mogły powstać zupełnie nowe zagrożenia. Wałęsa odpowiedział mi, że nie przyjedzie. Uważał, że właśnie w tym momencie nie powinno go być w Warszawie. „I tak – powiedział – jedynym wyjściem jest Jaruzelski”. Został w Gdańsku.

Procedura wybierania prezydenta przez Zgromadzenie Narodowe stanowiła bodaj najbardziej dramatyczny spektakl polityczny, jaki dzięki telewizji Polakom dane było oglądać na własne oczy, i to mimo że generał Jaruzelski okazał się jedynym kandydatem. Dopiero w połowie szóstej godziny transmisji telewizyjnej mogli się dowiedzieć, że jedyny kandydat został wybrany większością jednego głosu. Niebawem wybuchnąć miała jednak wielka afera wywołana tym, że część członków OKP przyłożyła do tego wyboru rękę. Za generałem Jaruzelskim głosował senator Bernatowicz z województwa suwalskiego. Siedmiu członków klubu oddało głosy nieważne, a jedenastu nie wzięło udziału w głosowaniu. Konsternacja była tym większa, że można było pozwolić sobie na efektowne stwierdzenie, iż Jaruzelski został wybrany głosem senatora Bernatowicza albo głosami nieobecnego Marka Jurka i głosującego nieważnie marszałka Stelmachowskiego. Nazajutrz na posiedzeniu OKP tłumaczył tę sytuację wicemarszałek Wielowieyski, który zdecydował się oddać głos nieważny. Mówił o tym, jak na kilkanaście minut przed głosowaniem dowiedział się, że grupa posłów z koalicji nie będzie głosowała na Jaruzelskiego i że wraz z kilkoma innymi członkami OKP postanowił ratować Jaruzelskiego, żeby uratować proces demokracji. Pan głosował przeciwko kandydaturze Jaruzelskiego, choć sam Pan mówił, że uważał ją Pan za optymalną. Czy wówczas, w czasie głosowania, wiedział Pan o tym, o czym wiedział Wielowieyski?*

– Tak, wiedziałem.

***Marek Jurek** – poseł OKP z Leszna, późniejszy współtwórca Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, marszałek Sejmu w latach 2005-2007.

ROK 1989

Ale Pan w to nie wierzył? Czy może nie był Pan w stanie głosować „za”?

– Nie mogłem głosować inaczej niż „przeciw”. Nadal tak sądzę, choć fakt, że Jaruzelski został wybrany, uważałem i nadal uważam za najlepsze możliwe wówczas rozwiązanie.

Dzień po głosowaniu na posiedzeniu klubu, na którym odbył się wielki sąd nad osobami mającymi swój pozytywny udział w wyborze Jaruzelskiego, Jacek Kuroń mówił, że głosował „przeciw”, bo bał się głosować „za” i że się tego głosowania wstydzi. Czy Pan takich frustracji nie przeżywał?

– Proszę pana, w życiu publicznym liczą się działania i ich efekty, a nie intencje, którymi ludzie się kierują. O działaniach decydują zaś polityczne kalkulacje i imperatywy moralne.

Pan sądzi, że imperatywy są ważniejsze?

– Mówię tylko, że one również są czynnikiem kształtującym decyzje polityczne. Podjąłem więc taką decyzję, jaką podjąłem, i jestem pełen szacunku zarówno dla tych, którzy głosowali „przeciw”, jak i dla tych, którzy kierując się własną oceną sytuacji, oddali głos „za”. Łączy mnie z nimi punkt wyjścia naszych rozważań. Ja także chciałem, żeby proces rozpoczęty przy Okrągłym Stole trwał i żeby sytuacja w Polsce zmieniała się ewolucyjnie. Nie mogłem jednak przyczynić się do tego, głosując inaczej, niż głosowałem. Nie chcę przez to powiedzieć, że moim imperatywem moralnym jest, żeby w polityce mieć zawsze czyste ręce. W końcu to ja akceptowałem kontrakt 65:35. To dzięki temu kontraktowi Jaruzelski mógł otrzymać prezydenturę, której naród nie powierzyłby mu swoją suwerenną wolą. A wynik? Wynik wydawał mi się idealny.

Kiedy tego dnia wychodziłem z Sejmu, chwycił mnie za rękaw rozgorączkowany Stanisław Ciosek. „Wy macie pakt z diabłem – sapał – to wszystko było wymyślone, żeby on przeszedł tylko jednym głosem. Zegarmistrzowska precyzja – jak wy to robicie?”. Musiałem mu przyznać, że sam byłem pełen podziwu dla precyzji, z jaką los rozstrzygnął wynik tego głosowania. Nie mogło być lepszego wyjścia niż wybór Jaruzelskiego i nie można było tego wyboru dokonać lepiej niż właśnie jednym głosem. Ten wynik od początku określił cały model postępowania generała Jaruzelskiego jako prezydenta.

WASZE

Załóżmy, że Jaruzelskiemu zabrakłoby tego jednego głosu. Czy wówczas nie miałby Pan do siebie pretensji?

– Tak, miałbym do siebie pretensję, ale bardzo źle byłoby również, gdyby generał Jaruzelski uzyskał w tych wyborach silny mandat. Tego obawiałem się w równym stopniu.

Z ostatecznego wyniku rozgrywki prezydenckiej zdawał się być również zadowolony Lech Wałęsa, który w wydanym tego samego dnia oświadczeniu stwierdzał, że „zdaje sobie sprawę z wewnętrznych i zewnętrznych przesłanek, które sprawiają, że w obecnej chwili prezydentem mogła zostać jedynie osoba reprezentująca koalicję rządowo-partijną. [...] Ostateczna ocena, jaką historia wystawi generałowi Jaruzelskiemu, zależy w głównej mierze od jego postawy w najbliższych latach”. Chciałbym wrócić do tych wewnętrznych i zewnętrznych przesłanek, które zdecydowały, że jednak wybór musiał paść na Jaruzelskiego, a nie na Kiszczaka. Jeszcze na niespełna dwa tygodnie przed głosowaniem obaj wzięli przecież udział w bukareszteńskim posiedzeniu Doradczego Komitetu Politycznego, gdzie Kiszczak, minister spraw wewnętrznych, mógł występować tylko jako przyszły kandydat na prezydenta. Czy sądzi Pan, że właśnie tam zapadła decyzja o kandydowaniu Jaruzelskiego?

– Nie wydaje mi się, żeby w takim gronie mogły zapadać tego rodzaju decyzje, ale mam wrażenie, że z Bukaresztu Jaruzelski wrócił już w jakimś sensie namaszczony przez Gorbaczowa. Stosunki między nimi były wciąż bardzo dobre, to dawało się zauważyć. Sądzę jednak, że o kandydowaniu Jaruzelskiego zadecydowała raczej postawa generalicji i aparatu. Tak w każdym razie przedstawił motywy swojej decyzji marszałkowi Stelmachowskiemu, który później relacjonował tę rozmowę na posiedzeniu Prezydium OKP. Z relacji Stelmachowskiego wynikało, że kwestie międzynarodowe odegrały rolę drugorzędną, choć Jaruzelski wspominał także i o rozmowach odbytych w trakcie spotkania bukareszteńskiego, i o jakichś sugestiach prezydenta Busha*, które miały paść podczas jego lipcowej wizyty w Warszawie. Swoją decyzję kandydowania

*George Bush senior – prezydent USA w latach 1989-93, ojciec prezydenta George'a W. Busha.

ROK 1989

Jaruzelski tłumaczył też podczas spotkania z naszym klubem. „Uważałem – mówił – że mogę być gwarantem reform. Chciałem najszerszego możliwego porozumienia. Wasze poparcie miał generał Kiszczak. Postanowiłem, że wobec tego on powinien kandydować. Potem jednak zwróciły się do mnie kluby, żebym ja kandydował, a Lech Wałęsa publicznie powiedział, że nie udziela poparcia żadnemu kandydatowi. Wtedy zdecydowałem postawić moją kandydaturę”. Brzmiało to przekonywająco. Zwłaszcza że dodawał: „Wolicie Kiszczaka niż mnie. Ja też”.

Słaby mandat Jaruzelskiego zdawał się potwierdzać nowe możliwości, już wcześniej zapowiadane przez Michnika w jego opublikowanym na początku lipca manifestie „Wasz prezydent – nasz premier”. Czy Pan to czuł?

– Bardzo dobrze. W odróżnieniu od Michnika nie byłem zwoleńnikiem aż tak szybkiego tempa, ale już wtedy zaczynała się nasza gra z SD i ZSL. Między pierwszą a drugą turą wyborów, kiedy nasz sukces był oczywisty, kanclerz Kohl mówił mi, że znajdując się w mniejszości, będziemy mimo wszystko zupełnie pozbawieni wpływu na politykę. Przekonywałem go, że w polskich warunkach 35 procent jest faktyczną większością, bo posiada poparcie większości społeczeństwa i że możemy też liczyć na postępującą erozję klubów stowarzyszonych z PZPR. Sama PZPR miała 38 procent mandatów poselskich i ani jednego senatorskiego. My mieliśmy 35 procent mandatów poselskich i 99 procent senatorskich. Walka musiała więc rozegrać się o tę dzielącą nas przestrzeń obejmującą 27 procent Sejmu. Uważałem, że przesunięcie szali na naszą stronę będzie kwestią jednego roku. Okazało się, że potrzebowaliśmy dwóch miesięcy.

Sądzi Pan, że władza zdawała sobie sprawę z tego nadzwyczajnego przyspieszenia, kiedy w ostatnich dniach lipca zdecydowała się na urynkowanie gospodarki żywnościowej? Inaczej mówiąc – czy ta decyzja była ostatnim akordem partyjnego reformatorstwa, czy też świadomie podłożoną bombą polityczną, która miała powalić spodziewany już rząd dotychczasowej opozycji?

– Wiele przemawia za tym, że była to bomba, ale moim zdaniem urynkowanie stanowiło jednak akt dobrej woli reformowa-

WASZE

nia gospodarki, który dowodzi kompletnego braku wyobraźni ekonomicznej. Wydaje mi się, że trzeba to uznać za wyjątkowo nieszczęśliwą i fatalnie przeprowadzoną próbę realizowania przez nich naszej polityki gospodarczej. Sądzę, że chodziło o wyprzedzenie zapowiadanych przez nas reform. Mówiliśmy przecież bardzo dużo i dobitnie o wprowadzeniu do gospodarki mechanizmów rynkowych, powtarzaliśmy, że trzeba zdecydowanie odchodzić od rozdzielnictwa i nakazów. Władza też to słyszała. Widziała, że są to hasła nośne, i postanowiła je przejąć. Tylko że my nigdy nie proponowaliśmy społeczeństwu takich szaleńczych skoków, rzucania się w rynek głową do przodu i z zamkniętymi oczami. Mówiliśmy, że musi się zmieniać cała gospodarka, że to ma być proces obejmujący całą Polskę, wszystkie dziedziny życia.

Może zresztą w kampanii wyborczej nie zawsze pamiętaliśmy o wszystkich zastrzeżeniach. Padło hasło natychmiastowego urynkwienia gospodarki żywnościowej i władza zrozumiała je dosłownie. Rakowski z Olesiakiem* po prostu zarządzili urynkwienie, czyli praktycznie uwolnienie cen żywności z dnia na dzień. I ceny poszybowały. Przez tę noc niektóre artykuły spożywcze zdrożały w Polsce o kilkaset procent. A ludzie zostali ze starymi pensjami, które na nic nie mogły już wystarczyć. Co gorsza, na tym się nie skończyło, bo lawina, która ruszyła, oczywiście nie mogła się sama zatrzymać. Rakowski uruchomił ją na swoją własną zgubę i także na zgubę kraju, jakby dając ostatni akord kompletnie nieodpowiedzialnej gospodarczej działalności komunistów. Zupełnie tak, jakby ostatnim niezdecydowanym koniecznie chciał udowodnić, że dalsze pozostawanie tej ekipy u władzy grozi Polsce niewyobrażalną katastrofą. I to nie tylko katastrofą polityczną, kulturalną czy cywilizacyjną, ale gospodarczą. Groziło ostateczne zrujnowanie materialnych podstaw naszej egzystencji.

Decyzja rządu Rakowskiego o urynkwieniu gospodarki żywnościowej nie była tego lata ostatnim przypadkiem pyrrusowego zwycięstwa polityki nad gospodarką. 31 lipca, głównie głosami OKP, Sejm uchwalił ustawę o powszechnej i pełnej indeksacji płac.

*Kazimierz Olesiak – działacz ZSL, w rządzie Rakowskiego wicepremier i minister rolnictwa.

ROK 1989

Było to zgodne z ustaleniami Okrągłego Stołu i z żądaniami władz „Solidarności”, ale zupełnie sprzeczne z ekonomicznym zdrowym rozsądkiem. Indeksacja wydawała się społecznie uzasadniona, dopóki przy władzy pozostawali komuniści i trzeba było stworzyć mechanizm broniący społeczeństwo przed skutkami ich irracjonalnych decyzji gospodarczych, przed ponoszeniem ciężarów rozbudowy biurokracji i aparatu przymusu. Teraz tak rozumiana indeksacja stawiała się oczywistym anachronizmem. A jednak ją przegłosowaliście.

– Tak, przy Okrągłym Stole zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że indeksacja jest metodą niedającą się obronić z ekonomicznego punktu widzenia, ale dając ludziom poczucie materialnego bezpieczeństwa, gwarantowała ona spokój społeczny. Wynik wyborów zmienił sytuację na tyle, że dużo ważniejsza stała się istniejąca realnie szansa reformowania gospodarki. Zdawaliśmy już sobie sprawę z tego, że wprawdzie mamy tylko 35 procent, ale na sprawy gospodarcze możemy uzyskać poważny i realny wpływ. Większość naszego klubu opowiadała się więc za ograniczeniem indeksacji w taki sposób, żeby chroniąc stopę życiową, nie przyczyniała się ona do przyspieszania spirali inflacyjnej. Tu jednak napotkaliśmy zdecydowany opór ze strony kierownictwa „Solidarności”, która przecież stanowiła nasze naturalne zaplecze, wprowadziła nas do parlamentu. Musieliśmy dać znak naszej lojalności. Posłuchaliśmy uchwały Krajowej Komisji Wykonawczej i głosowaliśmy za pełną indeksacją.

Wbrew własnemu rozumowi?

– Wbrew przekonaniu większości członków OKP.

Pamiętam wystąpienie posła Jerzego Osiatyńskiego, który po tym głosowaniu mówił, że „postanowiliście zarząca gospodarkę na ołtarzu polityki”. Po czterdziestu latach podporządkowywania ekonomii polityce był to zarzut niezwykle poważny.*

*Jerzy Osiatyński – profesor ekonomii, poseł OKP, we wrześniu 1989 roku zostanie w rządzie Tadeusza Mazowieckiego ministrem-kierownikiem Centralnego Urzędu Planowania.

WASZE

– Uważaliśmy, że musimy przyjąć ten kompromis, zwłaszcza że sprawa miała charakter epizodyczny, wyraźnie przejściowy. *Wróciła wtedy kwestia zasad współpracy między związkiem „Solidarność” a klubem parlamentarnym. W dyskusji przeważał pogląd, że posłowie powinni kierować się głosem własnego sumienia, ale w głosowaniu zwyciężyła dyscyplina i tylko siedmiu członków OKP głosowało inaczej, niż domagała się KKW. Czy Pana ten układ nie niepokoił?*

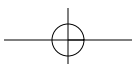
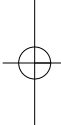
– Był to bardzo zły precedens, ale nie obawiałem się, że może on mieć jakieś dalsze konsekwencje. Oświadczyłem zresztą na posiedzeniu Komisji Krajowej, że jest to sytuacja wyjątkowa, która się już nie powtórzy. I w gruncie rzeczy nie powtórzyła się aż do czasu przekazania nam „solidarnościowego” projektu ustawy o związkach zawodowych latem 1990 roku. Przez blisko rok nie mieliśmy więc tego typu problemów. Projekt ustawy związkowej przejęliśmy jednak od Komisji Krajowej z zastrzeżeniem, że będzie on przedmiotem normalnych prac legislacyjnych, jakim poddawane są wszystkie kierowane do Sejmu projekty ustaw.

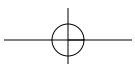
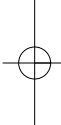
Lipcowa ustawa indeksacyjna, podobnie jak decyzja o urynkowieniu, stanowiła oczywiście szaleństwo z ekonomicznego punktu widzenia. Dwie takie sytuacje na przestrzeni zaledwie paru dni – bo ustawę uchwalono 31 lipca, a urynkowienie weszło w życie naza-jutrz – mogły być już powodem do poważnego niepokoju. Czy nie wydaje się Panu, że gdyby sprawdził się wasz wcześniejszy program, to znaczy, gdyby komuniści zachowali władzę, a OKP pełniłoby rolę aktywnej opozycji, gospodarka nigdy nie wyszłaby spod dominacji polityki i Polska musiałaby runąć w przepaść ekonomicznej katastrofy?

– Zakładaliśmy prymat gospodarki. Leżał on u podstaw paktu antykryzysowego i także u źródeł koncepcji utworzenia Rady Gospodarki Narodowej, której powołanie proponowaliśmy przy Okrągłym Stole. Deklarowaliśmy gotowość przyjęcia consensusu dotyczącego polityki gospodarczej, pod warunkiem że na jej formowanie będziemy mieli wpływ. Odpowiadano nam wówczas, że dążymy do utworzenia superrządu, a rząd musi być jeden i de-

ROK 1989

cyzje dotyczące gospodarki muszą zapadać w jednym miejscu. „Zamiast tworzyć radę, stwórzmy wspólny rząd” – mówiono. Tego odmawialiśmy. Uważaliśmy, że nie możemy dać im się wchłoniąć, musimy zachować naszą wyraźną odrębność. Dziś to wszystko wydaje się odległe, słabe i ubogie. Nasz ówczesny program kształtował się jednak w warunkach funkcjonowania monopolu władzy komunistycznej, wobec którego musieliśmy się okopać, obronić własną tożsamość, budować swoją siłę i szykować się do zmian zasadniczych.





CZYJE?



Kiedy w końcu opadły emocje prezydenckie, wróciła kwestia nowego rządu wniesiona już na scenę publiczną w powszechnie krytykowanym tekście Michnika „Wasz prezydent – nasz premier”. Muszę teraz wrócić do 3 lipca, kiedy ten tekst się ukazał, żeby zapytać, czy Pan się go spodziewał? Czy opublikowanie go było wyrazem zmieniającej się opcji reprezentowanej przez „Solidarność”, a wyrażanej także przez Wałęsę, który na pytanie, czy „Solidarność” przejmie władzę, odpowiadał: „Nie wiem, jak będzie, ale wiem, że żaden z nas nie rozmawiał nigdy z Gorbaczowem ani z Honeckerem i nawet nie wiemy, jak takie rozmowy wyglądają”.*

– Artykuł Adama Michnika stanowił element, a w pewnym sensie był także owocem dyskusji i debat toczących się w naszym gronie. Publikacja tego tekstu i publiczne postawienie kwestii rządu były jednak własną decyzją Adama. Zdawaliśmy już sobie sprawę, że dotychczasowa władza nie będzie w stanie sama rządzić. Michnik uważał, że wobec tego nie możemy oddać im za darmo i prezydentury, i prawa formowania rządu.

Uważaliście, że nie są w stanie rządzić bez was?

– To stało się jasne w chwili, gdy zostały rozpoczęte przymiarki do wyboru prezydenta. Wtedy okazało się, że nie istnieje „65 procent”, a i 50 procent może okazać się niepewne. Rozmowy, które

***Erich Honecker** – od 1971 roku szef rządzącej w NRD partii komunistycznej SED, od 1976 przywódca państwa; w październiku 1989 ustąpił ze wszystkich stanowisk.

prowadziłem z przedstawicielami klubów ZSL i SD oraz z grupą posłów PZPR, wykazały, że mamy znacznie więcej niż kontraktowe 35 procent głosów; że po tamtej stronie dokonała się już ta erozja, która według naszych przewidywań miała trwać mniej więcej rok. Tekst Michnika przyczynił się do upublicznienia kwestii i patrząc z dzisiejszej perspektywy, uważam, że wydrukowanie go było krokiem słusznym. Pytanie o to, kto ma formować rząd, postawił on bowiem także strukturoom władzy – aparatowi partyjnemu, policji, wojsku. Przez następne półtora miesiąca obie strony politycznej barykady miały czas na poważne rozważenie tej sprawy. A były to tygodnie niezwykle szybkiej dekompozycji obozu władzy i również całego międzynarodowego otoczenia, które miało poważny wpływ na bieg polskich spraw.

Ale były to także tygodnie radykalnej ewolucji stanowiska w obozie „Solidarności”. Pod koniec czerwca Jacek Kuroń udzielił „Gazecie Wyborczej” wywiadu, w którym twierdził, że przejście rządu przez „Solidarność” nie wchodzi w grę, bo zbuntowałby się cały aparat ministerialny, nie mówiąc już o wszystkich innych aparatach – z policyjnym na czele. Zdaniem Kurońa „solidarnościowi” ministrowie mogliby swoje zarządzenia wywieszać w ministerialnych ubikacjach, bo i tak nie byłoby w stanie egzekwować ich realizacji. Parę tygodni później ten sam Jacek Kuroń ogłosił na posiedzeniu OKP swoje „10 punktów”, w których opowiadał się za formowaniem rządu przez „Solidarność”.

– Artykuł Adama zbulwersował cały układ polityczny. Zbulwersował nas i przede wszystkim zbulwersował władzę. Po stronie władzy reakcją na publikację tego artykułu były głosy mówiące o zerwaniu przez nas kontraktu Okrągłego Stołu. Analizując ówczesną sytuację, postrzegaliśmy władzę jako uzbrojoną nomenklaturę. Obawialiśmy się sprowokowania jej fizycznej reakcji. Uważaliśmy, że przejście przez nas rządu wymaga czasu, którego ludzie nomenklatury potrzebują, aby oswoić się z myślą o oddaniu władzy.

Czy dlatego właśnie nazajutrz po ukazaniu się tekstu Michnika zdecydował się Pan wystąpić w telewizji razem z Januszem Rejowskiem?

CZYJE?

W Sejmie



W sposób odpowiedzialny i w poczuciu realizmu jesteśmy w stanie stworzyć rząd ocalenia narodowego

– Zaraz po ukazaniu się artykułu zaczęły docierać do nas głosy niepokoju, i to z obu stron. Ze strony naszych rozmówców przy Okrągłym Stole padło pytanie, czy wiemy, że stawiając publicznie sprawę naszego rządu, dajemy znak do rewolty aparatu władzy. Po naszej stronie wysuwano zaś zarzut, że Michnik naraża przyjętą przez nas filozofię działania, gdyż dopuszcza udział we władzy przed dokonaniem zasadniczej zmiany w jej politycznych podstawach.

Niewątpliwie obie strony miały rację. Głównym problemem nie były przecież kwestie doktrynalne czy ideologiczne, ale zupełnie realne interesy nomenklatury, dla której sformowany przez nas rząd stanowiłby śmiertelne zagrożenie. Od początku całego procesu mieliśmy przekonanie, że dopóki nie przełamamy systemu nomenklatury, dopóty nie możemy godzić się na żadne uczestnictwo we władzy, bo byłaby to władza fikcyjna. Michnik proponował odwrócenie kolejności i przystąpienie do rozmontowywania nomenklatury za pomocą naszego rządu, który stanowiłby zaprzeczenie podstawowej zasady jej funkcjonowania. Była to jednak myśl tak rewolucyjna, że obie strony potrzebowały czasu na przetrwanie jej. Nawet większość kierownictwa OKP nie podzielała wówczas opinii Adama. Świadectwem jego ówczesnego osamotnienia była burzliwa, choć w gruncie rzeczy dość monotonna dyskusja na posiedzeniu Prezydium klubu, na które zaprosiłem również Tadeusza Mazowieckiego i Jarosława Kaczyńskiego. Dziesięć dni po ogłoszeniu tekstu Adama „Tygodnik Solidarność” opublikował artykuł Tadeusza Mazowieckiego pod tytułem „Spiesz się powoli”. Mazowiecki był zdania, że propozycja Michnika jest politycznym awanturnictwem i stanowi nieuzasadnione odstępstwo od przyjętego programu.

Wracam do Pańskiego telewizyjnego wystąpienia z Reykowskim. Czyja to była inicjatywa?

– Był to wynik wielu rozmów. Nie pamiętam już, kto pierwszy wysunął propozycję tego wystąpienia, ale z różnych stron padały głosy, że po artykule Adama powinniśmy jeszcze raz przypomnieć stanowisko naszej strony. Trzeba było jasno stwierdzić, że artykuł „Wasz prezydent – nasz premier” wyraża osobiste poglądy Michnika – i nic więcej. Byliśmy z Wałęsą całkowicie jednogłusni co do

 CZYJE?

togo, że po wypuszczeniu przez Adama próbnego balonu, musimy uspokoić opinię publiczną, a przede wszystkim uśmierzyć emocje drugiej strony. Wałęsa wspierał koncepcję Michnika i znał jego artykuł, zanim się on ukazał, ale był zdania, że nie nadszedł jeszcze czas na formowanie naszego rządu. Kiedy więc ze wszystkich stron zaatakowano Adama, w jego obronie nie odezwał się żaden głos. Nikt go nie poparł. Czekaliśmy, jak sytuacja się dalej rozwinie.

Niespełna tydzień po wyborach prezydenckich, 25 lipca, prezydent Jaruzelski rozpoczął konsultacje związane z powołaniem nowego rządu i w tej właśnie sprawie spotkał się z Lechem Wałęsą. Na rozmowę z Jaruzelskim Wałęsa przyniósł gotowe już oświadczenie, w którym stwierdzał, że „jedynym rozsądnym wyjściem będzie przekazanie rządu tym siłom, które korzystają z poparcia większości społeczeństwa”. Można więc było odnieść wrażenie, że górę wzięła już opcja Michnika.

– Nasze stanowisko było takie, że nie zgadzaliśmy się wejść do gabinetu tworzonego przez drugą stronę, ale deklarowaliśmy gotowość przyjęcia na siebie uformowania zupełnie nowego rządu. Byliśmy jednak całkowicie przekonani, że otrzymamy odpowiedź odmowną.

*Mówił Pan wówczas, że druga strona nie może zgodzić się na powierzenie wam misji formowania rządu, bo oddając władzę, pozba-
wiłaby się racji swojego istnienia.*

– Uważałem, że przez najbliższy rok to oni będą sprawowali rząd, ale władza będzie im się dzień po dniu wymykała.

*Czy miał Pan wówczas kontakty z prezydentem, do którego należa-
ło wyznaczenie kandydata na premiera?*

– Nie, z prezydentem Jaruzelskim żadnych kontaktów wówczas nie miałem. Rozmawiałem natomiast z przewodniczącymi klubów SD i ZSL, Aleksandrem Bentkowskim i Janem Janowskim*. Były to rozmowy idące bardzo daleko i niewątpliwie można było na nich coś budować.

*Przewodniczący klubu poselskiego ZSL **Aleksander Bentkowski** zostanie we wrześniu 1989 roku w rządzie Tadeusza Mazowieckiego ministrem sprawiedliwości. Szef klubu SD **Jan Janowski** – wicepremierem i ministrem-kierownikiem Urzędu Postępu Naukowo-Technicznego i Wdrożeń.

ROK 1989

To znaczy, że oświadczenie Wałęsy nie było tylko politycznym gestem.

– Było ono wyrazem przekonania, że opozycja nie może rezygnować z aspiracji do przejęcia władzy ani mówić, że nie chce władzy. Musi deklorować gotowość wzięcia odpowiedzialności za losy kraju.

Nawet jeżeli uważa to za całkowicie nierealne?

– Tak, bo jest to kwestia racji politycznej egzystencji. Opozycja, która powiada, że nie chce wziąć władzy i odpowiedzialności za kraj, nie ma powodu istnieć.

Dokładnie dziesięć dni po wyborach prezydenckich generał Jaruzelski złożył rezygnację ze stanowiska I sekretarza partii, a na jego miejsce wybrany został dotychczasowy premier Mieczysław Rakowski. Na XIII Plenum, na którym ta zmiana się dokonała, zapadła także decyzja o rekomendowaniu generała Kiszczaka na urząd premiera. Powszechne było wtedy wrażenie, że w intencji władzy cały proces demokratyczny ma się sprowadzić do karuzeli stanowisk. Dlaczego partia zdecydowała się na kandydaturę Kiszczaka, mocno już przecież zużytego w kampanii prezydenckiej?

– Oni uważali, że Kiszczak, który był jednym z architektów Okrągłego Stołu, zostanie ze zrozumieniem przyjęty przez Kościół, a także przez „Solidarność”. Wydawało im się, że skoro Wałęsa poparł go w kampanii prezydenckiej, zaakceptuje go także jako kandydata na premiera.

Czy w tej sprawie jakoś się z Panem konsultowano?

– Nie, tylko z Lechem Wałęsą rozmawiano na ten temat.

Dwa dni później Kiszczak zawiadomił Pana, że będzie kandydował na urząd premiera. Jak to się odbyło?

– Zostałem zaproszony do Urzędu Rady Ministrów, gdzie generał Kiszczak urzędował jako wicepremier w rządzie Rakowskiego. Nie byłem zresztą pierwszym rozmówcą, którego zaprosił po uzyskaniu rekomendacji Komitetu Centralnego. W trakcie tej rozmowy generał Kiszczak wyłożył mi swoje racje. Uważał, że jedynym rozwiązaniem jest rząd wielkiej koalicji, i deklarował gotowość przedyskutowania, a także zaakceptowania niemal każdej

CZYJE?

naszej propozycji mieszczącej się w obrębie tej koncepcji. Nie chcąc przedłużać rozmowy, powiedziałem od razu, że nie wchodzi w grę jakikolwiek udział naszej strony w rządzie kierowanym przez PZPR. Zapytał wówczas, czy dopuszczam możliwość, że do jego rządu wejdą ludzie jakoś z nami związani, ale spoza ścisłej „solidarnościowej” czołówki. Odpowiedziałem, że tylko na zasadzie decyzji osobistych, bo na pewno nie upoważnimy nikogo do reprezentowania nas w jego gabinecie. Takie było ówczesne stanowisko klubu i Lecha Wałęsy.

Czy odmówił Pan też poparcia jego kandydatury na stanowisko premiera?

– Tak, z całą otwartością oświadczyłem, że będziemy w opozycji wobec jego kandydatury i rządu, który sformuje. Powiedziałem: „Zapowiadam, że nasz klub będzie głosował przeciwko pańskiej kandydaturze”. Zapytał mnie, czy wchodzi w grę wstrzymanie się od głosu. Odpowiedziałem, że w OKP dyscypliny klubowej bardzo trudno oczekiwać, ale spodziewam się, że ogromna większość klubu będzie głosowała przeciwko niemu.

Czy próbował go Pan namówić, żeby zrezygnował z misji formowania rządu?

– Nie.

Jak oceniał Pan szansę Kiszczaka na uzyskanie akceptacji Sejmu? Był Pan już przecież w bliskim kontakcie z kierownictwami klubów ZSL i SD.

– Te szanse się zmieniały. Rozmowy, które wówczas prowadziłem, zdawały się wskazywać na to, że klub ZSL gotów jest głosować przeciw Kiszczakowi. Także w innych klubach było wiele osób skłonnych poprzeć nasz sprzeciw.

Jak bardzo Pańskie rozmowy były zaawansowane?

– Doszło do postawienia przez mecenasa Bentkowskiego pytania, czy w rządzie formowanym przez „Solidarność” ZSL może liczyć na ilość tek podobną do oferowanej im przez generała Kiszczaka. Odpowiedziałem, że tak mi się wydaje, choć moim zdaniem nasz rząd powinien być rządem kompetentnym, więc szczególne rozmowy muszą dotyczyć kwalifikacji ewentualnych

ROK 1989

kandydatów. Na dwa dni przed głosowaniem nad kandydaturą generała Kiszczaka wiele wskazywało na to, że wizja rządu formowanego przez „Solidarność” jest bliska i realna.

W przededniu głosowania miały jednak miejsce dwa wydarzenia, które wizję tę zdawały się odsuwać w dalszą przyszłość. Najpierw Antoni Furtak niezwykle ostro zaatakował zeteselowskiego wicepremiera Kazimierza Olesiaka, który poczuł się obrażony. Późnym wieczorem przyjechał do Sejmu Rakowski. Straszyl wszystkie trzy kluby koalicji tym, co będzie się działo, jeśli PZPR nie zdoła sformować swojego rządu. Jak Pan sądzi, który z tych czynników miał znaczenie decydujące?*

– Decydująca była oczywiście wizyta Rakowskiego, ale wystąpienie Furtaka też mogło mieć duże znaczenie. Zaraz po tym incydencie, widząc ogromne poruszenie w ławach ZSL, prosiłem pana Furtaka, żeby publicznie przeprosił Olesiaka. Jeszcze przed głosowaniem wszedł na trybunę i złożył oświadczenie, w którym podtrzymując swoje merytoryczne stanowisko, zapewnił, że nie miał intencji obrażenia Olesiaka. Wszystko by było dobrze, gdyby nie zabrakło słowa „przepraszam”. Już po głosowaniu sam wszedłem więc na trybunę i w imieniu naszego klubu przeprosiłem klub ZSL oraz samego wicepremiera. Powstała później kwestia, dlaczego nie zrobiłem tego przed głosowaniem. Niektórzy uważali, że gdyby do przeproszenia doszło przed głosowaniem, jego wynik mógłby być inny i do wybrania Kiszczaka mogłoby nie dojść.

Mimo że wygrał większością aż 60 głosów?

– No właśnie, uważałem, że jeżeli na stanowisku ZSL rzeczywiście zaciążył incydent z Olesiakiem, to po wystąpieniu Furtaka ich przewodniczący poprosi o przerwę, żeby ewentualnie jeszcze raz rozważyć sprawę poparcia dla generała Kiszczaka. Skoro tego nie zrobił, uznałem, że chodzi tylko o pretekst, a źródła ich ostatecznej decyzji leżą zupełnie gdzie indziej. Moje „przepraszamy”

***Antoni Furtak** – poseł OKP, w sierpniu 1980 roku uczestnik strajku w Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni, działacz „S” i NSZZ RI „S” w woj. gdańskim.

CZYJE?

wypowiedziane już po głosowaniu miało rację podwójną. Po pierwsze, uważałem, że na początku naszej parlamentarnej aktywności musimy jak najwyżej podnieść poprzeczkę kultury politycznego współżycia przeciwnych ugrupowań. Po drugie, myślałem o przyszłości, dla której postawa klubu ZSL miała znaczenie zasadnicze. Drzwi do naszej współpracy musiały być otwarte, a poczucie wstydu pozostało po stronie ZSL. To oni sprawili, że premierem po raz kolejny został człowiek PZPR, a na swoje usprawiedliwienie mieli tylko to, że się na nas obrazili. Ten wstyd odegrał ważną rolę nieco później, kiedy przed premierem Kiszczakiem stanęła kwestia uzyskania akceptacji Sejmu dla rządu, który miał sformować.

Powiedział Pan jednak, że ważniejsza od sprawy Furtak – Olesiak była nocna wizyta Rakowskiego w klubach starej koalicji. Co się wtedy stało?

– Mnie tam oczywiście nie było, ale relacjonowano mi, że Rakowski postawił znak równości między wystąpieniem małych klubów z kierowanej przez PZPR koalicji a wybuchem wojny domowej. Jutro odrzucenie Kiszczaka, a pojutrze stan wojenny. Wtedy mogło to jeszcze mieć pozory wiarygodności. Ja sam nie byłem w stanie dać słowa honoru, że tak się nie stanie. W każdym razie Rakowskiemu udało się na tyle przestraszyć swoich partnerów koalicyjnych, że korzystając z pretekstu, jaki dawał incydent między Olesiakiem a Furtakiem, zerwali nasze wcześniejsze ustalenia. *Pański ówczesny rozmówca, przewodniczący klubu poselskiego ZSL, już jako minister sprawiedliwości w rządzie Tadeusza Mazowieckiego powiedział w opublikowanym przez „Wokandę” wywiadzie, że to nie ZSL wycofało się z wcześniejszych ustaleń, lecz Pan zaniechał dania umówionego wcześniej sygnału. „W rozmowie z samym profesorem Geremkiem – mówił – ustaliliśmy, że następnego dnia w swoim wystąpieniu w imieniu OKP profesor zadeklaruje, że jeśli »Solidarność« będzie miała możliwość utworzenia rządu, w którym obsadziłaby najważniejsze teki, to podejmie się takiego zadania. Wtedy ja, występując po nim, miałem powiedzieć, że w zaistniałej sytuacji klub ZSL nie poprze – w swej większości – generała Kiszczaka, gdyż uwa-*

za, iż premierem powinien zostać przedstawiciel opozycji. [...] Czekaliśmy więc na jego wystąpienie, ale powtórzył on tylko wcześniejsze argumenty. [...] Czyli wycofał się z naszych wcześniejszych ustaleń. Zorientowaliśmy się, że wyprowadzono nas w pole, i większość kolegów zdecydowała się wówczas głosować na Kiszczaka, choć mimo to 21 było przeciwnych”. Tak twierdzi minister Bentkowski. Może więc nie doszło do żadnego zerwania, tylko nastąpiło najzwyczajsze nieporozumienie?

– Ustalenia były rzeczywiście takie, jak mówi Bentkowski. Natomiast to, co powiedziałem z trybuny sejmowej, da się łatwo sprawdzić w stenogramie. Nie wiem, czy można postawić sprawę bardziej jednoznacznie, niż stwierdzając, że „w sposób odpowiedzialny i w poczuciu realizmu jesteśmy w stanie stworzyć rząd ocalenia narodowego”.

Nieudana droga generała Kiszczaka od premierostwa do sformowania swojego rządu wydawała mi się najbardziej upokarzającym spektaklem politycznym, jaki w życiu widziałem – może poza słynnym wygwizdaniem Rakowskiego w Stoczni Gdańskiej. Niemal codziennie rozchodziły się informacje o kolejnych osobach, które odmawiały mu przyjęcia ministerialnych tek. Jedyным bodaj sukcesem było spotkanie z Prymasem, do którego doszło nazajutrz po głosowaniu. Wałęsa, który w przeddzień głosowania opublikował słynne „byłem za kandydaturą generała Kiszczaka na prezydenta, jestem przeciw kandydaturze generała Kiszczaka na premiera”, milczał niemal tydzień, zanim 7 sierpnia odpalił kolejną bombę, stwierdzając, że „jedyным rozwiązaniem politycznym w obecnej sytuacji jest powołanie Rady Ministrów w oparciu o koalicję »Solidarności«, Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego, o co będę zabiegał”. Jaka była relacja między tym oświadczeniem a Pańskimi wcześniejszymi kontaktami sejmowymi?

– Mam wrażenie, że nastąpiło tu pewne rozminięcie się naszych działań. O moich rozmowach z klubami ZSL i SD Wałęsa był poinformowany bardzo ogólnie. Wiedział tylko to, co mogłem powiedzieć przez telefon, a więc, że prowadzę rozmowy. Natomiast nie wydawało mi się, żeby właściwa droga wiodła poprzez wspól-

CZYJE?

pracę z partiami politycznymi. Uważałem, że gra polityczna powinna odbywać się w parlamencie, a nie poza nim.

Nazajutrz po oświadczeniu Wałęsy odbyło się posiedzenie Krajowej Komisji Wykonawczej, na którym dość powszechnie zarzucono mu przekroczenie uprawnień przewodniczącego. Z relacji Jarosława Kaczyńskiego wynika, że Pan był przeciwny temu oświadczeniu. W wywiadzie dla „Głosu” sugerował on, że źródłem rozbieżności między kierownictwem OKP a Wałęsą było wówczas to, z kim należy zawrzeć koalicję. Wałęsa opowiadał się za współpracą z ZSL i SD. Jego oponenci mieli zaś optować za koalicją z reformatorskim skrzydłem PZPR. Czy rzeczywiście widział Pan wówczas taką możliwość?

– Cała ta konstrukcja oparta jest na nieprawdzie! Zarzut, który Jarosław Kaczyński po raz pierwszy wysunął bodaj właśnie na posiedzeniu KKW, został całkowicie wysany z palca. Nie prowadziłem żadnych koalicyjnych rozmów z PZPR i nie słyszałem, żeby ktokolwiek z moich przyjaciół rozważał taką możliwość.

W okresie, gdy decydowała się sprawa rządu, zgodziłem się odbyć jedną tylko rozmowę z 12 odszczepieńcami z klubu PZPR, którzy przyszli do mnie, żeby powiedzieć, że chcą głosować przeciwko generałowi Kiszczakowi. To spotkanie odbyło się jeszcze w wielkiej tajemnicy. Przyszli w nocy i po oświadczeniu, że będą głosowali „przeciw”, zapytali, czy mogę udzielić im gwarancji bezpieczeństwa. Niemal wszyscy byli dyrektorami przedsiębiorstw. Obawiali się, że jeśli sprzeciwią się kandydaturze Kiszczaka, stracą swoje stanowiska. Chcieli wiedzieć, czy ich obronimy. Odpowiedziałem im, że nie mogę złożyć takiego zobowiązania. Nie my mieliśmy władzę, więc decydując się na zajęcie uczciwej postawy, musieli brać pod uwagę, że przyjdzie im za to zapłacić. Mogłem im tylko obiecać, że jeżeli będą karani za to, jak głosowali, my będziemy publicznie o tym mówili i będziemy bronili ich obecności w Sejmie. Po tej rozmowie sądziłem, że zdecydują się głosować tak, jak im partia każe. Okazało się, że ich nie doceniłem, bo jednak głosowali z nami.

A po głosowaniu nie podtrzymał Pan tego kontaktu?

ROK 1989

– Nie i dziś – muszę przyznać – nawet trochę żałuję, że wówczas zaniechałem bardziej aktywnego wpływania na podziały w tamtym klubie, że nie wchodziłem w kontakt z tymi posłami PZPR, którzy wyraźnie zerkali w naszą stronę. Uważałem jednak, że naszym głównym zadaniem jest ochrona własnej tożsamości, wyraźne i zupełnie jednoznaczne odcinanie się od tego wszystkiego, co składało się na dotychczasowy porządek mający oparcie w systemie nomenklatury. Także w klubie PZPR była grupa osób, które w czasie wyborów „Solidarność” poparła przeciwko gorszym partyjnym. Tworzyli ją głównie dobrzy dyrektorzy przedsiębiorstw. Woleliśmy ich od przedstawicieli betonowego aparatu. Nawet ci lepsi mieścili się jednak w systemie nomenklatury, a jej likwidację uważaliśmy za polskie „być albo nie być”, za niezbędny warunek powodzenia całego procesu demokratycznego. Właśnie dlatego ani przez moment nie widziałem możliwości układu, sojuszu czy aliansu z PZPR lub jej częścią. Jedynym celem gry parlamentarnej, jaką prowadziłem, była zmiana zachowania politycznego dwóch klubów poselskich – ZSL i SD.

Ale nawet podejmując tę ograniczoną grę z ZSL i SD, działał Pan wbrew ustaleniom własnego klubu, który był przeciwny dążeniu do szybkiego udziału w rządzie.

– To nie jest prawda. Codziennie przychodzili do mnie różni koledzy z klubu i mówili mi o odbywających się w hotelu sejmowym nocnych rozmowach z posłami ZSL i SD. Dzięki tym nocnym hotelowym rozmowom dokonywało się naturalne zbliżenie ludzi reprezentujących różne obozy. Druga strona miała zaś poczucie, że tkwi na tonącym statku – szukała kładki pozwalającej pójść razem z nami i jakoś ratować swoją przyszłość. Proszę pamiętać, że latem 1989 roku nasza pozycja parlamentarna opierała się nie na tym, ile mieliśmy mandatów, ale na społecznym poparciu. Mówiliśmy, że reprezentujemy polskie społeczeństwo. Była to oczywista przesada, ale bez wątplenia reprezentowaliśmy większość wyborców i aspiracje niemal wszystkich Polaków. Co zaś się tyczy moich rozmów, zdawałem z nich sprawę na posiedzeniach Prezydium OKP, które jest formalną władzą klubu. Na zebraniach plenarnych nie mogliś-

CZYJE?

Posiedzenie Prezydium OKP



Z moich rozmów zdawałem sprawę
Prezydium OKP, które jest formalną
władzą klubu

my tych spraw dyskutować, bo oczywiście chodziło o rozmowy poufne.

A jak Prezydium przyjmowało Pańskie zabiegi? Koncepcja Michnika spotkała się przecież z bardzo dramatycznym protestem klubu.

– Tak, ale ten protest był znacznie mocniejszy na posiedzeniu klubu niż w gronie członków Prezydium. Na posiedzeniu Prezydium głównym oponentem Michnika był Tadeusz Mazowiecki, który po raz pierwszy zgodził się wówczas wziąć udział w pracach OKP. Po odrzuceniu jego koncepcji kampanii wyborczej Mazowiecki nie chciał się w nią włączyć, a później zdystansował się również wobec OKP. Dopiero kiedy zaczęliśmy przygotowywać reformę Komitetu Obywatelskiego, która miała wciągnąć w nasze prace przedstawicieli różnych ugrupowań politycznych, udało mi się namówić Mazowieckiego do udziału w tych przygotowaniach, którymi kierował wówczas Marcin Król. Dzięki temu zdołaliśmy też w końcu zaprosić go na posiedzenie Prezydium, na którym rozpatrywaliśmy sprawę rządu. Natomiast na zebraniu całego klubu przeciwko koncepcji Adama najostrzej protestował Karol Modzelewski*, a zgadzała się z nim wówczas duża część sali. Były też zresztą poważne głosy popierające stanowisko Michnika. Kiedy jednak miesiąc później Wałęsa podejmował własną grę z ZSL i SD, chodziło już nie tyle o to, żebyśmy my formowali rząd, ile raczej by na czele rządu stanął właśnie on jako człowiek symbolizujący wychodzenie Polski z komunistycznego totalitaryzmu.

Mimo to 8 sierpnia na posiedzeniu OKP wybuchła gigantyczna awantura, w której dominowało pytanie: „Gdzie naprawdę podejmowane są decyzje?”. Wiele osób wyrażało pretensję, że klub uwikłany jest w nużące wszystkich utarczki legislacyjne, a istotne, kluczowe dla kraju postanowienia zapadają gdzieś indziej – poza

***Karol Modzelewski** – historyk mediewista, wówczas doktor habilitowany; senator OKP. W 1964 roku aresztowany jako współautor – razem z Jackiem Kuroniem – „Listu otwartego do członków PZPR”, skazany na trzy i pół roku więzienia. Ponownie aresztowany w marcu 1968 roku i skazany na trzy i pół roku. W latach 1980-81 czolowy działacz „S”. W stanie wojennym internowany, a następnie aresztowany, przebywał w więzieniu do 1984 roku.

CZYJE?

reprezentacją parlamentarną stanowiącą jedyne uprawnomocnione przedstawicielstwo narodu. Gdzie te decyzje naprawdę zapadały?

– W różnych momentach decyzje zapadały w różnych miejscach, ale właśnie wtedy uformował się w Gdańsku nowy silny ośrodek decyzyjny, w skład którego poza Wałęsą wchodził bracia Kaczyński i Jacek Merkel. Nici kontaktów między Warszawą a Gdańskiem zostały osłabione.

Dlaczego?

– Siłą rzeczy. Proszę pamiętać, że tu wszystko było w stanie wrzenia. Wszystko się chwiała i wszystko się tworzyło. Co godzina wydarzało się coś dramatycznie zmieniającego obraz rzeczywistości. Byliśmy tak zaabsorbowani tą sytuacją, że nie zauważałem, jak w Gdańsku narasta frustracja. A ona rosła bardzo szybko, chociaż każdego tygodnia Wałęsa bywał w Warszawie i wszystkie poważne decyzje podejmowane były z jego udziałem. Sądziłem, że między Gdańskiem a Warszawą wszystko układa się jak najlepiej.

Kiedy się Pan zorientował, że jest inaczej?

– Wtedy, gdy o decyzjach Wałęsy zacząłem dowiadywać się z prasy.

A o oświadczeniu z 7 sierpnia dowiedział się Pan z prasy?

– ...

Odniosłem wrażenie, iż niewiele osób Panu uwierzyło, kiedy 9 sierpnia na posiedzeniu OKP mówił Pan o swoim zaskoczeniu decyzjami Wałęsy i jego zobowiązaniu, że w przyszłości będzie uprzedzał klub o tego rodzaju kluczowych posunięciach. Rozumiem, że rozmawiał Pan o tym z Wałęsą. Jak ta rozmowa wyglądała?

– Była bardzo gwałtowna. Powiedziałem wprost, że nie widzę możliwości kontynuowania swojej misji przewodniczącego klubu, jeśli tak będą wyglądały relacje między nami. Chodziło mi nie tylko o stosunki między Wałęsą a klubem, którego był przywódcą, ale także o styl współpracy z „Solidarnością” Rolników Indywidualnych i jej przewodniczącym Józefem Śliszem. Czym innym były moje rozmowy z kierownictwem klubu poselskiego ZSL, o których informowałem Ślisza i innych przywódców „Solidarności” RI wchodzących w skład Prezydium naszego klubu. Czym innym

zaś były rozmowy Wałęsy z ZSL jako partią prowadzone ponad głową Ślisza, a w pewnym sensie także za jego plecami. One stanowiły już naruszenie zasad lojalności między dwiema organizacjami „Solidarności”, które wspólnie odniosły sukces wyborczy. Udało mi się wówczas doprowadzić do spotkania Wałęsy ze Śliszem i w trakcie tego spotkania Lech Wałęsa obiecał, że w sprawach kontaktów z ZSL nie będzie już podejmował żadnych decyzji bez konsultacji z „Solidarnością” rolniczą. Po chwili jednak dodał: „Ale nie wiem, czy tego dotrzymam”. I tym razem powiedział prawdę.

Czy to właśnie był ten drugi po sprawie Komitetów konflikt z Wałęsą, o którym Pan wcześniej wspominał?

– Tak, niewątpliwie był to konflikt bardzo znaczący i to nie dlatego, żeby nasze stanowiska były tu rozbieżne. Całkowicie akceptowałem decyzję Wałęsy. Powiedziałem mu, że nie ma między nami sporu co do jej zasadności. Uważałem natomiast, że naruszył zasady elementarnej lojalności. Przewodniczący frakcji parlamentarnej powinien być pierwszą osobą informowaną o zmianie stanowiska i podjęciu działań w tego rodzaju sprawie.

Kiedy jednak ukazało się już oświadczenie Wałęsy i zdecydować się miała sprawa rządu Kiszczaka, Pan wyjechał na tydzień do Castel Gandolfo. Czy to przypadkiem nie był błąd?

– Ostateczny rezultat nie był wcale zły, a ja duże znaczenie przywiązywałem do możliwości drugiego po zakończeniu Okrągłego Stołu spotkania z Papieżem. Poprzednio widziałem go jeszcze przed wyborami, które bardzo dużo w Polsce zmieniły. Są zresztą zaproszenia, których się nie odrzuca. Kiedy byłem już w Castel Gandolfo, przyjaciele dzwonili, by mi powiedzieć, że powinienem natychmiast wracać. Uważałem, że jeżeli Papież chce rozmawiać o Polsce, jest to ważniejsze od ewentualnych skutków mojej nieobecności w kraju. Sądzę zresztą, że kolokwium w Castel Gandolfo miało kapitalne znaczenie zarówno dla obrazu sytuacji, jaki wyrobił sobie Papież, jak też dla wizji zmieniającej się Polski w opinii światowej. Na zaproszenie Papieża zgromadził się tam przecież kwiat intelektualny świata.

CZYJE?

Sądził Pan, że jest to ważniejsze nawet od tego, kto będzie w Polsce rządził?

– Decyzja już zapadła. Skoro ją całkowicie akceptowałem i wszystko szło w dobrym kierunku, jakież znaczenie mógł mieć mój powrót?

Tego samego dnia, którego w OKP odbyła się awantura pod hasłem „gdzie podejmowane są decyzje?”, klub ZSL zdecydował się wycofać poparcie dla generała Kiszczaka, a zeteselowskie władze partyjne wyraziły gotowość podjęcia rozmów z Wałęsą. Podobna była odpowiedź Stronnictwa Demokratycznego. 14 sierpnia, dwanaście dni po przegłosowaniu jego kandydatury w Sejmie, premier Kiszczak wysłał do prezydenta Jaruzelskiego list sugerujący udzielenie mu dymisji i powierzenie formowania rządu Romanowi Malinowskiemu, ówczesnemu prezesowi ZSL. Po raz pierwszy od 40 lat partia miała się zgodzić na premiera, który nie był jej członkiem. Na razie tym premierem miał zostać lider ugrupowania satelickiego i były wicepremier, ale jednak Rubikon został przekroczony. Dlaczego Kiszczak zdecydował się na ten dramatyczny ruch?

– Sądzę, że nie było to stanowisko samego tylko generała Kiszczaka. Z punktu widzenia obu generałów wyjściem najlepszym było, aby na czele rządu stanął ktoś z ich koalicji, związany z generałem Jaruzelskim lojalnością i przyjaźnią, a nie noszący zbyt mocnego politycznego piętna. Uważali, że powaga sytuacji wymaga rozwiązań idących bardzo daleko, ale nie aż tak daleko, żeby powierzyć rząd „Solidarności”.

W odpowiedzi na list Kiszczaka Jaruzelski zaproponował jeszcze jedno spotkanie głównych sił politycznych. Dlaczego do niego nie doszło?

– Była to próba powrotu do idei Komisji Porozumiewawczej. Znow musielibyśmy rozmawiać z trzema partiami, z kółkami rolniczymi, z OPZZ. Cóż taka rozmowa mogła przynieść? Uważaliśmy, że reprezentujemy realną siłę polityczną i jeżeli mamy z kimś pertraktować, to tylko z tymi, którzy dysponują równie realną siłą fizyczną, a więc właśnie z Jaruzelskim i Kiszczakiem. Tylko z nimi mogliśmy się porozumieć co do ostatecznego ob-

ROK 1989

jęcia przez nas rządu. Sprawy biegły zresztą zbyt szybko, żeby spotkanie w szerokim gronie mogło mieć sens. W chwili gdy Jaruzelski wystąpił ze swoją propozycją, stara koalicja praktycznie już nie istniała, a nowa była niemal gotowa. Nazajutrz odbyło się posiedzenie OKP, na którym zapadły decyzje o tworzeniu przez nas rządu w nowej koalicji. Dla całej ówczesnej sytuacji niezwykle znamieną była dramaturgia tego posiedzenia. Najpierw Aleksander Paszyński* przedstawiał swoją autorską koncepcję wyjścia z politycznego pata poprzez utworzenie rządu fachowców. Po dyskusji nad propozycją Paszyńskiego pojawił się Jarosław Kaczyński, który jako pełnomocnik Lecha Wałęsy przedstawił wyniki praktycznie już zakończonych negocjacji mających doprowadzić do utworzenia rządu pod kierunkiem Lecha Wałęsy. Potem dyskutowaliśmy na temat uchwały popierającej tę koncepcję. Zdania były bardzo podzielone, ale ostatecznie przeważał pogląd, że skoro Wałęsa czuje się na siłach objąć urząd premiera – a takie zapewnienie złożył Kaczyński – to mamy obowiązek go poprzeć. Na koniec przyjechał sam Wałęsa, który powiedział, że stworzył nam możliwość powołania rządu, a na pytanie, czy stanie na jego czele, odpowiedział, że to w grę nie wchodzi i nigdy nie wchodziło. W rezultacie uchwała została przeredagowana i poparcie dla rządu tworzonego przez Lecha Wałęsę zastąpiliśmy sformułowaniem oddającym w ręce Wałęsy sprawę tworzenia rządu.

Nazajutrz prasa podała jednak wersję wcześniejszą, mówiącą, że „parlamentarna koalicja OKP – ZSL – SD jest w stanie uformować rząd pod kierownictwem Lecha Wałęsy”.

– Ten tekst został zmieniony na prośbę Lecha, ale wcześniej redakcje dostały wersję pierwotną. Mało kto mógł przecież przypuszczać, że Wałęsa tak zupełnie zdezawuuje Kaczyńskiego, od początku swojej misji mówiącego, że chodzi o rząd pod kierownictwem Lecha Wałęsy.

***Aleksander Paszyński** – senator, przez wiele lat dziennikarz „Polityki”, w rządzie Tadeusza Mazowieckiego zostanie we wrześniu 1989 roku ministrem budownictwa.

CZYJE?

„Od początku swojej misji”, to znaczy od kiedy?

– O ile wiem, mówił to już na posiedzeniu Prezydium OKP, na które został zaproszony, gdy tylko rozpoczął rozmowy z ZSL i SD*. Ja sam jednak w tym Prezydium nie brałem udziału, bo byłem wtedy w Castel Gandolfo i do Polski wróciłem dopiero 14 sierpnia, kiedy cała ta rozgrywka już się kończyła.

A dlaczego Wałęsa nie zdecydował się na objęcie urzędu premiera?

– Nie pamiętam już, jak to ostatecznie uzasadniał.

Publicznie mówił: „Wy idziecie na stracenie, a ja będę was ubezpieczał”.

– Tak, zapewne przeważał argument ryzyka. Formowanie rządu przez Wałęsę oznaczało rzucenie wszystkiego na jedną szalę. Nie byliśmy pewni, czy nasz rząd potrwa dłużej niż parę miesięcy. Decydując się na naszego premiera, w dużym stopniu graliśmy w ciemno – nie znaliśmy ani reakcji aparatu, ani stanowiska Rosjan, ani stanu państwa, który zresztą okazał się jeszcze gorszy, niż mogliśmy przypuszczać. Zachowanie Wałęsy w odwodzie miało swój sens.

*Tego samego dnia, którego odbyło się posiedzenie OKP z udziałem Wałęsy, Ksiądz Prymas przyjął najpierw generała Jaruzelskiego, a później ambasadora Browikowa**. O ile spotkanie z Jaruzelskim można już było wpisać w ciąg pewnej rutyny, o tyle spotkanie z ambasadorem radzieckim stanowiło zupełne novum i zapewne miało jakiś głębszy kontekst. Czy oznaczało ono, że napięcie polityczne na linii Warszawa – Moskwa zbliżało się do punktu krytycznego? Czy Rosjanie chcieli się wówczas odwołać do autorytetu Kościoła?*

*W protokole z posiedzenia Prezydium OKP z 10 sierpnia znajduje się następujący fragment:

„**Ambroziak:** Oświadczenie Wałęsy było bardzo dużym zaskoczeniem. Czy Wałęsa chce, aby była koalicja z SD i ZSL?”

Kaczyński: Wałęsa wskazuje, że utworzenie rządu z Wałęsą na czele będzie miało w tej sytuacji politycznej i społecznej znaczenie przełomowe. Ze względu na stosunki parlamentarne musi to być rząd koalicyjny z ZSL i SD.

Ślisz: Co to znaczy z Wałęsą na czele?

Kaczyński: Wałęsa ma być premierem”.

(Przypis z I wydania książki, 1990).

****Władimir Browikow** – ambasador ZSRR w Polsce w latach 1986-90.

– Nie sądzę, żeby była to sprawa napięcia. Z pewnością jednak w Moskwie panował ogromny niepokój. Towarzyszyło mu przekonanie, że Episkopat może mieć uśmierający wpływ na rozwój sytuacji w Polsce.

To znaczy wpływ hamujący czy uspokajający?

– Zmniejszający niebezpieczeństwo anarchizacji życia publicznego. Tego Rosjanie bali się najbardziej. Nie wydaje mi się, żeby Moskwa próbowała wywierać wtedy wpływ na przyjęcie w Polsce jakichś konkretnych rozwiązań, nie sądzę, żeby stawiała na jakichś konkretnych ludzi, ale ogromnie obawiała się destabilizacji życia politycznego. Destabilizacja Polski byłaby ogromnym ciosem w politykę Gorbaczowa. Zdarzało mi się wówczas słyszeć, że anarchia w Polsce może oznaczać koniec reform w Rosji.

Anarchia to znaczy oddanie rządu „Solidarności”?

– Tak by było w 1981 roku, a w roku 1989 „anarchia” znaczyło anarchia. Mówiłem już: moim zdaniem Rosjanie nie wywierali wtedy nacisku na przyjęcie przez Polskę jakichś konkretnych rozwiązań politycznych. Jeżeli napotykalibyśmy opory, miały one źródło przede wszystkim w różnych czynnikach wewnętrznych polskich.

Tego samego dnia późnym wieczorem, na pół godziny przed północą, jeszcze raz zebrało się Prezydium OKP – tym razem z udziałem Lecha Wałęsy, który zostawał w Warszawie na noc w związku z zaplanowanymi na następny dzień spotkaniami z przywódcami pozostałych ugrupowań koalicyjnych. Na tym zebraniu Wałęsa mówił o swoich trzech kandydatach na urząd premiera. Dopiero później ujawnił, że byli nimi Tadeusz Mazowiecki, Jacek Kuroń i Pan. Czy Pan już wówczas o tym wiedział, czy też o swojej kandydaturze na urząd premiera również dowiedział się Pan z prasy?

– Te trzy kandydatury zostały przez Wałęsę przedstawione i były omawiane na spotkaniu z przedstawicielami dwóch pozostałych partii koalicyjnych. Na tym spotkaniu zapadła decyzja co do tego, kto ma zostać premierem. Podjęli ją nasi koalicjanci, którym Wałęsa zostawił wybór w obrębie zgłoszonych przez siebie propozycji.

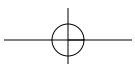
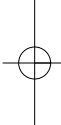
CZYJE?

Unika Pan odpowiedzi na moje pytanie.

– Bo to jest pytanie policyjne. Pan mnie przesłuchuje. Jakie znaczenie ma to, czy wiedziałem. Tak, wiedziałem – chociaż Wałęsa mi tego nie powiedział. Spodziewałem się, że ostatecznie to jednak Wałęsa stanie na czele rządu.

Mimo jego oświadczenia, że nie zamierza być premierem?

– Tak, bo znałem Wałęsę i wiedziałem, że zmienia zdanie. Uważałem, że tym razem też je zmieni. Zaraz po koalicyjnym spotkaniu Wałęsy dowiedziałem się jednak, że wspólnym kandydatem został Tadeusz Mazowiecki.



NASZE



TOMASZ WIERZEJSKI/AG

Nazajutrz, 17 sierpnia, w dniu, w którym Wałęsa spotykał się z Malinowskim i Jerzym Józwiakiem – ówczesnymi przewodniczącymi ZSL i SD – Pan spotkał się z Jaruzelskim.

– Tak. Prezydent zaprosił mnie na spotkanie do Belwederu. O ile pamiętam, odbyło się ono około południa.

O co mu chodziło?

– Rozmowa dotyczyła kryzysu rządowego. Jaruzelski chciał znać moją opinię na ten temat. Przedstawiłem mu stanowisko klubu. Powiedziałem, że OKP nie wejdzie w skład koalicji formowanej przez generała Kiszczaka i że nie widzimy możliwości uczestniczenia w tym rządzie na żadnych zasadach. Nie chodziło nam przecież o warunki proponowanego kontraktu, o ilość tek ani o treść koalicyjnego porozumienia. Odrzucaliśmy możliwość udzielania jakiegokolwiek poparcia dla rządu tworzonego przez partię. Generał Jaruzelski nie był tym oczywiście zaskoczony, bo znał już wstępne rezultaty rozmów między „Solidarnością” a dwoma stronnictwami. Mówił mi, co na ten temat wiedział. Miał już wówczas za sobą rozmowę z prezesem Malinowskim, który relacjonował mu przebieg pertraktacji prowadzonych przez Jarosława Kaczyńskiego.

Co Jaruzelski o tym mówił?

– Nasza rozmowa odbywała się w chwili, gdy generał nie znał ostatecznych decyzji dotyczących zawarcia nowej koalicji. Odniosłem też wrażenie, że nie miał ostatecznie wyrobionego poglądu na

ten temat. Natomiast mówił, jak rozumie interes Polski i jakich oczekuje reakcji ze strony innych krajów.

Czego się spodziewał?

– Mówił, że jego zdaniem dla niektórych krajów bloku, a zwłaszcza dla NRD i Czechosłowacji, utworzenie rządu kierowanego przez „Solidarność” byłoby wydarzeniem dramatycznym, mogącym spowodować różne reakcje. Mówił, że nie jest pewny, czy można sobie wyobrazić, żeby już teraz członek „Solidarności” formował rząd w jednym z krajów Układu Warszawskiego*. Odpowiedziałem, że lepiej sobie to wyobrazić, bo i tak to nastąpi. Przypomniałem, że nasza strona gotowa jest sformować rząd koalicyjny, ale kategorycznie odmawia uczestnictwa w gabinecie tworzonym przez PZPR.

Głównym argumentem za utrzymaniem władzy przez PZPR był wówczas jej mityczny monopol na dobre stosunki z Rosjanami. Czy Jaruzelski mówił coś na ten temat?

– Powiedział mi – i uważałem to stwierdzenie za bardzo istotne – że nie wie, jaka będzie reakcja Rosjan. Mówił, że ilekroć w ciągu ostatnich lat podejmowane były w Polsce istotne decyzje, zawsze znajdowaliśmy się na granicy tego, co Rosjanie mogli zaakceptować. Uważał, że tym razem też znajdujemy się na tej granicy, której jednak nie można zobaczyć tak długo, jak długo się jej nie przekroczy.

A czy o losie i reakcji partii nie wspominał?

– Mówił, że nie wie, jaka będzie przyszłość PZPR, bo nie jest pewny, w jakim stopniu będzie umiała się zmienić.

Nie wyrażał obawy, że rząd „Solidarności” oznaczać musi koniec partii?

– Nie, ale odniosłem wrażenie, że liczył na wyjście kompromisowe, jakim mogło mu się wydawać stworzenie rządu przez Romana Malinowskiego. Było to jednak tylko wrażenie, bo w całej rozmowie ani słowo na ten temat nie padło.

*Polska należała do utworzonego w 1955 roku Układu Warszawskiego – sojuszu polityczno-wojskowego zorganizowanego pod egidą ZSRR i jemu podporządkowanego; to jego członkowie dokonali w 1968 roku inwazji na Czechosłowację.

NASZE

Tego dnia, 17 sierpnia, Sejm niemal jednogłośnie przyjął uchwałę potępiającą inwazję na Czechosłowację w 1968 roku. Czy do tego nie nawiązywaliście?

– Nie rozmawialiśmy na ten temat. O ile pamiętam, Jaruzelski wspomniał tylko o emocjonalnych reakcjach czeskich władz, jakie wywołało pojawienie się projektu tej uchwały. Oczywiście został on uznany za ingerencję w wewnętrzne sprawy Czechosłowacji, co wydawało się kompletnie nielogiczne, bo to właśnie my potępialiśmy militarną ingerencję. Taka właśnie reakcja była jednak całkowicie zgodna z logiką realnego socjalizmu, która zawsze stawiała wszystko do góry nogami. Sam Jaruzelski nie wypowiadał się na temat tej uchwały. W ogóle raczej powstrzymywał się od wyrażenia osobistych ocen. W moim wspomnieniu tej rozmowy generał Jaruzelski pod żadnym względem nie przypomina drapieżnego szefa WRON. Zrobił na mnie wrażenie człowieka rozdartego ogromem odpowiedzialności. Zdawało mi się, że uczciwie niepokoił się o przyszłość, a powierzenie „Solidarności” misji formowania rządu uważał za sprawę otwartą. Nie odrzucał takiej możliwości, ale też nie podjął jeszcze decyzji w tej sprawie.

Co poza geopolityką budziło jego niepokój?

– Zupełnie nowe rozwiązania, przed którymi stawał. Podobnie jak my nie był przecież w stanie do końca przewidzieć nie tylko reakcji Moskwy, ale także zachowania swoich własnych podwładnych. Nie miał pewności, czy uda mu się zapanować nad aparatami, na których opierała się jego władza. A przede wszystkim, po raz pierwszy musiał mieć poczucie, że mechanizm polityczny uruchomiony przez porozumienia Okrągłego Stołu zaczyna funkcjonować własnym trybem, że wymyka mu się z rąk. Wtedy zapewne zrozumiał, że nie jest już w stanie panować nad zachodzącym w Polsce procesem politycznym. Rozpadała się jego wizja prezydenta mającego zastąpić kierowniczą rolę partii.

Mógł się jeszcze odwołać do tego samego argumentu, którym ostatecznie posłużył się w 1981 roku – do siły.

– Myślę, że wykluczał użycie siły, natomiast szukał rozwiązań w koncepcji rządu fachowców. Stąd wersja z Malinowskim.

ROK 1989

Dlaczego sądzi Pan, że wykluczał wariant użycia siły? Czy uważa Pan, że powrót do 13 grudnia nie był już wtedy możliwy?

– Był możliwy, ale nie dla niego. On był już stygmatyzowany, napiętnowany politycznym niepowodzeniem stanu wojennego. Zdawał sobie sprawę z tego, że 13 grudnia nie był sukcesem. Dokonywał wprawdzie swoistej racjonalizacji, mówiąc, że „to dzięki tamtej decyzji możliwy był Okrągły Stół”, ale musiał mieć świadomość, że decyzja 13 grudnia zakończyła się negatywnym bilansem. Nie mógł jej powtórzyć, bo nie mógł uwierzyć, że taka decyzja przyniesie pozytywne efekty.

W grudniu 1981 generał Jaruzelski musiał dostrzegać wysokie ryzyko ceny krwi. W roku 1989 z pewnością miał świadomość, że ta cena była za wysoka.

Decydowały więc względy polityczne, a nie militarne czy logistyczne.

– Przede wszystkim chyba osobisty stygmat, piętno 13 grudnia, które Jaruzelski nosił w sobie. Kto inny mógłby taką decyzję podjąć. On nie. W końcu ważyć musiał i ten argument, że decyzja o wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce byłaby wyrokiem na Gorbaczowa. Wykluczała ją więc także specyficzna relacja między Jaruzelskim a Gorbaczowem.

Parę godzin po rozmowie z Panem Jaruzelski spotkał się z Wałęsą, Malinowskim i Józwiakiem, a nazajutrz przyjął już Tadeusza Mazowieckiego i następnego dnia, 19 sierpnia, oficjalnie desygnował go na urząd premiera. Gdy ogłaszano decyzję prezydenta, trwały właśnie obrady XIV Plenum Komitetu Centralnego Partii, na czele której do niedawna stał. Można powiedzieć, że dopiero teraz partia naprawdę „zawyła”. Groźnie brzmiąca uchwała KC stwierdzała, że „na inicjatorach rozbicia dotychczasowej koalicji spocznie historyczna odpowiedzialność”, oraz otwarcie domagała się, by reprezentacja PZPR w nowym rządzie odpowiadała „jej potencjałowi politycznemu” i – co gorsza – „państwowemu”. Czy w czasie tej rozmowy Jaruzelski wspominał, jak wyobraża sobie rolę partii w gabinecie, który ewentualnie sformowałby człowiek „Solidarności”?

– Nie. Kiedy rozmawialiśmy, Jaruzelski wiedział, że jestem jednym z trzech wysuniętych przez Wałęsę kandydatów na urząd pre-

NASZE

miara. Ja jednak miałem już informację, że wspólnym kandydatem nowej koalicji będzie Tadeusz Mazowiecki. Staralem się więc uniknąć sytuacji, w której Jaruzelski mógłby odnieść wrażenie, że prowadzimy jakieś wstępne pertraktacje. Ograniczyłem się do użycia formuły, że dwa ministerstwa mogą stanowić przedmiot troski ze strony krajów Paktu Warszawskiego – były to oczywiście resorty spraw wewnętrznych i obrony narodowej. Generał Jaruzelski twierdził, że lista jest nieco dłuższa, ale nie podejmowaliśmy dyskusji na ten temat.

A jakie były te dodatkowe ministerstwa?

– Przede wszystkim Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Uważałem jednak, że MSZ leży poza zakresem strategicznych interesów Paktu Warszawskiego. Ten problem ujawnił się zresztą już wcześniej, gdy w Sejmie negocjowaliśmy consensus w sprawie podziału przewodnictwa różnych komisji między poszczególne kluby poselskie. PZPR upierała się wówczas, żeby pozostawić jej przewodnictwo komisji spraw zagranicznych, gdyż ich zdaniem polityka zagraniczna wchodziła w skład strategicznych interesów obozu socjalistycznego. My natomiast mówiliśmy, że polityka zagraniczna jest przede wszystkim sprawą interesu narodowego. Broniliśmy tego bardzo twardo. W końcu udało nam się przekonać inne kluby, co sprawiło, że przewodnictwo sejmowej komisji spraw zagranicznych zostało przyznane OKP. Uważałem, że tę samą zasadę należy stosować w rozmowach na temat formowania rządu.

Czy o zasadach powoływania tego rządu rozmawialiście też na posiedzeniu Prezydium OKP, w którym bezpośrednio po sformowaniu nowej koalicji wziął udział Lech Wałęsa?

– Nie, w ogóle nie było o tym mowy.

W dniu, w którym generał Jaruzelski oficjalnie desygnował Mazowieckiego na nowego premiera, 19 sierpnia, miało miejsce jeszcze jedno istotne wydarzenie. Opinia publiczna miała się o nim dowiedzieć dopiero wiele tygodni później. Myślę o liście kierownictwa rumuńskiego do Biura Politycznego PZPR, który tego wieczora wręczono polskiemu ambasadorowi w Bukareszcie. List, doręczony

ROK 1989

równocześnie kierownictwom partyjnym innych krajów Układu Warszawskiego, ostro krytykował ugodową postawę polskiej partii komunistycznej i wyraźnie nawiązywał do tej tradycji, której wyrazem była inwazja na Węgry w 1956 i na Czechosłowację w 1968 roku. Czy Pan wtedy wiedział o tym liście?

– Tak, kopię tego listu dostałem jeszcze tej samej nocy.

Od kogo?

– Tego powiedzieć nie mogę, ale w każdym razie nie od adresatów.

Jak Pan ten tekst rozumiał? Czy była to jeszcze groza, czy już operetka?

– Wtedy była to jeszcze groza. Proszę wyobrazić sobie, jak niezwykle poważnie musiało ten list potraktować polskie Biuro Polityczne, skoro nie zdecydowało się wówczas na jego opublikowanie. Przecież to była zupełnie wyjątkowa szansa pokazania nowego oblicza partii, która nie tylko godzi się na zmiany, nie tylko nie zwraca się do nikogo o bratnią pomoc, ale jeszcze odrzuca życzliwie wyciągniętą rękę towarzyszy rumuńskich. Publikacja polskiej odpowiedzi na list rumuński mogła dla image'u PZPR i Rakowskiego zrobić więcej niż wszystkie ich wcześniejsze i późniejsze propagandowe zabiegi razem wzięte. A jednak nie zdecydowali się na to – dlatego właśnie, że wówczas czuło się jeszcze grozę. Wisiał jeszcze nad Polską cień praskiej wiosny i placu Niebiańskiego Spokoju. Dla mnie ten list stanowił bardzo istotne memento. Wciąż przecież istniały przeróżne zagrożenia. Mieliśmy na ten temat wiele informacji.

Jakie to były informacje?

– Mieliśmy doniesienia o różnych działaniach podejmowanych przez tych, którzy przegrali. Wiedzieliśmy o takich działaniach w partii i w bezpieczeństwie przede wszystkim w Warszawie i na Śląsku. Te wieści nie docierały do nas przypadkiem. Myślę, że chodziło o uświadomienie nam, iż chodzimy po linie, a sytuacja po drugiej stronie jest znacznie bardziej złożona, niż by się to mogło wydawać.

Czy to wszystko miało wpływ na wasze stanowisko w sprawie rządu?

NASZE

– Świadomość zagrożeń miała duży wpływ na całą naszą postawę – choćby w sprawie prezydenta. To jest oczywiste. Natomiast list rumuński wsparty całą tą dramatyczną oprawą, jaką stanowiło wręczenie go ambasadorowi późnym wieczorem i jednocześnie przekazanie innym partiom komunistycznym, nie odegrał poważnej roli. Przede wszystkim dlatego, że nie uzyskał akceptacji Moskwy. Dość szybko dostaliśmy wiadomość, że emisariusz rumuński nie został przyjęty przez Gorbaczowa. Dla nas był to znak, że zagrożenie – raczej! – nie istnieje. Była to jednak tylko kalkulacja, którą przyjęliśmy tym chętniej, że każda inna ocena sytuacji musiałaby bardzo krępować nasze ruchy.

Rozumiem, że partia potraktowała tę sytuację znacznie poważniej.

– Oni byli szczerze przestraszeni, zanim jeszcze przyszedł rumuński list. Mniej więcej właśnie wtedy Janusz Reykowski powiedział mi, że głównym problemem nie jest sytuacja polityczna w dawnym obozie władzy, lecz możliwe zachowanie się ludzi z bronią.

Wierzy Pan, że ci „ludzie z bronią” rzeczywiście przygotowywali się wówczas do zamachu?

– Sądzę, że w każdym razie organizowali się poza oficjalnymi strukturami.

A co powstrzymało ich przed podjęciem choćby próby odwrócenia biegu spraw?

– Myślę, że czynnikiem decydującym był generał Jaruzelski i jego autorytet w tamtych kręgach.

Cztery dni po desygnowaniu na urząd premiera Tadeusz Mazowiecki wystąpił na zebraniu OKP, ale wypowiadał się bardzo ogólnikowo. Jakie było wówczas stanowisko klubu wobec procesu formowania przyszłego rządu?

– Nie było żadnego stanowiska klubu w tej kwestii. Mazowiecki bywał już wcześniej na posiedzeniach OKP, ale 23 sierpnia po raz pierwszy wystąpił w swojej nowej roli i uzyskał wyraźne wotum zaufania dla samej zasady formowania przez niego rządu. Była wśród nas zgoda co do tego, że tworzenie gabinetu znajduje się w jego ręku. Został przez nas w pełni zaakceptowany – był przecież jed-

na z najwspanialszych postaci polskiej opozycji demokratycznej i „Solidarności”. Powiedział wówczas rzecz bardzo dla niego charakterystyczną – że aby spełnić swoją misję, potrzebuje klimatu zaufania i przyjaźni. Odpowiadając na jego wystąpienie, w imieniu klubu obiecałem więc nasze zaufanie i naszą przyjaźń. Formowanie rządu było zatem jego sprawą autorską, na co – jeszcze przed sejmową nominacją – zgodził się klub będący naturalnym politycznym zapleczem nowego premiera.

Kiedy 24 sierpnia Tadeusz Mazowiecki został przez Sejm powołany na urząd premiera...

– Powołany jednogłośnie!

Niemal jednogłośnie, bo jednak przy czterech głosach sprzeciwu i 41 wstrzymujących się.

– Zgadzam się na „niemal”.

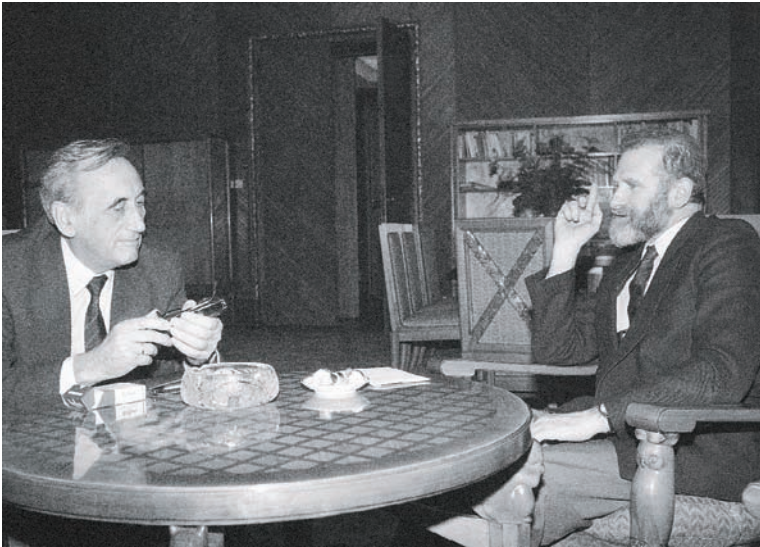
A więc Wałęsa zareagował na to oświadczeniem, w którym stwierdzał, że „proces reformowania Polski dopiero się rozpoczął, a skala kryzysu skłania do przyspieszenia tego procesu, do podejmowania działań niekonwencjonalnych. Skłania też do zgodnego współdziałania wszystkich sił politycznych”. W wypowiedzi dla PAP dodawał zaś, że „na pewno Tadeusz Mazowiecki coś więcej zrobi aniżeli ktokolwiek inny na tym stanowisku”. Na tym tle pewną konsternację wywołał ogłoszony w „Gazecie Wyborczej” tekst Adama Michnika. W odróżnieniu od Wałęsy Michnik zdawał się bowiem w osobie premiera dostrzegać nie tylko wielką obietnicę, ale także pewne zagrożenia.

Formułując życzenia dla nowego premiera Michnik przypomniał jego podziw dla Kutuzowa – mistrza czekania – i zamiast napisać, czego się obawia, pisał, czego Mazowieckiemu życzy: „Życzę mu dodatkowo, by był premierem wypowiedzi jasnych i konkretnych, decyzji odważnych i dalekowzrocznych”. Był to więc tekst pełen życzliwości, ale zarazem pozbawiony entuzjazmu dla personalnej decyzji, jaką podjęli Wałęsa, Malinowski i Józwiak. Czy Pan podzielał te obawy Michnika? Czy jego przestroga znajdowała uzasadnienie w doświadczeniu Pańskiej wcześniejszej współpracy z Mazowieckim?*

*Michail Kutuzow – feldmarszałek rosyjski, pogromca Napoleona.

NASZE

Spotkanie w Urzędzie Rady Ministrów



Prosiłem Mazowieckiego,
żeby pamiętał, że jego sukcesy
będą naszymi sukcesami, a jego porażki
będą naszymi porażkami

ROK 1989

– Czytając ten tekst ostro postrzegalem jego przesłanie, którym było ostrzeżenie wynikające z krytycznego oglądu sytuacji i politycznej osobowości Mazowieckiego. Muszę powiedzieć, że byłem niezwykle rad, iż sam Mazowiecki przyjął ten artykuł bardzo dobrze. Adam Michnik był wówczas w specyficznej sytuacji. Z Mazowieckim łączyły go lata przyjaźni, ale także okresy kryzysów. W roku 1989 Adam Michnik był pierwszy, który powiedział: „Wasz prezydent – nasz premier”. Spotkała go za to ostra reprymenda – najostrejsza właśnie ze strony Tadeusza Mazowieckiego. Życzenia Michnika adresowane przeciw zarówno do czytelników, jak i do Mazowieckiego były więc wówczas tekstem bardzo istotnym.

Przywołanie Kutuzowa nie stanowiło tylko pustej metafory ani tym bardziej chwytu retorycznego. Było to odwołanie się do jednego z najsilniejszych wzorców Mazowieckiego.

Mazowiecki rzeczywiście żywi cześć dla Kutuzowa, dla jego filozofii działania. Proszę jednak zwrócić uwagę, że w żadnym razie nie jest to filozofia bezczynności. Jest to doktryna czekania po to, żeby zwyciężyć. Kutuzow zwyciężył i dał historyczny przykład, jak zwyciężać mądrze. To właśnie Mazowieckiego fascynowało. Przestroga Michnika dotyczyła zaś tego, że jeśli czekanie ma prowadzić do zwycięstwa, w pewnym momencie trzeba je zastąpić działaniem. Michnik uważał, że w chwili gdy Mazowiecki staje na czele rządu, trzeba mu to przypomnieć. Ryzyko polegało na tym, że Mazowiecki mógł się poczuć tym tekstem dotknięty. Tak się nie stało. Odebrał go jako gest przyjaźni i to stanowiło poważne źródło mojego optymizmu.

Bo też tekst nie pozostawiał wątpliwości co do tego, że autor darzy nowego premiera szczerą przyjaźnią.

– Ale jednak krytycznie ocenia go jako polityka. Był to bowiem tekst wyraźnie krytyczny, ostrzegający przed niebezpieczeństwami kryjącymi się w politycznej filozofii i także w osobowości Mazowieckiego.

Występując z trybuny sejmowej w czasie debaty poprzedzającej powierzenie Mazowieckiemu misji formowania rządu powiedział Pan,

NASZE

że „do podjęcia tej trudnej roli staje najlepszy”. Brzmiało to bardzo pięknie, bo przecież wiele osób zdawało sobie sprawę, że miał Pan prawo oczekiwać, iż obok Lecha Wałęsy właśnie Bronisław Geremek ma największe szanse przejść do historii jako pierwszy niekomunistyczny premier PRL i całego bloku wschodniego. Czy rzeczywiście wierzył Pan wówczas, że Mazowiecki był tym najlepszym kandydatem, na jakiego „Solidarność” mogła się zdobyć?

– Składałem wówczas deklarację polityczną. Składałem ją jako polityk. Powiedziałem to dlatego, żeby uciąć wszelkie możliwe dwuznaczności. Mówiłem to jednak również jako przyjaciel Tadeusza Mazowieckiego – mimo że w naszych stosunkach były też poważne kryzysy. To zdanie znaczyło, że miałem maksimum zaufania do nowego premiera, i wszystkich, którzy w niego nie uwierzyli, chciałem do Mazowieckiego przekonać.

Czy to znaczy, że przestroga Michnika wydawała się Panu przesadna? A może spodziewał się Pan, że właśnie taka pełna umiarkowania strategia cierpliwego wyczekiwania na polityczne szanse i raczej wykorzystywania możliwości niż ich tworzenia będzie najodpowiedniejsza w dającej się przewidzieć przyszłości? Czy sądził Pan, że właśnie Kutuzowa najbardziej Polsce potrzeba?

– Nie, nie miałem takiego przekonania. Obawiałem się, że zbyt refleksyjny sposób patrzenia na politykę, a także refleksyjność natury niezwykle utrudniająca podejmowanie decyzji mogą stanowić ogromny balast blokujący działanie Mazowieckiego jako premiera. Po moich rozmowach z Mazowieckim miałem jednak poczucie, że nie będzie on sam, kiedy stanie na czele tego ryzykownego procesu politycznego.

Co znaczy: „nie będzie sam”?

– Znaczyło to, że jego ryzyko jest także ryzykiem OKP i nas wszystkich. Kiedy pierwszą po desygnowaniu go na urząd premiera wizytę złożył właśnie mnie jako przewodniczącemu Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego poprosiłem Mazowieckiego, by pamiętał, że jego sukcesy będą naszymi sukcesami, a jego porażki naszymi porażkami i że w związku z tym może liczyć na pełną lojalność klubu. Mówiłem tak, mając przeświadczenie, że mogę tę lo-

jalność zagwarantować. Znałem przecież stan umysłów w naszym klubie.

Wówczas OKP stanowił jedność – niezależnie od wahań, wątpliwości i pewnych, jak sądziłem, drugorzędnych rozbieżności politycznych. Tę jedność ofiarowaliśmy Mazowieckiemu, kiedy stawał przed historyczną odpowiedzialnością. Żywiłem przekonanie, że taka sytuacja będzie premierowi pomagała w trudnym procesie podejmowania decyzji, które go czekały. Przez lata naszej współpracy obserwowałem powolność, z jaką podejmował decyzje, powolność czasem niezwykle irytującą. Nauczyłem się jednak, że gdy Mazowiecki raz już decyzję podjął albo przekonał się do decyzji podjętej przez kogo innego, w jej realizowaniu jest niezłomny. Uważałem, że to bardzo ważna cecha.

Wspomniał Pan o jedności, którą OKP dawał Mazowieckiemu niejako w posagu. Wydaje mi się, że już wówczas była ona lekko, choć – jak się miało okazać – trwale naruszona. Na dzień przed formalnym powołaniem Mazowieckiego na urząd premiera w OKP oficjalnie powstała Sekcja Rolna. Można by uznać za rzecz naturalną, a nawet korzystną, że w klubie reprezentującym aspiracje całego społeczeństwa swój instytucjonalny wyraz znalazły specyficzne potrzeby środowisk wiejskich. Rzecz w tym, że powstanie Sekcji stanowiło akt protestu przeciwko lekceważeniu niezależnych środowisk chłopskich zademonstrowanemu przez Wałęsę w trakcie podejmowania decyzji dotyczących nowej koalicji.

– Tak, ma pan rację, że powstanie Sekcji Rolnej było wyrazem sprzeciwu wobec naruszenia poczucia godności i ważności naszych rolników, a zwłaszcza „Solidarności” Rolników Indywidualnych i ich przywódcy senatora Józefa Ślisza. Ani Mazowiecki, ani ja nie ponosiliśmy za to winy. Przeciwnie, właśnie ja występowałem jako rzecznik rolniczej „Solidarności” wobec Lecha Wałęsy. Powstanie Sekcji Rolnej nie było więc aktem wymierzonym w jedność klubu. Wyrażało poczucie zagrożenia interesów środowiska chłopskiego. Źródłem tego poczucia z pewnością nie był zaś ani klub, ani tym bardziej nieistniejący jeszcze rząd Mazowieckiego. Obawy rolników wiązały się z realnie widocznym niebezpieczeń-

NASZE

stwem supremacji „Solidarności” miejskiej nad ich „Solidarnością”. Pod wpływem doświadczeń związanych z powołaniem nowej koalicji pięćdziesięciu przedstawicieli „Solidarności” rolniczej w Sejmie i Senacie uznało, że polityczne interesy ich środowiska muszą znaleźć wyraz w strukturze naszego klubu. Uważałem, że mają do tego prawo. Zwłaszcza że deklarowali lojalność wobec klubu i premiera, choć koalicyjnym partnerem Wałęsy został przywódca wiejskiej nomenklatury – Roman Malinowski – zaś Józef Ślisz dowiadywał się o wszystkim z gazet.

Dzień po powierzeniu Mazowieckiemu misji formowania rządu spotkał się Pan z premierem w Urzędzie Rady Ministrów. Czy wówczas rozmawialiście już o konkretach – na przykład o podziale tek?

– Rozmowa w URM nie była rozmową ważną. Dotyczyła różnych drugorzędnych spraw technicznych. Naprawdę ważna była nasza wcześniejsza rozmowa w gmachu Sejmu.

I naprawdę nie rozmawialiście o tym, jak rozwiązać ów stworzony wcześniej hybrydalny układ, w którym przyszło Mazowieckiemu powoływać rząd? Jego polityczną podstawę stanowiło przecież porozumienie związku zawodowego z dwiema satelickimi wobec komunistów partiami politycznymi, których wpływ na własne kluby poselskie był już wówczas ograniczony. W Sejmie, który musiał powołać rząd i wspierać jego politykę, koalicja zaś nie istniała. W gruncie rzeczy nie było wiadomo, czy kandydatów na ministrów mają delegować partie lub kluby, czy też może ma ich wybierać sam premier. Mechanizm, wedle którego ten rząd miał powstawać, był wielką niewiadomą, przynajmniej w opinii społecznej.

– Dla mnie od samego początku było zupełnie oczywiste, że misja sformowania rządu spoczywa na Tadeuszu Mazowieckim. Mazowiecki mówił mi o ogólnej zasadzie podziału ministerialnych tek między poszczególne ugrupowania polityczne i o strukturze przyszłego rządu – zwłaszcza o zasadzie, wedle której wicepremierzy reprezentujący różne ugrupowania mieli zarazem odpowiadać za szerokie dziedziny życia kraju i kierować kluczowymi dla tych dziedzin resortami.

Czy otrzymał Pan propozycję wejścia do tego rządu?

ROK 1989

– Jakie ma pan następne pytanie?

Czy o innych kandydaturach nie było mowy?

– Nie wymienialiśmy nazwisk. Mazowiecki formował ten rząd sam.

Rozumiem, że w odróżnieniu od dużej części klubu Pan akceptował tę sytuację.

– Uważałem, że jako premier powołany przez Sejm ma takie prawo.

Czy Mazowiecki zdawał sobie sprawę, jak bardzo było to irytujące? Utrzymywanie całego procesu formowania rządu w głębokiej tajemnicy okazało się trudne do zaakceptowania nie tylko dla posłów, ale również dla dużej części społeczeństwa. Od 24 sierpnia do 11 września, czyli od chwili powołania Mazowieckiego aż do przekazania marszałkowi Sejmu składu Rady Ministrów, prasa niemal codziennie drukowała długie listy osób, z którymi Mazowiecki się spotkał. O treści rozmów na ogół nie można się jednak było niczego dowiedzieć. W wypadku każdego innego rządu byłoby to do wytrzymania. W wypadku tego – naszego pierwszego – nie. Czy Premier tego nie wyczuwał, czy też po prostu w ówczesnej sytuacji nie można było działać inaczej?

– Myślę, że nie wyczuwał tej atmosfery. Uważał, że – jak to ujął Jacek Kuroń – „skład rządu jest sprawą autorską”. Nie dostrzegał więc niczego niezwykłego także i w tym, że formując rząd nie konsultuje się ze swoim poniekąd macierzystym klubem. Na początku klub znosił to nieźle, ale kompletowanie gabinetu się przeciągało. Zrazu Mazowiecki zakładał, że rząd będzie skompletowany przed 1 września, i takie składał zapowiedzi. Było to nierealistyczne. Niedotrzymanie tego terminu i konsekwentne okrywanie całego procesu tajemnicą powodowało narastanie politycznego napięcia. Wynikało ono przede wszystkim z niepokoju wywoływanego brakiem łączności między opinią publiczną a sferą władzy.

Było też chyba coś więcej niż tylko brak łączności, bo jednak opinia publiczna zasypywana była sporą ilością wiadomości poważnie niepokojących. Po rozmowie z Mieczysławem Rakowskim Jarosław Kaczyński – występujący jako pełnomocnik Lecha Wałęsy – ogłosił na przykład, że PZPR domaga się stanowiska wicepremiera oraz telewi-

NASZE

zji (którą rządził Jerzy Urban) i sześciu ministerstw – finansów, łączności, transportu, spraw zagranicznych, obrony narodowej i spraw wewnętrznych. Także sześciu ministerstw domagał się publicznie prezes ZSL Malinowski. Twierdził, że jego partia nie może na tej koalicji stracić, a właśnie sześć resortów obiecał ZSL-owi generał Kiszczak. Pamiętam też niepokój, jaki w pierwszych dniach września wywołało oświadczenie Rakowskiego, który po rozmowie z premierem stwierdził, iż „jest zadowolony” – zwłaszcza że niemal jednocześnie Marian Orzechowski, szef partyjnego klubu poselskiego, powiedział, że „partia będzie obecna we wszystkich dziedzinach życia”. Premier jednak milczał i Pańskie publiczne zapewnienia, że telewizji nie oddamy, nie mogły wystarczyć do uspokojenia społeczeństwa. Czy zna Pan losy tych przetargów? Czy wówczas rozmawialiście o tym z premierem? Czy rzeczywiście nie można było bardziej „upublicznić” procesu formowania tego gabinetu?*

– Wiem niewiele, rozmawialiśmy mało. Wiedziałem właściwie tylko tyle, że różni partnerzy wysuwają zmieniające się postulaty. Apetyty były rzeczywiście ogromne. Zwłaszcza PZPR domagała się nie tylko tek ministerialnych, ale także stanowisk sekretarzy i podsekretarzy stanu we wszystkich resortach. Sądzę, że zredukowanie tych roszczeń do względnie przyzwoitych rozmiarów wymagało nie tylko dużego wysiłku negocyjacyjnego, ale także właśnie czasu. Nie wydaje mi się, żeby Mazowiecki mógł wówczas prowadzić te rozmowy z pozycji siły. W dużym stopniu musiał jednak uzyskiwać akceptację dla swoich propozycji. Chcąc uniknąć kolejnego krachu, musiał okazywać zrozumienie dla nawyków swoich rozmówców, musiał im dać czas na pogodzenie się z utratą dawnej pozycji. Nie mógł przecież ofiarować im tego, co chcieli, a nie mógł także dopuścić do zerwania przez nich rozmów. Pod koniec procesu formowania rządu atmosfera była już zresztą dość nerwowa. Nie tylko dlatego, że wciąż nie było wiadomo, jak przebiegają negocjacje, ale także dlatego, że 18 września mijał trzymiesięczny termin wyznaczony przez konstytucję na powołanie rządu. Gdyby do tego dnia Sejm

*Jerzy Urban był szefem Komitetu ds. Radia i Telewizji od kwietnia do września 1989 roku.

nie powołał Rady Ministrów, prezydent miałby prawo rozwiązać parlament i ogłosić nowe wybory.

Jak ocenia Pan rolę prezydenta w procesie „przyzwyczajania” PZPR do jej nowej roli? Między uchwałą KC mówiącą o „odpowiedniej reprezentacji” a zgodą Rakowskiego na ostateczną propozycję Mazowieckiego apetyt partii musiał przecież zostać zdecydowanie utemperowany. Czy należy to przypisać perswazji ze strony prezydenta, czy też raczej negocjacyjnym talentom premiera i pogodzeniu z nową rzeczywistością, którą PZPR musiała w końcu zaakceptować?

– Nie mam wątpliwości, że decyzja dotycząca powołania premiera z „Solidarności” należała do Jaruzelskiego w sensie nie tylko formalnym, ale także politycznym. Natomiast zgoda PZPR na jej ograniczoną rolę w nowym rządzie stanowiła już wyraz pogodzenia się partii z nową rzeczywistością. Aprobata Jaruzelskiego dla nowej koalicji, która niejako rozwiązywała kwestię policji i wojska, bo lojalność generałów wobec prezydenta wydawała się niewątpliwa, sprawiała, że pozycja przetargowa PZPR stała się niezbyt mocna. Mam wrażenie, że bezpośrednie relacje między partią i generałem Jaruzelskim były już wówczas dosyć słabe, a właśnie stanowisko prezydenta ograniczało horyzont realnych aspiracji PZPR. Uzyskanie porozumienia było więc przede wszystkim kwestią czasu. Rakowski nie mógł storpedować misji Mazowieckiego, ale mógł ją opóźnić, i to było źródłem emocji.

Mam wrażenie, że mogły być także inne powody do zdenerwowania. Choćby utrzymująca się dwutorowość politycznej aktywności niedawnej opozycji. Wciąż można było mieć wrażenie, że Związek i klub działają wedle zasady „każdy sobie...”. Kolejnym przyczynkiem do tej konstatacji stało się drugie spotkanie Lecha Wałęsy z Romanem Malinowskim i Jerzym Józwiakiem. „Solidarność” oraz ZSL i SD powołały wówczas stały wspólny sekretariat, w skład którego weszli sekretarze dwóch partii oraz Jarosław Kaczyński jako przedstawiciel Związku. Dla OKP było to, zdaje się, kompletne zaskoczenie. Czy między Związkiem a klubem nie było wówczas żadnej koordynacji działań?

– Kontakty między nami były już sporadyczne i o utworzeniu sekretariatu koalicji dowiedzieliśmy się z prasy. Od początku uwa-

NASZE

załem zresztą, że jest to błąd. Powołanie tego sekretariatu stworzyło sytuację, której politycznie nie akceptowałem. Obie partie, z którymi Wałęsa układał się za pośrednictwem senatora Kaczyńskiego, były przez kilkadziesiąt lat satelitami komunistów. Dla „Solidarności” nie mogły one być partnerem politycznym. Naszymi koalicyjnymi partnerami mogły się stać tylko kluby poselskie.

A cóż to za różnica?

– Zupełnie zasadnicza. W systemie komunistycznym partie polityczne są strukturami politycznej biurokracji. Ludzi aparatów partyjnych miałem okazję poznać między innymi podczas obrad Okrągłego Stołu. Aparaty satelitów nie były ani o jotę lepsze od aparatu PZPR. Jeśli była jakaś różnica, to może tylko taka, że do buty komunistów u ich satelitów dochodziła jeszcze służalczość, dzięki której mieli prawo istnieć. Natomiast nie widziałem tych cech w zachowaniach klubów poselskich. Był to skutek wyborów, w których ludzie aparatu przeważnie przegrywali z szeregowymi członkami partii. Dotyczyło to zresztą nie tylko ZSL i SD, ale także PZPR. Koalicja w ramach Sejmu wydawała mi się więc rzeczą w miarę naturalną, skoro już zdecydowaliśmy się prowadzić parlamentarną grę. Natomiast zawiązywanie stałej koalicji z partiami uważałem za manipulację, która w dodatku nie zostanie dobrze przyjęta przez opinię publiczną. Była to więc inicjatywa zupełnie absurdalna, która na szczęście wkrótce umarła śmiercią naturalną, bo nie miała żadnego oparcia w rzeczywistości.

Zdaje się, że odpowiedzią na powołanie tego sekretariatu było zorganizowane trzy dni później pierwsze wspólne posiedzenie prezydentów trzech klubów koalicyjnych.

– Nie była to odpowiedź, lecz zmanifestowanie tego, co robiliśmy od początku kadencji parlamentu. Od pierwszych dni zakładaliśmy przecież, że w parlamencie istnieje możliwość stworzenia koalicji, i od początku próbowaliśmy ją budować. Moje rozmowy z mecenasem Bentkowskim, przewodniczącym klubu ZSL, i z profesorem Janowskim, przewodniczącym klubu SD, zaczęły się, zanim jeszcze Sejm zebrał się na pierwszym posiedzeniu plenarnym.

Z informacji o spotkaniu trzech prezydiów wynika, że dyskusja dotyczyła konfliktowej sprawy obsadzenia Ministerstwa Rolnictwa oraz przyszłej kodyfikacji zasad funkcjonowania koalicji parlamentarnej. Nie ma jednak śladu dyskusji o generalnych zasadach tworzenia rządu. Reprezentowaliście władze trzech koalicyjnych klubów. Ich głosami miał być powołany nowy rząd, ale nikt nie pytał was ani o to, kto ma być premierem, ani nawet, jaki ma być kształt przyszłego gabinetu. Czy ten temat się pojawiał?

– Pojawiał się i to w dość paradoksalnej konfiguracji. Jako przewodniczący Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego po tym spotkaniu występowałem do premiera w sprawie reprezentacji dwóch pozostałych klubów koalicyjnych w rządzie, choć nigdy nie występowałem na rzecz reprezentacji naszego klubu. Uważałem bowiem, że przedstawicielem OKP w rządzie jest premier i że ma on *carte blanche* we wszystkich sprawach dotyczących naszego udziału w jego gabinecie.

A w jakich konkretnych sprawach występował Pan do Mazowieckiego?

– Przede wszystkim w sprawie obsady stanowiska ministra rolnictwa. Mazowiecki powiedział mi jednak, że formowanie rządu uważa za swoje zadanie autorskie i że nie pozwoli na narzucenie sobie nazwisk przez jakikolwiek klub. Także ja nie miałem więc na te sprawy żadnego wpływu. Premier nie robił wyjątków od zasady swojej autorskiej autonomii – również wówczas gdy reprezentowałem interesy naszych nowych sojuszników.

Wracam jeszcze do ówczesnych stosunków między klubem parlamentarnym a władzami „Solidarności”, bo sprawa ta – wtedy niedoceniana – miała po roku okazać się kluczowa dla polskiej sceny politycznej. Otóż na spotkaniu prezydiów OKP i Krajowej Komisji Wykonawczej „Solidarności”, które rano 7 września odbyły w Warszawie wspólne posiedzenie, zabrakło Lecha Wałęsy. Nie było go także na popołudniowym spotkaniu obu prezydiów z premierem Mazowieckim. Dlaczego?

– Wszyscy spotkaliśmy się już wcześniej na posiedzeniu Krajowej Komisji Wykonawczej 18 sierpnia w Gdańsku. Po tym spot-

kaniu prasę światową obiegło zdjęcie przedstawiające Wałęsę, Mazowieckiego i mnie z uniesionymi w górę rękami. Był to istotny sygnał, że nie ma między nami żadnych konfliktów.

Czy ustaliliście wtedy, jak ma być formowany rząd?

– Nie. Mazowiecki dostał *carte blanche*. Mieliliśmy do siebie to absolutne zaufanie, o którym mówiła uchwała Krajowej Komisji Wykonawczej. Powstała sytuacja wytwarzająca w naszej trójce dość oczywisty podział pracy: Wałęsa był liderem i prowadził związek „Solidarność”, Mazowiecki miał sformować rząd, ja odpowiadałem za parlament. Wszystko wydawało się jasne. Podobna sytuacja powtórzyła się później jeszcze tylko raz – w czasie grudniowej konferencji Komitetów Obywatelskich. Dlaczego natomiast Wałęsa nie chciał 7 września przyjechać do Warszawy? Otóż Lech Wałęsa nie uczestniczył w procesie formowania rządu. Teraz – po roku – mam wrażenie, że odczuł to boleśnie. Wydaje mi się, że nie akceptował samodzielności, którą wykazywał wówczas Tadeusz Mazowiecki; że ona go frustrowała. O ile wiem, skład rządu poznał dopiero w przeddzień przedstawienia go Sejmowi. Nie miał na niego wpływu.

Zgodnie z zapowiedzią Mazowieckiego, który obiecywał, że nie będzie „premierem malowanym”.

– Właśnie tak. Realizował tę zapowiedź niezwykle konsekwentnie. Ani OKP, łącznie ze mną, ani czołowa postać naszego obozu, jaką był Lech Wałęsa, nie mogliśmy dyktować mu, jak zrealizować ma zadania, które otrzymał. Dostał mandat zaufania od Lecha Wałęsy, od Krajowej Komisji Wykonawczej „Solidarności”, od Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego i od całego Sejmu. Mając te mandaty, korzystał z nich w pełni.

Sugeruje Pan, że nieobecność Wałęsy była oznaką dezaprobaty dla tej sytuacji?

– Sądzę, że oczekiwał bezpośredniego kontaktu z premierem przez siebie zaproponowanym. Między nimi musiało stać się coś, czego nie akceptował. Ale wiem to dopiero dzisiaj. Wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy. Nie wiedziałem, na ile Wałęsa jest zaangażowany w proces formowania rządu. Obserwowałem dużą aktywność braci Kaczyńskich, ale nie wiedziałem, w jakim stopniu

są oni wysłannikami i mandatariuszami Lecha Wałęsy, choć wiedziałem, że premier Mazowiecki wykluczał korzystanie z tych pośredników. Nie znalazłem natomiast charakteru bezpośrednich kontaktów między Wałęsą a premierem.

Dlaczego Mazowiecki wykluczał pośrednictwo Kaczyńskich?

– To jego sprawa.

Po spotkaniu Mazowieckiego z Rakowskim, 2 września, podział tek w przyszłym rządzie był chyba zasadniczo rozstrzygnięty. Pozostał właściwie tylko jeden szkopuł, którego rozwiązanie wydawało się niemożliwe. Zarówno ZSL, jak i „Solidarność” rolnicza zdecydowanie domagały się teki wicepremiera kierującego sprawami wsi i rolnictwa. Jeszcze 5 września na posiedzeniu OKP Józef Ślisz mówił, że jeżeli „Solidarność” rolnicza nie dostanie urzędu wicepremiera, to nie przyjmie żadnej teki w rządzie Mazowieckiego. ZSL groziło zaś wystąpieniem z koalicji, jeżeli Kazimierz Olesiak, dotychczasowy wicepremier i minister rolnictwa, nie zachowa swojego stanowiska. Ze strony ZSL padały przy tym sugestie, że sprawa Ministerstwa Rolnictwa została rozstrzygnięta w koalicyjnym porozumieniu Wałęsa – Malinowski. Co Pan wie na temat tych wcześniejszych zobowiązań podjętych przez Lecha Wałęsę i obowiązujących Tadeusza Mazowieckiego?

– O ile wiem, nie było takich sformalizowanych zobowiązań. Natomiast sprawa Ministerstwa Rolnictwa stawała już w moich wcześniejszych rozmowach z przewodniczącym klubu ZSL Aleksandrem Bentkowskim. Starłem się uświadomić mu wówczas, że po naszej stronie wielką siłą jest „Solidarność” rolnicza i że między nią a ZSL musi powstać kompromis dotyczący obsadzenia dwóch resortów mających dla wsi zasadnicze znaczenie – rolnictwa i środowiska naturalnego. Nie wydaje mi się, żeby Wałęsa składał jakieś konkretne obietnice, natomiast uważałem za niemal oczywiste, że mając takiego partnera koalicyjnego, jakim było ZSL, trzeba liczyć się z jego aspiracjami dotyczącymi resortu rolnictwa. Sądzę, że Mazowiecki nie mógł tych aspiracji zlekceważyć. *Więc to pęknięcie między rządem a „Solidarnością” rolniczą, które się wówczas dokonało, uważa Pan za nieuniknione?*

NASZE

– Nie jestem przekonany, że rozwiązanie, które w końcu, dosłownie w ostatniej chwili, przyjął Tadeusz Mazowiecki, rzeczywiście musiało frustrować naszych rolników. Profesor Janicki*, który został wicepremierem i ministrem rolnictwa, współpracował z nami w parlamencie, był od początku członkiem „Solidarności” Rolników Indywidualnych i zarazem działaczem ZSL. Jego wybór formalnie spełniał roszczenia naszych koalicyjnych partnerów, ale w rzeczywistości skierowany był przeciw ich partyjnemu aparatowi. Wybierając Janickiego, Mazowiecki przechodził ponad personalnymi żądaniami władz ZSL i zeteselowskiego klubu poselskiego, a także nad aspiracjami naszych rolników, ale jednak wskazywał na człowieka, którego kandydatura w jakimś stopniu miała zadowolić wszystkich.

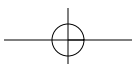
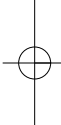
Okazało się później, że nie zadowolili nikogo. Ugrupowania chłopskie nie były usatysfakcjonowane składem rządu, choć ZSL poza teką Janickiego otrzymał także ministerstwa: środowiska, zdrowia i sprawiedliwości, a specjalnie z myślą o „Solidarności” RI Mazowiecki utworzył urząd ministra do spraw socjalnych wsi i powierzył go Arturowi Balazsowi, najbliższemu współpracownikowi Józefa Ślisza. Nasi rolnicy niechętnie, ale jednak zaakceptowali tę sytuację. Klub ZSL, choć ministrem rolnictwa został jego członek, odrzucił kompromis proponowany przez Mazowieckiego i w rezultacie zarówno Balazs, jak i Janicki, a także zeteselowski kandydat na ministra zdrowia otrzymali negatywne opinie sejmowych komisji. Swoje urzędy uzyskali zaś dzięki temu, że listę rządu głosowano łącznie. Żadne ugrupowanie nie chciało wziąć na siebie odpowiedzialności za storpedowanie historycznej szansy, jaką było utworzenie rządu, którym nie kierowali komuniści.

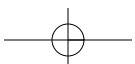
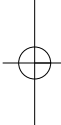
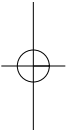
Czy nie wydaje się Panu, że właśnie za zgodę na ten kompromis Józef Ślisz zapłacił swoją pozycją w „Solidarności” rolniczej, kiedy kilka miesięcy później utracił funkcję przewodniczącego na rzecz senatora Gabriela Janowskiego?

*Czesław Janicki – inżynier rolnik, profesor, były prorektor Akademii Rolniczej w Poznaniu.

ROK 1989

– Nie wiem, czy rzeczywiście główną przyczyną był kompromis w sprawie rządu. Także później, gdy wybuchły już kontrowersje wokół polityki rolnej, Józef Ślisz lojalnie stawał po stronie rządu, tłumacząc, że problemy wsi trzeba rozwiązywać w ramach reformy całej polskiej gospodarki. Przeciwwstawiał się wówczas podsygnięciu chłopskiego egoizmu klasowego, do którego odwoływali się inni działacze wiejscy – zarówno z ZSL, jak i z rolniczej „Solidarności”. Przeciw niemu obróciło się i to, że jako przewodniczący „Solidarności” rolniczej przyjął urząd wicemarszałka Senatu. Przeciwnikom Ślisza jego państwowa pozycja dawała szansę insynuowania, że przestał być chłopem, a stał się urzędnikiem, i że nie reprezentuje już prawdziwych chłopskich interesów. Było to absurdalne, ale okazało się społecznie nośne. W jego przypadku sprawdziły się więc rachuby komunistów, którzy przecież bardzo liczyli na to, że wejście w sferę władzy będzie dla nas samo przez się kompromitujące.





CENA WŁADZY



ANNA PIETUSZKO

Do powołania rządu Tadeusza Mazowieckiego doszło w końcu 12 września. Tymczasem prysnął gdzieś ten chwilowy entuzjazm, który pojawił się wraz z pierwszą wizją „naszego” rządu.

– Bo powoływanie go trwało dłużej, niż zapowiadano, i dłużej, niż powinno było trwać.

Sądzi Pan, że także dłużej, niż musiało trwać?

– Tak.

A co o tym decydowało? Osobowość nowego premiera czy narastające komplikacje życia politycznego?

– Jedno i drugie, ale mam wrażenie, że w pierwszych dniach formowania gabinetu premier nie dostrzegał trudności, jakie przed nim stoją.

Myśli Pan o tych trudnościach, o których rozmawialiśmy: chłopci, partia, oczekiwania stronnictw?

– Nie tylko. Innego rodzaju trudności kryła w sobie metoda, którą Mazowiecki przyjął. Do procesu powoływania rządu podchodził w sposób bardzo osobisty. Kompletując Radę Ministrów, opierał się na kryteriach kompetencji i wzajemnego zaufania. To pociągało za sobą konieczność przeprowadzenia dużej ilości rozmów i wymagało czasu. Dawało jednak nadzieję, a przynajmniej szansę stworzenia zespołu, który przetrwa ciężkie czasy.

Czy to był model naturalny? Czy tak właśnie powołuje się rządy? Czy w świecie tak właśnie jest, że szef rządu dobiera jego członków z grona koalicyjnych ugrupowań, ale sam podejmuje decyzje co do

ROK 1989

osób, ustaleniom koalicyjnym pozostawiając jedynie podział resortów?

– Myślę, że Tadeusz Mazowiecki zastosował rozwiązanie całkowicie oryginalne. W warunkach Polski roku 1989 miało ono tę ogromną zaletę, że premier mógł sam wybrać do swojego gabinetu osoby reprezentujące obóz dotychczas rządzący. Aparaty partyjne starej koalicji były więc z tego procesu wyłączone.

Ale kluby poselskie też.

– Sądzę, że tu była pewna szansa, której premier Mazowiecki nie wykorzystał. Rozpoczęła się już wówczas autonomizacja klubów starej koalicji wobec aparatów ich partii. Proces formowania rządu mógłby jej sprzyjać, gdyby kluby poselskie stały się współtwórcami nowego gabinetu. Myślę, że utraciliśmy też inną szansę. Szansę włączenia w proces formowania gabinetu naszego – stanowiącego naturalne zaplecze rządu – Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego. Także dla OKP proces powstawania rządu Mazowieckiego stał się bowiem procesem zewnętrznym. Metoda Mazowieckiego miała więc zarówno swoją dobrą stronę, jaką było pozbawienie aparatów partyjnych wpływu na skład rządu, jak też skutki negatywne – niewykorzystanie możliwości zwiększenia autonomii posłów wobec partii i zahamowanie procesu politycznej aktywizacji OKP.

W którym znów narastać musiała gorycz, bo kolejne kluczowe decyzje zapadały poza klubem. Chyba właśnie gorycz była w tym czasie uczuciem w OKP dominującym. Zwłaszcza że po decyzji Krajowej Komisji Wykonawczej część posłów i senatorów utraciła naturalne lokalne zaplecze, jakie mogły dla nich stanowić Komitety Obywatelskie. Dokładnie tydzień po powołaniu rządu, 19 września, odbyło się w Gdańsku kolejne posiedzenie KKW, na którym dokonano odwrócenie postawy „Solidarności” wobec Komitetów. Miarodajne dla nowego stanowiska było oświadczenie Lecha Wałęsy, który stwierdził, że „był przeciwny dalszej działalności Komitetów, ale się pomylił”. Co spowodowało tak radykalną zmianę frontu?

– Sądzę, że w znacznej mierze przyczyną zmiany stanowiska Wałęsy były rozmowy, jakie prowadziło z nim wiele osób, w tym

CENA WŁADZY

i ja sam. Kiedy minęły czerwcowe emocje, Wałęsa spokojnie przeanalizował nasze argumenty za utrzymaniem Komitetów. Duże znaczenie musiało też mieć i to, że Komitety mimo wszystko przetrwały. Okazało się, że zdążyły już uzyskać własną polityczną osobowość i że zakorzeniły się w lokalnych środowiskach politycznych.

Tam, gdzie Komitety przetrwały, a rozwiązało się ich stosunkowo niewiele, w sposób zupełnie naturalny stały się one politycznym czy też przynajmniej społecznym zapleczem naszego klubu, który przecież nie miał oparcia w żadnej partii. Stosunki między OKP a Komitetami stały się jednak pełne napięć.

Dlaczego, skoro mówi Pan, że Komitety stanowiły zaplecze klubu?

– Sądzę, że nasi posłowie i senatorowie stanowili przeszkodę w formowaniu się nowych elit lokalnych.

Więc nie byli ich naturalnym elementem? Przecież to właśnie lokalne Komitety parę miesięcy wcześniej wysunęły ich kandydatury.

– Tak, ale po wyborach miejsce tych, którzy zostali wybrani do Sejmu i Senatu, zajęli w Komitetach nowi ludzie i to stanowiło źródło konfliktów.

Już wówczas, we wrześniu 1989 roku?

– Od samego początku istnienia naszego klubu. Co ciekawe, w konflikty znacznie szybciej i częściej popadali kandydaci miejscowi, wyrosli z lokalnych środowisk, które teraz zwracały się przeciwko nim. Najbardziej spektakularny był przypadek Konina, gdzie na tle sporu, którego przedmiot stanowił jeden z naszych senatorów, doszło do powstania dwóch konkurujących ze sobą Komitetów Obywatelskich. O ostrości konfliktu konińskiego świadczy to, że podzielił on także miejscowe środowisko kościelne. Natomiast element partyjny pojawił się tam dopiero znacznie później, gdy na scenie politycznej zaistniało Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe. Żaden z kilkunastu kolegów, którzy kandydowali poza miejscem swojego zamieszkania, nie znalazł się w tak ostrej sytuacji konfliktowej.

Z wyjątkiem Andrzeja Wielowieyskiego, którego chciano pozbawić mandatu.

ROK 1989

– To był konflikt bardzo konkretny, wywołany jego głosowaniem w wyborach prezydenckich, w których oddał głos nieważny. Potem jednak sprawa przyszła i później stosunki Wielowieyskiego z jego lokalnym Komitetem układały się zupełnie poprawnie. Na ogół jednak ludzie z zewnątrz znacznie lepiej zakorzenili się w Komitetach Obywatelskich niż ich koledzy mieszkający na miejscu. Dlaczego? Chyba dlatego, że dla przyjezdnych właśnie Komitety stanowiły naturalne forum kontaktów z elektoratem.

Czy te liczne konflikty między posłami i senatorami a ich własnymi Komitetami nie były przypadkiem ceną, jaką trzeba było zapłacić za decyzję Komitetu Obywatelskiego przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność”, żeby Komitety nie miały charakteru porozumienia międzypartyjnego? Czy źródłem konfliktów nie była właśnie formująca się wewnątrz Komitetów struktura partyjna?

– W Komitetach Obywatelskich przeważnie nie było elit partyjnych. Wyjątek stanowiły dwa województwa – łódzkie i radomskie, gdzie od samego początku występowały sytuacje konfliktowe związane z układami partyjnymi. Natomiast zdecydowana większość Komitetów okopywała się na pozycjach antypartyjnych. Często też lokalne Komitety wchodziły w konflikt z zarządami regionów „Solidarności”, której pamiętano akcję odbierania nazwy i likwidowania ruchu obywatelskiego. Upartyjnienie Komitetów zaczęło się dosyć późno, bo dopiero w 1990 roku. Do samego końca roku 1989 w ruchu obywatelskim ani w naszym klubie nie było kwestii partii politycznych. Zupełny wyjątek stanowiło PSL „Solidarność”, ale to był problem wewnątrzklubowy, a może raczej wewnątrzparlamentarny. Wynikał on przede wszystkim z tego, że zarówno w Sejmie, jak i w koalicji rządowej obecne było Zjednoczone Stronnictwo Ludowe przedstawiające się jako reprezentacja wsi. Obywatelski Klub Parlamentarny, kojarzony przecież przede wszystkim z „Solidarnością” pracowniczą, nie stanowił dla niego naturalnej przeciwwagi. Do jej stworzenia konieczne było pewne podkreślenie tożsamości naszych rolników. Był to zresztą jedyny „klasowy” konflikt, jaki powstał w tym dziwnym parlamencie. Reszta OKP nie miała takich problemów, stanowiła bowiem

CENA WŁADZY

konglomerat pracowników i nowych przedsiębiorców. Klub PZPR, z którym się ścieraliśmy, reprezentował zaś przede wszystkim przedstawicielstwo menedżerów i funkcjonariuszy aparatu państwowego.

Wracam do mojego pytania o decyzję KKW z 19 września. Czy był to efekt uznania dla siły trwania, którą wykazały Komitety po decyzji o ich likwidacji, czy też element przygotowań do znajdujących się już na politycznym horyzoncie wyborów samorządowych?

– Te dwa argumenty nie są sprzeczne. Decyzja Wałęsy o zmianie frontu wynikała z pragmatyzmu. Ja od początku przypominałem zaś, że w niedługim czasie staniemy wobec problemu następnych wyborów, a Komitety Obywatelskie są już sprawdzonymi strukturami wyborczymi.

Na tym samym posiedzeniu KKW przedstawił Pan projekt strukturyzacji ruchu obywatelskiego, który stał się później przedmiotem publicznej polemiki. W koncepcji, którą Pan przedstawił, jądrem całego ruchu była osoba Lecha Wałęsy. Parę dni wcześniej mówił Pan publicznie, że „wokół Lecha Wałęsy trzeba utworzyć doraźną wspólnotę, a wówczas rząd nie będzie zawieszony w próżni”. Ta wspólnota miała się składać z obu „Solidarności”, Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego i ruchu obywatelskiego. Czy nie obawiał się Pan niebezpieczeństw związanych z tworzeniem tak ogromnej politycznej struktury opartej na autorytecie jednej, konkretnej osoby – kimkolwiek by ona była? Czy w samej tej idei nie kryło się bardzo poważne zagrożenie?

– Wówczas tego zagrożenia nie dostrzegałem. Nie oznacza to, że w moich kontaktach z Wałęsą nie pojawiały się problemy. Mówiłem już panu, że one były. Pierwszym takim publicznie ujawnionym konfliktem była sprawa Komitetów.

To znaczy, że były też inne, nieujawnione konflikty?

– Spory zawsze były, ale mieliśmy do siebie zaufanie, co oznaczało, że Wałęsa wysłuchiwał ode mnie takich rzeczy, których od nikogo innego nie chciał słuchać.

Skoro te spory były zawsze, musiały mieć jakieś permanentne źródło.

ROK 1989

– Nie! Tak się składa, że zwykle byliśmy z Wałęsą zgodni w zasadniczych sprawach, które wywoływały konflikty wewnątrz „Solidarności”. Jeżeli jednak nie dostrzegałem tego zagrożenia, o którym Pan mówi, to nie tylko dlatego, że stosunkowo łatwo przychodziło mi się z nim porozumieć. Przede wszystkim uważałem, że tworzenie pluralizmu będzie procesem stopniowym, że demokratyzacja także będzie postępowała stopniowo. My natomiast musieliśmy stale dysponować takim mechanizmem, który utrwalałby poczucie antykomunistycznej jedności, przynajmniej do zakończenia okresu przejściowego.

Nadzwyczajna pozycja Wałęsy miała więc stanowić element stabilizujący.

– Raczej jednoczący. Potrzebny był zwornik między związkiem zawodowym, który musiał mieć program roszczeniowy, a strukturą polityczną reprezentującą interesy państwa. W „Solidarności” lat osiemdziesiątych, aż do chwili stworzenia rządu Mazowieckiego, ten problem nie istniał. Będąc w opozycji wobec władzy, „Solidarność” miała jednak poczucie odpowiedzialności za państwo. Wobec zanikania PZPR, która była właścicielem tego państwa, jesienią 1989 roku sytuacja zmieniała się diametralnie. Zwornik, którym mógł być tylko Wałęsa, stawał się nieodzowny dla stabilizacji okresu przejściowego.

Mówi Pan, że Wałęsa miał być „zwornikiem” okresu przejściowego. Czy on był gotów zaakceptować ten przejściowy charakter swojej roli?

– Nie miałem na myśli przejściowego charakteru roli Wałęsy. Przejściowy miał być okres, w którym ta jego rola wydawała się nieodzowna. Chodziło o przejściowy model organizacji życia publicznego.

Pytanie, przed którym staliśmy i na które bardzo często z Wałęsą, Michnikiem i Mazowieckim próbowaliśmy znaleźć odpowiedź, dotyczyło powołania lub niepowołania partii politycznej, której przywódcą byłby Wałęsa. Zarówno Mazowiecki, jak i ja mieliśmy jednak dość głęboko zakorzenione przeświadczenie o zużyciu formuły partyjnej.

Okazało się, że niesłusznie.

– Rację miał Michnik, który uważał, że stworzenie partii jest rozwiązaniem właściwym. W gruncie rzeczy nie było jednak między nami zasadniczej różnicy. Kierowana przez Lecha Wałęsę partia „Solidarność” nie byłaby przecież prawdziwą partią polityczną. W myśleniu nas wszystkich istniała chęć przerwania kontynuacji dotychczas znanych form organizacji politycznej. Mieliśmy poczucie, że jesteśmy w zupełnie nieznannej, bezprecedensowej sytuacji, w której potrzebne są całkowicie nowe formy działania.

Pod koniec 1980 roku miałem bardzo interesującą rozmowę z pewnym brytyjskim socjologiem i dziennikarzem, któremu mówiłem, że związek zawodowy „Solidarność” nie mieści się w strukturach społeczeństwa autorytarnego. Powołując się na przykład brytyjskich związków zawodowych, których emanacją jest Partia Pracy, wysuwałem przypuszczenie, że i „Solidarność” może taką emanację wytworzyć. W roku 1989 byłem już o tym mniej przekonany. Postrzegałem „Solidarność” jako siłę, której wewnętrzna dynamika ma charakter pluralistyczny. Wewnętrzne podziały nieuchronnie odgrywały w „Solidarności” coraz większą rolę, a jednocześnie przyłączało się do niej coraz więcej środowisk o bardzo odległych rodowodach. Sądziłem, że w okresie przejściowym ta wewnętrzna dynamika będzie wystarczająca do wyrażania różnych społecznych aspiracji.

I Wałęsa to akceptował?

– Miałem wrażenie, że tak.

Czy akceptował także to, że w pewnym momencie skończy się okres przejściowy, a wraz z okresem przejściowym skończy się jego szczególna rola?

– Wałęsę uważałem za bardzo wybitnego polityka, którego rola nie musiała się kończyć wraz z okresem przejściowym.

Zapytam więc wprost: czy nie obawiał się Pan, że niezwykła pozycja Wałęsy może w pewnym momencie stanowić zagrożenie dla demokracji? W środowiskach, które dziś są blisko Wałęsy, a wówczas intensywnie go zwalczały – myślę na przykład o Grupie Robo-

ROK 1989

czej czy dużej części dzisiejszego Porozumienia Centrum** – mówiło się wówczas, że Wałęsa stał się własnością grupy politycznej, którą uosabiano z Panem i z Adamem Michnikiem, a która miała dążyć do osiągnięcia przy jego pomocy faktycznego monopolu politycznego. Obawy przed wodzowskimi aspiracjami Lecha Wałęsy były wtedy dość głośno podnoszone. Pan, o ile pamiętam, się im przeciwstawiał.*

– Myśli pan o roku 1989?

Tak.

– Tak, przeciwstawiałem się im, bo przeciwko nim przemawiało doświadczenie całej dekady. Także w roku 1981 Wałęsa był przecież postrzegany jako zagrożenie dla demokracji – przede wszystkim wewnątrz „Solidarności”. Wtedy też stałem po jego stronie. To właśnie spór o Wałęsę poróżnił mnie wówczas z ludźmi, z którymi później łączyła mnie wspólnota poglądów. W roku 1981 bardzo krytycznie wypowiadali się o Wałęsie również ludzie, których niezwykle szanowałem i ceniłem. A przecież dostrzegałem w nim niebezpieczne skłonności. Widziałem je, ale uważałem, że są one marginalnymi elementami jego osobowości. Kiedy po 13 grudnia przyszły trudne lata, Wałęsa sprawdził się w pełni. Ci ludzie, którzy wcześniej go krytykowali, sami zmienili zdanie. Wreszcie, kiedy nadszedł trudny okres w „Solidarności”, kiedy powstała Grupa Robocza i część działaczy ostro krytykowała Wałęsę, nie miało to nic wspólnego z jego autorytaryzmem. Był to efekt niezaspokojonych ambicji ludzi, którzy po stanie wojennym utracili swoją pozycję i nie potrafili odzyskać jej w podziemiu.

***Grupa Robocza** – utworzyła ją w marcu 1987 roku część działaczy Komisji Krajowej NSZZ „S” sprzed stanu wojennego, wśród nich: Andrzej Gwiazda, Seweryn Jaworski, Marian Jurczyk i Jerzy Kropiwnicki. Domagali się oni zwolnienia statutowych władz „S” z 1981 roku, sprzeciwiali się sposobowi wyznaczania przez Wałęsę kierowniczych gremiów odtwarzanego Związku.

****Porozumienie Centrum** – partia o profilu chadeckim stworzona przez grupę działaczy, m.in. parlamentarzystów OKP, zgrupowanych wokół Jarosława Kaczyńskiego. Powstała wczesną wiosną 1990 roku w przededniu „wojny na górze” – rywalizacji o przywództwo w ruchu „Solidarności” pomiędzy Lechem Wałęsą (który po powołaniu rządu Tadeusza Mazowieckiego czuł się coraz bardziej zmarginalizowany) i działaczami „S” skupionymi wokół niego (m.in. bracia Kaczyńscy) z jednej a rządem z drugiej strony. Jesienią tego samego roku w pierwszych powszechnych, demokratycznych wyborach prezydenckich Wałęsa i Mazowiecki staną naprzeciw siebie.

CENA WŁADZY

Jeszcze raz wracam do pytania: czy w roku 1989 nie obawiał się Pan, że bardzo silny autorytet Wałęsy stanie na drodze rozwoju polskiej demokracji?

– Nie miałem takich obaw. Przeciwnie, byłem przekonany, że Wałęsa prezentuje nie tylko pewną skłonność do egocentryzmu czy megalomanii, ale równocześnie bardzo swoistą i niedocenioną skromność. Tak przedstawiłem go jako człowieka w mojej przedmowie do poświęconej mu książki. Miałem krytyczną, ale jednoznacznie pozytywną wizję Wałęsy jako człowieka. Pisałem to otwarcie.

Ten obraz skupionego wokół Wałęsy zjednoczonego ruchu demokratycznego, który zaprezentował Pan w połowie września, już pod koniec tego miesiąca zaczął wyraźnie pękać. Wybuchł wielki spór związany z „Tygodnikiem Solidarność” – pierwszy publiczny spór wewnątrz nowego obozu rządowego. Jak Pan tę sytuację odbierał?*

– Dużo rozmawiałem wtedy z Wałęsą i po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że groźny staje się i jego autorytaryzm, i pewna widoczna już frustracja. Nie chodziło nawet o to, że podjął decyzję o zmianie redakcji „Tygodnika Solidarność” i że stworzył konflikt między sobą a premierem. Dużo gorsze było to, że do uzasadnienia tej decyzji używał bardzo specyficznych argumentów.

O jakich argumentach Pan myśli?

– Za wcześnie jeszcze, żeby o tym mówić.

To może ja przypomnę, jakie argumenty padały publicznie. W wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”, odpowiadając na pytanie o sprawę „Tygodnika Solidarność”, Wałęsa mówił: „Jest pewna grupa, która by chciała mieć wpływ, a ja na to nie mogę pozwolić. Premier Mazowiecki nie może sobie budować zaplecza, coś sobie zostawiać, kiedy to już nie jest jego”. Czy to te argumenty miał Pan na myśli?

– Tak, był to ostry konflikt z premierem Mazowieckim i miał on charakter konfliktu personalnego. Zdałem sobie wtedy sprawę,

*Kiedy **Tadeusz Mazowiecki** – redaktor naczelny „Tygodnika Solidarność” zarówno w 1981 roku, jak i po jego wznowieniu w czerwcu 1989 – został premierem, wyznaczył na swego następcę Jana Dworaka. Lech Wałęsa, nie licząc się z intencjami Mazowieckiego, mianował szefem pisma, wbrew zdecydowanej większości zespołu, Jarosława Kaczyńskiego.

że w emocjach Wałęsy pojawił się ten nieprzewidziany przeze mnie stan frustracji. Wielokrotnie rozmawiałem z nim potem na ten temat. Miałem jednak wrażenie, że i sam Wałęsa będzie w stanie to przezwyciężyć i że zdoła mu w tym pomóc biskup Gocłowski mający na Wałęsę wpływ jak mało kto. W to wierzyłem.

Chodziło więc o utarcie nosa premierowi Mazowieckiemu?

– Wyłącznie. Chodziło o ujawnienie konfliktu między Wałęsą a premierem.

To znaczy, że wcześniej był jakiś ostry konflikt.

– Mówiłem już: konflikt wybuchł w chwili, gdy premier Mazowiecki sam sformował swój rząd, nie pytając Wałęsy o zdanie. Wałęsa tej sytuacji nie zaakceptował, chociaż Mazowiecki wcześniej wyraźnie mu zapowiedział, że „nie będzie malowanym premierem”. Myślę, że w pierwszej chwili Wałęsa nie do końca uświadomił sobie, co ta zapowiedź oznacza. Potem przekonał się, że cały proces zaczyna biec bez jego udziału i – co istotne – bez udziału jego zauszników, którzy – jak mi się wydaje – podpalali pod piecem jego frustracji.

Czy podejmowaliście wówczas jakieś próby mediacji? Co Wałęsa Panu mówił?

– Że nie widzi możliwości wycofania się. Mówił, że się nie cofnie, ale godził się rozmawiać. Przekonywałem go, że ze względu na interes kraju, a także samego Wałęsy, trzeba wytworzyć układ pełnego i lojalnego sojuszu między nim a rządem Mazowieckiego. Staralem się wpoić mu to przekonanie i w ciągu ostatnich miesięcy 1989 roku odbyłem z nim wiele rozmów na ten temat. Pamiętam surrealistyczną scenę, kiedy w grudniu 1989 bez końca spacerowaliśmy dokoła budynku sejmowego. Zaczęła się już zima, a my, ze starego nawyku, żeby uciec od mikrofonów, uciekaliśmy od strażników i szliśmy rozmawiać na świeżym powietrzu. Rząd już był nasz, a stare nawyki pozostały.

Ale policja też była jeszcze stara.

– Dlatego chodziliśmy po dworze. Nie kryliśmy się przecież przed premierem. Uznaliśmy, że są to sprawy wymagające spokojnej rozmowy, której nie mogli słyszeć nasi przeciwnicy. Konflikt

CENA WŁADZY

Z Adamem Michnikiem w sekretariacie OKP



Krytycznie oceniam całą politykę
dotyczącą telewizji. Uważam, że jest to
jeden z zasadniczych błędów
rządu Mazowieckiego

ROK 1989

personalny między Wałęsą a Mazowieckim nigdy później nie rysował się tak ostro jak właśnie w tej naszej grudniowej rozmowie. Mówię to już w październiku 1990 roku z pozycji moich dzisiejszych doświadczeń. Od września 1989 starałem się jednak wygasić konflikt między Wałęsą a premierem.

Czy właśnie efektem Pańskiej mediacji było spotkanie Mazowieckiego z Wałęsą, które odbyło się pod koniec września 1989 roku?

– W pewnym stopniu.

Ono jednak nie przyniosło ugody w sprawie „Tygodnika Solidarność” ani nie doprowadziło do ogólnej poprawy ich stosunków.

– Wałęsa jest bardzo uparty, bardzo nie lubi zmieniać zdania. Nawet kiedy wie, że podjął złą decyzję, weryfikuje ją bardzo niechętnie.

Komunikat po tym spotkaniu, które samo w sobie wydawało się już pewnym sukcesem, mówił tylko tyle, że przedmiotem rozmów „był stan gospodarki i coraz gorsze warunki życia ludzi”.

– To spotkanie nie dało niczego. Jedynym momentem, w którym konflikt między Mazowieckim a Wałęsą został przytłumiony, były dni konferencji „Etos Solidarności” w grudniu 1989 roku. Przedtem i potem trwała mniej lub bardziej cicha wojna, która w końcu znalazła wyraz w ogłoszeniu przez Wałęsę koncepcji „wojny na górze”. Ten wrzód pęczniał, a potem małał i znów pęczniał, ale nigdy nie zniknął z polskiej polityki. Zawsze był już jej znaczącym elementem.

W roku 1989 było takich wrzodów więcej. Wśród kilku groźnych konfliktów, które przez te miesiące wzbierały, najtragiczniejszy finał znaleźć miała sprawa amnestii. Jej projekt jeszcze na początku sierpnia zgłosiła grupa posłów OKP. Pan w tę sprawę został wciągnięty we wrześniu na skutek zawierającego prośbę o pomoc listu, który otrzymał Pan od więźniów z Kamieńska. Projekt amnestii wpłynął 10 sierpnia, list z Kamieńska przyszedł 17 września. Przez tyle tygodni nic się w tej sprawie nie ruszyło. Dlaczego?

– Pojawiły się trudności, niechęci, najróżniejsze opinie. Projekt był rozważany i oceniany bardzo różnie. W tej sprawie mścił się na nas publiczny charakter naszych działań. Są sprawy, których nie

CENA WŁADZY

wolno wyciągać na społeczne forum, bo wówczas zaczynają stwarzać zagrożenie. Pewne decyzje państwo musi podejmować w samotności, bez odwoływania się do opinii publicznej – a państwo to znaczy jego instytucje: parlament, rząd, może prezydent. W sprawie amnestii zabrakło nam tej świadomości. Zostały popełnione błędy – błędy socjotechniczne, a nie decyzyjne. Skutki tych błędów były nieodwracalne w tym sensie, że bardzo szybko doszło do rozbudzenia wśród więźniów ogromnych nadziei, z których nie wszystkie mogły być spełnione.

To rozumiem, ale skąd wziął się rozrzut opinii? Dlaczego OKP okazał się w tej sprawie tak dramatycznie osamotniony?

– Trzeba się przyjrzeć racjom naszej inicjatywy – jednej z pierwszych, jakie zgłosiliśmy w Sejmie. Po pierwsze, chcieliśmy podkreślić wagę narodowego święta, jakim było wyborcze zwycięstwo „Solidarności”. Jest przecież w polskiej świadomości mocno zakorzeniona tradycja czczenia takich chwil aktem łaski. Drugim źródłem tej inicjatywy było nasze własne doświadczenie życiowe. Ludzie „Solidarności”, zanim trafili do parlamentu, na ogół przeszli edukację więzienną. To wytworzyło w nas szczególną wrażliwość na los osób, jakie tam spotykaliśmy. Kiedy znaleźliśmy się w Sejmie, obudziło się w nas bardzo ludzkie poczucie, że teraz możemy im pomóc. Członkowie parlamentów na ogół nie mają pojęcia o losie więźnia. Nasz parlament, a przede wszystkim nasz klub, również pod tym względem był instytucją szczególną. Istniał wreszcie i trzeci powód do wprowadzenia amnestii. Otóż w latach siedemdziesiątych, a zwłaszcza w początku lat osiemdziesiątych stosowano w Polsce niezwykle represyjną, bardzo surową politykę karną. Sądy często wydawały wyroki rażąco wysokie i ich zmniejszenie w drodze amnestii byłoby w wielu wypadkach aktem zwykłej sprawiedliwości.

Sądzę więc, że inicjatywa moich kolegów z klubu była słuszna i całkowicie ją popierałem, choć zdawałem sobie sprawę, że dla dużej części społeczeństwa, zwłaszcza dla większości posłów z innych klubów, nasze stanowisko może być niezrozumiałe. W Sejmie linię podziału musiała zarysować różnica doświadczeń. Nie

ROK 1989

oczekiwałem jednak aż tak silnego oporu. W rezultacie do sprawy amnestii podeszliśmy z dosyć naiwną prostotą nowicjuszy. Fatalne skutki miał także sposób jej przeprowadzenia i cała z tym projektem związana procedura parlamentarna.

Te skutki to przede wszystkim fale buntów, które przechodziły przez polskie więzienia. W połowie września Ministerstwo Sprawiedliwości informowało już, że niepokoje ogarnęły 42 zakłady karne. OKP włączył się do akcji uśmierzania tych niepokojów. Na początku października senator Edward Wende i poseł Stefan Niesiołowski razem z Władysławem Frasyniukiem na prośbę premiera prowadzili negocjacje w Zakładzie Karnym w Nowogardzie. W więzieniach wrzało niemal nieustannie, a ustawa leżała. Do uchwalenia jej pierwotnej wersji doszło dopiero trzy miesiące po wniesieniu projektu, w listopadzie 1989 roku. Dlaczego? Czy przez ten czas odbywała się jakaś gra „pod stołem”?

– Była to pierwsza od wyborów sytuacja, w której mogła się odbyć pewna polityczna rozgrywka pozwalająca naszym 65-procentowym partnerom na odwołanie się do opinii publicznej i uzyskanie poparcia znacznej części społeczeństwa. Zostało to skwapliwie wykorzystane. Sprawa amnestii stała się źródłem pierwszego kryzysu w stosunkach między OKP a opinią publiczną. Stara koalicja, formalnie już nie istniejąca, ale w praktyce łatwo się odtwarzająca, mogła odwołać się do powszechnego społecznego lęku przed rosnącą przestępczością. Za pomocą prasy i telewizji, wciąż jeszcze znajdujących się w rękach PZPR, przedstawiano społeczeństwu apokaliptyczną wizję masowych rozbojów, ograbionych mieszkań, wielkiej fali gwałtu i przemocy. Żadne społeczeństwo nie może spokojnie znieść takiej kampanii strachu. Im dłużej zaś sprawa amnestii trwała, tym dłużej można było tę kampanię z coraz lepszym skutkiem prowadzić. Zwracam panu uwagę na fakt, że mniej więcej w tym samym czasie złożyliśmy też nasz klubowy wniosek o zniesienie kary śmierci. Do dziś nie doczekał się on drugiego czytania – właśnie dlatego, że praktycznie nie było szansy uchwalenia go. Tu także mamy bowiem do czynienia z konfliktem między racjami wyższymi – do jakich należy ochrona ludzkiego życia – a nastawieniem opinii publicznej. Na skutek

CENA WŁADZY

prowadzonej przez sejmową większość gry zmierzającej do wykorzystania tej rozbieżności Polska jest dziś jednym z nielicznych należących do cywilizacji europejskiej krajów, w których kara śmierci została utrzymana. Dlaczego? Dlatego, że z naszych doświadczeń amnestyjnych wynikało, iż sejmowa większość raczej wykorzysta możliwość zbitcia politycznego kapitału, niż podejmie ryzyko przeciwstawienia się opinii publicznej w imię nie tylko moralnych, ale także zupełnie racjonalnych przesłanek. Dziś nie ma już bowiem w nauce sporu co do tego, że kara śmierci, zamiast powstrzymać przestępczość, prowadzi do eskalacji agresji w życiu społecznym. *Sprawy amnestii i zniesienia kary śmierci stały się więc przedmiotem politycznej gry.*

– Tak sędzę, ale muszę też przyznać, że na tę grę nałożyła się nasza legislacyjna i socjotechniczna nieudolność. Nie przewidzieliśmy, że więźniowie oglądają w telewizji obrady Senatu czy Sejmu. *Najwyższa fala buntów wybuchła po obejrzeniu przez więźniów „Telexpressu”, w którym poinformowano, że Sejm ostatecznie odrzucił poprawki Senatu postulujące rozszerzenie amnestii między innymi na recydywistów. OKP był w Sejmie w mniejszości i oczywiście nie mógł sam przeprowadzić tej ustawy. Czy próbowaliście przekonać koalicjantów do przyjęcia szerszej wersji amnestii?*

– Nie, w tej sprawie porozumienie koalicyjne nie funkcjonowało. Odwoływaaliśmy się do niego tylko w kwestiach, które uważaliśmy za kryzysogenne z punktu widzenia państwa. Sprawy amnestii nie traktowaliśmy jako kryzysogennej.

Czy napięcia, które powstały już w lecie, a zimą doprowadziły do największej w dziejach PRL fali buntów więziennych – z ofiarami śmiertelnymi, gigantycznymi zniszczeniami, długotrwałymi niepokojami – nie wydawały się wam kryzysogenne?

– W chwili, gdy te niepokoje już zaistniały, w pełni doceniliśmy ich znaczenie i mam przekonanie, że zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy. Przede wszystkim staraliśmy się uzyskać porozumienie w Sejmie, ale to okazało się niemożliwe, próbowaliśmy więc prowadzić rozmowy w więzieniach, przeceniliśmy jednak naszą siłę oddziaływania. W paru przypadkach nasza mediacja

doprowadziła do spokojnego zakończenia buntów, ale gdy klamka ostatecznie zapadła i Sejm uchwalił mocno ograniczoną wersję amnestii, byliśmy już bezsilni. Mieliliśmy poczucie odpowiedzialności za powstałą sytuację, lecz straciliśmy nad nią kontrolę.

Czy z dzisiejszej perspektywy nie jest Pan skłonny przyznać racji „Trybunie Ludu”, która pisała wówczas o „nieodpowiedzialnym rozbudzaniu nadziei przez posłów OKP”?

– Zdecydowanie nie! W tej tezie dostrzegam przejaw jasnej i bezpardonowej gry politycznej, która przeciwko OKP wykorzystywała nasz gest dobrej woli wobec więźniów.

A co dziś sądzi Pan o pojawiającej się wówczas tezie, że bunty w więzieniach były, przynajmniej w pierwszej fazie, podsycane, jeżeli nie prowokowane przez część służby więziennej?

Były wówczas poważne obawy, że akcja w więzieniach stanowi początek czegoś znacznie gorszego – generalnej obstrukcji służb państwowych, stanowiącej reakcję na przejście rządów przez „Solidarność”. Gdyby tak rzeczywiście było, stanowiłoby to potwierdzenie słuszności obaw, które wcześniej sprawiały, że odżegnywaliście się od tworzenia rządu.

– Jeżeli rzeczywiście były takie wypadki, w których służba więzienna w jakiś sposób przyczyniła się do wybuchu buntów, miały one charakter lokalny. Nie wierzę, żeby istniała jakaś generalna zmowa. Przyczyną buntów był fatalny stan więzień, niehumanitarne traktowanie skazanych i niespełnione nadzieje związane z amnestią. Zdecydowana większość służby więziennej działała normalnie, to znaczy tak samo źle jak poprzednio. To samo dotyczyło w gruncie rzeczy całego aparatu państwowego. Milionowa rzesza nomenklatury, której buntu się obawialiśmy, bardzo spokojnie przyjęła zmiany polityczne. Okazało się, że znaczna większość aparatu przywykła do posłuszeństwa i tak samo posłusznie reaguje na zarządzenia nowej władzy. Dla tego aparatu równie dobre było każde polecenie przychodzące z góry.

Zdejmując warstwę niechęci można powiedzieć, że polscy urzędnicy zachowali się wobec nowej władzy z lojalnością anglosaskich civil servants.

CENA WŁADZY

W gabinecie przewodniczącego OKP



Zdawałem sobie sprawę,
że w emocjach Wałęsy pojawił się
ten nie przewidziany przeze mnie
stan frustracji

– Gdyby pan tak rzeczywiście twierdził, powiedziałbym, że przekracza pan granice śmieszności. Cóż składa się na pojęcie *civil servant*? Dwie cechy: uczciwość i kompetencja. Obu tych cech nomenklaturze brakowało.

Jeszcze lojalność.

– Ale to jest lojalność wobec państwa, a tu było posłuszeństwo wobec władzy. Między lojalnością a posłuszeństwem jest zaś różnica kardynalna. Mówię to, powstrzymując się od oceniania poszczególnych osób. Chcę tylko pokazać konsekwencje, jakie ta sytuacja miała dla funkcjonowania systemu politycznego. Oto bowiem istniała rzesza ludzi gotowych do okazania posłuszeństwa wobec władzy – byle tylko z góry przychodziły dokładne rozkazy. Tymczasem rozkazy przestały przychodzić, bo dążyliśmy przecież do stworzenia innego systemu funkcjonowania państwa. Główną barierą i głównym problemem nowych władz nie był więc świadomy sabotaż ze strony aparatu państwowego, ale całkowite nieprzygotowanie ludzi aparatu do normalnego funkcjonowania. Normalnego, to znaczy takiego, w którym funkcjonariusze administracji muszą samodzielnie podejmować decyzje. Okazało się, że administracja jest całkowicie nieprzygotowana do podejmowania decyzji, co łączy się także z przyjęciem odpowiedzialności. W poprzednich dekadach wszelkie decyzje zapadały poza administracją. Struktura decyzyjna – to, co nazywa się procesem podejmowania decyzji – stanowiła monopol aparatu partyjnego. Władzę sprawowały policja i wojsko, ale proces podejmowania decyzji został sprofesjonalizowany w aparacie partyjnym. Teraz cała milionowa rzesza urzędnicza, przyzwyczajona do tego, że decyzje „przychodziły”, została zdana na samą siebie i okazała się zupełnie bezradna. Nie zdobyła się na sabotaż, ale też nie mogła się zdobyć na samodzielne decydowanie.

Jednak w przypadku amnestii mówiło się o sabotażu, mówiło się, że chodzi o to, żeby zmusić rząd Mazowieckiego do strzelania.

– Na pewno były gdzieś ciągoty do wytworzenia sytuacji prowokacyjnych.

Jakiego rodzaju?

CENA WŁADZY

– Przed wszystkim takich właśnie, w których rząd zostałby postawiony w sytuacji, w której musiałby odwołać się do użycia siły. Rzecz była w tym, że rząd Mazowieckiego nie miał siły fizycznej. Cała siła fizyczna była nadal w rękach starego reżimu i została usunięta ze sceny politycznej. Odwołanie się do niej groziło przywróceniem jej dawnej pozycji. O to właśnie mogło chodzić ludziom, którzy czuli się politycznie przegrani.

I częściowo się to powiodło, bo jednak w więzieniach „Mazowiecki strzelał”.

– Oni liczyli na to, że taka sytuacja się powtórzy. Zapowiadali zresztą, że będzie to istotny element rozgrywki. Mówili, że ludzie z bronią stanowią strukturę zautonomizowaną wobec polityki. Póki byli oni po tamtej stronie, póty cały polski proces był odwracalny. Dopiero zmiana sytuacji w wojsku i w policji uczyniła ten proces nieodwracalnym, ale to stało się już w roku 1990. W roku 1989 mogliśmy dać tylko zapowiedź prawdziwych zmian w aparacie państwa.

Który tymczasem na przekór społecznym oczekiwaniom działał wedle starych schematów, bo inaczej nie potrafił.

– Tak właśnie było i nie mogło się to zmienić z dnia na dzień. Mechanizmów działających przez czterdzieści lat nie da się odrzucić nawet najmądrzejszym prawem. Trzeba je wykorzenić z ludzkiej świadomości, a to musi trwać.

Czy sądzi Pan, że afera benzynowa, która się wówczas rozegrała i wywołała niezwykle emocje – zwłaszcza wśród rolników – była właśnie przykładem tej inercji czy też rutyny aparatu? Czy to właśnie rutyna sprawiła, że już pod rządami Mazowieckiego zapadła decyzja podnosząca cenę benzyny dla odbiorców indywidualnych, a pozostawiająca starą cenę dla tak zwanych odbiorców zbiorowych, a więc między innymi dla PGR i kółek rolniczych?

– Tak, myślę, że to była rutyna, ale chcę zwrócić uwagę, iż była to rutyna niezwykle groźna. Była to bowiem rutyna systemu, który musieliśmy odrzucić, systemu, który Polskę zrujnował. W tym systemie decyzje nie łączyły się z żadną odpowiedzialnością. Argumentem nie były racje, ale okólniki albo wytyczne płynące nie

wiadomo skąd. Kiedy wybuchła afera benzynowa, premier nie był w stanie znaleźć człowieka odpowiedzialnego za podjęcie takiej decyzji. Do mechanizmów systemu należało bowiem rozważanie kompetencji i odpowiedzialności.

Innym mechanizmem starego systemu, który odegrał w tej sprawie rolę kapitalną, było zaskakiwanie opinii publicznej. Wszystko otoczone było najgłębszą tajemnicą i w rezultacie decyzje spadały na ludzi jak grom z jasnego nieba. Żadna nowa polityka nie mogła być zrealizowana, póki taka rutyna istniała. Przełamanie rutyny wymagało zaś rozwiązania kwestii nomenklatury – zastąpienia ludzi posłusznych kompetentnymi, lojalnymi, uczciwymi. *Rutyna nieinformowania społeczeństwa przeniosła się na nowe władze i właśnie przy okazji afery benzynowej wyłynęła jako problem sceny politycznej. Na posiedzeniu OKP polityka informacyjna rządu była – także z Pańskiej strony – pierwszym powodem ostrej krytyki pod jego adresem. Ten wątek do dziś wzbudza zresztą kontrowersje, ilekroć podejmowana jest próba dokonania oceny rządu Mazowieckiego. Czy Pańskim zdaniem Mazowiecki świadomie podjął decyzję o rezygnacji z aktywnej polityki informacyjnej, czy też po prostu był w stanie zrobić wszystkiego?*

– Była to w polityce rządu istotna luka, na którą wskazywaliśmy od początku, ale nasze pretensje nie zostały w porę przez rząd zrozumiane.

Inaczej sformułuję pytanie. Czy rząd nie umiał, czy też po prostu nie chciał za bardzo angażować społeczeństwa w to, co się w Polsce działo?

– Myślę, że była to bardziej słabość rządu, niż zamierzona polityka. Rząd był tak zaabsorbowany sprawami gospodarczymi, że nie zdawał sobie sprawy, jak zasadnicze znaczenie dla całego procesu ma właśnie polityka informacyjna, nowy styl porozumiewania się władzy ze społeczeństwem. Kiedy to wreszcie zrozumiał, było już za późno – w tym sensie, że pojawiła się nowa rutyna, którą niezwykle trudno było przełamać. Proszę zwrócić uwagę, że minister finansów Leszek Balcerowicz ma z opinią publiczną doskonały kontakt, ma łatwość przekonywania. Dopiero jednak w roku 1990 dowiedzieliśmy się o tym, bo wcześniej Balcerowicz

CENA WŁADZY

nie korzystał z tych możliwości, nie sięgał do nich. Dlaczego? Bo rząd niemal całkowicie pochłonięty był techniczną stroną dokonywanych zmian, kwestiami programowymi i legislacyjnymi, tworzeniem nowego prawa.

W opinii publicznej funkcjonuje jednak domysł, że „milcząca”, pasywna polityka informacyjna była elementem filozofii Mazowieckiego – wyborem, którego dokonał świadomie. Aktywna polityka informacyjna może w okresie intensywnych zmian przynieść zrozumienie i zaangażowanie społeczne. Wiąże się jednak również ze zwiększeniem ryzyka, że ten proces zacznie się w pewnym momencie toczyć sam, że nabierze własnej dynamiki, nad którą nie da się zapanować. Na przeciwnym biegunie byłby model gorbaczowowski, to znaczy taki, w którym zmian usiłuje się dokonać odgórnie, cały czas starając się sterować ich procesem. Czy wybór dokonany przez Mazowieckiego nie miał przypadkiem takiej właśnie treści?

– Jakież elementy takiego myślenia zapewne były, ale sądzę, że każda władza ma tendencję do usamodzielnienia się, do samozadowolenia, z którego w pewnym momencie wynika arogancja. Trzeba umieć tę tendencję opanować. Społeczny proces władzy jest niezwykle złożony właśnie dlatego, że podejmowanie decyzji i odpowiedzialność za nie spoczywa na małej grupie ludzi. Sztuka rządzenia polega zaś na rozszerzaniu społecznej podstawy podejmowania decyzji i wytwarzaniu takiej sytuacji, w której społeczeństwo zostanie zaangażowane w sam proces decyzyjny.

Już mniej więcej w miesiąc po powstaniu rządu Mazowieckiego było widać, że powstaje luka między działalnością rządu a nastrojami społecznymi. Czy próbował Pan rozmawiać o tym z Mazowieckim?

– Tak, ale to nie była kwestia rozmowy. Był to problem nowego formowania społeczeństwa obywatelskiego. Arystoteles powiedział, że być obywatelem to umieć rządzić i umieć być rządzonym. Obie te sztuki są równie trudne. Może nawet łatwiej jest nauczyć się rządzić, niż być rządzonym. Społeczeństwo demokratyczne bardzo wolno wytwarza tę umiejętność. My zaś mieliśmy ogromne, rozbudzone aspiracje i wyizolowany proces podejmowania decyzji politycznych. Ludzie mieli poczucie, że

ROK 1989

w ich podejmowaniu nie uczestniczą. W jaki sposób społeczeństwo może uczestniczyć w podejmowaniu decyzji politycznych? Decyzje muszą podejmować ci, którzy rządzą – demokratycznie wybrani przedstawiciele. Natomiast społeczeństwo powinno mieć możliwość obserwowania procesu decyzyjnego, musi mieć szansę poznania argumentów, wreszcie musi móc wyrazić swoją opinię – poprzez środki masowego przekazu oraz poprzez różne organizacje, które artykułują interesy i poglądy pewnych grup. Tego nie byliśmy w stanie osiągnąć.

Strukturą umożliwiającą włączenie społeczeństwa w proces decyzyjny były Komitety Obywatelskie. Kiedy kładliśmy nacisk na przyspieszenie reformy samorządowej, robiliśmy to również dlatego, że autentyczny, demokratyczny samorząd miał rozszerzyć społeczne podstawy procesu decyzyjnego. Nie umieliśmy natomiast znaleźć właściwej formy informowania społeczeństwa o tym, co się dzieje, jakie decyzje są podejmowane i dlaczego właśnie takie. *Mówiąc „nie umieliśmy”, zakłada Pan, że była taka wola.*

– A dlaczego miało jej nie być? Dlaczego mieliśmy unikać kontaktu ze społeczeństwem? Dlaczego mieliśmy nie chcieć informować ludzi? Władza komunistyczna działała w sposób wyizolowany, bo się społeczeństwa bała. My nie mieliśmy się czego bać, ale też nie umieliśmy utrzymać kontaktu ze społeczeństwem. Nie potrafiliśmy znaleźć form odpowiadających sytuacji.

Co do komunistów, nie mogę się z Panem zgodzić. Oni bardzo dbali o włączenie społeczeństwa w sferę problemów władzy. Wielką wagę przykładali do socjotechniki. Nie posiadając społecznej akceptacji dla samego swojego istnienia, nie byli jednak w stanie wiele samą socjotechniką osiągnąć. Nieustannie jednak zanudzali społeczeństwo swoimi problemami decyzyjnymi – spustami surówki, pięcioletkami, manewrami gospodarczymi. Właśnie w gwizdek komuniści puszczali najwięcej pary. Efekt tego był kabaretowy.

– Bo to było „zamiast”, zamiast demokracji, zamiast podzielenia się ze społeczeństwem władzą. Pod rządami komunistów społeczeństwo nigdy nie zostało dopuszczone do rządzenia i nigdy nie było poinformowane o tym, jak naprawdę jest. Było natomiast

CENA WŁADZY

W oczekiwaniu na Lecha Wałęsę w sekretariacie OKP



ANNA PIETUSZAKO

Byłem obserwatorem krytycznym,
ale wewnętrznym. Miałem poczucie
odpowiedzialności za to, co się działo,
nawet wtedy, gdy nie miałem wpływu
na różne decyzje

ROK 1989

indoktrynowane i okłamywane. Cała komunistyczna władza oparta była na systemie mniejszych i większych kłamstw, którymi ludzi, z niezwykłą intensywnością, zalewano. Robiono to zresztą z dużą sprawnością, której zabrakło nam w wytwarzaniu kanałów mówienia prawdy. Chcieliśmy mówić prawdę i mówiliśmy prawdę, ale nie potrafiliśmy dotrzeć z nią do społeczeństwa. Nie była to tylko słabość rządu Mazowieckiego. Naszej reprezentacji parlamentarnej też się to nie udało.

Ale jednak właśnie rząd podjął decyzję o tym, że w tym podstawowym medium, jakim jest telewizja, nie będzie „polowania na czarownice”, co naprawdę znaczyło, że niewiele się tam zmieni.

– Krytycznie oceniam tę decyzję i całą politykę dotyczącą telewizji. Uważam, że jest to jeden z zasadniczych błędów rządu Mazowieckiego. To jest jedna z niewielu kwestii, w których rząd mógł zrobić wiele, a nie zrobił. Podkreślam, że jest to jedna z niewielu takich kwestii, bo uważam, że zwłaszcza w sprawach gospodarczych ten rząd zrobił wszystko, co tylko można było dla Polski zrobić. Także w kwestii zmiany systemu władzy – w policji, w wojsku, w likwidowaniu agend komunistycznych – osiągnęliśmy wszystko, co mogliśmy osiągnąć. Może najwyżej w jakichś sprawach szczegółowych można było przyspieszyć decyzje o parę tygodni czy miesiąc. Natomiast w sprawie telewizji nie zrobiono tego, co można było zrobić. Krytykowałem tę opieszałość publicznie i jestem przekonany, że stanowi ona źródło wielu naszych kłopotów. *Wracam do publicznego domysłu, że w tych sprawach rząd nie tyle nie umiał, ile nie chciał posuwać się szybko. Jeżeli elementem filozofii Mazowieckiego było unikanie rozbudzenia emocji społecznych, to powolność zmian w telewizji staje się zrozumiała, bo radykalna zmiana w telewizji mogła pobudzić społeczne emocje, mogła rzutować na oczekiwania w innych dziedzinach, mogła wzmocnić falę roszczeń lokalnych.*

– Tak, ale pan mnie ustawia w pozycji zewnętrznego obserwatora. Ja byłem zaś obserwatorem krytycznym, ale wewnętrznym. Miałem poczucie odpowiedzialności za to, co się działo – nawet wtedy, gdy nie miałem wpływu na różne decyzje leżące w gestii

CENA WŁADZY

rządu. Dlatego mówię, że to nas obciąża. „Nas” – „Solidarność”, a nie „ich” – rząd.

Teraz staje Pan w sprzeczności z własną tezą: „tyle współodpowiedzialności, ile współrządzenia”.

– No dobrze, ale jeżeli stwierdzam, że dokonaliśmy zmiany systemu władzy, oznacza to także „zmiany funkcjonowania władzy”. Co znaczy „współrządzenie”? Tyle mamy współrządzenia, ile go sobie bierzemy. Jeżeli uważaliśmy, że jest źle, trzeba było wziąć sobie tego współrządzenia więcej. Dlaczegośmy tego nie robili? Dlaczego ja ograniczałem się do krytyki, a nie próbowałem zmieniać sytuacji? Bo w dużym stopniu podzielałem obawy rządu i jego niepewność co do tego, gdzie znajduje się owa czerwona linia, po przekroczeniu której kończy się proces zmian, a zaczyna destabilizacja. Destabilizacja może dotyczyć wewnętrznego układu władzy czy groźby wojny domowej, może dotyczyć interesów zewnętrznych i procesów rozpadu imperium, którego część stanowiliśmy, ale może też dotyczyć pobudzenia aspiracji społecznych. To wciąż był rachunek niepewny! Ja byłem przekonany o jednym – o tym mianowicie, że intencje rządu są niewątpliwie czyste i że wola jest niewątpliwie dobra. Skoro tak, powstawał problem prawidłowości rachunku. W takich sprawach nikt nie mógł mieć pewności swoich racji. Nikt nie mógł powiedzieć, że wie, gdzie jest ta cienka granica, której przekroczyć nie wolno. O tym, gdzie ona biegnie, dowiadaliśmy się dopiero wówczas, gdy jej dotykaliśmy.

Powiedział Pan przed chwilą, że polityka wobec telewizji była jednym z nielicznych błędów rządu Mazowieckiego. Jakie inne błędy Pan dostrzega?

– A po co o tym mówić? Zbyt łatwo jest oceniać teraz, kiedy wiemy to wszystko, co przed rokiem było jeszcze wielką niewiadomą.

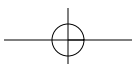
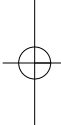
Na konferencji prasowej w 100 dni po wyborach czerwcowych mówił Pan, że obok zmian w telewizji krytycznie ocenia Pan także tempo prac w dziedzinie prywatyzacji i tworzenia autentycznego samorządu terytorialnego.

ROK 1989

– Sprawa samorządu wkrótce potem ruszyła, natomiast kwestia prywatyzacji jest niezwykle trudna i mam pełną świadomość ogromnej złożoności każdej decyzji w tej sferze. Wciąż wydaje mi się jednak, że nie zostały wykorzystane wszystkie proste możliwości, które zapewne nie zmieniłyby generalnego obrazu polskiej gospodarki, ale mogły mieć ogromne znaczenie dla społecznej świadomości. Myślę zwłaszcza o prywatyzacji handlu.

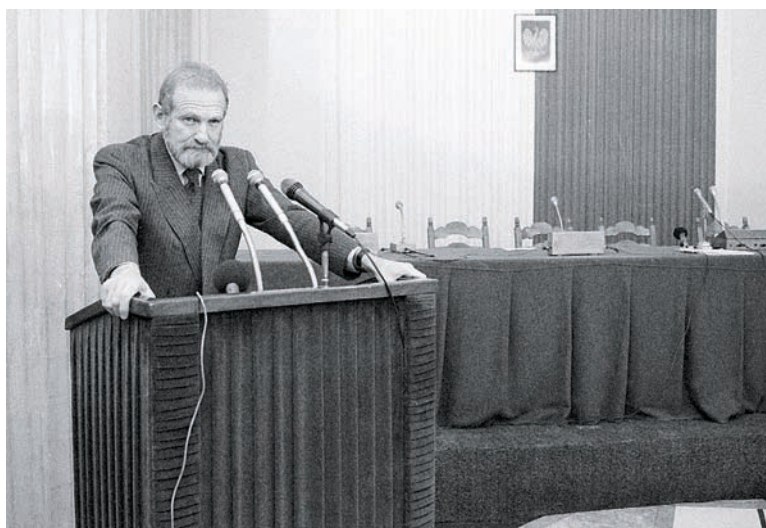
Czy Pan wie, że to się w ogromnym stopniu dokonało?

– Przede wszystkim w ten sposób, że przed państwowymi sklepami stanęły prywatne stragany. Natomiast sama prywatyzacja sieci handlowej posuwa się wolno i nieefektywnie. Społeczeństwo zasługiwało zaś na to, żeby móc dotknąć tej wielkiej transformacji, która w innych dziedzinach z natury rzeczy była „niedotykalna” czy też trudniejsza do zaobserwowania dla przeciętnego obywatela. To prawda, że dziś prywatyzacja handlu dokonuje się na dużą skalę, ale sądzę, że gdyby ten proces odbywał się przed rokiem, nie rozbijałby się o kwestię czynszów, za pomocą których samorządy chcą dziś ratować swoje finanse. Gdyby prywatyzacja sklepów wyprzedziła powstanie samorządów gminnych, nowe władze siłą rzeczy liczyłyby raczej na wpływy z podatków niż na czynsze i cała operacja miałaby bardziej naturalny przebieg. Nie byłoby tych wszystkich wstrząsów związanych z masowym likwidowaniem sklepów czy punktów rzemieślniczych. A poza wszystkim – w trudnych pierwszych miesiącach planu Balcero-wicza mielibyśmy jakiś widomy znak, że cała reforma nie ogranicza się tylko do podwyższenia cen. Chcę jednak wyraźnie podkreślić, że mówię to wszystko z punktu widzenia polityki, bo z punktu widzenia gospodarki prywatyzacja jest niezwykle skomplikowanym i w polskiej skali bezprecedensowym przedsięwzięciem. Nie ma tu mądrych, bo musi to trwać. I lepiej tu nie popęłniać błędów!





MEBLOWANIE



ANNA PIETUSZKO

Od chwili gdy na czele rządu stanął człowiek „Solidarności”, sprawa transformacji partii nabrała niezwyklej aktualności, a jej przyszłość stała się wielkim znakiem zapytania. Pamiętam relację z pierwszych dni urzędowania Mazowieckiego. Na swoim premierowskim biurku, poza wieloma innymi, zastał także telefon łączący bezpośrednio z I sekretarzem KC. Oczywiście kazał go usunąć. Wkrótce wszystkie takie połączenia zostały przecięte. Mozolnemu odsuwaniu partii rząd nie nadawał jednak specjalnego rozgłosu, choć ona sama usiłowała uparcie trwać na swojej uprzywilejowanej pozycji. Dzień po powołaniu rządu nowy I sekretarz PZPR Mieczysław Rakowski wystąpił w telewizji z gwałtownym przemówieniem biorącym w obronę partyjną nomenklaturę oraz atakującym „Solidarność” za chęć kontynuowania walki przeciw „czerwonym” i skłonność do kombatantstwa. Tego samego dnia Leszek Miller, sekretarz KC, występując w Skierniewicach, rzucił hasło: „Rząd wasz, program nasz”, które znaczyło tyle, że Mazowiecki kontynuuje politykę Rakowskiego.

Kiedy 3 października XV Plenum wyznaczyło termin zjazdu na 27 stycznia, nikt nie mógł jeszcze mieć nadziei, że dla PZPR będzie to zjazd ostatni – nie tylko w sensie formalnym. Partia wciąż liczyła ponad dwa miliony członków. Tego samego dnia minister Aleksander Hall, informując, że w roku 1989 PZPR otrzymała ze skarbu państwa astronomiczną kwotę 83 miliardów złotych, którą przeznaczono między innymi na finansowanie kampanii wyborczej, zapewnił, że w roku następnym żadne partie nie dostaną państwowych pieniędzy.

Mam wrażenie, że zarówno dla opinii publicznej, jak i dla działaczy partyjnych zapowiedź Halla stanowiła przełom. Po czterdziestu latach wszechwładzy oraz praktycznego utożsamiania państwa i partii PZPR została sprowadzona do roli prywatnej organizacji, choć wciąż jeszcze uchwalona w 1976 roku poprawka konstytucyjna gwarantowała jej przewodnią rolę w państwie. Jak wówczas wyobrażał Pan sobie dalsze losy tej partii?

– Uważałem, że trzeba w miarę możliwości dążyć do izolowania zachodzącego w partii procesu – stwarzać sytuację, w której od niej samej będzie zależało, co ze sobą zrobi. Możliwości w zasadzie miała dwie: przekształcić się w normalną partię polityczną, która ubiegać się będzie o głosy wyborców, albo skazać się na stopniowe, lecz jednak dość szybkie obumieranie. Formalnie sprawdziło się to pierwsze, a praktycznie to drugie, bo dziś z dwu milionów zostało w SdRP 60 tysięcy członków.

Sądzi Pan, że oni tak właśnie wyobrażali sobie ten proces?

– Z pewnością nie. Byli dufni i uważali, że po jakimś przejściowym zamieszananiu jednak wrócą do władzy.

Na bagnietach?

– Nie, na niezadowoleniu społecznym. Słusznie zakładali, że po okresie euforii niezadowolenie społeczne zacznie wzrastać, bo sytuacja gospodarcza będzie nieznośna. Nie zrozumieli tylko tego, że ludzkiego niezadowolenia partia komunistyczna nigdy nie zdoła zdyskontować. Nie zdawali sobie sprawy, że komuniści czy postkomuniści zostali raz na zawsze wyeliminowani z polskiej polityki.

Nie staraliśmy się ich z tego błędu wyprowadzać, bo nie zależało nam na optymalizacji ich wyborów. Z mojego punktu widzenia gwałtowne obumieranie partii było scenariuszem najlepszym, ale musiało ono być efektem jej własnych decyzji. Nie mogła się do tego przyczynić skierowana przeciw partii aktywność władzy czy „Solidarności”. Dlatego spokojnie czekaliśmy i patrzyliśmy, jak odrzucając radykalną reformę, zmierza ona do politycznego samozniszczenia, którego dokonała bez żadnej pomocy z naszej strony. Powiedziałbym nawet, że kosztowało nas to sporo wysiłku, bo wymagało powstrzymywania niezwykle silnych antypartyj-

MEBLOWANIE

nych nastrojów, zwłaszcza w wielkich zakładach pracy. Przeciwwstawialiśmy się tym nastrojom, nie mogąc jednak powiedzieć opinii publicznej otwarcie, że ataki na partię są już dysfunkcjonalne, bo tylko opóźniają jej naturalne zejście z politycznej sceny, które zostało historycznie przesądzone.

Nie wydaje się Panu, że przeczy tej tezie łatwość, z jaką rok później Włodzimierz Cimoszewicz zebrał ćwierć miliona głosów popierających jego kandydaturę na prezydenta?

– Nie, bo obumarła partia komunistyczna, której zasadniczą część stanowiła tak zwana partia wewnętrzna, czyli partyjny aparat faktycznie sprawujący władzę. Gdy partia przestała być właścicielem państwa, dla aparatu partyjnego, przynajmniej w jego dotychczasowej roli, nie było już miejsca. Nie znaczy to jednak, żeby znikła również baza społeczna tej partii. Dwa miliony byłych członków PZPR stanowią przecież ogromną część narodu, zwłaszcza gdy do tej liczby doda się najbliższe rodziny byłych partyjnych i sporą grupę bezpartyjnych sympatyków – w rodzaju choćby Jana Dobraczyńskiego czy Jerzego Urbana. Ci ludzie żyją i ich głosy mają swój udział w polskim elektoracie. Jesienią 1989 roku, rozważając przyszłość partii, nie myśleliśmy jednak w kategoriach demokratycznych wyborów powszechnych czy społecznego poparcia, ale w kategoriach rachunku sił. To właśnie oni – nie my – mieli wciąż jeszcze pełen dostęp do środków przemocy. Historia uczy, że grupa czy warstwa odsuwana od władzy broni się wszelkimi środkami. Staraliśmy się więc wytworzyć taką sytuację, w której partia przestanie istnieć, zanim jeszcze uświadomi sobie swój własny koniec i zanim sięgnie po środki ostateczne.

Powiedział Pan, dlaczego Jaruzelski nie mógł już w 1989 roku odwołać się do użycia siły, ale przecież mogli to zrobić inni – ludzie, których stygmat stanu wojennego osobiście nie dotyczył. Poza grupą autorów stanu wojennego, którzy w 1989 roku popierali proces Okrągłego Stołu – takich jak Jaruzelski, Kiszczak, w pewnym sensie Rakowski – byli też przecież w kierownictwie partii zdecydowani przeciwnicy reform, tacy jak sekretarz Komitetu Warszawskiego Janusz Kubasiewicz. Oni chyba się jeszcze wówczas nie poddali, o czym świadczy

ROK 1989

choćby i to, że 10 października jednocześnie z Rakowskim, ale osobno, Kubasiewicz poleciał do Moskwy, najwyraźniej szukając szansy przedstawienia tam swojej własnej wizji polskiej sytuacji. Ta gra wciąż się toczyła, beton nie chciał ustąpić.

– Ale podobnie jak reszta partii miał poczucie własnej słabości. Wydaje mi się, że już zabójstwo księdza Popiełuszki i późniejszy proces jego zabójców – jakkolwiek on był – pokazały twardegołowym, że nie mogą liczyć na obronę ze strony struktur przemocy, natomiast muszą liczyć się z otaczającą ich ogromną społeczną nienawiścią. Nie znamy jeszcze kulis zabójstwa księdza Popiełuszki, jedno jest jednak niewątpliwe: podjęto wówczas próbę odwołania się do wpływów Związku Radzieckiego. W roku 1989 już tego odwołania nie było, jego bezskuteczność stała się oczywista. To stanowiło czynnik decydujący.

Dostrzegam też jednak inny zupełnie czynnik, który niewątpliwie ułatwił pokojową transformację systemu. Otóż w klasie aparatu, tworzonej przez ludzi miernego na ogół pokroju, pojawiła się szansa na pieniądze, na zamożność, na bogactwo. Właściciele państwa zapragnęli stać się właścicielami fabryk, co uważali za bezpieczniejsze, bo niezwiązane z losem politycznych karier. W roku 1989 ta wizja wciągnęła już bardzo wielu z nich, a kusila wszystkich. *Mnie też się wydaje, że było to bardzo ważne, ale kiedy mówi to Pan, słowa te nabierają znaczenia szczególnego. Czy zatem chce Pan powiedzieć, że w liberalnym stosunku nowej władzy do uwłaszczania nomenklatury i tworzenia nomenklaturowych spółek zawierał się polityczny zamysł zneutralizowania sił mogących dążyć do odwrócenia całego procesu demokratycznego?*

– Myślę, że nie należy mitologizować tej sytuacji. Mówi pan „uwłaszczania nomenklatury”, „spółki nomenklaturowe”. To są hasła politycznej mitologii. Więcej one zaciemniają, niż wyjaśniają. Między władzą a pieniądzem zawsze istniały silne powiązania. Komunizm nadał im rangę szczególną, bo po obu stronach tej relacji mieliśmy do czynienia z monopolami. Kiedy komuś noga się powinęła w aparacie partyjnym albo w aparacie bezpieczeństwa, pozwalano mu robić pieniądze. Wysyłano go na Zachód albo znaj-

MEBLOWANIE

dowano pracę w zachodniej firmie. Gdy pojawiły się w Polsce przedsiębiorstwa polonijne, powszechnie było wiadomo, że przechodzili do nich ludzie z aparatu władzy. Ten proces miał masowy charakter jeszcze przed dojściem „Solidarności” do władzy.

Jeden z moich kolegów opowiadał mi w celi na Mokotowie, że wkrótce po aresztowaniu został wywołany na dość niezwykle przesłuchanie. Oficer SB, który go przesłuchiwał, okazał się człowiekiem niezwykle miłym i zarazem praktycznym. Od razu zaczął od przeprosin za omyłkowe aresztowanie mojego znajomego przy okazji konfiskowania „solidarnościowej” drukarni, która pracowała w jego mieszkaniu. „Ja rozumiem – mówił – że pan nic o tej drukarni nie wiedział, ale słyszałem, że jest pan właścicielem spółki chemicznej, a mój szwagier jest chemikiem i na pewno bardzo by się panu przydał”. Kiedy się dowiedział, że zaszła pomyłka, okazało się, że zapewne on jednak domyślał się istnienia tej drukarni i będzie musiał trochę posiedzieć. Taki mechanizm działał od lat. Po zmianie władzy ten sam mechanizm, który od dawna istniał wbrew społecznym odczuciom, został publicznie ujawniony i stał się źródłem społecznych emocji.

Szansa robienia dużych pieniędzy nie stała jednak przed wszystkimi członkami partii. Ona nie stała nawet przed kilkuset tysiącami marnie opłacanych pracowników partyjnego aparatu. Ale mobilizowała wyobraźnię całej tej rzeszy. Pokazywała, że zamiast niepewnej drogi walki o władzę, lepiej wybrać walkę o pieniądze i w tym sensie odegrała istotną, jak sądzę, rolę.

Rozumiem, że mieliście wówczas tę świadomość i rozmyślnie przemykaliście oczu.

– Nie przemykaliśmy oczu. Nie godziliśmy się na żadne działania sprzeczne z prawem. Ale też nie szukaliśmy rewanżu, staraliśmy się uniknąć atmosfery zemsty. Poszukując sprawiedliwości trzymaliśmy się dróg prawa, co nie znaczy, że zaniechaliśmy rozliczeń z odchodzącą władzą. Powołaliśmy przecież dwie nadzwyczajne komisje sejmowe mające zbadać działalność rządu Mieczysława Rakowskiego i wyjaśnić nadużycia oraz przestępstwa popełnione w resorcie spraw wewnętrznych od chwili wprowa-

dzenia stanu wojennego. Zwróciliśmy się też do Najwyższej Izby Kontroli o zbadanie działalności spółek tworzonych przez ludzi pełniących wysokie funkcje w aparacie państwowym i w gospodarce. Nie chcieliśmy natomiast dopuścić do sytuacji, w której osobiste zagrożenie stałoby się odczuciem setek tysięcy ludzi zatrudnionych w aparatach władzy, bo wtedy musielibyśmy liczyć się z najróżniejszymi ich reakcjami.

Mieliśmy też świadomość, że wprowadzamy Polskę na nową pod wieloma względami drogę i że w dużym stopniu właśnie my tę drogę wyznaczamy. Nie chcieliśmy, żeby była to droga społecznych nienawiści, droga walki wszystkich ze wszystkimi. Przeciwnie, staraliśmy się pokazywać drogę prawnej harmonii demokratycznego państwa. To zaś nakładało na nas obowiązek poruszania się w granicach tego ułomnego, czasem nawet opacznego prawa, jakie dostaliśmy w spadku po komunistach. Zmienialiśmy to prawo, zastępując stare ustawy nowymi, ale nie kwestionowaliśmy legalności całego systemu, bo wówczas ewolucja musiałaby się zamienić w rewolucję i znaleźlibyśmy się na tej samej ścieżce, z której właśnie udało nam się zejść – na ścieżce rewolucyjnej dyktatury, która mając na ustach hasła najpiękniejsze, wcześniej czy później zaczyna robić rzeczy najgorsze.

Mogę więc powiedzieć, że w dużym stopniu świadomie opieraliśmy się nie tylko odruchom zemsty czy nienawiści, ale także części aspiracji rozliczeniowych, bo mieliśmy świadomość, że puszczona w ruch machina odwetu z czasem zaczyna sama produkować winnych – byle tylko się nie zatrzymać. Gilotyny – gdy już się je ustawi – nie chcą rdzewieć. Gdy zabraknie winnych, muszą ich stworzyć same – i tworzą, zamieniając najwznioślejsze rewolucyjne ideały w ich dokładne przeciwieństwo.

Sądzi Pan więc, że lepiej nie karać?

– Sądzę, że trzeba tworzyć mechanizmy umożliwiające karanie winnych i skutecznie chroniące przed karaniem niewinnych. Znaczy to jednak, że poszukiwanie sprawiedliwości musi być rzeczą prawa, a nie polityki, że w polityce nie można odwoływać się do zemsty czy odwetu. Na dłuższą metę wspaniałomyślność dużo bar-

MEBLOWANIE

dziej się społeczeństwu opłaca. W Polsce ta polityka się sprawdziła, tak samo jak sprawdzała się w Hiszpanii, w Portugalii, w Chile, w Argentynie, czyli w tych krajach, które podobnie jak my przeszły pokojową transformację od dyktatury do demokracji. Wszystkie one wyrzekły się odwetu, choć nie wyrzekły się prawa do szukania sprawiedliwości. Jestem absolutnie przekonany, że gdybyśmy w roku 1989 wybrali politykę zemsty i odwetu, odpowiedzią komunistów byłyby próby odwrócenia biegu zdarzeń. Nawet gdybyśmy zdołali je zdławić, cena byłaby duża. Nie mam wątpliwości co do tego, że nasza wstrzeźliwość, odrzucenie „polowań na czarownice” i rezygnacja z rewanzu – nie oznaczająca przecież rezygnacji z karania winnych tam, gdzie oni rzeczywiście byli – stanowiły czynnik sprzyjający przyspieszonemu obumieraniu partii...

...która wciąż jeszcze nie chciała odchodzić. W ostatnich miesiącach roku partyjna kampania przedzjazdowa odbywała się niemal równie hucznie jak zawsze. Tym razem w wewnątrzpartyjną rozgrywkę włączyła się jednak „Solidarność”, a Lech Wałęsa wskazał nawet na Tadeusza Fiszbacha jako swojego kandydata do fotela I sekretarza. W ostatnich dniach roku Wałęsa spotkał się również z Mieczysławem Rakowskim, dając tym sygnał, że i jego skłonny jest zaakceptować oraz traktować jako poważnego partnera politycznego. Dość ope-retkowo wyglądał wówczas ten wyścig komunistów po inwestyturę Wałęsy, która miała zwiększyć ich prestiż we własnej obumierającej partii. Jaki sens miała ta gra dla „Solidarności”?*

– W tej sprawie były wśród nas różne stanowiska. Grę na partyjne frakcje prowadził przede wszystkim Lech Wałęsa stymulowany przez swoje gdańskie otoczenie. Jednak również niektórzy moi warszawscy przyjaciele uważali, że skoro zmiany wewnątrz partii mają dla Polski kluczowe znaczenie, należy wspierać grupę nastawioną proreformatorsko. Ja nie byłem o tym przekonany i w tej grze nie uczestniczyłem. Uważałem, że trzeba stworzyć

*W 1980 roku **Tadeusz Fiszbach** był I sekretarzem KW PZPR w Gdańsku, uczestniczył w rozmowach w strajkującej Stoczni. W czerwcu 1989 roku wybrany na posła z listy PZPR, wicemarszałek Sejmu. Wkrótce PZPR opuścił i powołał Polską Unię Socjaldemokratyczną.

ROK 1989

szansę naturalnej reformy albo obumierania tej partii. Byłem więc przeciwny wszelkim zewnętrznym interwencjom w jej sytuacji – zarówno represjom, które wiele osób postulowało, jak i politycznej ingerencji na rzecz którejś z konkurujących frakcji. Obawiałem się przede wszystkim, że wszelka interwencja może spowodować wewnętrzną konsolidację partii i spetryfikować istniejący układ. Poniekąd się to zresztą sprawdziło, bo Fiszbach, popierany przez Lecha Wałęsę, poniósł zdecydowaną porażkę i odszedł z partii wraz z niewielką grupą swoich sympatyków. Ze sceny zszedł również Mieczysław Rakowski, a na czele nowej partii stanęli ludzie, którzy u Wałęsy poparcia nie szukali, choć znani byli ze swoich reformatorskich poglądów. Było to do przewidzenia.

Rozmawiał Pan z Wałęsą na ten temat?

– Tak. Mówiłem mu, że jestem przeciwny jego włączaniu się w wewnętrzne rozgrywki partyjne, gdy bezskutecznie próbowałem odwieść go od zamiaru spotkania z Leszkiem Millerem. Potem wszystkie następne jego spotkania z partyjnymi liderami były już prostą konsekwencją tej decyzji. Po serii grudniowych spotkań z Millerem, Fiszbachem, Rakowskim Wałęsa wycofał się z udziału w partyjnej grze. Mam wrażenie, że przyjął wówczas moją argumentację.

Ostatnie tygodnie tego roku były okresem bardzo intensywnych, choć jeszcze raczej formalnych przeobrażeń na polskiej scenie politycznej. Nowej tożsamości szukała nie tylko PZPR, ale także jej sojusznicy. Nikt nie potrafił policzyć, ile dokładnie istniało Polskich Stronnictw Ludowych, gdy w ostatnich dniach listopada prokomunistyczne dawniej ZSL postanowiło przemianować się na PSL „Odrodzenie”. Niewątpliwie znacznie ważniejsze było jednak meblowanie sceny politycznej po stronie dawnej opozycji. Sprawą decydującą wydawała się przyszłość Ruchu Obywatelskiego. Projekt przygotowany przez komisję, którą wyłonił Komitet Obywatelski, przewidywał utworzenie Rady Ruchu. Na jej czele stanąć miał sam Wałęsa, a w jej skład mieli wejść przedstawiciele Komitetów lokalnych, obu „Solidarności” oraz nominaci Lecha Wałęsy. Ten projekt, który zdawał się odpowiadać ówczesnej sytuacji politycznej i ukła-

dowi sił, został 7 października odrzucony przez Komitet Obywatelski. Dlaczego?

– Wtedy nie do końca zdawałem sobie z tego sprawę, ale dziś jestem pewny, że był to efekt braku zaufania działaczy terenowych do struktur nowej władzy. Ta nowa, dopiero wyłoniona władza obdarzana była przede wszystkim nieufnością, która bardzo szybko narastała. Dziś wiem już także, iż właśnie wtedy zaczynała się gra o zlikwidowanie lub opanowanie tego ruchu, który miał charakter prawdziwie spontaniczny i – co za tym idzie – pluralistyczny. Tymczasem ówczesny sekretariat Komitetu Obywatelskiego prowadzony przez Henryka Wujca niezwykle lojalnie i bez żadnych politycznych ambicji służył inicjatywom lokalnym, których rozwój wymagał oparcia w centrum.

Projekt zmian, który na posiedzeniu Komitetu w imieniu komisji zreferował Marcin Król, atakowany był ze wszelkich możliwych pozycji, a wszystkie rozumowania prowadziły do jedyne wniosku, że „wobec tego najlepiej nic nie zmieniać”. Zadziwiające było to przywiązanie do status quo wśród ludzi, którzy właśnie dokonywali „rewolucyjnej ewolucji”. Czy ówczesna struktura ruchu miała Pańskim zdaniem szansę przetrwania?

– Ja opowiadałem się za reformą, ale sądziłem, że mimo wszystko była także szansa przetrwania w ówczesnej formie. Warunkiem przetrwania wydawało mi się powiązanie tego ruchu z „Solidarnością”, z Lechem Wałęsą i z OKP jako jego przedstawicielstwem w parlamencie. Wydawało mi się także możliwe zorganizowanie tego ruchu nie tyle wokół istniejących instytucji, ile wokół programu. Gdy pierwsza droga została odrzucona, próbowaliśmy drugiej. Usiłowaliśmy stworzyć program, który by nas zjednoczył, wokół którego skupialiby się ludzie i różne związane z „Solidarnością” grupy. Miała temu służyć konferencja „Etos Solidarności”.

Ale ona odbyła się dopiero w grudniu, a wcześniej podziały stały się bardzo widoczne. W ostatnich dniach października ukazał się przecież w „Tygodniku Solidarność” – już pod redakcją Jarosława Kaczyńskiego – bulwersujący artykuł „Familia, świta, dwór”. Niewątpliwie tekst ten w większym stopniu kreował rzeczywistość, niż ją

opisywał, ale jednak zarysowane w nim podziały i rozbieżności między trzema solidarnościowymi ośrodkami chyba rzeczywiście w jakimś stopniu funkcjonowały.

– W mojej świadomości one w ogóle nie istniały. Nie akceptowałem tej małostkowości, plotek i zawiści, którymi „Tygodnik Solidarność” zaczął się wówczas żywić. Nie rozumiałem, że jest to związane z bardzo daleko posuniętą frustracją grup, które nie uzyskały bezpośredniego wpływu na decyzje dotyczące państwa i nie miały swojej reprezentacji w strukturach oficjalnej władzy.

„Tygodnik Solidarność” opisywał sytuację, w której obóz „Solidarności” podzielony jest na trzy części: Familiję utożsamianą z Panem i Adamem Michnikiem oraz Prezydium OKP, Świtę, czyli grupę rządową, i Dwór skupiony wokół Lecha Wałęsy. Jak to się miało do rzeczywistości?

– Moim zdaniem ten tekst był oparty na całkowicie zakłamanym obrazie rzeczywistości i wyrażał raczej nadzieję czy też może zamiar stworzenia takiej sytuacji, niż ją opisywał. Ma pan rację, że on bardziej kreował rzeczywistość, niż ją odwzorowywał. Współpraca między środowiskiem OKP a rządem układała się bardzo dobrze. Nie było między nami konfliktów, choć powstawały napięcia w różnych kwestiach szczegółowych. Co więcej, aż do lata 1990 roku także moja współpraca z Lechem Wałęsą układała się dobrze, lojalnie i przyjaźnie. Proszę też zwrócić uwagę, że atak, który wówczas dopiero się zaczynał, a którego nie przewidywałem, przede wszystkim skierowany był nie przeciwko rządowi i Tadeuszowi Mazowieckiemu, lecz przeciwko mnie. Stale przecież podkreślano – i Porozumienie Centrum powtarzało to jeszcze na wiosnę 1990 roku – że nie chodzi o atak na Mazowieckiego, lecz na Geremka. Dlaczego? Bo szło o odebranie nowej władzy poparcia ze strony Wałęsy. Stosunki między Wałęsą a Mazowieckim były już wówczas złe. Natomiast ja miałem równie dobre stosunki z Wałęsą, jak i z Mazowieckim. Siłą rzeczy tworzyłem więc polityczny pomost, na którym ten układ się w pewnym sensie opierał. Przed zaatakowaniem rządu i Mazowieckiego trzeba było rozsadzić układ, zniszczyć jego równowagę.

MEBLOWANIE

A Pańskie stosunki z rządem – mówi Pan, że były w nich napięcia. Czy one rzeczywiście nie przeradzały się w konflikt wówczas, gdy krytykował Pan powolność niektórych procesów?

– Nigdy! Rzeczywisty konflikt, wówczas jeszcze skryty przed opinią publiczną, istniał tylko między Lechem Wałęsą i Tadeuszem Mazowieckim, który nie chciał być premierem malowanym i nie dzielił się swoją władzą z Lechem Wałęsą. Napięcia między rządem a naszym klubem miały dokładnie takie samo podłoże, ale nie przerodziły się w konflikt głównie dlatego, że w Prezydium naszego klubu przeważał pogląd, iż w ówczesnej sytuacji Polski jedność stanowi ogromną wartość, i wszelkie sprawy prestiżowe, a nawet kompetencyjne musiały przed nią ustąpić. Napotykać twardą postawę rządu, ustępowaliśmy właśnie dlatego, że konflikt wewnątrz naszego obozu uważaliśmy za zagrożenie dla polskiej racji stanu.

Obywatelski Klub Parlamentarny miał prawo do większego wpływu na politykę rządu. Płacił bowiem cenę wszystkich niepopularnych decyzji, które w pierwszych miesiącach zdecydowanie dominowały. Każdy nasz poseł i senator spotykał się przecież z wyborcami rozliczającymi nas za działania powołanego przez nas rządu. Trudno było wówczas odpowiadać, że jest to wprawdzie nasz rząd, ale nie mamy wpływu na jego decyzje. W opinii publicznej klub i rząd były całkowicie utożsamiane i do nas kierowano pretensje o każdą błędną decyzję każdego ministra – nawet wówczas, gdy był to przedstawiciel którejś z partii starego układu.

Muszę przyznać, że w tych pierwszych miesiącach z podziwem patrzyłem na lojalność, jaką OKP z nieskończoną cierpliwością okazywał rządowi. Po burzliwych i bardzo krytycznych dyskusjach zawsze ktoś w końcu mówił, że może nam się to nie podoba, ale prosi o to nasz rząd, i wtedy powszechna krytyka zamieniała się w zbiorowe poparcie dla rządowej propozycji.

– Tak, to działało i niestety musiało działać bardzo często. *Czy nie obawiał się Pan, że jest to mechanizm dość niebezpieczny i że pewnego dnia obróci się on w swoje przeciwieństwo?*

ROK 1989

– Tak, obawiałem się i zdawałem sobie sprawę, że przyjdzie nam zapłacić koszty, które dziś płacimy. Płacę je także ja swoją pozycją w naszym klubie.

A nie było lepszego wyjścia?

– Było, i ustawicznie podejmowaliśmy różne próby, ale nie udało nam się uzyskać zmiany stanowiska rządu. Kiedy w sierpniu rozmawialiśmy o zasadach współdziałania między rządem a OKP, premier mówił, że nie będzie mógł prowadzić bieżącej współpracy z całym klubem, ale obiecał stały kontakt z Prezydium. Mieliśmy później spotkanie premiera z Prezydium, ale tylko jedno. Nie udało nam się wytworzyć takiej praktyki. Próbowaliśmy też powołać formułę konwentu OKP składającego się z Prezydium i naszych przewodniczących oraz wiceprzewodniczących komisji Sejmu i Senatu. Było to grono ludzi odpowiadających w klubie za całą pracę parlamentarną. Tylko raz udało nam się odbyć takie posiedzenie z udziałem premiera. Dochodziło natomiast do ostrych, konfliktowych, ale jednak niezwykle pożytecznych spotkań z innymi członkami rządu – zwłaszcza odpowiadającymi za sprawy gospodarcze. Nie każde z nich prowadziło może do jakichś konkretnych efektów, ale niewątpliwie pozwalały wytworzyć poczucie pewnej jedności między klubem a rządem. Chcieliśmy wprowadzić zasadę „tyle odpowiedzialności, ile uczestnictwa”, ale się nie udało.

Bo rząd doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że OKP nie zdobędzie się na to, żeby powiedzieć: „Nie, na to już się nie zgodzimy”.

– Cóż, cały układ „naszego rządu” wciąż opierał się na bardzo niepewnej większości parlamentarnej. Mieliśmy nasz rząd, który z grubsza biorąc realizował nasz program, program „Solidarności”, a w Sejmie wciąż posiadaliśmy tylko te 35 procent głosów. Wiedzieliśmy, że ten układ trzyma się siłą naszej przewagi moralnej, siłą naszej jedności i naszej determinacji w zmienianiu polskiej rzeczywistości. Rząd rozumiał to tak samo dobrze jak my i korzystał z tego. Wiedział, że mówiąc „nie”, nawet w jakiejś drugorzędnej sprawie, ryzykujemy podważenie całego procesu. Premier mógł być spokojny, że tego nie zrobimy.

MEBLOWANIE

A gdybyście się zdecydowali, gdyby nawet ten rząd upadł, co by się mogło stać? Czy wyobrażał Pan sobie, że do władzy wrócić mogą komuniści?

– Tego w ogóle nie braliśmy pod uwagę, nie wyobrażaliśmy sobie możliwości stworzenia rządu innego niż rząd „solidarnościowego” premiera Mazowieckiego.

Dlaczego?

– Przede wszystkim dlatego, że jednak istniało niebezpieczeństwo odezwania się rutyny parlamentarnej statystyki – to oni mieli owe 65 procent i w kilka miesięcy po wyborach, gdy minął szok druzgocącej porażki, ta 65-procentowa większość zaczynała się już odtwarzać. A poza tym, czy wie pan, jak na obalenie tego rządu zareagowałyby wówczas opinia publiczna? Nawet gdyby udało się stworzyć następny nasz rząd – w co bardzo wątpię – cała społeczna mobilizacja, cała narodowa skłonność do wyrzeczeń musiałaby prysnąć raz na zawsze, a bez nich reforma była niemożliwa. Mogliśmy mieć tylko jeden nasz pierwszy rząd. Zdając sobie z tego sprawę, musieliśmy zaś akceptować go takim, jaki był.

Wywołane tą sytuacją napięcia gdzieś od początku października istniały niemal bez przerwy, bo prawie co tydzień na posiedzeniach klubu za coś rząd krytykowano. Bardzo szybko wytworzył się jednak mechanizm, który sprawiał, że spowodowana tymi napięciami niechęć skupiała się nie na rządzie, lecz na Prezydium OKP, które mistyfikowano jako tajemnicze i potężne, prowadzące własną politykę ciała. Już w połowie października napięcia te dały o sobie znać. W uzupełniających wyborach do Prezydium przepadli wszyscy kandydaci wysunięci przez dotychczasowe Prezydium. Wybrano zaś trzy osoby zgłoszone z sali – Antoniego Furtaka, Pawła Łączkowskiego i Janusza Steinhoffa. Czy nie uważał Pan tego za sygnał, iż między klubem a jego władzami dzieje się coś niedobrego?

– Tak uważałem, ale było to zjawisko dość typowe dla polskiej socjologii politycznej. W Obywatelskim Klubie Parlamentarnym znaleźli się ludzie odważni i uczciwi, przeciwstawiający się komunistycznej władzy, ludzie, którzy swoją odwagą i determinacją, ja-

ROK 1989

ką okazali przez lata represji, zmusili komunistów do odwrotu. Teraz znaleźli się jednak w sytuacji zupełnie innej od tej, jaką znali i w jakiej się na ogół wspaniale sprawdzili. Stanęli wobec rzeczywistości, w której politykę realizuje się w procesie legislacyjnym. Do tego nie byli przygotowani. Co więcej, zderzenie z pozornie niemal bezowocnym legislacyjnym mozołem wywoływało frustrację i idące za nią poczucie, że prawdziwy proces polityczny dokonuje się gdzieś w zamkniętych gabinetach. Nasi posłowie i senatorowie nie mieli doświadczenia pozwalającego zrozumieć, że polityka jest sztuką kreowania rzeczywistości, a każdy z polityków kreuje ją na tyle, na ile potrafi – na ile starcza mu pomysłów, wyobraźni, propozycji, a także na ile potrafi prowadzić polityczną grę. Samo Prezydium, z racji swojej funkcji, nie miało przecież żadnego wpływu na proces polityczny, który jednak tworzony był przede wszystkim w rządzie. Brak tej wiedzy niewątpliwie sprzyjał pogłębianiu się frustracji. Ludzie tworzący OKP, postawieni na pozycjach politycznie bardzo eksponowanych, mieli jednak poczucie własnej niemocy. Nikt nam przecież nie wierzył, gdy mówiliśmy, że możliwości wpływania przez Prezydium na politykę rządu są tak samo ograniczone jak możliwości któregośkolwiek z członków klubu.

Chce Pan powiedzieć, że Pański wpływ nie był większy od wpływu każdego innego posła czy senatora?

– Tego nie powiedziałem. Mówiłem o sytuacji Prezydium, które miało ogromne obowiązki, a możliwości ograniczone tak samo jak wszyscy. Tylko każdy z nas osobno mógł realizować swoją szansę wywarcia wpływu na politykę rządu. Myślę natomiast, że – średnio biorąc – w Prezydium było więcej polityków niż w klubie i dzięki temu udawało nam się pewien wpływ czasami uzyskiwać.

„Pewien”? „Czasami”?

– Tak, ten wpływ był prawie żaden. Sporadycznie niektórzy z nas byli w stanie moderować stanowisko premiera, ale zawsze decydowały stosunki indywidualne – między marszałkiem czy wicemarszałkiem Senatu a premierem albo między mną a premierem. Nie

MEBLOWANIE

odnosiliśmy jednak sukcesów w sprawach, w których istniał poważny rozdzźwięk między OKP a rządem.

Kierownictwo OKP uważało na przykład, że nie powinno się uchwalać ustawy o partiach politycznych. Obawialiśmy się, że będzie ona jedynie krępowała formowanie się nowego życia partyjnego, i optowaliśmy za pozostawieniem powstającym partiom pełnej swobody. Co więcej, udało nam się uzyskać zrozumienie ugrupowań pozaparlamentarnych. Partie reprezentowane w parlamencie otrzymały natomiast poparcie rządu dla inicjatywy uchwalenia takiej ustawy. Wbrew stanowisku naszego Prezydium rząd przygotował nawet własny projekt tej ustawy. Została ona uchwalona i jest niedobra – nie służy kształtowaniu się mapy politycznej.

Podobnie było w kwestii polityki rolnej, od początku ostro krytykowanej przez marszałka Stelmachowskiego, a także przez naszych chłopów i przez Prezydium klubu. Była to zapewne polityka ekonomicznie słuszna, ale sprzeczna z politycznym interesem rządu i naszego klubu. Niepotrzebnie doprowadziła ona wieś do stanu wielkiego społecznego wrzenia. Przekonywaliśmy, że można tego uniknąć, stosując środki, które nie zmienią treści tej polityki, ale ją złagodzą. Gdy w końcu udało nam się uzyskać zmianę stanowiska rządu, było zbyt późno, bo wytworzył się silny antagonizm między rządem a dużą częścią rolników. Wobec emocji, jakie zdążyły narosnąć, małe zmiany okazały się niewystarczające. Były jednak sprawy, w których udawało nam się w porę uzyskać decyzje, o jakie się upominaliśmy.

Jakie na przykład?

– Choćby reformy w dwóch resortach zbrojnych – MSW i MON. Nasze usilne nalegania doprowadziły w grudniu do powołania cywilnych rad politycznych w obu tych ministerstwach. Dzięki ich istnieniu zdobyliśmy wiedzę, która później pozwoliła zreformować oraz politycznie zneutralizować armię i policję. Nie mieliśmy jednak takich sukcesów wiele.

Sytuacja, która się tu rysuje, robi wrażenie dość absurdalnej. W czerwcu „Solidarność” odniosła wspaniałe zwycięstwo wyborcze, we wrześniu człowiek „Solidarności” sformował pierwszy od czterdzie-

ROK 1989

stu paru lat niekomunistyczny rząd. Miesiąc później, a cztery miesiące po wyborach wszyscy byli już sfrustrowani. Sfrustrowany był przewodniczący „Solidarności” i jego gdańskie otoczenie, sfrustrowane były Komitety Obywatelskie, sfrustrowany był Obywatelski Klub Parlamentarny i sfrustrowane było nawet jego pozornie wszechwładne Prezydium. Niebawem miało się zaś okazać, że sfrustrowane zaczyna być także społeczeństwo. Czy to musiało się tak fatalnie obrócić?

– Co ja mam panu odpowiedzieć? Na pewno można było lepiej i inaczej, ale nie umieliśmy. Nie chcę powtarzać za Heglem, że ta rzeczywistość, która istnieje, jest najlepsza z możliwych. Frustracje społeczne wynikały w dużej mierze z tego, że rząd był niezwykle zaabsorbowany wydobywaniem kraju z gospodarczej katastrofy, jaką ostatecznie spowodował gabinet Rakowskiego. W tym zapracowaniu nie doceniono znaczenia polityki informacyjnej – stałej łączności między nową władzą a społeczeństwem, które ją wybrało. W gruncie rzeczy podobna sytuacja istniała w stosunkach między naszym Prezydium a klubem. Tu także nie udało nam się wytworzyć polityki informacyjnej, dzięki której klub byłby wyczerpująco informowany o naszych pracach i czułby się za nie odpowiedzialny. Krępowała nas nasza lojalność wobec rządu i moja wobec premiera. Najłatwiejszym sposobem przełamania niechęci między klubem a jego Prezydium byłoby przecież otwarte i ostre krytykowanie rządu. Przed tym się świadomie powstrzymywaliśmy, nawet wówczas gdy – mimo wszelkich wynikających z sytuacji Polski ograniczeń – rząd na taką krytykę zasługiwał.

W mojej porażce, jaką przyniósł mi rozwój sytuacji w klubie, była pewna doza procesu naturalnego, ale była też i wina, która polegała na tym, że nie umiałem współpracować z całą tą rzeszą 260 parlamentarzystów. W tym gronie zdecydowaną większość stanowili ludzie bezwzględnie uczciwi, którzy przychodząc do parlamentu, chcieli realizować nasz wyborczy program. Była również – może zbyt mała w stosunku do potrzeb – grupa ludzi, którzy kwalifikacje moralne łączyli z kompetencjami potrzebnymi w pracy legislacyjnej. Była też jednak – jak się okazało – znaczna grupa powodowana ambicjami i na każdą sytuację nierealizującą tych

MEBLOWANIE

ambicji reagująca frustracją. Można powiedzieć, że to także jest rzecz normalna, ale na tę normalność nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi.

Frustracja, jaka się w OKP utrzymywała, wyrażała się w narastającym dążeniu do szukania nowych rozwiązań strukturalnych. Wkrótce po październikowych wyborach do Prezydium nowy wiceprezodniczący klubu Paweł Łączkowski rozpoczął przygotowywanie nowego regulaminu, w którym powszechnie pokładano duże nadzieje. Po długich dyskusjach i odkładaniu decyzji na skutek braku quorum na początku grudnia nowy regulamin został w końcu uchwalony. Tymczasem w OKP zaczęły się jednak ujawniać podziały polityczne. Jeszcze w ostatnich dniach września odeszła z klubu kilk osobowa grupa związana z Romanem Bartoszcze. Oburzenie, z jakim decyzja ta została przyjęta, powstrzymało na dłuższy czas inne inicjatywy secesyjne. W połowie października doszło jednak do uformowania się wewnątrz klubu liberalnej Grupy Gospodarczej OKP, w połowie listopada powstała Grupa do spraw Samorządów Pracowniczych, w połowie grudnia Grupa Obrony Interesów Pracowniczych przeciwstawiająca się twardemu, liberalnemu programowi gospodarczemu rządu. Łącznie z Kołem PSL „Solidarność” i Sekcją Rolną pod koniec roku istniało więc w OKP pięć zorganizowanych grup. Początek 1990 roku przyniósł zahamowanie tego procesu, który wybuchnąć miał dopiero wiosną wraz z powstaniem Porozumienia Centrum. Jak Pan oceniał to zjawisko?

– Uważałem je za nieuchronne. Jedność klubu cenilem wysoko, ale też zdawałem sobie sprawę z tego, że jest to jedność w wielości. Uważałem, że korzystne jest nadanie tej różnorodności możliwie jasnego wyrazu, zwłaszcza że w tym okresie grupy powstające wewnątrz OKP deklarowały lojalność wobec klubu jako całości. Być może gdyby autentyczne istniejące między nami polityczne rozbieżności znalazły wówczas swój organizacyjny wyraz wewnątrz OKP, wielkie i niesterowalne ciało zamieniłoby się w bardziej sprawną pluralistyczną instytucję polityczną. Nacisk kładę jednak na owo „być może”, bo nie wiem, jak by było. Wiem natomiast, że mimo wszelkich frustracji, mimo podziałów, nieraz bar-

ROK 1989

dzo głębokich podziałów, zdołaliśmy jednak wytworzyć i utrzymać sytuację, w której będąc parlamentarną mniejszością, umieliśmy praktycznie wszystko w Sejmie przeprowadzić – i przeprowadziliśmy wszystko, na czym nam naprawdę zależało. Taki był efekt naszej jedności i naszej determinacji, której innym klubom brakowało.

Nasze stanowisko udawało nam się przeforsować nie tylko na sali obrad, gdzie mieliśmy 35 procent głosów, ale także w Konwencie Seniorów, gdzie wśród kilkunastu przedstawicieli klubów i władz sejmowych OKP reprezentowały tylko dwie osoby – wicemarszałek Sejmu i przewodniczący klubu. A jednak nasz głos był decydujący. Stanowisko przewodniczącego OKP i działania wicemarszałka miały siłę pozwalającą sterować pracą Sejmu we właściwym kierunku. Doceniam dobrą wolę innych klubów, ale pamiętam również, że miały one swoje własne, różne od naszych interesy. I proszę nie myśleć, że naszą siłą była siła głosu albo jakieś gry pod stołem. Nie! O naszej sile stanowiło przekonanie innych, iż jesteśmy grupą jednolitą, zwartą i dysponującą społecznym poparciem. Kiedy okazało się, że tak nie jest, że grupy postkomunistyczne są bardziej zwarte, że na podziałach wewnątrz klubu cierpi pozycja Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego w opinii społecznej, zmalały także nasze wpływy w Sejmie i coraz częściej nie udawało nam się przeforsować stanowiska OKP w Konwencie Seniorów.

Muszę powiedzieć, że nie wykazywałem słuchu na ciągnące się miesiącami klubowe spory formalne, organizacyjne, regulaminowe, bo uważałem, że nie przyszliśmy do parlamentu po to, aby się takimi sprawami zajmować. Nie po to nas tu przysłano i nie tego od nas oczekiwano. Ten mój „brak słuchu” mógł być i był odbierany jako swoista pogarda wobec tych spraw, a może również wobec forsujących je osób. Wiedziałem o tym, ale uważałem, że jako przewodniczący Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego mam obowiązek nie tyle okazywać powolność wobec różnych toczących klub politycznych koniunktur, ile reprezentować oczekiwania ludzi, którzy nas do parlamentu przysłali.

MEBLOWANIE

Z sekretarką Marią de Rosset-Borejszą i Adamem Michnikiem



Ratowaliśmy
rozpadającą się gospodarke,
próbowaliśmy dławić inflację,
uczyliśmy się tego państwa
i jednocześnie zmienialiśmy je

ROK 1989

Powiedziałbym, że jest to stanowisko nie tyle polityczne, ile technokratyczne, to znaczy obliczone bardziej na rozwiązanie konkretnych problemów niż na poszukiwanie akceptacji dla forsowanych rozwiązań. To nastawienie zemściło się na rządzie Tadeusza Mazowieckiego, który już parę miesięcy po objęciu władzy znalazł się w konflikcie ze wszystkimi istotnymi siłami politycznymi. W końcu zemściło się ono także na Prezydium OKP, choć niewątpliwie i rząd, i Prezydium z bezgranicznym oddaniem służyły tym, którzy je wybrali. Sęk w tym, że zaniechały wysiłku niezbędnego, aby im to uświadomić.

– Coś w tym jest, ale proszę pamiętać, że cały czas działaliśmy pod olbrzymią presją rzeczywistości – ratowaliśmy rozpadającą się gospodarkę, próbowaliśmy dławić inflację, uczyliśmy się tego państwa i jednocześnie zmienialiśmy je; prowadziliśmy grę z byłym obozem władzy, a przy tym niezwykle intensywnie zabiegaliśmy jeszcze o miejsce Polski w rodzinie państw demokratycznych, co warunkowało uzyskanie niezbędnej zagranicznej pomocy. W ostatnich miesiącach 1989 roku nie było dnia, żebyśmy w OKP nie przyjmowali jakiejś zachodniej delegacji, a wszystkie one były ważne, od opinii każdej z nich zależała jakaś część powodzenia naszej polityki zagranicznej. Mimo to zdołaliśmy osiągnąć wszystko, poza jednym – utrzymaniem jedności.

Ale nie było też chyba woli stworzenia sprzyjających jej warunków formalnych. Regulamin klubu praktycznie uniemożliwiał stosowanie dyscypliny głosowania, co stanowiło zachętę do zaznaczania swojej odrębności.

– Tak, regulamin był fatalny, bo przecież powstawał jeszcze w pierwszych tygodniach istnienia OKP, kiedy swoją rolę w Sejmie wyobrażaliśmy sobie zupełnie inaczej, niż miała ona w rzeczywistości wyglądać. Byliśmy wtedy przekonani, że jeszcze bardzo długo przyjdzie nam odgrywać rolę parlamentarnej opozycji. Opozycja nie potrzebuje zaś takiej dyscypliny, jakiej wymaga ponoszenie odpowiedzialności za losy kraju. Nie było więc niczego niestosownego w tym, że regulamin, który uchwaliliśmy latem, nosił charakter anarchiczno-wolnościowy. Wszystkie doświadczenia, jakie wynieśliśmy z obserwacji systemu komunistycznego,

MEBLOWANIE

przemawiały za tym, żeby także w naszym klubie zapewnić wszystkim pełnię swobody. W dyskusji nad tym regulaminem jeden z kolegów wyrażał tę tendencję, mówiąc, że „poseł odpowiada wyłącznie przed swoim sumieniem”, a inny mówił, że „nikt nie będzie nam rozkazywał ani dyktował, jak mamy głosować”. Proszę też pamiętać, że tworząc ten regulamin, nie mieliśmy żadnego doświadczenia dotyczącego pracy frakcji parlamentarnych.

A czy nie myślał Pan o tym, żeby jednak zmierzać do stworzenia politycznej tożsamości OKP – tożsamości sięgającej głębiej niż tylko sam demokratyczny, antytotalitarny etos, z którym przychodziliście do parlamentu? Czy nie przeszkadzało Panu, że Pańskie autorytatywne stwierdzenia wypowiediane z sejmowej trybuny chwilę później napotykały kontrę rzeczywistości choćby w postaci niejednomyślnego głosowania?

– Pewnie mi to przeszkadzało, ale jednak tą drogą osiągałoby wszystko, co tylko było do osiągnięcia. Obywatelski Klub Parlamentarny miał swoją opinię, miał swoje stanowisko, choć w głosowaniach niektórzy członkowie klubu się temu wspólnemu stanowisku przeciwstawiali. Zawsze jednak większość, a nawet ogromna większość naszych posłów głosowała jednolicie i to bez stosowania dyscypliny formalnej. To była miara naszej jedności. Wyłom w tej jedności uczyniło trzech posłów z późniejszego Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego* i oni rozsadzili klub.

Gdybym wówczas zdecydował się pójść drogą, o którą wiele osób się upominało, gdybym zdecydował się na zastosowanie alternatywy „lojalność albo rozstanie”, być może nie doszłoby do dezintegracji klubu. Namawiano mnie też na wprowadzenie zasady, że członkostwo OKP wyklucza przynależność do jakiegokolwiek partii politycznej. Nie zgodziłem się na to, uważając, że w naszym klubie nie wolno stosować żadnych reguł kagańcowych. Myślę, że wybór był słuszny, bo udział posłów i senatorów, a więc ludzi mających już pewne praktyczne doświadczenie polityczne, dobrze się przysłużył powstającym na obrzeżach realnego życia

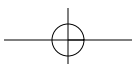
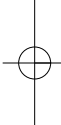
*Marek Jurek, Jan Łopuszański, Stefan Niesiołowski.

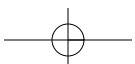
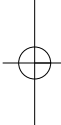
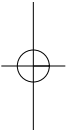
ROK 1989

partiom politycznym. Dziś podział w OKP sprzyja formowaniu się systemu partyjnego.

Zapewne ma Pan rację, ale jednak gdy już jest się razem, jakieś minimum lojalności trzeba egzekwować, a w moim odczuciu jej granice dość szybko zaczęły być przekraczane. Pamiętam swoje zdziwienie, gdy przed samym Bożym Narodzeniem okazało się, że wbrew stanowisku klubu grupa 25 posłów OKP złożyła w lasce marszałkowskiej własny projekt ustawy o partiach politycznych. Prezydium zaś dowiedziało się o tym z prasy. Wobec reszty klubu był to bez wątpienia gest obcości. Czy nie sądzi Pan, że ta sytuacja wymagała wyjaśnienia?

– Z dzisiejszej perspektywy sądzę, że tak – trzeba było wówczas reagować. Proszę jednak pamiętać, że nastrój nieufności wobec Prezydium i wobec przewodniczącego był już dość silny i łatwy do wyczucia. Mieliśmy właściwie ustawiczny bunt sali przeciw kierownictwu klubu, które podejrzewano o najgorsze. Pamiętałem tę sytuację z czasów pierwszej „Solidarności”, kiedy powszechna nieufność dotykała ludzi wybranych poprzedniego dnia. Znałem ten proces i uważałem, że powinien się on wyczerpać w sposób naturalny. Unikałem przyspieszania go i dążenia do łatwych jeszcze wówczas rozstrzygnięć. Gdybym uważał, że za wszelką cenę konieczna jest wiecznotrwała jedność klubu, powiedziałbym, że były to błędy. Ja natomiast uważałem wprawdzie, że jedność klubu jest potrzebna oraz byłem jej wyrazicielem i strażnikiem – ale jednak nie za wszelką cenę. Osiągnęliśmy wiele przez półtora roku, utrzymując jedność klubu. Podziały zaś, które nastąpiły, miały ostatecznie swe źródło poza klubem. Ich decydującym czynnikiem okazały się działania grupy Porozumienia Centrum, a następnie rywalizacja wyborcza między Mazowieckim a Wałęsą. Wobec tej sytuacji byliśmy bezsilni.





SĄSIEDZI



Ostatnie miesiące 1989 roku, decydujące o sytuacji w Polsce, przesądziły także losy niemal wszystkich krajów naszej strefy, niedawno nazywanej jeszcze „obozem postępu i pokoju”. Polski przykład okazał się bardziej zaraźliwy, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Dla nas kluczowe znaczenie miała jednak sytuacja w Niemczech, których podział, wraz z osłabieniem Związku Radzieckiego, tracił swój oczywisty charakter. Jeszcze latem 1989 roku w wywiadzie udzielonym prasie niemieckiej wypowiedział Pan słowa, które w najwyższym stopniu zbulwersowały znajdujące się w rękach polskie media. Stwierdził Pan mianowicie, że Polacy uznają prawo Niemców do zjednoczenia. Czy rzeczywiście uważał Pan, że leży ono w interesie Polski?

– Uważałem, że zjednoczenie jest nieuchronne, choć w chwili gdy te słowa wypowiadałem, nie byłem w stanie przewidzieć, iż nastąpi aż tak szybko. Wiedziałem jednak, że byłoby bardzo nie-dobrze, gdyby proces zjednoczeniowy odbywał się wbrew Polsce i na przekór polskiej opinii publicznej. Oznaczałoby to bowiem, że odbywałby się on także przeciwko Polsce.

A czy w swojej istocie nie był on „przeciwko Polsce”?

– Nie, nie musiał być. Natomiast stałoby się tak, gdybyśmy próbowali ten proces blokować, gdyby z naszej strony padały tylko słowa strachu i oporu przeciwko zjednoczeniu.

Czy zatem wizja powstania wielkich zjednoczonych Niemiec nie stanowiła Pańskim zdaniem zagrożenia dla polskich interesów?

ROK 1989

– Miałem świadomość tego zagrożenia wtedy, gdy Niemcy były jeszcze podzielone, i wtedy, kiedy wypowiadałem te słowa. Mam ją także dziś, gdy Niemcy już się zjednoczyły. Uważałem natomiast i uważam nadal, że jest niezwykle istotne, abyśmy szukali możliwości przystosowania się do nowej sytuacji i sposobu wpisania Niemiec w naszą wizję architektury europejskiej. Już zresztą parę lat wcześniej w eseju o państwie narodu pisałem, że w jednoczącej się Europie swoje miejsce muszą mieć również zjednoczone Niemcy.

Przed udzieleniem wypowiedzi dla niemieckiej prasy rozmawiałem na ten temat z kanclerzem Kohlem. Nasza rozmowa, która miała mieć charakter oficjalny i zdawkowy, zamieniła się wówczas w długą polityczną debatę. Mówiłem Kohlowi zarówno o naszym pozytywnym stanowisku wobec zjednoczenia, jak też o obawach wobec Wielkich Niemiec. Jestem przecież człowiekiem generacji, która historii nie zapomni. Kanclerz starał się rozwiać moje obawy dotyczące między innymi stanowiska Niemiec w kwestii granic. Mam wrażenie, że mówił szczerze. Gdy jednak zapytałem go, czy mogę przebieg naszej rozmowy podać do wiadomości publicznej, odpowiedział, że jeśli to zrobię, on bez chwili wahania wszystkiemu zaprzeczy. Uzasadnieniem tego stanowiska miały być niemieckie realia polityczne.

Tę rozmowę, w zupełnie już innych warunkach, kontynuowaliśmy razem z Lechem Wałęsą, gdy w dniu naszego wyjazdu do Stanów Zjednoczonych Wałęsa spotkał się na śniadaniu z odwiedzającym Warszawę Helmutem Kohlem. Kanclerz mówił nam wtedy, jakim dramatem jest dla niego to, że Niemcy są podzielone, i jak cięży mu niepewność, czy dożyje dni zjednoczenia. Następne miesiące pokazały, że wśród 80 milionów Niemców nie on jeden tak emocjonalnie tę sytuację odbierał. Symboliczny berliński mur zniknął zaś już parę dni po naszej rozmowie. Fakt, że gdy sytuacja była jeszcze zupełnie niejasna, a perspektywę zjednoczenia obliczano raczej na dekady niż na lata, mówiłem o niej w kategoriach pozytywnych, pozwolił mi przez cały następny okres przypominać o zagrożeniach, które ono niesie. Moje słowa były słucha-

SĄSIEDZI

ne między innymi właśnie dlatego, że powiedziałem to, co powiedziałem, zanim jeszcze mur berliński się rozpadł.

A nie przekonywały Pana argumenty tych, którzy wzywali do zgłoszenia przez Polskę sprzeciwu wobec projektów zjednoczeniowych?

– Wie pan, ja jestem za tym, żeby dostrzegać Polskę w granicach wielkości prawdziwej. Musimy myśleć w kategoriach realistycznych, to znaczy wiedzieć, co od nas zależy, a co nie. Otóż zjednoczenie Niemiec od nas nie zależało. Nie mogliśmy go powstrzymać i dlatego trzeba było je polubić. Jediną siłą zdolną blokować zjednoczenie Niemiec był Związek Radziecki, który w 1989 roku niezwykle szybko tę zdolność tracił. Powstało wówczas wciąż aktualne zagrożenie, że wróci do Europy duch Rapallo, że Niemcy i Rosjanie znów porozumieją się ponad polskimi głowami. Taka właśnie była treść tego niebezpieczeństwa, o którym mówiłem, przestrzegając, że zjednoczenie może odbywać się przeciwko Polsce. Sądzę, że realistyczna polityka Tadeusza Mazowieckiego i Krzysztofa Skubiszewskiego* doprowadziła tu do optymalnego rezultatu. Proces zjednoczeniowy toczył się bowiem za zgodą Polski, uzyskaliśmy w jego trakcie potwierdzenie naszych praw i odegraliśmy w tym procesie aktywną rolę poprzez obecność polskiego ministra spraw zagranicznych na konferencji paryskiej. Udało się więc uniknąć sytuacji, w której sąsiedzi porozumiewaliby się ponad nami.

Pan nie ograniczał się jednak do życzliwych zjednoczeniu deklaracji. We wrześniu i w październiku, gdy przez Warszawę – podobnie jak przez Pragę i Budapeszt – przelewały się kolejne fale uchodźców z NRD, włożył Pan wiele wysiłku w humanitarne załatwienie kwestii przekazania ich do RFN. Musiał Pan mieć wówczas świadomość, że otwarcie wschodnioniemieckim uchodźcom drogi przez Polskę na Zachód przyczynia się do destabilizacji NRD i przyspiesza proces zjednoczeniowy. Czy to nie było już zbyt wiele jak na polskie doświadczenia i obawy?

***Krzysztof Skubiszewski** – prawnik, profesor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, szef MSZ w rządzie Mazowieckiego; przedtem działał w „Solidarności”, był też w latach 1986-89 członkiem Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa Wojciechu Jaruzelskim.

– Przeciwnie, właśnie wtedy dokonał się proces bardzo istotny dla przyszłości Polski. Polska nie znajdzie przecież miejsca w Europie, jeżeli nie pogodzi się z Niemcami. Nie mamy innej drogi. Musimy iść za przykładem stosunków francusko-niemieckich. Otóż właśnie wtedy, gdy pomagaliśmy szukającym wolności energicznym uchodźcom, kładliśmy podwaliny tej zgody i porozumienia. Prawdziwe porozumienia nie dokonują się przecież między rządami ani między państwami, ale między narodami. Gdy zziębniętym i mokrym Niemcom, którzy po naszej stronie wychodzili z Odry, dawaliśmy ubrania, pieniądze, bilety do Warszawy, powstawał bardzo ważny zadatek przyszłego zbliżenia państw. Zrobiliśmy to, co trzeba było zrobić – wbrew historii, lecz w imię elementarnych zasad solidarności.

Ale jednak 6 października na obchody czterdziestolecia rozpadającej się NRD wraz z prezydentem Jaruzelskim i Mieczysławem Rakowskim pojechał do Berlina nasz minister spraw zagranicznych Krzysztof Skubiszewski. Był to gest potwierdzający uznanie dla status quo, a więc i dla podziału Niemiec.

– Cóż, taki był imperatyw polityki państwowej. Póki nie uzyskaliśmy tego, cośmy od Niemiec uzyskać chcieli, trzeba było wykorzystywać wszelkie możliwości nacisku. Miały tu swoje znaczenie również stosunki rządu Mazowieckiego z rządem radzieckim. Nasze miejsce w rysujących się na horyzoncie rozmowach dotyczących zjednoczenia nie rozumiało się przecież samo przez się. Po raz pierwszy nie byliśmy wprowadzeni na dobrą lub złą wolę Związku Radzieckiego, ale też nie mogliśmy pozwolić sobie na utratę żadnego potencjalnego sojusznika. Rząd musiał prowadzić politykę państwową, która nie zawsze może kierować się prostymi kryteriami estetycznymi. Szukaliśmy przełomu w naszej polityce zagranicznej, zwracaliśmy się ku Zachodowi, budowaliśmy porozumienie także z Niemcami, ale przecież byłoby zupełnie nieodpowiedzialne, gdybyśmy dla błahych powodów doprowadzili do pogorszenia stosunków z Moskwą. Proszę zwrócić uwagę, że one i tak wystawione były na ciężką próbę. Rosjanie musieli przecież zauważyć, że w odróżnieniu od swoich poprzedników pierwszą zagraniczną

SĄSIEDZI

podróż premier Mazowiecki odbył do Włoch, a nie do Moskwy. Musieli też pamiętać, że pierwszą jego decyzją dotyczącą polityki zagranicznej było mianowanie Mieczysława Pszona* pełnomocnikiem do negocjacji związanych z zaplanowaną polską wizytą kanclerza Kohla. Ta nominacja miała miejsce, zanim jeszcze premier zdołał skompletować swój rząd. To był sygnał niezwykle istotny. *Do tej wizyty obie strony zdawały się przywiązywać wielką wagę. Negocjacje, które rząd Rakowskiego prowadził przez całą swoją kadencję, Pszon sfinalizował w ciągu niespełna dwóch miesięcy. Dzięki temu do wizyty dojsz mogło już na początku listopada. O ile jednak w sprawach gospodarczych pobyt Kohla w Warszawie przyniósł wiele, o tyle dorobek polityczny listopadowych rozmów Kohl – Mazowiecki nie spełnił powszechnych oczekiwań. Przede wszystkim nie udało się uzyskać jasnego stanowiska Niemiec w sprawie granic.*

– Tak, niewątpliwie była to wizyta ważna, ale nie stała się ona wizytą historyczną, wizytą pojednania, jaką miała być. Kanclerz Kohl przez bardzo długi czas uwikłany był w wewnętrzną grę polityczną, która – jak sądził – uniemożliwiała mu prowadzenie elastycznej polityki w stosunkach z Polską. Ze względów wewnętrzniemieckich nie odważył się także na złożenie jasnej deklaracji w sprawie granic. Co gorsza, w następnych miesiącach brak jasnego stanowiska w sprawie granic bardzo zaciążył na klimacie, jaki w Polsce otaczał kwestię niemiecką. To właśnie była przyczyna, dla której Polacy najczęściej spośród narodów Europy odmawiali akceptacji zjednoczenia Niemiec. Polska opinia publiczna nabrała bowiem przekonania, że zjednoczenie może przynieść zagrożenie naszego bezpieczeństwa.

Postawa Kohla nie była jedynym źródłem tego przeświadczenia. Możliwe nawet ważniejsze od niej były antypolskie nastroje, które wkrótce po zburzeniu muru berlińskiego z ogromną siłą wystąpiły w NRD.

– Tak, one uświadomiły nam niebezpieczeństwa wynikające z faktu, że Niemcy Wschodnie nie przeszły takiego procesu

***Mieczysław Pszon** – dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, jeden z prekursorów dialogu polsko-niemieckiego.

denazyfikacji, jaki dokonał się w zachodnich Niemczech. O ile w RFN nacjonalistyczna Partia Republikańska stanowił margines pozbawiony wpływu na władzę, o tyle w NRD nastroje nacjonalistyczne, a nawet szowinistyczne, zaczęły w pierwszych dniach wolności dominować i zwracać się właśnie przeciwko Polakom. Staraliśmy się temu przeciwdziałać. Wkrótce po zburzeniu muru zaprosiliśmy do Warszawy delegację opozycyjnych ugrupowań, które w NRD przewodziły marszowi ku wolności. Tak się złożyło, że większość z tych ugrupowań została później zmarginalizowana, bo aspiracje społeczne rozwijały się dużo szybciej niż programy liderów opozycji. Wśród naszych ówczesnych gości był jednak na przykład Markus Meckel*, późniejszy minister spraw zagranicznych w ostatnim niekomunistycznym rządzie NRD. Myślę, że te kontakty, które nawiązywaliśmy z ośrodkami opozycyjnymi, zanim jeszcze znalazły się one u władzy, później odegrały pewną rolę w poszukiwaniu równowagi stosunków polsko-niemieckich.

Nie tylko polsko-niemieckich.

– Tak, od początku istnienia OKP wkładaliśmy dużo wysiłku w nawiązywanie kontaktów ze środowiskami demokratycznej opozycji nie tylko w NRD, ale także w Czechosłowacji, na Węgrzech, w Bułgarii. Jeszcze latem nawiązaliśmy stosunki z opozycją czechosłowacką, z którą od lat blisko współpracowali nasi przyjaciele z „Solidarności Polsko-Czechosłowackiej”. Dwaj posłowie OKP, Zbigniew Janas i Adam Michnik, złożyli wtedy wizytę wypuszczonemu właśnie z więzienia Vaclavowi Havlowi**. W grudniu gościliśmy w Warszawie delegację litewskiego Sajudisu, której przewodniczył późniejszy prezydent Vytautas Landsbergis, przyjmowaliśmy też grupę działaczy ukraińskiego Ruchu i bułgarskiej Podkrepy, kiedy jeszcze wydawało się, że oba te ugrupowania przez lata pozostawać będą w opozycji.

***Markus Meckel** – teolog, w czasach NRD dysydent, w październiku 1989 roku współzałożyciel socjaldemokracji w tym kraju, później deputowany do Bundestagu; przyjaciel Polski.

****Vaclav Havel** – dramaturg, czołowy czeski dysydent, 29 grudnia 1989 roku Zgromadzenie Narodowe wybrało go na prezydenta Czechosłowacji.

SĄSIEDZI

Zarzucano nam wówczas, że próbujemy budować układ specjalnych stosunków z antysocjalistyczną opozycją w bratnich krajach i że nie służy to dobrze relacjom międzypaństwowym.

Uważaliśmy jednak, że nie możemy zrezygnować z budowania podstaw przyszłego współżycia ze społeczeństwami tych państw, które przecież wcześniej czy później musiały wyzwolić się spod komunizmu. Rzeczywiście mieliśmy więc naszą własną wschodnioeuropejską politykę, którą także w klubie krytykowała grupka posłów narodowych, a której najsilniejszym akcentem był może mój marcowy wyjazd do Wilna w dniach blokady Litwy po ogłoszeniu przez nią deklaracji niepodległości. Ta polityka w pewnym sensie owocuje już teraz w stosunkach polsko-czechosłowackich czy polsko-litewskich. Obawiam się jednak, że w bliższej perspektywie wiele z ugrupowań, które rozpoczęły walkę przeciw totalitaryzmowi i z którymi nawiązywaliśmy pierwsze kontakty, straci dominującą rolę w swoich krajach. Górę biorą bowiem tendencje nacjonalistyczne i przez jakiś czas to one będą zapewne dominowały. Ale to przejdzie, a wówczas nasze wysiłki z 1989 roku mogą się okazać zawiązkami przełomu w stosunkach między krajami Europy Wschodniej.

Powiedział Pan: „Zarzucano nam, że nasze działanie nie służy stosunkom międzypaństwowym”. Czy jest to zarys rozbieżności między OKP a Ministerstwem Spraw Zagranicznych – tych rozbieżności, które ujawniły się jesienią, gdy OKP wraz z Sekretariatem Episkopatu organizował pomoc dla uchodźców z NRD, a minister Skubiszewski odpowiadał w Sejmie na interpelację dotyczącą przekazywania do NRD uciekinierów, którzy po przepłynięciu Odry dostali się w ręce WOP?

– Antagonizmu między nami i rządem nie było, a zawracania uchodźców bardzo szybko zaniechano, zresztą wbrew wciąż obowiązującej umowie między Polską a NRD. Natomiast rzeczywiście ówczesna sytuacja była taka, że my – formalnie będąc tylko jednym z licznych klubów parlamentarnych – mogliśmy pozwolić sobie na robienie wielu rzeczy, których rządowi robić nie było wolno. Mówiąc o zarzutach, miałem jednak na myśli przede wszystkim krytykę ze strony PZPR i różnych jej agend.

ROK 1989

Różnice postaw, widoczne także wewnątrz obozu „Solidarności”, mogły jednak wynikać również z odmiennej oceny sytuacji, a zwłaszcza z rozbieżności prognoz dotyczących jej dalszego rozwoju. Wtedy, jesienią 1989 roku, było już chyba widać, że polski przykład będzie zaskakujący i że w Europie Wschodniej musi dokonać się zasadnicza zmiana. Równie dobrze można było jednak obliczać ją na tygodnie, miesiące, lata lub dekady. Jak Pan wyobrażał sobie rozwój tego procesu?

– Sądziłem, że będzie to proces dość dynamiczny, ale jego przebieg w dużym stopniu zdawał mi się zależeć od tempa zmian w Związku Radzieckim. Ciągłe jeszcze filozofia pierestrojki nie objęła przecież stosunków między moskiewską metropolią a krajami satelickimi. Pierestrojka, jako realizowana w Związku Radzieckim koncepcja nowej polityki wewnętrznej, stanowiła dla nas ważny środek nacisku, którym posługiwaliśmy się w stosunkach z polskimi komunistami. Podobnie próbowali ją wykorzystywać nasi przyjaciele z opozycji czechosłowackiej. Prawda była jednak taka, że aż do jesieni 1989 roku pod względem stosunku do satelitów Gorbaczow ani na jotę nie różnił się od Breżniewa. Kierownictwo polskiej partii mogło uważać, że ma z Gorbaczowem stosunki inne niż z Breżniewem, ale ta zmiana – nawet jeżeli rzeczywiście się dokonała – nie dotyczyła społeczeństwa. Z punktu widzenia obywateli państw satelickich nic się nie zmieniło.

Jednak właśnie jesienią 1989 roku ta zmiana już się chyba dokonywała.

– Tak, wtedy nastąpił przełom, którego wyrazem był przebieg wizyty Gorbaczowa w Berlinie. Obserwacja polityki radzieckiej w sprawie NRD była dla nas szczególnie pouczająca. Klasyczna filozofia polityczna imperium radzieckiego nakazywała przecież stawianie właśnie w sprawie Niemiec najbardziej dramatycznego i zacieklego oporu.

Dlaczego właśnie w tej sprawie?

– Bo sytuacja niemiecka wyznaczała strategiczną rolę Związku Radzieckiego w Europie. Ustępowanie Rosjan z NRD pociągało za sobą także zmianę strategicznej roli Polski. Elastyczność Moskwy w sprawie wschodnich Niemiec dawała nam sygnał, że stoimy

SĄSIEDZI

przed niezwykle szansą wybicia się Polski na niepodległość. Wykorzystaliśmy tę szansę, gdy tylko przekonaliśmy się, że imperialna polityka radziecka wyczerpała swoje historyczne możliwości, a objawy jej schyłku stały się widoczne.

Czy nie ma Pan wrażenia, że w ostatnich dwóch miesiącach tego roku Rosjanie już nie tylko akceptowali, ale także stymulowali rozkład własnego imperium? Wielu obserwatorów twierdzi, że polityczna lawina, która przetoczyła się wówczas przez Europę Wschodnią, była popychana przez potężny czynnik zewnętrzny. Mówi się, że rosyjskie tajne służby włożyły wiele wysiłku w obalenie władzy satelickich partii komunistycznych, poczynając od Polski, a na Rumunii kończąc. W tych koncepcjach cały proces roku 1989, od Magdalenki aż po prezydenturę Havla, okazuje się realizacją przygotowanego w Moskwie planu.

– Uważam to rozumowanie za ahistoryczne, bo kryteria lat czterdziestych czy pięćdziesiątych próbuje ono stosować do tłumaczenia zjawisk mających miejsce u schyłku lat osiemdziesiątych. Nie mogę się zgodzić na próbę redukcji historii do poziomu spisku czy zмовы tłumaczącej gwałtowność albo masowość wielkich procesów, które w całej ich złożoności często trudno jest ogarnąć. Jest to typowo totalitarny, stalinowski sposób myślenia, służący montowaniu wielkich społecznych emocji, ksenofobii, antysemityzmu. W Związku Radzieckim ten styl politycznego myślenia doprowadził do wielkich czystek i przyniósł ich społeczną akceptację. W Polsce roku 1968 triumf koncepcji spiskowej doprowadził do fali antysemityzmu i masowej emigracji polskich Żydów. Można powiedzieć, że były to jakieś obłąkańcze fale. Ale przecież we wschodniej Europie cały czas z mniejszym lub większym natężeniem funkcjonuje nurt nacjonalistyczny żywiący się nienawiścią do kosmopolityzmu, do jakiegś – mniej lub bardziej konkretyzowanej – ponadnarodowej zмовы.

W tezie, którą pan przytacza, a którą całkiem serio głosiła grupa osób bardzo poważnych, znajduje zaskakujące potwierdzenie żywotność spiskowego interpretowania historii. Mówi Pismo, że istotę rzeczy poznać można po owocach. Niech więc pan spojrzy na

owoc procesu roku 1989. Tym owocem jest ostateczna klęska nie tylko imperialnego systemu sowieckiego, ale także europejskiego komunizmu. Komuniści stracili władzę, a komunizm zwolenników. Czy mogło im o to chodzić? Czy KGB mogło do tego zmierzać? *Może więc zmierzali do czego innego, tylko sytuacja wymknęła im się z rąk?*

– No tak, to już jest zupełnie inna rozmowa. Myślę, że tak właśnie było. Otóż, gdy pozycja Gorbaczowa w Związku Radzieckim zaczęła słabnąć, istotne stało się dla niego to, czy może liczyć na lojalność i poparcie kierownictw krajów satelickich. W roku 1988 mógł zaś liczyć co najwyżej na wsparcie Jaruzelskiego i neutralność Żiwkowa*, równie oddanego każdemu, kto by objął władzę na Kremlu. We wszystkich innych krajach obozu rządili ludzie Gorbaczowowi i pierestrojce niechętni. Można więc założyć, że w interesie Gorbaczowa leżały zmiany personalne w całym niemal obozie i że zarówno on, jak i jego ludzie coś w tym kierunku robili. Można też założyć, że Gorbaczow szukał wówczas pewnego pola eksperymentu, pewnego nowego doświadczenia i że tak właśnie traktował również proces dokonujący się w Polsce.

Myślę jednak, że nawet jeżeli Gorbaczow tak myślał, nawet jeżeli w polskich czy niemieckich zmianach szukał potwierdzenia albo perspektywy swojej polityki, był to zamiar całkowicie pozabawiony realizmu. W jego interesie mógł leżeć proces zmian odgórnie kontrolowanych i dających się we właściwym momencie wyhamować. W roku 1989 europejscy komuniści nie mieli już jednak siły potrzebnej do sterowania procesem politycznym. To było oczywiste, choć siła i dynamika społecznego protestu w Europie Wschodniej zaskoczyła wszystkie wywiady i policje świata, a już na pewno KGB.

Może więc czynnikiem sprawczym nie była tajna policja, ale, powiedzmy, dyplomacja czy polityka zagraniczna. Sam Gorbaczow nie

***Todor Żiwkow** – od 1965 roku stał na czele Bułgarskiej Partii Komunistycznej, w latach 1962-71 był premierem Bułgarii, później przewodniczącym Rady Państwa; w 1989 roku ustąpił ze wszystkich stanowisk.

SĄSIEDZI

Konferencja prasowa działaczy Sajudisu przebywających na zaproszenie OKP w Warszawie. Od lewej: Kazimieras Motieka, Vergilius Czepaitis i prowadzący konferencję Jacek Żakowski



ANNA PIETUSZKO

Zarzucono nam, że próbujemy budować układ specjalnych stosunków z antysocjalistyczną opozycją w bratnich krajach

ROK 1989

staral się już nawet ukryć, o co mu chodzi, kiedy odwiedzając Berlin z okazji czterdziestolecia NRD, publicznie mówił Honeckerowi, że „należy wyjść naprzeciw potrzebom społeczeństwa, zanim będzie za późno”. Można się domyślać, że za tą ostentacyjną ingerencją prezydenta szły wysiłki różnych jego podwładnych.

– Tego już nie wiem, ale nawet jeżeli tak było, największym wyzwaniem dla status quo Europy Środkowej był sam Gorbaczow i jego polityka. Może on nawet nie w pełni uświadamiał sobie, że w tych krajach jego polityka miała wydźwięk zupełnie inny niż w Związku Radzieckim, bo odmienna była tam sytuacja socjopolityczna. Struktury władzy we wszystkich tych krajach były płytko osadzone, a partie komunistyczne nie miały szans istnienia bez oparcia w Związku Radzieckim. Jediną zmianą, jaka wobec sowieckiej absencji mogła się tam dokonać, było odrzucenie komunizmu i marsz ku demokracji. Gorbaczowska polityka przemian mogła się więc zakończyć tylko tak, jak się zakończyła.

Był jeszcze inny mechanizm, którego Gorbaczow zdawał się nie przewidywać – mechanizm rykoszetu. Sprawił on, że hasło zmiany, które wyszło z Rosji i w państwach satelickich oznaczało odrzucenie sowieckiej dominacji oraz obalenie władzy komunistów, wracało do Związku Radzieckiego jako idea emancypacji republik. Koło zamykało się więc w kierunku zupełnie odwrotnym do zamierzonego. Zmiany w Europie Wschodniej miały przecież Gorbaczowa wzmocnić, okazało się zaś, że w roku następnym doprowadziły do zawieszenia jego władzy w systemowej próżni, jaka zaczęła powstawać w Związku Radzieckim.

Panie Profesorze, to, co we wrześniu i październiku wydawało się jeszcze ideą, marzeniem czy obietnicą historii, w grudniu było już nową polityczną rzeczywistością wschodniej Europy. Zanim ten rok dobiegł końca, na Hradczańskim Zamku rezydował prezydent Havel, Ceausescu został rozstrzelany, w NRD wyznaczono termin całkowicie wolnych wyborów, w Bułgarii zapadła decyzja o rozpoczęciu „okrągłego stołu”. Można powiedzieć, że Europa Wschodnia w jałtańskim rozumieniu tego pojęcia już nie istniała. Jak wówczas wyo-

SĄSIEDZI

brazał Pan sobie przyszłość tej części świata, która w roku 1990 miała wkroczyć w nową epokę?

– Nie powiedziałbym prawdy, gdybym twierdził, że umiałem to sobie dokładnie wyobrazić. Tempo tego, co się wokół nas działo, przekraczało możliwości ludzkiej wyobraźni i umiejętności prognozowania. Wiedziałem niewiele. Właściwie tylko tyle, że Polska wkracza na drogę niepodległości, że dobrze jej służy uruchomienie podobnych procesów w innych krajach i że nasz sukces w dużej mierze zależy od tego, jaki będzie rozwój wydarzeń w Związku Radzieckim. Nie potrafiliśmy przecież dokładnie powiedzieć, jaka jest naprawdę sytuacja za naszą wschodnią granicą. Informacje, które otrzymywaliśmy, były fragmentaryczne. Nie znaliśmy ani prawdziwego układu sił w elitach władzy, ani faktycznego stanu sowieckiej gospodarki. Pamiętam, jak w 1981 roku Andrzej Kijowski* zastanawiał się nad realnością naszych geopolitycznych uwikłań. „Stale liczymy się z tym, że imperium radzieckie nam nie pozwoli, że zablokuje – mówił – a może to imperium już nie istnieje. Może ono już się rozpadło, tylko my jeszcze o tym nie wiemy. Przecież imperia rozpadają się tak, że ludzie, którzy w nich żyją, tego nie zauważają. Czy Rzymianie wiedzieli, że Imperium Rzymskie już nie istnieje? Nie wiedzieli. Dopiero historycy stwierdzili, kiedy się ono rozpadło”.

W roku 1989 pytanie, „czy imperium jeszcze istnieje?”, było wciąż aktualne. Jak mieliśmy to sprawdzić? Czy mieliśmy ryzykować i ciągnąć tygrysa za wąsy, żeby przekonać się, czy jeszcze jest zdolny do skoku? Nie chcieliśmy tego robić. Ale jednak jakieś założenie musieliśmy przyjąć. Przyjeliśmy, że to imperium w każdym razie nie jest już agresywne i że będzie raczej unikało konfliktów. To dawało nam możliwość działania, prowadzenia naszej własnej wschodnioeuropejskiej polityki.

Sprawy niemieckie i radzieckie znajdowały się poza sferą oddziaływania polskiej polityki. Znacznie większy mógl natomiast być nasz

***Andrzej Kijowski** – zmarły w 1985 roku pisarz, krytyk, eseista; związany z opozycją demokratyczną.

ROK 1989

wpływ na procesy polityczne w środkowej Europie, a więc poza Polską, przede wszystkim w Czechosłowacji i na Węgrzech. Przyszłość tych trzech krajów wywoływała wówczas wielkie debaty i emocje. Pan opowiadał się za koncepcją „wspólnego marszu do Europy”. Dlaczego?

– Był to moment bardzo szczególny dla wszystkich trzech naszych krajów. Na Węgrzech i w Czechosłowacji dochodziły do głosu grupy opozycji demokratycznej, z którymi mieliśmy wieloletnie kontakty. Późną jesienią widzieliśmy naszych czeskich i węgierskich przyjaciół wkraczających na tę samą drogę, na której sami byliśmy już od jakiegoś czasu – myślę o procesie „okrągłego stołu” na Węgrzech i aksamitnej rewolucji w Czechosłowacji. Wysunięcie koncepcji wspólnoty interesów naszych trzech państw wydawało się wówczas naturalnym odruchem solidarności wynikającej z pewnej wspólnoty doświadczeń, a także z dostrzeganej przez nas wspólnoty problemów. Byliśmy przekonani, że w ten sposób uda nam się dokonać zsumowania szans trzech partnerów, a nawet, że idąc razem, będziemy mieli głos jeszcze mocniejszy, niż by to wynikało z czystej politycznej arytmetyki.

W doświadczeniu europejskim nasze odniesienie stanowiła wspólnota Beneluksu, który będąc aliansem niewielkich i słabych państw, stał się jednak załącznikiem Europy zjednoczonej. Nie chcieliśmy więc tworzyć politycznego aliansu w stylu XIX-wiecznym, lecz raczej regionalną strukturę marszu ku zjednoczonej Europie. Wyobrażaliśmy sobie, że praktyczny wyraz uzyska ona w integracji celnej, współpracy gospodarczej, swobodnym ruchu osobowym.

Chcieliśmy też, aby nasze trzy kraje stworzyły rodzaj mostu między północą a południem Europy – między Skandynawią i Bałtykiem stanowiącymi północne oparcie Polski a Morzem Śródziemnym i układem dunajskim należącymi do strefy naturalnej aktywności Węgier. Wydawało mi się wówczas, że jest to koncepcja ważna.

Ale nie udało się wyprowadzić jej poza sferę planów.

SĄSIEDZI

– Mam świadomość, że w roku 1990 ta koncepcja się nie sprawdziła, albo raczej, że się nie zrealizowała, bo nadal uważam ją za trafną i przyszłościową.

Czemu się więc nie zrealizowała?

– Myślę, że przede wszystkim ze względów emocjonalnych, a także na skutek wielkich i nadmiernych nadziei, jakie wywołała wizja otwierających się możliwości współpracy z Zachodem. Nadzieje Węgrów zwróciły się ku zamożnej Austrii, nadzieje Czechów i Słowaków ku bogatej Republice Federalnej. Tym nadziejom towarzyszyła obawa przed tworzeniem aliansu państw biednych i wyniszczonych czterema dekadami rządów komunistycznych. Psychologia społeczna Węgrów, Czechów i Słowaków była też obciążona negatywnym stereotypem Polaków handlujących, wykupujących towary w ich sklepach, źle pracujących i źle gospodarujących. Ten stereotyp wywoływał strach przed zbliżeniem z Polską, która będąc największym partnerem proponowanej przez nas wspólnoty, mogłaby pociągnąć inne kraje na dno gospodarczej katastrofy. Proszę sobie przypomnieć, że polskie półki były wówczas zupełnie puste, podczas gdy nasi ewentualni partnerzy uważali, że mają względnie dobrze prosperującą gospodarkę. Ta sytuacja zaczęła się zmieniać dopiero po roku, gdy Polska dzięki reformom Balcerowicza zdołała zapełnić półki, a na Węgrzech i w Czecho-Słowacji pod wpływem wysokich cen ropy wszystko zaczęło się gwałtownie sypać.

Mimo to już w roku 1989 nasza idea znalazła zrozumienie czechosłowackiej elity politycznej, a zwłaszcza prezydenta Vaclava Havla. Nawet on mówił nam jednak, że musimy zdawać sobie sprawę z ogromnych oporów, jakie projekt zbliżenia z Polską napotyka w jego kraju. Właśnie dlatego przestrzegał nas przed odwoływaniem się do pojęcia konfederacji, o której pisał Zbigniew Brzeziński. Wzbudziła ona zdecydowanie negatywne skojarzenia Węgrów, Czechów i Słowaków, podczas gdy w Polsce na ogół przyjmowana była dobrze.

Ale i tu nacisk trzeba chyba położyć na „na ogół”, bo także w Polsce idea ta nie uzyskiwała mocnego poparcia elit politycznych. Nie było go

ROK 1989

widać ani w polityce rządu, ani w postawie Lecha Wałęsy, który nie znalazł czasu na spotkanie z prezydentem Havlem w trakcie jego warszawskiej wizyty już w roku 1990, ani w programach większości ugrupowań opozycyjnych. Im bardziej na prawo się patrzyło, tym mniej było widać przychylności dla zbliżenia z Pragą i Budapesztem, a więcej krytycznych emocji pod adresem gorąco dyskutowanej konfederacyjnej koncepcji Brzezińskiego.

– Bo cała ta koncepcja przełamывała dominujące stereotypy polskiej myśli geopolitycznej. W naszym myśleniu o polityce do najsilniejszych należy przecież właśnie stereotyp o przekłętym polskim losie między Rosją a Niemcami. Za tym stereotypem szło przekonanie, że osią polskiej polityki musi być linia wschód-zachód. I Brzeziński, który poszedł może zbyt daleko, i ja uważaliśmy natomiast, że Polska musi mieć dobre stosunki zarówno z Niemcami, jak i ze wszystkimi naszymi wschodnimi sąsiadami, a więc z Litwą, Białorusią, Ukrainą i Rosją. Wychodziliśmy jednak z założenia, że dla przyszłości polskiej polityki kapitalne znaczenie ma dokonanie reorientacji tej osi, co służyłoby dobrze również naszym stosunkom z sąsiadami na wschodzie i na zachodzie.

Reorientacja osi nie była jednak ideą czysto polityczną. W oczywisty sposób łączyła się ona z pewną wizją miejsca Polski na gospodarczej mapie Europy. Wielkie armie zawsze przelewały się ze wschodu na zachód, bo pozwalała na to ułatwiająca transport europejska równina. Ta równina stanowiła też szansę dla łatwego handlu. Przecież jednak u schyłku wieku XX możemy sobie pozwolić na przecięcie Karpat pasmem autostrad prowadzących ze Skandynawii do Morza Śródziemnego. Szansą dla nas było także to, że właśnie w Polsce te drogi mogą się rozwidlać na wschód i na zachód. Dlaczego więc właśnie Polska nie miałaby się stać mostem łączącym południe Europy z północnymi krajami bałtyckimi? W roku 1989 cały ten plan nie mógł się zrealizować. Przyczyniły go także wydarzenia roku 1990 skupiające uwagę wszystkich na Rosji i Niemczech. To minie i sądzę, że zbliża się czas, w którym stworzenie osi północ-południe okaże się szczególnie ważne nie tylko dla Polski. Stąd moja nadzieja, że uda nam się przełamać ste-

SĄSIEDZI

reotypy i w możliwym stopniu uniezależnić naszą politykę od nieszczęśliwego uwiązania do osi wschód-zachód. Może w końcu zdołamy wówczas odrzucić tę najgorszą z możliwych i już anachroniczną pozycję obywateli przedmurza świata łacińskiego z jednej i słowiańskiego cypla z drugiej strony.

Sprawy przyszłej politycznej struktury Europy postkomunistycznej były niewątpliwie ważne, ale jednak w publicznej wyobraźni pierwsze miejsce zajmowały oczekiwania związane ze zbliżeniem do Zachodu. Od wojny panowało w Polsce dość powszechne przekonanie, że gdy w końcu odzyskamy wolność, Europa przyjmie nas z otwartymi ramionami. Zderzenie z dużo bardziej złożoną rzeczywistością roku 1989 przyniosło więc społeczne rozczarowanie. Czy Pan go nie odczuwał?

– Nie, bo ja nie miałem takich iluzji. Zdawałem sobie sprawę, że proces przywracania miejsca Polski w Europie będzie trwał i że po obu stronach musi wywoływać najrozmaitsze opory. Przede wszystkim rozumiałem, że dla nas samych natychmiastowe wejście do europejskiej strefy wolnej gry sił byłoby ogromnie kosztowne. To przede wszystkim my nie mogliśmy sobie pozwolić na zbyt szybki marsz ku Europie.

Dlaczego?

– Bo gwałtowne zderzenie z niezwykle sprawną gospodarką Zachodu musiałyby spowodować upadek naszego przemysłu, a zwłaszcza rolnictwa. Zniesienie barier celnych miałyby ten skutek, że polskie produkty przestałyby być konkurencyjne nawet w Polsce. Musimy zdawać sobie sprawę z tego, że produkujemy w Polsce źle i niezwykle drogo. To właśnie był jeden z najsilniejszych argumentów za rozpoczęciem marszu ku Europie od stworzenia osi Praga – Budapeszt – Warszawa. Gospodarki tych trzech krajów przy wszystkich dzielących je różnicach reprezentują jednak podobny poziom.

Główne opory przeciwko zbliżeniu Polski do Zachodu nie powstały jednak u nas.

– Tak, niewątpliwie także dla mnie rozczarowujące były rozmiary biurokratycznego oporu ze strony różnych instytucji euro-

pejskich. Chodziło o to, żeby tę ogromną sympatię polityczną, jaką uzyskiwała Polska i później cała wyzwalamąca się Europa Środkowa, skapitalizować w konkretnych decyzjach. Wymagały one wykroczenia poza rutynę europejskiej biurokracji. Dziś, po roku, w dużym stopniu udało nam się to osiągnąć. Uzyskaliśmy decyzję o przyjęciu do Rady Europy i o rozpoczęciu rozmów na temat przyznania nam statusu państwa stowarzyszonego ze Wspólnotą Europejską. Dlaczego stało się to dopiero po roku? Zasadnicze powody są dwa: niezwykle wysokie ryzyko dezorganizacji gospodarczej w okresie przechodzenia do systemu rynkowego i brak stabilizacji politycznej. W Europie Środkowej na naszych oczach – i także na oczach Zachodu – odradzają się widma przeszłości. Europa zjednoczona i politycznie stabilna boi się połączyć beczkę prochu, boi się „Bośni, Hercegowiny i Sarajewa”. Dla Zachodu karta nacjonalizmów i konfliktów narodowych wydaje się historycznie zamknięta. Na Wschodzie wszystkie one odradzają się teraz zupełnie tak, jakbyśmy nie mieli za sobą tragicznych doświadczeń XX wieku lub jakbyśmy nie wyciągnęli z nich żadnych wniosków.

Tych niezdrowych politycznych emocji, które odzywają się na Wschodzie, Zachód bał się i boi nie mniej niż naszej rozpadającej się gospodarki. Nic więc dziwnego, że w całej europejskiej wspólnocie niewielu było polityków takich jak Jacques Delors*, który nie zastanawiał się, „czy”, a tylko „jak” otworzyć dla nas Europę Dwunastu** . Rozmawiałem z nim na ten temat i muszę powiedzieć, że ogromne wrażenie robiły na mnie jego odważne wizje przełamujące biurokratyczne stereotypy brukselskich urzędników. Mnie samemu wydawało się jednak, że stworzenie prawdziwie zjednoczonej Europy musi być poprzedzone uformowaniem się

***Jacques Delors** – ekonomista i polityk francuski, od stycznia 1985 do grudnia 1994 roku przewodniczący Komisji Europejskiej.

****Europa Dwunastu** – państwa-członkowie Wspólnot Europejskich (od 1993 roku Unii Europejskiej). W 1989 roku były to: Belgia, Francja, Holandia, Luksemburg, RFN i Włochy; Dania, Irlandia i Wielka Brytania; Grecja, Hiszpania i Portugalia.

SĄSIEDZI

ugrupowań regionalnych, dzięki którym rozszerzenie granic zjednoczonej Europy mogłoby mieć charakter naturalnego procesu. *Rozczarowanie wywołane powolnością naszej drogi ku Europie powodowało rozbudzenie niezwyklej nadziei, jakie wiązano z listopadową podróżą Lecha Wałęsy do Stanów Zjednoczonych. Ich miarą był chociażby fakt, że 15 listopada Obywatelski Klub Parlamentarny przerwał swoje obrady, żeby obejrzeć telewizyjną transmisję z wystąpienia Lecha Wałęsy w Kongresie USA. W tych trudnych miesiącach entuzjazm, jaki wystąpienie Wałęsy wywołało, z pewnością stanowił ważny czynnik podtrzymujący na duchu ludzi, którzy wzięli na siebie ciężar przeprowadzenia w Polsce zmiany, a wciąż jeszcze nie byli w stanie ruszyć reform z martwego punktu. Polska potrzebowała jednak nie tylko entuzjazmu, ale także pomocy materialnej.*

– I ona rzeczywiście przyszła. Kilka dni po wystąpieniu Wałęsy Kongres uchwalił przecież pakiet pomocy dla Polski i Węgier. Stała się przy tym rzecz w amerykańskiej praktyce niezwyklej. Uchwalone kwoty były znacznie wyższe od proponowanych przez administrację, podczas gdy cały amerykański system oparty jest na założeniu, że prezydent żąda wiele, a Kongres daje mało.

Mimo to jest racja w twierdzeniu, że amerykańska podróż Wałęsy miała wymiar przede wszystkim symboliczny. W sferze symbolicznej amerykańskiej polityki tkwią jednak ogromne siły sprawcze. Ameryka jest krajem, w którym mechanizmy demokratyczne działają w sposób bezpośredni i każdy polityk, podejmując decyzje, kieruje się przede wszystkim tym, jak zostanie ona odebrana przez jego wyborców. Dzięki temu tradycyjna publiczna sympatia dla Polski i polskiej drogi do wolności wsparta osobistym sukcesem Lecha Wałęsy mogła znaleźć niemal natychmiastowy wyraz w uchwale Kongresu.

Ale nawet ta fala entuzjazmu nie zdołała popchnąć sprawy anulowania czy choćby redukcji polskiego zadłużenia. Czy próbowaliście o tym rozmawiać?

– Cóż, wówczas zabiegaliśmy przede wszystkim o zamrożenie naszych bieżących obciążeń wynikających z obsługi długów. Ameryka zaś zmagala się właśnie z największym w swojej historii de-

ROK 1989

ficytem budżetowym. Kiedy więc w listopadzie, a także podczas wszystkich moich następnych amerykańskich podróży podnosiłem temat zadłużenia, spotykałem się z pełnym zrozumieniem i nawet z życzliwością, ale też z bezradnością moich rozmówców. Wierzyłem mojemu wysokiej rangi rozmówcy, kiedy zapewniał, że jeszcze pięć lat wcześniej posypałby się na nas deszcz miliardowych czeków. W roku 1989 finansowa pozycja Ameryki już na to nie pozwalała. Amerykanie wnieśli jednak duży wkład w miliardowy międzynarodowy Fundusz Stabilizacyjny*, dzięki któremu możliwe było wprowadzenie wewnętrznej wymienialności złotych. Dzięki Funduszowi możliwe było wprowadzenie i utrzymanie wewnętrznej wymienialności złotego. [Stanowił on żelazną rezerwę, z której Polska mogła brać pieniądze, gdyby w państwowej kasie zabrakło dewiz]. W ich ówczesnym położeniu był to wysiłek znaczący. Gdy poważnie podnosiliśmy kwestię wsparcia dla polskich reform i redukcji zadłużenia, ze strony amerykańskiej słyszeliśmy, że kluczowa jest tu postawa RFN. Bez niemieckiej przychylności nie było możliwe uzyskanie istotnych postępów.

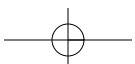
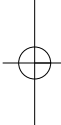
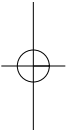
Czy to znaczy, że wyrwawszy się z pojałtańskiej przynależności do imperium sowieckiego zostaliśmy od razu wpisani w strefę wpływów jednoczących się Niemiec?

– Ja bym tego tak nie rozumiał. Po prostu Amerykanie mają poczucie realizmu. Zdają sobie sprawę ze swoich ograniczonych możliwości politycznych i przede wszystkim ekonomicznych. Uznają też szczególną pozycję Niemiec w Europie, zwłaszcza w Europie Środkowej. Także we Wspólnocie Europejskiej koordynację pomocy dla Polski powierzono przecież właśnie Republice Federalnej. Nie odnoszę wrażenia, żeby źle to służyło polskim interesom. Niemcy są w naturalny sposób zainteresowani stabilizacją Europy Środkowej i są nam życzliwi. To właśnie z Niemiec po wprowadzeniu stanu wojennego przychodziło do Polski najwięcej paczek; to

*Fundusz Stabilizacyjny dla Polski utworzyło w grudniu 1989 roku 17 krajów zachodnich. Zgromadzone na nim ok. miliarda dolarów (jedną trzecią stanowiły darowizny, a resztę w większości nieoprotocentowane lub nisko oprocentowane pożyczki)

SĄSIEDZI

również Niemcy wnieśli największy wkład do Funduszu Stabilizacyjnego. Niewątpliwie – bez względu na wszelkie problemy jeszcze między nami istniejące – dzisiejsza polityka niemiecka nie stanowi kontynuacji tej tradycji, która wywołuje w Polsce najgorsze skojarzenia. Nie znaczy to, że zagrożenia nie istnieją. One są i będą, ale wspólnym zadaniem Niemców i Polaków jest ich przekreślenie. Kiedy patrzę na doświadczenie roku 1989, a zwłaszcza 1990, mam wrażenie, że to się udaje.



BUDOWANIE



ARCHIWUM

Druga połowa września, październik, początek listopada przyniosły systematyczne pogarszanie się stosunków między Lechem Wałęsą a nowymi władzami. Przełom przyszedł w drugiej połowie listopada, po powrocie Wałęsy ze Stanów Zjednoczonych. Czy był to skutek tego niezwyklego sukcesu odniesionego w Ameryce przez „elektryka z Gdańska”, któremu stojącą owacją – ponoć najgorętszą w dziejach – zgotował Kongres, którego przyjmowali najwybitniejsi politycy, który odbył w Ameryce podróż niemal triumfalną?

– Niewątpliwie, ta podróż rozwiła frustrację. Kiedy jednak od moich przyjaciół i znajomych słyszę, że sukcesy w Paryżu i Waszyngtonie zawróciły Wałęsie w głowie, że spowodowały fatalną zmianę jego osobowości, nie mam wątpliwości, że jest to rozumowanie błędne. Było na odwrót. Bezsprzecznie i Wałęsa, i „Solidarność”, i Polacy zasłużyli na ten hołd, który Francja i Ameryka spontanicznie składały. Międzynarodowe uznanie stanowiło zresztą bardzo ważny element naszego politycznego działania w kraju. Po wizycie paryskiej Wałęsa wiedział, że dysponuje niezwykłą potęgą światowego poparcia. Dzięki temu mógł pozwolić sobie na to ogromne ryzyko, jakie pociągało za sobą wejście w dialog z władzą i poszukiwanie kompromisu z komunistami. Kiedy jechaliśmy do Ameryki, stosunek Wałęsy do rządu był nieufny i krytyczny. Wciąż nie mógł jeszcze zapomnieć premierowi, że uformował gabinet bez pytania go o zdanie. Po powrocie do Polski te emocje zanikły. Wałęsa wydawał się w pełni usatysfakcjonowany swoją rolą. Są-

ROK 1989

dziłem, że zrozumiał, iż można być mężem stanu największego kalibru, formalnie nie posiadając żadnej egzekutywy. Byłoby zresztą dziwne, gdyby w Ameryce nie doszedł do takiego wniosku. Poza wspaniałą aurą, jaka otaczała jego wystąpienie w Kongresie Stanów Zjednoczonych, musiał przecież docenić i to, że kontaktu z nim szukali wszyscy najwięksi amerykańscy politycy. Spotkanie z Wałęsą Amerykanie traktowali jak okazję podania ręki Washingtonowi, Lincolnowi, Pułaskiemu i Kościuszce jednocześnie. Uważali je za kontakt z historią świata. Ta wizyta miała ogromny wpływ na postawę amerykańskich elit wobec Polski. O ile wystąpienia publiczne, a zwłaszcza wywiady telewizyjne nie zawsze się Wałęsie w tej podróży udawały, o tyle w rozmowach z elitami odniósł wielkie sukcesy. Rozmawiał zaś z największymi przedstawicielami świata polityki, finansów i kultury. Z nimi wszystkimi potrafił nawiązać dialog i był to dialog fascynujący, robiący na amerykańskich rozmówcach duże wrażenie.

Jak Pan sądzi, co robiło większe wrażenie – sam Wałęsa czy jego słowa?

– Można się zastanawiać, na ile działało spotkanie z żywą legendą, jaką w Ameryce niewątpliwie Wałęsa był, a na ile do amerykańskiej świadomości trafiała prezentowana przez niego polityczna wizja. Myślę, że wizja polityczna nie miała dużego znaczenia. Amerykańskie wypowiedzi Wałęsy z pewnością zrobiły większe wrażenie w Polsce niż w USA, gdzie nikogo nie dziwiły jego zapewnienia, że Polska jest wspaniałym miejscem do robienia interesów. Mówi to niemal każdy polityk przyjeżdżający z biednego kraju. Rozmowa Wałęsy w redakcji „Wall Street Journal” wyglądała wręcz groźnie. Obawialiśmy się nawet, że w jej wyniku „Wall Street Journal” napisze, iż Polacy są niepoważni, bo nie mają ekonomicznego programu. Wałęsa nie odpowiedział tam na żadne dotyczące gospodarki pytanie. Działała jednak legenda – i była to legenda zdolna przekreślić całą prozę polityki, a nawet chłód finansistów. To jednak nie znaczy, że mogliśmy mieć jakiegokolwiek złudzenia. Legendy poruszają ludzką wyobraźnię, ale nie poruszają pieniędzy. O pieniądzu decydują księgowi, a oni pozbawieni są wszelkiej wrażliwości na legendy.

BUDOWANIE

Ze Stanów Zjednoczonych Wałęsa poleciał do Caracas. W dniu, w którym wracał do Polski, 23 listopada, na lotnisku Okęcie rozegrał się niezwykle polityczny spektakl. Najpierw wylądował arcybiskup Kowalczyk – pierwszy nuncjusz apostolski akredytowany w PRL – nieco później przyleciał Pan, po godzinie pojawił się Lech Wałęsa wraz z resztą delegacji. Prosto z Okęcia razem z Wałęsą pojechał Pan na lotnisko wojskowe, z którego premier Mazowiecki odlatywał w pierwszą swą podróż do Moskwy. W saloniku lotniska wojskowego odbyła się wówczas rozmowa, która – jak mogło się wydawać – przyniosła przełom w stosunkach między premierem a przewodniczącym „Solidarności”. Już po wyjściu z saloniku Wałęsa zwrócił się do Mazowieckiego słowami, które nazajutrz cytowała prasa: „Życzę panu, panie premierze, żeby przywiózł pan z Moskwy to, co ja przywiozłem z Ameryki”. Po wielu tygodniach animozji był to zupełnie nieoczekiwany przejaw życzliwości. Jakie znaczenie miało to spotkanie? Czy wówczas dokonał się rzeczywisty przełom?

– Nie wydaje mi się, żeby to spotkanie miało istotne znaczenie. Przełom nastąpił już wcześniej, w trakcie podróży po Ameryce. Dokonywał się w trakcie rozmów, jakie prowadziliśmy w gronie towarzyszącej Wałęsie delegacji. Ich atmosfera zmieniała się zaś w miarę tego, jak uświadamialiśmy sobie rozmiary amerykańskiego sukcesu.

Co miało większe znaczenie – rozmowy czy sukces?

– Rozmowy tylko ten sukces kapitalizowały. Z dnia na dzień obserwowaliśmy, jak zarysowywał się nowy stosunek Wałęsy do rządu – spokojny, życzliwy, pełen akceptacji, wyważony, ufny. Po okresie zagubienia Wałęsa zdawał się odnajdować swoją rolę i akceptował ją. Może nawet zaczynał mu się podobać taki właśnie podział pracy.

Myszę, że spotkanie z jadącym do Moskwy Mazowieckim musiało mu tę akceptację ułatwić. Była to przecież podróż nie mniej ważna, lecz znacznie mniej przyjemna. Mazowiecki nie mógł w Moskwie oczekiwać entuzjazmu, lecz co najwyżej zrozumienia i życzliwości. Nic więc dziwnego, że z podróżą tą wiązały się raczej obawy niż nadzieje. Jak Pan sądzi, w jakim stopniu Rosjanie przykręcając lub od-

ROK 1989

kręcąc różne kurki, mogli wówczas stymulować lub destymulować polską koniunkturę?

– Powiedziałbym, że w stopniu bardzo szybko malejącym. Kurki były istotnym elementem sowieckiej polityki na przestrzeni lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. W roku 1989 ich rola nie była już duża. Rosjanie lepiej od nas wiedzieli, jak bardzo niewydolna jest ich gospodarka. Zdawali sobie sprawę, że ich polityka ekonomiczna się wali i że tracą kontrolę nad gospodarką. To bardzo ograniczało ich gotowość szukania kompromisu z naszymi oczekiwaniami. Sądzę, że w tej niezwykle trudnej sytuacji Mazowiecki uzyskał od Moskwy wszystko, co była w stanie mu dać. Odniósł sukces mniej spektakularny od amerykańskiego sukcesu Wałęsy, ale także bardzo istotny. *Polegał on na tym, że – jak powiedział minister Kuczyński* – „na żadne pytanie nie dostaliśmy jednoznacznie negatywnej odpowiedzi”. W opinii publicznej było to jednak mniej, niż można się było spodziewać w zamian za niezwykle delikatną politykę Mazowieckiego wobec Rosjan. Za tę politykę, wyrażającą się na przykład ostrożnym stanowiskiem w sprawie wojsk radzieckich, Mazowiecki płacił w Polsce, a także na Zachodzie cenę swojej popularności. Czy zatem sądzi Pan, że ta polityka się opłacała?*

– Uważam, że była to polityka mądra i skuteczna. Ostrożność nie była przecież jedynym jej wyznacznikiem. W programie rosyjskiej podróży Mazowieckiego znalazł się Katyń i to znalazł się w sposób bezprecedensowy. Bez wątpienia właśnie ta wizyta przełamała tradycję stosunków między PRL a ZSRR. Nie znaczy to, że nie dostrzegam pewnych słabości wschodniej polityki rządu Mazowieckiego. Taką słabością wydaje mi się stosunek do kwestii wojsk radzieckich. Można było i należało uczynić ją jasną dla polskiej opinii publicznej. Można też było uzyskać w tej kwestii jakieś porozumienie z Moskwą. Nie mogłem również zaakceptować założenia, że Polska powinna mieć ze Związkiem Radzieckim

***Waldemar Kuczyński** – ekonomista, działacz opozycji i „S”, w stanie wojennym wyjechał do Francji, wrócił w lipcu 1989 roku; od września 1989 doradca ekonomiczny premiera Mazowieckiego, od września 1990 minister przekształceń własnościowych w jego rządzie.

BUDOWANIE

„stosunki uprzywilejowane”. Ze Związkiem Radzieckim tak samo jak z każdym innym państwem powinniśmy mieć stosunki normalne. Nie było powodu płacić za życzliwość kierownictwa radzieckiego.

Poza kwestią wojsk radzieckich „uprzywilejowane stosunki” nie znaczyły już wówczas zbyt wiele.

– Jednak znaczyły sporo, choćby w kwestii naszego stosunku do emancypujących się republik. Przede wszystkim zaś zasada „uprzywilejowanych stosunków” obciążała nie tyle politykę zagraniczną, ile wewnętrzną. Rozmowy w sprawie wycofania wojsk radzieckich zostały przecież wszczęte stosunkowo prędko. Tylko że były to rozmowy gabinetowe i społeczeństwo o nich nie wiedziało. Publiczne podniesienie tej sprawy nie zaszkodziłoby stosunkom polsko-radzieckim. Co najwyżej mogło wywołać krótkotrwałą irytację. Rząd uzyskalby natomiast pełne poparcie polskiej opinii publicznej. Polska podniosła sprawę reformy RWPG* i Układu Warszawskiego, a potem zaproponowaliśmy faktyczną likwidację RWPG. Sądzę, że można też było szybciej publicznie sformułować polskie stanowisko w sprawie Układu Warszawskiego, tak jak brzmi ono dziś.

Sądzi Pan, że było nas także stać na formalne uznanie emancypacji republik radzieckich?

– Z pewnością, zwłaszcza wobec Litwy mogliśmy pójść znacznie dalej, nawet podejmując pewne ryzyko pogorszenia stosunków z Moskwą.

Myśli Pan, że nie groziło nam zakręcenie kurka z ropą?

– Myślę, że można było to ryzyko podjąć. Było już widać, że kurki pracują coraz gorzej. Mylą się ci, którzy twierdzą, że zakręcenie kurków w połowie 1990 roku było decyzją polityczną. Była to decyzja spowodowana poziomem wydobycia ropy w Związku Radzieckim i stanem rurociągu. Nie należało więc przeceniać regulacyjnej roli kurków.

*Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej – działająca od 1949 roku organizacja współpracy gospodarczej państw podporządkowanych ZSRR; zostanie ostatecznie zlikwidowana w czerwcu 1991 roku.

ROK 1989

Właśnie w tym okresie usłyszałem od wysokiego dyplomaty radzieckiego, że o ile nasze działania na Litwie nie wzbudzą zastrzeżeń Moskwy, o tyle zaangażowanie w sprawy ukraińskie będzie uznane za ingerencję w strefie żywotnych interesów Związku Radzieckiego. Zrozumiałem to jako ostrzeżenie i zachętę zarazem. Sądzę, że podobne sygnały musiał także otrzymać nasz rząd. Tyle że tam odebrano wyłącznie przestrożę. Ten sam dyplomata ostrzegał mnie nie tylko przed naruszaniem sfery imperialnych interesów Rosji, ale także przed możliwymi skutkami emancypacji Ukrainy. Groźba odrodzenia się tradycyjnie antypolskiego ukraińskiego nacjonalizmu miała jego zdaniem powstrzymać nas przed popieraniem ukraińskich aspiracji niepodległościowych. Muszę powiedzieć, że moje rozumowanie biegło w dokładnie przeciwnym kierunku. Uważałem, że warunkiem przełamania antagonizmu polsko-ukraińskiego jest nasze jednoznaczne poparcie dla ukraińskich aspiracji wyrażone właśnie teraz, gdy ma to jakieś znaczenie dla ich realizacji.

W roku 1989 miałem pewność, że Związek Radziecki nie będzie trwał wiecznie, a w każdym razie, że nie ma szansy przetrwania w swojej obecnej formie. Stosunki z republikami, których podmiotowa rola tak czy inaczej musiała wzrosnąć, uważałem za co najmniej tak samo ważne, a może nawet ważniejsze niż stosunki z radzieckim centrum, które już wówczas zdawało się słabnąć. Oczywiście to słabnięcie, które w roku 1990 stało się bardzo dobrze widoczne, mogło jeszcze trwać wiele lat, ale w polityce zagranicznej niezbędne jest odwołanie do odległej perspektywy. O ile bowiem w polityce wewnętrznej do otwarcia rachunku nowej epoki wystarczy wymiana osób czy zmiana znajdującej się u władzy partii, o tyle rachunki stosunków międzynarodowych prowadzi się przez wieleset, a w każdym razie przez wiele dziesiątków lat. Często więc warto nawet coś zaryzykować lub wręcz stracić, aby na następnym zakręcie historii zyskać w dwójnasób. Staraliśmy się wytwarzać taką pozytywną szansę i myślę, że w dużym stopniu udało nam się uzyskać porozumienie z nowymi politycznymi środowiskami Litwy, Ukrainy, Czechosłowacji. To wszystko nie zmie-

BUDOWANIE

nia jednak w niczym mojej zasadniczej oceny, że mądra i wyważona polityka Mazowieckiego i Skubiszewskiego pozwoliła nam odbudować suwerenność Rzeczypospolitej, a zarazem uniknąć kryzysu w stosunkach ze Związkiem Radzieckim. Uważam to za sukces o kapitalnym znaczeniu.

Także w Polsce zaczęła się wówczas rysować wizja nowego porozumienia przywracającego jedność elit „Solidarności”. Konferencja „Etos Solidarności” organizowana wspólnie przez Pana jako przewodniczącego OKP i Lecha Wałęsę jako przewodniczącego „Solidarności” zdawała się dowodzić, że środowisko „Solidarności” wciąż jeszcze więcej łączy, niż dzieli. Otwierając tę konferencję 9 grudnia, mówił Pan w Sali Kolumnowej Sejmu, że chce Pan „odnaleźć czystość górskiego potoku”, z którego ruch się wywodzi. Lech Wałęsa potwierdzał wówczas „swoją lojalność i poparcie dla pana premiera”. Wyrażał też jednak niepokój, że „ludziom nie żyje się lepiej”, podkreślał, iż „dokonałiśmy wielkich przemian, które widać gołym okiem”, lecz mamy jeszcze przed sobą „trudną drogę, którą musimy przejść razem”. W atmosferze dobrych emocji, które tę konferencję zdominowały, najbardziej sceptycznie zdawał się brzmieć głos premiera Mazowieckiego przypominającego, że „trudności są ogromne, choć można i trzeba przez nie przejść”. Po okresie swarów i spekulacji na temat „familia, świta, dwór” ogólne wrażenie było jednak niezwykle pozytywne.

– Tak, czułem wówczas ogromną satysfakcję. Życzliwe poparcie Wałęsy dla rządu, które zarysowało się w czasie jego podróży do Ameryki, teraz materializowało się i znajdowało publiczny wyraz. Miałem nadzieję, że dwa dni wspólnej refleksji członków Komitetu Obywatelskiego, Krajowej Komisji Wykonawczej „Solidarności”, Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego i przedstawicieli wojewódzkich Komitetów Obywatelskich stworzą mechanizmy dalszego współdziałania. Chciałem także, by Lech Wałęsa i związek „Solidarność” mogły uzyskać większy wpływ na rząd. Sama reprezentacja parlamentarna miała przecież ograniczone możliwości. Uważałem, że istnieje rzeczywista potrzeba poddania rządu bardziej skutecznym zewnętrznym naciskom. Wiele budowałem na tej przywróconej wówczas jed-

ności trzech członów naszego obozu. Okazało się jednak, że była to jedność krótkotrwała.

Czy nie dlatego, że nie miała dość silnego podłoża poza topniejącym już kapitałem wspólnego doświadczenia? Może po prostu wspólna deklaracja, którą podpisał Pan wraz z Lechem Wałęsą i Tadeuszem Mazowieckim, sformułowana była „na wyrost”? Może stwierdzenia, że „wspólnymi siłami musimy podźwignąć kraj z kryzysu” i że pokonanie tej dobrej drogi, którą kroczymy, „wymaga solidarnego wysiłku nas wszystkich”, były tylko retorycznymi zwrotami pozbawionymi oparcia w szczerzych intencjach i przede wszystkim w świadomości sygnatariuszy?

– Byłem przekonany, że to oparcie istniało, a jego podstawę stanowiły szczerze, długie rozmowy, jakie prowadziłem z Lechem Wałęsą, spacerując dokoła gmachu Sejmu. Miałem powody uważać, że wprawdzie nie dokonało się może jakieś nagłe i entuzjastyczne pojednanie, ale że jednak zawieramy uczciwe porozumienie o współdziałaniu oraz że u podłoża tego kontraktu leży poczucie wspólnoty źródeł i programu. Tak też chyba zostało to odebrane przez opinię publiczną. Nie był to tylko pusty gest.

Ale jednak dwa dni później wybuchły wielkie emocje wywołane ogłoszonym przez Wałęsę postulatem przyznania rządowi nadzwyczajnych uprawnień. Pan zinterpretował ten postulat jako „wyraz zaniepokojenia Lecha Wałęsy tym, czy normalna, bardzo powolna procedura parlamentarna nie przeszkodzi w uporaniu się z nadzwyczajną sytuacją”. Rząd zareagował jednak znacznie bardziej emocjonalnie, podkreślając swoje zaskoczenie niekonsultowaną wcześniej propozycją Wałęsy.

– Cóż, zaraz po konferencji i wspólnej deklaracji zaczęły się działania polityczne, które miały tę jedność rozsadzić. Mówił pan o braku entuzjazmu czy też optymizmu ze strony premiera i o późniejszej emocjonalnej reakcji rządu. Proszę pamiętać, że premier miał świeżo w pamięci sytuację związaną z zamachem stanu w „Tygodniku Solidarność”. Uważał ją za osobistą zniewagę, o którą z pewnością miał żal. Stale też miał podstawy do tego, aby uważać, że niektóre wystąpienia Wałęsy niesprawiedliwie godzą w rząd.

BUDOWANIE

Uważałem jednak, że w chwili gdy podpisywaliśmy deklarację zaczynającą się od słów „Polska w potrzebie”, wszyscy trzej mieliśmy poczucie i – co więcej – także wolę jedności. Miałem też nadzieję, że ta jedność odzyskana i zademonstrowana na górze pozwoli także na wszystkich innych szczeblach uzyskać atmosferę sprzyjającą pracy nad reformą i odsuwającą to, co dzieląc i budząc emocje, utrudniało demokratyczne zmiany. Zdawaliśmy sobie przecież sprawę, że podjęta przez konferencję decyzja o przeprowadzeniu wiosną przyszłego roku wyborów do mającego powstać samorządu terytorialnego oznacza, iż obok reformy gospodarczej podejmujemy nie mniej skomplikowane dzieło reformowania struktur państwa.

Czy nie obawiał się Pan, że spod tej jedności uzyskanej na górze wydobędzie się jednak ów odśrodkowy duch, który znalazł swój wyraz w przeciwnej tworzeniu Ruchu Obywatelskiego deklaracji, jaką w przeddzień konferencji podpisało 130 członków OKP, i którego wyrazicielem był w czasie konferencji Jarosław Kaczyński?

– Cóż, zdawałem sobie sprawę z istnienia obawy, czy aby formując Ruch Obywatelski, nie próbujemy tworzyć partii politycznej. Przeciwnicy idei Ruchu twierdzili nawet, że Polsce grozi zastąpienie jednego monopolu innym. Zakładałem, że kierując się dobrą wolą, wycofają swoje zarzuty, gdy rzeczywistość pokaże, jak bardzo są one nieprawdziwe – a była to przecież oczywista demagogia. Okazało się jednak, że się myliłem. Po zakończeniu konferencji stało się oczywiste, iż Ruch Obywatelski nie będzie partią, lecz siłą polityczną wspierającą politykę zmian. Trudno przecież było wyobrazić sobie reformę państwa przeprowadzoną siłami samego tylko rządu i Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego. Nasza praca musiała mieć jakkolwiek zorganizowany system publicznego odniesienia weryfikujący nasze wysiłki i nadający im społeczny wyraz. Bez tego nie sposób było wyobrazić sobie nie tylko proces tworzenia samorządu terytorialnego, ale także reformę gospodarczą.

Okazało się jednak, że w otoczeniu Lecha Wałęsy właśnie wtedy powstał plan zakładający opanowanie ruchu lub zniszczenie

ROK 1989

go, a w każdym razie rozbicie. Dla tego planu nasza wspólna deklaracja, odwołująca się do jedności tradycji i konieczności wspólnego działania, stanowiła zasadnicze zagrożenie. Trzeba więc było ją przekreślić. Zrobiono to, posługując się żądaniem nadzwyczajnych uprawnień. Miało to postawić rząd w bardzo niezręcznej sytuacji i zerwać zawiązującą się nić współpracy między premierem a Lechem Wałęsą.

Nie myśli Pan, że propozycja nadzwyczajnych uprawnień mogła mieć uzasadnienie w społecznym zniecierpliwieniu przeciągającymi się przygotowaniem do wprowadzenia reform? Już w połowie listopada apel premiera o zwiększenie wydobycia węgla został przecież bardzo źle przyjęty przez górników, którzy twierdzili, że ich dodatkowy wysiłek byłby uzasadniony tylko wówczas, gdyby towarzyszyły mu systemowe zmiany w górnictwie. Tych zmian wciąż zaś nie było ani w górnictwie, ani w innych dziedzinach gospodarki. Dopiero na początku grudnia do Sejmu zaczęły służyć pierwsze ustawy wchodzące w skład pakietu reform gospodarczych.

– Apel był niewątpliwym błędem. Fatalnie kojarzył się przecież z całym okresem minionym i można było z góry przewidzieć reakcję górników. Natomiast wydaje mi się, że tempo przygotowywania reform nie mogło być szybsze. Mówimy o połowie grudnia. Rząd istniał od połowy września. W ciągu tych trzech miesięcy, działając pod ogromną presją spraw bieżących – dziur w budżecie, przymusu uchwalania kolejnych nowelizacji ustawy budżetowej, konieczności wprowadzenia i znowelizowania ustawy indeksacyjnej – wicepremier Balcerowicz przygotował normalny już budżet na następny rok i projekty całego pakietu ustaw dotyczących nowych zasad funkcjonowania gospodarki. I nie były to nowelizacje czy korekty systemowe, ale prawdziwa rewolucja przywracająca mechanizmy rynkowe z ich wszystkimi dobrodziejstwami, ale także społecznymi kosztami. Trzeba więc było jednocześnie stworzyć nieistniejące mechanizmy amortyzujące koszty tej zmiany – przede wszystkim koszty społeczne, takie jak grupowe zwolnienia, bezrobocie, likwidacja przedsiębiorstw. A na dodatek całą reformę należało konsultować z ekspertami Międzynarodo-

BUDOWANIE

dowego Funduszu Walutowego. Uzyskanie ich akceptacji czy raczej pozytywnej oceny warunkowało przecież uruchomienie strumienia międzynarodowej pomocy dla Polski. Bez przychylniej opinii Funduszu nie mogliśmy liczyć ani na pożyczki, ani na zagraniczne inwestycje, ani zwłaszcza na sukcesy w pertraktacjach dotyczących naszego 40-miliardowego zadłużenia. Myślę, że kiedy się o tym wszystkim pamięta, trudno w dobrej wierze utrzymywać, że zbyt wolno posuwały się przygotowania do wprowadzenia reform gospodarczych.

Może więc obiektywnie posuwały się one szybko, ale jednak zbyt wolno, jak na cierpliwość społeczeństwa wymęczonego narastającym kryzysem, pustymi półkami i inflacją, która sprawiała, że w grudniu na wolnym rynku dolar kosztował już kilkanaście tysięcy złotych – blisko dwa razy więcej niż latem. W tej sytuacji przyznanie rządowi uprawnień umożliwiających wprowadzenie zmian gospodarczych bez wnikania się w nużące procedury parlamentarne mogło wydawać się rozsądnym sposobem uniknięcia społecznej frustracji.

– Frustracja już istniała i obawiam się, że nadzwyczajne uprawnienia raczej by ją powiększyły, bo kojarzyły się przecież z najgorszymi posunięciami rządu Rakowskiego – choćby z likwidacją stoczni. Dla rządu Mazowieckiego korzystanie z nadzwyczajnych uprawnień było nie do przyjęcia również dlatego, że potwierdzałoby absurdalne hasło Leszka Millera „rząd wasz, program nasz”. Do tego nie wolno było dopuścić.

Myślę, że dużo bardziej istotne były jednak inne argumenty. Przede wszystkim sam rząd nie mógł wziąć na siebie całej odpowiedzialności za faktyczną zmianę ustroju państwa. Nie ma przecież wątpliwości, że już pierwszy pakiet Balcerowicza, choć pozornie zmieniał tylko niektóre przepisy gospodarcze, w rzeczywistości prowadził do odrzucenia systemu gospodarki planowanej stanowiącej podstawę „realnego socjalizmu”. Zwłaszcza koszty społeczne, które taka transformacja za sobą pociągała, musiały być zaakceptowane przez społeczeństwo, a już co najmniej przez tę ułomną i obdarzoną ograniczonym mandatem parlamentarną reprezentację, jaką dysponowaliśmy.

ROK 1989

Do powodzenia planu Balcerowicza konieczna była nie tylko odpowiednia regulacja prawna, ale także, a może zwłaszcza, społeczne poparcie. Rząd bardzo dobrze zdawał sobie z tego sprawę. Szukał więc także poparcia u pozaparlamentarnych autorytetów. Otrzymał je między innymi od Lecha Wałęsy, który po spotkaniu z delegacją rządową zaakceptował przedstawiony już Sejmowi pakiet gospodarczy. Myślę, że była to polityka słuszna. Poparcia propozycjom Balcerowicza udzieliły w Sejmie praktycznie wszystkie ugrupowania. Ograniczało to możliwość zbijania przez nie kapitału politycznego kosztem reform, gdy ich realizacja zaczęła przynosić nie tylko korzystne, ale także męczące dla społeczeństwa efekty.

Jako parlamentarzysta muszę też dodać, że praca sejmowej komisji nadzwyczajnej wniosła do propozycji rządowych pozytywne korekty. Mechanizm demokratyczny dawał więc korzyści nie tylko polityczne, ale także zupełnie praktyczne i wymierne, zmniejszając ryzyko popełnienia błędu, co autorom nawet najlepszej ustawy zawsze może się zdarzyć.

Ceną odrzucenia propozycji uprawnień nadzwyczajnych był jednak nie tylko konflikt z Wałęsą, ale także mordercze tempo pracy kierowanej przez profesora Andrzeja Zawislaka komisji nadzwyczajnej. Swoje ostatnie posiedzenie zakończyła ona 23 grudnia o wpół do czwartej nad ranem. Czy sądzi Pan, że pracujący w takim tempie parlament rzeczywiście mógł wziąć odpowiedzialność za stanowione przez siebie prawo?*

– Nie mam co do tego wątpliwości. Komisję nadzwyczajną powołaliśmy właśnie dlatego, żeby stworzyć ciało o możliwie wysokich kompetencjach merytorycznych. W toku prac nad tymi ustawami dokonało się również pewne zgranie rządu i parlamentu. Przedtem w gruncie rzeczy nie było okazji do wspólnej pracy. Gdy pierwszy pakiet gospodarczy wpłynął do Sejmu, wśród posłów pojawiły się dość niebezpieczne postawy blokujące. Nie wychodziły one z Gdańska, ale ze środowiska parlamentarnego i to zarówno

*Andrzej Zawislak – ekonomista, profesor UW, poseł OKP.

BUDOWANIE

ze starej koalicji, jak i z grona członków OKP. W toku burzliwych dyskusji udało się te problemy wyjaśnić. Muszę powiedzieć, że w tych dniach bardzo skutecznie funkcjonowali nasi posłowie – ludzie kompetentni, którzy dużo wnieśli do prac komisji.

Czy patrząc na te dni z dzisiejszego punktu widzenia, nie sądzi Pan, że właśnie wtedy ukształtował się w Polsce model polityczny, w którym egzekutywa, czyli – wobec politycznej nieobecności prezydenta – rząd, ma zdecydowaną przewagę nad legislatywą, czyli parlamentem? Argument „rząd tak chce” bardzo często okazywał się w tych dyskusjach decydujący.

– Nie wiem, czy rzeczywiście był to argument decydujący, ale niewątpliwie był ważny. Ja jednak nie widzę w tym niczego zdołanego. Rząd był przecież autorem projektów realizujących pewną wizję. Wydaje mi się, że była to sytuacja jak najbardziej naturalna. To właśnie rząd jest odpowiedzialny za politykę państwa i odpowiada za nią przed parlamentem. Do parlamentu należy zaś przede wszystkim tworzenie prawnych warunków realizacji tej polityki. Pojawiające się później pomysły, żeby parlament opracowywał program rządu, stanowiły zaprzeczenie nowoczesnego podziału władz. Rolą parlamentu jest tworzenie prawa, określanie generalnych linii polityki i rozliczanie rządu z ich realizacji, a nie formułowanie programu gospodarczego. Kiedy parlament wybiera rząd i powierza mu kierowanie krajem, musi także dać mu szansę spełnienia tej misji. W systemie parlamentarnym kategoria politycznego zaufania ma znaczenie kapitalne. O ile bowiem parlament posiada mandat wyborców, a więc kompetencję polityczną, o tyle rząd przez ten parlament powołany dysponuje także kompetencjami merytorycznymi, które pozwalają mu – przynajmniej w założeniu – wskazać najlepsze formy realizacji woli politycznej. Póki więc parlament te kompetencje uznaje, powinien popierać propozycje rządu – co najwyżej poddając je pewnym korektom. Kiedy zaś kompetencje rządu stają się niepewne, mechanizm demokratyczny powinien doprowadzić do zmiany gabinetu.

W ostatnich gorących przedświątecznych dniach omal do tego nie doszło, bo tylko zdecydowana postawa posłów OKP należących do

ROK 1989

sejmowej komisji rolnictwa pozwoliła zablokować projekt uchwały wyrażającej wotum nieufności dla wicepremiera Balcerowicza. Propozycja została zgłoszona przez związanych z kółkami rolniczymi posłów starej koalicji, ponieważ rząd odmawiał podniesienia minimalnych cen skupu. Z dzisiejszej perspektywy ta sprawa wydaje się błaha, ale każde z trwających do późnej nocy kolejnych posiedzeń komisji mogło wówczas zakończyć się uchwaleniem wniosku...

– ...który Sejm by zapewne odrzucił. Nie sądzę, żeby istniało wtedy realne niebezpieczeństwo obalenia rządu, choć debata rol-
na, która odbyła się przed samymi świętami, w czasie gdy trwały prace komisji nadzwyczajnej, była rzeczywiście bardzo emocjonal-
na. W tych dniach wyraźnie odradzała się stara koalicja, ale nie mogła się ona zdobyć na zablokowanie zasadniczego pakietu gospo-
darczego. Od dłuższego czasu skutecznie blokowała już jednak rządowy projekt ustawy spółdzielczej skierowanej głównie prze-
ciwko monopolom żerującym na kryzysie gospodarczym i win-
dującym ceny żywności. Kiedy w październiku przygotowany przez rząd projekt wpłynął do Sejmu, okazało się, że we wszystkich klubach – poza OKP – wywołał on prawdziwą burzę.

*Nie tylko w klubach sejmowych. Jak Pan pamięta, w obronie dotych-
czasowego kształtu spółdzielczości wystąpiło również Biuro Politycz-
ne KC PZPR, a na znak protestu przeciwko inicjatywie rządowej do
dymisji podał się prezes Naczelnej Rady Spółdzielczej Kazimierz Bar-
cikowski, który przez całe lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte nale-
żał do ścisłego kierownictwa partyjnego.*

– Tak, to wyjaśniało istotę sprawy. W gruncie rzeczy chodziło przecież o zachowanie centralistycznych struktur spółdzielczych obsadzonych przez ludzi nomenklatury. Problem polegał na tym, że właśnie w spółdzielczości poza PZPR swoją nomenklaturę lo-
kowało ZSL. Mieliliśmy więc przeciwko sobie dwa największe ugru-
powania sejmowe. Do tego doszły jeszcze opory ze strony SD, które posiadało interesy w spółdzielczości rzemieślniczej. W tej sprawie byliśmy więc w Sejmie całkowicie osamotnieni. Rząd mu-
siał ustąpić, wprowadzając do projektu autopoprawki, które ra-
dykalnie osłabiły zamyśloną reformę. Mimo to z wielkim trudem

BUDOWANIE

udało nam się doprowadzić do umieszczenia ustawy spółdzielczej w porządku obrad Sejmu.

Była to dla nas niezwykle ważna lekcja tego, jak zażarcie nomenklatura gotowa jest bronić status quo wówczas, gdy zmiany mogą godzić w jej materialne zaplecze. Ciekawe, że niemal żadnego odzewu nie znalazł w Sejmie ogłoszony w tych dniach komunikat o powołaniu przez premiera cywilnych rad politycznych w dwóch resortach zbrojnych – MSW i MON. Oczywiście było przecież, że istnienie tych rad, w skład których weszli także nasi posłowie i senatorowie, stanowiło wstęp do wyrwania obu resortów ze sfery monopolu nomenklatury. Obojętność w tej sprawie i gwałtowne emocje, jakie wywołała reforma spółdzielczości, potwierdzały przeświadczenie, że nasi przeciwnicy gotowi są oddać państwo, ale nie pieniądze.

Podobnie rzecz się miała z postawą zeteselowskich i pezetpe-rowskich rolników. Głosowali za rządem Mazowieckiego, za rynkiem, za normalną gospodarką, za równowagą budżetową, za pakietem Balcerowicza, ale skłonni byli z tego wszystkiego zrezygnować, kiedy tylko poczuli, że za zmianę także im przyjdzie zapłacić. Ich ówczesne rozumowanie miało charakter czysto klasowy. Mówili: „Niech płacą inni”, chociaż w porównaniu z przemysłem rolnictwo i tak stanowiło pewną strefę ochronną. Myślę jednak, że także rząd wykazał tu niepotrzebny dogmatyczny upór, co spowodowało udramatyzowanie całego problemu w przededniu kluczowych dla Polski decyzji. Z wielkim trudem udało nam się doprowadzić do kompromisowej uchwały w sprawie polityki rolnej i niemal ostatekiem sił zablokowaliśmy inicjatywę głosowania w Sejmie wotum zaufania dla wicepremiera Balcerowicza, zanim jeszcze miał on szansę wprowadzenia swojego programu w życie.

Czy ten program nie wydawał się Panu zbyt radykalny jak na odporność polskiego społeczeństwa noszącego przecież garb czterdziestoletnich komunistycznych rządów, umęczonego, zabiedzonego i jednak niemal zupełnie pozbawionego wiedzy o funkcjonowaniu mechanizmów rynkowych?

ROK 1989

– Dość dobrze zdawałem sobie sprawę z wad i zalet tego planu. Ani przez chwilę nie miałem więc cienia wątpliwości co do tego, że od całego społeczeństwa będzie on wymagał poważnych ofiar. Dlatego tak niezwykle ważne wydawało mi się zachowanie jedności politycznej i stworzenie atmosfery narodowej zgody w obliczu czekającej nas batalii. W następnym roku okazało się zresztą, że miałem rację, bo wraz z załamaniem się consensusu politycznego kończyła się cierpliwość społeczna, a zaczęły strajki.

Rozumiejąc trudności, przed jakimi postawił nas plan Balcerowicza, wiedziałem, że w rzeczywistości jest to jedyna droga dająca Polsce szansę uzyskania miejsca w europejskim porządku gospodarczym. Mówiąc inaczej – bez wyrzeczeń, i to wyrzeczeń poważnych, nie mieliśmy szans pokonać tego dystansu, który dzielił nas od progu umożliwiającego rozpoczęcie procesów integracyjnych. Wiedziałem też, że na tej drodze musimy poruszać się bardzo szybko, bo Europa nie miała przecież zamiaru na nas czekać, więc także ów wymarzony próg minimum stawał się coraz wyższy.

Wiedzę o złożoności całej sytuacji zawdzięczałem przede wszystkim dwóm osobom. Pierwszą z nich był profesor Witold Trzeciakowski, co najmniej od dwóch lat prowadzący ze mną takie uświadamiające rozmowy. To właśnie od niego dowiedziałem się, że problemem jest nie tylko jakość i wydajność naszej produkcji, czy też – mówiąc inaczej – zacofanie, ale również odmienność standardów i brak infrastruktury. Po czterdziestu latach separacji trudno nam bowiem było nie tylko handlować, ale nawet porozumiewać się z Europą. Mieliśmy w Polsce archaiczne normy przemysłowe, przestarzałe techniki księgowo, zacofany system bankowy. Niebawem miało się okazać, że polscy finansjści i menedżerowie nie są w stanie sformułować wniosku kredytowego w sposób, który mógłby zostać zaakceptowany przez zachodnią korporację finansową, że polski system bilansowy nie pozwala na rozsądne wycenienie wartości przedsiębiorstw, że nasze banki nie są w stanie podjąć potrzebom przechodzącej urynkowienie gospodarki. Miały się także sprawdzić przestrogi profesora Trzeciakowskiego, który mówił mi,

BUDOWANIE

że współpraca z Zachodem – nawet jeśli stworzymy jej przyzwoite ramy prawne – napotka barierę w postaci braku infrastruktury, zwłaszcza w dziedzinie telekomunikacji.

Kto był tą drugą osobą?

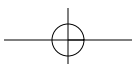
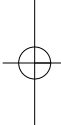
– Jeffrey Sachs, młody, ale bardzo wybitny i już dobrze w świecie znany profesor ekonomii na Uniwersytecie Harvarda. Poznałem go dzięki rekomendacji George'a Sorosa* w połowie 1989 roku. Sachs miał wówczas poważne doświadczenie w zwalczaniu inflacji i recesji w krajach Ameryki Południowej, a międzynarodowa opinia uważała go za autora skutecznej operacji antyinflacyjnej przeprowadzonej w Boliwii. Rozmowy z nim prowadziły do dwóch zasadniczych wniosków – że walka z inflacją musi mieć charakter wstrząsowy i że podstawą powodzenia jest społeczna akceptacja pozwalająca na konsekwentne realizowanie całego planu. Utrata lub choćby osłabienie tej akceptacji musi prowadzić do załamania się programu, który w pierwszej fazie siłą rzeczy powoduje zubożenie wszystkich grup społecznych. Całe społeczeństwo musi więc mieć poczucie solidarnego uczestnictwa w wyrzeczeniach i w tworzeniu podstaw przyszłego wspólnego dobrobytu. Jeśli tego rodzaju reforma ma się udać, realizacja pierwszej najtrudniejszej społecznie fazy programu musi więc być okresem politycznego zawieszenia broni. Dla obolałego społeczeństwa wszelkie hasła roszczeniowe, kwestionowanie polityki rządu i wezwania do rezygnacji z twardego kursu mogą bowiem okazać się zbyt atrakcyjne, aby je odrzucić. Ludzie liczący każdy grosz, często zmuszeni do odmawiania sobie i swoim dzieciom tego, do czego od lat przywykli, łatwo mogą ulec iluzji, że istnieje jakaś inna, mniej dokuczliwa droga. Wraz z iluzją pojawiają się zaś roszczenia płacowe, żądanie ulg, narastająca fala strajków, aż w końcu nieuchronnie dochodzi do kapitulacji rządu. Wraca inflacja i cały wcześniejszy wysiłek zostaje zmarnotrawiony. Dlatego właśnie tak niezwykle groźny wydawał mi się powracający konflikt między premierem

***George Soros** – znany amerykański finansista i filantrop węgierskiego pochodzenia, propagator idei społeczeństwa otwartego, założyciel licznych fundacji.

ROK 1989

a Lechem Wałęsą, który z czasem musiał doprowadzić do zburzenia spokoju społecznego i wszelkich tego konsekwencji. Dlatego też próbowałem łagodzić ten konflikt tak długo, jak tylko miało to sens. Wiedziałem, że wygrać możemy tylko wszyscy razem. *Ostatni, niestety nie tylko w tym roku, akord jedności stanowiło chyba utworzenie Funduszu Daru Narodowego i powołanie Rady, na czele której stanął Prymas Polski. Obecność w tej Radzie przedstawicieli wszystkich liczących się odłamów narodu była ważnym sygnałem politycznej woli zwania szeregow w przededniu decydującej batalii.*

– Tak, ale już wtedy miałem wrażenie, że Dar skrojony był trochę na wyrost. Kiedy trzy miesiące wcześniej Andrzej Wajda wystąpił z takim projektem, wydawał mi się on bardzo potrzebny. Szansę aktywnego poparcia programu reform dawał on bowiem również tym wszystkim, którzy z różnych powodów nie mogli angażować się w działania publiczne. Myślę jednak, że przeciwko tej idei działał czas, a przede wszystkim narastające podziały i frustracje. Gdy do powstania Daru wreszcie doszło, społeczny entuzjizm należał już do przeszłości, a nadzieje zostały wyparte przez obawy. Inicjatywy związane z Darem Narodowym mogły podtrzymać społeczne poczucie jedności i wyjątkowości chwili, ale nie mogły stanowić przeciwwagi dla coraz silniejszych odśrodkowych działań tych środowisk, które przygotowywały się wówczas do dokonania rozłamu w „Solidarności”. Nie mogła temu zapobiec nawet jednoznaczna postawa Kościoła, wyraźnie demonstrującego swoją opcję poprzez zgodę Księdza Prymasa na objęcie przewodnictwa Rady. Jej pierwsze uroczyste posiedzenie, w którym uczestniczył także nienależący do Rady premier Mazowiecki i które mogło się stać wielkim świętem jedności narodu odzyskującego po półwieczu suwerenność, było już tylko wyrazem niespełniających się nadziei na jedność. Myślę, że nikt z nas nie zdawał sobie do końca sprawy, jak poważne będzie to miało konsekwencje.



EPILOG



ANNA PIETUSZKO

Panie Profesorze, tak się złożyło, że proces odzyskiwania przez Polskę niepodległości zamknął się poniekąd w granicach owego niezwyklego 1989 roku. Wszystkie nurty tego procesu znalazły zaś swój silny i optymistyczny akord w ciągu owych szczególnych dni dzielących Boże Narodzenie od Nowego Roku. W środę 27 grudnia prezydent RFN Richard von Weizsäcker stwierdził w swoim przemówieniu, iż zgodnie z wolą Niemców „ani dziś, ani w przyszłości nic nie zmieni się w kwestii polskiej granicy zachodniej”. Tego samego dnia na zaproszenie OKP dwudniową wizytę w Warszawie rozpoczęła delegacja litewskiego Sajudisu, na czele której stanął Vytautas Landsbergis – późniejszy prezydent Litwy.

Nazajutrz, 28 grudnia, Sejm uchwalił pakiet ustaw gospodarczych uruchamiających proces reform zwanych planem Balcerowicza.

W piątek 29 grudnia Vaclav Havel wybrany został na prezydenta Czechosłowacji, a polski Senat zatwierdził pakiet gospodarczy (zatrzymując do poprawek tylko jedną ustawę). Tego dnia w Sali Kolumnowej Sejmu odbył się parlamentarny oplatek z udziałem Prymasa Polski – po raz pierwszy od wojny Prymas przekroczył progi Sejmu. Najważniejszym akordem tego piątku było jednak uchwalenie zmian w konstytucji. Przy sprzeciwie jednego tylko Romana Norberta z PZPR Sejm dokonał w konstytucji zmian legalizujących faktycznie już funkcjonujące mechanizmy demokracji i praworządności oraz przywracających społeczeństwu suwerenność we własnym państwie. Była to dość logiczna puenta wszystkiego, co stało się tego ro-

ku, ale – jak na przyzwoity dramat przystało – była to także puenta zaskakująca. O nowelizacji konstytucji obficie i bezowocnie dyskutowano już przecież co najmniej od sierpnia, kiedy to grupa 15 partyjnych posłów wniosła projekt usunięcia konstytucyjnego zapisu o kierowniczej roli PZPR. Po nim przyszło wiele mniej lub bardziej istotnych nowelizacyjnych propozycji i odbyło się wiele debat w różnych gronach. Wreszcie 30 listopada doszło do formalnego pierwszego czytania projektów bardzo umiarkowanych zmian oraz do powołania komisji konstytucyjnej, na czele której stanął właśnie Pan. Po burzliwej debacie projekty skierowano do komisji ustawodawczej. Zapadła cisza.

Tę ciszę przerwał Pan w poświęteczną środę, 27 grudnia, oświadczając na wspólnym posiedzeniu prezydiów trzech klubów koalicyjnych, że w nowym roku Polska musi już mieć znowelizowaną konstytucję. Co takiego stało się w czasie świąt, że nie można było dłużej czekać z tymi zmianami?

– Nic nadzwyczajnego się w czasie świąt nie stało. Po prostu trzeba było w którymś momencie przeciąć ten gordyjski węzeł, który przez trzy miesiące blokował konieczne już zmiany konstytucyjne. Wprawdzie głośno o tym nie mówiono, ale przecież proces, który się w Polsce dokonywał, był w jaskrawy sposób sprzeczny, jeżeli nie z literą, to przynajmniej z duchem uchwalonej w 1952 roku konstytucji. Zmiany stały się konieczne już w chwili powołania rządu Tadeusza Mazowieckiego, którego istnienie podważało przewodnią rolę partii. Byłem więc bardzo zadowolony, że grupa posłów z PZPR zaproponowała usunięcie zawierającego tę zasadę artykułu 3. konstytucji. Gdy jednak w połowie września, zaraz po powołaniu rządu, zaczęliśmy się przymierzać do przeprowadzenia tej nowelizacji, klub Stronnictwa Demokratycznego wysunął projekt zmian symbolicznych dotyczących nazwy i godła państwa.

Z pewnością duża część społeczeństwa czekała na jakieś podniosłe gesty puentujące to, co się działo. Postulat przywrócenia tradycyjnej nazwy państwa oraz umieszczenia korony na głowie Orła Białego, a nawet dodania mu złotych szponów i złotego dzioba, przemawiał zapewne do dużej części opinii publicznej.

EPILOG

– Zapewne tak. Sprawilo to, że znaleźliśmy się w bardzo trudnej sytuacji. Z jednej strony zdawałem sobie sprawę z tych oczekiwań, z drugiej zaś nie wyobrażałem sobie, żeby Rzeczpospolitą Polską można było nazwać ten dziwny twór, jaki powstał w wyniku kontraktu Okrągłego Stołu. Zwłaszcza nie mogłem pogodzić się z nakładaniem korony na głowę Orła, dopóki Polska nie odzyskała pełnej suwerenności. Uważałem, że byłaby to tylko polityczna maskarada obniżająca prestiż symboli narodowych.

Czy to znaczy, że Polska nie była jeszcze wówczas suwerenna?

– Dopiero odzyskiwaliśmy suwerenność, ale przecież wciąż mieliśmy w konstytucji zapisaną przyjaźń ze Związkiem Radzieckim, na naszym terytorium stacjonowały obce wojska, których tu wcale nie zapraszaliśmy, mieliśmy prezydenta z mocy kontraktu politycznego i kontraktowy Sejm, który zaledwie w 35 procentach pochodził z demokratycznych wyborów. Nie czułem, żebyśmy już odzyskali tę naszą Rzeczpospolitą Polską, na którą czekaliśmy pół wieku. Ona dopiero rysowała się na politycznym horyzoncie.

Próbował Pan o tym rozmawiać z klubem SD?

– Oczywiście, że próbowałem. Trudno nam przecież było występować przeciw Rzeczypospolitej Polskiej i koronie dla Orła. Opinia publiczna ma to do siebie, że niezbyt uważnie słucha, co mówią politycy. Do społecznej świadomości przedostają się na ogół tylko hasła. Stosunkowo mało jest osób mających dość czasu, żeby zagłębić się w szczegółowe racje stron. Z całego mojego wyводу uzasadniającego absurdalność propozycji SD za pośrednictwem środków przekazu duża część społeczeństwa dowiedziałyby się tylko tyle, że Geremek broni PRL-u i nie chce korony dla Orła. Dlatego musieliśmy rozmawiać i namawiać klub SD do wycofania projektu.

I nic te rozmowy nie dały?

– Wręcz przeciwnie. Za każdym razem dawały bardzo dużo i kończyły się w pełnej zgodzie – to znaczy uzyskiwałem jednoznaczne obietnice rezygnacji ze zmian symbolicznych, a potem sprawa wracała, jak gdyby naszej rozmowy w ogóle nie było. Za pierwszym razem byłem tym zaskoczony. Klub SD bardzo lojalnie uprzedził nas, że ma zamiar wystąpić z inicjatywą nowelizacji

ROK 1989

cji konstytucji, i przedstawił swój projekt. Odbylem wtedy długą i bardzo konstruktywną rozmowę z ich przewodniczącym mecenasem Bondarewskim*, któremu wyłożyłem wszystkie nasze argumenty. Po bardzo poważnej dyskusji byłem przekonany, że z przywracaniem symboli poczekamy do generalnej zmiany konstytucji. Dzień czy dwa dni później dowiedziałem się jednak, że projekt SD wpłynął do marszałka Sejmu w swojej pierwotnej wersji. Stronnictwo, które nazwę i symbolikę II Rzeczypospolitej chciało przywracać jeszcze przed Okrągłym Stołem, uznało, że nawiązując do przedwojennej tradycji państwowej, zdobędzie kapitał sympatii dający szansę politycznego przetrwania.

Projekt SD wpłynął do łaski marszałkowskiej 14 września, ale nie trafił pod obrady Sejmu.

– Tak, bo udało nam się w tej sprawie porozumieć z kierownictwem klubu SD. Opracowaliśmy natomiast własny katalog przepisów konstytucji, które wymagały pilnej nowelizacji. Nasz program minimum przewidywał usunięcie zapisów dotyczących PZPR, ZSL i SD oraz PRON, rezygnację z państwowego monopolu w handlu zagranicznym i umożliwienie swobodnego tworzenia partii politycznych. Uważałem, że w okresie, gdy nowe partie dopiero się formują, należy pozostawić im całkowitą swobodę, a wszelka prawna regulacja tylko utrudni ich działanie.

Konsultował Pan ten projekt z innymi klubami koalicji?

– Nie tylko z klubami koalicji. Zmiana konstytucji wymagała uzyskania w Sejmie większości dwóch trzecich, czyli przeszło 300 głosów. Tyle nasza koalicja nie miała. Musieliśmy więc otrzymać poparcie klubu PZPR. Nie było to łatwe, bo PZPR domagała się konstytucyjnej delegacji dla ustawy o partiach politycznych i, zdając sobie sprawę, że jesteśmy skazani na kompromis, nie chciała ustąpić. W listopadzie pojawił się już nawet pezetpeerowski projekt ustawy o partiach. Udało mi się jednak przekonać przewodniczących klubów koalicyjnych i uzyskać w Konwencji Seniorów

***Andrzej Bondarewski** – adwokat, wówczas w Sejmie przewodniczący klubu SD; dziś działa w Partii Demokratycznej.

EPILOG

decyzję o niekierowaniu tego projektu pod obrady Sejmu. Miałem wówczas nadzieję, że nasza koalicja zbliża się do consensusu w sprawie nowelizacji konstytucji i że sprawa nie jest zbyt odległa.

Zwłaszcza że zyskał Pan sojusznika w ministrze Bentkowskim.

– Tak, Aleksander Bentkowski, który stojąc na czele Ministerstwa Sprawiedliwości, zrzekł się przewodnictwa klubu ZSL, ale zachował w nim bardzo silną pozycję, zabiegał wówczas o odebranie prezydentowi nadzoru nad prokuraturą i konstytucyjne połączenie urzędów prokuratora generalnego oraz ministra sprawiedliwości. Uważaliśmy, że jest to uzasadnione, bo wobec niezawisłości sądów i podporządkowania sędziów jedynie ustawom, minister sprawiedliwości mógł tylko za pośrednictwem prokuratury realizować politykę karną państwa.

Pod koniec listopada consensus został osiągnięty. Na wspólnym posiedzeniu trzech koalicyjnych prezydiów ustaliliśmy zakres nowelizacji i uzyskaliśmy w Konwencji Seniorów zgodę na szybkie rozpatrzenie jej przez Sejm. Debata 30 listopada wyglądała jednak tak, jakbyśmy żadnych koalicyjnych porozumień nie zawierali. Stronnictwo Demokratyczne wróciło do kwestii symbolicznych, a PZPR do konstytucyjnej delegacji dla ustawy o partiach. Jeden z posłów ChSS* oraz Andrzej Kern z naszego klubu proponowali zaś rozszerzenie zmian o skreślenie preambuły – równie groteskowej jak cała Konstytucja PRL, ale pozbawionej mocy prawnej. Ujawnione w czasie plenarnych obrad rozbieżności sprawiały, że zmiany w konstytucji stawały się sprawą bliżej nieokreślonej przyszłości. Zwłaszcza że większość czołowych postaci komisji ustawodawczej, do której skierowano zgłoszone projekty, wejść miała w skład komisji nadzwyczajnej rozpatrującej pakiet gospodarczy. *To było 30 listopada. Potem przez blisko cztery tygodnie w sprawie konstytucji rzeczywiście nie działo się chyba nic – aż do 27 grudnia, kiedy zaczął się Pański konstytucyjny blitzkrieg.*

***Chrześcijańskie Stowarzyszenie Społeczne** – istniejące w latach 1957-89 koncesjonowane przez władze PRL ugrupowanie społeczno-polityczne skupiające chrześcijan różnych wyznań; potem Unia Chrześcijańsko-Społeczna.

ROK 1989

– To nie był żaden blitzkrieg, ale po prostu przełamanie pata, które mogło się dokonać tylko w tych dniach. I nie był to mój wyłączny sukces. Moja determinacja udzieliła się wielu osobom równie znudzonym bezowocnością wielomiesięcznych konstytucyjnych sporów. Po prostu dojrzała w Sejmie świadomość, że dalsze odkładanie tych zmian staje się niebezpieczne. Trzy koalicyjne prezydya, które tego ranka zebrały się jeszcze w niepełnym składzie, bo nie wszyscy zdążyli po świętach wrócić do Warszawy, bez oporów zgodziły się, że nie możemy zakończyć roku bez dokonania zmiany konstytucji, która mówi o przewodniej roli partii. Stronnictwo Demokratyczne nadal podtrzymywało jednak swój wniosek o dokonanie zmian symbolicznych. Na posiedzeniu komisji ustawodawczej jej wiceprzewodnicząca z ramienia OKP profesor Hanna Suchocka* zdołała wówczas uzyskać decyzję, że zmiana godła i nazwy musi być połączona z gruntowną, a więc znacznie szerszą, niż planowaliśmy, nowelizacją konstytucji.

Wiedziałem, że powstała szansa, której nie wolno nam zmarnować. W ciągu paru godzin sędzia Jadwiga Skórzewska**, wówczas dyrektor Biura Prawnego Senatu, a dziś wiceminister sprawiedliwości, przygotowała projekt dużej nowelizacji, która ze stalinowskiej konstytucji usunęła praktycznie wszystkie atrybuty tak zwanego realnego socjalizmu.

Na posiedzeniu OKP powiedział Pan tego dnia, że ze starej konstytucji można zostawić tylko kropki i przecinki.

– Zostało trochę więcej, ale bardzo starannie wyczyściliśmy tekst w całości, skreślając nie tylko preambułę, lecz także dwa pierwsze „ideologiczne” rozdziały. Z pewnym zdziwieniem obserwowałem spokój, z jakim te nasze propozycje przyjmowali posłowie innych

***Hanna Suchocka** – prawniczka, pracownik naukowy; w 1982 roku znalazła się w gronie posłów SD głoszących przeciw delegalizacji „Solidarności”; w latach 1992-93 będzie premierem, później ministrem sprawiedliwości; dziś ambasador RP przy Watykanie.

****Jadwiga Skórzewska** – prawniczka, działaczka „S” w Ministerstwie Sprawiedliwości, do 1986 roku sędzia Sądu Wojewódzkiego w Warszawie.

EPILOG

klubów. Przywracaliśmy przecież Polsce nie tylko nazwę i godło, ale przede wszystkim godne brzmienie ustawy zasadniczej. Tej konstytucji, która była efektem naszych zmian, Orzeł w koronie nie musiał się wstydzić.

Kiedy w Sejmie consensus zdawał się osiągnięty, sprawą kluczową wydawało się stanowisko prezydenta, bez którego podpisu nowa konstytucja nie mogła uzyskać mocy prawa. Czy rozmawiał Pan na ten temat z generałem Jaruzelskim?

– Od kiedy nowelizacja konstytucji nabrała aktualności, wiele razy konsultowaliśmy się z prezydentem. Początkowo korzystaliśmy z pośrednictwa ministrów stanu Józefa Czyrka i Piotra Nowiny-Konopki*. Mam wrażenie, że zwłaszcza minister Konopka przyczynił się do rozwiania początkowej nieufności generała Jaruzelskiego. Pierwsze zastrzeżenia prezydenta dotyczyły jednak głównie przekazania Sejmowi nadzoru nad radami narodowymi, my zaś dość szybko wycofaliśmy się z tego. Uznaliśmy, że Sejmowi trudno będzie ten nadzór sprawować, a poza tym wobec bliskiej już likwidacji rad i zastąpienia ich przez samorząd terytorialny, nie warto było o tę sprawę kruszyć kopii.

Czy na spotkaniu z przedstawicielami trzech klubów koalicyjnych, które odbyło się 23 listopada, prezydent nie zgłosił innych zastrzeżeń?

– Zastrzeżeń nie zgłosił. Pytał tylko o uzasadnienie propozycji przekazania prokuratury pod nadzór ministra sprawiedliwości.

Czego więc dotyczyła ta rozmowa?

– W dużej mierze była to rozmowa kurtuazyjna. Przedstawiliśmy nasze propozycje, które generał Jaruzelski już przecież znał, i uzyskaliśmy ich zasadniczą akceptację oraz deklarację lojalnego współdziałania z parlamentarną większością.

Znacznie bardziej interesująca była dla mnie dyskusja na temat konstytucji, którą odbyliśmy z prezydentem w cztery oczy. Było to

***Józef Czyrek** w sierpniu 1989 roku został ministrem stanu przy urzędzie prezydenta PRL. **Piotr Nowina-Konopka** – ekonomista, działacz „S”, w latach 1982-89 współpracownik jej przewodniczącego Lecha Wałęsy, od maja 1988 do listopada 1989 jego rzecznik; od tego miesiąca również minister stanu przy urzędzie prezydenta.

ROK 1989

już pod koniec grudnia, między świętami a Nowym Rokiem, gdy przygotowaliśmy projekt szerokiej nowelizacji. Proponowaliśmy zmiany odrzucające cały ustrojowy porządek istniejący w Polsce od czterdziestu lat, oczekiwałem więc oporu ze strony byłego pierwszego sekretarza, człowieka, który ostrzegał kiedyś, że socjalizmu będzie bronił jak niepodległości kraju. General jednak wysłuchał tylko moich propozycji i jeszcze raz zadeklarował swoją lojalność wobec woli rządzącej koalicji, a nawet zaproponował pomoc w przekonaniu klubu PZPR do reformy prokuratury.

Prawdziwa rozmowa zaczęła się dopiero, gdy prezydent powiedział swoje wyraźne „tak”, a ja odłożyłem moje papiery. Wówczas nieoczekiwanie generał wrócił do zasady sprawiedliwości społecznej, która wraz z całą pierwszą częścią miała być z konstytucji usunięta. „Przez czterdzieści lat – mówił – byłem przekonany, że służąc tej zasadzie, służę Polsce. Teraz skreślamy ją, a przecież to ważna zasada”. Odpowiedziałem, że też uważam ją za ważną, ale że właśnie przez te czterdzieści lat została w Polsce skompromitowana. Nie protestowałem. Nie mówiłem tego po to, żeby się targować. Chciałem podzielić się z kimś refleksją swojego życia i swojej kariery, czy też – jak mówił – służby, która przyniosła mu gorycz i rozczarowanie. Czuję, że rozmawiam z człowiekiem, który mając blisko 70 lat, odwrócił się od całego swojego życia, od całej swojej drogi, a zachował sobie tylko najwyższe ideały, którymi – mniej lub bardziej szczerze – sam przed sobą uzasadniał swoje wcześniejsze wybory. Pierwszy raz w moim życiu zobaczyłem wówczas, ile goryczy przynieść może polityka i jak trudne mogą być jej rachunki.

Czy poza kwestią sprawiedliwości społecznej żadne zmiany już prezydenta nie niepokoiły? Nie obawiał się na przykład o konsekwencje skreślenia przyjaźni ze Związkiem Radzieckim?

– Obawiał się, ale nie protestowałem. Pytał tylko, czy dobrze przeprowadziliśmy rachunek zysków i strat. Mówił, że będzie spokojny, jeśli mu powiem, iż jestem tych rachunków pewny.

A był Pan pewny?

– Nie, nie byłem. Miałem świadomość ryzyka, wiedziałem, że są to zmiany ponad stan, ale uważałem, że musimy takie ryzyko

EPILOG

podjąć. Tych zmian nie można już było odkładać. Polska nie mogła dłużej na nie czekać.

Ze względu na opinię publiczną?

– Tak, odczucia społeczne były czynnikiem bardzo istotnym, choć wbrew pozorom do gestów symbolicznych Polacy nie przywiązują aż tak wielkiej wagi, czego najlepszym dowodem jest obojętność opinii publicznej wobec groteskowego sporu o umieszczenie krzyża na koronie Orła. Przede wszystkim nasz pośpiech miał jednak przyczyny praktyczne. Istniała obawa, że ludzie starego porządku zrobią ze stalinowskiej konstytucji pretekst dla dokonania zamachu przeciwko rodzącej się demokracji. Uchwalenie pakietu gospodarczego dawało po temu doskonałą okazję. Jego niezgodność ze starą konstytucją była przecież oczywista. My zaś wciąż zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że cała tworzona przez nas demokratyczna konstrukcja stoi poniekąd na lodzie. Bardzo mało wiedzieliśmy przecież o tym, co działo się w aparatach zbrojnych. Nie znaliśmy też prawdziwego stanowiska radzieckiego, które zresztą wraz z upadkiem Gorbaczowa mogło się w każdej chwili zmienić. Z nowej konstytucji nie mogliśmy strzelać, ale uważałem, że jej uchwalenie radykalnie zmniejszy niebezpieczeństwo odwrócenia procesu demokratycznego.

To znaczy, że nie był Pan jeszcze wtedy pewny trwałości polskiej demokracji?

– Nie byłem jej pewny wówczas i nadal nie jestem. Młoda demokracja jest ze swej natury krucha – nawet gdy już nic jej nie grozi ze strony sił starego porządku. Prawdziwa siła demokracji nie leży bowiem w prawie, choć ono stanowi podstawę demokratycznego porządku. Siłą demokracji są przekonania i przede wszystkim postawy społeczne, a one formują się wolno i nie bez trudu – zwłaszcza w państwach, które wcześniej demokracji nie zaznały.

Spółeczeństwa dopiero wkraczające na demokratyczną drogę są zawsze szczególnie zagrożone infekcją dyktatury, taniej demagogii, politycznej szarlatanerii. Proszę tylko spojrzeć na łatwe sukcesy krytyków rządu Mazowieckiego. Nie twierdzę, że był to rząd idealny. Bo nie był. Popępiał oczywiste błędy. Z pewnością każdy rząd musiał

ROK 1989

w tej sytuacji błędzić, bo gdy Mazowiecki zostawał premierem, polski busz wydawał się nieprzenikniony. Pomyłki rządu nie wyjaśniają jednak, jak mogło dojść do tego, że polityczny szarlatan w rodzaju Stanisława Tymińskiego* zawładnął wyobraźnią tak wielkiej części społeczeństwa. Fakt, że co czwarty dorosły obywatel chciał oddać prezydenturę w ręce człowieka, o którego istnieniu jeszcze parę tygodni wcześniej nikt nawet nie wiedział, stanowi miarę prawdziwych zagrożeń, przed jakimi staje młoda demokracja.

Powszechna nieufność wobec wszelkiej władzy, którą do społecznej mentalności wniosły dekady dyktatury, niecierpliwość, brak politycznego wyrobienia, słabość instytucji życia publicznego, niedowład środków społecznego przekazu – to wszystko sprawia, że droga demokracji staje się trudna i ryzykowna. Lepszej jednak nie ma. Musimy więc bronić tej, zdając sobie sprawę, że nie jest to droga łatwa. Społeczna frustracja mająca usprawiedliwienie w stanie naszej gospodarki każdego dnia może obrócić się przeciwko demokracji. Zdarza się przecież, że ludzie pogrążeni w rozpacz sami zakładają sobie pętlę na szyję.

Stalin, Mao, Robespierre, Mussolini i Hitler doszli przecież do władzy dzięki poparciu ogromnej części swoich społeczeństw żywiących nadzieję, że dzięki nim najprędzej i najłatwiej pozbędą się swoich dramatów. Historia pokazała, że wizja drogi na skróty prowadzi narody w ślepy zaułek. Wiadomo to od dawna. Zawsze jednak znajdują się ludzie, którzy dla własnych politycznych ambicji gotowi są przekonywać, że znają jakiś cudowny eliksir, dzięki któremu życie stanie się łatwe. Gdy społeczeństwo im uwierzy, na demokrację nie ma już miejsca.

Co Pan pocznie, gdy tak się stanie?

– Na razie robię wszystko, by się tak nie stało.

Sierpień-listopad 1990 roku

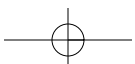
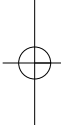
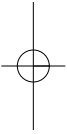
***Stanisław Tymiński** – wówczas prawie w Polsce nieznanymi kanadyjski biznesmen polskiego pochodzenia, z wykształcenia technik. W I turze powszechnych wyborów prezydenckich 25 listopada 1990 roku uzyskał nieoczekiwanie ponad 23 proc. głosów. Przegrał wyraźnie z Lechem Wałęsą (prawie 40 proc.), ale wyprzedził Tadeusza Mazowieckiego (ponad 18 proc.). W II turze 9 grudnia Wałęsa (ok. 75 proc. głosów) wygra z zdecydowaniem z Tymińskim (ok. 25 proc.)

EPILOG



ANNA PIETUSZKO

POLSKIE
SERENDIPITY



To był rok polskich cudów. W całej powojennej historii Polska nie miała takiego fantastycznego okresu. Zaczęliśmy go jako kraj pogrążony w beznadziejnym kryzysie, rządony przez juntę generałów, zależny od potężnego sąsiada i tracący wiarę, że to się może pozytywnie zmienić. Społeczny opór wobec peerelowskich porządków był na początku tego roku najsłabszy od Sierpnia '80, chociaż żywność kupowało się wówczas na kartki, które w dodatku trudno było zrealizować, bo sklepy były puste. Kończyliśmy ten rok, mając państwo faktycznie suwerenne, prawie demokratyczne, rządzone przez niekomunistyczny rząd i dysponujące programem budowy gospodarki rynkowej.

Najpierw jako sekretarz strony „solidarnościowej” stolika społecznego Okrągłego Stołu, a potem dzięki Bronisławowi Geremekowi, który wybrał mnie na swojego rzecznika (formalnie byłem rzecznikiem OKP), mogłem z bliska obserwować, jak polska słabość zamieniała się w siłę, niewola w wyzwolenie, beznadziejna nędza w nadzieję jakiegoś dostatku.

Patrząc z dystansu, można w tym oczywiście widzieć Ducha Dziejów albo Historyczną Konieczność. Ale z bliska widać było dobrze, że Historyczna Konieczność nie była oczywista, a Duch Dziejów miał konkretne imiona i nazwiska.

ROK 1989

Kryzys PRL nie musiał prowadzić do jej natychmiastowego upadku. Gnuśny i prząsny porządek mógł jeszcze długo trwać siłą politycznego, gospodarczego i społecznego bezwładu. Władza mogła wrócić do twardych represji i trwać mimo odrzucenia przez Zachód oraz mimo braku poparcia własnego społeczeństwa. Mogła też skutecznie wmontować niepokornych w peerelowski system, zrobić ich posłami, prezesami, ambasadorami, nawet ministrami czy wojewodami. Inaczej mówiąc, sprawy mogły się potoczyć zupełnie inaczej, a PRL i system komunistyczny mogły przetrwać ten kryzys, podobnie jak przetrwał kryzys połowy lat 50.

Jeżeli w roku 1989 stało się w Polsce to, co się stało, to w dużej mierze dlatego, że słabość władzy oraz podjęte przez nią próby reform zostały przez niewielką grupę osób wykorzystane do zdemontowania systemu. W tej książce Bronisław Geremek na gorąco opowiedział, jak się to udało. Po niespełna dwudziestu latach mało kto już pamięta, jak kluczową odegrał wówczas rolę i kim był w tym przełomowym okresie. Jako jego bezpośredni podwładny miałem wówczas wyjątkowy przywilej obserwowania go na co dzień wystarczająco blisko, żeby się przekonać, że był nie tylko człowiekiem – marzeniem, szefem – marzeniem, nauczycielem – marzeniem, mentorem – marzeniem, lecz także politykiem – marzeniem, mającym wyjątkowo jasną świadomość historycznego procesu, w którym bierze udział, oraz swojej w nim roli i powinności. Politycznie był to bez wątpienia najlepszy rok w jego życiu. Mógł już kapitalizować wiedzę i doświadczenia zdobyte przez lata czytania i działania, a chwilowo nie musiał zbyt wiele płacić za polityczne wybory. Słowo „chwilowo” ma tu duże znaczenie.

Kiedy mnie wezwał, żeby zaproponować funkcję rzecznika, naiwnie myślałem, że trudne czasy mamy już za sobą. Nie chciałem być politykiem ani urzędnikiem. Chciałem nareszcie być zwykłym dziennikarzem. Odpowiedziałem więc, że nie chcę splendorów. A on się uśmiechnął najcieplej, jak potrafił, i mówi:

„Panie Jacku, pan tu nie jest potrzebny dla splendorów. Pan ma pierwszy zginąć”.

To nie był jedyny argument, ale był to jedyny argument nie do odrzucenia. Przynajmniej gdy użył go Geremek. Nie chodziło o to, że czerwoni mogą nam zrobić krzywdę (choć i to wchodziło jeszcze w rachubę), ale o to, że kiedy minie entuzjazm, ludzie się od „Solidarności” nieuchronnie odwrócą i zwrócą się przeciw nam.

Jako historyk rasowy, jak to tylko możliwe, Geremek od początku wiedział, że także ta rewolucja musi pożreć swoje dzieci. To była kwestia czasu. Chodziło o to, żeby przez ten czas jak najwięcej zrobić. Celem były reformy gospodarcze, konstytucja, traktaty stabilizujące międzynarodową sytuację Polski, ustawy wolnościowe, trwałe odsunięcie PZPR od władzy, ustanowienie w Polsce normalnej demokracji i stworzenie normalnej gospodarki rynkowej. Na liście priorytetów nie było utrzymania posiadłości, zachowania władzy, zwycięstwa w kolejnych wyborach. Może był to błąd idealizmu, ale w ówczesnych warunkach sprawdzić mógł się tylko program idealistyczny. Wszelkie racjonalne rachuby były przeciw nam.

Moja rola polegała na tym, żeby rzucenie mnie na pożarcie pozwoliło zyskać odrobinę czasu. To była kwestia techniczna. I nie było w tym cna cyniczności. Gdy było trzeba, Geremek potrafił być racjonalny i szczery do bólu, ale cyniczny być nie umiał. Zakładał, że i on jest na początku listy „do odstrzału”, bo za najważniejsze uważał utrzymanie reformatorskiego rządu i obronę pozycji Wałęsy.

Zanim „zginąłem”, kilka ważnych rzeczy włożył mi do głowy.

Po pierwsze, że nie wolno dać się rozpraszać drobiazgom, incydentom, bo liczą się procesy i to, jak na nie wpływamy. Z zasady nie

ROK 1989

brał udziału w przypadkowych politycznych pyskówkach i swemu rzecznikowi też tego zabronił.

Po drugie, że nie wolno dać się wyprowadzić z równowagi, ale jak nie ma wyjścia, trzeba czasem nazwać rzeczy po imieniu. Jakie to robiło wrażenie, przekonałem się, kiedy na przełomie 1989 i 1990 roku w debacie międzynarodowej pojawiła się „kwestia granicy wschodniej zjednoczonych Niemiec”. Sprawa była poważna, bo Polska była słaba i nie mieliśmy wtedy żadnego sojusznika zdolnego do zamknięcia tej „kwestii”. Geremek przeciął ją zdaniem: „Tylko wojna może zmienić granice w Europie” wypowiedzianym do dziennikarzy ze schodów Pałacu Elizejskiego. Perfekcyjne zdanie, wypowiedziane w perfekcyjnie dobranym miejscu i czasie trafiło na czołówki światowej prasy i zamknęło kwestię. Podobnie jak – przynajmniej w sensie moralnym – wiele lat później jego jasne „nie” dla barbarzyńskiej ustawy lustracyjnej uchwalonej przez PiS oznaczało jej koniec, choć daleko było jeszcze do orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego.

Po trzecie, uczył mnie, że świat zmienia się szybciej, niż to zauważamy, więc nie ma sensu upierać się przy doktrynach czy konfiguracjach, ale tym bardziej trzeba upierać się przy wartościach, bo tylko one pozostają niezienne. Najlepiej było to widać w jego skomplikowanym stosunku do Wałęsy, z którym wciąż był w politycznym sporze, ale zawsze widział w nim Wartość samą w sobie.

Ci, których zaskoczyła wylewność Lecha Wałęsy po śmierci Bronisława Geremka, powinni pamiętać, że oni dwaj byli ze sobą symbolicznie zrośnięci, tak jak ich środowiska zrośnięte są w polskiej mitologii, gdzie narodowy cud polegać ma na tym, że „z szlachtą polską polski lud”. Ludowemu buntowi „Solidarności” przewodził odważny, szlachetny duchem i sprytny, ale prosty samouk, mogący robić wrażenie kulturowego pólanalfabety. Geremek, należący w sposób oczywisty do najwyższych

rejestrów polskiej i europejskiej kultury, stanowił zaś nie tylko naturalne uzupełnienie, ale też gwarancję zachowania wysokich standardów przez ruch z natury plebejski. Nie tylko Papież i osobistości kościelne, ale także zachodnie elity fascynowały się osobowością i witalnością Wałęsy oraz dynamiką ludowej rewolucji, lecz słuchać wołały Geremka, który ten fenomen rozumiał, objaśniał i – jak się wydawało – jakoś także intelektualnie formował.

Geremek oczywiście nie był jedynym inteligentem ważnym na drodze Polski od Sierpnia 1980 do Unii Europejskiej i NATO, podobnie jak Wałęsa nie był na tej drodze jedynym ważnym robotnikiem. Ale – może zbiegiem okoliczności, a może dlatego, że obaj byli w swoich tożsamościach tak bardzo wyraziści – zrosli się ze sobą w jakiś bardzo wyjątkowy sposób, łączący moc temperamentu Wałęsy z dystansem Geremka. Mimo niezwyklej bliskości nigdy nie przeszli na ty, ale też mimo częstych napięć, a nawet dramatycznych konfliktów, nigdy nie przekroczyli granicy wrogości.

Tak więc jak Lech Wałęsa stał się dla świata i społeczeństwa uosobieniem stworzonego przez PRL, wywodzącego się ze wsi polskiego robotnika, który wziął sprawy w swoje ręce i wyrwał kraj z komunizmu, tak Bronisław Geremek był symbolem polskiego inteligenta od przeszło stu lat dźwigającego etos obywatelski i tradycje wysokiej kultury, podtrzymującego historyczną więź polskiej elity z Zachodem i jej udział w dorobku kultury śródziemnomorskiej.

Geremek był jak studnia na wyżynie przekopana przez tysiącletnie osady naszej cywilizacji. Przez chrześcijaństwo, judaizm, kulturę śródziemnomorską, dzieje Polski i Francji, średniowiecze i wiek XIX, przez romantyzm, oświecenie, modernizm aż po postmodernizm. Kiedy się z nim mówiło, czuło się ciężar krzyży, które w średniowieczu dźwigały pokutni biczownicy, i lekkość impre-

ROK 1989

sjonistycznego malarstwa, czuło się ból II wojny światowej i katastrofę wojny trzydziestoletniej, czuło się marzenia Garibaldiiego i Martina Luthera Kinga, a także strach Katynia, getta, Guerniki. To wszystko jakoś dziwnie naturalnie w nim emocjonalnie żyło. Słychać było, że to wszystko jest dla niego ważne nie tylko, gdy pykając fajkę opowiada o wielkiej europejskiej przyszłości czy polskiej polityce, ale także na co dzień.

Nawet kiedy w OKP rozważaliśmy rozmaite taktyczne szczegóły (obsadę komisji sejmowych albo taktykę zmiany konstytucji przez klub dysponujący w Sejmie jedną trzecią głosów), tę głębię się nieustannie czuło. Inni też ją dobrze czuli. Pamiętam, jak rzecznik jednego wysokiej rangi europejskiego polityka po wizycie jego szefa w OKP zadzwonił do mnie nazajutrz tylko po to, żeby mi powiedzieć, że bardzo mi zazdrości, bo chciałby pracować dla takiego wielkiego człowieka jak Geremek. Słuchając Geremka, nikt nie mógł mieć wątpliwości, że Polska w naturalny sposób należy do Europy nie tylko słowiańskiej czy wschodniej, ale też helleńskiej, romańskiej, anglosaskiej. To, co z trudem dało się odnaleźć w historii politycznej i czego nijak nie dało się zauważyć w rocznikach statystycznych, każdy w okamgnieniu dostrzegał u Geremka.

Ale to nie znaczy, że Bronisław Geremek był kosmopolitą. W gruncie rzeczy był dość tradycyjnie myślącym polskim patriotą z pnia raczej piłsudczykowskiego, przywiązany do symbolicznych atrybutów polskiej państwowości, do tradycyjnego pojęcia suwerenności, do wojska, waluty, dyplomacji i wszelkich symboli. Kiedy jesienią 1989 Stronnictwo Demokratyczne uparło się, żeby polskie państwo (formalnie jeszcze PRL) przemianować na Rzeczpospolitą Polską, mało kto był gotów uwierzyć, że Geremek jest temu przeciwny dlatego tylko, że jego zdaniem ówczesna Polska jeszcze na taki zaszczyt nie zasługiwała. Państwo polskie było dla niego wartością, jaką może być tylko dla człowieka, który pół wieku przeżył w świadomości niewoli. Czasem mia-

ło to bardzo konkretny, dla innych trudno zrozumiały wyraz. Krótko przed jego śmiercią spieraliśmy się na przykład o uzawodowienie armii. Zaskoczył mnie tradycjonalistyczną wiarą, że powszechny pobór umacnia więź państwową, do której przywiązywał bardzo dużą wagę. Polskę bez złotówki też z trudem sobie wyobrażał, choć dał się przekonać, że przyjęcie euro to ekonomiczna konieczność.

Mówiąc z głębi dziejów, mówił więc także z głębi dość tradycyjnie rozumianej polskości. To mu dodawało. Zwłaszcza na tle innych pokazujących się światu polskich polityków. Polskość w jego przypadku była prawdziwą siłą i źródłem pewności siebie, a nie powodem do krzykliwych kompleksów. Jego pozycja w środowiskach kościelnej hierarchii, w Watykanie, w elitach Ameryki i Europy Zachodniej, wśród polityków i intelektualistów wynikała w dużym stopniu z tego, że potrafił łączyć cechy pozornie niepołączalne. Tradycyjna, dość konserwatywna romantyczna polskość łączyła się w nim z klasycznie liberalnym przywiązaniem do indywidualnej wolności, z lewicowym wiecznym poszukiwaniem jakiegoś lepszego świata szklanych domów i z zakorzenieniem w kulturze Zachodu. Nieinstrumentalnie przykładał wielką wagę do roli Kościoła, szczerze popierał konkordat, był nieufny wobec entuzjastów federacyjnej wizji Europy, ale jednocześnie zagrożenie widział w nacjonalizmie, ksenofobii, klerikalizacji państwa.

Może to ta wyjątkowa synteza sprawiała, że na co dzień trudno było powiedzieć, czy idący po schodach Bronisław Geremek w istocie schodzi czy wchodzi, ale gdy sam uznał to za konieczne, stawał się wyrazisty do bólu, i to nie bacząc na to, ile mógł za to zapłacić. Legitymację partyjną rzucił na przykład nie w Marcu '68, kiedy zrobiło to wiele osób z jego środowiska, lecz w sierpniu, po inwazji na Czechosłowację, gdy to zrobiło niewielu. Kiedy zaś w roku 1989 ważyły się losy pierwszego po wyborach premiera, generała Kiszczaka, to on ku zaskoczeniu sali oświadczył z trybuny sejmowej, że „Solidarność” gotowa jest przejąć władzę.

ROK 1989

O sile jego głosu stanowiło też to, że myślał i mówił – na Zachodzie raczej zapomnianym – językiem czytelnych wartości, a nigdy językiem własnych interesów. W polityce płacił za to cenę, bo inni na ogół takich skrupułów nie mieli. Jego partie ponosiły porażki, gdy odmawiały kupowania sobie elektoratu za państwowe pieniądze, obiecując wyborcom gruszek na wierzbie albo walki na haki. Ale dzięki temu ich głos nabierał moralnej wagi. Można bowiem się było z Bronisławem Geremkiem nie zgadzać, ale nie można było przypuszczać, że mówi coś, żeby sobie albo swoim stronnikom kosztem publicznego interesu jakąś sprawę załatwić. Zachodni politycy, którzy na co dzień z nim nie konkurowali, umieli to docenić. Póki żył, polskim konkurentom przychodziło to z trudem, bo musieliby wówczas – choćby sami przed sobą – przyznać, że czegoś im nie dostaje.

Także w roku 1989 wielkość, która za granicą dawała Geremkowi szacunek i przyjaźń czołowych mężów stanu, w Polsce przyciągała coraz większą niechęć i agresję. Z miesiąca na miesiąc coraz lepiej widziałem, że Geremek zanadto wystaje ponad polski kocioł. A w miarę jak polska polityka pograżała się w populistycznej pianie, jego nieprzystawalność rosła. Miał wielu wyznawców – do których się zaliczam – ale więcej miał wrogów. Trudno go było pokonać na racje i argumenty, więc przez blisko trzydzieści lat próbowano zniszczyć go insynuacjami, oszczerstwami, kalumniami, wszelkim możliwym błotem.

Energia, którą żli ludzie zużyli, by go zdezwauować, wystarczyłaby do oświetlenia sporej aglomeracji. Od ubeckiej fałszywki wywiadu z Hanną Krall z 1981 roku, której miał opowiadać, jak zniszczy Polskę w obcym interesie, przez oszczerczy zarzut szpiegostwa, w które peerelowska władza próbowała go wrobić po stanie wojennym, przez powracające od 1989 roku fale anonimów „dema-skujących” jego żydowskie korzenie, aż po ohydne insynuacje i kuriozalne słowo „hańba”, gdy jako jedyny polski parlamentarzysta

miał odwagę nie podporządkować się barbarzyńskiej wersji ustawy lustracyjnej.

Miarą polskiego problemu jest to, jak wielu małych ludzi nie mogło go znieść obok siebie. A miarą jego siły było, jak sobie z tym radził. Nie był zaszczepiony na podłość. W dramatycznym roku 1990, gdy polityczna piana zaczęła się podnosić, widziałem, jak po każdym ohydny anonimie, paszkwilu, donosie na mgnienie oka aż kulił się w sobie. Ale też niezwłocznie się odbudowywał, by dalej iść w swoją stronę. Nie chciał tracić energii. Od samego początku miał silne poczucie, że Polska musi się śpieszyć, jeśli naprawdę chce dołączyć do Zachodu. Za swój obowiązek uważał doprowadzenie do tego, byśmy się nie spóźnili. Ogólnie było to bardzo piękne, ale dla tej książki oznaczało niemalże pewną katastrofę, bo zamiast wspominać minione miesiące, zawsze można było zrobić coś bardziej pożytecznego dla Polski.

Ta książka powstała cudem także z tego powodu, że trudno sobie wyobrazić człowieka bardziej niechętnie mówiącego o sobie niż profesor Geremek. Jak to często bywa, ten cud miał imię. Było to imię Majka.

Kiedy latem 1989 zostałem rzecznikiem OKP, Profesor obiecał mi, że „jak się przewali”, zrobimy wywiad rzekę na temat przelomu. Sęk w tym, że nie „przewaliło się” nigdy. Przynajmniej nie przewaliło się w życiu Profesora i w polskiej polityce. Jeśli mimo wszystko ta książka w roku 1990 powstała, to w dużym stopniu dlatego, że – podobnie jak ja – bardzo tego chciała Marysia Borejsza, wieloletnia sekretarka i asystentka Profesora, która dysponowała jego kalendarzem. Profesor odmawiał jej z większym trudem niż mnie. I to ona, stosując najrozmaitsze wybiegi, a nawet podstępny doprowadzała do kolejnych sekwencji wywiadu. W tym sensie ta książka powstała dzięki swego rodzaju spiskowi zawartemu przez personel OKP wbrew swemu szefowi. Bo szef zawsze

ROK 1989

miał do zrobienia coś dużo ważniejszego niż opowiadanie o tym, co już zostało zrobione.

Czasem Majce udawało się zaaranżować rozmowę w sejmowym gabinecie Geremka. Zwykle były to weekendowe poranki. Na przykład – niedziela od 7.30 do 8.30. O wpół do dziewiątej pojawiali się pierwsi interesanci i rozmowa musiała się skończyć. Ale częściej rozmawialiśmy w samochodzie wiozącym Profesora na Suwalszczyznę, czyli do jego okręgu wyborczego, albo gdzieś na drugi koniec Polski. Czasem Majka umawiała nas w domku Profesora nad Narwią. Czasem u mnie w domu.

Geremek dzielił swój czas z prawdziwie aptekarską precyzją. Jeżeli jechaliśmy gdzieś dalej, zabierał ze sobą gruby plik papierów, które po drodze systematycznie trawił. Mój czas zaczynał się zwykle dopiero w drodze powrotnej. Po kilkunastu godzinach podróży, spotkań, rozmów, publicznych dyskusji, nocą lub późnym wieczorem odkładał papiery i oferował mi jedną czy dwie godziny.

Nie narzekam. Rozmowy w samochodzie nie były gorsze od rozmów w gabinecie czy w domu. Nie było jeszcze komórek, więc człowiek jadący samochodem znajdował się jakby poza światem. Ale te krótkie, mechanicznie przerywane odcinki sprawiają, że jak na umysłowość Geremka mało jest w tej książce typowej delibracji, a stosunkowo dużo mechanicznej relacji. Podobnie – jak na wywiad rzekę – mało jest tu osobistych wynurzeń.

Raz tylko, w drodze powrotnej z Suwałk, udało nam się z Majką wciągnąć Profesora w rozmowę o jego traumatycznym dzieciństwie. W książce zachowały się jednak zaledwie jej strzępy. Bo kiedy parę tygodni później przyszło do autoryzacji, akurat ruszyła kolejna fala rasistowskich anonimów. Kilkanaście stron z tekstu książki wypadło, bo w atmosferze narastającej podłości trudno było znaleźć miejsce dla zwierzeń.

POLSKIE SERENDIPITY

W jakimś sensie mają więc Państwo w rękach zaledwie ka-
dłub czy zrab książki, w której części wątków brakuje, a niektó-
re są zaledwie kikutami. Mam jednak wrażenie, że po blisko
dwudziestu latach jest to już lektura na tyle egzotyczna, iż warto
po nią sięgnąć. Choćby tylko po to, żeby sobie przypomnieć, jak
daleko przez te dwie dekady zaszliśmy i jak krótką mamy jako
społeczeństwo pamięć.

JACEK ŻAKOWSKI

KALENDARIUM WYDARZEŃ

LAT 1988-90 W POLSCE I NA ŚWIECIE

1988

1 stycznia – Władze przestały zagłuszać Radio Wolna Europa.

24-25 lutego – Z komunikatu 225. Konferencji Plenarnej Episkopatu: konieczne jest przeprowadzenie szerokich reform i upodmiotowienie społeczeństwa „przez umożliwienie powstawania niezależnych stowarzyszeń społecznych i przedstawicielstw pracowniczych”.

24 kwietnia – W Bydgoszczy zastrajkowała załoga MPK.

26 kwietnia – Początek strajku w Hucie im. Lenina w Krakowie. Postulaty: podwyżka płac, indeksacja, przyjęcie do pracy wyrzuconych działaczy „Solidarności”.

29 kwietnia – W Stalowej Woli ogłoszono dwudniowy strajk o podwyżkę płac i przyjęcie do pracy członków Komisji Zakładowej „S”.

2 maja – Rozpoczął się strajk w Stoczni Gdańskiej. Postulaty: m.in. podwyżka płac, przywrócenie „Solidarności”, przyjęcie do pracy wyrzuconych. Z oświadczenia Krajowej Komisji Wykonawczej „S” z tego dnia: „Legalizacja »Solidarności« jest palącą koniecznością”.

2-3 maja – Biskupi podczas 227. Konferencji Plenarnej Episkopatu „Jedynym środkiem prowadzącym do przezwyciężenia kryzysu w kraju jest dialog władz państwowych i reprezentatywnych grup społecznych”.

5 maja – Oddziały specjalne MO brutalnie stłumiły strajk w Krakowie w Hucie im. Lenina.

- 10 maja** – Bez podpisania porozumienia zakończył się strajk w Stoczni im. Lenina. Strajkujący wyszli z zakładu i w pochodzie przeszli do kościoła św. Brygidy.
- 14 maja** – Prymasowska Rada Społeczna: „Trudna do utrzymania jest sytuacja, w której większość ludzi pracy nie może mówić własnym głosem i jest reprezentowana przez organizacje, których nie popiera”.
- 22 maja** – János Kádár przestał być I sekretarzem Węgierskiej Partii Komunistycznej.
- 26 lipca** – Jerzy Urban: „Ruch »Solidarność« trwale należy do przeszłości”.
- 15 sierpnia** – Rozpoczął się strajk w kopalni Manifest Lipcowy w Jastrzębiu. Po kilku dniach powstał Międzyzakładowy Komitet Strajkowy.
- 17-20 sierpnia** – Strajki okupacyjne objęły liczne inne kopalnie. Jeden z głównych postulatów – legalizacja „Solidarności”.
- 17 sierpnia** – Początek strajku w Porcie Szczecińskim. Następnego dnia w Szczecinie powstał MKS.
- 20 sierpnia** – Początek strajku w Porcie Północnym w Gdańsku. Tego samego dnia rozpoczęły się poufne rozmowy między sekretarzem KC Józefem Czyrkiem a prezesem warszawskiego KIK-u i ekspertem „S” Andrzejem Stelmachowskim w sprawie ewentualnego spotkania „okrągłego stołu” między władzą a opozycją.
- 22 sierpnia** – Ogłoszono strajki w Stoczni Gdańskiej im. Lenina i w Stoczni Północnej. Powstał MKS. Strajk w Hucie Stalowa Wola.
- 24 sierpnia** – Do strajku dołączyły się inne stocznie Trójmiasta.
- 26 sierpnia** – Biskupi polscy zebrani na Jasnej Górze: „Trzeba szukać dróg prowadzących do pluralizmu związkowego i do tworzenia stowarzyszeń”.
- 27 sierpnia** – Z oświadczenia generała Czesława Kiszczaka: „Zostałem upoważniony (...), aby odbyć w możliwie szybkim czasie spotkanie z przedstawicielami różnorodnych środowisk społecznych i pracowniczych. Mogłoby ono przyjąć formę »okrągłego stołu«”.

31 sierpnia – Generał Kiszczak spotkał się z Lechem Wałęsą. Z oświadczenia Wałęsy: „Postawiłem najważniejsze w chwili obecnej zagadnienie dróg prowadzących do realizacji pluralizmu związkowego, w tym miejsca »Solidarności«. (...) Obrady »okrągłego stołu« obejmą szeroką problematykę”. Po powrocie do Gdańska Wałęsa wezwał do zakończenia strajków zapowiadając, że bierze na siebie sprawę legalizacji „S”.

1 września – „Trybuna Ludu” opublikowała wypowiedź I sekretarza KC PZPR i przewodniczącego Rady Państwa generała Wojciecha Jaruzelskiego podczas wizyty w warszawskiej Fabryce Samochodów Osobowych: „Możemy rozmawiać z każdym, którego działalność nie godzi w nadrzędne racje socjalistycznego państwa”.

3 września – Zakończył się strajk w kopalni Manifest Lipcowy.

8 września – Z uchwały rady oficjalnych związków zawodowych OPZZ w sprawie pluralizmu związkowego: „Nie ma żadnych przesłanek i racji społecznych do usankcjonowania drugiego związku w zakładzie”.

10 września – Z oświadczenia KKW „S”: „Dopiero legalizacja »Solidarności« pozwoli na skuteczne włączenie się Związku w reformowanie kraju”.

15-16 września – Kolejne spotkania przygotowawcze do Okrągłego Stołu. Uczestniczyli w nich generał Kiszczak i Lech Wałęsa oraz inni przedstawiciele władz i środowisk niezależnych, a także obserwatorzy ze strony Kościoła. Postanowiono, że obrady rozpoczną się w połowie października.

19 września – Rząd Zbigniewa Messnera podał się do dymisji.

27 września – Premierem został Mieczysław F. Rakowski.

1 listopada – Premier Rakowski podjął decyzję o likwidacji Stoczni Gdańskiej. Lech Wałęsa: „Decyzję premiera można (...) traktować jako polityczną prowokację wymierzoną w ideę porozumienia”. Sekretarz Episkopatu abp Bronisław Dąbrowski 12 listopada: „Decyzja rządu (...) doprowadziła do wstrzymania rozmów przy »okrągłym stole« i do zablokowania rysującego się porozumienia Polaków”.

KALENDARIUM

- 18-19 listopada** – Kolejne spotkania Lecha Wałęsy i generała Kiszczaka poświęcone przygotowaniom do Okrągłego Stołu. Uczestniczyli w nich: Stanisław Ciosek, Tadeusz Mazowiecki, bp Tadeusz Gocłowski i ks. Alojzy Orszulik. Z komunikatu: „Rozmowy będą kontynuowane w celu zbliżenia stanowisk”.
- 30 listopada** – Lech Wałęsa odbył telewizyjną dyskusję z przewodniczącym OPZZ Alfredem Miodowiczem.
- 9-12 grudnia** – Lech Wałęsa, Bronisław Geremek i Andrzej Wielowieyski przebywali w Paryżu, gdzie uczestniczyli w obchodach czterdziestej rocznicy Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka.
- 18 grudnia** – Grono intelektualistów i działaczy związkowych, zebrane w Warszawie na zaproszenie Lecha Wałęsy, utworzyło Komitet Obywatelski przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność”.
- 20-21 grudnia** – Pierwsza część X Plenum KC PZPR.
- 23 grudnia** – Sejm przyjął ustawę uznającą działalność gospodarczą za „wolną i dozwoloną każdemu na równych prawach”.

1989

- 16-18 stycznia** – W Warszawie odbyła się druga część X Plenum KC. „Komitet Centralny widzi potrzebę i możliwość włączenia do systemu politycznego konstruktywnej opozycji. (...) Biorąc pod uwagę postępy w dialogu politycznym i demokratyzacji życia oraz potrzeby rozwoju kraju, Komitet Centralny opowiada się za zniesieniem – w warunkach porozumienia narodowego – ograniczeń w tworzeniu nowych związków zawodowych”.
- 22 stycznia** – Z oświadczenia KKW „S”, opublikowanego po raz pierwszy również przez prasę oficjalną: KKW „traktuje uchwałę Plenum KC PZPR o przywróceniu pluralizmu związkowego i legalizacji NSZZ »Solidarność« jako zasadniczy krok w kierunku dialogu społecznego. (...). Stwierdzamy, że powstała możliwość negocjacji dotyczących »Solidarności« oraz spraw kraju”.

ROK 1989

27 stycznia – Na spotkaniu generała Kiszczaka z Lechem Wałęsą oraz Tadeuszem Mazowieckim i Bronisławem Geremkiem ostatecznie uzgodniono termin oraz tryb pracy Okrągłego Stołu.

6 lutego – W Warszawie rozpoczęły się obrady Okrągłego Stołu. Z przemówienia generała Kiszczaka: „Jeżeli przy Okrągłym Stole wypracujemy i oficjalnie wobec społeczeństwa potwierdzimy consensus co do idei niekonfrontacyjnych wyborów, a także wsparcia projektowanych reform politycznych i ekonomicznych, to możliwe będzie niezwłoczne zwrócenie się do Rady Państwa o podjęcie uchwały znoszącej blokadę pluralizmu związkowego w zakładzie pracy”. Z przemówienia Lecha Wałęsy: „Zacząć trzeba od przywrócenia pluralizmu związkowego (...). Chcemy »Solidarności« i mamy do niej prawo. (...) Prawo do swoich związków mają także rolnicy i studenci – oczekujemy zatem przywrócenia do legalnego życia zarówno »Solidarności« Rolników, jak i NZS”.

8-10 lutego – Rozpoczęły pracę zespoły Okrągłego Stołu: ds. gospodarki i polityki społecznej (przewodniczyli Władysław Baka i Witold Trzeciakowski), ds. pluralizmu związkowego (przewodniczyli Aleksander Kwaśniewski, Tadeusz Mazowiecki, Romuald Sosnowski z OPZZ), ds. reform politycznych (przewodniczyli Bronisław Geremek i Janusz Reykowski). W następnych dniach zebrały się podzespoły: rolnictwa, zdrowia, reformy prawa i sądów, górnictwa, ekologii, polityki mieszkaniowej, środków masowego przekazu, nauki, oświaty i postępu technicznego, młodzieży. Obradowały także grupy robocze do spraw: samorządu terytorialnego, stowarzyszeń, indeksacji płac.

17 lutego – W Krakowie milicja rozpendziła demonstrację NZS. Podobnie było 24 lutego.

5 kwietnia – Posiedzenie plenarne zakończyło obrady Okrągłego Stołu. Z przemówienia generała Kiszczaka: „Deklarujemy wolę rzetelnego wypełniania umowy, którą dzisiaj symbolicznie zawieramy. Nadajemy jej moc trwałą, zgodnie ze starą zasadą

KALENDARIUM

pacta sunt servanda – umowy zobowiązują”. Z przemówienia Lecha Wałęsy: „Nie ma wolności bez »Solidarności« – to jest prawda, z którą przyszliśmy do Okrągłego Stołu. (...) Zbiegaliśmy o konkretne ustalenia, które mogą zostać wcielone w życie natychmiast. Takie jak legalizacja »Solidarności«, »Solidarności« Rolników, Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Te postulaty zostały przez stronę rządowo-koalicyjną przyjęte. Osiągnęliśmy tym samym niezbędne minimum do wkroczenia na szlak przemian demokratycznych”. Zawarte porozumienie przewidywało także m.in. utworzenie urzędu prezydenta, wolne wybory do Senatu oraz podział mandatów w wyborach do Sejmu (65 proc. miejsc dla strony rządowej, 35 proc. dla opozycji).

- 7 kwietnia** – Sejm przyjął nową ordynację wyborczą oraz ustanowił instytucje Senatu i prezydenta.
- 8 kwietnia** – Komitet Obywatelski „S” wyraził gotowość objęcia patronatu nad kampanią wyborczą do Sejmu i Senatu zgodnie z wnioskiem Lecha Wałęsy i KKW „S”.
- 12 kwietnia** – Ukazał się ostatni (290) numer podziemnego „Tygodnika Mazowsze”.
- 17 kwietnia** – Sąd Wojewódzki w Warszawie wpisał ponownie do rejestru NSZZ „Solidarność” z siedzibą w Gdańsku.
- 18 kwietnia** – W gmachu Sejmu spotkali się Wojciech Jaruzelski i Lech Wałęsa.
- 19-22 kwietnia** – Lech Wałęsa, Bronisław Geremek, Tadeusz Mazowiecki i Witold Trzeciakowski przebywali z wizytą w Rzymie. Delegację „S” przyjął Jan Paweł II. Spotkała się też ona z przywódcami włoskich związków zawodowych, a także z prezydentem, premierem i szefem MSZ Włoch.
- 20 kwietnia** – Sąd Wojewódzki w Warszawie zarejestrował NSZZ „Solidarność” Rolników Indywidualnych.
- 23 kwietnia** – W Warszawie odbyło się posiedzenie KO „S” z udziałem przedstawicieli regionalnych Komitetów Obywatelskich, na którym zatwierdzono listę kandydatów do Sejmu i Senatu.

ROK 1989

- 29 kwietnia** – Na posiedzeniu KKW „S” postanowiono m.in. przyjąć w jej skład: Bogdana Borusewicza, Lecha Kaczyńskiego i Henryka Wujca. Powołano prezydium KKW w składzie: Bogdan Borusewicz, Zbigniew Bujak, Władysław Frasyniuk, Stefan Jurczak, Lech Kaczyński, Bogdan Lis, Jacek Merkel, Andrzej Milczanowski, Janusz Pałubicki, Alojzy Pietrzyk, Antoni Tokarczuk, Henryk Wujec.
- 1 maja** – W wielu miastach odbyły się manifestacje „Solidarności”, po raz pierwszy od ośmiu lat legalne. W Warszawie pochód zgromadził blisko 100 tysięcy ludzi.
- 8 maja** – Ukazał się pierwszy numer „Gazety Wyborczej”.
- 2 czerwca** – Ukazał się pierwszy numer reaktywowanego „Tygodnika Solidarność”; jego szefem został znowu Tadeusz Mazowiecki.
- 4 czerwca** – W I turze wyborów do Sejmu i Senatu kandydaci KO „S” zdobyli od razu 252 z 261 możliwych do obsadzenia mandatów. Spośród trzydziestu pięciu kandydatów z tzw. listy krajowej tylko dwóch uzyskało wymaganą liczbę głosów, pozostali musieli zrezygnować z miejsc w Sejmie. Frekwencja wyborcza wyniosła ok. 62 proc.
- 4 czerwca** – W Pekinie wojsko krwawo stłumiło demonstracje studentów chińskich na pl. Tiananmen.
- 12 czerwca** – Rada Państwa wydała dekret o zmianie ordynacji wyborczej do Sejmu X kadencji. Liczbę mandatów w okręgach zwiększono w II turze wyborów o mandaty nieobsadzone z listy krajowej.
- 13 czerwca** – Na Węgrzech rozpoczęły się negocjacje pomiędzy władzą a opozycją przy „trójkątnym stole”.
- 16 czerwca** – Na Węgrzech odbył się oficjalny pogrzeb Imre Nagya, premiera podczas rewolty 1956 roku, i jego towarzyszy straconych w roku 1958.
- 17 czerwca** – KKW „S” podjęła uchwałę o zakończeniu działalności regionalnych Komitetów Obywatelskich „S”.
- 18 czerwca** – W II turze wyborów do Sejmu i Senatu wszyscy kandydaci KO „S” – poza kandydatem do Senatu w woj. pільskim – wygrali w swych okręgach. Reprezentacja parlamentarna „So-

KALENDARIUM

- lidarności” będzie liczyć ostatecznie 161 posłów i 99 senatorów (w Zgromadzeniu Narodowym łącznie 260 miejsc na 560).
- 23 czerwca** – Ukonstytuował się Obywatelski Klub Parlamentarny złożony z posłów i senatorów KO „S”. Na przewodniczącego OKP wybrano Bronisława Geremka.
- 3 lipca** – „Gazeta Wyborcza” opublikowała artykuł Adama Michnika „Wasz prezydent – nasz premier”. Proponował on „porozumienie, na mocy którego prezydentem zostanie wybrany kandydat z PZPR, a teka premiera i misja sformowania rządu powierzona kandydatowi »Solidarności«”.
- 4 lipca** – Inauguracyjne posiedzenie Sejmu i Senatu. Marszałkiem izby poselskiej został Mikołaj Kozakiewicz; izby wyższej – Andrzej Stelmachowski.
- 9-11 lipca** – Z wizytą w Polsce przebywał prezydent USA George Bush senior, który w Gdańsku spotkał się z Lechem Wałęsą i innymi przywódcami „S”.
- 19 lipca** – Wojciech Jaruzelski został wybrany na prezydenta przez Zgromadzenie Narodowe.
- 25 lipca** – W Warszawie odbyło się spotkanie prezydenta Jaruzelskiego i Lecha Wałęsy. „Koalicja obecnie sprawująca władzę nie jest gotowa do przekazania rządu tym siłom, które korzystają z poparcia większości społeczeństwa – oświadczył Wałęsa po spotkaniu. – Pozostajemy opozycją”.
- 29 lipca** – KKW „S” zaprotestowała przeciwko operacji tzw. urynkowania gospodarki żywnościowej w wersji zaproponowanej przez rząd Rakowskiego. Tego samego dnia plenum KC PZPR wybrało Mieczysława Rakowskiego na stanowisko I sekretarza KC w miejsce Wojciecha Jaruzelskiego, który ustąpił z tej funkcji w związku z wyborem na prezydenta. Rakowski zrzekł się stanowiska premiera.
- 31 lipca** – Sejm uchwalił ustawę o powszechnej indeksacji płac.
- 2 sierpnia** – Sejm zaaprobował kandydaturę generała Kiszczaka na premiera.
- 7 sierpnia** – Lech Wałęsa wydał oświadczenie, w którym zaproponował koalicję rządową złożoną z OKP, ZSL i SD.

ROK 1989

- 15 sierpnia** – Z oświadczenia Lecha Wałęsy: „Rząd odpowiedzialności narodowej powołany z zachowaniem prerogatyw prezydenta PRL przez koalicję »Solidarności«, ZSL i SD jest dziś jedyną szansą zmiany groźnego dla kraju biegu wydarzeń”.
- 16 sierpnia** – Posiedzenie OKP z udziałem Wałęsy i delegacji ZSL i SD. Z oświadczenia OKP: „Uważamy, że parlamentarna koalicja ZSL, SD oraz OKP jest w stanie uformować pod kierownictwem Lecha Wałęsy rząd odpowiedzialności narodowej, w którym mogłyby być reprezentowane wszystkie siły polityczne naszego kraju zdecydowane działać na rzecz reform politycznych i gospodarczych”.
- 17 sierpnia** – W Warszawie Lech Wałęsa spotkał się z Romanem Malinowskim (szef ZSL) i Jerzym Józwiakiem (szef SD); następnie wszystkich trzech przyjął prezydent Jaruzelski.
- 19 sierpnia** – Jaruzelski przyjął rezygnację generała Kiszczaka z misji tworzenia rządu. Tego samego dnia przedstawił propozycję objęcia urzędu prezesa Rady Ministrów Tadeuszowi Mazowieckiemu, a KKW „S” poparła tę kandydaturę.
- 24 sierpnia** – Sejm powołał Tadeusza Mazowieckiego na urząd prezesa RM. Z przemówienia nowego premiera: „Powodzenie działań przyszłego rządu zależy od tego, czy zostanie on zaakceptowany i zrozumiany przez społeczeństwo. (...) Rząd sam niczego nie uzdrowi. Musimy to zrobić wspólnie”.
- 12 września** – Sejm zdecydowaną większością głosów zatwierdził rząd Tadeusza Mazowieckiego.
- 27 września** – Jarosław Kaczyński został nowym redaktorem naczelnym „Tygodnika Solidarność”.
- 18 października** – Erich Honecker, szef partii SED i przewodniczący Rady Państwa NRD, został zmuszony do ustąpienia ze wszystkich stanowisk.
- 9 listopada** – Runął mur berliński.
- 10 listopada** – Todor Żiwkow, szef Bułgarskiej Partii Komunistycznej i przewodniczący Rady Państwa, został zmuszony do ustąpienia ze wszystkich stanowisk.

KALENDARIUM

- 15 listopada** – Wałęsa, jako trzecia w historii osoba po markizie La Fayette i Churchillu, wygłosił przemówienie do połączonych Izb Kongresu Stanów Zjednoczonych. Wielki triumf „Solidarności”, owacja trwała dziesięć minut.
- 21 listopada** – W Pradze na pl. Wacława demonstrowało 200 tys. ludzi. W Czechosłowacji zaczęła się aksamitna rewolucja.
- 28 listopada** – Kanclerz RFN Helmut Kohl przedstawił w Bundestagu plan zjednoczenia Niemiec. Moskwa na plan odpowiedzi odmownie.
- 9 grudnia** – W Sejmie szef OKP Bronisław Geremek otworzył konferencję „Etos Solidarności” zorganizowaną wspólnie przez niego i przewodniczącego „S” Lecha Wałęsę, z udziałem premiera Mazowieckiego. Wspólna deklaracja i wrazenie – złudne, jak się szybko okaże – że obóz „Solidarności” ciągle mówi jednym głosem.
- 12 grudnia** – Apel Wałęsy o wyposażenie rządu w specjalne uprawnienia w zakresie prawnej regulacji najważniejszych dziedzin życia politycznego i gospodarczego kraju. Premier zaskoczony propozycją.
- 17 grudnia** – Wicepremier i minister finansów Leszek Balcerowicz przedstawił w Sejmie podstawowe założenia swego programu gospodarczego – tzw. plan Balcerowicza.
- 19 grudnia** – Bunt w Rumunii, w Timisoarze, krwawo stłumiony przez siły bezpieczeństwa. Dwa dni później w Bukareszcie dojdzie do wielkiej manifestacji przeciw prezydentowi Nicolae Ceausescu – następnego dnia ucieknie on ze stolicy ze swą żoną Eleną; schwytani, staną 25 grudnia przed sądem wojskowym, zostaną skazani na śmierć i tego samego dnia rozstrzelani.
- 28 grudnia** – Sejm przyjął ustawy zaproponowane przez Balcerowicza. Tego samego dnia przewodniczącym Zgromadzenia Narodowego Czechosłowacji został Aleksander Dubczek, szef Komunistycznej Partii Czechosłowacji w 1968 roku podczas praskiej wiosny.

ROK 1989

29 grudnia – Sejm dokonał nowelizacji konstytucji – skreślony został wstęp i pierwsze dwa rozdziały, nazwa państwa to odtąd już nie Polska Rzeczpospolita Ludowa, ale Rzeczpospolita Polska. Tego samego dnia Zgromadzenie Narodowe wybrało Vaclava Havla na prezydenta Czechosłowacji.

1990

27-30 stycznia – XI Zjazd PZPR, uchwała o zakończeniu jej działalności.

10 lutego – W Moskwie podczas oficjalnej wizyty kanclerza RFN Kohla rosyjski prezydent i sekretarz generalny KPZR Michaił Gorbaczow po raz pierwszy oświadczył, że „zjednoczenie jest sprawą Niemców”.

25 lutego – Na Litwie w wyborach do parlamentu zwyciężył Sajudis. 11 marca parlament proklamował niepodległość republiki.

6 kwietnia – Przywrócenie święta 3 Maja i zniesienie peerelowskiego święta 22 Lipca.

10 kwietnia – Wałęsa potwierdził, że będzie ubiegał się o urząd prezydenta: „Trzeba przyspieszyć tempo reform. Znieść stare układy”.

12 kwietnia – Likwidacja cenzury.

19-25 kwietnia – II Krajowy Zjazd Delegatów „Solidarności”.
21 kwietnia Lech Wałęsa został przewodniczącym „S” (77,5 proc. głosów). „Gdy zostanę prezydentem, zaproszę was do Belwederu i razem wybierzemy nowego przewodniczącego”.

13 maja – Posiedzenie Komitetu Obywatelskiego. Wałęsa stwierdził, że potrzebna jest „wojna na górze”, by na dole był spokój. „Dlatego zachęcam państwa do wojowania”.

27 maja – Odbyły się wybory do samorządu terytorialnego, pierwsze w Polsce po wojnie (pomijając wybory do Senatu sprzed roku) całkowicie wolne wybory. Najwięcej głosów otrzymali kandydaci Komitetów Obywatelskich i niezależni.

1 czerwca – List Wałęsy do Wujca, sekretarza KO. „Czuj się odwołany”.

12 czerwca – Gorbaczow stwierdził, że ZSRR może być federacją krajów suwerennych. Tego samego dnia suwerenność prokla-

KALENDARIUM

mowała Republika Rosyjska. W poprzednich i kolejnych miesiącach ogłosiły ją bądź ogłosią m.in.: Łotwa, Estonia, Mołdawia, Uzbekistan i Ukraina.

- 24 czerwca** – Dramatyczne posiedzenie Komitetu Obywatelskiego, na którym sześćdziesięciu trzech członków w liście skierowanym do przewodniczącego Lecha Wałęsy zaproponowało rozwiązanie Komitetu. Wałęsa próbę tę nazwał zdradą.
- 5-6 lipca** – Zmiany w składzie rządu. Krzysztof Kozłowski zastąpił generała Kiszczaka na stanowisku ministra spraw wewnętrznych.
- 17 września** – Lech Wałęsa zgłosił swą kandydaturę w wyborach prezydenckich: „Zdecydowałem”. Dwa tygodnie później Tadeusz Mazowiecki ogłosi, że „po głębokim namyśle” też postanowił starać się o prezydenturę.
- 3 października** – Landy NRD przystępują do RFN na mocy układu ratyfikowanego 20 września przez parlamenty obu państw. Następuje zjednoczenie Niemiec.
- 26 października** – Podczas zebrania OKP zostało rozwiązane jego Prezydium. 8 listopada przewodniczącym zostanie poseł Mieczysław Gil. W styczniu następnego roku z klubu wystąpią parlamentarzyści świeżo powstałej Unii Demokratycznej.
- 25 listopada** – W I turze wyborów prezydenckich Wałęsa zdobył 39,7 proc. głosów, Mazowiecki zaledwie trochę ponad 18 proc. Nie przeszedł do II tury, ponieważ wyprzedził go „człowiek znikąd” – Stanisław Tymiński (trochę ponad 23 proc.). 9 grudnia, w II turze wyborów, Wałęsa zdobędzie 74,3 proc. głosów, Tymiński – 25,7 proc. Wałęsa zostanie prezydentem. 14 grudnia Sejm przyjmie dymisję rządu Mazowieckiego.

Kalendarium opracowano na podstawie książki Elżbiety Bentkowskiej „Jesień ludów ‘89” (WSiP, Warszawa 1992), Jakuba Karpińskiego „Portrety lat. Polska w odcinkach 1944-1993” (Gebethner & Ska, Warszawa 1994), Jana Skórzyńskiego i Marka Pernala „Kalendarium Solidarności 1980-89” (Świat Książki, Warszawa 2005), publikacji „Gazety Wyborczej” oraz Internetowego Muzeum Polski Ludowej – www.polskaludowa.com

SPIS RZECZY

Przedmowa	
<i>Timothy Garton Ash</i>	s. 5
Klimaty	s. 9
Magdalenka	s. 43
Jałowy bieg	s. 71
Otwarcie	s. 97
Wertepy	s. 121
Wybory	s. 149
W szerszym planie	s. 189
Wasze	s. 215
Czyje?	s. 247
Nasze	s. 271
Cena władzy	s. 297
Meblowanie	s. 327
Sąsiedzi	s. 353
Budowanie	s. 377
Epilog	s. 399
Polskie <i>serendipity</i>	
<i>Posłowie Jacka Żakowskiego</i>	s. 413
Kalendarium	s. 427